

UMBERTO ECO  
WAHADLO  
FOUCAULTA



NOIR SUR BLANC

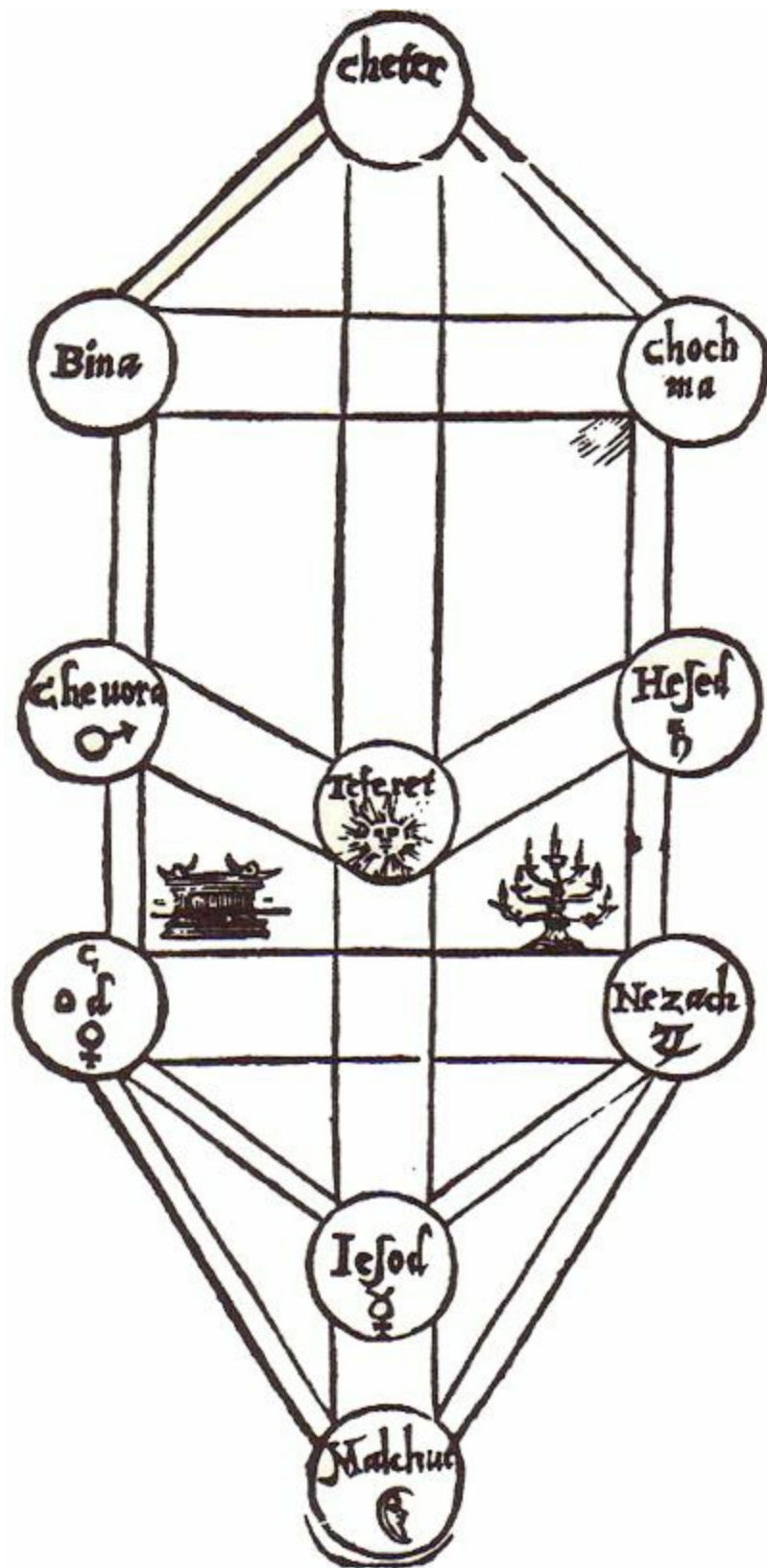
UMBERTO ECO

WAHADŁO FOUCAULTA

Przełożył

Adam Szymanowski

NOIR SUR BLANC



# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

## **1 KETER**

- 1 Kiedy blask nieskończoności
- 2 Mamy rozmaite i ciekawe Zegary

## **2 CHOCHMA**

- 3 In hanc utilitatem clementes angeli
- 4 Kto próbuje wniknąć w Różę filozofów
- 5 I zaczynam odmieniać to imię
- 6 Judá León se dio a permutaciones

## **3 BINA**

- 7 Nie obiecuj sobie za wiele po końcu świata
- 8 Przybyłem ze światła i od bogów
- 9 W prawym ręku ścisnął pozłocistą trąbę
- 10 I w końcu nie wnioskuje się kabalistycznie z vinum niczego
- 11 Jego bezpłodność była nieskończona
- 12 Sub umbra alarum tuarum
- 13 Li frere, li mestre du Temple
- 14 Wyznałby również, iż zabił naszego Pana
- 15 Udam się po ratunek do hrabiego Andegaweńskiego
- 16 Przed aresztowaniem był w zakonie tylko dziewięć miesięcy
- 17 W ten sposób zniknęli rycerze Świątyni
- 18 Gmach straszliwie podziurawiony szczelinami i pieczarami
- 19 Zakon ani na chwilę nie przestał istnieć
- 20 Niewidzialne i niezniszczalne centrum, monarcha, który miał znowu się przebudzić
- 21 Graal jest tak ciężki
- 22 Nie chcieli, by zadawano im pytania

## **4 CHESED**

- 23 Analogia przeciwieństw

- 24 Sauvez la faible Aischa
- 25 Ci zagadkowi wtajemniczeni
- 26 Wszystkie tradycje ziemi
- 27 Opowiadając pewnego razu, że poznał Poncjusza Piłata
- 28 Istnieje substancja, która otula świat
- 29 Z prostego faktu, że skrywają swe imię
- 30 Sławetne bractwo różokrzyżowców
- 31 Jest prawdopodobne, że większość rzekomych różokrzyżowców
- 32 Valentiniani per ambiguitates bilingues
- 33 Wizje są białe, błękitne, biało-bladoróżowe

## **5 GEWURA**

- 34 Beydelus, Demeymes, Adulex
- 35 Jestem Lija
- 36 Proszę pozwolić, że udzielę rady
- 37 Kto rozmyśla nad czterema rzeczami
- 38 Mistrz Tajemny, Mistrz Doskonały
- 39 Kawaler Planisfery
- 40 Lękliwy stokroć umiera
- 41 W punkcie, w którym Otchłań
- 42 Wszyscy jesteśmy zgodni
- 43 Ludzie spotykani na ulicy
- 44 Wzywa siły
- 45 Stąd wynika zadziwiające pytanie
- 46 Podejdiesz kilka razy do żaby
- 47 Czucie rozbudzone i pamięć przenikliwa
- 48 Dobrze przybliżenie
- 49 Rycerskość duchowa i inicjacyjna
- 50 Jestem pierwszą i ostatnią
- 51 Kiedy więc Ceruellone Kabalista
- 52 Olbrzymia szachownica, która rozciąga się pod ziemią
- 53 Nie mogąc otwarcie kierować przeznaczeniami ziemskimi
- 54 Książę ciemności
- 55 Nazywam teatrem

- 56 Jął dąć w swoją wspaniałą trąbę
- 57 Pod co trzecim drzewem jest zawieszona latarnia
- 58 Alchemia jest niewinną nierządnicą
- 59 I jeśli rodzą się takie potwory
- 60 Biedny głupcze!
- 61 Złote Runo
- 62 Za stowarzyszenia druidyczne uważamy
- 63 Co panu przypomina ta ryba?

## **6 TIFERET**

- 64 Śnić o mieście nieznanym
- 65 Powierzchnia złożona z kawałków drewna
- 66 Jeśli nasza hipoteza jest słuszna
- 67 Da Rosa, nada digamos agora
- 68 Niechaj twoje szaty będą białe jak śnieg
- 69 Elles deviennent le Diable
- 70 Pamiętamy tajemne napomknienia
- 71 Nie mamy nawet pewności
- 72 Nos inuisibles pretendus
- 73 Inny ciekawy przypadek
- 74 Chociaż nie sposób odmówić dobrej woli
- 75 Adeptci stoją na skraju takiej drogi
- 76 Dyletantyzm
- 77 To zielsko zowią czarcim płóchem
- 78 Powiedziałbym niechybnie, że ta potworna  
krzyżówka
- 79 Otworzył swój kuferek
- 80 Kiedy pojawiła się Biel
- 81 Potrafiliby wysadzić w powietrze całą  
powierzchnię naszej planety
- 82 Ziemia jest ciałem magnetycznym
- 83 Mapa to jeszcze nie terytorium
- 84 Zgodna z projektami werulamczyka
- 85 Phileas Fogg. Nazwisko, które jest jak podpis
- 86 Do nich to zwrócił się Eiffel
- 87 To osobliwa zbieżność
- 88 Templaryzm to jezuityzm
- 89 Uformowało się w łonie najgęstszych ciemności

90 Wszelkie niegodziwości przypisywane  
templariuszom

91 Jakże wspaniale zdemaskowałeś te piekielne  
sekty

92 Z całą potęgą i terrorem szatana

93 My tymczasem działamy za kulisami

94 En avoit-il le moindre soupçon?

95 Wskazuje na żydowskich kabalistów

96 Dobrze jest działać pod jakimś płaszczykiem

97 Ego sum qui sum

98 Rasistowska gnoza, obrzędy

99 Zmałpienie plus dywizje pancerne

100 Oświadczam, że Ziemia jest pusta

101 Qui operatur in Cabala

102 Bardzo gruby i wysoki mur

103 Twoje tajemne imię będzie z 36 liter

104 Teksty te nie są przeznaczone dla zwykłych  
śmiertelników

105 Delirat lingua, labat mens

106 Spis nr 5

## **7 NECACH**

107 Pies czarny, co przez ścierń tu zmierza

108 Czy dzieło prowadzą różne Siły?

109 Saint-Germain... Bardzo dystyngowany i pełen  
polotu

110 Pomylili ruchy i podążali do tyłu

111 C'est une leçon par la suite

## **8 HOD**

112 Dla naszych Ceremonii

113 Nasza sprawa jest tajemnicą

114 Wahadło idealne

115 Gdyby oko mogło ujrzeć demony

116 Je voudrais être la tour

117 Ma szaleństwo dla gości namiot

## **9 JESOD**

118 Społeczna teoria spisku

119 Podpalono zwieńczenie trąby

**10 MALCHUT**

120 Zło jest w tym, że oni uznają za pewne, iż przebywają w świetle

Spis ilustracji



Tytuł oryginału: IL PENDOLO DI FOUCAULT

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI

Korekta: BARBARA KACZAROWSKA, MACIEJ KORBASIŃSKI, JOLANTA ROSOSIŃSKA

Na okładce wykorzystano fragment tryptyku Lazzara Bastianiego *Sceny z życia świętego Hieronima*, XV wiek, Pinakoteka Brera, Mediolan

Copyright © R.C.S. Libri S.p.A. – Milan, Bompiani 1988

All rights reserved

For the Polish edition Copyright © 2002, Noir sur Blanc, Warszawa

All rights reserved

Wydanie I elektroniczne

ISBN 978-83-7392-434-5

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: [nsb@wl.net.pl](mailto:nsb@wl.net.pl)

Księgarnia internetowa: [www.noirsurblanc.pl](http://www.noirsurblanc.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla was jedynie, synowie wiedzy i mądrości, napisaliśmy to dzieło. Badajcie księgę, skupcie się na tym zamiarze, który rozproszyliśmy po wielu miejscach, to zaś, co zakryliśmy w jednym miejscu, odsłoniliśmy w innym, aby zostało zrozumiane przez waszą mądrość.

Heinrich Cornelius Agrippa von Nettesheim,  
*De occulta philosophia*, 3, 65

Zabobon przynosi nieszczęście.  
Raymond Smullyan,  
*5000 B.C.*, 1.3.8

1  
KETER

(ב) והנה בהיות אור האיס נמשך,  
 בכחינת (ה) קו ישר תוך החלל  
 הנזיל, לא נמשך ונתפשט (ו) תיכף  
 עד למטה, אמנם היה מתפשט לאט  
 לאט, רצוני לומר, כי בתחילה הת-  
 חיל קו האור להתפשט, ושם תיכף  
 (ז) בתחילת התפשטותו בסוד קו,  
 נתפשט ונמשך ונעשה, כעין (ח)  
 גלגל אחד עגול מסביב.

I wtedy zobaczyłem Wahadło.

Ruchoma kula na końcu długiego sznura, umocowanego do sklepienia chóru, z izochronicznym majestatem i rozmachem przemierzała swój szlak.

Wiedziałem – ale każdy wyczułby to z magii tego spokojnego oddechu – że okres zależy od iloczynu pierwiastka kwadratowego z długości sznura i owej liczby  $\pi$ , irracjonalnej dla przyziemnych umysłów, lecz z boskiego nakazu wiążącej nieuchronnie we wszystkich możliwych kołach obwód ze średnicą – tak że czas wędrówki tej kuli od jednego do drugiego skrajnego wychylenia był skutkiem tajemnej zмовy między najbardziej ponadczasową z miar, jedynością punktu zawieszenia, dualizmem abstrakcyjnego wymiaru, troistą naturą  $\pi$ , sekretnym tetragonem pierwiastka, doskonałością okręgu.

Wiedziałem ponadto, że w pionie od punktu zawieszenia, u podstawy, umieszczono magnetyczne urządzenie, które przekazując sygnały cylindrowi ukrytemu we wnętrzu kuli, zapewniało stałość ruchu, a ten fortel pozwalał przezwyciężyć opór materii, nie zaprzeczając przy tym zgoła prawu wahadła, a nawet ułatwiając jego ujawnienie, albowiem w próżni wszelki punkt materialny zawieszony na końcu nierozciągliwego i nieważkiego sznura, nienarażony na opór powietrza i nienapotykający tarcia w miejscu zaczepienia,

kołysały się regularnie przez całą wieczność.

Miedziana kula słała blade, migotliwe refleksy ostatnich promieni słonecznych przenikających przez szyby. Gdyby jak kiedyś muskała swym ostrzem warstewkę wilgotnego piasku na posadzce chóru, przy każdym wahnięciu kreśliłaby na ziemi delikatną bruzdę, owa zaś bruzda, zmieniając nieustannie kierunek o nieskończenie mały kąt, coraz bardziej poszerzałaby się w kształt szczeliny, parowu, pozwalając odgadnąć promienistą symetrię - niby zarys mandali, niewidoczna struktura *pentaculum*, gwiazda, mistyczna róża. Nie, raczej zarejestrowany na bezmiarze pustyni sznurek śladów, pozostawiony przez błakające się bez końca karawany. Historia powolnych i tysiącletnich migracji; być może w ten właśnie sposób przemieszczali się Atlantydzi z kontynentu Mu w uporczywym i zachłannym błędzeniu od Tasmanii po Grenlandię, od Koziorożca po Raka, od Wyspy Księcia Edwarda po archipelag Svalbard. Ostrze powtarzało, raz jeszcze opowiadało w skrócie to, co oni zrobili między jednym a drugim zlodowaceniem i być może czynią nadal, teraz jako kurierzy Panów - być może na szlaku między wyspami Samoa a Nową Ziemią ostrze w położeniu równowagi muskało Agartę, Środek Świata. I przeczułem, że jedna i ta sama płaszczyzna łączy Avalon, Hiperboreję, z południową pustynią, która gości zagadkę Ayers Rock.

W tym momencie, 23 czerwca o czwartej po południu, Wahadło zwalniało, zbliżając się do najdalszego wychylenia, aby opaść ciężko ku środkowi, zyskać w połowie biegu największą prędkość i ciąć, ufne w niewidzialny kwadrat sił, który wytyczał jego przeznaczenie.

Gdybym, nie zważając na upływ godzin, wpatrywał się w tę ptasią głowę, w to zakończenie włóczni, w ten obrócony hełm, kiedy tak kreślił w pustce własne przekątne, muskając przeciwległe punkty swego astygmatycznego obwodu, padłbym ofiarą baśniowego złudzenia, albowiem Wahadło przekonałoby mnie, iż płaszczyzna ruchu dokonała w ciągu trzydziestu dwóch godzin pełnego obrotu, powracając do punktu wyjściowego, zakreślając płaską elipsę – elipsę obracającą się wokół środka ze stałą prędkością kątową, proporcjonalną do sinusa szerokości geograficznej. Jak by się obracało, gdyby koniec został przytwierdzony do szczytu kopuły Świątyni Salomona? Może nawet rycerze podjęli taką próbę. Może rachunek, ostateczne znaczenie nie uległyby zamianie. Może kościół opacki Saint-Martin-des-Champs był prawdziwą Świątynią. Aczkolwiek właściwe warunki do przeprowadzenia tego doświadczenia istnieją tylko na biegunie, w jedynym miejscu, gdzie punkt zawieszenia znajduje się na przedłużeniu osi obrotu Ziemi i gdzie Wahadło urzeczywistniłoby swój pozorny cykl dwudziestoczwierogodzinny.

Lecz nie to odchylenie od Prawa, przez Prawo zresztą przewidziane, nie owo pogwałcenie złotej zasady miary sprawiało, że cud zasługiwał na mniejszy podziw. Wiedziałem wszak, że Ziemia się obraca, a ja wraz z nią, i że Saint-Martin-des-Champs i cały Paryż wraz ze mną, że wszystko dokonuje wspólnych obrotów pod Wahadłem, które w istocie nigdy nie zmienia płaszczyzny swego ruchu, bo gdzieś tam nad punktem zawieszenia, w nieskończonym idealnym przedłużeniu sznura ku najdalszym galaktykom, trwa nieruchomy przez całą wieczność Punkt Stały.

Ziemia obraca się, ale miejsce zaczepienia sznura jest je-

dynym punktem stałym we wszechświecie.

Tak więc moje spojrzenie zwracało się nie tyle ku Ziemi, ile ku górze, gdzie odprawiało się misterium absolutnej nieruchomości. Wahadło mówiło mi, że chociaż wszystko jest w ruchu - kula ziemską, Układ Słoneczny, mgławice, czarne dziury i wszyscy synowie wielkiej kosmicznej emanacji, od pierwszych eonów do najbardziej lepkiej materii - jeden jedyny punkt trwa jak sworzeń, śruba, idealny sprzęg, sprawiając, że wszechświat może się obracać wokół samego siebie. A ja uczestniczyłem oto w najwznioślejszym eksperymencie, ja, poruszający się wraz ze wszystkim i z każdą rzeczą osobno, dostrzegalem jednak Jego, Nieruchomość, Skałę, Rękojmię, świetliste zaćmienie, które nie jest ciałem, nie ma postaci, kształtu, ilości ni jakości i nie widzi, nie czuje, nie upada pod brzemieniem wrażliwości, nie tkwi w żadnym miejscu, żadnym czasie, żadnej przestrzeni, nie jest duszą, zmysłem, wyobraźnią, poglądem, liczbą, porządkiem, miarą, substancją, wiecznością, nie jest ni mrokiem, ni światłem, nie jest błędem i nie jest prawdą.

Od tych rozmyślań oderwał mnie wyraźny, choć ospały dialog między jakimś chłopakiem w okularach a dziewczyną, co gorsza, bez okularów.

- To wahadło Foucaulta - oznajmił chłopak. - Pierwsze doświadczenie przeprowadzono w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym roku w piwnicy, potem w Obserwatorium, a potem pod kopułą Panteonu, na sznurze długości sześćdziesięciu siedmiu metrów i z kulą ważącą dwadzieścia osiem kilogramów. Wreszcie w tysiąc osiemset pięćdziesiątym piątym roku znalazło się tutaj, w zmniejszonej postaci, i zwiesza się z tej dziury w połowie krzyżowego sklepie-

nia.

- I po co tu jest? Kiwa się i tyle

- Dowodzi, że Ziemia się obraca. Ponieważ punkt zaczepienia jest nieruchomy...

- A dlaczego jest nieruchomy?

- Bo punkt... jak ci to powiedzieć... w swoim punkcie centralnym, słuchaj uważnie, każdy punkt, który pozostaje w środku punktów, które widzisz... no dobrze, więc tego punktu -- punktu geometrycznego -- nie zobaczysz, bo nie ma wymiarów, a to, co nie ma wymiarów, nie może się przemieszczać w prawo ani w lewo, w dół ani do góry. No więc nie rusza się. Rozumiesz? Skoro punkt nie ma wymiarów, nie może nawet się obracać wokół samego siebie. Nie ma nawet samego siebie...

- Skoro jednak Ziemia się obraca?

- Ziemia się obraca, ale punkt - nie. Jeśli ci się to podoba, tak już jest, jeśli nie - nie warto zawracać sobie głowy. W porządku?

- Nie moja sprawa.

Nieszczęsna. Miała nad głową jedyny stały punkt w kosmosie, jedyną ucieczkę od przekleństwa *panta rei*, i uważała, że to sprawa Jego, nie zaś jej. I rzeczywiście, zaraz potem para oddaliła się -- on wykształcony na jakimś podręczniku, który przytłumił w nim zdolność do przeżycia zadziwienia, ona zaś bierna, niedostępna dreszczowi nieskończoności, a żadne z nich nie zarejestrowało w pamięci przerażającego doświadczenia, jakim było to spotkanie - pierwsze i zarazem ostatnie - z Jednym, z En Sof, z Niewypowiedzianym. Jakże nie paść na kolana przed ołtarzem pewności?



Patrzyłem z czcią i lękiem. W tym momencie byłem przekonany, że Jacopo Belbo ma rację. Kiedy opowiadał mi o Wahadle, jego wzruszenie przypisywałem estetyzującemu bredzeniu, tej gangrenie, która, bezkształtna, przybierała kształt w jego duszy, powoli, krok po kroku, tak że nie zdawał sobie z tego sprawy, i przeobrażała jego grę w rzeczywistość. Skoro jednak miał rację co do Wahadła, być może prawdą jest wszystko inne, Plan, Powszechny Spisek, i słusznie postąpiłem, przybywając tutaj w przeddzień przesilenia letniego. Jacopo Belbo nie był szaleńcem, po prostu przypadkiem, poprzez Grę, odkrył prawdę.

A chodzi o to, że doświadczenie *Numinosum* nie może trwać zbyt długo, gdyż prowadzi do pomieszania zmysłów.

Starałem się więc oderwać wzrok i śledzić krzywą, która od kapiteli ustawionych w półkole kolumn zmierzała wzdłuż żeber sklepienia ku zwornikowi, odtwarzając tajemnicę ostrołuku wspartego na nieobecności, co jest najwznioślejszą statyczną obłudą, i przekonującego kolumny, że pchają ku górze zebra, te zaś, odpychane przez zwornik, że przytwierdzają do ziemi kolumny, podczas gdy sklepienie jest wszystkim i niczym, jednocześnie skutkiem i przyczyną. Ale zdałem sobie sprawę, że zaniechanie zwieszającego się ze sklepienia Wahadła i podziwianie samego sklepienia było jakby powstrzymaniem się od picia z krynicy, żeby upoić się u źródła.

Chór w Saint-Martin-des-Champs istniał tylko dlatego, że na mocy Prawa mogło istnieć Wahadło, ono zaś istniało, gdyż istniał chór. Nie wnika się w nieskończoność – powiedziałem sobie – uciekając ku innej nieskończoności; nie unika się ujawnienia identyczności, łudząc się, że można napotkać rozmaitość.

Nadal nie mogąc oderwać wzroku od zwornika sklepienia, cofałem się krok po kroku – gdyż w ciągu kilku minut, jakie upłynęły, odkąd tutaj wszedłem, nauczyłem się szlaku na pamięć, a wielkie metalowe żółwie, które przesuwały się po obu moich stronach, były wystarczająco duże, bym mógł kątem oka rejestrować ich obecność. Szedłem więc tyłem wzdłuż nawy ku wejściu i raz jeszcze znalazłem się pod groźnymi prehistorycznymi ptakami z wystrzępionego płótna i drutów, pod złośliwymi ważkami, które jakaś tajemna wola zawiesiła pod sklepieniem nawy. Widziałem w nich pełne mądrości metafory, znacznie bardziej znaczące i aluzyjne, niż to udawał dydaktyczny pretekst. Lot jurajskich owadów i gadów, alegoria długotrwałych wędrówek, jakie Wahadło streszczało na ziemi, archonci, nieprzyjazne emanacje; oto opuszczały się ku mnie ze swoimi długimi dziobami archeopteryksów -- aeroplan Bregueta, Blériota, Esnaulta i helikopter Dufauksa.

W ten właśnie sposób wkracza się do paryskiego Conservatoire des Arts et Métiers; po przebyciu osiemnastowiecznego dziedzińca wchodzi się do starego kościoła opackiego, osadzonego w późniejszym zespole architektonicznym, podobnie jak niegdyś był osadzony w oryginalnym zespole klasztornym. A kiedy człowiek znajdzie się już w środku, poraża go ta zmowa, która zrównuje wyższy świat niebiańskich ostrołuków z chtonicznym światem pożeraczy nafty.

Na ziemi ustawiono cały orszak samojezdnych powozów, bicykli i pojazdów parowych, z góry groźnie się zwieszają pionierskie aeroplany; niektóre z tych przedmiotów są kompletne, chociaż odrapane, tknięte zębem czasu, lecz w dwuznacznym świetle, częściowo elektrycznym, a częściowo naturalnym, robią wrażenie pokrytych patyną, werniksem --

jak stare skrzypce; inne zaś to tylko szkielety, podwozia, powykręcane korbowody, które grożą niewypowiedzianymi mękami, i już widzisz siebie przykutego do tych łoży tortur; wystarczy, by coś zaczęło się poruszać w twoim ciele i szarpać je, a zaraz wszystko wyznasz.

Za tym szeregiem starodawnych przedmiotów ruchomych, obecnie unieruchomionych, o duszy przeżartej rdzą, za czystymi znakami technologicznej dumy, która zechciała je wystawić, by wzbudzić szacunek odwiedzających, ukazuje się – strzeżony z lewej strony przez Statuę Wolności, zmniejszony model rzeźby zaprojektowanej przez Bartholdiego dla Nowego Świata, po prawej zaś przez posąg Pascala – chór, gdzie rozkołysane Wahadło zwieńcza koszmar chorego entomologa – szczypcy, szczęki, czułki, człony tasiemca, skrzydła, kończyny – cmentarzysko mechanicznych trupów, które mogłyby jednocześnie ożyć – iskrowniki, jednofazowe transformatory, turbiny, przetwornice dwumaszynowe, maszyny parowe, prądnice – w głębi zaś, za Wahadłem, na krużganku, bóstwa asyryjskie, chaldejskie, kartagińskie, wielkie posągi Baala o gorejącym niegdyś brzuchu, dziewice norymberskie z obnażonym i najeżonym gwoździami sercem, szczątki tego, co niegdyś było silnikami lotniczymi – niewysłowiony diadem wizerunków, co padły na twarz i adorują Wahadło; jakby dzieci Rozumu i Oświecenia zostały skazane na sprawowanie przez całą wieczność pieczy nad symbolem Tradycji i Mądrości.

Znudzeni turyści, którzy płacą w kasie swoje dziewięć franków, a w niedzielę wchodzą za darmo, mogą więc mniemać, że dziewiętnastowieczni starsi panowie z brodami pożółkłymi od nikotyny, w kołnierzykach wymiętych

i wytłuszczonych, w czarnych kokardach pod szyją, w surdutchach zalatujących tabaką, z palcami pożółkłymi od kwasów, a umysłami zakwaszonymi od akademickich zawiści, zjawy rodem z komedii, że ci panowie, zwracający się do siebie *cher maître*, umieścili wszystkie te przedmioty pod sklepieniami, kierując się zacnym pragnieniem pokazania ich ku uciesze mieszczkańskiego i radykalnego podatnika, aby uczcić stan nauki i postęp. Nie, nie, Saint-Martin-des-Champs został pomyślany – najpierw w kształcie zespołu klasztornego, a następnie muzeum rewolucji – jako antologia najbardziej tajemnych mądrości, natomiast aparaty lotnicze, te samojedne powozy, te elektromagnetyczne szkielety znalazły się tutaj, żeby podtrzymać dialog, którego formuła na razie mi się wymykała.

Czy powinienem, jak nakazywał obłudnie katalog, uwierzyć, że ten piękny pomysł panów z Konwentu miał udostępnić masom sanktuarium wszystkich sztuk i rzemiosł, skoro tak oczywiste było, iż w projekcie użyto takich samych słów, jakimi Francis Bacon opisywał Dom Salomona w swojej *Nowej Atlantydzie*?

Być może tylko ja – ja, Jacopo Belbo i Diotallevi – przeczułem całą prawdę. Być może dzisiejszego wieczoru poznam odpowiedź. Trzeba pozostać w muzeum po godzinie zamknięcia i czekać na północ.

Nie wiedziałem, którądy wejść – podejrzewałem, że w sieci paryskich ścieków jeden z kanałów łączy jakiś punkt muzeum z miastem, może w okolicy Porte-Saint-Denis – ale gdybym stąd wyszedł, tamtędy bym nie wrócił, co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości. Musiałem więc znaleźć

kryjówkę i pozostać w środku.

Spróbowałem uwolnić się od fascynacji tym miejscem i chłodnym okiem obejrzeć nawę. Nie szukałem już objawienia, potrzebowałem informacji. Domyślałem się, że w innych salach trudno byłoby znaleźć miejsce, gdzie mógłbym uniknąć kontroli strażników (ich praca polega wszak na tym, by w momencie zamykania muzeum obejść wszystkie sale, sprawdzając, czy gdzieś nie zaczął się złodziej), czyż jednak jest jakieś miejsce lepsze, aby ulokować się jako pasażer, niż to tutaj, niż ta zatłoczona pojazdami nawa? Żywy skryje się w martwym pojeździe. Aż za wiele gier prowadziliśmy, by nie spróbować także tej.

„Nuże, ma duszo - powiedziałem sobie - nie myśl już o Mądrości; szukaj wsparcia w Wiedzy”.

Mamy rozmaite i ciekawe Zegary i inne, które wykonują Ruchy Alternatywne... Mamy także Pałace Zwodzenia Zmysłów, gdzie z powodzeniem urzeczywistniamy wszelkiego rodzaju Manipulacje, Fałszywe Zjawy, Oszustwa i Złudzenia... Takie są, mój synu, skarby Domu Salomona.

Francis Bacon, *New Atlantis*,  
Rawley, London 1627, s. 41–42

Odzyskałem kontrolę nad nerwami i wyobraźnią. Trzeba grać, zachowując postawę ironiczną, jak grałem jeszcze kilka dni temu; nie dać się wciągnąć. Znajdowałem się w muzeum i musiałem pozostać dramatycznie przebiegły oraz zachować trzeźwość umysłu.

Ufnie się przyglądałem wiszącym nade mną aparatom latającym: mógłbym wdrapać się do samolotu i oczekiwać nocy tak, jakbym przelatywał nad kanałem La Manche, już z góry ciesząc się Legią Honorową. Nazwy samolotów dźwięczały mi w uszach miłośniczo i tęskniczo... Hispano suiza z 1932 roku, piękna i przytulna. Trzeba ją odrzucić, gdyż stoi zbyt blisko kasy, choć pewnie zwiódłbym pracownika, gdybym wystąpił w pumpach, podążając pół kroku za damą w kremowym kostiumie, z długim szalem okręconym wokół szczupłej szyi, w kapeluszu z szerokim rondem na ostrzyżonej po męsku głowce. Citroën C6G z 1931 roku to tylko przekrój pionowy, dobry model dla celów szkoleniowych, ale kryjówka wręcz śmiechu warta. Nie warto też mówić o maszynie parowej Cugnota, ogromnej, składającej się właściwie tylko z kotła czy też kadzi. Trzeba rozejrzeć się po prawej stronie, gdzie wzdłuż ściany stoją welocypedy z wielkimi kołami w kwiatonny, bambusowe *draisien*es, hulajnogi, pamiątki po dżentelmenach w cylindrach, tych rycerzach postępu, którzy mknęli

na nich przez Bois de Boulogne.

Naprzeciwko welocypedów karoserie w dobrym stanie, kuszące schronienia. Być może trzeba odrzucić panharda dynavia z 1945 roku, zbyt przezroczystego i ciasnego w swojej aerodynamicznej gładziźnie, ale z pewnością warto wziąć pod uwagę wysokiego peugeota 1909, istną mansardę, alkowę. Kiedy już zagłębię się w skórzane poduchy, nikt niczego nie będzie podejrzewał. Trudno jednak dostać się do środka, gdyż jeden ze strażników usiadł dokładnie naprzeciw, na ławeczce, odwrócony tyłem do bicyklów. Wspiąć się na stopeń, mając na sobie palto z futrzanym kołnierzem, płaczące się nieco między nogami, podczas gdy on w butach po kolana, z czapką w ręku, otwiera z szacunkiem drzwiczki...

Skupiłem się przez chwilę na obéissante z 1873 roku, pierwszym francuskim pojeździe napędzanym sposobem mechanicznym i zabierającym dwunastu pasażerów. Jeśli peugeot był apartamentem, ten to istny pałac. Ale nie umiałem nawet sobie wyobrazić, że mógłbym się do niego dostać, nie wzbudzając powszechnej uwagi. Jakże trudno się ukryć, kiedy kryjówkami są eksponaty na wystawie!

Przemierzyłem z powrotem salę: Statua Wolności wznosiła się, *éclairant le monde*, na cokole o wysokości prawie dwóch metrów, pomyslanym jako ostry dziób okrętu. W środku mieściło się coś w rodzaju budki strażniczej, z której przez iluminator dziobowy można było obejrzeć panoramę New York Bay. Dobry punkt obserwacyjny, kiedy nadejdzie północ, gdyż samemu przebywając w cieniu, będzie można objąć wzrokiem chór po lewej stronie i nawę po prawej, a plecy pozostaną zabezpieczone wielkim kamiennym posągiem Gramme'a, który patrzy w stronę innych korytarzy,

gdyż ustawiono go jakby w transepcie. Jednak w pełnym świetle doskonale widać, czy w budce ktoś przebywa, i każdy strażnik, kiedy już zwiedzający zostaną wyproszeni, rzuci tam okiem, żeby mieć czyste sumienie.

Zostało mi niewiele czasu, gdyż muzeum zamykają o wpół do szóstej. Przyspieszyłem więc, żeby rzucić okiem na krużganek. Żaden z motorów nie mógł zapewnić mi schronienia. Podobnie stojące po jednej stronie wielkie silniki okrętowe, szczątki jakiejś „Lusitanii”, którą pochłonęła woda, ani ogromny gazowy motor Lenoira wyposażony w mnóstwo zębatych kółek. Nie, a jeśli nawet, to w tej chwili, kiedy światło słabło i rozcieńczone przenikało przez szare szyby, znowu ogarnął mnie strach; bałem się ukrywać wśród tych zwierząt, by potem raz jeszcze, w ciemności, przy świetle laski, spotkać się z nimi, wskrzeszonymi w mroku, dyszącymi ciężkim tellurycznym oddechem: same kości i trzewia, pozbawione sierści, trzeszczące i smrodliwe od oleistej śliny. Na tej wystawie – powoli stającej się dla mnie czymś nieczystym – dieslowskich genitaliów, turbinowych pochew, nieorganicznych gardzieli, które w odpowiednim czasie wyrzucają z siebie – a może właśnie tej nocy znowu nastąpi erupcja – płomienie, opary, syki albo zaczynają furkotać ociężale niby latawce, trzeszczyć niczym świerszcze, wśród tych szkieletowych przejawów czysto abstrakcyjnej funkcjonalności, automatów przystosowanych do tego, by miażdżyć, ciąć, przesuwąć, łamać, krajać w plasterki, przyspieszać, rozwalać, połykać z hukiem, łkać cylindrami, rozpadać się niby złowrogie marionetki, obracać bębnami, zmieniać częstotliwość, transformować energię, wprawiać w ruch koła zamachowe – jakże zdołałbym przeżyć? Stałyby przede mną, podjudzone



przez Panów Świata, którym były potrzebne, aby mówiły o błędzie w dziele stworzenia: zbędny sprzęt, bożki władców niższego świata - jakże zdołałbym stawić im czoło i nie zachwiać się?

Muszę stąd wyjść, muszę, to wszystko jest szaleństwem, wciągam się w grę, która pozbawiła zmysłów Jacopa Belbo, i to ja, niedowiarek...

Nie wiem, czy owego wieczoru zrobiłem dobrze, pozostając. W przeciwnym razie dzisiaj znałbym początek opowieści, ale nie wiedział, jakie ma zakończenie. Albo też nie przebywałem tutaj, na tym wzgórzu, odcięty od ludzi, i słysząc dalekie szczekanie psów dochodzące z doliny, nie zadawałbym sobie pytania, czy był to naprawdę koniec, czy też koniec dopiero nastąpi.

Postanowiłem iść dalej. Opuściłem kościół, skręciłem na lewo obok posągu Gramme'a i wszedłem na galerię. Znalazłem się w dziale kolejnictwa; barwne modele lokomotyw i wagonów jawiły mi się jako zabawki dające poczucie bezpieczeństwa, jako fragmenty Bengodi, Madurodam, Włoch w miniaturze... Przyzwyczajam się teraz do tego cyklu trwogi i ufności, przerażenia i sceptycyzmu (czyż w istocie nie oznacza to początków choroby?) i powiadam sobie, że wizje w kościele tak mnie wzburzyły, bo kiedy tam wszedłem, byłem pod urokiem tekstów Jacopa Belbo, które rozszyfrowałem kosztem tylu tajemnych krętaństw, choć przecież wiedziałem, iż zostały zmyślane. „Znajdujesz się w muzeum techniki - powiadałem sobie - w muzeum techniki, miejscu uczciwym, być może niezbyt mądrym, ale przecie w królestwie nieszkodliwych zmarłych, wiesz wszak dobrze, jak to

jest w muzeach, Gioconda – potwór obojnak, Meduza jedynie dla estetów – nikogo jeszcze nie pożarła, tym bardziej nie pożre mnie maszyna parowa Watta, która mogła wprawiać w przerażenie jedynie osjanicznych i neogotyckich arystokratów, dlatego jawi się tak patetycznie polubowna, bez reszty sprowadzona do funkcjonalizmu i korynckiej elegancji, korbka i kapitel, kocioł i kolumna, koło i tympanon”. Jacopo Belbo, chociaż daleko stąd, próbuje wciągnąć mnie w porażającą pułapkę, która stała się jego zgubą. „Musisz – powiedziałem sobie – przyjąć postawę uczonego. Czyż wulkanolog pada ofiarą płomieni jak Empedokles? Czy Frazer uciekał, kiedy ścigano go w lesie nad jeziorem Nemi? Nuże, bądźże Samem Spade’em. Masz po prostu ruszyć na wyprawę odkrywczą między męty społeczne – to twój fach. Kobieta, która tobą zawładnęła, musi zginąć jeszcze przed zakończeniem – może nawet z twojej ręki. Żegnaj, Emily, było pięknie, ale jesteś automatem wyzbytym serca”.

Tak się jednak składa, że po galerii komunikacji następuje westybul Lavoisiera wychodzący na wielkie schody, które prowadzą na wyższe piętra.

Ten układ szkatulek po obu stronach, ten rodzaj alchemicznego ołtarza pośrodku, ta liturgia ucywilizowanej osiemnastowiecznej makumby nie wynikały z przypadkowego rozmieszczenia, ale stanowiły symboliczną zasadzkę.

Przede wszystkim obfitość luster. Jeśli jest lustro, pragniesz się przejrzeć – to ludzkie. Ale nie zobaczysz siebie. Szukasz siebie, szukasz swojego położenia w przestrzeni, w której lustro powiedziałoby: „Jesteś tutaj i to ty”; bardzo źle to znosisz i trapisz się, gdyż lustra Lavoisiera są wklęsłe lub wypukłe i zwodzą cię, drwią z ciebie; cofasz się, i widzisz

siebie, potem przesuwasz się, i już cię nie ma. Ten katoptryczny teatr został pomyślany tak, by pozbawić cię wszelkiej tożsamości i byś utracił pewność co do miejsca, w którym przebywasz. Jakby ci mówił: nie jesteś Wahadłem ani nie znajdujesz się w miejscu, gdzie jest Wahadło. I czujesz się niepewny nie tylko siebie, lecz także przedmiotów usytuowanych między tobą a innym lustrem. Fizyka bez wątpienia umie wyjaśnić, co się tu dzieje i dlaczego: weź wklęsłe lustro, które chwyta promienie emitowane przez przedmiot – w tym przypadku alembik na miedzianym garnku – a lustro będzie odbijało przypadkowe promienie w ten sposób, że nie ujrzysz przedmiotu wyraźnie zarysowanego w zwierciadle, ale przeczujesz jego widmo, rozplywające się w powietrzu i odwrócone – poza zwierciadłem. Naturalnie wystarczy, byś trochę się przesunął, a cały efekt zniknie.

Lecz potem nagle w innym lustrze zobaczyłem siebie do góry nogami.

To nie do zniesienia.

Co miał na myśli Lavoisier, co chcieli podszeptać organizatorzy Conservatoire? Już od arabskiego średniowiecza, od Alhazena, znamy dobrze magię luster. Czy warto było opracowywać Encyklopedię, wprowadzać Wiek Oświecenia i robić Rewolucję po to tylko, żeby stwierdzić, iż wystarczy wygiąć powierzchnię lustra, by znaleźć się w świecie fantazji? A czyż nie łudzi cię co rano przy goleniu zwykłe lustro, z którego patrzy na ciebie ktoś skazany na wieczną leworęczność? Czy nie szkoda zachodu, skoro w tej sali nie mają ci nic więcej do powiedzenia, i czy nie zostało to powiedziane w tym tylko celu, byś w inny sposób spojrział na całą resztę, na gabloty, instrumenty, które udają, że pragną

uczcić pierwociny oświeceniowej fizyki i chemii?

Skórzana maska ochronna do doświadczeń ze spalaniem. Czy rzeczywiście? Czy naprawdę ten pan od świec pod kloszem zakładał tę maseczkę szczura rynsztokowego, to przybranie pozaziemskiego najeźdźcy, aby nie podrażnić sobie oczu? *Oh, how delicate, doctor Lavoisier*. Jeśli chciał badać kinetyczną teorię gazu, po co rekonstruował tak drobiazgowo małą eolipilę, ten dzbanek na kuli, który po podgrzaniu obraca się, rzygając parą, skoro pierwszą taką banię zbudował Heron w czasach gnozy jako substytut mówiących posągów i innych sztuczek znanych egipskim kapłanom?

A co to za aparat do badania fermentacji gnilnej, z 1789 roku, piękna aluzja do cuchnących bękartów Demiurga? Ciąg szklanych rurek, które z baniastej macicy przechodzą przez kule i przewody, wsparte na widełkach między dwiema ampułkami, i z jednej do drugiej przenoszą jakąś esencję poprzez węzownice prowadzące donikąd... Fermentacja gnilna? *Balneum Mariae*, sublimacja *hydrargyrum*, *mysterium coniunctionis*, wytwarzanie Elik siru!

A maszyna do badania fermentacji (znowu) wina? Układ kryształowych łuków prowadzi od atanoru do atanoru, wychodząc z jednego alembiku, by skończyć w innym? A to *lorgnon*, a maleńka klepsydra, maleńki elektroskop, soczewka, nożyk laboratoryjny przypominający znak pisma klinowego, szpachelka z dźwignią odrzucającą, szklana płytką, trzycentymetrowy tygielek z ogniotrwałej glinki do wytworzenia homunkulusa na miarę gnoma, maciupka macica do drobniutkich skurczów klonicznych, mahoniowe szkatułki wypełnione białymi paczuszkami, jakby kapsułkami wioskowego aptekarza, owiniętymi w pergamin prążkowany niezrozumiałym pi-

smem, a zawierającymi okazy mineralogiczne (oznajmia się nam), w istocie zaś fragmenty całunu Bazylidesa, relikwiarze z napletkiem Hermesa Trismegistusa, długi, wysmukły młotek tapicerski do wybicia początku króciutkiego dnia sądu, pałeczka kwintesencji do rozpylenia wśród maleńkiego ludu elfów z wyspy Avalon i niewypowiedzianie mały aparat do analizy spalania olejów, szklane kuleczki ułożone jak czterolistna koniczyna, dalsze czteroliście połączone ze sobą złotymi rurkami i czteroliście do innych rurek, kryształowych, te zaś do miedzianego cylindra, a następnie – prosto w dół – inny cylinder, ze złota i szkła, i dalsze rurki, w dół, zwieszające się wyrostki, jądra, gruczoły, narośle, grzebienie... I to ma być nowoczesna chemia? I z tego powodu trzeba było zgilotynować autora, choć niczego się w ten sposób nie tworzy i niczego nie niszczy? Czy też zabito go, by milczał o tym, co udając, ujawniał, jak Newton, który tyle skrzydeł nam przypiął, ale nadal medytował nad Kabałą i esencjami jakościowymi?

Sala Lavoisiera w Conservatoire to spowiedź, zaszyfrowane orędzie, epitoma całego konserwatorium, drwina z puszczenia się myśli mocnej nowoczesnym rozumem, podszept jakichś innych tajemnic. Jacopo Belbo miał rację. Rozum był w błędzie.

Spieszyłem się, czas naglił. Oto metr, kilogram, miary – fałszywe rękojmie rękojmi. Nauczyłem się od Agliègo, że sekret piramid odsłania się, jeśli mierzysz je nie w metrach, tylko w dawnych cubitusach. Oto maszyny arytmetyczne, fikcyjny triumf ilości, a w istocie obietnica zakrytych przymiotów liczb, powrót do źródeł Notarikonu rabinów uciekających przez pustkowia Europy. Astronomia, zegary, automaty – bia-

da mi, jeśli zabawię dłużej wśród tych nowych objawień! Przenikałem do sedna tajemnego orędzia w formie racjonalistycznego *theatrum*, naprzód, później, między zamknięciem a północą, zbadałem te przedmioty, które w skośnym świetle zmierzchu okazywały swoje prawdziwe oblicza – postaci, nie zaś narzędzi.

Dalej, przez sale rzemiosł, energii, elektryczności, w tych gablotach nie zdołałem się schować. W miarę jak odkrywałem lub przeczuwałem sens tych sekwencji, ogarniał mnie lęk, że nie starczy mi czasu, by znaleźć kryjówkę i asystować przy nocnym objawieniu ich sekretnej racji. Pędziłem teraz jak człowiek tropiony – przez zegar i okropne wzrastanie liczby. Ziemia wirowała nieubłaganie, nadchodziła godzina, wkrótce już mnie wypędzą.

Aż wreszcie minąłem galerię z urządzeniami elektrycznymi i dotarłem do sali szkieł. Jaka logika sprawiła, że pośród najbardziej postępowych, kosztownych i nowoczesnych aparatów znalazł się obszar przeznaczony dla praktyk znanych od tysięcy lat Fenicjanom? Sala boczna kryła chińską porcelanę i androgyniczne wazy Lalique'a, garncarstwo, majoliki, fajanse, kryształy z Murano, a w głębi, w ogromnej gablocie – trójwymiarowego i naturalnej wielkości lwa, który zabijał węża. Oczywistym powodem, dla którego ta grupa się tu znalazła, był fakt, że w całości wykonano ją z topionego szkła, ale powód symboliczny musiał być inny... Próbowałem dojść do tego, gdzie już towarzyszył mi ten obraz. Po chwili przypomniałem sobie. Demiurg, odrażający twór Sophii, pierwszy archont Jaldabaoth, odpowiedzialny za świat i jego nieusuwalny defekt, miał kształt węża i lwa, a oczy świeciły mu blaskiem ognia. Być może całe Conservatoire było wizerunkiem

haniebnego procesu, przez który od pełni pierwszej zasady, Wahadła, i od oślepiającego blasku Pleromy, z eonu w eon, Ogdoada się łuszczy i osiąga kosmiczne królestwo, gdzie włada Zło. Ale w takim razie ten wąż i lew mówiły mi, że moja wyprawa inicjacyjna – chociaż prowadzona *à rebours* – dobiegła końca i wkrótce już ujrzę świat nie taki, jaki powinien być, ale taki, jaki jest.

I rzeczywiście zauważyłem, że w prawym kącie, przy oknie, stoi budka Periscope. Wszedłem do środka. Znalazłem się przed szklaną płytą, jakby na mostku kapitańskim, i zobaczyłem ruchome obrazy filmu, bardzo nieostre: widok miasta. Potem spostrzegłem, że obraz padał z innego ekranu, umieszczonego nad moją głową, ale tam był odwrócony; ten drugi ekran to okular zwykłego peryskopu, sporządzonego, by tak rzec, z dwóch tub osadzonych pod kątem rozwartym oraz dłuższej tuby wystającej poza budkę nad moją głową i dochodzącej za moimi plecami do wysoko umieszczonego okna, przez które, z pewnością dzięki wewnętrznemu układowi soczewek zapewniającemu szeroki kąt widzenia, przechwytywała obrazy z zewnątrz. Obliczywszy trasę, jaką się wspinałem, doszedłem do wniosku, że peryskop pozwala mi wyglądać na zewnątrz, tak jakbym patrzył przez najwyżej umieszczone witraże absydy Saint-Martin – jakbym patrzył zawieszony na Wahadle: ostatnia wizja wisielca. Wyostrzyłem ten byle jaki obraz; widziałem teraz rue Vaucanson, na którą wychodził chór, i rue Conté, która stanowiła idealne przedłużenie nawy. Rue Conté wychodziła na rue Montgolfier po lewej stronie i na rue de Turbigo po prawej, przy czym na obu rogach były bary, „Le Week End” oraz „La Rotonde”, a na wprost znajdowała się fasada z napisem,

który z trudem odcyfrowałem, LES CREATIONS JACSAM. Peryskop. Wcale nie tak oczywisty w sali szkła zamiast w sali instrumentów optycznych; znak, że zwiedzając od wejścia, przy tym ukierunkowaniu, należało dotrzeć właśnie do tego miejsca. I mimo to nie rozumiałem powodów takiego wyboru. Po co ta pozytywistyczna i wzięta prosto z powieści Verne'a kabina obok symbolicznej przynęty w postaci lwa i węża?

Tak czy inaczej, jeśli starczy mi siły i odwagi, żeby wytrwać tu jeszcze kilkadziesiąt minut, być może strażnik mnie nie zobaczy.

I tkwiłem w tej łodzi podwodnej, chociaż czas włókł się bez końca. Słyszałem kroki zapóźnionych zwiedzających, potem kroki ostatnich strażników. Kusilo mnie, żeby skulić się pod mostkiem i w ten sposób lepiej ukryć przed ewentualnym pobieżnym zerknięciem, ale powstrzymałem się, bo gdyby mnie znaleziono stojącego, mógłbym udawać, że jestem roztargnionym gościem, który raduje się jeszcze cudami ludzkiej myśli.

Wkrótce potem zgasły światła i sala pogrążyła się w półmroku, w budce natomiast było teraz jaśniej, gdyż oświetlało ją wątle światło padające z ekranu, od którego nie odrywałem wzroku; stanowił wszak mój ostatni kontakt ze światem.

Ostrożność wymagała, bym wytrwał w pozycji stojącej, a gdyby nogi mnie rozbolały, przycupnięty – przez co najmniej dwie godziny. Godzina zamknięcia dla zwiedzających nie pokrywa się z godziną wyjścia pracowników. Przestraszyłem się na myśl o sprzątaniu; co będzie, jeśli teraz zaczną sprzątać centymetr po centymetrze wszystkie sale? Potem



doszedłem do wniosku, że skoro rano muzeum otwierają późno, widocznie obsługa pracuje przy świetle dziennym, nie zaś wieczorem. Tak właśnie musiało być, przynajmniej na górnych piętrach, gdyż nie słyszałem, żeby ktokolwiek przechodził. Jedynie odległe odgłosy, jakiś nagły dźwięk, może trzaśnięcie drzwiami. Musiałem trwać w bezruchu. Zdażę przejść do kościoła między dziesiątą a jedenastą, być może później, ponieważ Panowie przybędą dopiero przed północą.

W tym momencie z „La Rotonde” wychodziła grupa młodzieży. Jakaś dziewczyna przeszła na drugą stronę rue Conté i skręciła w rue Montgolfier. Nie była to strefa zbyt uczęszczana; czy wytrzymam, patrząc przez wiele godzin na mdły świat za moimi plecami? Skoro jednak jest tu peryskop, czyż nie powinien słać mi meldunków mających jakieś tajemne znaczenie? Poczułem ucisk w pęcherzu; nie trzeba o tym myśleć, to nerwowe.

Ile rzeczy przychodzi ci do głowy, kiedy jesteś sam, ukryty w peryskopie! Takiego samego wrażenia musi doznawać ktoś, kto chowa się w ładowni statku, żeby popłynąć do dalekich krajów. Ostatecznym celem byłaby Statua Wolności z panoramą Nowego Jorku. Może lepiej, żeby zmorzył mnie sen? Nie, mógłbym obudzić się za późno...

Najbardziej trzeba się wystrzegać ataku trwogi, tej pewności, że za chwilę zaczniesz krzyczeć. Peryskop, łódź podwodna uwięziona na dnie, być może dokoła krążą już wielkie czarne ryby głębinowe, a ty ich nie widzisz, jesteś samotny i zaczyna ci brakować powietrza...

Kilkakrotnie odetchnąłem głęboko. Koncentracja. Jedyną rzeczą, która cię w takim momencie nie zdradzi, jest wykaz bielizny oddanej do pralni. Wrócić między fakty, wyliczać je,

wyłuskiwać przyczyny, skutki. Znalazłem się w tym punkcie z tej oto przyczyny i z jeszcze jednej...

Pojawiły się wspomnienia, wyraziste, dokładne, uporządkowane. Wspomnienia trzech ostatnich burzliwych dni, potem dwóch ostatnich lat, przemieszane ze wspomnieniami sprzed czterdziestu lat, w takiej postaci, w jakiej je odkryłem, gwałcąc elektroniczny mózg Jacopa Belbo.

Wspominam (i wspominałem), żeby nadać jakiś sens nieudanemu dziełu stworzenia. Teraz, podobnie jak tamtego wieczoru w peryskopie, kulę się w odległym punkcie umysłu, by wydobyć z niego opowieść. Jak Wahadło. Diotallevi powiedział mi, że pierwszą sefirą jest Keter, Korona, początek, pierwotna pustka. Stworzył najpierw punkt, który stał się Myślą, i tam nakreślił wszystkie figury... Był i nie był, zamknięty w imieniu i wymykający się imieniu, a jedynym jego nazwaniem było jeszcze „Kto?”, czyste pragnienie, by zostać nazwanym imieniem... Na początek nakreślił znaki w aurze, mroczny żar dobył się z jego najtajniejszej głębi jako bezbarwna chmura, która daje kształt temu, co bezkształtne, a ledwie zaczęła się rozszerzać, w jej środku uformowało się źródło płomieni, które wylały się, by oświetlić niższe *sefirot*, coraz niższe, aż po Królestwo.

Ale być może w tym simsum, w tym cofnięciu, w tej samotności - mówił Diotallevi - tkwiła już obietnica *tikkun*, obietnica powrotu.

2

CHOCHMA

In hanc utilitatem clementes angeli saepe figuras, characteres, formas et voces invenerunt proposueruntque nobis mortalibus et ignotas et stupendas nullius rei iuxta consuetum linguae usum significativas, sed per rationis nostrae summam admirationem in assiduam intelligibilium pervestigationem, deinde in illorum ipsorum venerationem et amorem inductivas.

Johannes Reuchlin, *De arte cabalistica*,  
Hagenhau 1517, III

Było to dwa dni wcześniej. Tego czwartku wylegiwałem się w łóżku i nie mogłem się przemóc, żeby wstać. Przyjechałem poprzedniego popołudnia i zadzwoniłem do wydawnictwa. Diotallevi był nadal w szpitalu, a Gudrun ogarnął nastrój pesymizmu: ciągle tak samo, a więc coraz gorzej. Nie miałem dość odwagi, by go odwiedzić.

Natomiast Belba nie było w biurze. Gudrun powiedziała mi, że zadzwonił i oznajmił, iż musi wyjechać w sprawach rodzinnych. Co za rodzina? Dziwne, że zabrał edytor tekstu – Abulafię, jak go teraz nazywał – wraz z drukarką. Gudrun wyjaśniła, że zainstalował edytor w domu, żeby dokończyć jakąś pracę. Po co tyle zachodu? Nie mógł pisać na miejscu?

Poczułem się jak bezdomny. Lia miała wrócić z dzieckiem dopiero w przyszłym tygodniu. Poprzedniego wieczoru wstąpiłem do Piladego, ale nikogo nie zastałem.

Obudził mnie telefon. Był to Belbo, którego głos dochodził jakby z daleka, zmieniony.

– Co tam? Skąd pan dzwoni? Uznałem pana za zaginionego w Libii w jedenastym...

– Niech pan nie żartuje, Casaubon, chodzi o poważną sprawę. Jestem w Paryżu.

– W Paryżu? Przecież to ja miałem tam jechać! To ja

muszę wreszcie zwiedzić Conservatoire!

- Raz jeszcze proszę, by pan nie żartował. Jestem w budce... nie, właściwie w barze, nie wiem, czy mogę prowadzić długie rozmowy...

- Jeśli z powodu braku żetonów, proszę zamówić *collect call*. Nie zamierzam się stąd ruszać.

- Nie chodzi o żetony. Jestem w tarapatach. - Zaczął mówić szybko, żebym nie mógł mu przerwać. - Plan. Plan jest autentyczny. Tylko proszę nie mówić, że to oczywiste. Szukają mnie.

- Ale kto? - Trudno mi było w pierwszej chwili domyślić się, o kogo mu chodzi.

- Templariusze. Na Boga, Casaubon, wiem, że mi pan nie uwierzy, ale wszystko było prawdą. Myślałem, że mam mapę, dopadli mnie, zmusili do przyjazdu tutaj. Chcą, żebym w sobotę o północy znalazł się w Conservatoire, w sobotę, pojmuje pan, w noc świętojańską... - Mówił chaotycznie i nie byłem w stanie nadażyć za tokiem jego myśli. - Nie chcę tam iść, uciekam, Casaubon, bo mnie zabiją. Trzeba zawiadomić De Angelisa - nie, to nic nie da - błagam, tylko żadnej policji...

- No więc co?

- No więc sam nie wiem, proszę odczytać dyskietki na Abulafii, w tych dniach wszystko na nich zapisywałem, nawet to, co się stało w ciągu ubiegłego miesiąca. Pana nie było, nie wiedziałem, komu o tym opowiedzieć, wprowadzałem więc informacje do pamięci przez trzy dni i noce... Proszę posłuchać. W biurze, w szufladzie mojego biurka, znajdzie pan kopertę z dwoma kluczami. Duży jest od domu na wsi, mały do mieszkania mediolańskiego. Niech pan tam pójdzie i przeczyta wszystko, a potem sam zdecyduje, czy trzeba to

wyjawić. O Boże, nie wiem już, co robić...

- No dobrze, przeczytam. Ale gdzie potem pana znajdę?

- Nie wiem, zmieniam co noc hotel. Powiedzmy, że zrobi pan to dzisiaj i będzie czekał u mnie jutro rano, spróbuję znowu zadzwonić, jeśli tylko się uda. O Boże, hasło...

Usłyszałem jakiś hałas. Głos Belba przybliżał się i oddalał ze zmiennym natężeniem, jakby ktoś próbował wyrwać mu słuchawkę.

- Belbo! Co się dzieje?

- Znaleźli mnie, hasło...

Suchy trzask, jakby wystrzał. Pewnie słuchawka spadła i stuknęła o ścianę albo półeczkę pod telefonem. Zamieszanie. Potem odgłos odwieszanej słuchawki. Z pewnością nie ręką Belba.

Natychmiast wziąłem prysznic. Musiałem się rozbudzić. Nie rozumiałem, co się dzieje. Plan okazał się autentyczny? Co za bzdura, przecież sami go wymyśliliśmy. Kto porwał Belba? Różokrzyżowcy, hrabia de Saint-Germain, Ochra, rycerze Świątyni, asasyni? W punkcie, w jakim znalazły się sprawy, wszystko stało się możliwe, jako że wszystko było nieprawdopodobne. Być może Belbowi rzuciło się na mózg, ostatnio żył w takim napięciu, nie mogłem dojść, czy za sprawą Lorenzy Pellegrini, czy też dlatego, że coraz bardziej fascynował go własny twór; prawdę mówiąc, Plan był wspólny, mój, jego, Diotalleviego, ale właśnie Belbo wciągnął się w to ponad wszelką miarę, wyszedł poza granice zabawy. Dalsze domysły na nic się nie zdadzą. Pojechałem do wydawnictwa. Gudrun przywitała mnie kwaśnymi uwagami, niezadowolona, że teraz sama musi prowadzić firmę. Poszedłem do biura, znalazłem kopertę, klucze i pobiegłem do mieszka-

nia Belba.

Zapach zamkniętego pomieszczenia, stosy niedopałków w popielniczkach, zlew w kuchni z górą brudnych talerzy, kubek na śmieci pełen pustych puszek po konserwach. Na podwyższeniu w pokoju do pracy trzy opróżnione butelki po whisky, w czwartej jeszcze na dwa palce alkoholu. Tak wygląda mieszkanie człowieka, który przez dwa ostatnie dni nie wychodził, jedząc, co miał pod ręką, pracując jak szalony, jak zaczadzony.

Całe mieszkanie składało się z dwóch pokoiów; sterty książek we wszystkich kątach, na półkach, które uginały się pod ich ciężarem. Od razu rzucił mi się w oczy stół z komputerem, drukarka i pudełka z dyskietkami. Trochę obrazów na niewielkiej przestrzeni niezajętej przez półki, a na wprost stołu siedemnastowieczna rycina, starannie oprawiona reprodukcja, alegoria, której nie zauważyłem miesiąc temu, kiedy przyszedłem napić się piwa przed wyjazdem na wakacje.

Na stole fotografia Lorenzy Pellegrini z dedykacją wypisaną drobnym i trochę dziecinnym pismem. Podobizna przedstawiała jedynie twarz, ale zbiło mnie z tropu spojrzenie, samo spojrzenie. W odruchu delikatności (czy zazdrości?) odwróciłem zdjęcie, nie czytając dedykacji.

Leżało tam też trochę papierów. Zacząłem rozglądać się za czymś interesującym, ale były to tylko prospekty, złożone w harmonijkę zapowiedzi wydawnicze. Wśród tych dokumentów znalazłem jednak wydruk pliku, sądząc po dacie, z czasów pierwszych eksperymentów z edytorem tekstu. Rzeczywiście, w tytule było słowo „Abu”. Pamiętałem prawie dziecinnie entuzjizm Belba, jęki Gudrun, ironiczne uwagi

Diotallewiego, kiedy Abulafia pojawił się w wydawnictwie.

„Abu” stał się bez wątpienia osobistą odpowiedzią Belba ciśniętą oszczercom, żakowskim figlem neofity, ale niejedno też mówił o kombinatorycznej zaciekłości, z jaką Belbo rzucił się na urządzenie. On, który, wykrzywając wargi w bladym uśmiechu, twierdził zawsze, że odkąd odkrył, iż nie może być protagonistą, postanowił zostać inteligentnym widzem – po co pisać, jeśli nie ma się poważnych powodów, lepiej już pisać na nowo książki innych, co właśnie czyni dobry redaktor w wydawnictwie – znalazł w tym urządzeniu rodzaj środka halucynogennego i począł przebiegać palcami po klawiaturze, jakby odgrywał wariacje na temat *Petit Montagnard* na starym domowym pianinie, nie lękając się, że ktoś go będzie oceniał. Nie zamierzał tworzyć; on, tak lękający się pisania, wiedział, że nie jest to tworzenie, lecz dowód elektronicznej sprawności, rodzaj ćwiczenia gimnastycznego. Ale zapominając o zwykłych swoich urojeniach, odnajdywał w tej zabawie jakby formułę właściwego pięćdziesięciolatkowi powrotu do młodości. W każdym razie, i na wszelkie sposoby, jego wrodzony pesymizm, jego trudne obrachunki z przeszłością roztapiały się w dialogu z pamięcią nieorganiczną, obiektywną, posłuszną, nieodpowiedzialną, stranzystorowaną, tak po ludzku nieludzką, że pozwalała mu zapominać o nękającym go bólu istnienia.

---

---

NAZWA PLIKU: Abu

---

---

O, cóż za piękny poranek kończącego się listopada, na początku było słowo, wyśpiewaj mi, o bogini Pelidy Achillesa białogłowy rycerze oręż miłości. Kropka i sam wróć do początku. Próbuj, próbuj, próbuj parakalò parakalò, weź odpowiedni program i twórz anagramy, jeśli napisałeś całą powieść o bohaterze z Południa, który nazywa się Rhett Butler, i kapryśnej dziewczynie, która nazywa się Scarlett, a później pożałowałeś, wystarczy rozkaz, i Abu zmieni wszystkich



Rhettów Butlerów na książąt Andrzejów, a Scarlett na Nataszę, Atlantę na Moskwę, i w ten sposób napisałeś wojnę i pokój.

Abu, zrób teraz tak: wystukuję to zdanie, daję Abu rozkaz zastąpienia każdego „a” przez „akka” i każdego „o” przez „ulla” i wychodzi z tego fragment prawie po fińsku.

Akkabu zrób: terakkaz takkak: wystukuję tulla zdakkanie, dakkaję Akkabu rulazkakkaz zakkastąpieniakka kakkażdegulla „akka” przez „akkakkakka” i kakkażdegulla „ulla” przez „ullakka” i wychulladzi z tegulla frakkagment prakkawie pulla fińsku.

O radości, o upojeniu różnorodnością, o mój idealny czytelniku/pisarzu cierpiący na idealną bezsenność, o przebudzenie finnegan, o powabna i chorobliwa bestio. Nie pomaga ci myśleć, ale pomaga ci myśleć za niego. Maszyna bez reszty duchowa. Jeśli piszesz gęsim piórem, musisz skrobać mozolnie po kartach i co chwila maczać pióro, myśli nakładają się jedna na drugą i nie nadążasz, jeśli wystukujesz na maszynie do pisania, czcionki blokują się, nie możesz dotrzymać szybkości swojej synapsie, wszystko w niezdarnym rytmie urządzenia mechanicznego. Przy nim (niej) natomiast palce puszczają wodze fantazji, umysł muska klawiaturę, unosi się na połączonych skrzydłach, surowy rozum krytyczny medytuje wreszcie nad szczęściem z tego, co jest od razu.

Io to corobię, biorę ten blok treatologii ortigrificznych i rozkaz maszyn zkdo waćje iwpr dzić do pamięci oprcjne a potem zte go limbus na ekran tuż pomiże.

Oto uderzałem na oślep, a teraz wzięłem ten blok teratologii ortograficznych i rozkazałem maszynie powtórzyć te błędy tuż poniżej, ale tym razem poprawiłem je i wreszcie ukazuje się całkowicie czytelny, doskonały, z kosza na śmieci wy dobyłem Słownik Akademii.

Mógłbym zmienić zdanie i wyrzucić pierwszy blok; zostawiam go jedynie po to, żeby pokazać, jak na tym ekranie mogą współlistnieć byt i byt konieczny, przypadkowość i konieczność. Mógłbym jednak usunąć wstydlivy blok, z tekstu widocznego, ale nie z pamięci, tworząc w ten sposób archiwum rzeczy usuniętych, odbierając freudystom wszystkojedzącym i wirtuozom wariantów upodobanie do domysłów i biegłość, i akademicką chwałę.

Lepsza niż pamięć prawdziwa, gdyż ta ostatnia za cenę ciężkich ćwiczeń uczy się zapamiętywać, ale nie zapominać. Diotallevi staje się po sefardyjsku oszalały na punkcie tych pałaców z wielkimi schodami i posągiem wojownika, który popełnia odrażający czyn na bezbronnej niewieście; potem korytarze i setki pokojów, każdy z wizerunkiem jakiejś cudowności, nagle zjawy, niepokojące wydarzenia, ożywione mumie i z każdym jakże pamiętnym obrazem kojarzysz myśl, kategorię, element kosmicznego sprzętu, po prostu sylogizm, potworny sorites, łańcuchy apoftegmatów, kolie hypallage, róże zeugm, tańce hysteron-proteron, logoi apofantikoi, hierarchie stoikea, procesje ekwinokcium, paralaksy, herbarze, genealogie gimnosofistów – i dalej w nieskończoność – o Rajmundzie, o Kamilu, którym wystarczyło sięgnąć umysłem do waszych wizji, a zaraz odtwarzaliście wielki łańcuch istnienia, w *love and joy*, albowiem wszystko, co z wszechświata podsuwa się waszemu umysłowi, zawarło się już w jednym woluminie i Proust wzbudziłby wasz uśmiech. Ale kiedy z Diotallevim myśleliśmy

o skonstruowaniu *ars oblivionalis*, nie zdołaliśmy znaleźć reguł zapomnienia. To daremne, możesz wyruszyć na poszukiwanie straconego czasu, idąc za nie-trwałymi tropami jak Tomcio Paluch w lesie, ale nie zdołasz rozmyślnie zgubić odnalezionego czasu. Tomcio Paluch zawsze wraca niby obsesja. Nie istnieje technika zapominania, nadal tkwimy na etapie przypadkowych procesów naturalnych – uszkodzenie mózgu, amnezja albo prymitywna improwizacja, bo ja wiem, podróż, alkohol, kuracja snem, samobójstwo.

Natomiast Abu może zaproponować ci nawet małe lokalne samobójstwa, chwilowe amnezje, bezbolesne afazje.

*Gdzie byłaś wczoraj wieczorem, L.*

Otóż, niedyskretny czytelniku, nigdy się tego nie dowiesz, ale ta przerwana linia powyżej, która zwraca się ku pustce, była właśnie początkiem długiego zdania, które napisałem, ale potem usunąłem (a wolałbym, żeby nie zostało nawet pomyślane), chciałbym bowiem, by to, co napisałem, nawet się nie wydarzyło. Wystarczył jeden rozkaz i już mleczna piana rozlała się po feralnym i niepożądanym bloku; przycisnąłem „cancel” i pssst, wszystko zniknęło.

Ale to nie wystarczy. Tragedia samobójcy polega na tym, że ledwie wyskoczy się z okna, między siódmym a szóstym piętrem człowiek myśli: „Ach, gdybym mógł wrócić!” Nic z tego. To się nigdy nie udało. Bęc. Natomiast Abu jest pobłażliwy, umożliwia skruchę, możesz odzyskać wymazany tekst, jeśli wystarczająco wcześnie się zdecydujesz i przyciśniesz „recovery”. Co za ulga. Jeśli tylko wiesz, że możesz sobie przypomnieć, kiedy zechcesz, natychmiast zapominaś.

Nigdy już nie ruszę po barach, by unicestwić nieprzyjacielskie okręty świetlistymi pociskami, dopóki potwór nie unicestwi ciebie. Tutaj jest piękniej, dezintegrujesz myśli. To galaktyka złożona z milionów asteroid, ustawionych w rzędek, białych albo zielonych, a ty właśnie je tworzysz. Fiat Lux, Big Bang, siedem dni, siedem minut, siedem sekund i oto rodzi się na twoich oczach wiecznie rozpadający się wszechświat, gdzie nie istnieją nawet ściśle linie kosmologiczne i więzy czasowe, poza *numerus clausus*, tutaj można nawet cofać się w czasie, znaki wylaniają się lub ukazują na nowo jakby nigdy nic, przychodzą z nicości i posłusznie do niej wracają, a kiedy przyzywasz, łączysz, wymazujesz, roztopiają się i tworzą ektoplazmę w przeznaczonym im miejscu; to podmorska symfonia sprzęgania i łagodnych zerwań, galaretowaty taniec autofagicznej komety, szczupak z Yellow Submarine, naciśnij opuszką palca, a nieodwracalnie zaczyna ześlizgiwać się wstecz ku żarłocznemu słowu i znika w jego gardzieli, ona wsysa i swrrrlurp, ciemność, jeśli nie zatrzymasz się, samo siebie pożre i utuczy się swoją nicością niby czarna jama z Cheshire.

A jeśli wpiszesz coś wstydliviego, wszystko pozostaje na dyskietce, ty zaś umieszczasz na tejże dyskietce hasło i nikt nie zdoła już cię odczytać, to wyśmienite dla tajnych agentów, w jakimś bezpiecznym miejscu zapisujesz jakiś meldunek, a potem chowasz dysk do kieszeni i nie zwracasz sobie tym więcej głowy, nawet Torquemada nigdy nie zdoła się dowiedzieć, co zapisałeś; tylko ty i on (On?). Załóżmy nawet, że cię torturują; wtedy udajesz, że chcesz wyznać

i wystukać hasło, a tymczasem naciskasz ukryty przycisk i informacja jest wymazana.

Och, zapisałem coś, dotknąłem przez pomyłkę kciukiem i wszystko zniknęło. Co to było? Już nie pamiętam. Wiem, że nie wyjawilem żadnego Orędzia. Ale kto wie, czy później.

---

Kto próbuje wniknąć w Różę filozofów, nie mając klucza, jest jak człowiek, który chce chodzić, chociaż nie ma nóg.

Michael Maier, *Atalanta Fugiens*,  
De Bry, Oppenheim 1618, emblemata XXVII

Poza tym nie leżało nic na wierzchu. Trzeba poszukać na dyskietchach. Uporządkowane były według numerów, pomyślałem więc, że wszystko jedno, od której zacznę, mogę od pierwszej. Ale Belbo wspomniał o hasle. Zawsze zazdrośnie strzegł sekretów Abulafii.

Rzeczywiście, ledwie wprowadziłem do komputera dyskietkę, zobaczyłem pytanie: „Czy masz hasło?” Sformułowanie odbiegające od trybu rozkazującego, jako że Belbo jest człowiekiem dobrze wychowanym.

Maszyna nie chce współpracować, wie, że ma uzyskać hasło, hasła nie ma, więc milczy. Jakby mówiła: „Tylko pomyśl, to, co chcesz wiedzieć, przechowuję w moich trzewiach, ale skrob sobie, skrob, stary durniu, niczego się nie doskrobiesz”. „To się jeszcze okaże – powiedziałem sobie – z takim upodobaniem zabawiałeś się z Diotallevim permutacjami, byłeś Samem Spade’em edytorstwa, jakby powiedział Jacopo Belbo, znajdę więc sokoła maltańskiego”.

W Abulafii hasło mogło być siedmioliterowe. Ile permutacji siedmioliterowych da się utworzyć z dwudziestu pięciu liter alfabetu, uwzględniając również powtórzenia, nie ma bowiem powodów, by tym słowem nie mogło być „kadabra”? Jest na to wzór, który daje sześć miliardów z groszami. Gdybym nawet miał gigantyczny kalkulator, który tworzyłby

sześć miliardów permutacji w ciągu milionowej części sekundy, musiałbym jeszcze wprowadzić je do Abulafii pojedynczo w celu wypróbowania, a wiedziałem, że Abulafia potrzebuje mniej więcej dziesięciu sekund, żeby zażądać, a następnie zweryfikować hasło. Tak więc w grę wchodziło sześćdziesiąt miliardów sekund. Zważywszy, że w roku mieści się trochę ponad trzydzieści jeden milionów sekund, niechby trzydzieści dla równego rachunku, praca ta zajęłaby około dwóch tysięcy lat. Nieźle.

Trzeba oprzeć się na domysłach. Jakież słowo mógł wynaleźć Belbo? Przede wszystkim, czy wymyślił je na samym początku, kiedy zaczął używać maszyny, czy też zmienił w ostatnich dniach, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że na dyskietkach znalazł się materiał wybuchowy i że zabawa przestała być zabawą, w każdym razie dla niego? Byłoby wówczas całkiem inne.

Lepiej postawić na tę drugą hipotezę. Belbo czuł, że Plan go osacza; wziął Plan na serio (to bowiem dał mi do zrozumienia przez telefon), a zatem pomyślał o jakimś słowie związanym z naszą historią.

A może nie: słowo powiązane z Tradycją mogło także Im przyjść do głowy. Przez moment pomyślałem, że być może wtargnęli już do tego mieszkania, skopiowali dyskietki i w tej chwili wypróbują wszystkie możliwe kombinacje gdzieś w zapadłym zakątku. Najwyższy Kalkulator w jakimś zamku w Karpatach.

„Co za głupota - powiedziałem sobie - przecież to nie są ludzie od kalkulatora, posłużyliby się Notarikonem, Gematrią, Temurą, podchodząc do dyskietek jak do Tory. I poświęciliby na to tyle czasu, ile minęło od ustalenia tekstu

*Sefer Jecira*. Ale nie można przejść do porządku dziennego nad tym domysłem. Jeśli Oni rzeczywiście istnieją, poszliby za inspiracją kabalistyczną, a skoro Belbo przekonał się, że istnieją, wybrał być może taką samą drogę”.

Dla uspokojenia sumienia wypróbowałem dziesięć *sefirot*: Keter, Chochma, Bina, Chesed, Gewura, Tiferet, Necach, Hod, Jesod, Malchut, i dla pełnego rachunku dołożyłem jeszcze Szechinę... Nic z tego, to oczywiste, chodziło wszak o pomysł, który mógł przyjść do głowy każdemu.

A jednak hasło musiało być czymś oczywistym, czymś, co przychodziło na myśl prawie siłą rzeczy, kiedy bowiem pracujesz nad jakimś tekstem, i to w sposób obsesyjny, jak musiał pracować Belbo przez ostatnie dni, nie jesteś w stanie uwolnić się od tego świata terminów, w którym się obracasz. Jest rzeczą nieludzką sądzić, że szalał na punkcie Planu, a przyszedł mu do głowy, bo ja wiem, Lincoln albo Mombasa. Musiało to być coś związanego z Planem. Ale co?

Próbowałem wniknąć w procesy myślowe Belba, który piął, paląc papierosa za papierosem, pijąc i rozglądając się dokoła. Poszedłem do kuchni i nalałem sobie ostatnie krople whisky do jedynej czystej szklaneczki, jaką znalazłem, wróciłem do pokoju, rozparłem się na krześle, położyłem nogi na stole (czyż nie tak robił Sam Spade - a może nie, może to Marlowe?) i zacząłem się rozglądać. Książki znajdowały się zbyt daleko i nie byłem w stanie odczytać tytułów na grzbietach.

Przełknąłem ostatni łyk whisky, przymknąłem oczy, znowu je otworzyłem. Przede mną siedemnastowieczna rycina. Była to typowa różokrzyżowcowa alegoria z tego okresu, bogata w zakodowane przekazy, zabiegająca o członków bractwa.

Przedstawiała świątynię różokrzyżowców; widać było wieżę zwieńczoną kopułą zgodnie z odrodzeniowym modelem ikonograficznym, chrześcijańskim i judaistycznym, który Świątynię Jerozolimską nakazywał rekonstruować na wzór meczetu Umara.

Pejzaż wokół wieży był nedorzeczny i nedorzecznie zagospodarowany, jak to zdarza się w tych rebusach, gdzie widać jakiś pałac, na pierwszym planie żabę, osiodłanego muła, króla przyjmującego dar od pazia. Tutaj po lewej stronie u dołu jakiś szlachcic wyłaził ze studni, czepiając się kołowrotu umocowanego za pomocą nedorzecznych wielokrążków - przez koliste okno - do jakiegoś punktu wewnątrz wieży. W centrum rycerz i przechodzień, po prawej klęczący pielgrzym, który wspierał się na wielkiej kotwicy niby na pielgrzymim kijku. Po prawej stronie, prawie naprzeciwko wieży, skalista turnia, z której spadała jakaś postać ze szpadą, po stronie zaś przeciwległej, w perspektywie, Ararat i arka zakotwiczona na szczycie. U góry, w obu rogach, dwa obłoki, każdy rozjaśniony gwiazdą, która rzucała na wieżę skośne promienie, a wzdłuż tych promieni lewitowały dwie postacie, jedna goła, uwięziona w splotach węża, a drugą był łąbędź. Pośrodku, także u góry, zwieńczony słowem *oriens* nimb, na który nałożono hebrajski napis i z którego wystawała ręka Boga trzymająca na sznurku wieżę.

Wieża poruszała się na kołach, pierwszy poziom miała kwadratowy, okna, drzwi, most zwodzony na prawej ścianie, a wyżej rodzaj galerii z czterema wieżyczkami obserwacyjnymi, przy czym na każdej stał zbrojny z tarczą (opisaną piśmem hebrajskim), który wymachiwał gałązką palmową. Ale

tych zbrojnych widać było tylko trzech, czwartego należało się domyślać za bryłą oktogonalnej kopuły, na której wznosiła się latarnia, również ośmiokątna; z niej zaś sterczała para olbrzymich skrzydeł. Powyżej następna, mniejsza kopuła z czterokątną wieżyczką, utworzona z wielkich łuków wspartych na wątych kolumnach i ukazująca w swoim wnętrzu dzwonnice. Wreszcie ostatni hełm na czterech żagielkach, do którego przymocowany był sznur podtrzymywany z góry boską ręką. Na bocznych ściankach hełmu słowo „Fa/ma”, nad kopułą zaś kartusz: „Collegium Fraternitatis”.

Dziwactwa wcale się na tym nie kończyły, jako że z dwóch innych kolistych okien wieży sterczało po lewej stronie ogromne ramię, nieproporcjonalne w stosunku do innych postaci, wywijające szpadą i jakby należące do uskrzydłonej istoty zamkniętej w wieży, natomiast po prawej wystawała wielka trąba. Znowu trąba...

Nabrałem podejrzeń co do liczby otworów w wieży: zbyt ich wiele i zbyt regularnie są rozmieszczone w latarniach, przypadkowo natomiast w ścianach podstawy. Wieżę widać było tylko w dwóch czwartych w oktogonalnej perspektywie i mogłem sobie wyobrazić, że ze względu na symetrię drzwi, okna i lunety, widoczne po jednej stronie, powtarzały się w tym samym porządku po drugiej. Tak więc cztery łuki w latarni dzwonnicy, osiem okien w latarni poniżej, cztery wieżyczki, sześć otworów między fasadą wschodnią a zachodnią, czternaście między fasadą północną a południową. Wystarczy dodać: trzydzieści sześć otworów.

Trzydzieści sześć. Ta liczba prześladowała mnie od dziecięciu lat. A także sto dwadzieścia. Róża-Krzyż. Sto dwadzieścia podzielone przez trzydzieści sześć daje – z dokład-



nością do siedmiu cyfr - 3,333333. Przesadna doskonałość, ale być może warto spróbować. Spróbowałem. Bez powodzenia.

Przyszło mi do głowy, że po pomnożeniu cyfr przez dwa uzyskam z grubsza liczbę Bestii - 666. Ale również ten pomysł okazał się zbyt fantastyczny.

Nagle rzucił mi się w oczy nimb centralny, tron boski. Dobrze widoczne hebrajskie litery; mogłem je odczytać, nawet nie ruszając się z miejsca. Lecz Belbo nie mógł zapisywać na Abulafii liter hebrajskich. Przyjrzałem się dokładniej: z pewnością znałem je, z prawa do lewa - *jud, he, waw, chet*. *Iahveh*, imię Boga.

I zaczynam odmieniać to imię, znaczy imię IHWH, najpierw w postaci, w jakiej ono istnieje, i badać wszystkie jego warianty, i poruszać nim, i obracać jak kołem...

Abulafia, *Haje ha-Nefesz*,  
Ms. München, 408

Imię Boga... Ależ tak! Przypomniałem sobie rozmowę między Belbem a Diotallevim w dniu, kiedy zainstalowano Abulafię w biurze.

Diotallevi stał na progu swojego pokoju i jawnie okazywał pobłażliwość. Pobłażliwość Diotalleviego była zawsze obelżywa, ale zdawało się, że Belbo akceptuje to z równą pobłażliwością.

- Co ci z tego przyjdzie? Czyżbyś chciał wpisywać do niego maszynopisy, których nie czytasz?

- Służy do klasyfikowania, porządkowania spisów, uzupełniania katalogów. Będę mógł zapisać na nim własny tekst, nie zaś teksty napisane przez innych.

- Przysięgłeś przecież, że nigdy niczego nie napiszesz.

- Przysięgłem, że nie będę nękał świata kolejnymi maszynopisami. Powiedziałem, że ponieważ odkryłem, iż nie nadaję się na bohatera...

- ...będziesz inteligentnym widzem. Wiem. I co z tego?

- A to, że nawet inteligentny widz, wracając z koncertu, nuci pod nosem długie *movimento*. Wcale nie chce przez to powiedzieć, że rości sobie pretensję do dyrygowania w Carnegie Hall...

- Tak więc twoim eksperymentem będzie pisanie pod nosem, aby w ten sposób ukryć, że nie powinieneś pisać.

- To uczciwe postawienie sprawy.

- Tak powiadasz?

Obaj, Diotallevi i Belbo, pochodzili z Piemontu i często rozprawiali o tej zdolności, jaką mają prawdziwi Piemontczycy, polegającej na uprzejmym wysłuchiowaniu i zaglądaniu w oczy, aby oznajmić: „Tak powiadasz?”, tonem, który na pozór oznacza grzeczne zainteresowanie, ale w rzeczywistości daje ci odczuć, że jesteś przedmiotem głębokiej dezaprobaty. Ja byłem, jak twierdzili, barbarzyńcą, który nie jest w stanie dostrzec tych subtelności.

- Barbarzyńcą? - protestowałem. - Urodziłem się w Mediolanie, ale moja rodzina pochodzi z Valle d'Aosta...

- Bzdura - oznajmiali. - Piemontczyka można natychmiast poznać po jego sceptycznym nastawieniu.

- Jestem sceptykiem.

- Nie. Jesteś tylko niedowiarkiem, a to co innego.

Wiedziałem, czemu Diotallevi nie ufał Abulafii. Słyszał, że można zmienić porządek liter, by z danego tekstu uzyskać tekst mówiący coś wręcz przeciwnego i głosić mętne prorocтва. Belbo usiłował mu to wyjaśnić.

- Chodzi o permutacje - powiedział. - Czyż nie nazywa się to Temura? Czyż nie tak postępuje pobożny rabin, by dotrzeć do bram Sławy?

- Mój przyjacielu - oznajmił wówczas Diotallevi - nigdy nic nie zrozumiesz. To prawda, że Tora, mam na myśli tę widzialną, jest tylko jedną z możliwych permutacji wiecznej Tory, jaką Bóg pomyślał i wręczył Adamowi. A permutując w ciągu wieków litery księgi, można dotrzeć na powrót do Tory pierwotnej. Lecz liczy się wcale nie wynik. Liczy się sam proces, wierność, z jaką obracać będziesz w nieskończoność młynkiem modlitw i tekstów, stopniowo przybliżając się do

prawdy. Gdyby to urządzenie od razu wyjawilo ci prawde, nie rozpoznalbyś jej, gdyż twoje serce nie zostaloby oczyszczone przez długie zadawanie pytań. A zresztą, w biurze! Księgę trzeba odczytywać, ledwie poruszając wargami, w małej ruderze w getcie, gdzie dzień po dniu uczysz się pochylać głowę i poruszać rękami sztywno przywartymi do bioder, między zaś tą ręką, która trzyma Księgę, a tą, która odwraca jej karty, nie powinno być prawie odstępu, jeśli zaś zwilżasz palec, winienes unosić go pionowo do warg, jakbyś kruszył praśny chleb, bacząc, by nie spadł ani jeden okruch. Słowo przetyka się bardzo powoli, rozpuścić je i złożyć na nowo możesz jedynie pod warunkiem, że pozwolisz, by roztopiło się na języku, uważając, by nie wypluć go na kaftan, jeśli bowiem jakaś litera wyparuje, zrywa się nić, która miała połączyć cię z wyższymi *sefirot*. Temu właśnie poświęcił życie Abraham Abulafia, podczas gdy wasz święty Tomasz trudził się, by odnaleźć Boga, krocząc swymi pięcioma ścieżkami. *Hokmat ha-Zeruf* było nauką zmieniania układu liter i jednocześnie nauką oczyszczania serc. Mistyczna logika, świat liter i wprawianie ich w wir nieskończonych permutacji to świat szczęśliwości, nauka przestawiania to muzyka myśli, bacz jednak, byś poruszał się powoli i ostrożnie, albowiem twoja maszyna może dać ci oszołomienie, nie zaś ekstazę. Wielu spośród uczniów Abulafii nie potrafiło utrzymać się na tym wąziutkim progu, który oddziela kontemplację imion Boga od magicznych praktyk, od manipulowania imionami, to jest czynienia z nich talizmanu, narzędzia panowania nad naturą. A nie wiedzieli, jak nie wiesz ty – i jak nie wie twoja maszyna – że każda litera powiązana jest z jakimś członkiem ciała i jeśli przemieścisz jedną choćby spółgłoskę, nie znając

jej mocy, jedna z twoich kończyn może zmienić pozycję albo naturę i zostaniesz bestialsko okaleczony z zewnątrz na całe życie, a od wewnątrz na całą wieczność.

- Posłuchaj - rzekł mu Belbo tego samego dnia - nie odwiódłeś mnie od niczego, przeciwnie, dodałeś mi otuchy. Mam więc w rękach na moje rozkazy osobistego Abulafię, tak samo jak twoi przyjaciele mieli Golema. Nazwę go Abulafią, Abu dla przyjaciół. I mój Abulafia będzie przezorniejszy i bardziej wypełniony szacunkiem niż twój. Skromniejszy. Czyż problem nie polega na tym, żeby znaleźć wszystkie kombinacje imienia Boga? Dobrze więc, zerknij do tego podręcznika. Mam tu mały program w języku Basic, służący do permutowania czterech znaków. Jak się zdaje, pasuje do IHVH. Oto on. Chcesz, bym go uruchomił? - I pokazał mu program, a jakże, program kabalistyczny dla Diotalleviego:

```
10 REM anagram 1
20 INPUT L$(1), L$(2), L$(3), L$(4)
30 PRINT
40 FOR I1=1 TO 4
50 FOR I2=1 TO 4
60 IF I2=I1 THEN 130
70 FOR I3=1 TO 4
80 IF I3=I1 THEN 120
90 IF I3=I2 THEN 120
100 LET I4=10-(I1+I2+I3)
110 LPRINT L$(I1); L$(I2); L$(I3); L$(I4)
120 NEXT I3
130 NEXT I2
140 NEXT I1
150 END
```

- Spróbuj, napisz I, H, V, H, kiedy pokaże się „input”, i uruchom program. Może nie wypadnie to najlepiej: chodzi jedynie o dwadzieścia cztery możliwe permutacje.

- Święci serafini! I cóż ci przyjdzie z dwudziestu czterech imion Boga? Myślisz, że nasi mędracy nie wykonali już tego rachunku? Przeczytaj sobie *Sefer Jecira*, szesnasty ustęp czwartego rozdziału. A nie mieli kalkulatorów. „Z dwóch Kamieni buduje się dwa Domy. Z trzech Kamieni buduje się sześć Domów. Z czterech Kamieni buduje się dwadzieścia cztery Domy. Z pięciu Kamieni buduje się sto dwadzieścia Domów. Z sześciu Kamieni buduje się siedemset dwadzieścia Domów. Z siedmiu Kamieni buduje się pięć tysięcy czterdzieści Domów. Postępuj dalej i myśl o tym, czego wargi nie mogą wypowiedzieć, a uszy usłyszeć”. Wiesz, jak to się dzisiaj nazywa? Silnia. I wiesz, dlaczego Tradycja ostrzega cię, że dalej lepiej nie iść? Dlatego, że imię Boga miało osiem liter, permutacji byłoby czterdzieści tysięcy, a jeśli miałyby ich dziesięć - trzy miliony sześćset tysięcy, permutacji zaś twojego marnego nazwiska jest prawie czterdzieści milionów, i dziękuj Bogu, że nie masz *middle initial* jak Amerykanie, bo doszedłbyś do ponad czterystu milionów. A gdyby imię Boga miało dwadzieścia siedem liter, jako że alfabet hebrajski nie ma samogłosek, lecz dwadzieścia dwie spółgłoski plus pięć wariantów - wszystkie jego możliwe imiona sięgnęłyby liczby dwudziestodziewięciocyfrowej. Musisz jednak uwzględnić także powtórzenia, gdyż imieniem Boga może być *alef* powtórzony dwadzieścia siedem razy, a wtedy silnia już by nie wystarczyła i musiałbyś obliczyć dwadzieścia siedem do dwudziestej siódmej potęgi; uzyskałbyś, wydaje mi się, czterysta czterdzieści cztery miliardy miliardów miliardów możliwości albo coś w tym rodzaju, w każdym razie liczbę trzydziestodziewięciocyfrową.

- Kręcisz, bo chcesz mi zaimponować. Czytałem twoją *Se-*

*fer Jecira*. Podstawowych liter jest dwadzieścia dwie i tylko nimi się posługując, Bóg dokonał całego dzieła stworzenia.

- Nie upoważnia cię to do próbowania sofizmatów, jeśli bowiem osiągniesz ten rząd wielkości, jeśli zamiast dwudziestu siedmiu do dwudziestej siódmej weźmiesz dwadzieścia dwa do dwudziestej drugiej, i tak otrzymasz z grubsza trzysta czterdzieści miliardów miliardów miliardów. Cóż to za różnica dla ludzkiej miary? Wiedz jednak, że gdybyś miał liczyć raz dwa trzy i tak dalej, co sekundę wymieniając jedną liczbę, aby dojść do miliarda, marnego miliarda, potrzebowalibyś prawie trzydziestu dwóch lat. Ale rzecz jest bardziej złożona, niż ci się wydaje, i Kabała to nie tylko *Sefer Jecira*. I wyjaśniam ci, dlaczego porządna permutacja Tory powinna użyć wszystkich dwudziestu siedmiu liter. To prawda, że pięć ostatnich, jeślibyś w trakcie permutowania trafił na słowo, przeobraziłoby się w swój zwykły równoważnik. Ale nie zawsze tak jest. U Izajasza dziewięć sześć siedem słowo LMRBH, Lemarbah - które przypadkiem może oznaczać: mnożyć - zostało zapisane z końcowym *mem* w środku.

- Czemu?

- Bo każda litera odpowiada pewnej liczbie i zwykłe *mem* ma przypisaną wartość czterdzieści, podczas gdy *mem* końcowe - sześćset. W grę wchodzi nie Temura, która uczy cię permutowania, lecz Gematria, która wynajduje subtelne podobieństwa między słowami a ich wartością liczbową. Z *mem* końcowym słowo LMRBH ma wartość nie dwieście dwadzieścia siedem, lecz osiemset trzydzieści siedem, i jest równoważne dzięki temu „ThThZL, Thath Zal”, co oznacza „ten, który daje w obfitości”. Widzisz więc, że trzeba uwzględnić wszystkie dwadzieścia siedem liter, liczy się bo-

wiem nie tylko dźwięk, ale także liczba. Wracamy więc do mojego rachunku: permutacji jest ponad czterysta miliardów miliardów miliardów. I wiesz, ile czasu byłoby ci trzeba, by wypróbować je wszystkie z prędkością jedna na sekundę, założywszy nawet, że jakaś maszyna, a już z pewnością nie ta twoja, mała i nędzna, mogłaby to zrobić? Przy jednej kombinacji na sekundę zużyłbyś siedem miliardów miliardów miliardów minut, sto dwadzieścia trzy miliony miliardów miliardów miliardów godzin, trochę ponad pięć milionów miliardów miliardów miliardów dni, czternaście tysięcy miliardów miliardów miliardów lat, sto czterdzieści miliardów miliardów miliardów wieków, czternaście miliardów miliardów miliardów tysiącleci. Gdybyś zaś miał kalkulator zdolny wypróbowywać milion kombinacji na sekundę, pomyśl tylko, ile czasu byś zaoszczędził: to twoje elektroniczne liczydło uporałoby się z tym w ciągu czternastu tysięcy miliardów miliardów tysiącleci! Ale w rzeczywistości prawdziwe imię Boga to imię sekretne, jest długie jak Tora i nie ma na świecie takiej maszyny, która zdołałaby wyczerpać wszystkie permutacje, albowiem Tora sama z siebie jest wynikiem pewnej permutacji z powtórzeniami dwudziestu siedmiu liter, a sztuka Tory nie mówi ci, że masz permutować dwadzieścia siedem liter alfabetu, lecz wszystkie znaki Tory, w której każdy znak ma tę samą wartość co osobna litera, nawet jeśli powtarza się nieskończenie wiele razy na innych stronach; to jakby powiedzieć, że dwa *hau* z imienia IHVH są warte tyle co dwie litery. Z tego względu, gdybyś chciał przeliczyć możliwe permutacje wszystkich znaków z całej Tory, nie wystarczyłoby ci zer na całym świecie. Próbuuj sobie, próbuuj z tą twoją maszynką dla księgowych.



Maszyna istnieje, to pewne, ale nie została wyprodukowana w twojej Dolinie Krzemowej, tą maszyną jest bowiem Święta Kabała i Tradycja, rabini zaś od wieków czynią to, czego żadna maszyna nie może zrobić i, miejmy nadzieję, nigdy nie zrobi. Kiedy wszystkie kombinacje zostałyby wyczerpane, wynik i tak musiałby pozostać tajemnicą, a w każdym razie wszechświat przerwałby swój cykl - my zaś zabłąsnęlibyśmy niepamiętni w chwale wielkiego Metatronu.

- Amen - powiedział Jacopo Belbo.

Ale na te właśnie zawrotne wysokości Diotallevi pchał go od tamtego czasu i musiałem wziąć to pod uwagę. Ileż to razy widziałem, jak Belbo po godzinach pracy próbował programów, które pozwoliłyby sprawdzać obliczenia Diotalleviego, by wykazać mu, że przynajmniej jego Abu mówi prawdę w ciągu kilku sekund, bez potrzeby obliczeń z ołówkiem w rękę na pożółkłych pergaminach, z użyciem przedpotopowych układów liczbowych nieznających nawet zera? Daremnie, także Abu odpowiadał, jak daleko mógł sięgnąć w zapisie wykładniczym, i Belbo nie zdołał upokorzyć Diotalleviego ekranem, który wypełniał się w nieskończoność zerami - błada naoczna imitacja mnożenia się kombinatorycznych wszechświatów i eksplozji wszelkich możliwych światów...

Jednak po wszystkim, co się stało, mając przed oczyma tę rycinę różokrzyżowców, Belbo w poszukiwaniu hasła musiał sięgnąć raz jeszcze do owych kombinacji z imieniem Boga. Ale musiał zarazem wykorzystać liczby takie jak trzydzieści sześć albo sto dwadzieścia, jeśli nie myliłem się w swoich domysłach i rzeczywiście te liczby stanowiły jego obsesję. Zatem nie mógł przestawiać czterech hebrajskich liter, wiedział bowiem, że cztery Kamienie to tylko dwadzieścia cztery Do-

my.

Mógł posłużyć się transkrypcją włoską, zyskując w ten sposób dwie samogłoski. Przy sześciu literach miał do dyspozycji siedemset dwadzieścia permutacji. Dawało to możliwość wybrania trzydziestej szóstej albo sto dwudziestej.

Przyszedłem tu koło jedenastej, teraz była pierwsza. Musiałem ułożyć program na anagramy z sześciu liter i wystarczyło w tym celu zmodyfikować istniejący już program dla przypadku czterech.

Zapragnąłem w końcu zaczerpnąć łyk świeżego powietrza. Wszedłem na ulicę, kupiłem coś do jedzenia i kolejną butelkę whisky.

Wróciłem na górę, odłożyłem bułki, a zabrałem się od razu do whisky; wsunąłem dyskietkę w języku Basic, ułożyłem program na sześć liter – jak zwykle z błędami, więc zabrało mi to dobre pół godziny – ale mniej więcej o wpół do trzeciej program działał i na ekranie monitora poczęło się przesuwać siedemset dwadzieścia imion Boga.

---

iahveh iahvhe iahev ihvehv iahhve iahhev iavveh iavhhe  
iavehh iavehh iavhhe iavveh iaehvh iaehhv iaevhh iaevhh  
iaehhv iaehvh iahhve iahhev iahvhe iahveh iaehv iahev  
ihaveh ihavhe ihaevh ihaehv ihahve ihahev ihvae ihvae  
ihveh ihveha ihvhae ihvhea ihevah ihevah ihevha  
ihhav ihhva ihhave ihhaev ihhvae ihhvea ihheav ihheva  
ivahev ivahhe ivae hh ivae hh ivahhe ivahveh ivhaeh ivhae  
ivheah ivheha ivhhae ivhhea iveahh iveahh ivehah ivehha  
ivehah ivehha ivhae ivhaeh ivhhae ivhhea ivheah ivheha  
ieahvh ieahhv ieavhh ieavhh ieahhv ieahvh iehavh iehavh  
ievhah ievhha iehavh iehavh iehhah iehhva iehvah iehvha  
ihahve ihahev ihavhe ihaveh ihaehv ihaevh ihhave ihhaev  
ihhvae ihhvea ihheav ihheva ihvae ihvae ihvhae ihvhea  
ihveh ihveha ihevah ihevah ihevah ihevha ihevha ihevha  
aihveh aihvhe aihveh aihvehv aihhve aihhev aivveh aivhhe  
aivehh aivehh aivhhe aivveh aievvh aiehhv aievhh aievhh





czył od końca?

„Casaubon, bałwanie – rzekłem sam do siebie. – Jasne, że od końca”. Lub raczej z prawa na lewo. Belbo wprowadził do komputera imię Boga w transliteracji łacińskiej, z samogłoskami, to prawda; ponieważ jednak słowo jest hebrajskie, zapisał je z prawa na lewo. Na wejściu miał nie IAHVEH – o czym od razu nie pomyślałem – lecz HEVHAI. To oczywiście, że w ten sposób początek permutacji ulega odwróceniu.

Muszę więc liczyć od końca. Raz jeszcze wypróbowałem oba imiona.

Nic z tego.

Wszystko źle. Upierałem się przy hipotezie eleganckiej, lecz fałszywej. Zdarza się to najwybitniejszym umysłom.

Nie, nie tylko najwybitniejszym umysłom. Wszystkim. Czyż nie zauważyliśmy miesiąc temu, że w ostatnich czasach ukazały się co najmniej trzy powieści, w których bohater, wykorzystując komputer, szuka imienia Boga? Belbo nie byłby tak banalny. A poza tym jako hasło wybiera się przecież słowo, które łatwo zapamiętać, które wystukuje się prawie samo, prawie instynktownie. Wyobraźmy sobie tylko: IHVHEA! Musiałby zresztą postawić Notarikon nad Temurę i ułożyć akrostych, żeby zapamiętać to słowo. Choćby: Imeldo, Hańba Vrogom Hirama, Ewidentnym Asasynom.

Zresztą czemuż to Belbo miałby myśleć kabalistycznymi kategoriami Diotalleviego? Jego obsesją był Plan, a w Plan włączyliśmy tyle innych składników: Róża, Krzyż, Synarchia, Homunkulus, Wahadło, Wieża, Druidzi, Ennoia...

Ennoia... Przyszła mi na myśl Lorenza Pellegrini. Wyciągnąłem rękę i obróciłem fotografię, na którą przedtem wolałem nie patrzeć. Próbowałem oddalić natrętną myśl,

wspomnienie tego wieczoru w Piemoncie... Przysunąłem zdjęcie do oczu i przeczytałem dedykację: „Albowiem jestem pierwszą i ostatnią. Jestem czczoną i znienawidzoną. Jestem dziwką i świętą. Sophia”.

Musiało to być po przyjęciu u Riccarda. Sophia, sześć liter. Czy naprawdę trzeba tworzyć z nich anagram? Teraz ja myślę w sposób pokrętny. Przypomniałem sobie słowa Diotalleviego: „W drugiej sefirze Alef mroczny przeobraża się w Alef świetlisty. Z Mrocznego Punktu tryskają litery Tory, ciałem są spółgłoski, tchnieniem samogłoski, a wspólnie akompaniują kantylenie człowieka pobożnego. Kiedy porusza się melodia znaków, poruszają się wraz z nią spółgłoski i samogłoski. Wyłania się z tego Chochma, Mądrość, Wiedza, pierwotna myśl, w której zawarte jest wszystko niby w szkatułce, gotowa rozwinąć się w dzieło stworzenia. W Chochmie mieści się esencja wszystkiego, co nastąpi...”

A czymże jest Abulafia ze swoim sekretnym zasobem plików? Szkatułką tego, co Belbo wiedział lub mniemał, że wie jego Sophia. Wybrał tajemne imię, żeby przeniknąć w głębiny Abulafii, przedmiotu swojej miłości (jedynej), ale myśląc jednocześnie o Lorenzy, szukał słowa, które podbiłoby Abulafię, lecz które służy mu jednocześnie za talizman, żeby osiąść Lorenzę: chciałby przeniknąć do serca Lorenzy, by zrozumieć, podobnie jak przeniknął do serca Abulafii; chciałby, żeby Abulafia był nieprzenikniony dla wszystkich innych ludzi, jak dla niego nieprzenikniona jest Lorenza, ludzi się, że ma pieczę nad sekretem Lorenzy, jak ma ją nad sekretem Abulafii, że zna ten sekret, że go zdobywa...

Wymyśliłem sobie wyjaśnienie i miałem nadzieję, że

będzie poprawne. Podobnie jak z Planem: brałem moje pragnienie za rzeczywistość.

Ale ponieważ byłem pijany, usiadłem przy klawiaturze i wystukałem SOPHIA. Maszyna znowu zapytała mnie uprzejmie: „Czy masz hasło?” Głupia maszyno, nie wzrusza cię nawet myśl o Lorenzy!

Judá León se dio a permutaciones  
De letras y a complejas variaciones  
Y alfin pronunció el Nombre que es la Clave,  
La Puerta, el Eco, el Huésped y el Palacio...

Jorge Luis Borges, *El Golem*

I wtedy, z nienawiści do Abulafii, na ente tępe pytanie („Czy masz hasło?”) odpowiedziałem: „Nie”.

Ekran zaczął zapełniać się znakami, wersetami, wskaźnikami, kaskadą słów.

Odkryłem sekret Abulafii.

Byłem tak podniecony zwycięstwem, że nie zastanowiłem się nawet, dlaczego Belbo wybrał właśnie to słowo. Teraz już wiem i wiem też, że w jakimś olśnieniu zrozumiał to, co ja rozumie w tej chwili. Ale w czwartek myślałem tylko o swoim zwycięstwie.

Zacząłem tańczyć, klaskać w dłonie, śpiewać piosenkę zapamiętaną z wojska. Potem przerwałem i poszedłem do łazienki, żeby obmyć twarz. Wróciłem i najpierw poleciłem komputerowi podać wydruk ostatniego pliku, zapisanego przez Belba tuż przed ucieczką do Paryża. A kiedy drukarka zaczęła obojętnie wystukiwać tekst, rzuciłem się łapczywie na jedzenie, nie rezygnując przy tym z popijania.

Wreszcie drukarka zatrzymała się, odczytałem tekst i poczułem zawód, a ponadto nie byłem w stanie rozstrzygnąć, czy mam przed sobą jakieś nadzwyczajne rewelacje, czy też poświadczenie obłądu. Co w gruncie rzeczy wiedziałem o Jacopie Belbo? Co zrozumiałem w ciągu dwóch lat, kiedy byłem



przy nim prawie codziennie? Jaką wiarę mogę dać dziennikowi człowieka, który według własnego wyznania pisał w warunkach wyjątkowych, oszołomiony alkoholem, papierosami, przerażeniem, przez całe trzy dni odcięty od wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym?

Był już wieczór dwudziestego pierwszego czerwca. Oczy mi łzawiły. Od rana wpatrywałem się w ekran i mrowisko punkcików naniesionych przez drukarkę. Może to, co przeczytałem, było prawdą, a może fałszem, ale przecież Belbo powiedział, że zadzwoni następnego ranka. Musiałem więc tu czekać. Kręciło mi się w głowie.

Zataczając się, poszedłem do pokoju i tak jak stałem, padłem na nieposłane nadal łóżko.

Koło ósmej obudziłem się z głębokiego, lepkiego snu i w pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy z tego, gdzie jestem. Na szczęście został jeszcze słoik kawy, więc zaparzyłem sobie kilka filiżanek. Telefon milczał, nie ważyłem się zejść i coś kupić, gdyż bałem się, że Belbo może właśnie wtedy zadzwonić.

Wróciłem do komputera i poleciłem mu przygotować wydruk z dalszych dyskietek, w porządku chronologicznym. Znalazłem tam żarty, ćwiczenia, relacje z wydarzeń, o których wprawdzie wiedziałem, ale które, przefiltrowane przez osobistą wizję Belba, jawiły mi się teraz w innym świetle. Znalazłem fragmenty dziennika, wyznania, próby literackie zapisywane z zawziętością człowieka, który wie, że są skazane na klęskę. Znalazłem notatki, portrety osób, które sobie przypominałem, które teraz przybierały inne oblicze – mam na myśli: bardziej złowrogie; lecz może bardziej złowro-

gie było tylko moje spojrzenie, mój sposób składania przypadkowych wskazówek w straszliwą finalną mozaikę?

A przede wszystkim cały plik, zawierający wyłącznie cytaty. Zaczerpnięte były z ostatnich lektur Belba, rozpoznałem je więc od pierwszego rzutu oka; ileż takich samych tekstów czytaliśmy w ostatnich miesiącach... Były ponumerowane: sto dwadzieścia. Ta liczba nie wydawała się przypadkowa, zbieżność budziła niepokój. Dlaczego właśnie te cytaty, nie zaś inne?

W tej chwili nie jestem w stanie czytać tekstów Belba: przywodzą mi na myśl całą historię, aczkolwiek widzianą w świetle tych plików. Przesuwam te ekscerpta niby paciorki jakiegoś heretyckiego różańca i spostrzegam, że niektóre z nich mogły stanowić dla Belba powód do niepokoju i nikłą zapowiedź ocalenia.

A może to ja nie potrafię już odróżnić zdań rozważnych od gubiących sens? Staram się sam siebie przekonać, że moje odczytanie jest właściwe, ale nie dalej jak dzisiaj rano ktoś posądził przecież mnie, nie zaś Belba, o szaleństwo.

Księżyc wstaje powoli na horyzoncie, gdzieś za Bricco. Wielki dom wypełniają jakieś dziwne szmery, może to czerwie, może myszy, a może jakieś fantazmy Adelina Canepy... Nie śmiem wyjść na korytarz, tkwię w pokoju wuja Karola i wyglądam przez okno. Co jakiś czas wychodzę na taras, by zobaczyć, czy ktoś nie wspina się na wzgórze. Mam uczucie, że przeżywam film; co za udręka: „Nadchodzą...”

A przecież wzgórze jest takie spokojne tej letniej już nocy.

Jakże bardziej awanturnicza, niepewna, szaleńcza była re-

konstrukcja, której spróbowałem, żeby zabić czas i nie zasnąć, tamtego wieczoru między piątą a dziesiątą w peryskopie, kiedy to w celu przywrócenia krążenia poruszałem powoli i ostrożnie nogami, jakby przytupując w jakimś afrykańsko-brazylijskim rytmie.

Myśleć raz jeszcze o ostatnich latach, poddawać się czarowanemu rozkołysaniu *atabaques*... Być może, by zaakceptować w ten sposób objawienie, że nasze fantazje, zapoczątkowane jako mechaniczny balet, teraz, w tych czasach mechaniki, przeobrażą się w rytuał, posiadanie, objawienie i dominium Exu?

Tamtego wieczoru w peryskopie nie miałem żadnego dowodu, że to, co ujawniła mi drukarka, jest zgodne z prawdą. Mogłem jeszcze się bronić, powątpiewając. Może o północy okaże się, że przybyłem do Paryża i niby złodziej ukryłem się w nieszkodliwym muzeum techniki tylko dlatego, iż niemądrze zakłóciłem makumbę zorganizowaną dla turystów i poddałem się hipnozie *perfumadores* i rytmowi *pontos*...

I moja pamięć, na nowo składając mozaikę, raz po raz próbowała zrzucić czar, wzbudzić litość lub podejrzliwość – i ten umysłowy klimat, samą ową oscylację między baśniową aluzją a przecuciem pułapki, chciałbym zachować teraz, kiedy umysłem znacznie bardziej trzeźwym zastanawiam się nad tym, co myślałem wówczas, wprowadzając porządek w dokumenty przeczytane gorączkowo poprzedniego wieczoru, a potem rano na dworcu lotniczym i podczas lotu do Paryża.

Starłem się wyklarować sobie, w jaki nieodpowiedzialny sposób ja sam, a także Belbo i Diotallevi doszliśmy do opisanie na nowo świata oraz – Diotallevi mi to powiedział – od-

krycia tych ustępów Księgi, które zostały wyryte białym ogniem w wolnych miejscach pozostawionych przez owe insekty z czarnego ognia, zaludniające i ponoć wyjaśniające Torę.

Teraz, po osiągnięciu – mam nadzieję – ukojenia *amor fati*, relacjonuję tu historię, którą odtwarzałem, pełen niepokoju – i nadziei, choćby nawet fałszywej – w peryskopie dwa wieczory temu, gdyż dwa dni wcześniej przeczytałem ją w mieszkaniu Belba, i którą przeżyłem, nie do końca tego świadomy, w ciągu ostatnich dwunastu lat, między piciem whisky u Piladego a wdychaniem kurzu w oficynie wydawniczej Garamond.

3  
BINA

Nie obiecuj sobie za wiele po końcu świata.

Stanisław Jerzy Lec, *Myśli nieuczesane*,  
w: *Aforyzmy, fraszki*,  
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977

Zacząć studia uniwersyteckie w dwa lata po sześćdziesiątym ósmym to jakby wstąpić do akademii w Saint-Cyr w dziewięćdziesiątym trzecim. Człowiek ma uczucie, że błędnie wybrał sobie datę narodzin. Z drugiej strony Jacopo Belbo, który był co najmniej piętnaście lat starszy niż ja, przekonał mnie później, że takie uczucie ma każde kolejne pokolenie. Człowiek rodzi się pod niewłaściwym znakiem i trwanie w świecie w sposób godny oznacza korygowanie dzień po dniu swojego horoskopu.

Sądzę, że kształtuje nas ojciec, ale w chwilach zniechęcenia, kiedy ani mu w głowie troska o wychowanie. Kształtujemy się na odpadkach mądrości. Miałem dziesięć lat i chciałem, żeby rodzice zaabonowali mi pewien tygodnik, który publikował komiksy na podstawie arcydzieł literatury. Ojciec próbował się wykręcić, nie ze skąpstwa, lecz dlatego, że podejrzliwym okiem patrzył na komiksy. „Celem tego czasopisma – oświadczyłem wówczas, czytając reklamową zapowiedź serii, jako że byłem chłopcem cwany i wyszczekany – jest w gruncie rzeczy uczyć w sposób przyjemny”. Ojciec, nie podnosząc wzroku znad gazety, rzekł: „Cel twojego tygodnika jest taki jak cel wszystkich gazet, a mianowicie sprzedać jak najwięcej egzemplarzy”.

Tego dnia zostałem niedowiarkiem.

To znaczy pożałowałem, że byłem łatwowierny. Do-

puściłem do tego, że moim umysłem zawładnęła namiętność.

Tak to już jest z łatwowiernością.

Nie chodzi o to, że niedowiarek w nic nie wierzy. Po prostu nie wierzy we wszystko. Wierzy w jedną rzecz naraz, w rzecz zaś drugą – tylko jeśli wypływa ona w jakiś sposób z pierwszej. Postępuje krótkowzrocznie, metodycznie, nie snuje dalekosiężnych planów. W wypadku dwóch rzeczy, które nie trzymają się kupy, wierzyć w obie jednocześnie, mając nadzieję, że gdzieś tam istnieje jakaś ukryta trzecia rzecz wiążąca tamte dwie – oto czym jest łatwowierność.

Niedowiarstwo nie wyklucza ciekawości, a nawet ją podsyca. Nie ufa łańcuchom idei, woli ich polifonię. Wystarczy nie wierzyć i już dwie myśli – obie fałszywe – zderzają się, tworząc dobry interwał albo jakiś *diabolus in musica*. Nie szanowałem idei, na których inni ludzie opierają swoje życie, lecz dwie lub trzy idee, których nie szanowałem, zdołały wytworzyć melodię. Albo rytm, i to lepiej niż jazz.

Później Lia miała mi powiedzieć:

- Żyjesz tym, co powierzchowne. Czasem robisz wrażenie głębokiego, ale bierze się to stąd, że wykorzystujesz wiele powierzchni, składając z nich pozorną bryłę, która nie potrzebowałaby nóg, żeby stać, gdyby była naprawdę bryłą.

- Twierdzisz, że jestem powierzchowny?

- Nie -- odparła - wszystko, co ludzie nazywają głębią, to tylko tesseract, czterowymiarowa kostka. Wchodzisz z jednej strony, wychodzisz z drugiej i trafiasz do świata, który nie może współistnieć z twoim światem.

(Lio, nie wiem, czy jeszcze cię zobaczę, ponieważ Oni weszli od niewłaściwej strony, wtargnęli do twojego świata, i to z mojej winy: wmówiłem im, że są jakieś otchłanie, gdyż

pragnęli tego przez swoją słabość).

Co naprawdę myślałem piętnaście lat temu? Świadomy tego, że nie wierzę, miałem poczucie winy, przebywając wśród wielu, którzy wierzyli. Ponieważ czułem, że mają rację, postanowiłem uwierzyć – tak jak postanawia się zażyć aspirynę. Nie zaszkodzi, a stajemy się lepsi.

Rozglądając się za jakąś szczytną wiarą, znalazłem się w samym środku rewolucji, a w każdym razie jej najbardziej zdumiewającej symulacji, jaka kiedykolwiek została urzeczywistniona. Uznałem za rzecz zaszczytną uczestniczyć w wiecach i pochodach, krzyczałem wraz z innymi: „Faszyści, burżuje, wasz koniec się szykuje!”; nie rzucałem kostkami z bruku ani metalowymi kulami bilardowymi, bałem się bowiem, że inni mogliby mi zrobić to, co ja robię im, ale odczuwałem rodzaj moralnego podniecenia, uciekając śródmiejskimi ulicami, kiedy policja ruszała do szarży. Wracałem do domu z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Na wiecach nie potrafiłem pasjonować się sprzecznościami, jakie dzieliły rozmaite grupy: podejrzewałem, że wystarczyłoby znaleźć właściwy cytat, by przejść z jednej strony na drugą. Zabawiałem się odnajdowaniem właściwych cytatów. Dzieliłem włos na czworo.

Ponieważ czasem w trakcie pochodów zdarzało mi się stanąć pod jednym lub drugim transparentem, idąc za jakąś dziewczyną, która podziałała na moją wyobraźnię, wyciągałem stąd wnioski, że dla wielu spośród moich towarzyszy walka polityczna była doświadczeniem seksualnym – a seks to przecież namiętność. Ja chciałem doświadczyć tylko ciekawości. Co prawda w trakcie lektur dotyczących templa-riuszy i rozmaitych przypisywanych im okrucieństw na-



tknąłem się na twierdzenie Karpokratesa, że aby wyślizgnąć się spod tyranii aniołów, panów kosmosu, należy dopuszczać się wszelkich niegodziwości, wyzwalać się z długu zaciągniętego wobec wszechświata i ciała, i że jedynie poprzez czyny niegodziwe dusza może wyzwyc się namiętności, odzyskując pierwotną czystość. Kiedy tworzyliśmy Plan, odkryłem, że wielu owładniętych narkotykiem tajemnicy kroczy tą drogą, szukając oświecenia. Lecz Aleister Crowley, którego określono mianem najbardziej zepsutego człowieka wszech czasów i który robił z wyznawcami obojga płci wszystko to, co tylko mógł robić, brał sobie – zdaniem biografów – jedynie najbrzydsze kobiety (wyobrażam sobie, iż mężczyźni, sądząc z tego, co napisano, nie byli zgoła piękniejsi), w związku z czym powstało we mnie podejrzenie, że nigdy nie uprawiał miłości w sposób pełny.

Musi to mieć jakiś związek z relacją między żądzą władzy a *impotentia coeundi*. Marks budził moją sympatię, gdyż byłem pewny, że miłość ze swoją Jenny uprawiał radośnie. Wyczuwa się to w opanowanym oddechu jego prozy i w poczuciu humoru. Natomiast długotrwałe sypianie z Krupską kończy się napisaniem marnej książki w rodzaju *Materializm a empiriokrytycyzm* – powiedziałem pewnego razu na korytarzu uniwersyteckim. Niewiele brakowało, a wepchnęliby mi te słowa z powrotem do gardła, mówiąc, że jestem faszystą. Oświadczył mi to pewien wysoki facet z wąsami jak Tatar. Pamiętam to doskonale, chociaż teraz goli się gładko i należy do komuny, w której wyplatają koszyki.

Wspominam ówczesne nastroje po to tylko, żeby zrekonstruować stan ducha, w jakim zbliżyłem się do Garamonda i sympatyzowałem z Jacopem Belbo. Przychodziłem tam z po-

czuciem człowieka, który słucha wykładów na temat prawdy, by w ten sposób przygotować się do skorygowania jej zarysu. Sądziłem, że jeśli przytacza się słowa: „Jestem, który jest”, podstawowy problem stanowi ustalenie, gdzie należy postawić przecinek, w cudzysłowie czy za nim.

Z tego powodu moim wyborem politycznym stała się filologia. Uniwersytet Mediolański był w owym okresie przykładowy. Podczas gdy w całym kraju opanowywano sale wykładowe i atakowano profesorów, domagając się, by mówili o nauce proletariackiej, u nas, poza paroma incydentami, obowiązywał pakt konstytucyjny albo też kompromis terytorialny. Rewolucja rządziła sferą zewnętrzną, *aula magna* i wielkimi korytarzami, podczas gdy Kultura oficjalna wycofała się, chroniona i zabezpieczona gwarancjami, w korytarze wewnętrzne i na wyższe piętra, gdzie przemawiała nadal tak, jakby nic się nie stało.

Dzięki temu mogłem spędzać przedpołudnia na dole, rozprawiając o nauce proletariackiej, a popołudnia na górze, uprawiając naukę arystokratyczną. Czułem się jak ryba w wodzie w tych dwóch równoległych światach i bynajmniej nie miałem wrażenia, że popadam w sprzeczność. Także ja wierzyłem, że stoimy na progu społeczeństwa ludzi równych, ale powiadałem sobie, że w tym społeczeństwie będą mogły na przykład funkcjonować (lepiej niż poprzednio) pociągi, chociaż sankiuloci, którzy mnie otaczali, nie uczyli się w rzeczywistości dorzucania węgla do paleniska, przestawiania zwrotnic, opracowywania rozkładów jazdy. Ktoś jednak musiał stanąć do pracy na kolei.

Nie bez odrobiny wyrzutów sumienia czułem się niby jakiś Stalin, który uśmiecha się pod wąsem i myśli: „Rozrabiajcie

sobie ile wlezie, biedni bolszewicy, ja w tym czasie postudiuję w seminarium w Tyflisie, ale potem to ja nakreślę plan pięcioletni”.

Być może z tego powodu, że rano byłem ogarnięty entuzjazmem, po południu utożsamiałem wiedzę z nieufnością. Tak więc chciałem studiować dziedzinę, która pozwoliłaby mi powiedzieć to, co można stwierdzić na podstawie dokumentów, w odróżnieniu od tego, co pozostaje materią wiary.

Prawie przypadkowo zapisałem się na seminarium z historii średniowiecznej i obrałem za temat pracy dyplomowej proces templariuszy. Historia templariuszy fascynowała mnie od chwili, kiedy wpadły mi w ręce pierwsze dokumenty. W czasach gdy walczyło się przeciwko władzy, wypełniało mnie szlachetne oburzenie na myśl o przebiegu procesu, który z trudem tylko można nazwać poszlakowym i w wyniku którego templariusze powędrowali na stos. Ale bardzo szybko odkryłem, że jak tylko spłonęli, tłum tropicieli zaczął doszukiwać się ich wszędzie, nigdy jednak nie dostarczając żadnego dowodu. Ta wizjonerska rozrzutność podsycała moje niedowiarstwo, więc postanowiłem nie trwonić czasu dla tych, którzy polują na tajemnice, i opierać się wyłącznie na dokumentach z epoki. Templariusze byli zakonem monastyczno-rycerskim, który istniał na mocy uznania przez Kościół. Skoro Kościół zakon rozwiązał, i to siedem wieków temu, templariusze nie mogą istnieć, jeśli zaś istnieją, nie są templariuszami. Tak więc wybrałem sto książek, choć w końcu przeczytałem z nich tylko trzydzieści.

Kontakt z Jacopem Belbo nawiązałem właśnie z powodu templariuszy, u Piladego, kiedy pracowałem już nad rozprawą, pod koniec siedemdziesiątego drugiego roku.

Przybyłem ze światła i od bogów, a otom na wygnaniu, oddzielony od nich.

fragment *Turfan M7*

Bar Piladego był w owych czasach portem wolnołowym, galaktyczną karczmą, gdzie obcy przybysze z Ophiuchusa, którzy oblegali Ziemię, spotykali się na stopie pokojowej z ludźmi Imperium, którzy patrolowali pasy Van Allena. Był to stary bar nad Kanałem, z cynkową ladą i bilardem, wypełniony miejscowymi tramwajarzami i rzemieślnikami, którzy przychodzili wczesnym rankiem, by wypić kieliszek białego wina. Mniej więcej w sześćdziesiątym ósmym i w latach późniejszych Pilade przemienił się w Rick's Bar, gdzie przy jednym stole mogli grać ze sobą w karty bojownik Ruchu i dziennikarz z organu prasowego pracodawców, który przychodził na jednego po zamknięciu numeru, kiedy pierwsze furgonetki wyruszały, by rozprowadzić po kioskach kłamstwa systemu. Ale u Piladego nawet dziennikarz czuł się wyzyskiwanym proletariuszem, wytwórcą wartości dodatkowej skazanym na wyznawanie ideologii, i studenci go rozgrzeszali.

Między jedenastą wieczorem a drugą w nocy wpadali tam: redaktor z wydawnictwa, architekt, dziennikarz zajmujący się „czarną” kroniką, a wzdychający do trzeciej strony gazety, malarz z Palazzo di Brera, paru pisarzy średniego lotu, studenci jak ja.

Regułą było minimum pobudzenia alkoholowego, a stary Pilade, nie usuwając butelek z białym winem dla tramwajarzy i klientów bardziej arystokratycznych, spumę i ramazzot-

ti zastąpił napojem musującym DOC dla intelektualistów demokratycznych i johnniem walkerem dla rewolucyjnych. Mógłbym napisać polityczną historię tych lat, rejestrując kolejność i sposób, w jaki dokonało się stopniowe przejście od czerwonej etykiety do dwunastoletniej ballantine, a w końcu do piwa.

Mimo że pojawiła się nowa klientela, Pilade zostawił stary bilard, na którym stały naprzeciwko siebie flaszki malarzy i tramwajarzy, lecz zainstalował także flipper.

W moim przypadku partyjka kończyła się szybko i z początku myślałem, że to z powodu niedostatecznego skupienia albo braku sprawności. Prawdę odkryłem wiele lat później, kiedy zobaczyłem, jak gra Lorenza Pellegrini. Zrazu jej nie dostrzegłem, ale pewnego wieczoru, podążając za spojrzeniem Belba, skupiłem na niej baczność uwagę.

Belbo miał jakiś taki sposób stania przy barze, jakby wpadł tu na chwilę (był jego bywalcem od co najmniej dziesięciu lat). Często wtrącał się do rozmów przy barze albo przy stoliku, ale prawie zawsze po to, żeby rzucić jakąś kwestię, która mroziła konwersację bez względu na temat. Mroził ją również, stosując inną technikę, a mianowicie zadając pytanie. Ktoś opowiadał o jakimś wydarzeniu, towarzystwo wciągało się w opowieść, a Belbo patrzył na mówcę tymi swoimi modrymi, zawsze nieco roztargnionymi oczyma, trzymając kieliszek na wysokości biodra, jakby już dawno zapomniał o picciu, i zadawał pytanie: „Naprawdę tak było?” Albo: „Mówisz poważnie?” Nie wiem, jak to się działo, ale w tym punkcie wszyscy, z narratorem włącznie, zaczynali powątpiewać w prawdziwość opowiadania. Musiało to być spowodowane piemonckim akcentem, który sprawiał, że w jego

ustach zdania oznajmujące stawały się pytającymi, a pytania – szyderstwami. Sposób, w jaki mówił Belbo – bez patrzenia prosto w oczy rozmówcy, ale zarazem nie tak, jakby uciekał przed kontaktem wzrokowym – był bez wątpienia piemoncki. Spojrzenie Belba wcale nie unikało dialogu. Najzwyczajniej w świecie przemieszczało się wzdłuż prostych równoległych, na które nie zwróciłeś uwagi, zastygało w jakimś nieokreślonym punkcie przestrzeni, ty zaś miałeś uczucie, żeś dotychczas tępo wpatrywał się w jedyny punkt pozbawiony znaczenia.

Lecz nie tylko o spojrzenie tu chodziło. Jednym jedynym gestem, jednym jedynym wykrzyknikiem Belbo potrafił cię przenieść w jakieś inne miejsce. Wyobraź sobie, że trudzisz się, by dowieść, powiedzmy, iż Kant naprawdę dokonał rewolucji zupełnie kopernikowskiej w nowoczesnej filozofii, i gotów byłbyś dać głowę za prawdziwość tego twierdzenia. Belbo, siedząc naprzeciwko ciebie, mógł w pewnej chwili spojrzeć sobie na ręce albo zacząć się wpatrywać we własne kolano, albo przymknąć powieki, zarysowując lekko etruski uśmiech, albo też pozostawać przez kilka sekund z otwartymi ustami, ze wzrokiem wlepionym w sufit, a następnie oznajmić, nieco się jękając: „Och, nie ulega wątpliwości, że ten Kant...” Albo jeśli wyraźniej angażował się w zamach na cały system idealizmu transcendentanego: „Ba. Czy jednak rzeczywiście pragnął całego tego zamieszania?” Potem przyglądał ci się życzliwie, jakbyś to ty, nie zaś on, zakłócił cały czar, i zachęcał: „Ale mów, mów dalej. Bo z pewnością jest w tym... jest w tym coś... Facet miał w końcu łeb”.

Czasem, kiedy ogarniało go oburzenie, odpowiadał w sposób nieprzystojny. Ponieważ jedyną rzeczą, jaka go

oburzała, była nieprzystojność u innych, jego własna nieprzystojność była całkowicie wewnętrzna i regionalna. Zaciskał wargi, najpierw wznosił wzrok do nieba, potem go opuszczał i pochylając głowę w lewo, oznajmiał półgłosem: *Ma gavte la nata*. Jeśli ktoś nie rozumiał tego piemonckiego powiedzenia, czasem wyjaśniał: „*Ma gavte la nata*, wyjmij korek. Mówi się tak człowiekowi nadętemu. Zakłada się, że znalazł się w tej nienaturalnej sytuacji wskutek ucisku korka, który ma wtknięty w tyłek. Jeśli go wyjmie, fiuuu, wraca do ludzkiej kondycji”.

Jego interwencje miały tę właściwość, że pozwalały dostrzec daremność wszelkiej rzeczy; byłem po prostu zafascynowany. Ale czerpałem z tego błędną naukę, ponieważ wynosiłem je do godności wzorca najwyższej pogardy dla banalności prawd innych ludzi.

Dopiero teraz, kiedy wraz ze złamaniem sekretów Abulafii wtargnąłem także do duszy Belba, wiem, że to, co mnie wydawało się trzeźwością spojrzenia i miało wzniosły wymiar zasady życiowej, dla niego było tylko formą melancholii. Jego znękany libertynizm intelektualny skrywał w sobie rozpaczliwe pragnienie absolutu. Na pierwszy rzut oka trudno to pojąć, albowiem Belbo chwile ucieczki, wahania, oderwania kompensował chwilami niepohamowanego gadulstwa, kiedy to zabawiał się przedstawianiem alternatywnych absolutów w nastroju pełnego radości niedowiarstwa. Było to wtedy, kiedy układał z Diotallevim podręczniki rzeczy niemożliwych, światy na opak, bibliograficzne teratologie. Widok Belba, tak entuzjastycznie rozgadanego przy konstruowaniu swojej rabalaisowskiej Sorbony, uniemożliwiał zrozumienie, jak bardzo cierpiał z powodu wygnania z fakultetu teologii -- tej

prawdziwej.

Pojałem potem, że ja przekreśliłem adres, podczas gdy on go zagubił i to nie dawało mu spokoju.

W plikach Abulafii znalazłem mnóstwo kart jakiegoś pseudodziennika, który Belbo powierzył dyskietkom, pewny, że nie zdradza tyle razy potwierdzanego powołania: być zwykłym obserwatorem świata. Na niektórych była jakaś odległa informacja, najwidoczniej wpisał stare notatki – przez sentyment albo może z nadzieją, że pewnego dnia je wykorzysta. Inne pochodziły z ostatnich lat, kiedy miał już swojego Abu. Pisał, jakby bawiąc się od niechcienia, mógł w samotności rozmyślać nad swoimi błędami, łudził się, że nie „tworzy”, twórczość bowiem, nawet płodząca błąd, bierze się zawsze z miłości do drugiego człowieka. Belbo nieświadomie zmienił pole działania. Tworzył, a nigdy przedtem tego nie czynił. Jego entuzjazm dla Planu zrodził się z tej potrzeby napisania Książki, choćby miała się składać wyłącznie z bezlitosnych, bezdyskusyjnych i zamierzonych błędów. Póki trwasz zamknięty w swojej puszcze, możesz myśleć, że pozostajesz w kontakcie z Jednym, lecz gdy tylko zaczniesz coś tam byle jak lepić z gliny, choćby i elektronicznej, stajesz się demiurgiem, a kto trudzi się, tworząc świat, bruka się błędem i złem.

---

---

NAZWA PLIKU: Trzy niewiasty wokół...

---

---

Jest tak: *toutes les femmes que j'ai rencontrées se dressent aux horizons – avec les gestes piteux et les regards tristes des sémaphores sous la pluie...*

Mierzysz wysoko, Belbo. Pierwsza miłość, Najświętsza Maryja. Mama śpiewa, trzymając mnie w ramionach, jakby chciała ukołysać, chociaż nie potrzebuję już kołysanek; ale prosiłem, żeby śpiewała, bo lubiłem jej głos i lawendowy zapach piersi: „O Maryjo, moja radości, o Maryjo, serce me! Duszy mej jedyna uf-



ności, bez Ciebie mnie wszędzie źle! Salve, Regina”.

To naturalne: pierwsza kobieta w moim życiu nie była moja – tak samo zresztą jak nie była niczyja – z definicji. Od razu zakochałem się w kobiecie, której nic po mnie.

Potem Marilena (Marylena? Mary Lena?). Opisać lirycznie zmierzch, złote włosy, wielką błękitną kokardę; ja siedzę sztywno, z zadartym nosem, na ławeczce, ona idzie po krawężniku alejki, z rozłożonymi ramionami, by nie stracić równowagi (rozkoszny skurcz serca), sukienka powiewa lekko wokół różowych ud. Wysoko, niedosięła.

Scena: tego samego wieczoru mama posypuje talkiem różową pupę mojej siostrzyczki, ja pytam, kiedy wyrośnie jej ptaszek, a mama odpowiada, że dziewczynom ptaszek nie wyrasta nigdy i już takie zostają. Mnie nagle staje przed oczyma Mary Lena i jej białe majteczki prześwitujące przez błękitną sukienkę, którą powiewa wietrzyk, i rozumiem, że jest jasnowłosa, wyniosła i niedostępna, bo inna. Niemożliwe są jakiegokolwiek zbliżenia, gdyż należy do innego gatunku.

Trzecia kobieta natychmiast przepadła w otchłani. Dopiero co zmarła we śnie, blada Ofelia spoczywająca wśród kwiatów na swych dziewiczych marach; a kiedy ksiądz odmawia modlitwy za zmarłych, ona nagle podnosi się z katafalku, pomarszczona, biała, mściwa, ze wzniesionym palcem i głosem jak z piwnicy. „Nie módl się za mnie, księżę. Tej nocy przed snem miałam nieczystą myśl, jedyną w moim życiu, i teraz jestem potępiona”. Odnaleźć książeczkę od pierwszej komunii. Była taka ilustracja, czy sam to wszystko wymyśliłem? Z pewnością umarła, myśląc o mnie, nieczystą myślą byłem ja, pożałowałem bowiem nieosiągalnej Mary Leny, która należała do innego gatunku i innego rodzaju było jej przeznaczenie. Została potępiona z mojej winy. I z mojej winy potępiony jest każdy, kto się oddaje; nie miałem trzech kobiet, sprawiedliwości stało się zadość: kara za to, że ich chciałem.

Pierwszą tracę, gdyż jest w raju, drugą, gdyż marzy w czyśćcu o mękach, które nigdy nie będą jej udziałem, trzecią, gdyż jest w piekle. Z teologicznego punktu widzenia bez zarzutu. Tak było zapisane.

Ale jest jeszcze historia Cecylii, a Cecilia przebywa na ziemi. Marzyłem o tym przed zaśnięciem, idę po mleko, partyzanci strzelają ze wzgórza przede mną w stronę posterunku, widzę, jak biegnę na ratunek, uwalniam ją z rąk hordy czarnych oprawców, którzy ścigali ją, wymachując pistoletami automatycznymi... Miała włosy jaśniejsze niż Mary Lena, była bardziej niepokojąca niż dziewczyna z katafalku, bardziej czysta i służebna niż Najświętsza Panna. Cecilia żywa i osiągalna, wystarczyło byle co, a mógłbym z nią nawet rozmawiać, byłem pewny, że może pokochać kogoś mojego gatunku, bo bez wątplenia kochała tamtego, nazywał się Papi, miał jasne włosy sterczące na maleńkiej głowie, rok więcej niż ja i saksofon. Ja nie miałem nawet trąby. Nigdy nie widziałem ich razem, ale w świetlicy parafialnej wszyscy, trącając się łokciami i wymieniając uśmiešky, szeptali, że łączy ich miłość. Z pewnością kłamali ci wiejscy chłopcy, lubieżni jak kozły. Chcieli przekonać mnie, że ona (ona, Marylena Cecilia, małżonka i służebnica) była taka przystępna, iż ktoś musiał z tego skorzystać. W każdym razie – i było to po raz czwarty – ja nie wchodziłem w grę.

Czy pisze się powieści o tego rodzaju historiach? Może powinienem napisać o kobietach, których unikam, gdyż mogę je mieć. Albo mógłbym być. Mieć je. A jeśli to jest ta sama opowieść?

Jednym słowem, kiedy nie wie się nawet, o jaką historię chodzi, lepiej być redaktorem książek filozoficznych.

---

W prawym ręku ścisnął pozłocistą trąbę.

Johann Valentin Andreae, *Die Chymische  
Hochzeit des Christian Rosencreutz*,  
Zetzner, Strassburg 1616, 1

Znalazłem w tym pliku wzmiankę o trąbie. Tamtego wieczoru w peryskopie nie wiedziałem jeszcze, jakie to ważne. Miałem tylko jeden punkt odniesienia, dosyć błahy i marginalny.

Podczas długich popołudni u Garamonda bywało, że Belbo, zgnębiony lekturą jakiegoś maszynopisu, podnosił wzrok znad kartek i próbując oderwać od pracy także mnie, zajętego, o ile pamiętam, makietowaniem książki ze starymi rycinami z Wystawy Powszechnej, dawał upust wspomnieniom – gotów natychmiast przerwać, gdybym wzbudził podejrzenie, iż traktuję go zbyt poważnie. Opowiadał o swojej przeszłości, lecz traktując ją wyłącznie jako *exemplum*, by usunąć z niej wszelką pokusę próżności.

- Zastanawiam się, jak skończymy – oznajmił któregoś dnia.

- Ma pan na myśli zmierzch Zachodu?

- Zmierzch? To dla niego chleb z masłem. Nie, miałem na myśli ludzi, którzy biorą pióro do ręki. Trzeci maszynopis w ciągu tygodnia, jeden poświęcony prawu bizantyjskiemu, drugi – *Finis Austriae*, a trzeci – sonetom Baffa. Są to, jak mniemam, tematy bardzo odległe.

- Też tak sędzę.

- No dobrze, a co powiedzieć na to, że we wszystkich trzech pojawia się Pożądanie i Przedmiot Miłości? To moda.

Rozumiem od biedy, że Baffo, ale co tu ma do rzeczy prawo bizantyjskie?...

- Trafiły więc do kosza.

- Ależ nie, te prace zostały w całości sfinansowane przez Krajową Radę do spraw Nauki, a zresztą nie są wcale najgorsze. Co najwyżej zaproszę tych trzech autorów i zapytam, czy nie wykreśliliby odpowiednich fragmentów. Oni też mogliby się ośmieszyć.

- A co może być przedmiotem miłości w prawie bizantyjskim?

- Och, wszystko można przemycić. Naturalnie, chociaż w prawie bizantyjskim był przedmiot miłości, nie jest on tym samym, o którym mówi ten tutaj. Nigdy nie jest tym samym.

- Jakim tym samym?

- Takim, jak się sądzi. Pewnego razu, miałem wtedy pięć albo sześć lat, śniło mi się, że jestem posiadaczem trąbki. Złoconej. Wie pan, jeden z tych snów, kiedy człowiekowi się wydaje, że miód krąży mu w żyłach, coś jakby nocna zmaza, jaka się zdarza niewinnym chłopcom. Chyba nigdy nie byłem równie szczęśliwy. Już nigdy. Naturalnie po przebudzeniu zdałem sobie sprawę, że nie mam żadnej trąbki, i zacząłem płakać jak bóbr. Płakałem do wieczora. Doprawdy świat przedwojenny był światem ubogim, musiało to być w trzydziestym ósmym. Gdybym dzisiaj miał syna i zobaczył, że jest taki zrozpaczony, powiedziałbym mu: idziemy, kupię ci trąbkę - chodziło o zabawkę, żaden wydatek. Moim bliskim nie przyszło to nawet do głowy. W owych czasach zakupy były sprawą poważną, nie mniej poważną niż dbałość o takie wychowywanie dzieci, by nie dostawały wszystkiego, czego tylko zapragną. Nie lubię kapuśniaku, mówiłem, i była to,

mój Boże, prawda, po prostu budził moje obrzydzenie. Nie ma mowy, żeby powiedzieli: no trudno, nie jedz, weź się do drugiego dania (nie byliśmy wcale biedni, jedliśmy dwa dania i owoce). Nie, mój panie, zjada się wszystko, co przed tobą postawią. Już raczej, szukając rozwiązania kompromisowego, babcia wybierała mi z talerza kapustę, wiórek po wiórku, skrawek po skrawku, i tak oczyszczoną zupę, jeszcze obrzydliwszą niż poprzednio, musiałem już zjeść, a i tak ojciec nie pochwałał tego ustępstwa.

- Ale co z trąbką?

Spojrzał na mnie z wahaniem.

- Dlaczego tak interesuje pana ta trąbka?

- Wcale mnie nie interesuje. Sam pan wspomniał o trąbce w związku z przedmiotem miłości, który nie jest tym właściwym przedmiotem...

- Trąbka... Tego wieczoru mieli przyjechać wujostwo z \*\*\*; nie mieli dzieci i byłem ich ulubionym siostrzeńcem. Zobaczyli, że tak szlocham nad urojoną trąbką, oznajmili, że zajmą się sprawą, następnego dnia pójdziemy do UPIM, gdzie jest cały dział z zabawkami, istny cud, znajdziemy upragnioną trąbkę. Przez całą noc nie zmrużyłem oka i przez całe następne przedpołudnie nie mogłem znaleźć sobie miejsca. W południe poszliśmy do UPIM i ujrzelśmy co najmniej trzy rodzaje trąbek; blaszane zabawki - ale mnie wydawały się instrumentami z tajemniczej zatoki. Był tam wojskowy kornet, puzon z suwakiem i pseudotrąbka, wprawdzie z ustnikiem i złota, ale klapki miała jak saksofon. Nie wiedziałem, którą wybrać, i być może zbyt z tym marudziłem. Chciałem mieć je wszystkie, a robiłem wrażenie, jakbym nie chciał żadnej. Zdaje mi się, że wujostwo w tym czasie ogląda-

li cennik. Nie byli skąpcami, ale miałem wrażenie, że uznali za przystępniejszy flet z bakelitu, cały czarny, ze srebrnymi klapkami. Czy nie wolałbyś tego? – spytali.

Spróbowałem zagrać, brzmiał nie najgorzej, wmawiałem sobie, że jest piękny, ale w gruncie rzeczy doszedłem do wniosku, że wujostwo wolą kupić flet, gdyż jest tańszy, trąbka musiała kosztować majątek i nie mogłem wymagać od nich takiego poświęcenia. Zawsze mnie uczono, że kiedy dostaję coś, co mi się podoba, winienem powiedzieć: nie, dziękuję, i nie wystarczy raz, nie można bowiem powiedzieć: nie, dziękuję, i natychmiast wyciągnąć rękę, ale trzeba poczekać, aż ofiarodawca zacznie nalegać, powie: ależ bardzo cię proszę. Dopiero wtedy dobrze wychowany chłopczyk ustępuje. Powiedziałem więc, że może nie chcę trąbki, że może podoba mi się też flecik, jeśli oni wolą flecik. I przyglądałem się im spod oka, mając nadzieję, że będą nalegać. Nie nalegali, niechaj Bóg przyjmie ich na swe łono. Wydawali się szczęśliwi, że kupili mi flet, skoro, oświadczyli, ja go wolę. Było już za późno, żeby się wycofać. Dostałem flet.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Chciałby pan zapytać, czy nadal gram na trąbce?

– Nie -- odparłem. – Chcę wiedzieć, co było przedmiotem miłości.

– Ach – rzekł, przystępując z powrotem do kartkowania maszynopisu – widzę, że wszystkich ogarnia obsesja przedmiotu miłości. Tymi sprawami można dowolnie manipulować. Ale... A gdybym jednak wybrał trąbkę? Czy byłbym naprawdę szczęśliwy? Jak pan myśli, Casaubon?

– Marzyłby pan pewnie o flecie.

- Nie - zamknął oschle dyskusję. - Flet tylko miałem. Chyba nigdy go nie użyłem.

- Marzyłem czy użyłem?

- Użyłem - powiedział dobitnie i nie wiem, dlaczego poczułem się jak błazen.

I w końcu nie wnioskuje się kabalistycznie z vinum niczego poza VIS NUMerorum, na których to liczbach opiera się Magia.

Cesare della Riviera, *Il Mondo Magico degli Eroi*,  
Osanna, Mantova 1603, s. 65–66

Ale opowiadałem o moim pierwszym spotkaniu z Belbem. Zналиśmy się z widzenia, jakieś żarty wymieniane u Piladego, niewiele jednak o nim wiedziałem poza tym, że pracował u Garamonda, a na uniwersytecie wpadały mi czasem w ręce książki tej oficyny. Wydawca mały, ale poważny. Młodzięca, który kończy pisać pracę doktorską, zawsze pociąga ktoś, kto pracuje w wydawnictwie publikującym rzeczy z zakresu kultury.

- A czym pan się zajmuje? - spytał mnie pewnego wieczoru, kiedy obaj staliśmy przy końcu cynkowej lady, opierając się o nią, ściśnięci w tłumie, jaki gromadził się tu przy wielkich okazjach.

Był to okres, kiedy wszyscy przeszli na ty, studenci z profesorami i profesorowie ze studentami. Nie mówiąc już o bywalcach Piladego. „Postaw kielicha” - mówił student w swej strze do redaktora naczelnego wielkiego dziennika. Wydawać by się mogło, że jesteśmy w Petersburgu w czasach młodego Szkłowskiego. Sami Majakowscy i ani jednego Żywago. Belbo nie uchylał się od powszechnego tykania, lecz rzucało się w oczy, że wymierzał za to karę pogardy. Mówił „ty”, aby pokazać, że na ordynarność odpowiada ordynarnością, ale istnieje przepaść między tolerowaniem poufałości a poufałością. Czule albo namiętnie mówił „ty” rzadko i niewielu osobom; był na „ty” z Diotallevim, z paroma kobietami. Jeśli



kogoś szanował, nie znając jednak od dawna, zwracał się per pan. Tak właśnie zwracał się do mnie przez cały czas, kiedy pracowaliśmy razem, i muszę powiedzieć, że doceniałem ten przywilej.

- A czym pan się zajmuje? - spytał, jak wiem już teraz, z sympatią.

- W życiu czy w teatrze? - spytałem, wskazując na podium u Piladego.

- W życiu.

- Studiuję.

- Uniwersytet czy praca naukowa?

- Nie wygląda na to, ale te dwie rzeczy nie są ze sobą w sprzeczności. Kończę pracę doktorską o templariuszach.

- Paskudny temat. Czy nie jest to przedsięwzięcie dla szaleńców?

- Ja zajmuję się prawdziwymi templariuszami. Dokumentami z procesu. Ale co pan wie o templariuszach?

- Pracuję w wydawnictwie, a do wydawnictwa przychodzą zarówno uczeni, jak i ludzie stuknięci. Zawód redaktora polega na rozpoznaniu od pierwszego wejrzenia stukniętych. Kiedy ktoś bierze na warsztat templariuszy, prawie na pewno jest stuknięty.

- Wiem na ten temat to i owo. Ich imię brzmi legion. Ale nie wszyscy szaleńcy mówią o templariuszach. Jak rozpoznaje pan innych?

- Wprawa. Zaraz to wyjaśnię, jako że jest pan bardzo młody. A propos, jak się pan nazywa?

- Casaubon.

- Czyż nie jest to bohater *Middlemarch*?

- Nie wiem. Tak czy owak, był również taki filolog rene-

sansowy. Ale nie jest moim krewnym.

- Przyjdzie jeszcze na to czas. Napije się pan? Dwa razy to samo, Pilade, dziękuję. No właśnie. Na świecie spotyka się matołków, tępaków, głupców i szaleńców.

- Ma pan kogoś na myśli?

- Tak, weźmy na przykład nas dwóch. Albo przynajmniej, by pana nie urazić, mnie. Chociaż w gruncie rzeczy każdy należy do jednej z tych czterech kategorii, wystarczy mu się uważnie przyjrzeć. Każdy z nas jest od czasu do czasu matołkiem, tępakiem, głupcem albo szaleńcem. Powiedzmy, że osoba normalna to ktoś, kto ma w sobie rozsądną miarę tych wszystkich składników, tych typów idealnych.

- *Idealtypen.*

- Brawo, zna pan również niemiecki?

- Tyle, ile muszę ze względu na bibliografię.

- W moich czasach, kiedy ktoś znał niemiecki, ani mu było w głowie kończyć studia. Życie upływało mu na znajomości niemieckiego. Sądzę, że dzisiaj tak samo jest z chińskim.

- Ja znam niemiecki za mało, więc piszę dyplom. Ale wróćmy do pańskiej typologii. Czym jest geniusz, na przykład Einstein?

- Geniusz to człowiek, który uruchamia w oszałamiający sposób jeden temat, karmiąc go pozostałymi. - Napił się i ciągnął: - Dobry wieczór, moja piękna. Czy znowu próbowałaś samobójstwa?

- Nie - odparła przechodząca obok nas kobieta - jestem teraz w kolektywie.

- Świetnie - pochwalił Belbo, a potem znowu zwrócił się w moją stronę: - Można dokonywać samobójstw zbiorowych, czyż nie tak?

- A co z szaleńcami?

- Mam nadzieję, że nie wziął pan mojej teorii za czyste złoto. Nie zajmuję się osadzaniem świata na właściwym miejscu. Mówię tylko, kto jest szaleńcem dla firmy wydawniczej. To teoria stworzona *ad hoc*, zgoda?

- Zgoda. Teraz stawiam ja.

- Zgoda. Pilade, trochę mniej lodu, jeśli można prosić. W przeciwnym razie wszystko trafia natychmiast do krwioobiegu. Matołek nic nie mówi, toczy ślinę, jest spastyczny. Z powodu braku koordynacji przykłada sobie lody do czoła. Wchodzi od złej strony w drzwi obrotowe.

- Jak żyje?

- Radzi sobie. Właśnie dlatego jest matołkiem. Nie interesuje nas, rozpoznaję go na pierwszy rzut oka, zresztą nie bywa w wydawnictwach. Zostawmy go w spokoju.

- Dobrze.

- Z tępakiem sprawa jest bardziej złożona. Chodzi o zachowania społeczne. To człowiek, który mówi zawsze obok kieliszka.

- W jakim sensie?

- O, w takim. - Palec wskazujący zwrócił pionowo w dół obok kieliszka. - Chce mówić o tym, co jest w kieliszku, ale ponieważ jest tak, jakby go nie było, mówi obok. Wyrażając to w terminach obiegowych, właśnie tępak popełnia gafy, zwraca się bowiem z pytaniem, jak się miewa małżonka, do faceta, którego żona dopiero co rzuciła. Pojmuje pan z grubszą, w czym rzecz?

- Owszem. Znam takich.

- Tępak jest bardzo pożądaný, zwłaszcza w towarzystwie. Wprawia wszystkich w zakłopotanie, ale później przysparza

okazji do komentarzy. W swej odmianie pozytywnej staje się dyplomata. Mówi obok kieliszka, kiedy gafy popełniają inni; doprowadza do tego, że zmienia się temat rozmowy. Ale nas nie interesuje, nigdy nie jest twórczy, pracuje nad gotowymi materiałami, nie chodzi więc po wydawnictwach. Tępak nie twierdzi, że kot szczeka, ale mówi o kocie, kiedy pozostali mówią o psie. Myli reguły konwersacji, lecz kiedy myli je dobrze, bywa wyborny. Sądzę, że należy do gatunku na wymarcu, jest nosicielem cnót typowo mieszczańskich. Potrzeba do tego salonu państwa Verdurin albo nawet domu Guermantes'ów. Czy studenci czytują jeszcze takie rzeczy?

- Ja tak.

- Tępakiem był Joachim Murat, który dokonując przeglądu swoich oficerów, dostrzegł, że jeden z nich, pochodzący z Martyniki, ma mnóstwo odznaczeń bojowych. *Vous êtes nègre?* - pyta. Oficer odpowiada: *Oui, mon général!*, a Murat na to: *Bravò, bravò, continuez!* I tak dalej. Pojmuje pan? Proszę mi wybaczyć, ale dzisiejszego wieczoru świętuję historyczną dla mnie decyzję. Rzuciłem picie. Jeszcze jeden? Lepiej niech pan nie odpowiada, bo owładnie mną kompleks winy. Pilade!

- A głupiec?

- Prawda. Głupiec nie błądzi w zachowaniu. Błądzi w rozumowaniu. To człowiek, który mówi, że wszystkie psy są zwierzętami domowymi i wszystkie psy szczekają, ale koty też są zwierzętami domowymi, więc też szczekają. Albo że ponieważ wszyscy ateńczycy są śmiertelni i wszyscy mieszkańcy Pireusu są śmiertelni, to mieszkańcy Pireusu są ateńczykami.

- Co jest zgodne z prawdą.

- Tak, ale akcydentalnie. Głupiec wygłasza czasem twierdzenia słuszne, ale buduje je na fundamencie fałszywych przesłanek.

- Można głosić wnioski błędne, lecz przesłanki muszą być niewzruszone.

- W tym rzecz. W przeciwnym razie po co byłoby tak się trudzić, by stać się zwierzęciem rozumnym?

- Wszystkie mały człekokształtne wywodzą się z niższych form życia, ludzie też pochodzą od niższych form życia, tak więc wszyscy ludzie są wielkimi małpami człekokształtnymi.

- Nieźle. Dotarliśmy do progu, przy którym podejrzewa się, że coś tu nie gra, ale żeby wyjaśnić, co i dlaczego, trzeba włożyć trochę wysiłku. Głupiec jest niezwykle zdradziecki. Tępaka poznaje się od pierwszego rzutu oka (nie mówiąc o matołku), podczas gdy głupiec rozumuje prawie tak samo jak pan i ja, tyle że z nieznacznym odchyleniem. Jest mistrzem paralogizmu. Nie ma ratunku dla redaktora, sprawdzanie trwałoby wieczność. Wydaje się mnóstwo książek napisanych przez głupców, gdyż w pierwszej chwili robią wrażenie przekonywających. Rozpoznawanie głupców nie należy do obowiązków redaktora. Nie rozpoznaje ich akademia nauk, czemu miałyby rozpoznawać ich wydawca?

- Nie czyni tego filozofia. Argument ontologiczny świętego Anzelmą jest głupi. Bóg musi istnieć, gdyż potrafię go sobie wyobrazić jako istotę obdarzoną wszelką doskonałością, z istnieniem włącznie. Myli istnienie pojęciowe z istnieniem rzeczywistym.

- Tak, ale dowód obalający to rozumowanie, podany przez Gaunilona, też jest głupi. Mogę wyobrazić sobie wyspę na morzu, nawet jeśli taka wyspa nie istnieje. Myli posiadanie

przez umysł pojęcia rzeczy akcydentalnych z posiadaniem pojęcia rzeczy koniecznych.

- Zmagania głupców.

- Z pewnością, a Bóg pysznie się tym bawi. Chciał być niepojęty dla umysłu po to tylko, by pokazać, że Anzelm i Gaunilon są głupcami. Cóż za wzniosły cel dzieła stworzenia, co mówię, cóż za cel samego aktu, na mocy którego Bóg chce siebie! Wszystko nastawione na ujawnienie kosmicznej głupoty.

- Żyjemy otoczeni przez głupców.

- Nie ma ucieczki. Wszyscy są głupcami oprócz nas dwóch. A raczej, proszę wybaczyć, oprócz pana.

- Wiadomo, że ma to związek z twierdzeniem Gödla.

- Nie mam pojęcia. Jestem matołkiem. Pilade!

- Teraz moja kolej.

- Potem podzielimy równo. Kreteńczyk Epimenides powiada, że wszyscy Kreteńczycy są kłamcami. Skoro mówi to on, sam Kreteńczyk, znający doskonale Kreteńczyków, jest to prawda.

- Głupie.

- Święty Paweł. List do Tytusa. Proszę teraz posłuchać: wszyscy, którzy myślą, że Epimenides jest kłamcą, mogą opierać się jedynie na zdaniu Kreteńczyków, ale Kreteńczycy nie ufają Kreteńczykom, dlatego żaden Kreteńczyk nie sądzi, by Epimenides był kłamcą.

- To głupie czy nie?

- Sam niech pan pomyśli. A nie mówiłem, że trudno jest dostrzec głupca? Głupiec może dostać Nagrodę Nobla...

- Niech pomyślę... Niektórzy z tych, co nie wierzą, iżby Bóg stworzył świat w siedem dni, nie są fundamentalistami,

ale niektórzy fundamentaliści wierzą, iż Bóg stworzył świat w siedem dni, dlatego nikt, kto nie wierzy, by Bóg stworzył świat w siedem dni, nie jest fundamentalistą. To głupie czy nie?

- O Boże, i jest to wezwanie jak najbardziej na miejscu... Bo ja wiem. A jak pan uważa?

- Jest głupie, nawet gdyby było prawdą. Gwałci jedno z praw sylogizmu. Nie można wyciągać wniosków ogólnych z dwóch twierdzeń szczegółowych.

- A gdyby to pan okazał się głupcem?

- Znalazłbym się w doborowym i starodawnym towarzystwie.

- O tak, głupota otacza nas ze wszystkich stron. I być może z powodu odmiennego systemu logicznego nasza głupota jest ich mądrością. Cała historia logiki sprowadza się do definiowania takiego pojęcia głupoty, które moglibyśmy zaakceptować. To się nie da objąć rozumem. Każdy wielki myśliciel jest głupcem dla innego wielkiego myśliciela.

- Myśl jako spójna forma głupoty.

- Nie. Głupota jednej myśli jest niespójnością innej.

- Głębokie. Już druga, Pilade wkrótce zamyka, a nie doszliśmy jeszcze do szaleńców.

- Już. Szaleńca rozpoznaje się natychmiast. To głupiec, który nie ma pojęcia o sztuczkach. Głupiec próbuje dowieść swojej tezy, ma logikę wykoślawioną, ale ma. Natomiast szaleniec nie ma żadnej logiki, zdąża od jednego krótkiego spięcia do drugiego. Dla szaleńca wszystko stanowi dowód wszystkiego. Szaleniec ma *idée fixe* i cokolwiek wpadnie mu w ręce, służy do potwierdzenia tej idei. Szaleńca rozpoznaje się po swobodnym podejściu do kwestii dowodu, po goto-

wości do szukania objawień. I wyda się to panu zapewne dziwne, ale szaleniec prędzej czy później zawsze wyciąga z rękawa templariuszy.

- Zawsze?

- Istnieją szaleńcy bez templariuszy, ale ci z templariuszami są najbardziej zdradzieccy. Z początku nie można ich rozpoznać, wydaje się, że mówią normalnie, aż nagle... - Zrobił gest, jakby chciał zamówić jeszcze jedną whisky, ale rozmyślił się i poprosił o rachunek. - À propos templariuszy. Przedwczoraj jakiś osobnik zostawił mi maszynopis na ten temat. Wydaje mi się, że to szaleniec, ale o ludzkim obliczu. Początek tekstu jest spokojny. Zechciałby pan rzucić okiem?

- Chętnie, może znajdę coś dla siebie.

- Prawdę mówiąc, nie sędzę. Ale proszę wpaść do nas, jeśli znajdzie pan wolne pół godzinki. Via Sincero Renato jeden. Będzie to z większym pożytkiem dla mnie niż dla pana. Od ręki dowiem się, czy wygląda to na dzieło wiarygodne.

- Dlaczego chce mi pan zaufać?

- A kto powiedział, że panu ufam? Ale jeśli pan przyjdzie, zaufam. Ufam ciekawości.

Wszedł jakiś student ze wzburzoną twarzą.

- Towarzysze, nad Kanałem pełno faszystów z łańcuchami!

- Zatrzymam ich! -- wykrzyknął facet o tatarskich wąsach, ten sam, który groził mi w związku z Leninem. - Idziemy, towarzysze!

Wszyscy wyszli.

- No jak? Idziemy? - spytałem pełen jeszcze poczucia winy.

- Nie - odparł Belbo. - Takie pogłoski rozpuszcza zawsze



Pilade, żeby opróżnić lokal. Jak na pierwszy wieczór, odkąd rzuciłem picie, czuję się niepewnie. To chyba kryzys związany z abstynencją. Wszystko, co panu powiedziałem, z tym teraz włącznie, jest nieprawdą. Dobranoc, Casaubon.

Jego bezpłodność była nieskończona. Uczestniczył w ekstazach.

Émile Michel Cioran, *Le mauvais demiurge*,  
Gallimard, Paris 1969, „Pensées étran­glées”

Rozmowa u Piladego odsłoniła mi tylko zewnętrzne oblicze Belba. Dobry obserwator potrafiłby przeczuć melancholijną naturę jego sarkazmu. Nie mogę powiedzieć, że była to maska. Może maską były właśnie zwierzenia, na jakie potajemnie sobie pozwalał. Demonstrowany publicznie sarkazm w gruncie rzeczy ujawniał najprawdziwszą melancholię, którą w sekrecie próbował ukryć przed sobą samym, maskując ją melancholią manieryczną.

Patrzę w tej chwili na plik, gdzie w gruncie rzeczy chciał przerobić na powieść to, co o swojej profesji powiedział mi następnego dnia u Garamonda. Odnajduję tu jego przenikliwość, pasję, tęsknotę za nigdy niezrealizowaną twórczością, jego moralny rygoryzm, który nakazywał mu karać samego siebie – gdyż pragnął tego, do czego odmawiał sobie prawa – kreśląc patetyczny i oleodrukowy obraz swojego pragnienia. Nie znałem nikogo, kto potrafiłby w litość nad sobą wnosić taki ładunek pogardy.

---

NAZWA PLIKU: Jim Konopiarz

---

Zobaczyć się jutro z młodym Cintim.

1. Dobra monografia, precyzyjna, być może nieco zbyt akademicka.
2. W zakończeniu wspaniała paralela między Katullusem, *poetae novi* i współczesną awangardą.
3. Dlaczego nie jako wstęp?
4. Przekonać go. Powie, że w serii filologicznej nie ma miejsca na tego rodzaju kaprysy. Jest zależny od szefa; groźba wycofania wstępu, zagrożenie kariery. Błyskotliwa myśl umieszczona na ostatnich dwóch stronach przechodzi

niezauważona, ale na początku rzucalaby się w oczy i mogłaby zirytować moźnych.

5. Ale wystarczy podać ją kursywą w formie obszernej wypowiedzi oderwanej od właściwej rozprawy naukowej, a wtedy hipoteza będzie tylko hipotezą i w niczym nie naruszy powagi tekstu. Natomiast czytelnicy od razu zostaną pozyskani, spojrzą na książkę z innej perspektywy.

Czy jednak w istocie nakłaniam go do gestu wyzwolenia, czy też chcę, by napisał moją książkę?

Zmieniać książki za pomocą dwóch słów. Demiurg, który zajął się nie swoim dziełem. Zamiast wziąć do ręki miękką glinę i ją kształtować, uderzać lekko w stwardniałą, z której ktoś inny ulepił posąg. Odpowiednio puknąć młotkiem, a Mojżesz zaczyna mówić.

Przyjąć w redakcji Williama S.

– Przejrzałem pańskie dzieło, niezłe. Jest w nim napięcie, fantazja, dramaturgia. To pana pierwszy utwór?

– Nie, napisałem już tragedię, to historia dwojga kochanków z Werony, którzy...

– Pomówmy jednak o tym utworze, panie S. Zastanawiam się, dlaczego akcja rozgrywa się we Francji. Dlaczego nie w Danii? Przecież wystarczy niewiele, chodzi o zmianę dwóch czy trzech imion, zamek w Châlons-sur-Marne zastąpić zamkiem, powiedzmy, w Elsynorze... Chodzi o to, że w środowisku nordyckim, protestanckim, gdzie unosi się cień Kierkegarda, wszystkie te napięcia egzystencjalne...

– Może ma pan rację.

– Niewątpliwie. A poza tym potrzebne będą pewne poprawki stylistyczne, ot, przystrzyc tu i ówdzie. Jak u fryzjera... kilka ostatnich ruchów nożyczkami i już podsuwa panu lustro pod kark... Na przykład widmo ojca. Dlaczego umieścił je pan na końcu? Ja przeniósłbym je na początek. By w ten sposób ojcowskie napomnienie od razu zdominowało postępowanie młodego księcia i narzuciło mu konflikt z matką.

– To chyba dobry pomysł, wystarczy przesunąć jedną scenę.

– Otóż to. Wreszcie styl. Weźmy jakiś fragment na chybił trafił, o, choćby ten. Chłopak wychodzi na proscenium i zaczyna tę medytację o działaniu i beczynności. Ten fragment jest naprawdę świetny, ale brak mi tutaj rozmachu. „Działać, nie działać, to wielkie pytanie. Jestli w istocie szlachetniejszą rzeczą znosić pociśki zawistnego losu...”<sup>[1]</sup> Dlaczego niby wielkie pytanie? Powiedziałbym, że jest to problem, że jest to pytanie, pojmuje pan, nie jego problem indywidualny, ale fundamentalne pytanie o egzystencję. By tak rzec, alternatywa między być albo nie być...

Zaludnić świat synami noszącymi inne nazwiska, by nikt nie wiedział, że są twoimi. Jakby być Bogiem w cywilu. Jesteś Bogiem, krążysz po mieście, słuchasz, co ludzie o tobie mówią, Bóg to, Bóg tamto, jaki cudowny jest świat, jaką wyborną rzecz stanowi powszechne ciężenie, a ty uśmieciasz się pod wąsem (trzeba by chodzić z przyklejoną brodą, albo nie, właśnie bez brody, gdyż po brodzie można od razu poznać Pana Boga) i powiadasz sam do siebie (solip-

syzm Boga to coś dramatycznego): „Otom jest, a oni wcale o tym nie wiedzą”. Ktoś potrąca cię na ulicy, nawet znieważa, ty zaś pokornie mówisz przepraszam i idziesz dalej, chociaż jesteś Bogiem, więc gdybyś tylko zechciał, strzeliłbyś palcami i cały świat obróciłby się w proch. Jesteś jednak tak nieskończenie potężny, że możesz sobie pozwolić na dobroć.

Powieść o Bogu incognito. Nie warto, skoro ten pomysł naszedł mnie, przedtem wpadł już na niego ktoś inny.

Wariant. Jesteś autorem, nie wiesz jeszcze, jak wielkim, ludzie, których kochałeś, zdradzili cię, życie straciło dla ciebie sens i pewnego dnia, aby popaść w zapomnienie, ruszasz w rejs na „Titanicu” i zostajesz rozbitkiem na morzach południowych, wyławia cię (jedyne ocalonego) piroga tubylców i długie lata nikt nic o tobie nie wie, spędzasz je na wyspie zamieszkałej wyłącznie przez Papuasów, z dziewczynami, które śpiewają ci tęskne pieśni, kołysząc piersiami ledwie przykrytymi naszyjnikami z kwiatów pua. Zaczynasz się przyzwyczajać, nazywają cię Jim, jak każdego białego, dziewczyna o bursztynowej skórze wchodzi któregoś wieczoru do twojego szałas i oznajmia: „Ja twoja, moja z twoja”. W gruncie rzeczy jest wspaniale, wieczór, leżycie sobie na werandzie, patrząc na Krzyż Południa, i ona gładzi cię po czole.

Żyjesz zgodnie z cyklem świtów i zmierzchów, nic innego cię nie obchodzi. Pewnego dnia przypląwa łódź motorowa z Holendrami, dowiadujesz się, że minęło dziesięć lat, mógłbyś z nimi odpląnąć, ale wahasz się, wołałbyś wymienić orzechy kokosowe na racje żywności, obiecujesz zająć się zbiorami konopi, tubylcy zaczynają dla ciebie pracować, płwasz od wyspy do wyspy, stałeś się dla wszystkich Jimem Konopiarzem. Jakiś awanturnik, zniszczony przez alkohol Portugalczyk, przybywa pracować z tobą i uwalnia się od nałogu, wszyscy na morzu mówią teraz o tobie Flores, udzielasz rad maharadzy Brunei w sprawie kampanii przeciwko Dajakom znad rzeki, udaje ci się uruchomić stare działo z czasów Tippto Sahiba, naładowane gwoździami, szkolisz oddział oddanych Malajów o zębach czarnych od żucia betelu. W starciu koło rafy koralowej stary Sampan o zębach poczerniałych od betelu osłania cię własnym ciałem. „Jestem szczęśliwy, że umieram dla ciebie, Jimie Konopiarzu”. „Stary Sampanie, mój przyjacielu”.

Jesteś teraz sławny na całym archipelagu między Sumatrą a Port-au-Prince, prowadzisz rokowania z Anglikami, w kapitanacie Port Darwin zostałeś zarejestrowany jako Kurtz i teraz jesteś Kurtzem dla wszystkich – ale Jimem Konopiarzem dla tubylców. Pewnego dnia, kiedy dziewczyna pieści cię na werandzie, a Krzyż Południa błyszczący jak nigdy dotąd, ojej, jaki niepodobny do Niedźwiedzi-cy, już wiesz: chcesz wrócić. Tylko na chwilę, żeby zobaczyć, co tam z ciebie jeszcze zostało.

Wsiadasz na jacht motorowy, dopływasz do Manili, stamtąd śmigłowcem na Bali. Później Samoa, Wyspy Admiralicji, Singapur, Tananariwa, Timbuktu, Aleppo, Samarkanda, Basra, Malta – i już jesteś w domu.

Minęło osiemnaście lat, życie odcisnęło na tobie swój ślad, twarz masz ogorzałą od pasatów, jesteś starszy, ale może przystojniejszy. I natychmiast po

przybyciu widzisz na wystawach wszystkie twoje książki w wydaniach krytycznych, twoje nazwisko umieszczono nad wejściem do starej szkoły, w której uczyłeś się czytać i pisać. Jesteś Wielkim Zmarłym Poetą, sumieniem swojego pokolenia. Romantyczne dziewczęta popełniają samobójstwo na twoim pustym grobie.

A potem spotykam ciebie, moja ukochana, masz mnóstwo zmarszczek wokół oczu i piękną jeszcze twarz znękaną wspomnieniami i tkliwymi wyrzutami sumienia. Prawie otarłem się o ciebie na schodach, z odległości dwóch kroków popatrzyłaś na mnie, jak patrzysz na wszystkich, wypatrując poprzez ich cień kogoś innego. Mógłbym odezwać się, przekreślić czas. Ale po co? Czyż nie miałem tego, co chciałem? Jestem Bogiem, ta sama samotność, ta sama pycha, ta sama rozpacz, że nie jestem jednym ze swoich stworzeń – jak wszyscy. Wszyscy żyją w moim świetle, a ja żyję w nieznośnym iskrzeniu moich mroków.

Ruszaj w świat, Williamie S.! Jesteś sławny, przechodzisz obok i nie poznajesz mnie. Szepczę: być albo nie być, i mówię sobie: brawo, Belbo, świetna robota. Idę, stary Williamie S., odebrać swoją część chwały: ty tylko tworzyłeś, ja cię poprawiłem.

Nas, którzy pomagamy przy porodzie innym, podobnie jak aktorów, nie powinno się grzebać w poświęconej ziemi. Ale aktorzy udają, że świat, taki jaki jest, toczy się w odmienny sposób, podczas gdy my udajemy, że nieskończony wszechświat i jego światy kryją mnóstwo możliwości...

Jak to się dzieje, że do tego stopnia szczodre jest to życie, które zapewnia tak wzniosłą nagrodę za przeciętność.

---

---

[1] Por. William Szekspir, *Hamlet*, III, 1, przeł. Józef Paszkowski.

Sub umbra alarum tuarum, Jehova.

*Fama Fraternitatis*, w: *Allgemeine und general Reformation*,  
Wessel, Cassel 1614, zakończenie

Następnego dnia udałem się do Garamonda. Pod numerem jeden przy via Sincero Renato wszedłem do zakurzonej sieni, z której widać było podwórko i warsztat szewca. Skręcając na prawo, trafiało się wprost na windę, która mogłaby się znaleźć w pawilonie archeologii przemysłowej i która, kiedy spróbowałem z niej skorzystać, podskoczyła podejrzanie kilka razy, lecz nie wystartowała. Na wszelki wypadek wysiadłem i pokonałem prawie kręte, drewniane, dość zakurzone schody. Jak dowiedziałem się później, pan Garamond lubił tę siedzibę, gdyż przypominała wydawnictwa francuskie. Na piętrze zobaczyłem tabliczkę „Wydawnictwo Garamond S.A.”; otwarte drzwi prowadziły do sieni bez śladu centrali telefonicznej i portiera. Ale każdego, kto tu przychodził, widać było z małego pomieszczenia, przez które przechodziło się do biura, toteż natychmiast zaczęła mnie jakaś osoba płci prawdopodobnie żeńskiej, w nieokreślonym wieku i wzrostu poniżej średniej, jakby to określił miłośnik eufemizmów.

Zagadała do mnie w języku, który gdzieś już musiałem słyszeć, lecz nie pojąłem, iż chodzi o włoski pozbawiony prawie wszystkich samogłosek. Zapytałem o Belba. Kazała mi chwilę poczekać, a później zaprowadziła korytarzem do gabinetu mieszczącego się w głębi amfilady.

Belbo przyjął mnie uprzejmie.

– Jest więc pan człowiekiem poważnym. Proszę wejść.

Poprosił, żebym usiadł przed jego biurkiem, równie starym jak wszystko tutaj, zawalonym maszynopisami, podobnie jak półki pod ścianami.

- Chyba nie przestraszył się pan Gudrun?

- Gudrun? Chodzi o tę... panią?

- Pannę. Nie nazywa się Gudrun. Nazywamy ją tak z powodu jej nibeluńskiego wyglądu i jakby teutońskiej wymowy. Chce powiedzieć wszystko od razu i oszczędza na samogłoskach. Ale ma wycucie *iustitia aequatrix*: kiedy pisze na maszynie, skąpi spółgłosek.

- Co tutaj robi?

- Niestety, wszystko. Widzi pan, w każdym wydawnictwie niezbędny jest ktoś taki, jedyna osoba zdolna odnaleźć rzeczy w bałaganie, który sama wytwarza. Ale przynajmniej kiedy ginie maszynopis, wiadomo, czyja to wina.

- Gubi nawet maszynopisy?

- Nie częściej niż inni. W wydawnictwie wszyscy gubią maszynopisy. Sądzę, że stanowi to główny przejaw działalności. Ale potrzebny jest kozioł ofiarny, prawda? Mam jej za złe jedynie to, że nie gubi tych, które chciałbym zgubić. To przykre perypetie procesu *the advancement of learning*, jak to określił Bacon.

- Gdzie się jednak podziewają?

Rozłożył ramiona.

- Proszę wybaczyć, ale zdaje pan sobie sprawę, jak niemądre jest to pytanie? Gdybyśmy wiedzieli gdzie, nie byłyby zagubione.

- To logiczne - przyznałem. - Ale proszę posłuchać. Kiedy wpada mi w ręce książka Garamonda, mam wrażenie, że są to edycje bardzo pieczołowicie przygotowane, a i wasz kata-

log jest bogaty. Wszystko robicie tutaj? W ilu?

- Od frontu jest pokój, w którym pracuje redakcja techniczna, a obok mój kolega, Diotallevi. Ale on ma w swojej pieczy podręczniki, dzieła trwałe, czasochłonne, jeśli chodzi i o opracowanie, i o sprzedaż, to znaczy takie, które długo się sprzedaje. Publikacjami akademickimi zajmuję się ja. Nie powinien pan jednak sądzić, że to jakaś ogromna praca. Mój Boże, niektórymi książkami się pasjonuję, muszę wprowadzić czytać maszynopisy, ale na ogół chodzi o dzieła gwarantowane pod względem finansowym i naukowym. Publikacje instytutu takiego a takiego albo dokumenty konferencji, opracowane i finansowane przez instytuty uniwersyteckie. Jeśli autor jest debiutantem, jego mistrz pisze przedmowę i na niego spada cała odpowiedzialność. Autor dokonuje przynajmniej dwóch korekt, sprawdza cytaty i przypisy i nie zastrzega sobie praw autorskich. Potem przyjmuje się książkę, przez kilka lat sprzedaje się tysiąc albo dwa tysiące egzemplarzy, koszty się zwracają... żadnych niespodzianek, każdą książkę zapisujemy po stronie aktywów.

- Co więc pan robi?

- Mnóstwo rzeczy. Przede wszystkim trzeba wybierać książki. Poza tym niektóre tytuły wydajemy na nasz koszt, prawie zawsze chodzi o przekłady szacownych autorów, których warto mieć w katalogu. A wreszcie ludzie przysyłają rękopisy. Rzadko zdarza się coś godnego uwagi, ale przejrzeć trzeba, bo nigdy nie wiadomo.

- Bawi pana ta praca?

- Czy mnie bawi? To jedyna rzecz, jaką umiem robić dobrze.

Przeszkodził nam w rozmowie jakiś ubrany w za dużą



o kilka numerów marynarkę, na oko czterdziestoletni facet, któremu jasne włosy opadały na krzaczaste brwi o tym samym odcieniu. Mówił miękkim głosem, jakby pouczał dziecko.

- Strasznie mnie zmordowało to Vademecum podatnika. Powinienem napisać wszystko od nowa, a nie mam na to najmniejszej ochoty. Przeszkadzam?

- To Diotallevi -- wyjaśnił Belbo i przedstawił nas sobie.

- Ach, przyszedł pan rzucić okiem na templariuszy? Współczuję. Posłuchaj, wpadło mi do głowy coś wyśmienitego: „Urbanistyka cygańska”.

- Wspaniale - przyznał zachwycony Belbo. - Ja myślałem o „Hipice azteckiej”.

- Wybornie. Ale umieścisz to w Potiosekcji czy wśród Adynata?

- Trzeba się zastanowić - odparł Belbo. Poszperał w szufladzie i wyciągnął jakieś kartki. - Potiosekcja... - Popatrzył na mnie i dostrzegł moje zaciekawienie. -- Jak pan wie, to sztuka krojenia rosołu. Ależ nie. - Zwrócił się z powrotem w stronę Diotalleviego. - Potiosekcja to nie dział, ale temat, jak awunkulogratalacje mechaniczne oraz pilokatabaza, które mają wszak swoje miejsca w dziale tetrapiloktomii.

- Co to jest tetralo... - wyrwałem się z pytaniem.

- To sztuka dzielenia włosa na czworo. Ten dział zawiera naukę zbędnych technik, na przykład awunkulogratalacja mechaniczna zajmuje się budowaniem maszyn do kłaniania się cioci. Nie jesteśmy pewni, czy należy zostawić w tym dziale pilokatabazę, czyli sztukę unikania o włos, która nie wydaje się wcale umiejętnością zbędną. Czyż nie mam racji?

- Proszę powiedzieć mi, o co tu chodzi... - zacząłem

błagać.

- Rzecz w tym, że Diotallevi i ja planujemy reformę wiedzy. Chodzi o fakultet Irrelewancji Porównawczej, gdzie studiuje się materie zbędne albo niemożliwe. Fakultet stawia sobie za cel kształcenie badaczy, potrafiących zwiększać w nieskończoność liczbę zagadnień irrelevantnych.

- Ile jest działów?

- Na razie cztery, ale możemy w nie ująć całość ludzkiej wiedzy. Dział Tetrapiloktomii ma charakter propedeutyczny, wprowadza w sens irrelewancji. Ważnym działem są Adynata albo Impossibilia. Na przykład urbanistyka cygańska albo hipika aztecka... Istotą każdej dyscypliny jest zrozumienie głębokich racji jej irrelewancji, a w przypadku działu Adynata również jej niemożliwości. Dlatego właśnie morfematyka alfabetu Morse'a, historia rolnictwa antarktycznego, historia malarstwa na Wyspie Wielkanocnej, współczesna literatura sumeryjska, wprowadzenie decymologii w systemie Montessori, filatelistyka asyro-babilońska, technika koła w imperiach prekolumbijskich, ikonologia Braille'a, fonetyka filmu niemego...

- Co by pan powiedział o psychologii tłumu na Saharze?

- Dobrze - oznajmił Belbo.

- Dobrze - potwierdził z przekonaniem Diotallevi. - Powinien pan z nami współpracować. Temu młodzieńcowi nie brak oleju w głowie, prawda, Jacopo?

- Owszem, dostrzegłem to od razu. Wczoraj wieczorem z wielką przenikliwością konstruował niedorzeczne rozumowania. Skoro jednak nasz zamysł go interesuje, kontynuujmy. Co umieściliśmy w dziale Oksymoryka, którego właśnie nie mogę znaleźć?

Diotallewi wygrzebał z kieszeni jakąś kartkę i przyjrzał mi się bacznie, lecz z sympatią.

- W Oksymoryce, jak mówi sama nazwa, liczy się wewnętrzna sprzeczność danej dyscypliny. Dlatego urbanistyka cygańska powinna znaleźć się właśnie w tym dziale...

- Nie - zaprzeczył Belbo. - Owszem, gdyby to była urbanistyka nomadów. Adynata obejmują rzeczy niemożliwe empirycznie, natomiast Oksymoryka sprzeczność w tych samych terminach.

- Zobaczmy. Cóż takiego znalazło się w Oksymoryce? Mam, instytucje rewolucyjne, dynamika Permenidesa, statyka Heraklita, sybarytyzm spartański, instytucje oligarchii ludowej, historia tradycji innowacyjnych, dialektyka tautologiczna, erystyka boole'owska...

Teraz poczułem się na siłach, żeby pokazać, z jakiej gliny jestem ulepiony.

- Czy mogę zaproponować gramatykę wyjątków?

- Wspaniale, wspaniale! - wykrzyknęli obaj i przystąpili do notowania.

- Mam pewną wątpliwość - oznajmiłem.

- Jaką?

- Jeśli rozgłosicie, panowie, o waszym planie, zbiegnie się cały tłum ludzi z wiarygodnymi publikacjami.

- A nie mówiłem, że temu chłopakowi nie brak oleju w głowie, Jacopo? - rzekł Diotallevi. - Czy jednak zdaje sobie pan sprawę z faktu, że właśnie na tym polega kłopot? Nie chcący nakreśliliśmy wyidealizowany profil rzeczywistej wiedzy. Wykazaliśmy, że wszystko, co możliwe, jest niezbędne. Przeto trzeba będzie milczeć. Muszę już iść.

- Dokąd to? - spytał Belbo.

- Jest przecież piątek po południu.

- O Chryste przenajświętszy! - wykrzyknął Belbo. I zwrócił się w moją stronę. - Naprzeciwko są dwa albo trzy domy zamieszkane przez ortodoksyjnych Żydów, wie pan, tych w czarnych kapeluszach, z brodami i pejsami. Niewielu ich w Mediolanie. Dzisiaj jest piątek i o zmierzchu zaczyna się szabas. Tak więc w mieszkaniu naprzeciwko podejmują przygotowania, polerują świeczniki, gotują potrawy, układają wszystko tak, żeby jutro nie musieli rozpalać ognia. Nawet telewizor jest przez całą noc włączony, tyle że od razu muszą wybrać kanał. Nasz Diotallevi ma małą lunetę i bezwstydnie podgląda ich przez okno, rozkoszując się marzeniem, że przebywa po drugiej stronie ulicy.

- Dlaczego?

- Bo nasz Diotallevi upiera się przy twierdzeniu, że jest Żydem.

- Jak to upieram się? - spytał dotknięty do żywego Diotallevi. - Jestem Żydem. Casaubon, czy ma pan coś przeciwko temu?

- Chyba pan wie.

- Diotallevi - stwierdził stanowczo Belbo - nie jesteś Żydem.

- Nie? A moje nazwisko? Jak Graziadio, Diosiacontè, wszystko tłumaczenia z hebrajskiego, nazwiska z getta, jak Szalom Alejchem.

- Diotallevi to nazwisko mające przynieść szczęście, często nadawane przez urzędników miejskich podrzutkom. A twój dziadek był właśnie podrzutkiem.

- Podrzutkiem żydowskim.

- Diotallevi, masz różową cerę, gardłowy głos i jesteś pra-

wie albinosem.

- Są króliki albinosy, więc także wśród Żydów muszą zdarzać się albinosi.

- Nie można postanowić, że będzie się Żydem, tak jak człowiek postanawia, że będzie filatelistą albo świadkiem Jehowy. Żydem trzeba się urodzić. Pogódź się z tym, jesteś jednym z mnóstwa pogan.

- Zostałem obrzezany.

- Daj pokój! Każdy może kazać się obrzezać ze względów higienicznych. Wystarczy do tego lekarz z żegadłem. W jakim wieku kazałeś się obrzezać?

- I po co te subtelności?

- Owszem, są jak najbardziej na miejscu. Żyd wdaje się w subtelności.

- Nikt nie udowodni, że mój dziadek nie był Żydem.

- Z pewnością, był przecież podrzutkiem. Ale mógł być równie dobrze następcą tronu bizantyjskiego albo bękartem Habsburgów.

- Nikt nie może dowieść, że dziadek nie był Żydem, a zresztą znaleziono go koło Portico d'Ottavia.

- Ale twoja babcia nie była Żydówką, a przynależność do tego narodu liczy się po linii żeńskiej...

- ...A poza racjami wynikającymi ze spisów ludności, bo przecież nawet rejestry miejskie można czytać między wierszami, są jeszcze racje krwi, i krew mi powiada, że mój sposób myślenia jest całkowicie talmudyczny. Byłoby więc z twojej strony zwykłym rasizmem, gdybyś utrzymywał, iż rodowity Włoch może być równie talmudyczny jak ja.

Wszedł. Belbo powiedział:

- Proszę nam wybaczyć. Ten spór powtarza się niemal co-

dziennie, tyle że każdego dnia staram się przedstawić jakiś nowy argument. Faktem jest, że Diotallevi to wielbiciel Kabały. Ale nie brak kabalistów także wśród chrześcijan. A zresztą, Casaubon, jeśli Diotallevi chce być Żydem, nie mogę mu tego zabronić.

- Chyba nie. Jesteśmy przecież demokratami.

- Jesteśmy demokratami.

Zapalił papierosa. Przypomniałem sobie, po co tu przyszedłem.

- Miał pan dla mnie jakiś maszynopis o templariuszach - powiedziałem.

-- A, prawda... Był w teczce z imitacji skóry...

Zaczął szukać w stosie rękopisów, a potem spróbował wydobyć jeden z nich, tkwiący w połowie wysokości, starając się nie zwalić pozostałych. Ryzykowne przedsięwzięcie. Rzeczywiście, część stosu runęła na podłogę. Belbo trzymał w rękach teczkę z imitacji skóry. Rzuciłem okiem na spis rzeczy i wprowadzenie.

- Dotyczy uwięzienia templariuszy. W tysiąc trzysta siódmym roku Filip Piękny postanawia aresztować wszystkich templariuszy we Francji. Legenda mówi, że na dwa dni przed wydaniem rozkazów dotyczących uwięzienia jakiś wóz z sianem, zaprzężony w woły, wyjechał z klasztoru templariuszy w Paryżu i udał się w nieznanym kierunku. Powiada się, że był to oddział rycerzy pod wodzą niejakiego Aumonta, że schronili się w Szkocji i dali początek łązy mularskiej w Kilwinning. Według legendy rycerze stopili się w jedno z bractwem mularzy, które przechowywało tajemnice Świątyni Salomona. Mogłem się tego spodziewać. Jeszcze jeden, który sądzi, że poprzez tę ucieczkę do Szkocji wyjaśnił problem

początków masonerii. Ta teoria liczy sobie dwa wieki i wzięła się z czystej fantazji. Żadnych dowodów, ale mógłbym rzucić na stół dobre pięćdziesiąt broszur relacjonujących tę samą, ciągle na nowo przepisywaną historię. Proszę tylko posłuchać, otworzyłem na chybił trafił: „Autentyczność wyprawy szkockiej została potwierdzona przez fakt, że po dziś dzień, chociaż minęło sześćset pięćdziesiąt lat, istnieją tajne zakony, które powołują się na Milicję Świątyni. Jak inaczej wyjaśnić ciągłość tej spuścizny?” Pojmuje pan, w czym rzecz? Jak może nie istnieć markiz de Carabas, skoro nawet kot w butach twierdzi, że jest u niego na służbie?

- Pojąłem -- oznajmił Belbo. - Pozbędę się go. Ale zainteresowała mnie ta opowieść o templariuszach. Skoro mam pod ręką eksperta, nie pozwolę, żeby mi się wymknął. Dlaczego wszyscy mówią o templariuszach, nie zaś o kawalerach maltańskich? Nie, nie teraz. Jest już późno. Diotallevi i ja musimy iść wkrótce na kolację do pana Garamonda. Ale skończy się to gdzieś o wpół do jedenastej. Postaram się namówić również Diotalleviego i wpadniemy do Piladego - zwykle chodzi wcześniej spać i jest abstynentem. Zastanę tam pana?

- A gdzież by indziej? Należę do zagubionego pokolenia i odnajduję się dopiero, kiedy towarzyszę samotności innych podobnych do mnie.

Li frere, li mestre du Temple  
 Qu'estoient rempli et ample  
 D'or et d'argent et de richesse  
 Et qui menoient tel noblesse,  
 Où sont il? que sont devenu?

*Chronique à la suite du roman de Favel*

*Et in Arcadia ego.* Pilade był tego wieczoru wizerunkiem złotego wieku. Jednego z tych wieczorów, kiedy czułem, że Rewolucja nie tylko się dokona, ale będzie wsparta przez związki zawodowe. Jedynie u Piladego można było ujrzeć właściciela przędzalni, brodatego i w podkoszulku, jak drwi z Amerykanina o niepewnej przyszłości, w dwurzędówce i w krawacie. Byliśmy u progu wielkiego obalenia paradygmatów. Jeszcze na początku lat sześćdziesiątych broda była faszystowska – należało jednak zarysować jej kształt, wygalając policzki jak Italo Balbo – ale w roku sześćdziesiątym ósmym stała się kontestacyjna, teraz zaś jest neutralna i powszechna, oznacza wybór wolności. Broda zawsze była maską (ludzie przyklepiają wszak sobie fałszywą brodę, żeby ich nie rozpoznano), lecz na początku lat siedemdziesiątych można było się maskować za pomocą brody prawdziwej. Można było kłamać, mówiąc prawdę, a nawet doprowadzając do tego, że prawda stawała się zagadkowa, że wymykała się, albowiem broda nie pozwalała już na wyciąganie wniosków co do ideologii brodacza. Ale tego wieczoru broda pyszniła się nawet na wygolonych twarzach tych, którzy nie nosząc jej zgoła, dawali jednak do zrozumienia, że mogliby ją zapuścić, a zrezygnowali z tego, bo w ten właśnie sposób rzucali wyzwanie.



Odbiegam od tematu. W pewnym momencie przyszli Belbo i Diotallevi, z kwaśnymi minami wymieniając cierpkie komentarze dotyczące zakończonej właśnie kolacji. Dopiero później się dowiedziałem, jakie są kolacje u pana Garamonda.

Belbo od razu przeszedł do swoich ulubionych napojów wyskokowych, a zagubiony Diotallevi długo się zastanawiał, aż wreszcie wybrał tonik. Znaleźliśmy stolik w głębi, dopiero co zwolniony przez dwóch tramwajarzy, którzy następnego dnia musieli wstać wcześniej do pracy.

- No więc ci templariusze... - zaczął Diotallevi.

- Och, nie, łaski... Możecie o tym przeczytać gdziekolwiek...

- Jesteśmy zwolennikami przekazu ustnego - oznajmił Belbo.

- Jest bardziej mistyczny - dodał Diotallevi. - Bóg stworzył świat, wypowiadając słowa, nie zaś nadając telegram.

- *Fiat lux*. Stop. List w drodze - rzekł Belbo.

- Zapewne do Tesaloniczan - dorzuciłem.

- Templariusze - nalegał Belbo.

- No więc... - zacząłem.

- Nie zaczyna się zdania od „no więc” - sprzeciwił się Diotallevi.

Udałem, że wstaję. Spodziewałem się, że będą mnie powstrzymywać. Nic z tego. Usiadłem i zacząłem mówić:

- Historię chyba wszyscy znają. Mamy pierwszą krucjatę. Gotfryd adoruje grób i spełnia śluby, Baldwin zostaje pierwszym królem Jerozolimy. Chrześcijańskie królestwo w Ziemi Świętej. Jednak utrzymać w ręku Jerozolimę to jedno, a resztę Palestyny to drugie. Saracenów podbito, ale nie zli-

kwidowano. Życie na tamtych terenach nie jest łatwe ani dla osadników, ani dla pielgrzymów. I oto w tysiąc sto osiemnastym roku, za Baldwina II, przybywa dziewięć osób pod wodzą niejakiego Hugona z Payns i zakłada zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa, zakon mnichów, ale z mieczem i w zbroi. Trzy tradycyjne śluby, ubóstwa, czystości, posłuszeństwa, a ponadto ślub, że będzie się stawało w obronie pielgrzymów. Król, biskup, wszyscy w Jerozolimie udzielają od razu wsparcia finansowego, wyznaczają kwaterę w obrębie dawnej Świątyni Salomona. W ten sposób przybysze stają się rycerzami Świątyni.

- Kim są?

- Hugon i ośmiu pierwszych to prawdopodobnie idealisci przeniknięci mistyką krucjaty. Ale potem będą to zawodowi żołnierze, poszukiwacze przygód. Nowe królestwo jerozolimskie to trochę jakby ówczesna Kalifornia, czeka tam fortuna. U siebie w domu nie mają zbyt wielkich perspektyw, może są wśród nich tacy, którzy snują wielkie plany. Ja o całej tej sprawie myślę w kategoriach Legii Cudzoziemskiej. Co zrobić, jeśli człowiek znajdzie się w tarapatach? Zostać templariuszem: są możliwości nowych stanowisk, można się zabić, trafiają się okazje do bitki, odziewają cię, karmią, a na dodatek zbawiasz jeszcze duszę. Z pewnością musisz być raczej desperatem; trzeba przecież wyprawiać się na pustynię, spać pod namiotem, całymi dniami widywać tylko innych templariuszy i od czasu do czasu jakąś turecką gębę, galopować w słońcu, cierpieć pragnienie, rozpruwać brzuchy innym nieszczęśnikom...

Przerwałem na chwilę.

- Być może zabrzmiało to za bardzo jak z westernu.

Następuje prawdopodobnie trzecia faza: zakon stał się potężny, wstępuje się do niego, nawet mając dobrą pozycję w ojczyźnie. Ale w tym momencie być templariuszem nie oznacza już koniecznie znojnego żywota w Ziemi Świętej, można być templariuszem także u siebie. To złożona sprawa. Raz robią wrażenie żołdaków, innym znów razem przejawiają pewną wrażliwość. Nie można na przykład powiedzieć, że byli rasistami: zwalczają muzułmanów, po to tam byli, ale w duchu rycerskim, a czasem są godni podziwu. Kiedy poseł emira Damaszku odwiedza Jerozolimę, templariusze wskazują mu mały meczet, przerobiony poprzednio na chrześcijański kościół, i proponują, aby tam odbywał swoje nabożne praktyki. Pewnego dnia wchodzi jakiś Frank; gorszy się, widząc muzułmanina w świętym miejscu, i obchodzi się z nim źle. Templariusze wypędzają nietolerancyjnego Franka i przeproszą muzułmanina. To braterstwo broni z nieprzyjacielem doprowadzi ich z czasem do ruiny, gdyż podczas procesu będą oskarżani między innymi o kontakty z tajemnymi sektami muzułmańskimi. Być może jest w tym ziarno prawdy, to trochę tak jak z tymi dziewiętnastowiecznymi awanturnikami, którzy zaczynają chorować na Afrykę; przecież templariusze nie mają regularnego przygotowania monastycznego, nie są dosyć subtelni, żeby uchwycić odmienności teologiczne. Spróbujcie wyobrazić ich sobie na podobieństwo Lawrence'a z Arabii; już wkrótce przywdziewają szaty szejka... Ale właściwie trudno jest cenić ich czyny, ponieważ historycy chrześcijańscy, jak na przykład Wilhelm z Tyru, nie przepuszczają żadnej okazji, żeby ich oczernić.

- Dlaczego?

- Bo stają się zbyt potężni i zbyt im się spieszy. Wszystko

zaczyna się wraz ze świętym Bernardem. Wiecie chyba, kim był święty Bernard. Wielki organizator, reformuje zakon benedyktyński, usuwa z kościołów ozdoby; kiedy jakiś kolega zaczyna mu działać na nerwy, jak na przykład Abelard, atakuje w stylu McCarthy'ego i gdyby tylko mógł, zaprowadziłby go na stos. Ponieważ nie może, każe spalić jego książki. Potem głosi krucjatę, zbroimy się i huzia na wroga...

- Nie przepada pan za nim - zauważył Belbo.

- Tak, nie cierpię go. Gdyby to ode mnie zależało, skończyłby w najgorszych kręgach, nader odległych od świętości. Ale znał się na reklamie, zobaczcie tylko, jaką przysługę oddał mu Dante, mianując szefem gabinetu Matki Boskiej. Od razu zostaje świętym, gdyż podlizywał się właściwym ludziom. Ale mówiłem o templariuszach. Bernard natomiast spostrzega, że warto tę ideę kontynuować, i popiera dziewięciu awanturników, przekształcając ich w Militia Christi. Powiedzmy nawet, iż to właśnie jego wynalazkiem są templariusze w wersji heroicznej. W tysiąc sto dwudziestym ósmym roku doprowadza do soboru w Troyes właśnie po to, żeby określić, czym są ci nowi żołnierze-mnisi, a kilka lat później pisze pochwałę tej Milicji Chrystusowej i przygotowuje liczącą siedemdziesiąt dwa artykuły regułę, której lektura daje niezłą zabawę, bo jest to istny groch z kapustą. Codzienna msza, zakaz spotykania się z ekskomunikowanymi żołnierzami; jeśli jednak któryś z nich pragnie wstąpić do Templum, należy przyjąć go po chrześcijańsku -- sami widzicie, że miałem rację, kiedy mówiłem o Legii Cudzoziemskiej. Nosili białe proste płaszcze bez błamu, chyba że był jagnięcy lub owczy, obowiązywał zakaz wkładania modnych wtedy wywiniętych i wąskich trzewików. Śpi się w koszuli i gaciach;

materac, prześcieradło i pled...

- Przy tym skwarze musiało nieźle śmierdzieć... - zauważył Belbo.

-- Do smrodu jeszcze wrócimy. Reguła narzuca dalsze umartwienia: jedna misa na dwóch, je się w milczeniu, mięso trzy razy w tygodniu, pokuta w piątki, wstawanie o świcie; jeśli praca była męcząca, przyznaje się dodatkową godzinę snu, ale w zamian trzeba odmówić w łóżku trzynastie razy Pater. Mamy mistrza, cały szereg niższych zwierzchników, aż po serwientów, giermków, famulusów i służących. Każdy rycerz posiada trzy konie i giermka, żadnych luksusowych ozdób przy uprzęży, siodle i ostrogach, broń prosta, ale dobra, zakaz polowania na wszelką zwierzynę oprócz lwów -- jednym słowem, życie wypełnione pokutą i walką. Nie mówiąc o ślubie czystości, na który kładzie się szczególny nacisk, gdyż chodziło o ludzi przebywających poza klasztorem, uprawiających rzemiosło wojenne, żyjących pośród świata, jeśli światem nazwiemy kłębowisko, jakim musiała być w owych czasach Ziemia Święta. W sumie reguła powiada, że towarzystwo niewiasty jest bardzo niebezpieczne i można pocałować jedynie matkę, siostrę i ciotkę.

Belbo poczuł wątpliwości.

- Pięknie, ale z ciotką byłbym ostrożniejszy... Czy templariusze nie zostali, o ile dobrze pamiętam, oskarżeni o sodomię? Jest książka Klossowskiego *Bafomet*. Kimże był Bafomet, ich diabelskim bóstwem, czy nie tak?

- Właśnie do tego dochodzę. Ale pomyślcie tylko. Pędzili życie marynarskie, całe miesiące na pustyni. Przebywasz w domu diabła, nocą układasz się do snu z kimś, z kim jadłeś z jednej misy, czujesz chłód, pragnienie, strach i chciałbyś do

mamy. Cóż robisz?

- Męska miłość, legion tebański - odpowiedział Belbo.

- Jakież piekielne życie między innymi śmiałkami, którzy nie składali ślubu! Kiedy zdobywają jakieś miasto i gwałcą czarnulkę o bursztynowym brzuchu i aksamitnych oczach, cóż czyni templariusz wśród woni cedrów Libanu? Pozostawcie mu brunecika. Rozumiecie teraz, dlaczego upowszechnia się powiedzenie „pić i kłać jak templariusz”? To trochę jak z kapłanem w okopach: pije grappę i przeklina razem ze swoimi żołnierzami analfabetami. Już to by wystarczyło. Pieczęć przedstawia zawsze dwóch templariuszy, jednego za drugim na grzbiecie konia. Dlaczego, skoro reguła pozwala każdemu na posiadanie trzech koni? Musiał to być pomysł Bernarda, symbol ich ubóstwa albo podwójnej roli mnichów i rycerzy. Ale zdajecie sobie sprawę, jakie to budzi domysły i co mówi się o tych mnichach, którzy pędzą na złamanie karku, przy czym jeden wtula brzuch w pośladki drugiego. Będą więc szkalowani...

- ...ale sami sobie są winni -- skomentował Belbo. - Czy ten święty Bernard był głupi, czy co?

- O nie, głupi wcale nie był. Ale to także mnich, a w owych czasach mnich miał swoje dziwaczne wyobrażenie o ciele... Przed chwilą bałem się już, że zbyt przesuwam swoją opowieść w stronę westernu, ale kiedy dobrze się nad tym zastanowić, posłuchajcie sami, co mówi Bernard o swoich ulubionych rycerzach. Przyniosłem cytat, bo warto się z nim zapoznać: „Trzymają się z daleka i odwracają ze wstrętem od mimów, prestidigitatorów, linoskoczków, niestosownych piosnek i farsy, strzygą krótko włosy, wiedzą bowiem od apostoła, że jest dla mężczyzny sromotą dbać o swoją fryzurę.

Nigdy nie można zobaczyć ich ufryzowanych, a rzadko umytych, noszą brody nieuczesane, cuchną kurzem, są brudni przez zbroję i z powodu upału”.

- Nie chciałbym znaleźć się w ich kwaterze - oznajmił Belbo.

Diotallewi zawyrokował:

- Pustelnik zawsze kultywował zdrowy brud, żeby upokorzyć ciało. Czy to nie święty Makary mieszkał na słupie, a kiedy robaki spadały mu z grzbietu, zbierał je i umieszczał z powrotem na ciele, aby one także miały ucztę należną bożemu stworzeniu?

- Stylitą był święty Szymon - wyjaśnił Belbo - i jak mi się zdaje, tkwił na słupie, żeby pluć z góry na tych, którzy tamtędy przechodzili.

- Czuję wstręt do ducha oświecenia - oświadczył Diotallewi. -- Tak czy owak, Makary czy Szymon, był słupnik z robakami i jego właśnie mam na myśli, ale nie jestem autorytetem w tej materii, gdyż nie zajmuję się szaleństwami pogan.

- Twoi rabini z Gerony byli czyści - rzekł Belbo.

- Mieszkali w ohydnych rudkach, gdyż to wy, poganie, zamykaliście ich w gettach. Natomiast templariusze żyli w brudzie z zamiłowania.

- Nie dramatyzujmy - wtrąciłem się. - Czy widzieliście kiedy pluton rekrutów po odbyciu marszu? Opowiedziałem to wszystko, żebyście zrozumieli, jakie sprzeczności tkwiły w templariuszu. Miał być mistyczny, ascetyczny, nie jeść, nie pić, nie pieprzyć, ale kroczyć przez pustynię, ucinać głowy nieprzyjaciołom Chrystusa, a im więcej ich zetnie, tym więcej będzie miał kuponów do raju; śmierdzi, jest na co dzień kudłaty, a poza tym Bernard żąda, żeby po zdobyciu miasta

nie rzucał się na dziewczynki czy staruszki i żeby w beksiężycowe noce, kiedy, jak wiadomo, samum wieje przez pustynię, nie korzystał z drobnej przysługi ze strony ulubionego komilitona. Jak być mnichem i zabijaką, rozpruwać brzuchy i recytować Ave Maria? Nie masz prawa spojrzeć na oblicze swojej kuzyneczki, a potem, po wielu dniach obłączenia, wkra-  
czasz do miasta, wspaniałe Sulamitki odsłaniają piersi i mówią: weź mnie, weź, ale zachowaj przy życiu... Nic z tego, templariusz musi pozostać twardy, śmierdzący, rozkudłany, jak chciał tego święty Bernard, i odmawiać komplety... Z drugiej strony wystarczy przeczytać *Retraits*...

- Co to takiego?

- Statuty zakonne, spisane dosyć późno, powiedzmy, kiedy zakon przebrał się już w miękkie pantofle. Nie ma nic gorszego niż wojsko, które się nudzi, gdyż wojna dobiegła końca. Na przykład jeden z punktów zabrania bijatyk, zranienia chrześcijanina z zemsty, obcowania z niewiastą, obmawiania brata. Nie można stracić niewolnika, wpadać w gniew i mówić „pójdę do Saracenów”, zagubić przez niedbalstwo konia, podarować komuś zwierzęcia, z wyjątkiem psów i kotów, oddalać się bez pozwolenia, złamać pieczęci mistrza, porzucić posterunku w nocy, pożyczać zakonnych pieniędzy bez pozwolenia, ciskać ze złości odzieży na ziemię.

- Z systemu zakazów można wywnioskować, co ludzie zwykle czynią - oznajmił Belbo. - Daje to pojęcie o codziennym życiu.

- Pomyślmy - rzekł Diotallevi. - Templariusz rozżłoszczony czymś, co bracia mu powiedzieli albo zrobili w ciągu dnia, dosiada w środku nocy konia i w towarzystwie jakiegoś małego Saracena, przytroczywszy do siodła trzy kapłony,



udaje się do dziewczyny lekkich obyczajów i wzbogacając ją o kapłony, korzysta z okazji, dopuszcza się zabronionego spółkowania... Potem, w trakcie pijatyki, chłopak ucieka na koniu i nasz templariusz, jeszcze brudniejszy, bardziej spocyny i kudłaty niż zwykle, wraca do domu, z nosem spuszczo- nym na kwintę, i starając się, żeby go nie zobaczono, wsuwa pieniądze (własność zakonu) zwyczajnemu żydowskiemu lichwiarzowi, który czyha niby sęp usadowiony na żerdzi.

- Rzekłeś, Kajfaszu - zauważył Belbo.

- I dalej zgodnie z szablonem. Templariusz próbuje odzyskać jeśli nie Murzyna, to przynajmniej coś w rodzaju konia. Ale współtemplariusz spostrzega, co jest grane, i wieczorem (wiadomo, że w takich wspólnotach zawiść jest na porządku dziennym), kiedy ku ogólnemu zadowoleniu wnoszą mięsiwa, robi wyraźne aluzje. Dowódca zaczyna coś podejrzewać, podejrzany gmatwa się, czerwienieje na twarzy, dobywa sztyletu i rzuca się na partnera...

- Na donosiciela - uściślił Belbo.

- Na donosiciela, słusznie, a więc rzuca się na tego nędznika i kiereszuje mu oblicze. Ten kładzie dłoń na mie- czu, zaczyna się nieobyczajna awantura, dowódca próbuje ich uspokoić, bijąc płazem, braciszkuwie płaczą...

- Pijąc i klnąc jak templariusze... - wtrącił Belbo.

- Na Boga, cóż to, u Boga Ojca, klnę się na Boga, na Boga żywego, na rany boskie! - podbiłem bębenka.

- Bez wątpienia nasz templariusz wpada w gniew... po- tem... Co, do diabła, dzieje się z templariuszem, który wpada w gniew?

- Staje się fioletowy na twarzy - odpowiedział Belbo.

- No więc, jak mówisz, staje się fioletowy, zrywa z siebie

odzienie i ciska je na ziemię...

- Możecie sobie zabrać tę zafajdaną suknię razem z waszą świątynią przeklętą! - zaproponowałem. - A nawet tnie mieczem pieczęć, rozbija ją na kawałki i krzyczy, że pójdzie sobie do Saracenów.

- Za jednym zamachem złamał co najmniej osiem zakazów.

Chcąc lepiej zilustrować moją tezę, zakończyłem:

- Wyobraźcie sobie tego rodzaju facetów, którzy mówią: idę sobie do Saracenów, w dniu, kiedy królewski bajliw areztuje ich i pokazuje im rozpalone żelaza. Gadaj, nicponiu, wyznaj, że wtykacie go sobie w zadek! My? Nie rozśmieszaj mnie swoimi cęgami, nie wiesz, do czego jest zdolny templariusz, mogę go wetknąć w zadek tobie, papieżowi, a nawet królowi Filipowi, jeśli nawinie mi się pod rękę!

- Wyznał, wyznał! Z pewnością tak to wyglądało - oznajmił Belbo. - Marsz do lochu i codziennie porcja oliwy, żeby później lepiej się palił.

- Zupełnie jak dzieci - zakończył Diotallevi.

Przerwała nam jakaś dziewczyna z poziomkowym znamieniem na nosie i ulotkami w dłoni. Zapytała, czy podpisaliśmy się już w sprawie areztowanych towarzyszy argentyńskich. Belbo podpisał od razu, nie patrząc na kartkę.

- Tak czy inaczej, wiedzie im się gorzej niż mnie - powiedział Diotalleviemu, który mu się przyglądał zagubionym wzrokiem. Potem zwrócił się do dziewczyny: - On nie może podpisać, należy do hinduskiej mniejszości, która zabrania pisania swojego imienia. Wielu gnije w więzieniach, gdyż rząd ich prześladuje.

Dziewczyna spojrzała ze zrozumieniem na Diotalleviego

i podała kartkę mnie. Diotallevi odprężył się.

- Kim są? - zapytałem.

- Jak to kim są? Towarzyszami argentyńskimi.

- No tak, ale z jakiego ugrupowania?

- Tacuara, z jakiego by?

- Ci z Tacuara to faszyci - powiedziałem na chybił trafił, bo tak mi się zdawało.

- Faszysta - syknęła z nienawiścią dziewczyna. I poszła sobie.

- Ale czy w końcu ci templariusze byli biedakami? - zapytał Diotallevi.

- Nie - odparłem. - To moja wina, chciałem ożywić opowieść. To, co powiedzieliśmy, dotyczy prostych rycerzy, ale zakon od samego początku otrzymywał ogromne nadania i stopniowo ustanowił komandorie w całej Europie. Pomyślcie tylko, Alfons Kastylijski i Aragoński daje templariuszom cały kraj, sporządza bowiem testament, w którym powierza im swoje królestwo, w razie gdyby miał umrzeć bezdzietnie. Oni jednak są ostrożni i dokonują transakcji: wolą byle co, za to od razu. W tym przypadku byle co to pół tuzina twierdz w Hiszpanii. Król Portugalii daje im las; ponieważ jest jeszcze zajęty przez Saracenów, templariusze ruszają do natarcia, przepędzają Maurów i wystarczy powiedzieć, że zakładają Coimbrę. A wymieniłem tu tylko epizody. W sumie część ich walczy w Palestynie, ale trzon zakonu rozwija się w ojczyźnie. I co się dzieje? Jeśli ktoś chce wyprawić się do Palestyny i potrzebuje pieniędzy, a boi się podróżować z klejnotami i złotem, wpłaca pieniądze templariuszom we Francji albo w Hiszpanii, albo w Italii, otrzymuje pokwitowanie i podejmuje sumę na Wschodzie.

- To list kredytowy - rzekł Belbo.

- Nie ulega wątpliwości, wymyślili czek, i to przed bankierami florenckimi. Rozumiecie więc, że przy tych nadaniach, zdobyczach osiągniętych z bronią w ręku i prowizjach z operacji finansowych templariusze stają się firmą o zasięgu międzynarodowym. Do kierowania takim przedsiębiorstwem potrzebni byli ludzie z głowami na karku. Ludzie, którzy przekonali Innocentego II, żeby przyznał im wyjątkowe przywileje: zakon ma prawo zatrzymać cały łup wojenny i z żądanych swoich dóbr nie musi zdawać rachunku ani królowi, ani biskupom, ani patriarsze Jerozolimy, lecz jedynie papieżowi. Sami są zwolnieni z dziesięciny, a jednocześnie mają prawo pobierać ją na wszystkich ziemiach, które kontrolują... W sumie jest to więc przedsiębiorstwo stale obracające majątkiem, w który nikt nie może wetknąć nosa. Widać jasno, dlaczego są źle widziani przez biskupów i władców, chociaż nie można się bez nich obejść. Krzyżowcy to partacze, którzy nie wiedzą, dokąd wyruszają ani co zastaną na miejscu, natomiast templariusze są tam u siebie, umieją odpowiednio postępować z nieprzyjacielem, znają teren i sztukę wojenną. Zakon Świątyni to przedsięwzięcie poważne, nawet jeśli działania oddziałów szturmowych to rodomontada.

- Czy jednak była to rodomontada? - zapytał Diotallevi.

- Często tak, i raz jeszcze zdumiewa rozbieżność między ich wiedzą polityczną i administracyjną a ich stylem przypominającym zielone berety: liczy się tylko odwaga, rozum jest niczym. Weźmy historię Askalonu...

- Weźmy - zgodził się Belbo, zdekoncentrowany, gdyż był właśnie zajęty składaniem ostentacyjnie rozwiązłego ukłonu niejkiej Dolores.

Ta usiadła przy nas i rzekła:

- Chcę usłyszeć historię Askalonu, koniecznie chcę ją usłyszeć.

- A zatem pewnego dnia król Francji, cesarz niemiecki, Baldwin III Jerozolimski i dwaj wielcy mistrzowie, templariuszy i szpitalników, postanowili zdobyć Askalon. Wszyscy ruszają pod mury, król, dwór, patriarcha, księża z krzyżami i sztandarami, arcybiskupi Tyru, Nazaretu, Cezarei - w sumie wielki festyn, namioty rozstawione wokół nieprzyjacielskiego miasta, *oriflammes*, pawęże, bębny... Askalonu broń sto pięćdziesiąt wież i mieszkańcy od dawna przygotowywali się do oblężenia; wszystkie domy były podziurawione strzelnicami, każdy stanowił twierdzę wewnątrz twierdzy. Powtarzam: templariusze, tak przecież sprawni, powinni o tym wszystkim wiedzieć. Ale nic podobnego. Wszyscy ekscytują się, budują żółwie i drewniane wieże, wiecie, te budowle na kołach pchane pod nieprzyjacielskie mury i miotające ogień, kamienie, strzały, podczas gdy katapulty bombardują z daleka wielkimi głazami... Askalończycy próbują podpalić wieże, wiatr mają nieprzychylny, płomienie ogarniają mury, które walą się przynajmniej w jednym punkcie. Wyłom! W tym momencie wszyscy oblegający rzucają się jak jeden mąż i dzieje się coś dziwnego. Wielki mistrz templariuszy każe zatarasować drogę, tak by do miasta wtargnęli tylko jego ludzie. Złośliwi mówią, że chodziło o to, by wszystkie łupy przypadły templariuszom, przyjaciele sugerują, że obawiając się zasadzki, chciał wysłać na rozpoznanie swoich najśmielszych. Tak czy owak, nie powierzyłbym mu kierowania szkołą wojskową, gdyż czterdziestu templariuszy mknie przez miasto z prędkością stu osiemdziesięciu na godzinę,

wpada na mur po przeciwnej stronie, hamuje w obłoku kurzu – jedni drugim spoglądają w oczy z niemym pytaniem, co właściwie tu robią – wrzuca wsteczny bieg i pędzi na złamanie karku między Saracenami, którzy z okien rzucają im na głowy kamienie i ciskają oszczepy, masakrują wszystkich, z wielkim mistrzem włącznie, zamykają wyłom, wywieszają na murach trupy, wśród sprośnych chichotów pokazują chrześcijanom wała.

- Saracen jest okrutny – oznajmił Belbo.
- Jak dziecko – powtórzył Diotallevi.
- Niezłe komando białych najemników z tych twoich templariuszy – powiedziała podekscytowana Dolores.
- Mnie przychodzą na myśl *Tom i Jerry* – stwierdził Belbo.

Zacząłem żałować. W gruncie rzeczy od dwóch lat współżyłem z templariuszami i polubiłem ich. Pod wpływem snobizmu moich rozmówców przedstawiłem ich jak bohaterów filmu rysunkowego. Może to przez Wilhelma z Tyru, nieuczciwego historiografa. Nie tacy byli rycerze Świątyni, brodaci i płomienni, z pięknym czerwonym krzyżem na śnieżnobiałym płaszczu, harujący w cieniu swojej biało-czarnej chorągwi, Beauceant, skupieni – zadziwiająco – na swoim festynie śmierci i odwagi, pot zaś, o którym wspomniał święty Bernard, był może świetlistością przydającą sarkastycznej szlachetności przerażającemu uśmiechowi, kiedy pochłaniało ich okrutne święto pożegnania z życiem... Lwy wojny, jak mówił Jakub z Vitry, jagnięta pełne słodyczy i pokoju, srodzy w bitwie, pobożni w modlitwie, bezlitośni dla wrogów, życzliwi dla braci, naznaczeni bielą i czernią swojego sztandaru, gdyż łagodni dla przyjaciół Chrystusa, ponurzy i straszni dla Jego przeciwników...

Patetyczni rycerze wiary, ostatni przykład zmierzającego rycerstwa – czemuż zachowałem się wobec nich niby jakiś Ariosto, choć mogłem wszak być im Joinville’em? Przyszły mi na myśl stronice, jakie poświęcił im autor *Historii świętego Ludwika*, który wraz z Ludwikiem udał się do Ziemi Świętej, by pisać i walczyć. Templariusze istnieli już wtedy od stu pięćdziesięciu lat, krucjat odbyło się tak wiele, że doszło do uwiądnięcia wszelkich ideałów. Zniknęły niby zjawy heroiczne postaci królowej Melisandy i Baldwina, trędowatego króla, dopełniły się wewnętrzne walki w Libanie, wtedy już skrwawionym, upadła była raz Jerozolima, Barbarossa utonął w Cylicji, Ryszard Lwie Serce został pokonany i upokorzony i wracał przebrany właśnie za templariusza, chrześcijaństwo przegrało swoją batalię, Saraceni mają zupełnie odmienny pogląd na konfederację władców niezależnych od siebie, ale zjednoczonych w obronie swojej kultury – czytali wszak Awicennę, nie są nieukami jak Europejczycy; jak mogli ci ostatni pozostać przez dwa wieki wystawieni na kulturę tolerancyjną, mistyczną i libertyńską, nie ulegając przy tym pokusom? Porównywali ją wszak z kulturą zachodnią, surową, prostą, barbarzyńską i germańską. Wreszcie w 1244 roku przychodzi ostatni i ostateczny upadek Jerozolimy, wojna wszczęta sto pięćdziesiąt lat wcześniej zostaje przegrana, chrześcijanie muszą zaprzestać noszenia broni na tej równinie, której przeznaczeniem jest pokój i woń cedrów Libanu; biedni templariusze, czemu więc służyła wasza epopeja?

Tkliwość, melancholia, bladość wędnącej chwały; czemuż nie mieliby przychylić wtedy ucha tajemnym doktrynom mużmańskich mistyków, czemuż nie mieliby poświęcić się statecznemu gromadzeniu ukrytych skarbów? Może właśnie

stąd rodzi się legenda rycerzy Świątyni, legenda, która nadal nęka zawiedzione i pożądlive umysły, ta opowieść o bezgranicznej potędze, która sama już nie wie, do czego mogłaby być potrzebna...

A jednak w czasach zmierzającego mitu przybywa Ludwik, święty król, który ma za współbiesiadnika Akwinatę i który wierzy jeszcze w krucjatę, pomimo dwóch wieków marzeń i prób, przegranych wskutek głupoty zwycięzców; czy warto podejmować jeszcze jedną próbę? Warto, powiada święty Ludwik; templariusze wytrwali, będą przy nim w klęsce, takie jest ich rzemiosło, jakże bowiem uzasadnić Świątynię bez krucjaty?

Ludwik atakuje z morza Damiettę, całe nieprzyjacielskie wybrzeże lśni od pik, halabard, *oriflammes*, puklerzy i bułatów; pięknie się prezentują, mówi Joinville, rycersko, mają złotą broń, po której przemykają błyski słońca. Ludwik powinien poczekać, ale postanawia za wszelką cenę postawić stopę na lądzie. „Moi wierni druhowie, zwyciężymy, jeśli pozostaniemy nierozdzielni w naszej miłości. Jeśli zaś czeka nas klęska, będziemy męczennikami. Jeśli odniesiemy triumf, wzrośnie chwała Boga”. Templariusze nie wierzą, ale nauczono ich, że mają być rycerzami ideału i że taki swój wizerunek winni są światu. Idą za królem w jego mistycznym szaleństwie.

Lądowanie, o dziwo, udaje się, Saraceni, o dziwo, porzucają Damiettę, tak że król waha się, czy wkroczyć, nie wierzy bowiem w tę ucieczkę. Ale to prawda, miasto jest jego, do niego też należą skarby i setka meczetów, które od razu przerabia na świątynie Pana. Teraz trzeba podjąć decyzję: ruszyć na Aleksandrię czy na Kair? Rozsądniej byłoby wybrać



Aleksandrię, gdyż odebrałoby się Egipcjowi życiodajny port. Ale był na miejscu zły duch wyprawy, królewski brat, Robert z Artois, megaloman, człowiek ambitny i żądny chwały, i to natychmiast – jak każdy młodszy brat. Radzi wziąć za cel Kair, serce Egiptu. Templum, najpierw ostrożne, teraz gryzie wędzidło. Król zabronił samodzielnych potyczek, ale marszałek Templum złamie zakaz. Widzi chorągiew mameluków sułtana i woła: „Teraz na nich, w imię Boże, nie mogę bowiem znieść takiej zniewagi!”

W Mansurze Saraceni obwarowują się po drugiej stronie rzeki, Francuzi próbują usypać groblę, żeby powstał bród, i chronią ją za pomocą ruchomych wież, ale Saraceni poznali od Bizantyjczyków sztukę ogni greckich. Grecki ogień miał jądro ogromne jak beczka, ogon niby wielka włócznia, nadlatywał z grzmotem i robił wrażenie unoszącego się w powietrzu smoka. Dawał tyle światła, że w obozie było jasno jak w dzień.

Kiedy cały obóz chrześcijański staje się jednym płomieniem, pewien Beduin, zdrajca za trzysta bizantów, wskazuje królowi bród. Król postanawia przystąpić do ataku, przeprawa przez rzekę nie jest łatwa, na przeciwległym brzegu czeka już trzystu konnych Saracenów. Ale wreszcie główne siły docierają do brzegu i templariusze zgodnie z rozkazami posuwają się w awangardzie, mając za sobą hrabiego Artois. Rycerze muzułmańscy zaczynają uciekać, a templariusze czekają na resztę chrześcijańskiego wojska. Ale hrabia Artois rzuca się ze swoimi ludźmi w pościg za nieprzyjacielem.

Wówczas templariusze z lęku, że okryją się hańbą, także ruszają do ataku, ale posuwają się za Robertem z Artois, który wtargnął już do nieprzyjacielskiego obozu i przystąpił

do rzezi. Muzułmanie rzucają się do ucieczki w stronę Mansury. Na to tylko czekał hrabia; wydaje rozkaz wszczęcia pościgu. Templariusze starają się go powstrzymać; brat Gilles, wielki komandor Świątyni, pochlebia mu, mówiąc, że dokonał już czynu wspaniałego, jednego z największych, jakie widziało Outremer. Ale hrabia Artois, fircyk żądny chwały, oskarża templariuszy o zdradę, a nawet dorzuca, że gdyby tylko templariusze i szpitalnicy zechcieli, ta ziemia byłaby już dawno podbita, on zaś pokazał przecieź, czego można dokonać, jeśli w żyłach płynie krew, a nie woda. Tego było już za wiele dla Templum. Świątynia nikomu nie ustąpi pierwszeństwa. Wszyscy ruszają na miasto, wkraczają do niego, ścigają nieprzyjaciół aż do przeciwległego muru i w tym momencie templariusze spostrzegają, że powtórzyli błąd z Askalonu. Chrześcijanie – z templariuszami włącznie – zapóźnili się przy grabieniu pałacu sułtana, niewierni dochodzą do siebie, spadają na rozproszoną teraz zgraję łupieżców. Czyżby raz jeszcze chciwość zaślepiała templariuszy? Ale inni donoszą, że zanim brat Gilles wyruszył za hrabią Artois do miasta, oznajmił mu trzeźwo i ze stoicyzmem: „Panie, ja i moi bracia nie boimy się i pójdziemy za tobą. Wiedz jednak, że wątpimy, i to bardzo, byśmy, ty i my, zdołali wrócić”. W każdym razie hrabia Artois, dzięki Bogu, został zabity, a wraz z nim wielu innych dzielnych rycerzy oraz dwustu osiemdziesięciu templariuszy.

To coś gorszego niż porażka, to hańba. A jednak nie została w ten sposób przedstawiona nawet przez Joinville’a. Bywa, w tym piękno wojny.

Pod piórem pana na Joinville wiele z tych bitew, albo raczej potyczek, staje się miłymi baletami, przy czym czasem

toczy się parę głów, wiele błagań wznosi się do dobrego Pana Boga, król roni łzę nad konającym wiernym sługą, ale wszystko jest jakby w barwnym filmie, wśród czerwonych czapraków, złoconych upręży, błyszczących hełmów i mieczy, pod żółtym słońcem pustyni i nad morzem tureckim; i kto wie, czy nie tak właśnie przeżywali templariusze swoją codzienną rzeź.

Spojrzenie Joinville'a przesuwają się z góry na dół albo z dołu do góry zależnie od tego, czy spada z konia, czy go dosiada, i rozplócenia oddzielne sceny; wymyka mu się ogólny plan bitwy, wszystko rozstrzyga się w pojedynkach, a wynik jest nierzadko przypadkowy. Joinville pędzi na pomoc panu Wanon, jakiś Turek zadaje mu cios włócznią, koń ugina przednie nogi, Joinville leci przez kark zwierzęcia, zrywa się z mieczem w dłoni i wielmożny pan Erard z Siverey („Panie, świeć nad jego duszą”) daje mu znak, żeby skrył się w jakimś zburzonym domu; zostają dosłownie stratowani przez chorągiew Turków, podnoszą się cali i zdrowi, docierają do domu, barykadują się, Turcy ciskają w nich z góry włóczniami. Wielmożny pan Fryderyk z Loupey zostaje trafiony w plecy „i rana była taka, że krew waliła, jakby czop wyskoczył z beczki”, Erard dostaje cięcie przez twarz, „tak że nos opadł na wargi”. I tak dalej. Wreszcie docierają posiłki, opuszczamy dom i przenosimy się na inny teren pola bitwy, nowa scena, kolejni polegli i uratowani *in extremis*, głośne modlitwy do pana świętego Jakuba. I jednocześnie dobry hrabia Soissons, tnąc mieczem, wykrzykuje: „Panie na Joinville, niechaj ryczy ten motłoch, na Boga, jeszcze będziemy opowiadać o tym dniu, kiedy znajdziemy się wśród dam!” Król żąda wiadomości o swym bracie, przeklętym hrabim Artois, i brat

Henryk z Ronnay, dowódca szpitalników, odpowiada mu, że „są dobre, gdyż nie wątpi, iż hrabia Artois trafił do raju”. Król mówi, że niechaj Bogu będzie chwała za wszystko, co na niego zsyła, i z oczu spływają mu wielkie łzy.

Nie zawsze jest to balet, chociażby nawet anielski i krwawy. Umiera wielki mistrz Wilhelm z Sonnac, żywcem spalony ogniem greckim, wojsko chrześcijańskie wskutek wyziewów trupich i niedostatku pożywienia zapada na szkorbut, armia świętego Ludwika jest w rozsypce, król osłabiony wskutek dyzenterii, tak że musi obciąć tył spodni, by nie tracić czasu w bitwie. Damietta utracona, królowa musi prowadzić rokowania z Saracenami i płaci pięćset tysięcy liwrów tureńskich, żeby zachować życie.

Ale krucjaty przebiegają z teologiczną złą wiarą. W Saint-Jean-d’Acre Ludwik jest witany jak triumfator, wychodzi mu naprzeciw w procesji całe miasto, z duchowieństwem, damami, małymi dziećmi. Templariusze lepiej wiedzą, co w trawie piszczy, i próbują podjąć rokowania z Damaszkiem. Ludwik dowiaduje się o tym, nie może znieść, że został uprzedzony, nie uznaje zobowiązań podjętych przez nowego wielkiego mistrza wobec posłów muzułmańskich i wielki mistrz musi cofnąć słowo dane nieprzyjacielowi, klęka przed królem, prosi o wybaczenie. Nie można powiedzieć, żeby rycerze bili się źle albo byli interesowni, ale król Francji upokarza ich, żeby utwierdzić swoją władzę, i – również dla umocnienia swojej władzy – pół wieku później jego następcą, Filip, pośle ich na stos.

W 1291 roku Akka zostanie podbita przez Saracenów, a wszyscy mieszkańcy wyrżnięci. Chrześcijańskie królestwo Jerozolimy upada. Templariusze są bogatsi, liczniejsi

i potężniejsi niż kiedykolwiek, ale zrodzili się po to, by walczyć w Ziemi Świętej, a tam już ich nie ma.

Żyją pogrzebani z przepychem w komandoriach całej Europy, a w Świątyni w Paryżu śnią jeszcze o dziedzińcu Świątyni Jerozolimskiej w czasach chwały, z pięknym kościołem Najświętszej Maryi na Lateranie otoczonym kaplicami wotywnymi, o pęku trofeów, żarze kuźni, siodlarniach, warsztatach tkackich, spichlerzach, stajni na dwa tysiące koni, harcach giermków, serwientach, turkopolach, czerwonych krzyżach na białych płaszczach, brunatnych kolczugach oddziałów posiłkowych, posłach sułtańskich w wielkich turbanach i pozłacanych hełmach, pielgrzymach, pięknych patrolach i sztafetach, radości z okutych skrzyń, porcie, z którego wychodzą rozkazy, polecenia i zadania dla zamków w ojczyźnie matce, na wyspach, na wybrzeżach Azji Mniejszej...

Wszystko się skończyło, moi biedni templariusze.

Tego wieczoru u Piladego, przy piątej whisky, którą Belbo władczo dla mnie zamówił, spostrzegłem, że śniłem, nie tracąc przy tym świadomości (co za wstyd!), ale na głos, i że musiałem opowiedzieć z uczuciem i współczuciem niezwykle piękną historię, gdyż Dolores miała oczy błyszczące, a Diotallevi w porywie szaleństwa, po drugim toniku, z anielską miną podniósł wzrok ku niebu, czyli ku zgoła niezefirycznemu sufitowi baru, i mruknął pod nosem:

- A być może byli tym wszystkim, duszami potępionymi i duszami świętymi, koniuchami i rycerzami, bankierami i bohaterami...

- Z pewnością byli osobliwi - stwierdził autorytatywnie Belbo. - Ale pan ich lubi, Casaubon?

- Piszę z nich doktorat, a kiedy ktoś pisze doktorat z syfilisu, w końcu zaczyna kochać nawet krętki blade.

- To piękne jak film - oznajmiła Dolores. - Na mnie już czas, przykro mi, ale muszę powielić na jutro rano ulotki. Piekietujemy u Marellego.

- Szczęśliwaś, że możesz sobie na to pozwolić - rzekł Belbo. Uniósł ze znużeniem dłoń i przesunął ją po włosach. - Zamówię ostatnią whisky - oznajmił. - Już prawie północ. Nie mówię, że dla ludzi, ale dla Diotalleviego. Dokończmy jednak opowieść, chciałbym dowiedzieć się czegoś o procesie. Kiedy, jak, dlaczego...

- *Cur, quomodo, quando* - zgodził się Diotallevi. - Tak, tak.

Twierdzi, że widział poprzedniego dnia pięćdziesięciu czterech braci zakonnych prowadzonych na stos, gdyż nie chcieli wyznać rzeczonych błędów, i że słyszał, iż byli przypiekani, i że on sam, lękając się, iż nie wytrwa, jeśliby miał być przypiekany, wyzna z obawy przed śmiercią wobec panów komisarzy i wszystko jedno jeszcze kogo, gdyby został zapytany, iż wszystkie błędy zarzucane zakonowi są prawdziwe, i że on, gdyby tylko odeń zażądano, wyznałby również, iż zabił naszego Pana.

zeznanie Aimery'ego z Villiers-le-Duc, 13 maja 1310

Proces pełen przemilczeń, sprzeczności, zagadek i głupoty. Głupota najbardziej rzucała się w oczy i jako niemożliwa do wyjaśnienia zbiegała się z reguły z zagadkami. W tych szczęśliwych dniach sądziłem, że głupota wytwarza zagadki. Tamtego wieczoru w peryskopie myślałem, że najstraszliwsze zagadki przybierają maskę szaleństwa, chcą bowiem ukryć, iż są zagadkami. Teraz myślę natomiast, że świat jest zagadką łagodną, a nasze szaleństwo czyni ją straszną, gdyż chce objaśnić według swojej prawdy.

Templariusze stracili z oczu cel. Albo też przeobrazili środki w cel sam w sobie; zarządzali swoim ogromnym bogactwem. Jest rzeczą naturalną, że monarcha, tak dążący do skupienia władzy w swych rękach jak Filip Piękny, spoglądał na nich niechętnym okiem. Jak poddać kontroli niezależny zakon? Wielki mistrz miał rangę księcia krwi, dowodził armią, zarządzał ogromnym majątkiem ziemskim, był wybierany niby cesarz i miał absolutną władzę. Skarb francuski nie znajdował się w rękach króla, ale został powierzony paryskiej Świątyni. Templariusze byli pełnomocnikami, administratorami bieżącego rachunku, formalnie pozostającego w dyspozycji króla. Przyjmowali wpłaty, wypłacali, spekulowali.

wali odsetkami, zachowywali się jak wielki bank prywatny, jednakże korzystający ze wszystkich przywilejów i ulg banku państwowego... Skarbnikiem króla był templariusz. Czy można w tych warunkach sprawować władzę?

Jeśli nie możesz ich pobić, przyłącz się do nich. Filip żąda, żeby przyznano mu tytuł honorowego templariusza. Odpowiedź jest odmowna. Zniewaga, którą każdy król dobrze sobie zapamięta. Podsuwa wówczas papieżowi pomysł, żeby połączyć templariuszy ze szpitalnikami i oddać nowy zakon pod nadzór jednego ze swoich synów. Wielki mistrz Świątyni, Jakub z Molay, przybywa z pompą z Cypru, gdzie rezyduje jak monarcha na wygnaniu, i przedstawia papieżowi memoriał, w którym pozornie analizuje korzystne, ale w rzeczywistości wyłuskuje niekorzystne strony zamierzonej fuzji. Jakub zauważa między innymi bez najmniejszego zażenowania, że templariusze są bogatsi niż szpitalnicy i fuzja zubożyłaby jednych, a wzbogaciła drugich, co przyniosłoby poważną szkodę duszom jego rycerzy. Wielki mistrz wygrywa pierwszą partię rozpoczynającej się gry, sprawa grzęźnie w archiwum.

Pozostała obmowa i tutaj król miał pole do popisu. Już wtedy kursowały plotki o templariuszach. Jak musieli patrzeć na tych „kolonialistów” porządni Francuzi, którzy wiedzieli wszak, że templariusze wszędzie pobierają dziesięcinę, a nie dają nic w zamian, nawet – obecnie – własnej krwi jako strażnicy Grobu Świętego? Oni też są Francuzami, ale nie ze wszystkim, prawie *pieds noirs* albo, jak powiadało się wtedy, „pulanie”. Popisywali się egzotycznymi szatami, kto wie, czy między sobą nie rozmawiali w języku Saracenów, do którego przywykli. Byli mnichami, ale czynili publiczne widowisko ze swoich prostackich i swawolnych obyczajów i już wiele lat



wcześniej papież Innocenty III musiał ogłosić bullę *De insolentia Templariorum*. Składali ślub ubóstwa, lecz obnosili się z przepychem godnym arystokratycznej kasty, okazywali zachłanność nowo wzbogaconego kupiectwa, zuchwałość oddziały muszkieterów.

Niewiele trzeba, żeby dały się słyszeć pełne aluzji pogłoski: homoseksualiści, heretycy, bałwochwalcy oddający cześć brodatej głowie, która nie wiadomo skąd się wzięła, ale z pewnością nie z panteonu pocziwych wiernych, być może dzielą sekrety ismailitów, mają stosunki z asasynami Starca z Gór. Filip i jego doradcy w pewnym sensie wyciągnęli korzyści z tej gadaniny.

Za plecami Filipa działały jego złe duchy, Marigny i Nogaret. Marigny to ten, który ostatecznie dostanie w ręce skarb templariuszy i będzie nim zarządzał na rachunek króla, zanim przekaże go szpitalnikom, przy czym nie jest zbyt jasne, kto tu ciągnie zyski. Nogaret, królewski strażnik pieczęci, w 1303 roku zaplanował incydent w Anagni, kiedy Sciarra Colonna spoliczkował Bonifacego VIII i papież po trzech miesiącach zmarł z upokorzenia.

W pewnym momencie wkracza na scenę niejaki Esquieu z Floyran. Zdaje się, że siedząc w więzieniu za jakieś nieznanne przestępstwa, zagrożony karą najwyższą, spotkał w celi templariusza renegata, który również czekał na stryczek, i wysłuchał jego straszliwych zwierzeń. Esquieu w zamian za życie i okrągłą sumkę sprzedaje to, co wie. A wie rzeczy, o których już wszyscy szepczą. Teraz jednak zrobiono krok od pogłosek do zeznań w ramach śledztwa. Król komunikuje rewelacje Esquieu papieżowi, Klemensowi V, temu samemu, który przeniósł stolicę apostolską do Awinionu. Papież i wie-

rzy, i nie wierzy, a zresztą wie, jak trudno jest wetknąć nos w sprawę Templum. Ale w 1307 roku godzi się na wszczęcie urzędowego śledztwa. Jakub z Molay zostaje o tym zawiadomiony, ale oświadcza, że jest spokojny. Nadal, jako książę między książętami, uczestniczy u boku króla w oficjalnych uroczystościach. Klemens V gra na zwłokę, król podejrzewa, że papież chce dać templariuszom czas na zniknięcie ze sceny. Nic bardziej fałszywego, templariusze klną i popijają w swoich komandoriach, nie wiedząc o niczym. I to jest pierwsza zagadka.

14 września 1307 roku król wysyła zapieczętowane pisma do wszystkich bajliwów i senesza w królestwie, nakazując przeprowadzenie masowych aresztowań templariuszy i konfiskatę ich dóbr. Między wysłaniem rozkazu a aresztowaniami, do których dochodzi 13 października, mija cały miesiąc. Templariusze niczego nie podejrzewają. Rankiem owego dnia wszyscy wpadają w sieć i – kolejna zagadka – poddają się bez najmniejszego oporu. A trzeba zauważyć, że w poprzednich dniach urzędnicy królewscy, chcąc się upewnić, że wszystko będzie objęte konfiskatą, dokonali czegoś w rodzaju inwentaryzacji majątku zakonnego na terenie całego kraju, powołując się na dziecinne wymówki administracyjne. A templariusze nic, bardzo prosimy, panie bajliwie, zaglądamy sobie, gdzie chcesz, czuj się jak u siebie w domu.

Kiedy papież dowiedział się o aresztowaniach, próbował protestować, ale było za późno. Komisarze królewscy przystąpili do swojej roboty z użyciem cęgów i sznurów i wielu rycerzy zaczęło wskutek tortur składać zeznania. W tym momencie można było już tylko oddać ich w ręce inkwizytorów, którzy nie uciekają się jeszcze do ognia, ale i tak wy-

starczy. Zeznania zostają potwierdzone.

I oto jest trzecia tajemnica: prawda, że były tortury, i to stosowane energicznie, skoro trzydziestu sześciu rycerzy ich nie przeżyło, ale spośród tych ludzi z żelaza, nawykłych stawiać czoło okrutnemu Turkowi, żaden nie oparł się bajliwom. W Paryżu tylko czterech rycerzy na stu trzydziestu ośmiu odmówiło zeznań. Pozostali wyznali wszystko, wśród nich także Jakub z Molay.

- Ale co wyznali?

- Wyznali dokładnie to, co było już zapisane w nakazie aresztowania. Bardzo mało zróżnicowane zeznania, przynajmniej we Francji i Włoszech. Natomiast w Anglii, gdzie nikt na serio nie zamierzał im wytaczać procesu, w zeznaniach pojawiają się oskarżenia kanoniczne, lecz przypisane świadkom spoza zakonu, którzy powtarzają zasłyszane informacje. W sumie templariusze przyznają się tylko tam, gdzie ktoś chce, żeby się przyznali, i tylko do tego, do czego powinni się przyznawać.

- Zwyczajny proces inkwizycyjny. Mieliśmy już z tym nieraz do czynienia - zauważył Belbo.

- A jednak zachowanie oskarżonych jest dziwne. Główne punkty oskarżenia mówią o tym, że rycerze podczas rytuałów inicjacyjnych zapierali się trzykrotnie Chrystusa, pluli na krucyfiks; następnie obnażano ich i całowano *in posteriori parte spine dorsi*, to znaczy w zadek, w pępek, a wreszcie w usta *in humane dignitatis opprobrium*; na koniec oddawali się spółkowaniu ze sobą, powiada tekst. Orgia. Potem pokazywano im głowę brodatego bóstwa, której musieli oddać cześć. Cóż odpowiadają oskarżeni, kiedy przedstawia się im zarzuty? Gotfryd z Charney, ten, który miał później umrzeć

na stosie razem z Jakubem z Molay, mówi, że owszem, zdarzało mu się wypierać Chrystusa, ale ustami, nie zaś sercem, i nie pamięta, czy pluł na krucyfiks, gdyż tego wieczoru wszystko odbywało się w pośpiechu. Jeśli chodzi o pocałunek w zadek, także to mu się zdarzyło i słyszał, jak preceptor z Owernii mówił, że w gruncie rzeczy lepiej jest złączyć się z bratem niż skompromitować z niewiastą, on jednak nigdy nie popełnił grzechu cielesnego z innymi rycerzami. No, owszem, ale była to prawie zabawa, nikt nie przykładał do tego wagi, inni to robili, ja nie, byłem tam dla nauki. Jakub z Molay, wielki mistrz, a więc nie byle kto, powiedział, że gdy dano mu krucyfiks, żeby na niego napluł, udał tylko, że to robi, i splunął na ziemię. Przyznał, że uroczystości inicjacyjne były tego właśnie rodzaju, ale - zważcie tylko - nie potrafiłby ich dokładnie opisać, gdyż w trakcie swojej kariery dokonał inicjacji bardzo niewielu braci. Inny mówi, że całował mistrza, ale nie w zadek, jedynie w usta, mistrz pocałował go natomiast w zadek. Niektórzy wyznawali więcej, niż było trzeba, nie tylko wypierali się Chrystusa, ale też stwierdzali, że był zbrodniarzem, negowali dziewictwo Maryi, oddawali nawet mocz na krucyfiks, i to nie tylko w dniu inicjacji, ale przez cały Wielki Tydzień, nie wierzyli w sakramenty, nie ograniczali się do oddawania czci Bafometowi, lecz adorowali także samego diabła w postaci kota...

Równie groteskowy, aczkolwiek mniej niewiarygodny, jest balet, jaki zaczyna się w tym momencie między królem a papieżem. Papież chce wziąć sprawy w swoje ręce, król woli sam doprowadzić proces do końca, papież chciałby znieść zakon tylko czasowo, skazując winnych, a następnie przywrócić początkową czystość, król chce, żeby skandal objął jak naj-

szersze kręgi, żeby w proces został wciągnięty zakon jako całość i żeby doprowadziło to do ostatecznego rozbicia, oczywiście politycznego i religijnego, ale przede wszystkim finansowego.

W pewnym momencie pojawia się dokument będący istnym majstersztykiem. Mistrzowie teologii ustalają, że nie można dać oskarżonym obrońcy, bo mogliby wycofać zeznania, a ponieważ się przyznali, nie warto nawet wszczynać procesu, król może skorzystać ze swojej władzy, proces odbywa się, jeśli są jakieś wątpliwości, a tutaj najmniejszych wątpliwości brak. „Po cóż więc dawać im obrońcę, jak nie po to, by bronili błędów, do których się przyznali, zważywszy, że oczywistość faktów czyni zbrodnię znaną?”

Ponieważ jednak istnieje niebezpieczeństwo, że proces wymknie się królowi i przejdzie w ręce papieża, król i Nogaret przygotowują głośną sprawę, w którą wplątany jest biskup Troyes, oskarżony o czary wskutek doniesienia tajemniczego intryganta, niejakiego Noffo Dei. Potem wyjdzie na jaw, że Dei kłamał – i zostanie powieszony – ale do tego czasu na biednego biskupa spadną publiczne oskarżenia o sodomię, świętokradztwo, lichwę. Te same grzechy, co w przypadku templariuszy. Być może król pragnie pokazać synom Francji, że Kościół nie ma prawa sądzić templariuszy, gdyż nie jest wolny od skaz, a być może było to oskarżenie pod adresem papieża. To niejasna historia, gra policji i tajnych służb, infiltracja i delacje... Papież jest przyparty do muru i godzi się przepytac siedemdziesięciu dwóch templariuszy, którzy potwierdzają zeznania złożone na torturach. Jednak papież uwzględnia ich skruchę, wykorzystuje to, że wyrzekli się błędów, i udziela im przebaczenia.

I tutaj następuje coś, co stanowiło węzłowy punkt mojej rozprawy i było rozproszone między rozmaitymi sprzecznymi źródłami: ledwie papież uzyskuje z takim trudem pieczę nad rycerzami, natychmiast zwraca ich królowi. Nigdy nie zdołałem pojąć, co się stało. Jakub z Molay cofa złożone zeznania, Klemens daje mu sposobność do obrony i przysyła trzech kardynałów, żeby go wypyтали, oburzony Jakub 26 listopada 1309 roku podejmuje obronę zakonu i jego czystości, posuwając się do gróźb pod adresem oskarżycieli, potem przybywa do niego wysłannik króla, Wilhelm z Plaisans, którego wielki mistrz uważa za swojego przyjaciela; idzie za jakąś niejasną radą i 28 tego samego miesiąca składa znowu niezwykle nieśmiałe i ogólnikowe zeznanie, mówi, że jest biednym rycerzem bez wykształcenia, i ogranicza się do wyliczenia zasług (dawnych już) Świątyni, jałmużny, jaką dawał, daniny krwi w Ziemi Świętej, i tak dalej. Na dodatek przybywa Nogaret, który przypomina, że zakon miał bardziej niż przyjazne kontakty z Saladynem; insynuuje się więc zbrodnię zdrady stanu. Usprawiedliwienia Jakuba z Molay sprawiają przykre wrażenie; w tym zeznaniu wielki mistrz, doświadczony już dwoma latami ciemnicy, jest strzępką człowieka, ale przecież podobnie było natychmiast po aresztowaniu. W trzecim zeznaniu, z marca następnego roku, Jakub przyjmuje inną strategię: milczy, i przemówi jedynie w obliczu papieża.

Następuje teatralny gest, ale tym razem przechodzimy do dramatu epickiego. W kwietniu 1310 roku pięciuset pięćdziesięciu templariuszy prosi, by wysłuchano ich dla obrony zakonu, wyjawia, że zeznania były wymuszone na mękach, zaprzecza i dowodzi, że wszystkie zarzuty są nie do pojęcia. Ale król i Nogaret znają swoje rzemiosło. Niektórzy templariusze

wycofują zeznania? Tym lepiej, należy więc uznać ich za recydywistów i krzywoprzysięzców, to znaczy *relapsi* – straszliwe oskarżenie w tamtych czasach – gdyż zaprzeczają zuchwale temu, do czego już się przyznali. Można więc wybaczyć temu, kto przyznaje się i wyraża skruchę, ale nie temu, kto nie skruszył się, gdyż wycofuje zeznanie i mówi, pełniąc krzywoprzysięstwo, że nie ma powodu, by czuć skruchę. Pięćdziesięciu czterech spośród wycofujących zeznania krzywoprzysięzców skazano na śmierć.

Łatwo sobie wyobrazić psychologiczną reakcję innych areztowanych. Ten, kto się przyznaje, trafia na galery, ale żyje, niejedno może się jeszcze zdarzyć. Kto się nie przyznaje albo, co gorsza, cofa zeznania, wędruje na stos. Pięciuset wycofujących, którzy zostali jeszcze przy życiu, cofa swoje wycofanie.

Obliczenia skruszonych okazały się wszak trafne, ponieważ w 1312 roku ci, którzy się nie przyznali, zostali skazani na dożywotnie więzienie, natomiast tym, którzy się przyznali, wybaczone. Filip nie był zainteresowany masakrą, chciał tylko rozbić zakon. Uwolnieni rycerze, zniszczeni fizycznie i duchowo po czterech lub pięciu latach spędzonych w ciemnicy, przenieśli się po cichu do innych zakonów, pragnęli tylko, żeby o nich zapomniano, i to zniknięcie, to ukrycie się miało na długo zaciążyć na legendzie mówiącej o przetrwaniu zakonu w konspiracji.

Jakub z Molay nadal żądał, by papież go wysłuchał. Klemens zwołał w 1311 roku sobór w Vienne, ale nie wezwał Jakuba. Usankcjonował zniesienie zakonu, a jego dobra przekazał szpitalnikom, choć tymczasowo zarządzał nimi król.

Mijają następne trzy lata, wreszcie dochodzi do umowy

z papieżem i 19 marca 1314 roku na dziedzińcu przy Notre-Dame Jakub z Molay zostaje skazany na dożywocie. Słyszając ten wyrok, zdobywa się na odruch godności. Oczekiwał, że papież pozwoli mu oczyścić się z zarzutów, czuje się zdradzony. Wie doskonale, że jeśli raz jeszcze wycofa zeznanie, on także będzie krzywoprzysięzcą i recydywistą. Co dzieje się w jego sercu po siedmiu latach oczekiwania na sąd? Odzyskuje odwagę swoich poprzedników? Ponieważ i tak jest unicestwiony, ma przed sobą perspektywę zakończenia swych dni żywcem zamurowany i z piętnem hańby, dochodzi do wniosku, że lepiej stawić czoło pięknej śmierci. Obwieszcza niewinność swoją i swoich braci. Templariusze popełnili jedno tylko przestępstwo - powiada - z tchórzostwa zdradzili Świątynię. On na to nie pójdzie.

Nogaret zaciera ręce: publiczne przestępstwo, publiczne i ostateczne skazanie z zastosowaniem przyspieszonej procedury. Tak samo jak wielki mistrz zachował się również preceptor Normandii, Gotfryd z Charnay. Król jeszcze tego samego dnia podejmuje postanowienie: stos będzie wzniesiony na cyplu wyspy Cité. O zmierzchu Jakub i Gotfryd zostają spaleni.

Tradycja powiada, że wielki mistrz przed śmiercią przepowiedział rychły koniec swoich prześladowców. Rzeczywiście, papież, król i Nogaret mieli umrzeć w ciągu roku. Jeśli chodzi o Marigny'ego, po śmierci króla będzie podejrzany o malwersacje. Wrogowie posądzą go o czary i zaprowadzą na szubienicę. Niejeden zacznie myśleć o Jakubie z Molay jako o męczenniku. Dante zawtóruje oburzeniu wielu ludzi z powodu prześladowań templariuszy.

W tym miejscu kończy się historia i zaczyna legenda. Je-



den jej rozdział powiada, że jakiś nieznany osobnik wskoczył na szafot w dniu, kiedy zgilotynowany został Ludwik XVI, i wykrzyknął: „Jakubie z Molay, zostałeś pomszczony!”

Te wydarzenia opowiedziałem z grubsza owego wieczoru u Piladego, tyle że co chwila mi przerywano.

Belbo pytał:

- Czy jednak na pewno nie przeczytał pan tego u Orwella albo Koestlera? - Albo: - Niech pan da pokój, to przecież... jak się nazywa ten facet od rewolucji kulturalnej?...

Wówczas Diotallevi wtrącał się sentencjonalnie:

- *Historia magistra vitae.*

Belbo mówił mu:

- Co powiadasz, przecież kabalista nie wierzy w historię!

Tamten zaś niezmiennie powtarzał:

- W tym właśnie rzecz, wszystko toczy się ruchem okrężnym, historia jest nauczycielką, ponieważ poucza nas, że jej nie ma. Liczą się jednak permutacje.

- Ale w sumie - zapytał Belbo na zakończenie - kim właściwie byli templariusze? Najpierw przedstawił ich pan jako sierżantów z filmów Johna Forda, potem jako brudasów, jeszcze potem jako rycerzy z miniatury, z kolei jako bankierów bożych, którzy prowadzili niezbyt czyste interesy, następnie jako rozgromione wojsko, następnie jako adeptów lucyferskiej sekty, a na koniec jako męczenników wolności myślenia... Kim byli?

- Nie bez powodu stali się mitem. Najprawdopodobniej byli wszystkim tym naraz. Czym był Kościół katolicki - mógłby sobie zadać pytanie marsjański historyk z roku trzystusiecznego - to ci, którzy oddawali się lwom na pożarcie, czy też ci, którzy zabijali heretyków? I jedni, i drudzy.

- Ale robili to wszystko czy nie?

- Najzabawniejsze jest to, że ich naśladowcy, mam na myśli neotemplariuszy z rozmaitych epok, powiadają, że tak. Usprawiedliwień jest mnóstwo. Pierwsza teza powiada, że chodziło o rytuały goliardowskie: chcesz zostać templariuszem, pokaż więc, żeś mężczyzną, napluj na krucyfiks, a zobaczymy, czy zostaniesz rażony gromem przez Boga; skoro wstępujesz do naszej milicji, musisz oddać się ślepo i bez reszty braciom, niechaj przeto pocałują cię w zadek. Druga teza powiada, że zachęcano ich do zapierania się Chrystusa, żeby zobaczyć, jak z tego wybrną, jeśli zostaną ujęci przez Saracenów. Jest to wyjaśnienie idiotyczne, gdyż nie można przygotować kogoś do wytrzymywania tortur, każąc mu robić, choćby symbolicznie, to, czego kat od niego zażąda. Trzecia teza: templariusze zetknęli się na Wschodzie z herezykami manichejskimi, którzy gardzili krzyżem, gdyż stanowił narzędzie męki pańskiej, i głosili, że trzeba wyrzec się świata i zniechęcać do małżeństwa i prokreacji. Stara idea, typowa dla herezji z pierwszych wieków; zostanie przyjęta przez katarów - a mamy całą tradycję, która uważa, że templariusze byli przeniknięci kataryzmem. W tej sytuacji dałoby się zrozumieć, skąd sodomia - choćby tylko symboliczna. Załóżmy, że rycerze nawiązali kontakt z tymi herezykami; z całą pewnością nie byli intelektualistami, trochę z naiwności, trochę ze snobizmu i przez *esprit de corps* stworzyli własny folklor, który odróżniał ich od innych krzyżowców. Praktykowali rytę jako znaki rozpoznawcze, nie zastanawiając się nad ich znaczeniem.

- Ale co w tym wszystkim robi Bafomet?

- Pomyśl tylko: w wielu zeznaniach mówi się *figura Baffo-*

*meti*, ale w grę mógłby wchodzić błąd pierwszego kopisty, a skoro manipulowało się protokołami, pierwszy błąd mógł zostać powielony we wszystkich dokumentach. W innych przypadkach ktoś mówił o Mahomecie (*istud caput vester deus est, et vester Mahumet*), a to oznaczałoby, że templariusze stworzyli sobie własną synkretyczną liturgię. W niektórych zeznaniach mówi się również, że zachęcano ich do wzywania „yalla”, co musiałoby oznaczać Allaha. Ale muzułmanie nie czcili wizerunków Mahometa, któż więc mógł wywrzeć wpływ na templariuszy? Z zeznań wynika, że wielu z nich widziało te głowy; czasem zamiast głowy jest cały bożek z drewna, z kędzierzawymi włosami, okryty złotem i zawsze brodaty. Zdaje się, że prowadzący śledztwo znaleźli głowy i pokazywali je oskarżonym, ale w sumie po tych głowach nie został żaden ślad, wszyscy je zobaczyli, nikt ich nie widział. To jak z kotem, jeden widział, że był szary, drugi, że rudy, inny, że czarny. Ale wyobraźcie sobie tylko śledztwo prowadzone z użyciem rozpalonych cęgów: czy w trakcie inicjacji widziałeś kota? Jakżeby nie, folwark templariuszy, pełen zbiorów, które trzeba było chronić przed myszami, musiał być pełen kotów. W owych czasach kot nie był w Europie zbyt pospolity jako zwierzę domowe, natomiast w Egipcie – owszem. Kto wie, może templariusze trzymali koty u siebie wbrew obyczajom porządnym ludzi, którzy uważali te zwierzęta za podejrzane. To samo dzieje się z głowami Bafometa, może chodziło o relikwiarze w kształcie głowy, w owych czasach bywały takie w użyciu. Naturalnie są tacy, którzy utrzymują, że Bafomet stanowił symbol alchemiczny.

- Alchemia pojawia się wszędzie - oznajmił z wielkim przekonaniem Diotallevi. - Templariusze znali prawdopodob-

nie sekret wytwarzania złota.

- Z pewnością go znali - potwierdził Belbo. - Oblega się miasto saraceńskie, podrzyna gardła niewiastom i dzieciom, porywa wszystko, co wpadnie w ręce. Prawda jest taka, że cała ta historia to jeden wielki bajzel.

- A może mieli bajzel w głowach, rozumiecie, co im po doktrynalnych dysputach? Historia obfituje w dzieje doborowych wojsk, które tworzyły sobie własny styl, trochę blagierski, trochę mistyczny, a oni też nie wiedzieli zbyt dobrze, co robią. Naturalnie przychodzi potem ezoteryczna interpretacja; wiedzieli wszystko, byli adeptami wschodnich misteriów i nawet pocałunek w tyłek miał znaczenie inicjacyjne.

- Proszę wyjaśnić mi z grubsza inicjacyjne znaczenie pocałunku w tyłek - zażądał Diotallevi.

- Niektórzy ezoterycy z czasów nowożytnych uważają, że templariusze naśladowali doktryny hinduskie. Pocałunek w tyłek miał służyć obudzeniu węża Kundalini, kosmicznej siły, która tkwi w zakończeniu kręgosłupa, w gruczołach płciowych, a kiedy już zostanie przebudzona, dociera do szyzynyki...

- Szyszynki Kartezjusza?

- Tak sądzę, i powinna otworzyć w czole trzecie oko, oko bezpośredniego widzenia w czasie i przestrzeni. Z tego powodu nadal poszukuje się sekretu templariuszy.

- Filip Piękny powinien spalić współczesnych nam ezoteryków, nie zaś tamtych biedaków.

- Tak, ale współcześni ezoterycy nie mają złamanego szeląga.

- Co za historii trzeba dzisiaj wysłuchiwać! - rzekł Belbo.  
- Teraz pojmuje, czemu ci templariusze stali się obsesją sza-

leńców, którzy do mnie przychodzą.

- Sądzę, że jest to trochę jak pańskie rozważania z tamtego wieczoru. Wszystko, co im się przydarzyło, tworzy zawiły sylogizm. Zachowuj się jak głupiec, a będziesz nieprzenikniony na wieczność. Abrakadabra, Mane Tekel Fares, Pape Satan, Pape Satan Aleppo, *le vierge le vivace et le bel aujourdhui*, za każdym razem, kiedy jakiś poeta, kaznodzieja, wódz, czarnoksiężnik wyrzucał z siebie nic nieznaczący bełkot, ludzkość spędzała wieki na rozszyfrowywaniu jego orędzia. Templariusze pozostają nierozszyfrowani z powodu swojego zamętu myślowego. Dlatego właśnie tak wiele osób ich czci.

- Wyjaśnienie pozytywistyczne - oznajmił Diotallevi.

- Tak - odparłem - być może jestem pozytywistą. Gdyby chirurg usunął templariuszom szyszynki, mogliby zostać szpitalnikami, to znaczy osobami normalnymi. Wojna degradowuje obiegi mózgowie, pewnie to przez odgłosy kanonady albo ognie greckie... Proszę tylko pomyśleć o generałach.

Była już pierwsza. Diotallevi, upojony tonikiem, wyraźnie się chwiał. Pożegnaliśmy się. Była to dla mnie dobra zabawa. Dla nich też. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że zaczynamy bawić się ogniem greckim, który parzy i spala.

Erard z Siverey rzekł mi: „Sire, jeśli dopilnujesz, byśmy ni ja, ni mój potomek nie byli tym pohańbieni, udam się po ratunek do hrabiego Andegaweńskiego, którego widzę tam w polu”. Ja zaś odparłem: „Wielmożny panie Erardzie, pomnożysz wielce swój honor, jeśli wyruszysz, by szukać ratunku dla naszego życia, albowiem twoje jest nader niepewne”.

Joinville, *Histoire de Saint Louis*, 46, 226

Po tamtym dniu, kiedy opowiadałem o templariuszach, rozmawiałem z Belbem tylko przelotnie w barze, gdzie bywałem coraz rzadziej, gdyż pracowałem nad moją rozprawą.

Pewnego dnia odbył się wielki pochód protestacyjny przeciwko faszystowskim knowaniom, który miał wyruszyć z uniwersytetu i na który zaproszono, jak to wówczas bywało, wszystkich intelektualistów antyfaszystowskich. Imponująca mobilizacja policji, ale zdaje się, że władze nie zamierzały przeszkadzać. Typowe dla tamtych czasów: pochód bez zezwolenia, jeśli jednak nie zdarzy się nic poważnego, siły porządkowe ograniczą się do patrzenia i pilnowania (obowiązywało wtedy mnóstwo terytorialnych kompromisów), żeby lewica nie przekroczyła pewnych umownych granic wytyczonych w centrum Mediolanu. Na określonym obszarze kontestowano, natomiast za placem Augusto i w całej strefie placu San Babila mieli swoje pozycje faszyci. Jeśli ktoś naruszał granice, dochodziło do incydentów, ale poza tym nie działo się nic, jak między pogromcą a lwem. My uważaliśmy zwykle, że gniewny lew wywiera nacisk na pogromcę i że w pewnym momencie ten poskromi go uniesieniem bata albo wystrzałem z pistoletu. Był to błąd: lew jest nasycony i pod działaniem środka usypiającego, skoro daje się zamknąć w klatce i nikogo nie atakuje. Podobnie jak wszystkie

zwierzęta ma swoją przestrzeń bezpieczeństwa, poza którą mogą dziać się najrozmaitsze rzeczy, a on zachowa spokój. Kiedy pogromca wkracza na terytorium lwa, lew ryczy; potem pogromca unosi bicz, ale w rzeczywistości robi krok do tyłu (jakby chciał wziąć rozbieg do skoku) i lew się uspokaja. Symulowana rewolucja musi się trzymać własnych reguł.

Poszedłem na pochód, ale nie dołączyłem do żadnej grupy. Trzymałem się trochę z boku, byłem na placu Santo Stefano, gdzie krążyli dziennikarze, redaktorzy z wydawnictw, artyści, którzy manifestowali solidarność. Cały bar Piladego.

Zobaczyłem obok siebie Belba. Był z jakąś kobietą, z którą widywałem go często w barze i którą uważałem za jego przyjaciółkę (później zniknęła – dowiedziałem się dlaczego, przeczytawszy historię w fiszce dotyczącej doktora Wagnera).

- Pan też? - spytałem.

- Cóż - uśmiechnął się z zażenowaniem - trzeba zabiegać o zbawienie duszy. *Crede firmiter et pecca fortiter*. Czy ta scena kogoś panu nie przypomina?

Rozejrzałem się. Było słoneczne popołudnie, jeden z tych dni, kiedy Mediolan z żółtymi fasadami domów i łagodnie metalicznym niebem jest piękny. Stojąca naprzeciwko nas policja miała hełmy i plastikowe tarcze, które błyszcząły jak stalowe, a komisarz w cywilu, lecz przepasany jaskrawą, trójkolorową szarfą, przebiegał przed frontem swoich pododdziałów. Spojrzałem za siebie, na czoło pochodu: tłum poruszał się, ale właściwie dreptał w miejscu, w szeregach, ale nieregularnych, sfałdowanych, i wydawało się, że ta masa ludzi najeżona jest pikami, sztandarami, transparentami, pałkami. Grupki niecierpliwych inicjowały co chwila skandowanie haseł; na flankach pochodu harcowali komandosi

z czerwonymi chustami na twarzach, w kolorowych koszulach i nabijanych ćwiekami pasach podtrzymujących dzinsy, które zaznały wszystkich odmian pogody; improwizowana broń, jaką zaciskali w dłoniach, zamaskowana była zwiniętymi chorągiewkami. Wszystko to jawiło się jako elementy jakiegoś obrazu; pomyślałem o Dufym i jego pogodnym nastroju. Potem Dufy skojarzył mi się z Guillaume'em Dufay. Ogarnęło mnie poczucie, że mam przed sobą miniaturę; w małym skupisku po bokach szeregów spostrzegłem kilka bezpłciowych dam czekających na obiecany festyn śmiałości. Ale to wszystko przemknęło mi tylko przez głowę niby błyskawica; poczułem, że przenika mnie inne doznanie, którego jednak nie rozpoznałem.

- Czyż nie jest to zdobycie Askalonu? - zapytał Belbo.

- Na świętego Jakuba, drogi panie - odparłem - to naprawdę bitwa krzyżowców! Nie wątpię, że dzisiejszego wieczoru wielu z nich znajdzie się w raju!

- Owszem - zgodził się Belbo - ale kłopot w tym, żeby się dowiedzieć, po której stronie są Saraceni.

- Policja jest teutońska - zauważyłem - tak że my bylibyśmy hordami Aleksandra Newskiego, ale być może mylę teksty. Proszę spojrzeć na tamtą grupę, to chyba bractwo hrabiego Artois; aż drżą z niecierpliwości, bo chcą rzucić się do ataku, albowiem nie mogą znieść hańby, i już ruszają ku liniom nieprzyjacielskim, już prowokują je okrzykami, w których pobrzmiwa groźba.

Wtedy właśnie doszło do incydentu. Niezbyt dobrze to pamiętam, w każdym razie pochód drgnął, grupa aktywistów z łańcuchami i w czapkach kominiarkach zaczęła przełamywać szeregi policji, kierując się w stronę placu San Babila



i wykrzykując agresywne hasła. Lew ruszył, i to dość zdecydowanie. Pierwszy szereg policji rozstąpił się i ujrzeliśmy armatki wodne. Z wysuniętych posterunków pochodu posypały się pierwsze pociski, pierwsze kamienie, jedna z grup policyjnych rozpoczęła zdecydowane natarcie, bijąc, ile weszło, i pochód zafalował. W tym momencie gdzieś daleko, w głębi ulicy Laghetto, dał się słyszeć wystrzał. Może po prostu pękła dętka w jakimś samochodzie, może to był wybuch petardy, może celowe wystrzały ostrzegawcze ze strony tych grup, które za kilka lat miały regularnie używać p38.

Wybuchła panika. Policja sięgnęła po broń, zabrzmiała trąbka do ataku, pochód podzielił się na bojowych, którzy gotowi byli do starcia, i pozostałych, którzy uważali, że spełnili już swój obowiązek. Spostrzegłem, że uciekam ulicą Larga i czuję szaleńczy strach, iż dosięgnie mnie jakieś tępe narzędzie, które znalazło się w czyichś rękach. Nagle zobaczyłem obok siebie Belba i jego towarzyszkę. Biegli dosyć szybko, ale bez paniki.

Na rogu ulicy Rastrelli Belbo chwycił mnie za ramię.

- Tędy, młodzieńcze - rzekł.

Chciałem zapytać dlaczego, gdyż ulica Larga wydawała mi się dogodniejsza i ludniejsza; w labiryncie uliczek między Pecorari i Arcivescovado uległem klaustrofobii. Sądziłem, że tam, dokąd ciągnie mnie Belbo, trudniej będzie przybrać barwy ochronne, gdyby skądś wyłoniła się przed nami policja. Dał mi znak, żebym milczał; skręcił dwa albo trzy razy, stopniowo zwolnił i nagle szliśmy spokojnym krokiem na tyłach katedry, gdzie trwał zwykły ruch i nie słychać było odgłosów walki toczonej niecałe dwieście metrów od tego miejsca. Nadal milcząc, obeszliliśmy katedrę i znaleźliśmy się przed jej

frontową fasadą po stronie Galerii. Belbo kupił torebkę pokarmu dla ptaków i z anielskim spokojem zaczął go rzucać gołębiom. Byliśmy całkowicie wmieszani w sobotni tłum, ja i Belbo w marynarkach i krawatach, kobieta ubrana jak mediolańska dama, w szarą bluzkę pod szyję i sznur pereł, może naturalnych, a może sztucznie hodowanych. Belbo mi ją przedstawił:

- To jest Sandra. Znacie się?

- Z widzenia. Cześć, Sandro.

- Widzi pan, Casaubon - pouczył mnie Belbo - nie należy nigdy uciekać prosto przed siebie. Napoleon III, idąc za przykładem Sabaudczyków w Turynie, kazał wyburzyć Paryż i zmienić go w siatkę bulwarów, które wszyscy podziwiamy jako arcydzieło urbanistycznych umiejętności. Ale proste ulice pozwalają lepiej kontrolować zbuntowany tłum. Jeśli tylko to możliwe, *vide* Champs Elysées, również ulice poprzeczne winny być szerokie i proste. Jeśli się nie da, jak wśród uliczek Dzielnicy Łacińskiej, to właśnie tam maj sześćdziesiąt osiem będzie miał najlepsze osiągnięcia. Ucieka się wąskimi i krętymi uliczkami. Nie ma takich sił porządkowych, które mogłyby wszystkie te uliczki kontrolować, a ponadto policjanci też boją się w nie zapuszczać małymi grupkami. Jeśli spotkasz ich tylko dwóch, boją się bardziej niż ty i jakby na dany znak zaczynacie uciekać w przeciwnych kierunkach. Kiedy masz zamiar uczestniczyć w masowym zgromadzeniu, a nie znasz okolicy, musisz w przeddzień dokonać rozpoznania, a następnie zająć stanowisko na rogu, z którego odchodzą małe uliczki.

- Przeszkolono pana w Boliwii?

- Techniki przeżycia uczymy się jedynie jako dzieci, chyba

że ktoś, dorósłszy, zaciągnie się do komandosów. Ja złe czasy wojny partyzanckiej spędziłem w \*\*\* – tu podał nazwę krainy między Monferrato a Langhe. – Ewakuowano nas z miasta w czterdziestym trzecim i było to cudownie wyliczone: czas i miejsce najodpowiedniejsze, by zażywać wszystkiego; przeczesywania terenu, SS, strzelaniny na drogach... Pamiętam, że pewnego wieczoru wspinałem się na wzgórze, idąc po świeże mleko do pewnego domu, i usłyszałem nad głową, wśród koron drzew, jakieś odgłosy: frr, frr. Uświadomiłem sobie, że z odległego wzgórza przede mną ostrzeliwują linię kolejową, która przebiegała doliną, za moimi plecami. Popełniłem błąd, pobiegłem w dół i nagle usłyszałem na polach wokół mnie pac, pac, pac. Były to zbyt krótkie wystrzały, które nie dosięgały linii kolejowej. Pojąłem, że skoro strzelają z góry, z bardzo wysoka, i celują gdzieś daleko w dół, muszę uciekać pod górę; im dalej się piąłem, tym wyżej nad głową przelatywały pociski. Moja babka podczas strzelaniny między faszystami a partyzantami, którzy rozlokowali się po dwóch stronach pola kukurydzy, wpadła na wyborny pomysł: ponieważ dokądkolwiek uciekała, groziło, że trafi ją zbłąkana kula, padła na ziemię pośrodku pola, dokładnie między dwiema liniami ognia. Leżała tak z dziesięć minut twarzą do ziemi, mając nadzieję, że żadna ze stron nie posunie się zbytnio do przodu. Udało się. Widzi pan, kiedy ktoś nauczy się tego w dzieciństwie, już mu to pozostanie w połączeniach nerwowych.

– Brał więc pan udział w ruchu oporu, jak zwykle się mówić?

– W roli widza – odparł. I dosłyszałem w jego głosie leciutkie zakłopotanie. – W czterdziestym trzecim miałem jede-

naście lat, kiedy wojna się skończyła - trzynaście. Zbyt wczesny wiek, żeby uczestniczyć, wystarczający, żeby wszystko obserwować z dokładnością, powiedziałbym, fotograficzną. Cóż miałem robić? Patrzyłem. I uciekałem jak dzisiaj.

- Może lepiej byłoby to opisać, zamiast redagować książki napisane przez innych.

- Wszystko już zostało opisane, Casaubon. Gdybym wówczas miał dwadzieścia lat, w latach pięćdziesiątych uprawiałbym poezję upamiętniającą. Na szczęście urodziłem się zbyt późno i kiedy mógłbym pisać, nie pozostało mi nic innego, jak czytać książki już napisane. Z drugiej strony mogłem również skończyć na wzgórzu, z kulą w głowie.

- Z czyjej broni? - zapytałem i zaraz poczułem się zawstydzony. - Przepraszam, to był żart.

- Nie, to nie był żart. Z pewnością wiem to dzisiaj, ale dopiero dzisiaj. Czy wiedziałem wtedy? Człowiek może przez całe życie odczuwać wyrzuty sumienia nie dlatego, że wybrał błędnie, gdyż tego można przynajmniej żałować, ale że nie potrafi dowieść samemu sobie, iż nie wybrałby błędnie... Byłem potencjalnym zdrajcą. Jakie więc mógłbym mieć prawo do napisania jakiegokolwiek prawdy i do pouczania innych ludzi?

- Przepraszam, ale ja mam inne zdanie - zaprzeczyłem. - Potencjalnie mógłby pan być równie dobrze potworem z ulicy Salaria, ale tak się nie stało. To nerwicowe. Czy też pańskie wyrzuty sumienia opierają się na konkretnych przesłankach?

- Czymże jest przesłanka w tego rodzaju sprawach? À propos nerwic, dziś wieczorem mamy kolację z doktorem Wagnerem. Trzeba poszukać taksówki na placu della Scala. Idziemy, Sandro?

- Z doktorem Wagnerem? - zapytałem, kiedyśmy się zegnali. - We własnej osobie?

- Tak, przyjechał na parę dni do Mediolanu i może uda mi się go przekonać, aby wydał u nas tomik niepublikowanych esejów. Byłoby to piękne osiągnięcie.

Tak więc już wtedy Belbo kontaktował się z doktorem Wagnerem. Zastanawiam się, czy właśnie tamtego wieczoru Wagner (wymawiać należy z francuska: Wagnère) odbył z Belbem seans psychoanalityczny, bezinteresownie i tak, że obaj nie zdali sobie z tego sprawy. A może kiedyś później?

Tego dnia Belbo po raz pierwszy wspomniął o swoim dzieciństwie w \*\*\*. Interesujące jest to, że opowiadał o ucieczkach - prawie chwalebnych w glorii wspomnienia, ale wyłaniających się z pamięci po tym, jak wraz ze mną, lecz i wobec mnie, niechwalebnie, aczkolwiek roztropnie, raz jeszcze uciekał.

Po czym brat Stefan z Provins, sprowadzony przed oblicze owych komisarzy i spytany przez nich, czy chce bronić zakonu, odrzekł, że nie chce, a jeśli zwierzchnicy pragną zakonu bronić, niechaj tak czynią, lecz on przed aresztowaniem był w zakonie tylko dziewięć miesięcy.

zeznanie z 27 listopada 1309

Znalazłem w Abulafii opowieść o innych ucieczkach. I rozmyślałem o nich tamtego wieczoru w peryskopie, podczas gdy z mroku dochodziły jakieś szelesty, skrzypienia, trzaski; i mówiłem sobie, że trzeba zachować spokój, gdyż w ten właśnie sposób gawędzą same ze sobą po nocach muzea, biblioteki, stare pałace, że to tylko stare szafy, które osiadają, gzymсы reagujące na wieczorną wilgoć, tynki, które powolutku kruszeją, milimetr na rok, ściany, które ziewają. Nie możesz uciekać - mówiłem sobie - bo jesteś tutaj po to, by się dowiedzieć, co się stało komuś, kto próbował zapobiec serii ucieczek, zdobywając się na akt nierozumnej (albo rozpaczliwej) odwagi, być może aby przyspieszyć tyle razy odkładane spotkanie z prawdą.

---

---

NAZWA PLIKU: Kanałek

---

---

Czy uciekłem przed szarżą policji, czy też raz jeszcze przed historią? Co za różnica? Przyszedłem na pochód, dokonując w ten sposób wyboru moralnego, czy też by raz jeszcze poddać się próbie, ponieważ pojawiła się Okazja? No dobrze, zmarnowałem wielkie okazje, gdyż nadarzały się za wcześniej albo za późno, ale winę za to ponosi urząd stanu cywilnego. Chciałem znaleźć się na tamtej łące i strzelać, nawet gdybym miał trafić babcię. Nie wziąłem w tym udziału nie z powodu tchórzostwa, lecz z powodu wieku. No dobrze. A pochód? Znowu uciekłem z przyczyn pokoleniowych, to starcie nic mnie nie obchodziło. Mogłem jednak zaryzykować, chociaż bez entuzjazmu, po prostu aby dowieść, że tam, na łące, umiałbym dokonać wyboru. Czy ma sens wybieranie Okazji niewłaściwej, by przekonać się, że kiedy indziej wybrałoby się Okazję właściwą? Kto wie, ilu z tych, którzy dzisiaj uczestniczyli w zamieszkach, dokładnie tak

postąpiło? Ale Okazja niewłaściwa nie jest Okazją dobrą.

Czy jest się tchórzem dlatego, że odwaga innych wydaje się niedopasowana do błahych okoliczności? Zatem mądrość czyni człowieka tchórzem. A potem, kiedy przez całe życie czyhało się na Okazję, analizując ją bez ustanku, chybia się tę właściwą. Okazję wybiera się bowiem instynktownie, nie dostrzegając w danej chwili, że to Okazja. Może już ją chwyciłem i wcale o tym nie wiedziałem? Czy można mieć nieczyste sumienie i czuć się tchórzem tylko dlatego, że człowiek przyszedł na świat w nieodpowiednim dziesięcioleciu? Odpowiedź: czujesz się jak tchórz, bo już raz okazałeś się tchórzem.

A jeśli i tym razem przepuściłem Okazję, gdyż czułem, że nie jest odpowiednia?

Opisać dom w \*\*\*, samotny na wzgórzu wśród winnic – czy nie mówi się „wzgórze w kształcie kobiecej piersi”? – a dalej droga prowadząca poza miasteczko, do wylotu ostatniej zamieszkałej ulicy – albo pierwszej (z pewnością nie dowiesz się tego nigdy, jeśli nie wybierzesz sobie punktu widzenia). Mały przesiadaniec, który wymyka się spod skrzydeł rodziny i rusza na kuszącą wyprawę, kroczy aleją, z lękiem i zazdrością zerkając na Ścieżkę.

Ścieżka była miejscem spotkań paczki ze Ścieżki. Chłopcy wiejscy, brudni i hałaśliwi. Byłem zbyt miejski, lepiej trzymać się od nich z daleka. Ale żeby dotrzeć do placu, kiosku z gazetami i sklepu papierniczego, jeśli chciało się uniknąć niemal podrównikowej i niezbyt chwalebnej wędrówki dookoła, trzeba było przejść przez Kanałek. Chłopcy ze Ścieżki byli małymi dżentelmenami w porównaniu z bandą znad Kanałka, byłej rzeczki, która zmieniła się w ściek biegnący przez najbiedniejszą okolicę. Chłopcy znad Kanałka byli naprawdę pluwawymi, brutalnymi i pochodzili z marginesu społecznego.

Jeśli ktoś należał do paczki ze Ścieżki, nie mógł liczyć na to, że wróci znad Kanałka cały i zdrowy. Jako nowo przybyły z początku nie wiedziałem, że jestem ze Ścieżki, ale ci znad Kanałka zaliczyli mnie natychmiast do wrogów. Zauważyli, że idę przez ich terytorium, czytając rozpostarte pisemko dla dzieci. Zacząłem biec, a oni za mną, rzucali kamieniami, któryś kamień przebił pisemko, które nadal trzymałem przed sobą, by dodać sobie godności. Uratowałem życie, ale straciłem pisemko. Następnego dnia postanowiłem dołączyć do bandy ze Ścieżki.

Kiedy stanąłem przed ich starszyzną, przywitał mnie ordynarny śmiech. W owych czasach miałem gęste włosy, złośliwie sterczące na wszystkie strony jak na reklamie ołówków marki „Presbitero”. Wzorce, jakie podsuwały mi filmy, reklamy, niedzielne przechadzki po mszy, to młodzieńcy w dwurzędowych marynarkach wywatowanych w ramionach, z wąsikami i błyszczącymi włosami przyklejonymi pomadą gładko do głowy. Uczesanie do tyłu nazywało się wtedy wśród ludzi mandoliną. Chciałem być uczesany w mandolinę. W poniedziałki kupowałem na targu za sumę śmieszłą na giełdzie papierów wartościowych, ale dla mnie niemal niewyobrażalną, pudełeczka z ziarnistą niby miód pszczeli brylantyną i całe godziny spędzałem, wcierając ją we włosy, aż zlepiały się w jedną ciężką skorupę, papieskie *camauro*. Potem przyciskałem je siatką. Ci ze Ścieżki

widzieli mnie już w tej siatce i nie szczędzili przycinków wykrzykiwanych w chropowatym dialekcie, który rozumiałem, chociaż nim nie mówiłem. Tego dnia, po spędzeniu dwóch godzin w domu, z siatką na głowie, zdjąłem ją, zweryfikowałem w lustrze wspaniały rezultat i ruszyłem na spotkanie z tymi, którym miałem przysiąc wierność. Dotarłem na miejsce w momencie, kiedy targowa brylantyna utraciła już swoje klejące działanie i włosy zaczęły wracać do pozycji pionowej, aczkolwiek nie wszystkie naraz. Chłopcy ze Ścieżki przywitali mnie wybuchem entuzjazmu; otoczyli ciasnym kołem i trącali się łokciami. Poprosiłem o przyjęcie do paczki.

Niestety, mówiłem po włosku, byłem więc odmieńcem. Wystąpił szef, Martinetti, bosonogi przystojniaczek, który wówczas wydawał mi się olbrzymem. Postanowił, że muszę dostać sto kopniaków w tyłek. Może chcieli obudzić węża Kundaliniego. Przyjąłem ten warunek. Oparłem się o mur i trzymany pod ramiona przez dwóch żandarmów zniosłem jakoś sto kopniaków bosymi stopami. Martinetti wziął się do dzieła z zapałem i metodycznie, kopiając ze wszystkich sił, ale nie czubkiem stopy, tylko piętą, żeby nie połamać sobie paluchów. Chór łobuzów liczył kopniaki. Oczywiście w dialekcie. Potem postanowili zamknąć mnie na pół godziny w klatce z królikami, a sami przez ten czas rozmawiali swoją gardłową gwarą. Wypuścili mnie, kiedy zacząłem się uskarżać na mrówki w nogach. Byłem z siebie dumny, gdyż umiałem się przystosować do dzikich obrzędów bandy łobuzów, nie tracąc przy tym godności. Byłem człowiekiem zwanym Koniem.

W tym okresie przebywali w \*\*\* Krzyżacy, niezbyt czujni, gdyż partyzanci nie dali im się jeszcze we znaki – był to koniec czterdziestego trzeciego albo początek czterdziestego czwartego. Jeden z naszych pierwszych wyczynów polegał na tym, że paru nas wślizgnęło się do baraku, kiedy inni zagadywali wartownika, wielkiego Longobarda, który zjadał ku naszemu zgorszeniu bułkę z salami i marmoladą, a w każdym razie tak się nam zdawało. Oddział zagadujący pochlebiał Niemcowi, wychwalając jego broń, a pozostali ukradli z baraku (który miał niewidoczne wejście od tyłu) kilka paczek trotylu. Nie wydaje mi się, by ten trotyl został kiedykolwiek użyty, ale Martinetti planował dokonanie na polu wybuchu w celach pirotechnicznych, stosując metody, jak wiem teraz, prostackie i niewłaściwe. Później Niemców zastąpili marynarze z Decima Mas; objęli stanowiska nad rzeką, dokładnie na skrzyżowaniu, przez które o szóstej wieczorem przechodziły dziewczęta z gimnazjum Matki Bożej Wspomożycielki. Chcieliśmy namówić tamtych z Decima (nie mogli chyba mieć po więcej niż osiemnaście lat), by z wiązki niemieckich granatów ręcznych, tych z długą rączką, wyrwali zawłeczki, tak żeby wybuch nastąpił w rzece dokładnie w momencie, kiedy pojawią się dziewczyny. Martinetti doskonale wiedział, jak się do tego zabrać i jak obliczyć czas. Wyjaśnił to majtkowi i efekt był wspaniały: rozległ się huk i słup wody wzbił się z rzeki, kiedy dziewczęta wychodziły zza rogu. Rzuciły się z piskiem do ucieczki, a my i marynarze pękaliśmy ze śmiechu. Zapamiętałiby te dni chwały, po stosie Jakuba z Molay, ci, którzy przeżyli Coltano.

Główną rozrywką chłopaków ze Ścieżki było zbieranie łusek i różnych fragmentów uzbrojenia, których po 8 września nie brakowało – stare hełmy, ładowni-



ce, chlebaki, a nawet całe naboje. Z nabojami postępowało się następująco: trzymając łuskę w dłoni, wsuwało się pocisk w dziurkę od klucza, naciskało łuskę, pocisk wychodził i dołączał do kolekcji. Z prochu wydobytego z łuski (czasem były to wążutkie wstążki balistytu) układało się, by je następnie podpalić, kręte ścieżki prochowe. Łuska, najcenniejsza, jeśli była nowa, wzbogacała Armię. Dobry kolekcjoner miał ich mnóstwo i bawił się, ustawiając je oddziałami według faktury, koloru, kształtu i wysokości. Były więc pułki piechoty, czyli łuski od pistoletów maszynowych albo stenów, następnie chorążowie i kawaleria – karabin dziewięćdziesiątkajedynka (garandy widzieliśmy tylko u Amerykanów) – oraz przedmiot największych westchnień, sztab główny, czyli łuski od karabinu maszynowego.

Byliśmy pochłonięci tymi pokojowymi zabawami, gdy Martinetti obwieścił pewnego dnia, że nadszedł moment. Do bandy znad Kanałka posłano list z wyzwaniem, które tamci przyjęli. Bitwa miała być stoczona na terenie neutralnym, za stacją kolejową. Jeszcze tego samego wieczoru o dziewiątej.

Nadeszło długie letnie popołudnie, gnuśne, a jednocześnie zapowiadające wielkie wydarzenia. Każdy wyposażył się w najstraszliwszą broń, dobierając pałkę, którą najwygodniej byłoby władać, napychając ładownice i chlebaki mniejszymi i większymi kamieniami. Ktoś z rzemienia karabinu sporządził sobie bicz, broń straszliwą, jeśli ma się pewną rękę. W tych wieczornych godzinach wszyscy czuliśmy się jak bohaterowie, a ja najbardziej. Było to podniecenie przed atakiem, cierpkie, bolesne, wspaniałe – żegnaj, ukochana, żegnaj, to twardy i słodki trud być wojownikiem, szliśmy złożyć naszą młodość w ofierze, jak uczono nas w szkole przed 8 września.

Martinetti przygotował bardzo rozsądny plan: pokonamy nasyp kolejowy na północ od stacji i zajdziemy ich od tyłu, nieoczekiwani i praktycznie już zwycięscy. Potem decydujący atak i żadnego pardonu.

O zmierzchu przeszliśmy przez nasyp, z trudem pnąc się po stromiźnie, jako że byliśmy obładowani kamieniami i pałkami. Kiedy znaleźliśmy się na szczycie nasypu, zobaczyliśmy, że tamci zajęli stanowiska za stacijnymi ubikacjami. Dostrzegli nas natychmiast, bo podejrzewali, że nadciągniemy z tej właśnie strony. Nie pozostało nam nic innego, jak ruszyć do przodu, zanim ochłona ze zdumienia oczywistością naszego manewru.

Nie wydano nam wódki przed atakiem, ale i tak rzuciliśmy się z wyciem na przeciwnika. To, o czym chcę opowiedzieć, zdarzyło się sto metrów przed stacją. W tym miejscu zaczynały się pierwsze domy, które, choć nieliczne, tworzyły siatkę wąskich uliczek. Tak się złożyło, że grupa najodważniejszych ruszyła do natarcia, podczas gdy ja – na swoje szczęście – oraz kilku innych zwolniliśmy kroku i zajęliśmy stanowiska za rogami domów, obserwując wszystko z daleka.

Gdyby Martinetti podzielił chłopaków na awangardę i ariergardę, spełnilibyśmy z honorem nasz obowiązek, ale taki właśnie szyk został przyjęty samorzutnie. Zapalęcy z przodu, tchórze z tyłu. I z naszych stanowisk, przy czym moje było najbardziej z tyłu, obserwowaliśmy starcie. Do którego nie doszło.

Dwie armie, zgrzytając zębami, stanęły w odległości kilku metrów od siebie, a następnie obaj dowódcy wystąpili przed szeregi i rozpoczęli rokowania. Istna

Jałta. Postanowili podzielić się strefami wpływów i przepuszczać w razie potrzeby przez swoje terytoria, zupełnie jak chrześcijanie i muzułmanie w Ziemi Świętej. Balans (to chyba z francuskiego!) uległ zachwianiu i rycerska solidarność przeważała nad perspektywą nieuniknionej bitwy. Każdy pokazał się z najlepszej strony. W zgodzie wycofali się między swoich. W takiej samej zgodzie wycofały się obie bandy. Każda w swoją stronę.

Wmawiam sobie teraz, że nie wziąłem udziału w ataku, bo chciało mi się śmiać. Ale wtedy tak nie myślałem. Czułem się tchórzem i tyle.

Dzisiaj jeszcze bardziej tchórzliwie mówię sobie, że gdybym pobiegł z innymi, nic by mi się nie stało i moje dalsze życie lepiej by się ułożyło. Mając dwanaście lat, przepuściłem Okazję. Podobnie brak erekcji przy pierwszym razie decyduje o impotencji przez resztę życia.

Miesiąc później, kiedy z powodu przypadkowego przekroczenia granicy obie bandy znowu stanęły naprzeciw siebie na polu i zaczęły latać grudy ziemi, uspokojony przebiegiem poprzedniego starcia, a może spragniony męczeństwa, stanąłem w pierwszej linii. Potyczka była bezkrwawa, ale nie dla mnie. Jakaś gruda, która najwyraźniej kryła w środku kamień, rozcięła mi wargę. Uciekłem z płaczem do domu i matka musiała pęsetką usuwać ziemię z rany. Pozostało mi po tym wydarzeniu zgrubienie koło prawego dolnego kła i kiedy przesuwam po nim językiem, czuję jakąś wibrację, przenika mnie dreszcz.

Ale to zgrubienie nie rozgrzesza mnie, gdyż zdobyłem je niechcący, nie zaś dzięki śmiałości. Przesuwam językiem po wardze i co robię? Piszę. Ale zła literatura nie zapewnia odkupienia.

---

Po tamtym pochodzie nie spotykałem Belba przez jakiś rok. Zakochałem się w Amparo i przestałem chodzić do Piladego, a jeśli nawet kilka razy tam zajrzałem, Belba nie było. Poza tym Amparo nie lubiła tego miejsca. Jej moralny i polityczny rygoryzm – dorównujący jedynie wdziękowi i wspaniałej dumie – sprawiał, że patrzyła na Piladego jak na klub demokratycznych dandysów, a demokratyczny dandyzm stanowił jej zdaniem jeden z najsubtelniejszych rodzajów kapitalistycznego spisku. Był to rok wielkich zaangażowań, wielkiej powagi i wielkiej słodyczy. Z upodobaniem, ale i spokojnie, pracowałem nad moją rozprawą.

Pewnego dnia spotkałem Belba nad kanałami, nieopodal Garamonda.

- Coś takiego! - wykrzyknął z radością. - Mój ulubiony

templariusz! Zafundowałem sobie przed chwilą niewypowiedziane wiekowy trunek. Może by pan wpadł do mnie? Mam kartonowe kieliszki i wolne popołudnie.

- To figura retoryczna?

- Nie, to burbon butelkowany, jak się zdaje, przed upadkiem Al-Alamajn.

Poszedłem z nim. Ale ledwie przystąpiliśmy do degustacji trunku, wkroczyła Gudrun i oznajmiła, że przyszedł jakiś pan. Belbo klepnął się dłonią w czoło. Zapomniał o tym spotkaniu, ale przypadek ma posmak spisku - oznajmił. O ile zrozumiał, facet chciał zaproponować książkę, która dotyczy również templariuszy.

- Pozbędę się go raz-dwa - rzekł - ale niech pan poprze mnie swoimi przenikliwymi zastrzeżeniami.

Z pewnością był to przypadek. I tak wpadłem w pułapkę.

W ten sposób zniknęli rycerze Świątyni, a wraz z nimi tajemnica, w której cieniu pulsowała piękna nadzieja na doczesne państwo. Ale Abstrakcja, z którą sprzęgnięty był ich wysiłek, kontynuowała w nieznanym regionach niedostępne życie... i nieraz w toku dziejów przeszczepiała swoją inspirację w umysły zdolne ją przyjąć.

Victor Emile Michelet, *Le secret de la Chevalerie*, 1930, 2

Miał twarz z lat czterdziestych. Jeśli sądzić na podstawie starych czasopism, które znalazłem w piwnicy, w latach czterdziestych wszyscy mieli tego rodzaju twarze. Przyczyną musiało być wojenne wygłodzenie, które powodowało, że policzki się zapadały, a oczy w jakiś nieokreślony sposób rozpały gorączką. Takie twarze widziałem w scenach rozstrzelania, i to po obu stronach. W tamtych czasach ludzie o jednakowych twarzach rozstrzelali jedni drugich.

Nasz gość miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i perłowoszary krawat, a ja mimowolnie zadałem sobie pytanie, czemu przyszedł tu po cywilnemu. Nienaturalnie czarne włosy zaczesywał na skroniach do tyłu, tworząc dwa wypo-madowane, lecz z umiarem, pasma, a na środku głowy pozostawiając błyszczącą łysinę prążkowaną cienkimi nitkami, regularnymi jak przewody telegraficzne i umykającymi od czoła gdzieś do tyłu. Twarz była opalona, pobrużdżona nie tylko zmarszczkami – wyraźnie zresztą kolonialnymi. Błada blizna przecinała mu bowiem lewy policzek od ust do ucha, a ponieważ nosił długie i czarne wąsy à la Adolphe Menjou, lewy wąs był delikatnie przekreślony w miejscu, gdzie skóra otworzyła się na mniej niż milimetr, a potem zrosła. *Mensur* czy muśnięcie pocisku?

Przedstawił się jako pułkownik Ardenti, podał rękę Belbo-

wi, a w moją stronę po prostu skinął głową, kiedy Belbo wyjaśnił, że jestem jego współpracownikiem. Usiadł, założył nogę na nogę i podciągnął spodnie na kolanach, odsłaniając amarantowe skarpetki - krótkie.

- Pułkownik... w służbie czynnej? - zapytał Belbo.

Ardenti ukazał w uśmiechu kilka kosztownych sztucznych zębów.

- Raczej w stanie spoczynku. Albo, jeśli pan woli, w rezerwie. Może na to nie wyglądam, ale mam już swoje lata.

- Nie wygląda pan - oznajmił Belbo.

- A jednak brałem udział w czterech wojnach.

- Musiałby pan zaczynać u boku Garibaldiego.

- Nie. Ochotnik w Etiopii w stopniu porucznika. Ochotnik w Hiszpanii w stopniu kapitana. Jako major znowu w Afryce aż do wycofania się z czwartego brzegu. Srebrny medal. W czterdziestym trzecim... powiedzmy, że stanąłem po stronie przegranej i straciłem wszystko oprócz honoru. Starczyło mi odwagi, żeby zacząć raz jeszcze. Legia Cudzoziemska. Szkoła zuchwałości. W czterdziestym szóstym byłem sierżantem, a w pięćdziesiątym ósmym pułkownikiem u Massu. Oczywiście staję zawsze po stronie przegrywającej. Kiedy do władzy doszła lewica z de Gaulle'em, podałem się do dymisji i zamieszkałem we Francji. Miałem dobre znajomości w Algierze, więc założyłem w Marsylii przedsiębiorstwo eksportowo-importowe. Tym razem wybrałem chyba stronę wygrywającą, gdyż żyję z odsetek i mogę zajmować się swoim hobby - tak się w dzisiejszych czasach mówi, nieprawdaż? W ostatnich latach spisałem wyniki badań. Oto one...

Wyciągnął ze skórzanej walizeczki grubą teczkę, która wówczas wydała mi się czerwona.

- Tak zatem - rzekł Belbo - jest to rzecz o templariuszach?

- O templariuszach - zgodził się pułkownik. - To pasja sięgająca czasów młodości. Oni również byli awanturnikami szukającymi chwały po drugiej stronie Morza Śródziemnego.

- Pan Casaubon zajmuje się templariuszami - oznajmił Belbo. - Zna ten temat lepiej niż ja. Opowiadał nam o nich.

- Templariusze zawsze mnie ciekawili. Zastęp szlacheckich, którzy nieśli światło Europy dzikusom z obu Trypolisów.

- Przeciwnicy templariuszy nie byli wcale takimi dzikusami - zauważyłem pojednawczym tonem.

- A czy był pan kiedyś w niewoli u buntowników z Maghrebu? - zapytał sarkastycznie.

- Na razie nie - odparłem.

Przyjrzał mi się bacznie, a ja poczułem zadowolenie, że nie służę pod jego rozkazami. Zwrócił się do Belba:

- Proszę wybaczyć, należę do innej generacji. - Spojrzał w moją stronę z wyzywającą miną. - Jesteśmy tutaj przed obliczem sądu czy po to, by...

- Jesteśmy tutaj, ażeby porozmawiać o pańskiej pracy, pułkowniku - zapewnił go Belbo. - Proszę o niej opowiedzieć.

- Pragnę od razu postawić jedną sprawę jasno - oznajmił pułkownik, kładąc rękę na teczce. - Gotów jestem partycypować w kosztach wydawniczych, nie proponuję panu niczego, co mogłoby przynieść straty. Jeśli chcecie gwarancji naukowych, będziecie je mieli. Właśnie dwie godziny temu spotkałem się z ekspertem w tej dziedzinie, który przyjechał do Paryża. Napisze miarodajny wstęp...

Odgadł pytanie Belba i zrobił gest, jakby chciał powie-

dzieć, że na razie lepiej niczego nie precyzować, zważywszy, iż sprawa jest nader delikatna.

- Panie redaktorze - ciągnął - te stronice zawierają materiał do opowieści. Prawdziwej. Niebanalnej. Lepszej niż amerykańskie powieści kryminalne. Odkryłem pewną rzecz, rzecz bardzo ważną, ale to dopiero początek. Chcę wyjawić wszystkim to, co wiem, aby ktoś, kto byłby w stanie uzupełnić tę układankę, przeczytał książkę i ujawnił się. Chcę zarzucić przynętę. A muszę zrobić to szybko. Wszyscy, którzy przede mną dotarli do tych informacji, zostali prawdopodobnie zabici, żeby nie rozgłosili swojej wiedzy. Jeśli to, co wiem, wyjawię dwóm tysiącom czytelników, nikomu już nie będzie zależeć na mojej śmierci. - Zrobił pauzę. - Wiecie, panowie, to i owo o uwięzieniu templariuszy...

- Opowiadał niedawno o tym pan Casaubon i uderzyło mnie wtedy, że aresztowania przebiegły bez najmniejszego oporu, rycerze zostali zaskoczeni...

Pułkownik uśmiechnął się z politowaniem.

- Istotnie. Jest rzeczą doprawdy dziecinną sądzić, że ludzie, których potęgi lękał się sam król Francji, nie byli w stanie się dowiedzieć, iż czterech łajdaków podżega króla, król zaś podżega papieża. Bez przesady! Nasuwa się konieczność obmyślenia planu. Planu wspaniałego. Załóżmy, że templariusze mieli zamiar podbić cały świat i znali tajemnicę ogromnego źródła mocy, tajemnicę, dla której warto poświęcić całą dzielnicę Świątyni w Paryżu, komandorie rozsiane po królestwie, a także po Hiszpanii, Portugalii, Anglii i Włoszech, zamki w Ziemi Świętej, depozyty pieniężne - wszystko... Filip Piękny ma jakieś podejrzenia, w przeciwnym wypadku nie można bowiem zrozumieć, dlaczego miałyby

rozpętać prześladowania, dyskredytować sam kwiat francuskiego rycerstwa. Templum pojmuję, że król pojął i spróbuje je zniszczyć, na nic zda się opór frontalny, plan wymaga czasu, skarb, czy coś innego, trzeba jeszcze ostatecznie ukryć albo korzystać z niego powoli... A tajny zarząd Templum, którego istnienie uznają już wszyscy...

- Wszyscy?

- Oczywiście. Jest nie do pomyślenia, żeby tak potężny zakon mógł przetrwać długo bez tajnej reguły.

- Rozumowanie bez zarzutu - oświadczył Belbo, patrząc na mnie z ukosa.

- Dlatego - powiedział pułkownik - również oczywiste są wnioski. Wielki mistrz z pewnością wchodzi w skład tajnego kierownictwa, ale ma stanowić jego zewnętrzną osłonę. Gauthier Walther w *La chevalerie et les aspects secrets de l'histoire* powiada, że przygotowany przez templariuszy plan zdobycia władzy przewidywał jako termin ostateczny rok dwutysięczny! Templum postanawia zejść w podziemie, a do tego niezbędne jest, by wszyscy zobaczyli, że zakon przestał istnieć. Oto co robią, poświęcają się, nie wyłączając wielkiego mistrza. Niektórzy dają się zabić, prawdopodobnie zostali wylosowani. Inni podporządkowują się, przybierają barwy ochronne. Gdzież kończą niższej rangi zwierzchnicy, bracia świeccy, cieśle, szklarze?... Rodzi się stowarzyszenie wolnych mularzy, które szerzy się na całym świecie - to znana sprawa. Co jednak dzieje się w Anglii? Król opiera się naciskom papieża, przenosi ich wszystkich w stan spoczynku, żeby spokojnie dożyli swoich dni w komandoriach zakonu. Oni zaś siedzą tam cichutko. Pan się na to nabrał? Bo ja nie. W Hiszpanii zakon postanawia zmienić nazwę, staje się zako-



nem Montesa. Moi panowie, ci ludzie potrafili przekonać króla, mieli tyle weksli, że w ciągu tygodnia mogli doprowadzić go do bankructwa. Także król Portugalii wchodzi w układy: zrobmy tak, moi mili - powiada - nie nazywacie się już rycerzami Świątyni, ale rycerzami Chrystusa, i jeśli o mnie chodzi, wszystko jest w porządku. A w Niemczech? Mało procesów, czysto formalna kasata zakonu, ale mają wszak u siebie bratni zakon krzyżacki, który w owym czasie dokonuje czegoś więcej niż utworzenia państwa w państwie: sami są państwem, skupili w swych rękach tereny równie wielkie jak te pozostające dzisiaj pod rosyjską władzą, dokonują stałych postępów aż do końca piętnastego wieku, gdyż w tym momencie pojawiają się Mongołowie - to jednak jest już inna historia, gdyż Mongołów mamy jeszcze daleko... Ale nie odbiegajmy od tematu...

- Nie odbiegajmy, jeśli można - zgodził się Belbo. - Idźmy dalej.

- Płyną stąd oczywiste wnioski. Jak wszyscy wiedzą, na dwa dni przed wydaniem przez Filipa rozkazu uwięzienia, a na miesiąc przed jego wykonaniem, wóz z sianem, zaprzężony w woły, opuszcza mury Świątyni, udając się w nieznanym kierunku. Mówi o tym także Nostradamus w jednej ze swoich centurii...

Odszukał odpowiednią stronę manuskryptu.

*Souz la pasture d'animaux ruminant  
par eux conduits au ventre herbipolique  
soldats cachés, les armes bruit menant...*

- Wóz z sianem to legenda - oświadczyłem - i nie uznawałbym Nostradamusa za autorytet w zakresie historiogra-

fii...

- Osoby starsze niż pan, panie Casaubon, dawały wiarę wielu prorocctwom Nostradamusa. Z drugiej strony nie jestem jednak tak naiwny, by wierzyć w historię z tym wozem. To symbol. Symbol oczywistego i niepodważalnego faktu, że spodziewając się aresztowania, Jakub z Molay przekazał dowództwo i tajne instrukcje swemu bratankowi, hrabiemu Beaujeu, który został zakonspirowanym przywódcą zakonspirowanego zakonu.

- Czy istnieją odpowiednie dokumenty historyczne?

- Oficjalna historia - uśmiechnął się z goryczą pułkownik - została napisana przez zwycięzców. Według oficjalnej historii ludzie tacy jak ja nie istnieją. Nie, za historią wozu z sianem kryje się coś więcej. Zakonspirowana grupa przenosi się do spokojnego ośrodka i stamtąd zaczyna budować swą tajną siatkę. Ten pewnik wziąłem za punkt wyjścia. Od wielu lat, nawet jeszcze przed wojną, zastanawiałem się, gdzie skończyli ci bracia w heroizmie. Kiedy wycofałem się do życia prywatnego, postanowiłem w końcu przystąpić do szukania tropu. Ponieważ ucieczka wozem nastąpiła we Francji, tam właśnie powinienem znaleźć miejsce wstępnego spotkania zakonspirowanej grupy. Ale gdzie?

Miał wyczucie teatralnego efektu. Belbo i ja chcieliśmy się tego dowiedzieć. Nic lepszego nie przyszło nam do głowy, jak tylko zachęcić go do mówienia.

- Proszę powiedzieć.

- Już. Gdzie skryli się templariusze? Skąd pochodził Hugon z Payns? Z Szampanii, z okolic Troyes. A w Szampanii włada Hugon z Szampanii, który kilka lat później, w tysiąc sto dwudziestym piątym roku, dołącza do nich w Jerozolimie.

Potem wraca do domu, nawiązuje, jak się zdaje, kontakt z opatem Cîteaux i pomaga mu przystąpić w klasztorze do odczytywania i tłumaczenia pewnych hebrajskich tekstów. Pomyślcie, rabini z Górnej Burgundii zostali zaproszeni do Cîteaux, do białych benedyktynów. I to przez kogo? Przez świętego Bernarda - żeby studiować kto wie jakie teksty, które Hugon znalazł w Palestynie. Hugon oddaje mnichom świętego Bernarda las w Bar-sur-Aube, gdzie powstanie Clairvaux. I cóż czyni święty Bernard?

- Staje się protektorem templariuszy - rzekłem.

- A dlaczego? Czy wie pan, że uczyni templariuszy potężniejszymi od benedyktynów? Że benedyktynom zabrania przyjmowania ziemi i domów w darowiźnie, każe zaś i ziemię, i domy oddawać templariuszom? Czy widział pan Forêt d'Orient koło Troyes? Ogrom, jedna komandoria za drugą. I w tym czasie rycerze nie walczą w Palestynie - czy wie pan o tym? Osiadają w Świątyni i zamiast zabijać muzułmanów, nawiązują z nimi przyjaźń. Kontaktują się z ich wtajemniczonymi. W sumie święty Bernard przy ekonomicznym wsparciu ze strony hrabiów Szampanii tworzy zakon, który w Ziemi Świętej kontaktuje się z tajnymi sektami arabskimi i żydowskimi. Nikomu nieznanemu kierownictwo planuje krucjaty, żeby zakon miał rację istnienia - nie zaś przeciwnie - i buduje siatkę władzy, która wymyka się jurysdykcji królewskiej... Nie jestem uczonym, lecz człowiekiem czynu. Zamiast snuć domysły, zrobiłem to, czego tylu naukowców nigdy nie zrobiło, gdyż byli zajęci gadaniem. Udałem się tam, skąd templariusze wzięli początek i gdzie mieli przez dwa wieki swoją bazę, gdzie czuli się jak ryba w wodzie...

- Przewodniczący Mao powiada, że rewolucjonista powi-

nien czuć się wśród ludu jak ryba w wodzie – przerwałem.

- Brawo dla pańskiego przewodniczącego. Templariusze, którzy przygotowywali rewolucję znacznie większą niż rewolucja pańskich komunistów z warkoczem...

- Nie noszą już warkocza.

- Nie? Tym gorzej dla nich. Templariusze, jak powiedziałem, musieli szukać schronienia gdzieś w Szampanii. W Payns? W Troyes? W Forêt d'Orient? Nie. Payns pozostało osadą liczącą cztery domy, a wówczas stał tam najwyżej zamek. Troyes było miastem, za dużo kręciło się w nim ludzi króla. Forêt, z definicji związany z templariuszami, stanowił pierwsze miejsce, gdzie szukaliby ich królewscy strażnicy – co zresztą uczynili. Nie: Provins – powiedziałem sobie. Jeśli jest takie miejsce, musi nim być Provins!

Gdybyśmy potrafili przeniknąć wzrokiem ziemię od bieguna do bieguna albo od naszych stóp po antypody, w środku z przerażeniem ujrzelibyśmy gmach straszliwie podziurawiony szczelinami i pieczarami.

T. Burnet, *Telluris Theoria Sacra*,  
Wolters, Amsterdam 1694, s. 38

- Dlaczego Provins?

- Nigdy nie był pan w Provins? Nawet dzisiaj wyczuwa się, że jest to miejsce magiczne. Miejsce przeniknięte wonią tajemnicy. Na razie, w wieku jedenastym, jest siedzibą hrabiego Szampanii i pozostaje wolnym obszarem, do którego władza centralna nie ma prawa wścibiać nosa. Templariusze są tam u siebie, jedna z ulic nosi ich nazwę. Kościoły, pałace, skała panująca nad całą równiną i pieniądze, krążenie towarów, targi, zamęt, w którym można się zgubić. A przede wszystkim, i to od czasów prehistorycznych - podziemia. Sieć tuneli pod całym wzgórzem. Istne katakumby, z których te i owe można zwiedzać w naszych czasach. Gdyby w trakcie jakiegoś tajnego zgromadzenia wtargnęli tam nieprzyjaciele, spiskowcy mogliby zniknąć w ciągu kilku sekund, Bóg jeden wie gdzie, a jeśliby znali przejścia, wydostaliby się nie wiadomo którędy, weszliby z powrotem od przeciwnej strony, niby koty skoczyli na karki intruzom i sprawili im w ciemności prawdziwą rzeź. Mój Boże, mogę was zapewnić, panowie, że tunele są jakby specjalnie wydrążone dla komandosów, szybkich i niewidzialnych, można tam nocą wślizgnąć się ze sztylblem w zębach i dwiema bombami w rękach, by, do diaska, zgotować tamtym śmierć godną myszy!

Oczy mu błyszcząły.

- Czy pojmujecie, panowie, jaką bajeczną kryjówką mogło być Provins? Grupka konspiratorów zbiera się potajemnie w podziemiach, a obywatele miasta, jeśli nawet coś widzą - milczą. Oczywiście ludzie króla docierają także do Provins, aresztują templariuszy, którzy wyszli na powierzchnię, i dostarczają ich do Paryża. Reynaud z Provins jest poddany torturom, ale nie puszcza pary z ust. Nie ulega wątpliwości, że zgodnie z tajnym planem miał być aresztowany, aby wiadano, że także w Provins zrobiono porządki, lecz jednocześnie musiał dać sygnał: Provins nie mięknie, Provins, siedziba nowych templariuszy, którzy zeszli w podziemie... Poszczególne budynki połączono tunelami, tak że wchodzi się do magazynu zboża albo składu bławatnika, a wychodzi w którymś z kościołów. Tunele podparte są filarami, mają murowane sklepienia i jeszcze dzisiaj w górnej części miasta pod każdym z domów jest piwnica o beczkowym sklepieniu i ta, podobno, ponad setka piwnic, co mówię, podziemnych sal, miała połączenie z podziemiami.

- To tylko domysły - oświadczyłem.

- O nie, panie Casaubon. Są na to dowody. Nie widział pan tuneli w Provins. W trzewiach ziemi ciągną się sale za salami i wszędzie pełno napisów. Przeważnie spotykamy je w salach, które speleolodzy nazywają korytarzami bocznymi. Są to rysunki obrzędowe pochodzenia druidycznego. Wykonane przed pojawieniem się na tamtych terenach Rzymian. Cezar maszerował górą, a pod jego nogami układano plany oporu, praktykowano czary, przygotowywano zasadzki. Widuje się tam także znaki katarów, a jakże, proszę panów, katarowie zamieszkiwali nie tylko Prowansję, ci prowansalscy zostali wytępieni, ale ci z Szampanii przeżyli potajemnie

i tam właśnie, w tych heretyckich katakumbach, odbywali swoje spotkania. Stu osiemdziesięciu trzech spalono na powietrzu, ale reszta przeżyła. Kroniki określają ich jako *bougres et manichéens* - *bougres* to bogomiłowie, katarowie pochodzenia bułgarskiego, a czy francuskie słowo *bougre* nic panu nie mówi? Pierwotnie oznaczało sodomitę, gdyż uważano, że katarowie bułgarscy ulegają tej słabości... - Roześmiał się z zakłopotaniem. - A kogo oskarżano o tenże występki? Właśnie ich, templariuszy... To ciekawe, nieprawdaż?

- Tylko do pewnego stopnia - odparłem. - Kiedy w tamtych czasach chciano załatwić heretyka, oskarżano go o sodomie...

- Naturalnie. I proszę nie sądzić, że moim zdaniem templariusze... Przeciwnie, byli wojownikami, a my, ludzie wojny, kochamy piękne kobiety, mimo że przysięgamy mężczyznom. Ale wspominał o tym, bo nie wydaje mi się przypadkiem, że w środowisku templariuszy znaleźli schronienie katarscy heretycy, a tak czy owak, od nich to templariusze się dowiedzieli, jakie korzyści można mieć z podziemi.

- W sumie jednak - wtrącił się Belbo - są to na razie tylko hipotezy...

- Hipotezy robocze. Mówiłem już, dlaczego przystąpiłem do poszukiwań właśnie w Provins. W samym środku tego miasta wznosi się wielka budowla gotycka, Grange-aux-Dîmes, spichlerz na dziesięciny, a jak panom wiadomo, potęga templariuszy wynikała też między innymi z tego, że sami ściągali dziesięcinę, nie mieli żadnych zobowiązań wobec państwa. Pod ziemią, jak wszędzie, mamy istny labirynt korytarzy, obecnie w bardzo złym stanie. Otóż kiedy szpe-

rałem w archiwach Provins, wpadła mi w ręce lokalna gazeta z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Opisa-  
no tam, jak dwaj dragoni, kawalerowie Camille Laforge z To-  
urs i Edward Ingolf z Petersburga (właśnie tak, z Petersburga), parę dni wcześniej zwiedzali spichlerz w towarzystwie  
strażnika i zeszli dwa piętra pod ziemię, kiedy strażnik,  
chcąc pokazać, że można zejść jeszcze niżej, tupnął i dragoni  
usłyszeli echo i głuchy pogłos. Kronikarz wychwala śmiałość  
dragonów, którzy zaopatrzywszy się w lampy i sznury, prze-  
cisnęli się na czworakach jakimiś chodnikami, niby małe  
dzieci pracujące w kopalni, i dotarli do tajemniczych koryta-  
rzy. W końcu - pisze kronikarz - znaleźli się w wielkiej sali  
z pięknym kominkiem i studnią pośrodku. Obciążyli sznur ka-  
mieniem i sprawdzili, że studnia ma jednaście metrów  
głębokości... Tydzień później wrócili z grubszyimi sznurami  
i kiedy Laforge ze strażnikiem trzymali mocno sznur, trzeci,  
Ingolf, zsunął się do studni i odkrył wielkie pomieszczenie  
o kamiennych ścianach: dziesięć metrów na dziesięć i pięć  
metrów wysokości. Potem także zsunęli się tamci dwaj  
i przekonali się, że są na trzecim piętrze podziemi, trzy-  
dzieści metrów pod powierzchnią. Co widzieli i robili w tej  
sali - nie wiadomo. Kronikarz wyznaje, że kiedy wybrał się,  
by sprawdzić wszystko na miejscu, nie spuścił się do studni,  
bo przekraczało to jego siły. Ta historia poruszyła mnie do  
tego stopnia, że zapragnąłem tam się udać. Ale od końca  
ubiegłego wieku wiele podziemi się zapadło i jeśli nawet owa  
studnia rzeczywiście istniała, nie sposób było ją odszukać.  
Przyszło mi do głowy, że dragoni mogli w podziemiach coś  
znaleźć. Na krótko przedtem czytałem książkę o tajemnicy  
Rennes-le-Château, w którą w ten czy w inny sposób zamie-



szani byli także templariusze. Pewien proboszcz bez grosza w kabzie i bez żadnych widoków na przyszłość, duszpasterz wioski liczącej dwieście głów, postanawia odnowić stary kościółek, unosi więc kamienną płytę w chórze i znajduje – jak oznajmia – szkatułkę z bardzo starymi manuskryptami. Lecz czy tylko z manuskryptami? Nie wiadomo dokładnie, co i jak, ale w następnych latach proboszcz staje się człowiekiem niezmiernie bogatym, szasta pieniędzmi na prawo i lewo, prowadzi lekkomyślne życie, doczeka się procesu kanonicznego... A jeśli któremuś z dwóch dragonów, a może obu, zdarzyło się coś podobnego? Ingolf schodzi pierwszy, znajduje cenny przedmiot o niewielkich rozmiarach, chowa go za pazuchą, wychodzi na górę, nie puszcza pary z ust... W gruncie rzeczy jestem człowiekiem bardzo upartym i gdyby nie to, prawdopodobnie moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Musnął palcem bliznę na twarzy. Potem uniósł dłonie do skroni i przesunął nimi w stronę karku, by się upewnić, że włosy należycie przylegają.

– Jadę do Paryża i na poczcie głównej wertuję wszystkie książki telefoniczne, szukając nazwiska Ingolf. Znajduję jedno jedyne, w Auxerre, piszę więc list, w którym się przedstawiam jako uczonego archeolog. Dwa tygodnie później przychodzi odpowiedź od jakiejś starej akuszerki. Jest córką tamtego Ingolfa i pyta, czemu się nim interesuję, a także czy, na miły Bóg, wiem coś o jego losach... Czyż nie mówiłem, że tkwi w tym jakaś tajemnica? Jadę czym prędzej do Auxerre; panna Ingolf mieszka w domku całkowicie obrośniętym bluszczem, drewnianą furtkę zamyka się na sznurek i gwóźdź. Stara panna w podeszłym wieku, schludna, uprzejma, bardzo kulturalna. Od razu pyta, co wiem o jej ojcu, wyjaśniam więc, że

to tylko, iż pewnego razu zszedł do podziemi w Provins, a ja właśnie piszę esej historyczny o tamtych okolicach. Spada z obłoków, nawet nie wiedziała, że ojciec odwiedził Provins. Owszem, był dragonem, ale opuścił służbę w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku, zanim przyszła na świat. Kupił ten domek w Auxerre i w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym poślubił miejscową pannę, która wniosła niewielki posag. Matka umarła w tysiąc dziewięćset piętnastym roku, kiedy panna Ingolf miała pięć lat. Natomiast ojciec zniknął w trzydziestym piątym. Właśnie zniknął. Wyjechał do Paryża, co zwykł czynić przynajmniej dwa razy do roku, i nie dał już znaku życia. Miejscowa policja depeuszowała do Paryża: rozpląnął się w powietrzu. Uznano go za zmarłego. W ten sposób nasza panienka została sama i musiała pracować, ponieważ to, co odziedziczyła po ojcu, było niewiele warte. Oczywiście nie znalazła sobie męża i z westchnień, jakie z siebie dobywała, wywnioskowałem, że miała w życiu jedną jedyną przygodę, która i tak skończyła się źle. „Zawsze żyłam z tym strapieniem, monsieur Ardenti, z tym wyrzutem sumienia, że nic nie wiem o nieszczęsnym tatusiu, nawet gdzie jest jego grób i czy w ogóle jakiś ma”. Najwyraźniej potrzebowała o nim mówić: był czuły, spokojny, systematyczny i taki wykształcony. Całe dni spędzał na poddaszu, w swoim gabinecie, czytając i pisząc. Poza tym praca w ogródku i pogawędki z aptekarzem – który już też nie żyje. Co jakiś czas wyjazdy do Paryża w interesach – jak się wyrażał. Ale zawsze wracał z paczką książek. Jeszcze dzisiaj wypełniają cały pokój, chętnie mi je pokaże. Weszliśmy na górę. Zadbany, czysty pokój, który panna Ingolf co tydzień odkurza; mamie nosi kwiaty na cmentarz, dla biednego taty to tylko jest w sta-

nie uczynić. Wszystko zostawiła tak, jak było; żałuje, że nie studiowała, mogłaby te dzieła przeczytać, ale napisane są po starofrancusku, łacinie, niemiecku, a nawet po rosyjsku, ponieważ tatuś urodził się w Rosji i tam spędził dzieciństwo, był bowiem synem urzędnika ambasady francuskiej. Biblioteka liczyła jakąś setkę tomów, z których większość (ku mojej radości) dotyczyła procesu templariuszy, na przykład zauważyłem antykwaryczną już pozycję Raynouarda z tysiąc osiemset trzynastego roku *Monuments historiques relatifs à la condamnation des chevaliers du Temple*. Wiele tomów poświęconych tajnopisom, kolekcja zaiste godna kryptologa, kilka pozycji z zakresu paleografii i dziejów dyplomacji. Był też tam rejestr starych rachunków i kiedy go przerzucałem, natknąłem się na notatkę, która sprawiła, że aż podskoczyłem: dotyczyła sprzedaży szkatułki, jednak bez żadnych szczegółów i bez nazwiska nabywcy. Nie podano liczb, tylko datę: tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty piąty rok, a zaraz poniżej dokładne rachunki - księga rachunkowa dbałego pana domu, który roztropnie gospodarzy swoimi oszczędnościami. Garść notatek dotyczących zakupów książek u paryskich antykwariuszy. Mechanizm całej sprawy wydał mi się prosty: Ingolf znajduje w krypcie złotą szkatułkę inkrustowaną cennymi kamieniami i niewiele myśląc, wsuwa ją za pazuchę, wychodzi na górę i nic nie mówi o znalezisku swoim towarzyszom. Po powrocie do domu odkrywa w szkatułce jakiś pergamin - to wydaje się oczywiste. Rusza do Paryża, idzie do antykwariusza, pasera lub kolekcjonera i sprzedawszy szkatułkę nawet poniżej jej wartości, może żyć dostatnio. Ale robi coś więcej: rzuca służbę, zaszywa się na prowincji i zaczyna kupować książki i studiować pergamin. Może ma naturę po-

szukiwacza skarbów, w przeciwnym bowiem razie nie zapuszczaliby się w podziemia w Provins, a zapewne jest wystarczająco wykształcony, by dojść do wniosku, że bez niczyjej pomocy poradzi sobie z rozszyfrowaniem tego, co znalazł. Przez ponad trzydzieści lat pracuje spokojnie, bez żadnych trosk, jak przystało na człowieka ogarniętego manią. Czy opowiada komuś o swoich odkryciach? Kto wie? Faktem jest, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku musiał dojść do wniosku, że coś osiągnął albo, przeciwnie, że utknął na martwym punkcie, ponieważ postanawia zwrócić się do kogoś, by wyjawić to, co sam wie, albo dowiedzieć się tego, czego nie wie. Ale to, co wie, musiało okazać się tak straszne i tajemnicze, że powiernik postanawia go zgładzić. Wróćmy jednak na poddasze. Przede wszystkim musiałem się dowiedzieć, czy Ingolf zostawił jakiś trop. Oznajmiłem poczciwej starej panie, że jeśli przejrzę książki po ojcu, być może natrafię na jakiś ślad jego pobytu w Provins i wtedy w moim eseju będę mógł poświęcić mu sporo miejsca. Zapaliła się do tej myśli; biedny tatuś, mogę zostać tam przez całe popołudnie i nawet wrócić następnego dnia, gdyby okazało się to potrzebne. Przyniosła mi kawę, zapaliła światło i wróciła do ogrodu, oddając poddasze do mojej dyspozycji. Pokój miał ściany gładkie i białe, żadnego sekretarzyka, żadnego kufra, żadnej wnęki, gdzie warto byłoby szperać, ale nie zaniebawiłem niczego, oglądałem nieliczne meble z wierzchu, zaglądałem pod nie i do ich wnętrza, otworzyłem prawie pustą szafę, w której znalazłem tylko kilka ubrań prześiąkniętych zapachem naftaliny, zajrzałem za trzy czy cztery ryciny przedstawiające pejzaże. Oszczędzę panom szczegółów, powiem tylko, że pracowałem pilnie, nie wystar-

czy bowiem obmacać obicia kanapy, trzeba je nakłuć igłą, żeby sprawdzić, czy nie kryją się w nim jakieś obce ciała...

Pojałem, że pułkownik spędzał czas nie tylko na polach bitew.

- Pozostało mi zająć się książkami, a w każdym razie należało spisać ich tytuły oraz sprawdzić, czy nie ma jakichś notatek na marginesach, jakichś podkreśleń, znaczków... W pewnym momencie wziąłem niezręcznie stary wolumin w ciężkiej oprawie i wypuściłem go z ręki, a wtedy wypadła ze środka zapisana odręcznym pismem kartka z zeszytu. Gątnik papieru i atramentu wskazywał, że kartka nie może być bardzo stara i zapewne została zapisana w ostatnich latach życia Ingolfa. Rzuciłem tylko na nią okiem, lecz to wystarczyło, żeby zauważyć adnotację na marginesie: „Provins tysiãc osiemset dziewięćdziesiąt cztery”. Wyobrażacie sobie, panowie, moje wzruszenie, tę falę uczuć, jakie mną zawładnęły... Zrozumiałem, że Ingolf pojechał do Paryża z oryginalnym pergaminem, a ta kartka jest tylko kopiã. Nie wahałem się ani chwili. Panna Ingolf przez całe lata odkurzała książki, ale nigdy nie zauważyła kartki, gdyż inaczej byłaby mi o tym powiedziała. No cóż, nadal nie dowie się o jej istnieniu. Świat dzieli się na zwycięzców i pokonanych. Miałem już przypadający mi udział w klęskach, teraz przyszła wiktoria i musiałem chwycić okazję za włosy. Wsunãłem kartkę do kieszeni. Pożegnałem się ze starã pannã, oznajmiając, że nie znalazłem nic interesującego, lecz zacytuję jej ojca, jeśli tylko coś napiszę, a ona udzieliła mi błogosławieństwa na drogę. Panowie, człowiek czynu, kiedy na domiar spala go, jak to było w moim przypadku, jakaś namiętność, nie może mieć żadnych skrupułów w stosunku do

istot, które los skazał na to, by były zwykłymi zjadaczami chleba.

- Proszę się nie usprawiedliwiać - uspokoił go Belbo. - Co się stało, to się nie odstanie. Słuchamy dalszego ciągu.

- Pokażę teraz panom ten tekst. Proszę wybaczyć, że będzie to fotokopia. Nie chodzi o brak zaufania, ale o to, by nie zniszczyć oryginału.

- Ale kartka Ingolfa nie była oryginałem - wtrąciłem się - tylko kopią domniemanego oryginału.

- Panie Casaubon, kiedy nie ma oryginału, najstarsza kopia nabiera wartości oryginału.

- Ingolf mógł popełnić błędy przy przepisywaniu.

- Nie wie pan, czy tak się stało. Natomiast ja wiem, że Ingolf mówił prawdę, nie widzę bowiem możliwości, żeby mogła istnieć jakaś inna prawda. A zatem kopia Ingolfa jest oryginałem. Zgadzą się w tym punkcie czy też będziemy prowadzić intelektualne igraszki?

- Nie cierpię ich - oświadczył Belbo. - Obejrzyjmy pańską oryginalną kopię.

Po Beaujeu zakon ani na chwilę nie przestał istnieć i od Aumonta znamy nieprzerwany ciąg wielkich mistrzów zakonu aż do naszych dni, a jeśli nawet imię i siedziba wielkiego mistrza i prawdziwych Zwierzchników rządzących zakonem i kierujących obecnie jego wzniosłymi pracami jest tajemnicą znaną tylko prawdziwym oświeconym i przechowywaną w największym sekrecie, to dlatego, że nie wybiła jeszcze godzina zakonu i czas się jeszcze nie spełnił...

rękopis z 1760, w: G.A. Schiffmann, *Die Entstehung der Rittergrade in der Freimauerei um die Mitte des XVIII Jahrhunderts*, Zechel, Leipzig 1882, s. 178–190

Był to nasz pierwszy, na razie odległy, kontakt z Planem. Tamtego dnia mogłem być gdzie indziej. Gdybym nie znalazł się wówczas w gabinecie Belba, to czy w tej chwili przebywałbym... w Samarkandzie i sprzedawał ziarno sezamowe, byłbym redaktorem serii wydawniczej publikowanej w alfabecie Braille'a albo prezesem First National Bank na Ziemi Franciszka Józefa? Tryby warunkowe odmienające fakty są zawsze prawdziwe, ponieważ fałszywa jest przesłanka. Ale owego dnia byłem tam, gdzie byłem, więc dzisiaj jestem tu, gdzie jestem.

Pułkownik teatralnym gestem podsunął mi pod nos kartkę. Mam ją nadal tutaj, w plastikowej teczce, wetkniętą między moje dokumenty, bardziej pożątkłą i wypłowiałą niż wówczas – papier kserograficzny, jakiego używało się w owych latach. Właściwie były to dwa teksty, jeden ciągły, zajmujący pierwszą połowę strony, drugi rozbity na okaleczone wersety...

Pierwszy stanowił jakby szatańską litanie, parodię któregoś z języków semickich:

*Kuabris Defrabax Rexulon Ukkazaal Ukzaab Urpaefel Ta-*

*culbain Habrak Hacoruin Maquafel Tebrain Hmcatuin Roka-  
sor Himesor Argaabil Kaquaan Docrabax Reisaz Reisabrax  
Decaiquan Oiquaquil Zaitabor Qaxaop Dugraq Xaelobran Di-  
saeda Magisuan Raitak Huidal Uscolda Arabaom Zipreus  
Mecrim Cosmae Duquifas Rocarbis*

- Niezbyt jasne - zauważył Belbo.

- Nieprawdaż? - zgodził się pułkownik zjadliwym tonem. -  
I spędziłbym nad tym całe życie, gdybym prawie przez przy-  
padek nie znalazł któregoś dnia na straganie książki o Trite-  
mieszu i gdyby mój wzrok nie padł na zaszyfrowane teksty:  
*Pamersiel Oshurmy Delmuson Thafloyn...* Trafiłem na trop  
i poszedłem nim do samego końca. Tritemiusza nie znałem,  
ale znalazłem w Paryżu edycję jego *Steganographia, hoc est  
ars per occultam scripturam animi sui voluntatem absenti-  
bus aperiendi certa*. Frankfurt tysiąc sześćset sześć. „Sztuka  
otwierania za pomocą tajnego pisma swojej duszy przed oso-  
bami przebywającymi daleko od nas”. Ten Tritemiusz, cóż to  
za fascynująca postać! Opat benedyktyński w Spannheimie,  
żyjący na przełomie piętnastego i szesnastego wieku, erudy-  
ta znający hebrajski i chaldejski, mówiący językami oriental-  
nymi jak Tatar, utrzymujący kontakty z teologami, kabalista-  
mi, alchemikami, na pewno z wielkim Korneliuszem Agryppą  
z Nettlesheimu i być może z Paracelsusem... Swoje odkrycia  
dotyczące tajnopisów Tritemiusz maskuje nekromanckimi  
żarcikami, powiada, że należy wysyłać zaszyfrowane listy  
w rodzaju tego, który macie, panowie, przed oczami, adresat  
zaś ma wezwać anioły, Pamersiela, Padiela, Dorothiela i tak  
dalej, które pomogą mu zrozumieć właściwą treść. Ale  
przykłady, jakich dostarcza, to często meldunki wojskowe,  
a książka została dedykowana hrabiemu Palatynatu i księciu



bawarskiemu Filipowi i należy do pierwszych poważnych prac z zakresu kryptografii, ulubionej dziedziny tajnych służb.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziałem - ale jeśli dobrze zrozumiałem, Tritemiusz żył co najmniej sto lat po powstaniu rękopisu, którym się zajmujemy.

- Tritemiusz należał do Sodalitas Celtica, a tam zajmowano się filozofią, astrologią, matematyką pitagorejską. Dostrzegacie, panowie, związek? Templariusze są zakonem inicjacyjnym, naśladowującym mądrość między innymi starożytnych Celtów; obecnie można uznać, że zostało to obszernie udokumentowane. Jakimś sposobem Tritemiusz poznał te same systemy kryptograficzne, których używali templariusze.

- Zdziwiająca! - wykrzyknął Belbo. - Co jednak oznacza ten tajny tekst po rozszyfrowaniu?

- Panowie, chwilę cierpliwości. Tritemiusz przedstawia czterdzieści kryptosystemów głównych i dziesięć pomniejszych. Miałem szczęście albo templariusze z Provins nie wysilili specjalnie mózgów, byli bowiem pewni, że nikt nie odgadnie użytego przez nich klucza. Natychmiast wypróbowałem pierwszy z czterdziestu głównych systemów i wysunąłem hipotezę, że w tym tekście liczą się tylko litery początkowe.

Belbo poprosił o dokument i przebiegł go wzrokiem.

- Ależ w ten sposób uzyskuje się pozbawiony wszelkiego sensu ciąg liter: kdruuuth...

- Naturalnie - przyznał pobłażliwym tonem pułkownik. - To prawda, templariusze nie wysilili zanadto mózgów, ale też nie byli tak bardzo gnuśni. Ta pierwsza sekwencja jest z kolei innym zaszyfrowanym tekstem i zaraz pomyślałem o drugiej

serii dziesięciu systemów szyfrowych. Widzicie, panowie, w tej drugiej serii Tritemiusz wykorzystywał ruchome tarcze, a tarcza zastosowana do pierwszego systemu wygląda tak...

Wydobył ze swojej teczki następną fotokopię, przysunął krzesło do stołu i długopisem ze schowanym wkładem zaczął nam pokazywać poszczególne litery, dodając stosowne objaśnienia.



- Jest to najprostszy system. Proszę zwrócić uwagę na krąg zewnętrzny. Każdą literę jawnego tekstu zastępuje się literą poprzedzającą. Zamiast „A” pisze się „Z”, zamiast „B” - „A” i tak dalej. Dobrze do dzieciennych zabaw w tajnych agentów, ale dopiero dzisiaj, gdyż w dawnych czasach uważano to za czary. Naturalnie w celu rozszyfrowania postępuje się odwrotnie, każdą literę zaszyfrowanego tekstu zastępując literą następną. Spróbowałem, trafiłem już przy pierwszej próbie, i oto rezultat.

Napisał: *Les XXXVI inuisibles separez en six bandes* - trzydziestu sześciu niewidzialnych podzielonych na sześć grup.

- I co to znaczy?

- Na pierwszy rzut oka nic. Chodzi o rodzaj testamentu, jakby konstytucji zespołu ludzi, zapisanej ze względów

obrzędowych tajnym językiem. Zresztą nasi templariusze, pewni, że lokują swoją tajemnicę w niedostępnym schowku, zadowolili się czternastowieczną francuszczyzną. Spójrzmy bowiem na drugi tekst.

*a la ... Saint Jean  
36 p charrete de fein  
6 ... entiers avec saiel  
p ... les blancs mantiax  
r ... s ... chevaliers de Pruins pour la ... j . nc  
6 foiz 6 en 6 places  
chascune foiz 20 a ... 120 a ...  
iceste est l'ordonation  
al donjon li premiers  
it li secunz joste iceus qui ... pans  
it al refuge  
it a Nostre Dame de l'altre part de l'iau  
it a l'ostel des popelicans  
it a la pierre  
3 foiz 6 avant la feste la Grant Pute.*

- I to ma być tekst rozszyfrowany? - spytał Belbo, zawiedziony i zarazem rozbawiony.

- Nie ulega wątpliwości, że w transkrypcji Ingolfa kropki to słowa nieczytelne, miejsca, gdzie pergamin uległ zniszczeniu... Ale tutaj macie, panowie, moją transkrypcję ostateczną i muszę stwierdzić, że dzięki domysłom, które uznam, jeśli panowie pozwolą, za przejrzyste i niepodważalne, przywróciłem temu tekstowi cały jego dawny blask, jak zwykło się mówić.

Gestem prestidigitatora odwrócił fotokopię i pokazał nam

notatki napisane drukowanymi literami.

W (NOC) ŚWIĘTEGO JANA  
36 (LAT) P(O) WOZIE Z SIANEM  
6 (PISM) NIENARUSZONYCH Z PIECZĘCIĄ  
D(LA RYCERZY W) BIAŁYCH PŁASZCZACH [TEMPLARIU-  
SZE]  
U(RATOWA)NY(CH) Z PROVINS DLA P(OM)ST(Y)  
6 RAZY 6 W SZEŚCIU MIEJSCACH  
CO 20 LAT, CZYLI P(RZEZ) 120 L(AT)  
OTO PLAN:  
IDĄ DO ZAMKU PIERWSI  
ITERUM [ZNOWU PO 120 LATACH] DRUDZY,  
OD CHLEBA, (DO) NICH DOŁĄCZAJĄ  
ZNOWU W UKRYCIU  
ZNOWU U NASZEJ PANI Z DRUGIEJ STRONY RZEKI  
ZNOWU W OBERŻY POPELICAN  
ZNOWU PRZY KAMIENIU  
3 RAZY 6 [666] PRZED ŚWIĘTEM WIELKIEJ NIERZĄDNICY.

- Ciemniej niż w nocy - oświadczył Belbo.  
- Z pewnością tekst wymaga interpretacji. Nie ulega jednak wątpliwości, że Ingolf to osiągnął, podobnie jak ja. Dla kogoś, kto zna dzieje zakonu, wygląda to mniej tajemniczo, niż można by sądzić.

Chwila przerwy. Poprosił o szklanę wody i zaczął słowo po słowie objaśniać tekst.

- Otóż tak: w noc świętego Jana trzydzieści sześć lat po wozie z sianem. Templariusze, którzy mieli zapewnić przetrwanie zakonu, umknęli we wrześniu tysiąc trzysta siódmego roku na wozie z sianem. W owych czasach rok liczono od

Wielkanocy do Wielkanocy. Według naszych wyliczeń rok tysiąc trzysta siódmy kończy się mniej więcej w okresie Wielkanocy roku tysiąc trzysta ósmego. Odliczając trzydzieści sześć lat od końca tysiąc trzysta siódmego (czyli do naszej Wielkanocy tysiąc trzysta ósmego), otrzymamy rok tysiąc trzysta czterdziesty czwarty. Po trzydziestu sześciu zapowiedzianych latach mamy nasz rok tysiąc trzysta czterdziesty czwarty. Tekst został złożony w krypte w kosztownej szkatule pod pieczęcią jako akt notarialny pewnego wydarzenia, które po utworzeniu tajnego zakonu rozegrało się w tym miejscu w noc świętego Jana, to znaczy dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc trzysta czterdziestego czwartego roku.

- Dlaczego tysiąc trzysta czterdziestego czwartego?

- Zakładam, że od roku tysiąc trzysta siódmego do tysiąc trzysta czterdziestego czwartego zakon reorganizuje się i pracuje nad planem, którego wejście w życie poświadcza pergamin. Trzeba było poczekać, by uspokoiły się wzburzone wody i zostały odnowione więzy między templariuszami z pięciu lub sześciu krajów. Z drugiej strony templariusze wyczekiwali trzydzieści sześć lat, nie zaś trzydzieści pięć albo trzydzieści siedem, gdyż najwyraźniej liczba „trzydzieści sześć” miała dla nich wartość mistyczną, co potwierdza zaszyfrowany tekst. Suma cyfr tej liczby daje dziewięć i nie muszę chyba uświadamiać panom, jakie głębokie znaczenie ma cyfra „dziewięć”.

- Można? - Był to głos Diotalleviego, który wyłonił się za naszymi plecami bezszelestnie niby templariusz z Provins.

- To kąsek dla ciebie - oznajmił Belbo. Przedstawił go zwięźle, a pułkownik nie wyglądał na zbyt zakłopotanego, a nawet robił wrażenie człowieka, któremu zależy na licznym

i uważnym audytorium. Dalej prowadził swoje wyjaśnienia, podczas gdy Diotallevi aż oblizywał się na te numeryczne smakołyki. Czysta Gematria.

- Dochodzimy do pieczęci: sześć rzeczy nienaruszonych z pieczęcią. Szkatułka, którą znalazł Ingolf, była oczywiście zapieczętowana. Przez kogo? Przez Białe Płaszcz, czyli templariuszy. Tutaj dochodzimy w tekście do litery „r”, kilku liter nieczytelnych i litery „s”. Odczytuję *relapsi*. Dlaczego? Ponieważ wszyscy wiemy, że *relapsi* to ci, którzy przyznali się do winy, a potem to odwołali, a *relapsi* odegrali wcale nieobojętą rolę w procesie templariuszy. Templariusze z Provins z dumą przyjmują rolę *relapsi*. Właśnie oni dystansują się od haniebnej komedii procesu. A więc - mamy tu na myśli rycerzy z Provins - do czegoś są gotowi ci *relapsi*? Tych kilka liter, jakimi dysponujemy, sugeruje *venjance*, czyli pomstę.

- Jaką znowu pomstę?

- Ależ, panowie! Od czasu procesu cała mistyka templariuszy jest skupiona na zamiarze pomszczenia Jakuba z Molay. Nie mam wielkiego szacunku dla rytów masońskich, ale ta mieszczańska karykatura rycerskości templariuszy jest jednak jakimś jej odbiciem, aczkolwiek zdegenerowanym. A jeden ze stopni rytu szkockiego to stopień Rycerza Kadosza, po hebrajsku: rycerza zemsty.

- No dobrze, templariusze szykują się do zemsty. I co z tego?

- Ile czasu zajmie realizacja planu zemsty? Zaszyfrowane pismo pomaga nam zrozumieć pismo jawne. Sześciu rycerzy ma się stawić sześć razy w sześciu miejscach, trzydziestu sześciu podzielonych na sześć grup. Następnie powiada się:

„Co dwadzieścia”, a dalej nie jest zbyt jasne, o co chodzi, ale w transkrypcji Ingolfa mamy jakby „a”, pierwszą literę słowa *ans*, uznałem. A zatem co dwadzieścia lat, i to sześć razy, czyli sto dwadzieścia lat. W dalszym ciągu tekstu mamy spis sześciu miejsc albo sześciu zadań do wykonania. Mówi się o *ordonation*, planie, zamyśle, regule, której należy się trzymać. Pierwsi mają udać się do donżonu albo zamku, drudzy w inne miejsce, i tak dalej aż do szóstego. Następnie dokument wyjaśnia nam, że ma być następne sześć dokumentów, na razie opieczętowanych, rozmieszczonych w różnych miejscach, i wydaje mi się rzeczą oczywistą, iż pieczęcie należy łamać kolejno i w odstępach studwudziestoletnich.

- Ale czemu co dwadzieścia lat? - spytał Diotallevi.

- Rycerze pomsty mają co sto dwadzieścia lat wykonać w określonym miejscu pewne zadanie. Chodzi więc o rodzaj sztafety. Jest rzeczą oczywistą, że po nocy tysiąc trzysta czterdziestego czwartego roku sześciu rycerzy rusza w drogę, każdy w jedno z sześciu miejsc przewidzianych w planie. Ale przecież strażnik pierwszej pieczęci nie mógł zostać przy życiu przez sto dwadzieścia lat. Rozumie się, że każdy z nich ma pełnić obowiązki przez dwadzieścia lat, a następnie przekazać pełnomocnictwo następcy. Dwadzieścia lat to okres rozsądny, sześciu strażników na pieczęć, każdy po dwadzieścia lat, to gwarancja, że w roku sto dwudziestym pierwszym kustosz pieczęci będzie mógł odczytać instrukcję i przekazać ją pierwszemu strażnikowi drugiej pieczęci. Właśnie dlatego tekst posługuje się liczbą mnogą, pierwsi idą tam, drudzy tam... Każde miejsce jest, że tak powiem, kontrolowane w ciągu stu dwudziestu lat przez sześciu rycerzy. Proszę policzyć: od pierwszego do szóstego przeka-

zywanie pieczęci odbywa się pięć razy, co zajmuje sześćset lat. Owo sześćsetlecie zaczyna się w tysiąc trzysta czterdziestym czwartym roku, a kończy w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym. Potwierdza to ostatnia linijka tekstu. Jasne jak słońce.

- To znaczy?

- Ostatnia linijka mówi: „Trzy razy sześć przed świętem Wielkiej Nierządniczy”. Także tutaj mamy do czynienia z igraszką numeryczną, gdyż suma cyfr w liczbie „tysiąc dziewięćset czterdzieści cztery” wynosi właśnie osiemnaście. Osiemnaście to trzy razy sześć i ta kolejna zbieżność podsuwa templariuszom jeszcze jedną niezwykle subtelną zagadkę. Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty to rok spełnienia planu. I co dalej? Ależ chodzi o rok dwutysięczny! Templariusze sądzą, że drugie milenium oznacza nadejście ich Jeruzalem. Jeruzalem ziemskiego, Antyjeruzalem. Są prześladowani jako heretycy. W swojej nienawiści do Kościoła identyfikują się z Antychrystem. Wiedzą, że w całej tradycji tajemnej liczba „sześćset sześćdziesiąt sześć” to liczba Bestii. Sześćset sześćdziesiąt sześć, rok Bestii, to podwójne milenium, i wtedy to przyjdzie czas zemsty dla Świątyni, wtedy zatriumfuje Antyjeruzalem i Nowy Babilon, i dlatego rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty jest rokiem triumfu Wielkiej Dziwki, wielkiej Nierządniczy Babilonu, o której mówi Apokalipsa! Powołanie się na sześćset sześćdziesiąt sześć to prowokacja, brawura godna ludzi wojny. Akceptacja swojej odmienności, jak powiedzielibyśmy dzisiaj. Czyż to nie wspa-  
niałe?

Gładząc swoją teczkę, zwrócił ku nam wilgotne oczy, wilgotne wargi i wąsy.



- No dobrze - odezwał się Belbo. - Chodzi tutaj o kolejne etapy pewnego planu. Ale jakiego?

- Zbyt wiele pan żąda. Gdybym to wiedział, nie musiałbym zarzucać przynęty. Wiem tylko jedno, że w tym czasie coś się stało i plan nie został zrealizowany, w przeciwnym bowiem razie wiedzielibyśmy o tym, pozwolę sobie zauważyć. Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty nie był rokiem łatwym, templariusze nie mogli wiedzieć, że będzie właśnie trwała wojna światowa, która utrudni wszelkie kontakty...

- Pozwoli pan, że się wtrączę - przerwał Diotallevi - ale jeśli dobrze zrozumiałem, dynastia strażników wcale nie wyginie z chwilą otwarcia pierwszej pieczęci. Będzie trwać na posterunku aż do złamania ostatniej, kiedy wymagana będzie obecność wszystkich przedstawicieli zakonu. Tak zatem w każdym wieku, a właściwie co sto dwadzieścia lat, mamy stale sześciu strażników w każdym miejscu, w sumie trzydziestu sześciu.

- Dokładnie tak - potwierdził Ardenti.

- Trzydziestu sześciu rycerzy na każdy z sześciu posterunków daje dwieście szesnaście, a zatem po zsumowaniu cyfr - dziewięć. A ponieważ jest sześć wieków, mnożąc dwieście szesnaście przez sześć, uzyskamy tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt sześć, czyli po zsumowaniu cyfr - osiemnaście, to znaczy trzy szóstki, jednym słowem: sześćset sześćdziesiąt sześć.

Diotallevi przeszedłby zapewne do wyznaczania nowych arytmetycznych fundamentów historii powszechnej, gdyby Belbo nie powstrzymał go mrugnięciem, podobnie jak czynią matki, kiedy dziecko jest na najlepszej drodze do popełnienia jakiegoś nietaktu. Ale pułkownik właśnie w Diotallevim roz-

poznał człowieka nawiedzonego.

- Ależ to, co pan powiedział, doktorze, jest po prostu wspaniałe! Pan wie, że liczba „dziewięć” to liczba pierwszych rycerzy, którzy utworzyli w Jerozolimie załóżek Templum?

- Wielkie imię Boga wyrażone w tentagramie - ciągnął Diotallevi - składa się z siedemdziesięciu dwóch liter, a siedem plus dwa daje dziewięć. Ale, jeśli można, powiem panu coś więcej. Zgodnie z tradycją pitagorejską, którą Kabała podejmuje (lub dla której jest inspiracją), suma liczb nieparzystych od jednego do siedmiu daje szesnaście, a suma liczb parzystych od dwóch do ośmiu daje dwadzieścia, kiedy zaś zsumuje się dwadzieścia i szesnaście, otrzyma się trzydzieści sześć.

- Na Boga, doktorze. - Pułkownik aż drżał ze wzruszenia. - Wiedziałem, wiedziałem. Pan dodaje mi otuchy. Jestem blisko prawdy.

Nie byłem w stanie pojąć, do jakiego stopnia Diotallevi czyni z arytmetyki religię czy też z religii arytmetykę, a być może oba te stwierdzenia były prawdziwe i miałem przed sobą ateusza, który radował się, bo został wyniesiony do jakiegoś wyższego nieba. Mógł być wyznawcą ruletki (i tak byłoby lepiej), ale chciał być rabinem niedowiarkiem.

Nie przypominam już sobie teraz dokładnie, co się stało, ale Belbo wtrącił się ze swoim padewskim rozsądkiem i czar prysnął. Pułkownik nie zinterpretował jeszcze wszystkiego i paliła nas ciekawość. A była już szósta wieczorem. Szósta - pomyślałem - a więc osiemnasta.

- No dobrze - powiedział Belbo. - Trzydziestu sześciu rycerzy na wiek krok po kroku zbliża się do odkrycia Kamienia Filozoficznego. Ale co jest tym kamieniem?

- No jakże? Naturalnie chodzi o Graala!

Średniowiecze czekało na bohatera Graala i na to, by Głowa Cesarstwa Rzymskiego stała się wizerunkiem i samym objawieniem „Króla Świata”... Niewidzialny władca był także widzialnym i wieki środka... miały poczucie, że są również wiekami centrum... Niewidzialne i niezniszczalne centrum, monarcha, który miał znowu się przebudzić, tenże bohater, mściciel i odnowiciel, nie są fantazjami martwej przeszłości, mniej lub bardziej romantycznej, lecz prawdą tych, którzy dzisiaj jako jedyni mają prawo mówić o sobie, że są żywymi.

Julius Evola, *Il mistero del Graal*,  
Edizioni Mediterranee, Roma 1983, rozdz. 23 i epilog

- Powiada więc pan, że tkwi w tym również Graal? - zaciekał się Belbo.

- Naturalnie. I nie ja to powiedziałem. Nie będę się chyba rozwodził nad legendą Graala, rozmawiam wszak z ludźmi wykształconymi. Dla jednych oznacza on rycerzy Okrągłego Stołu, mistyczne poszukiwania tego niezwykłego przedmiotu, do którego zebrano krew Chrystusa, a który został przywieziony do Francji przez Józefa z Arymatei, dla innych - kamień o tajemniczych właściwościach. Często Graal jawi się jako tajemnicze światło... Chodzi o symbol, który wskazuje jakąś siłę, jakieś źródło ogromnej energii. Jest pokarmem, leczy rany, oślepia, poraża niby piorun... Promień laserowy? Ktoś przypomniał sobie kamień filozoficzny alchemików, lecz jeśli nawet tak jest, czymże był kamień filozoficzny, jeśli nie symbolem jakiejś kosmicznej energii? Literatura na ten temat jest niewyczerpana, ale łatwo można wyodrębnić kilka rysów, które nie mogą mylić. Jeślibyście, panowie, przeczytali Parzivala Wolframa von Eschenbach, wiedzielibyście, że Graal pojawia się u niego jako przedmiot przechowywany w jednym z zamków templariuszy. Czyżby Eschenbach na-

leżał do wtajemniczonych? Czyżby przez nieostrożność zdradził coś, co lepiej było przemilczeć? Ale to nie wszystko. Ten Graal przechowywany przez templariuszy opisany został jako kamień, który spadł z nieba, *lapis ex illis*. Nie wiadomo, czy chodzi tu o kamień z nieba (*ex coelis*), czy też o kamień wracający z wygnania. W każdym razie przybywa z daleka i ktoś sugerował nawet, że może to być meteoryt. Co do nas, wiemy, że to Kamień. Czymkolwiek jest Graal, dla templariuszy symbolizuje przedmiot albo spełnienie planu.

- Przepraszam - powiedziałem - logika dokumentu wymaga, aby po raz szósty rycerze znaleźli się przy kamieniu albo na kamieniu, nie zaś, by znaleźli kamień.

- Jeszcze jedna subtelna dwuznaczność, jeszcze jedna olśniewająca antologia mistyczna! Bez wątpienia szóste spotkanie ma się odbyć na kamieniu, i zobaczymy gdzie, ale na tym właśnie kamieniu, kiedy dokonywać się będzie przekazywanie planu i otwarcie sześciu pieczęci, rycerze dowiedzą się, gdzie znaleźć Kamień! Jest to zresztą gra słów wprost z Ewangelii, ty jesteś opoką i na tej opoce... Na kamieniu znajdziecie Kamień.

- Nie może być inaczej! - wykrzyknął Belbo. - Proszę mówić dalej. Casaubon, niechże pan nie przerywa bez ustanku. Chcemy dowiedzieć się reszty.

- Tak zatem - ciągnął pułkownik - jawna wzmianka o Graalu sprawiła, że długo myślałem, iż skarbem może być ogromny skład materiałów radioaktywnych, ewentualnie nawet dostarczonych z innych planet. Proszę na przykład pomyśleć o legendzie i tajemniczej ranie króla Amfortasa... Przypomina on radiologa, który zbyt długo narażony był na promieniowanie... I rzeczywiście nie powinno się tego doty-

kać. Dlaczego? Proszę pomyśleć o tym, co czuli templariusze, kiedy dotarli nad Morze Martwe, wiecie, panowie, nad tę asfaltową, ciężką wodę, na której człowiek unosi się niby korek i która ma właściwości lecznicze... Musieli odkryć w Palestynie złoża radu lub uranu, którego nie mogli od razu eksploatować, i dobrze zdawali sobie z tego sprawę. Powiązania między Graalem, templariuszami i katarami badał naukowo dzielny oficer niemiecki, mam na myśli Ottona Rahna, Obersturmbannführera SS, który całe życie poświęcił na prowadzone z wielką dyscypliną wewnętrzną medytacje nad europejską i ariańską naturą Graala... Nie chciałbym mówić, jak i dlaczego stracił życie w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, ale niektórzy utrzymują... cóż, nie mogę przecież zapominać o tym, co przydarzyło się Ingolfowi... Rahn ukazuje nam związki między Złotym Runem Argonautów a Graalem... w sumie nie ulega wątpliwości, że istnieje jakaś więź między mistycznym Graalem z legendy, kamieniem filozoficznym (*lapis!*) i tym źródłem ogromnej mocy, do którego wzdychali wierni wyznawcy Hitlera w przeddzień wojny i do ostatniego swego tchu. Proszę zauważyć, że według jednej z wersji legendy Argonauci widzą puchar, powtarzam, puchar, unoszący się nad górą świata z Drzewem Światłości. Argonauci odnajdują Złote Runo i ich okręt zostaje przeniesiony wskutek czarów w sam środek Drogi Mlecznej, na półkulę południową, gdzie wraz z Krzyżem panują Trójkąt i Ołtarz, potwierdzając świetlistą naturę wiekuistego Boga. Trójkąt symbolizuje boską Trójcę, krzyż – boską ofiarę miłości, a ołtarz – stół Ostatniej Wieczerzy, na którym stał kielich Zmartwychwstania. Celtyckie i ariańskie pochodzenie tych symboli jest czymś oczywistym.

Wydawało się, że pułkownika ogarnęło to samo heroiczne uniesienie, które do najwyższej ofiary pchnęło jego *Obersturmunddrang*, czy jak się tam, do diaska, nazywał. Należało przywołać go do rzeczywistości.

- A wniosek z tego? - spytałem.

- Panie Casaubon, czyż wniosek nie rzuca się w oczy? Mówiło się o Graalu jako Kamieniu Lucyferskim, kojarząc go z postacią Bafometa. Graal to źródło energii, templariusze zaś byli kustoszami energetycznej tajemnicy i przygotowali swój plan... Gdzie wyznaczono nieznane siedziby? Tutaj, moi panowie. - I pułkownik spojrzał na nas porozumiewawczo, jakbyśmy wraz z nim knuli jakiś spisek. - Wpadłem na pewien trop, błędny, ale pożyteczny. Pewien autor, który zasłyszał gdzieś o jakiejś tajemnicy, Charles-Louis Cadet-Gassicourt (proszę zwrócić uwagę, że jego dzieło znajdowało się w bibliotece Ingolfa), napisał w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym siódmym roku książkę *Le tombeau de Jacques Molay ou le secret des conspirateurs à ceux qui veulent tout savoir* i wysunął w niej twierdzenie, iż Jakub z Molay przed śmiercią powołał cztery tajne loże, w Paryżu, Szkocji, Sztokholmie i Neapolu. Te cztery loże miały zapewne unicestwić wszystkich monarchów i zniweczyć potęgę papieża. Zgoda. Gassicourt był zapaleńcem, ale ja wyszedłem od jego pomysłu, żeby ustalić, gdzie w istocie templariusze mogli ulokować swoje tajne siedziby. To oczywiste, że nie byłbym w stanie zrozumieć zagadek z zaszyfrowanego tekstu, jeśli bym nie miał jakiegoś ogólnego wyobrażenia na ten temat. Miałem takie wyobrażenie, a wzięło się ono z przekonania, opartego na niezliczonych dowodach, że duch templariuszy czerpał natchnienie z tradycji druidycznej, celtyckiej, że był

duchem celtyckiego arianizmu, który tradycja utożsamia z wyspą Avalon, ośrodkiem prawdziwej cywilizacji hiperborejskiej. Musicie wiedzieć, panowie, że rozmaici autorzy utożsamiali Avalon z ogrodem Hesperyd, z Ultima Thule, z Kolchidą i ze Złotym Runem. Nie przypadkiem największy order rycerski w dziejach to Order Złotego Runa. Tym samym staje się jasne, co kryje się za słowem „zamek”. Chodzi o hiperborejski zamek, gdzie templariusze przechowywali Graala, najprawdopodobniej legendarny Monsalwat.

Przerwał na chwilę. Pragnął, byśmy zawiśli wzrokiem na jego wargach. Uczyniliśmy to.

- Dochodzimy do drugiego rozkazu; strażnicy pieczęci mieli udać się tam, gdzie spotkają tego lub tych, którzy uczynili coś z chlebem. Wskazówka jest sama w sobie wyraźna: Graal to kielich krwi Chrystusa, chleb to ciało Chrystusa, miejsce, gdzie jedzono chleb, to miejsce Ostatniej Wieczerzy, Jerozolima. Trudno sobie wyobrazić, by templariusze nie zachowali w Jerozolimie jakiejś tajnej bazy, nawet po odbiciu miasta przez Saracenów. Szczerze mówiąc, z początku zbił mnie nieco z tropu ten judaistyczny element w planie, który pozostawał całkowicie pod znakiem mitologii ariańskiej. Potem przemyślałem rzecz na nowo i doszedłem do wniosku, że tylko my patrzymy na Jezusa jako na wyraz religijności żydowskiej, gdyż wmawia nam to bez ustanku Kościół rzymski. Templariusze wiedzieli doskonale, że Jezus to mit celtycki. Cała opowieść ewangeliczna to hermetyczna alegoria: zmartwychwstanie po roztopieniu się w trzewiach ziemi, i tak dalej, i tak dalej. Ten inny Chrystus jest po prostu Elik-sirem alchemików. Z drugiej strony wszyscy wiedzą, że Trójca to koncepcja ariańska, i dlatego właśnie cała reguła



templariuszy, podyktowana przez druida, którym był święty Bernard, jest zdominowana przez liczbę „trzy”.

Pułkownik pociągnął następny łyk wody. Jego głos stał się chrapliwy.

- I oto dochodzimy do trzeciego etapu, Schronienia. To Tybet.

- Dlaczego właśnie Tybet?

- Przede wszystkim dlatego, że według Wolframa von Eschenbach opuścili Europę i przewieźli Graala do Indii. Kolejki plemienia ariańskiego. Schronienie znaleźli w Agartcie.

Słyszeliście, panowie, o Agartcie, siedzibie Króla Świata, podziemnym mieście, z którego Władcy Świata panują, kierując sprawami ludzkiej historii. Jeden ze swoich tajnych ośrodków templariusze założyli właśnie tam, blisko samych korzeni swojej duchowości. Znacze, panowie, związki między królestwem Agartty i Synarchią...

- Prawdę mówiąc...

- To i lepiej, te tajemnice sprowadzają śmierć. Nie odbiegajmy jednak od tematu. Tak czy owak, wszyscy wiedzą, że Agartta została założona sześć tysięcy lat temu, na początku epoki Kali Juga, w której nadal żyjemy. Zadaniem zakonów rycerskich zawsze było podtrzymywanie stosunków z tym tajnym ośrodkiem, aktywne porozumienie między mądrością wschodnią a mądrością zachodnią. I teraz widzimy już jasno, gdzie wyznaczono czwarte miejsce spotkania, a mianowicie w innym druidycznym sanktuarium, w mieście Najświętszej Panny, w katedrze w Chartres; względem Provins Chartres leży po drugiej stronie głównej rzeki Île-de-France, Sekwany.

Nie nadążaliśmy już za tokiem rozumowania naszego rozmówcy.

- Co robi Chartres na tym pańskim celtyckim i druidycznym szlaku?

- A jak myślicie, panowie, skąd się wzięła idea Dziewicy? Pierwsze dziewice, jakie pojawiają się w Europie, to celtyckie czarne dziewice. Święty Bernard klęczał za młodu w kościele w Saint-Voirles przed czarną dziewicą, ona zaś wycisnęła z piersi trzy krople mleka, które spadły na wargi przyszłego założyciela zakonu templariuszy. Stąd powieści o Graalu, które miały stanowić przykrywkę dla krucjat, przy czym jednocześnie krucjaty miały służyć odnalezieniu Graala. Benedyktyni są spadkobiercami druidów, w to nikt nie wątpi.

- A gdzie są te czarne dziewice?

- Usunięte przez tych, którzy chcieli wypaczyć tradycję nordycką i przeobrazić religijność celtycką w śródziemnomorską, wymyślając mit Maryi z Nazaretu. Albo też przebrane, zniekształcone jako liczne czarne Madonny, które pokazuje się nadal, by dać jakąś pożywkę fanatyzmowi mas. Jeśli jednak odczyta się we właściwy sposób obrazy znajdujące się w katedrach, jak to uczynił wielki Fulcanelli, widać, że ich historia jest opowiedziana w sposób całkowicie wyraźny i że równie wyraźnie został przedstawiony związek między dziewicami celtyckimi a tradycją alchemiczną, wywodzącą się od templariuszy, co czyni z czarnej dziewicy symbol materiału, nad którym pracują poszukiwacze kamienia filozoficznego, czyli, jak się przekonaliśmy, po prostu Graala. A teraz proszę się zastanowić, skąd czerpał natchnienie inny wielki uczeń druidów, Mahomet, w kwestii czarnego kamienia z Mekki? W Chartres ktoś zamurował kryptę, która daje połączenie z podziemnym pomieszczeniem, gdzie znajduje się nadal pierwotny posąg pogański, ale jeśli dobrze poszukać, można

jeszcze znaleźć czarną dziewicę, choćby w Notre-Dame du Pillier, wyrzeźbioną przez kanonika, wyznawcę Odyna. Posąg zaciska w dłoni magiczną pałeczkę wielkich kapłanek Odyna, a po jej lewej stronie wyrzeźbiono magiczny kalendarz, na którym można zobaczyć - mówię „można”, gdyż te rzeźby nie uniknęły wandalizmu kanoników ortodoksyjnych - święte zwierzęta odynizmu: psa, orła, lwa, białego niedźwiedzia, wilkołaka. Z drugiej strony nikt z uczonych badających gotycki ezoteryzm nie przeoczył faktu, że także w Chartres pojawia się posąg zaciskający w dłoni kielich Graala. O moi panowie, gdybyż umiano nadal odczytywać katedrę w Chartres nie według przewodników turystycznych katolicko-apostolskich i rzymskich, ale umiając patrzeć, mam na myśli: patrzeć oczyma tradycji; prawdziwa historia, jaką ta skała Ereka opowiada...

- Dochodzimy teraz do *popelicans*. Kim są?

- To katarzy. Jedną z nazw nadawanych heretykom brzmiała „popelicani” albo „popellicant”. Katarzy w Prowansji zostali wytępieni, nie jestem taki naiwny, żeby wyobrażać sobie spotkanie w ruinach Montsegur, ale sekta przetrwała, istnieje cała geografia zakonspirowanego kataryzmu, z którego wywodzą się nawet Dante, przedstawiciele stilnovo, sekta Wiernych w Miłości. Piąte spotkanie zostało wyznaczone gdzieś w północnych Włoszech albo południowej Francji...

- A spotkanie ostatnie?

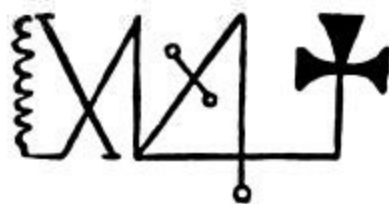
- Jaki jest najstarszy, najświętszy, najtrwalszy z kamieni celtyckich, sanktuarium słonecznego bóstwa, szczególne obserwatorium, z którego, dotarłszy do skraju równiny, następcy templariuszy z Provins mogą porównywać, zgromadzeni na nowo w jednym miejscu, ukryte tajniki sześciu

pieczęci, odkryć wreszcie sposób wykorzystania ogromnej mocy wynikającej z posiadania Świętego Graala? Przecież chodzi o Anglię, o magiczny krąg w Stonehenge! O cóż by innego?

- *O basta là* - rzekł Belbo. Tylko Piemontczyk potrafi zrozumieć uczucie, z jakim wypowiada się ten wyraz uprzejmego zdziwienia. Żaden z jego odpowiedników w innych językach i dialektach (co mówisz, *dis donc, are you kidding?*) nie oddaje wzniosłego uczucia obojętności, nie oddaje fatalizmu, z jakim potwierdza się raz jeszcze przekonanie, że inni są dziećmi jakiegoś niewprawnego boga i że nic na to nie da się poradzić.

Ale pułkownik nie był Piemontczykiem i zrobił minę, jakby reakcja Belba mile go polechtała.

- Ależ tak! Oto plan, oto *ordonation* w swojej cudownej prostocie i logice. I proszę tylko zauważyć, że jeśli weźmie się mapę Europy i Azji, nakreśli linię realizowania planu z północy do zamku w Jerozolimie, od Jerozolimy do Agartty, od Agartty do Chartres, od Chartres do wybrzeży Morza Śródziemnego, a stamtąd do Stonehenge, ukaże się kontur mniej więcej tego kształtu.



- I co z tego? - spytał Belbo.

- To, że takimi samymi runami można połączyć w wyobraźni niektóre z głównych ośrodków ezoteryzmu templariuszy, Amiens, Troyes, królestwo świętego Bernarda na skraju Forêt d'Orient, Reims, Chartres, Rennes-le-Château i Mont-Saint-Michel, miejsce niezwykle starego kultu dru-

idycznego. I tenże rysunek przypomina gwiazdozbiór Panny.

- Astronomia to moja namiętność - wyznał nieśmiało Diotallevi - i o ile pamiętam, Panna ma inny rysunek i liczy, zdaje się, jedenaście gwiazd...

Pułkownik uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Panowie, panowie, wiecie wszak lepiej ode mnie, że wszystko zależy od tego, jak nakreśli się linie, i jeśli się tylko chce, można mieć albo Wóz, albo Niedźwiedzicę - na życzenie, i wiecie też, jak trudno zdecydować, czy jakaś gwiazda należy, czy też nie należy do danego gwiazdozbioru. Jeśli spojrzycie na Pannę, przyjmiecie Kłos za punkt najniższy odpowiadający wybrzeżu prowansalskiemu i weźmiecie tylko pięć gwiazd, podobieństwo będzie naprawdę uderzające.

- Wystarczy postanowić, które gwiazdy należy odrzucić - rzekł Belbo.

- Otóż to - potwierdził pułkownik.

- Proszę pana - powiedział Belbo. - Dlaczego wyklucza pan możliwość, że do spotkań dochodziło jednak regularnie i że rycerze przystąpili do pracy, chociaż my nic o tym nie wiemy.

- Nie dostrzegam żadnych przejawów ich działalności, i pozwoli pan, że dodam: niestety. Plan uległ zakłóceniu i być może ci, którzy powinni doprowadzić go do końca, już nie żyją, może grupy trzydziestu sześciu rozpadły się wskutek którejś z ogólnoswiatowych katastrof. Ale grupa ludzi śmiałych, która dysponowała właściwymi informacjami, mogłaby nawiązać przerwany wątek. To coś nadal jest tam, gdzie było. Szukam więc odpowiednich ludzi. Dlatego chcę opublikować tę książkę, sprowokować reakcję. A jednocześnie próbuję nawiązać kontakt z osobami, które byłyby mi

przewodnikami w meandrach tradycyjnej wiedzy. Dzisiaj spotkałem się z największym ekspertem w tej dziedzinie. Lecz niestety, chociaż jest takim luminarzem, nie potrafił nic mi powiedzieć, aczkolwiek bardzo się zainteresował moją historią i obiecał napisać przedmowę.

- Proszę mi wybaczyć - spytał Belbo - ale czy nie było rzeczą niebezpieczną powierzać sekret temu panu? Mówił pan o błędzie, jaki popełnił Ingolf...

- Nic nie szkodzi - odparł pułkownik. - Ingolf był nieostrożny. Ja nawiązałem kontakt z uczonym pozostającym poza wszelkim podejrzeniem. Z osobą, która nie wysuwa nieprzemyślanych hipotez. Jeszcze dzisiaj prosił, żebym odłożył sprawę przedstawienia mojego dzieła wydawcy, aż wyjaśnię wszystkie wątpliwe punkty... Nie chciałem narazić się na utratę jego sympatii, toteż nie powiedziałem mu, że wybieram się tutaj, ale sami, panowie, pojmujecie, iż dotarłszy do tego etapu moich trudów, mam prawo być niecierpliwy. Ten pan... co tam, do diabła z ostrożnością, nie chciałem, abyście, panowie, pomyśleli, że się przechwalam. Chodzi o Rakosky'ego...

Przerwał, obserwując naszą reakcję.

- O kogo? - rozczarował go Belbo.

- Ależ o Rakosky'ego! To autorytet w dziedzinie badań tradycyjnych, redaktor naczelny „Cahiers du Mystère”!

- Och! - wykrzyknął Belbo. - Tak, wydaje mi się, Rakosky, chyba...

- No dobrze, zastrzegam sobie prawo do ostatecznej wersji po wysłuchaniu rad tego pana, ale zamierzam przeskoczyć pewne etapy i jeśli jednocześnie dojdę do porozumienia z firmą panów... Powtarzam: spieszno mi, by sprowokować

reakcje, zebrać informacje. Musi być ktoś, kto wie, ale milczy... Panowie, aczkolwiek wiadomo było, że wojna jest przegrana, właśnie mniej więcej w czterdziestym czwartym roku Hitler zaczął mówić o tajnej broni, która pozwoli mu odwrócić bieg wydarzeń. Powiada się, że był szalony. A jeśli nie? - Czoło pokrył mu pot, wąsy nastroszyły się jak u kota. - W sumie - oświadczył - chcę zarzucić przynętę. Zobaczmy, czy ktoś się na nią skusi.

Na podstawie tego, co wówczas wiedziałem i sądziłem o Belbie, spodziewałem się, że pułkownik zaraz wyleci za drzwi z bagażem stosownych na tę okoliczność uwag. Ale Belbo powiedział:

- Proszę posłuchać, pułkowniku, sprawa jest niezwykle interesująca, niezależnie od tego, czy lepiej ułożyć się z nami, czy z kimś innym. Może pan jeszcze poświęcić mi dziesięć minut, prawda?

Zwrócił się do mnie:

- Już późno, Casaubon, zbyt długo pana zatrzymałem. Chyba zobaczymy się jutro?

Jednym słowem, pokazano mi drzwi. Diotallevi ujął mnie pod ramię i oznajmił, że on także wychodzi. Pułkownik serdecznie uścisnął dłoń Diotalleviego, mnie skinął głową i obdarzył chłodnym uśmiechem.

Kiedy schodziliśmy po schodach, Diotallevi powiedział:

- Z pewnością zastanawia się pan, dlaczego Belbo nas wyprosił. Proszę nie brać mu tego za niegrzeczność. Belbo musi złożyć pułkownikowi bardzo poufną ofertę wydawniczą. Poufne załatwianie spraw to dewiza pana Garamonda. Ja też wychodzę, żeby nie stwarzać kłopotliwej sytuacji.

Jak zrozumiałem później, Belbo spróbował pchnąć

pułkownika w paszczę Manuzia.

Zaciągnąłem Diotalleviego do baru, gdzie wypilem campari, on zaś kompot z rabarbaru. Wydawało mu się to, jak oświadczył, napojem archaicznym, mnisim, stosownym prawie dla templariusza.

Zapytałem, co myśli o pułkowniku.

- W firmach wydawniczych - odparł - gromadzi się cała ignorancja świata. Ponieważ jednak przez ignorancję świata przeziiera mądrość Najwyższego, mędrzec z pokorą patrzy na ignorantą. - Po chwili przeprosił, mówiąc, że musi już iść. - Mam dzisiaj gościa - oznajmił.

- Jakaś feta? - spytałem.

Robił wrażenie zgorszonego moją pustotą.

- *Zohar* - wyjaśnił. - *Lech Lecha*. Stronice dotychczas całkowicie niezrozumiałe.



Graal... jest tak ciężki, że istoty wydane na pastwę grzechu nie są w stanie poruszyć go z miejsca.

Wolfram von Eschenbach, *Parzival*, IX, 477

Pułkownik nie spodobał mi się, ale wzbudził moje zaciekawienie. Można przyglądać się z zaciekawieniem nawet jaszczurce. Smakowałem pierwsze krople trucizny, która nas wszystkich miała doprowadzić do zguby.

Zjawiłem się u Belba następnego popołudnia i gawędzieliśmy trochę o naszym gościu. Belbo oświadczył, że pułkownik wywarł na nim wrażenie mitomana.

- Słyszał pan, jak mówił o tym Rakoskim czy Rostropowiczu, zupełnie jak o Kancie.

- To zresztą historie stare jak świat - oświadczyłem. - Ingolf był szalony, bo w nie uwierzył, pułkownik jest szalony, bo uwierzył Ingolfowi.

- Może wierzył im wczoraj, a dzisiaj zmienił zdanie. Umówiłem go dziś na spotkanie z innym wydawcą, w firmie mniej wybrednej, skłonnej publikować książki nakładem autora. Mam wrażenie, że zapalił się do tego pomysłu. I przed chwilą dowiedziałem się, że wcale tam nie był. Pomyśleć, że zostawił mi fotokopię tekstu, o tutaj. Szasta na prawo i lewo tajemnicami templariuszy, jakby chodziło o byle co. Tacy już są ci faceci.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Belbo podniósł słuchawkę.

- Tak? Tu Belbo z wydawnictwa Garamond. Dzień dobry. Owszem, był tu wczoraj po południu z propozycją wydawniczą. Przepraszam, ale to sprawa poufna. Gdyby zechciał

pan...

Słuchał przez jakiś czas, a potem obrócił się do mnie z po-  
bladłą nagle twarzą i powiedział:

- Pułkownik zamordowany czy coś w tym rodzaju.

Wrócił do swojego rozmówcy:

- Przepraszam, powiedziałem o tym panu Casaubonowi,  
mojemu współpracownikowi, który był wczoraj przy rozmow-  
wie... Tak więc pułkownik Ardenti przyszedł do nas, gdyż  
chciał omówić pomysł historii, którą uważam za ekstrawa-  
gancką, a która dotyczy rzekomego skarbu templariuszy. Byli  
to średniowieczni rycerze...

Odruchowo zasłonił mikrofon dłonią, jakby pragnął odizo-  
lować się od swego rozmówcy, ale zauważył, że na niego  
patrzę, więc cofnął rękę i powiedział z pewnym podniece-  
niem:

- Nie, komisarzu De Angelis, ten pan mówił o książce,  
którą zamierzał napisać, ale był to pomysł dość mglisty... Co?  
Obaj? Teraz? Już zapisuję adres.

Odłożył słuchawkę. Przez chwilę milczał, bębniąc palcami  
w blat biurka.

- Proszę wybaczyć, Casaubon, ale nie pomyślałem  
i wciągnąłem w to wszystko także pana. Wziął mnie z zasko-  
czenia. Był to komisarz, niejaki De Angelis. Zdaje się, że  
pułkownik mieszkał w pensjonacie i ktoś powiedział, że zna-  
lazł go wczoraj martwego...

- Powiedział? I ten cały komisarz nie wie, czy to prawda?

- To dziwne, ale nie wie. Zdaje się, że moje nazwisko i go-  
dzinę spotkania znaleźli w notesie. Wygląda na to, że je-  
steśmy ich jedynym śladem. No, trzeba iść.

Wezwaliśmy taksówkę. Kiedy wsiedliśmy, Belbo ujął mnie

za ramię.

- Casaubon, pewnie to tylko zbieg okoliczności. Tak czy owak, może jestem stuknięty, ale, mój Boże, zawsze sobie mówię: „Lepiej unikać nazwisk”... Kiedy byłem jeszcze chłopcem, poszedłem obejrzeć jasełka odgrywane w dialekcie i z udziałem pasterzy, którzy mieszkali w Betlejem albo nad brzegami Tanaro, trudno się było domyślić... Przybyli trzej królowie i zapytali chłopaka grającego pastuszka, jak się nazywa jego pan, on zaś odpowiedział, że Gelindo. Kiedy Gelindo się o tym dowiedział, stłukł chłopaka kijem, bo, jak wyjaśnił, nazwisko nie jest po to, żeby byle kto nim sobie gębę wycierał... W każdym razie, jeśli się na to zgodzisz, pułkownik nie powiedział nam ani słowa o Ingolfie i tekście z Provins.

- Nie chcemy skończyć jak Ingolf - odparłem, próbując zdobyć się na uśmiech.

- Powtarzam, że to głupie. Ale od pewnych spraw lepiej trzymać się jak najdalej.

Przyznałem mu rację, ale nadal czułem się niewyraźnie. W końcu byłem studentem, który brał udział w pochodach, i perspektywa spotkania z policją sprawiała, że czułem się nieswojo. Dotarliśmy do pensjonatu. Niezbyt elegancki, z dala od centrum. Natychmiast skierowano nas do apartamentu - tak to określili - pułkownika Ardentia. Policjanci na schodach. Wprowadzono nas do pokoju numer dwadzieścia siedem (dwa i siedem daje dziewięć - pomyślałem). Sypialnia, korytarz i stolik, mała kuchnia, łazienka z prysznicem, bez zasłony; przez uchylone drzwi nie można było zobaczyć, czy jest tam bidet, ale w tego rodzaju pensjonacie było to zapewne pierwsze i ostatnie udogodnienie, jakiego żądają klienci.

Umeblowanie nędzne, trochę rzeczy osobistych, ale wszystko w nieładzie, widać, że ktoś pospiesznie przerzucał walizki i szafy. Może policja, doliczyłem się dziesięciu policjantów, cywilnych i mundurowych.

Wyszedł nam na spotkanie młody osobnik z raczej długimi włosami.

- Jestem De Angelis. Doktor Belbo? Doktor Casaubon?

- Nie jestem doktorem, dopiero studiuję.

- Radzę pilnie studiować. Jeśli nie zrobi pan dyplomu, nie będzie pan mógł przystąpić do konkursu na posadę w policji, a sam pan wie, jaka to strata. - Jego mina wyrażała znudzenie. - Proszę wybaczyć, ale zaczniemy od koniecznych formalności. Oto paszport na nazwisko Ardenti, który należał do mieszkańca tego pokoju. Czy panowie go rozpoznają?

- To on - oznajmił Belbo - ale proszę mi wyjaśnić, przez telefon nie mogłem się zorientować, czy nie żyje, czy też...

- Bardzo bym chciał, żeby pan odpowiedział mi na to pytanie - rzekł De Angelis, krzywiąc się. - Sądzę jednak, że macie, panowie, prawo dowiedzieć się czegoś więcej. Pan Ardenti, czy pułkownik Ardenti, zamieszkał tu przed czterema dniami. Sami, panowie, widzicie, że nie jest to Grand Hotel. Mają tu portiera, który kładzie się spać o jedenastej, gdyż goście otwierają drzwi własnymi kluczami, jedną czy dwie pokojówki, które przychodzą rano, żeby posprzątać w pokojach, i starego alkoholika, który jest tu fagasem i przynosi gościom coś do picia, kiedy dzwonią. Podkreślam, że to alkoholik i sklerotyk, więc wydobywanie z niego zeznań to męka. Portier utrzymuje, że tamten ma przywidzenia i nastraszył już kilkoro gości. Wczoraj koło dziesiątej portier widział, jak Ardenti przyszedł z dwiema osobami, które wprowadził do

swojego pokoju. Tutaj nikt się nie przejmuje, jeśli klient sprawadza całą gromadę zboczeńców, a co dopiero dwie normalne, chociaż mówiące z obcym akcentem osoby! O wpół do jedenastej Ardent i wezwał starego i kazał sobie przynieść butelkę whisky, wodę mineralną i trzy szklanki. Koło wpół do drugiej stary usłyszał, że ktoś dzwoni z pokoju dwudziestego siódmego, jak twierdzi, z przerwami. Ale sądząc z tego, w jakim stanie zastaliśmy go dzisiaj rano, w tym momencie musiał już być po niejednej szklaneczce jakiegoś zapewne paskudnego trunku. Wdrapał się na górę, zapukał, nikt nie odpowiedział, więc otworzył drzwi kluczem uniwersalnym. Zastał wszystko porozrzucone jak w tej chwili, a na łóżku – pułkownika z wybałuszonymi oczami i sznurem zaciśniętym na szyi. Zbiegł czym prędzej, obudził portiera, ale żaden z nich nie miał ochoty tam zaglądać; chcieli zadzwonić, linia jednak była przerwana. Dzisiaj rano funkcjonowała bez zarzutu, lecz powiedzmy, że im wierzę. Portier pobiegł na placik na rogu, gdzie jest automat telefoniczny, żeby zadzwonić na policję, a stary powlókł się w przeciwną stronę, żeby wezwać lekarza. Zajęło im to dwadzieścia minut i czekali, przerażeni, na dole, aż lekarz ubrał się i przybył, prawie jednocześnie z wozem policyjnym. Poszli pod numer dwudziesty siódmy, ale na łóżku nie było nikogo.

– Jak to nikogo? – zdumiał się Belbo.

– Ani śladu zwłok. Teraz lekarz wrócił już do domu, a moi koledzy znaleźli tylko to, co panowie widzicie. Wypyaliśmy starego i portiera i dowiedzieliśmy się tego, co już panowie wiecie. Gdzie się podzieli dwaj osobnicy, z którymi o dziesiątej przyszedł Ardent? Możliwe, że wyszli między jedenastą a pierwszą i nikt tego nie zauważył. A może byli nadal

w pokoju, kiedy wszedł tu stary? Trudno powiedzieć, zaraz wyszedł, nie zajrzał ani do kuchni, ani do łazienki. Może wymknęli się, zabierając trupa, kiedy ci dwaj nieszczęśnicy wzywali pomoc? Nie da się tego wykluczyć, gdyż są tu zewnętrzne schody prowadzące na podwórko, z którego przez furtkę wychodzi się na boczną ulicę. A przede wszystkim, czy rzeczywiście był tu trup, czy też pułkownik wyszedł sobie, powiedzmy o północy, z tamtymi dwoma facetami, a staremu wszystko się tylko przyśniło? Portier twierdzi uparcie, że tamten nie po raz pierwszy ma omamy; kiedyś przed laty oznajmił, że jedna z mieszkańek pensjonatu powiesiła się nago, tymczasem pół godziny później wróciła świeża jak różyczka, a na legowisku starego znaleziono tygodnik sadystyczno-pornograficzny, więc zapewne powodowany świetnym pomysłem, który przyszedł mu do głowy, zajrzał do pokoju owej damy przez dziurkę od klucza i zobaczył po prostu zasłonę poruszającą się w półmroku. Jedyny fakt pewny to ten, że pokój nie jest w stanie normalnym i że Ardenti rozpląnął się w powietrzu. Ale za dużo już powiedziałem. Teraz pana kolej, doktorze Belbo. Jedyny ślad, jakim dysponujemy, to karteczka znaleziona na podłodze koło stolika. Godzina czternasta, hotel „Principe e Savoia”, pan Rakosky; godzina szesnasta, Garamond, doktor Belbo. Potwierdził pan, że Ardenti był u pana. Proszę opowiedzieć przebieg spotkania.

Rycerze Graala nie chcieli, by zadawano im pytania.

Wolfram von Eschenbach, *Parzival*, XVI, 819

Belbo nie rozwodził się. Powtórzył wszystko to, co już powiedział przez telefon, dorzucając garść nieistotnych szczegółów. Pułkownik opowiedział ponoć jakąś zagmatwaną historię, twierdząc, że w pewnych dokumentach, które odkrył we Francji, natrafił na wskazówki dotyczące ukrytego skarbu, ale nie wyjawiał wiele więcej, sądził, jak się zdaje, że posiadał niebezpieczną tajemnicę, i chciał wcześniej czy później ją rozgłosić, ażeby nie pozostawać jedynym, który ją zna. Kładł nacisk na to, że byli już tacy, którzy ją poznali, lecz zniknęli w niewyjaśniony sposób. Dokumenty pokaże dopiero, kiedy podpiszemy z nim umowę wydawniczą, jednak Belbo nie mógł podpisać umowy, póki nie zobaczy jakichś materiałów, więc rozstali się, wyznaczając sobie spotkanie w bliżej nieokreślonym terminie. Pułkownik wspomniał o spotkaniu z niejakim Rakoskym i wyjaśnił, że chodzi o redaktora naczelnego „Cahiers du Mystère”. Zamierzał go poprosić o napisanie przedmowy. Zdaje się, że Rakosky doradzał odłożenie terminu publikacji. Pułkownik nie powiedział mu, że idzie do wydawnictwa Garamond. To wszystko.

- No tak - rzekł De Angelis. - Jakie wrażenie wywarł na panu?

- Wydał się nam człowiekiem niezrównoważonym i wspominał o przeszłości nieco... jak by to powiedzieć... nostalgicznej, o służbie w Legii Cudzoziemskiej.

- Powiedział wam prawdę, ale nie do końca. W pewnym

sensie mieliśmy go na oku, ale nie przykładaliśmy do tego wielkiej wagi. Takich jak on nigdy nie brak... Nie nazywał się Ardenti, ale jego paszport francuski był bez zarzutu. Od kilku lat pokazywał się co jakiś czas we Włoszech i został zidentyfikowany, chociaż bez żadnej pewności, jako kapitan Arcoveggi, skazany zaocznie na śmierć w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Współpraca z SS przy wysyłaniu ludzi do Dachau. Również we Francji nie spuszczano go z oka, miał proces o oszustwo i ledwo uniknął wyroku skazującego. Przypuszcza się, ale podkreślam, tylko przypuszcza, że to ten sam człowiek, który w zeszłym roku został pod nazwiskiem Fassotti zadenuncjowany przez drobnego przemysłowca z Peschiera Borromeo. Osobnik ów przekonał przemysłowca, że w jeziorze Como spoczywa jeszcze skarb z Dongo, że ustalił miejsce, że wystarczy parę dziesiątków milionów na dwóch płetwonurków i łódź motorowa... Wziął pieniądze i zniknął. Teraz panowie potwierdzają, że był maniakiem i poszukiwaczem skarbów.

- A ten Rakosky? - spytał Belbo.

- Sprawdziliśmy. W „Principe e Savoia” zamieszkał pewien Rakosky, Władimir, zameldowany na podstawie francuskiego paszportu. Charakterystyka mglista, ot, dystyngowany pan. Taką samą mógłby podać tutejszy portier. W Alitalia zgłosił się dzisiaj na pierwszy lot do Paryża. Interesował się nim Interpol. Annunziato, czy przyszło coś z Paryża?

- Na razie nic, panie komisarzu.

- No tak. A zatem pułkownik Ardenti, czy jak się zowie, przybywa do Mediolanu cztery dni temu, nie wiemy, co robi przez pierwsze trzy, a wczoraj o drugiej spotyka się w hotelu prawdopodobnie z jakimś Rakoskym, nie mówi mu, że



będzie się widział z panem, i to wydaje się interesujące. Wczorazem przychodzi tutaj, zapewne z tymże Rakoskim i jakimś innym facetem... a potem wszystko staje się mgliste. Jeśli nawet go nie zabili, z pewnością przetrząsnęli pokój. Czego szukali? W marynarce - no, właśnie, jeśli nawet wyszedł, to wyszedł w samej koszuli, gdyż marynarka wraz z paszportem pozostała w pokoju, ale proszę nie sądzić, że upraszcza to w jakikolwiek sposób sprawę, stary powiada bowiem, że Ardenti leżał na łóżku w marynarce, ale może to była bonzurka, o Boże, istny dom wariatów - a więc, jak mówiłem, w marynarce było trochę pieniędzy, nawet za dużo... Stąd wniosek, że szukali czegoś innego. I jedyny dobry pomysł podsunął mi właśnie pan. Pułkownik przyszedł z jakimiś dokumentami. Jak wyglądały?

- Miał przy sobie brązową teczkę - odpowiedział Belbo.
- Mnie wydała się czerwona - wtrąciłem się.
- Brązowa - upierał się Belbo. - Zresztą może się myłę.
- Czerwona czy brązowa, nie ma jej tutaj - wyjaśnił De Angelis. - Wczorajsi goście ją zabrali. Najwyraźniej wszystko obraca się wokół tej teczki. Moim zdaniem Ardenti w gruncie rzeczy nie chciał publikować książki. Zgromadził garść faktów, żeby szantażować Rakosky'ego, i przechwalał się kontaktami wydawniczymi, wykorzystując je jako element nacisku. Byłoby to w jego stylu. I w tym punkcie należałoby sięgnąć po następne hipotezy. Tamci dwaj odchodzą, grożąc mu, Ardenti wpada w przerażenie i ucieka w mrok, zostawiając wszystko oprócz teczki. Może nawet, diabli wiedzą po co, udaje przed starym trupem. Ale to wszystko jest zbyt romantyczne i nie wyjaśnia, dlaczego tak wywrócono do góry nogami pokój. Z drugiej strony, jeśli tamci dwaj dokonali

zabójstwa i ukradli teczkę, po cóż mieliby kraść na dodatek zwłoki? Zobaczymy. Przepraszam, ale muszę wziąć panów adresy.

Obracał w palcach na wszystkie strony moją legitymację uniwersytecką.

- Student filozofii, co?

- Nie ja jeden - odpowiedziałem.

- Jest was aż za dużo. I zajmuje się pan templariuszami... Gdybym miał czegoś się o nich dowiedzieć, co powinienem przeczytać?

Podąłem mu dwa tytuły, popularnonaukowe, ale dosyć poważne. Oznajmiłem, że informacje, jakie tam znajdzie, obejmują okres do zakończenia procesu, bo wszystko późniejsze to brednie.

- Rozumiem, rozumiem - odparł. - Tylko templariuszy brakowało mi do szczęścia. Z tym ugrupowaniem jeszcze się nie zetknąłem.

Przyszła Annunziata z depeszą.

- Oto odpowiedź z Paryża, panie komisarzu.

Przeczytał.

- Świetnie. W Paryżu nic nie wiedzą o Rakoskim, a numer jego paszportu odpowiada numerowi dokumentu skradzionego dwa lata temu. Wiemy już, czego się trzymać. Pan Rakoski nie istnieje. Mówił pan, że to wydawca czasopisma... jak się nazywało? - Zanotował tytuł. - Zobaczymy, ale założę się, że albo to czasopismo nie istnieje, albo przestało wychodzić nie wiadomo jak dawno temu. No dobrze, panowie. Dziękuję za pomoc, być może będę jeszcze musiał zakłócić wam spokój. Aha, jeszcze jedno pytanie. Czy ten Ardenti dał do zrozumienia, że ma powiązania z jakimś ugrupowaniem poli-

tycznym?

- Nie - odparł Belbo. - Robił wrażenie, jakby porzucił politykę dla skarbów.

- I dla nabierania naiwnych.

Zwrócił się teraz do mnie.

- Sądzę, że panu się nie spodobał.

- Nie lubię takich typów - odparłem. - Ale to nie znaczy, że chętnie zarzuciłbym mu na szyję drut, żeby go udusić. Chyba że w wyobraźni.

- Naturalnie. To zbyt męczące. Proszę się nie bać, panie Casaubon, nie należę do tych, którzy uważają, że wszyscy studenci to kryminaliści. Może pan iść spokojnie. Życzę owocnej pracy nad dyplomem.

- Przepraszam, komisarzu - wtrącił Belbo - ale gubię się w tym wszystkim. Pan jest z wydziału zabójstw czy politycznego?

- Trafne pytanie. W nocy przybył tu mój kolega z wydziału zabójstw. Kiedy w archiwum odnaleziono to i owo na temat przeszłości Ardentiego, przekazano sprawę mnie. Ja pracuję w wydziale politycznym. Ale nie wiem wcale, czy jestem właściwą osobą na właściwym miejscu. Życie nie bywa takie proste jak powieści kryminalne.

- Tak przypuszczałem - oznajmił Belbo, podając mu rękę.

Wyszliśmy, lecz wcale nie byłem spokojny. Nie ze względu na komisarza, który wydał mi się porządnym facetem, ale przez to, że po raz pierwszy w życiu znalazłem się w samym środku jakiejś tajemniczej historii. I kłamałem. A Belbo razem ze mną.

Kiedy zegnaliśmy się przed drzwiami wydawnictwa, obaj byliśmy zakłopotani.

- Nie zrobiliśmy niczego złego - powiedział Belbo głosem, w którym brzmiało poczucie winy. - To, czy komisarz dowie się o Ingolfie albo katarach, nie ma najmniejszego znaczenia. Przecież chodzi o czyste brednie. I nie to było powodem zniknięcia Ardentiego, bo mogły być tysiące innych przyczyn. Może Rakosky jest z izraelskiej tajnej służby i uregulował jakieś stare porachunki. Może został nasłany przez jakiegoś ważniaka, którego pułkownik oskubał. Może w grę wchodzi kompan z Legii Cudzoziemskiej i zadawnione pretensje. Może to najemny morderca z Algieru. Może historia ze skarbem templariuszy była tylko drugorzędym epizodem w życiu naszego pułkownika. Tak, wiem, zniknęła czerwona czy brązowa teczka. Dobrze pan zrobił, zaprzeczając mi, w ten sposób nie ulega wątpliwości, że ledwie mogliśmy rzuć na nią okiem...

Milczałem, a Belbo nie wiedział, jak zakończyć rozmowę.

- Powie pan, że znowu uciekłem, jak na ulicy Larga.

- Plecie pan głupstwa. Zrobiliśmy dobrze. Do widzenia.

Współczułem mu, bo sądził, że postąpił niegodziwie. Ja nie miałem żadnych wyrzutów sumienia, gdyż w szkole nauczyli mnie, że policji trzeba kłamać. Dla zasady. Ale tak to jest, nieczyste sumienie psuje przyjaźń.

Od tego dnia już go nie spotykałem. Ja byłem jego wyrzutem sumienia, on moim.

Ale właśnie wtedy doszedłem do wniosku, że student jest zawsze bardziej podejrzany niż absolwent. Pracowałem jeszcze przez cały rok i napisałem dwieście pięćdziesiąt stron na temat procesu templariuszy. W tamtych latach obrona pracy dyplomowej stanowiła dowód lojalnego podporządkowania się państwu i dawała prawo do pobłażliwego traktowania.

W następnych miesiącach niektórzy studenci zaczęli strzelać, epoka wielkich manifestacji na świeżym powietrzu dobiegła końca.

Brakowało mi ideałów. Miałem alibi, gdyż kochając się z Amparo, kochałem się z Trzecim Światem. Amparo była piękna, była marksistką, Brazylijką, entuzjastką, osobą pozbawioną złudzeń, miała stypendium i cudownie mieszaną krew. Wszystko razem.

Zobaczyłem ją na przyjęciu i pod wpływem impulsu bez zwłoki przystąpiłem do działania.

- Przepraszam, chciałbym pójść z tobą do łóżka.
- Jesteś plugawym samcem.
- Nic nie słyszałem, nic nie powiedziałem.
- Słyszałeś. Powiedziałaś. Ja jestem plugawą samicą.

Miała wracać do ojczyzny i nie chciałem jej stracić. Ułatwiła mi kontakt z uniwersytetem w Rio, gdzie szukali lektora języka włoskiego. Uzyskałem kontrakt na dwa lata z możliwością przedłużenia. Ponieważ we Włoszech zaczęło mi być ciasno, zgodziłem się.

„Zresztą - powiedziałem sobie - w Nowym Świecie nie spotkam przynajmniej templariuszy”.

„Złudzenia” - myślałem w sobotni wieczór, ukryty w peryskopie. Pnąc się po schodach Garamonda, wkroczyłem do Pałacu. Mówił Diotallevi: Bina to pałac, który Chochma buduje sobie, rozprzestrzeniając się od punktu początkowego. Jeśli Chochma jest źródłem, Bina to rzeka, która z niego wypływa, dzieląc się później na liczne odnogi, aż wszystkie wpadną do wielkiego morza ostatniej sefiry - a w Binie wszystkie formy są z góry ukształtowane.

4

CHESED

Analogia przeciwieństw to relacja od światła do cienia, od szczytu do otchłani, od pełni do pustki. Alegoria, matka wszystkich dogmatów, to zastąpienie śladu przez pieczęć, cienia przez rzeczywistość, to kłamstwo prawdy i prawda kłamstwa.

Eliphas Levi, *Dogme de la haute magie*,  
Baillière, Paris 1856, XXII, 22

Znalazłem się w Brazylii z miłości do Amparo, zostałem tam z miłości do tego kraju. Nigdy nie pojąłem, dlaczego dziewczyna mająca za przodków Holendrów, którzy osiedlili się w Recife i przemieszali z Indianami i sudańskimi Murzynami, dziewczyna o twarzy Jamajki i kulturze paryżanki, nosiła hiszpańskie imię. Nigdy nie udało mi się dojść do ładu z brazylijskimi imionami własnymi. To policzek wymierzony wszystkim słownikom onomastycznym i nie spotyka się ich nigdzie poza Brazylią.

Amparo mówiła mi, że na jej hemisferze woda spływająca z umywalki wiruje z prawa na lewo, podczas gdy u nas w kierunku przeciwnym – albo na odwrót. Nie udało mi się sprawdzić, czy to prawda. Nie tylko dlatego, że na naszej półkuli nikt nie patrzy, jaki kierunek ma wir wody spływającej z umywalki, ale również dlatego, że po wielu próbach dokonanych na miejscu, w Brazylii, zdałem sobie sprawę, że bardzo trudno to zaobserwować. Woda znika zbyt szybko, żeby się jej przyjrzeć, a kierunek wirowania zależy najprawdopodobniej od siły i nachylenia strumienia wody, od kształtu umywalki czy wanny. Zresztą gdyby było to prawdą, co działałoby się na równiku? Może woda spływa tam prosto w dół, nie wirując, albo wcale nie chce spływać.

Wtedy nie dramatyzowałem zbyt tego problemu, ale

w ów sobotni wieczór myślałem, że wszystko zależy od prądów tellurycznych i że cały sekret ukryty jest w wahadle. Amparo była niewzruszona w swej wierze. „Nieważne, co pokazuje doświadczenie – oznajmiła. – Chodzi przecież o zasadę idealną, którą można sprawdzić tylko w warunkach idealnych, a więc nigdy. Nie zmienia to faktu, że jest prawdziwa”.

W Mediolanie Amparo wydawała mi się godna pożądaniam, gdyż wyzbyła się wszelkich złudzeń. Tutaj, reagując jakoś na chemię ojczystej ziemi, stała się kimś nie do zdobycia, kimś przenikliwie wizjonerskim i zdolnym do jakiegoś podskórne-go racjonalizmu. Czułem, że miotają nią odwieczne namiętności i że rozważnie je powściąga, patetyczna w swym ascetyzmie, który nakazywał jej odrzucić ich pokusy.

Zachwycające sprzeczności jej natury najlepiej mogłem ocenić, kiedy dyskutowała ze swoimi towarzyszami. Zebrania odbywały się w zaniedbanych mieszkaniach ozdobionych paroma plakatami i mnóstwem folklorystycznych bibelotów, portretami Lenina i ceramiką z północnego wschodu, uwielbianą przez *cangaceiro*, lub indiańskimi bożkami. Przybyłem do Brazylii w momencie nie najbardziej klarownym pod względem politycznym i – bogaty w doświadczenia wyniesione z ojczyzny – postanowiłem trzymać się z dala od ideologii, zwłaszcza tam, gdzie ich nie rozumiałem. Wypowiedzi towarzyszy Amparo tylko wzmogły moje poczucie niepewności, aczkolwiek wskazywały też nowe obszary zainteresowań. Oczywiście wszyscy byli marksistami i na pierwszy rzut oka mówili prawie to samo co marksieści europejscy, ale mieli na myśli coś zupełnie innego i nagle w toku jakiejś dyskusji o walce klas zaczęli rozprawiać o „brazylijskim kanibalizmie” albo o rewolucyjnej roli kultów afroamerykańskich.



Słuchając o tych kultach, przekonałem się, że tutaj nawet wir ideologiczny kręci się w inną stronę. Szkicowali mi panoramę wahadłowych migracji wewnętrznych: nędzarze z północy wędrowali w stronę uprzemysłowionego południa, stawali się lumpenproletariatem ogromnych metropolii duszących się w chmurach smogu, wracali więc na północ; ale w toku tych oscylacji wielu osiedlało się w dużych miastach, gdzie wchłaniała ich cała plejada autochtonicznych Kościołów, oddawali się zatem praktykom spirytystycznym, wywoływaniu afrykańskich bóstw... I w tym miejscu towarzysze Amparo dzielili się, gdyż dla jednych było to świadectwo powrotu do korzeni, sprzeciw wobec świata białych, dla drugich kulty stanowiły narkotyki, za sprawą którego klasa panująca trzyma na wodzy ogromny potencjał rewolucyjny, dla innych był to tygiel, w którym biali, Indianie i Murzyni stąpali się, kreśląc perspektywy na razie jeszcze zamglone i niepewne. Amparo nie miała wątpliwości co do tego, że religia jest wszędzie opium dla ludu, a tym bardziej są takim opium pseudoplemienne kulty. Później, kiedy obejmowałem ją w *escolas de samba* i wiłem się wraz z innymi tancerzami, którzy kreślili zagmatwane wzory przy niemożliwym do wytrzymania łoskocie bębnow, zdałem sobie sprawę, że przylegała do tego świata mięśniami brzucha, sercem, głową, nozdrzami... A potem wychodziliśmy i ona pierwsza z sarkazmem i odrazą analizowała głęboką, orgiastyczną religijność tego gibkiego poddawania się tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu rytuałowi karnawału. Jest to taka sama plemienna i szamańska obyczajowość – mówiła z rewolucyjną nienawiścią – jak w piłce nożnej, gdyż wyzyskiwani trwonią siły potrzebne do walki, zatracają potrzebę buntu, by praktykować

czary, rzucać uroki i wypraszać u bogów wszelkich możliwych światów śmierć dla obrońcy przeciwników, zapominając o władzy, która życzliwym okiem spogląda na ich podniecenie i entuzjazm, i skazując się dobrowolnie na życie w świecie ułudy.

Z wolna zatraciałem poczucie różnic. I podobnie stopniowo przyzwyczajałem się do tego, że w tym uniwersum twarzy opowiadających o wiekowych dziejach niekontrolowanych krzyżówek nie należy podejmować prób odgadywania przynależności rasowej. Zrezygnowałem z ustalania, gdzie jest postęp, gdzie bunt, gdzie – jak wyrażali się towarzysze Amparo – spisek stolicy. Jakże mogłem myśleć nadal po europejsku, kiedy dowiadywałem się, że nadzieje skrajnej lewicy podsycy pewien biskup z północnego wschodu, podejrzewany o to, że w młodości sympatyzował z nazizmem, a teraz niewzruszoną wiarą podtrzymujący płomień buntu, co wprawiało w przerażenie Watykan i barakudę z Wall Street, rozplamieniąjący radością ateizm proletariackich mistyków, zwerbowanych pod groźne i słodkie sztandary Pięknej Pani, która umęczona siedmioma boleściami patrzyła na cierpienia swego ludu?

Pewnego ranka po seminarium poświęconym klasowej strukturze lumpenproletariatu wsiadłem z Amparo do samochodu i pojechaliśmy szosą wzdłuż wybrzeża morskiego. Na plaży widać było dary wotywnie, świeczki, białe koszyczki. Amparo powiedziała, że to ofiary dla Yemanjá, bogini wód. Wysiadła z samochodu i poszła, skruszona, nad wodę, gdzie przez dłuższą chwilę stała w milczeniu. Spytałem, czy w to wierzy. Odparła z gniewem: „Jakżebyś mogła!” Potem dodała: „Babcia przyprowadziła mnie na plażę i błagała bogi-

nię, żebym wyrosła na kobietę piękną, dobrą i szczęśliwą. Który to z waszych filozofów, pisząc o czarnych kotach i koralowych rogach, stwierdził: «To nieprawda, ale wierzę»? Otóż ja nie wierzę, ale to prawda”. Tego dnia postanowiłem odkładać z pensji, żeby zaoszczędzić na podróż do Bahii.

Jednak również wtedy, i wiem o tym, zacząłem ulegać ułudzie podobieństw: wszystko ma jakieś tajemne analogie ze wszystkim.

Kiedy wróciłem do Europy, przeobraziłem tę metafizykę w mechanikę i dlatego wpadłem w pułapkę, z której do dzisiaj nie znalazłem wyjścia. Ale wówczas poruszałem się w półmroku, w którym zacierały się różnice. Jak przystało rasiście, myślałem, że wierzenia innych są dla człowieka silnego sposobnością do miłego fantazjowania.

Nauczyłem się rytmów, sposobów wyzwiania ciała i umysłu. Powtarzałem to sobie tamtego wieczoru w peryskopie, kiedy pragnąc pozbyć się mrowienia w kończynach, poruszałem nimi tak, jakbym nadal stukał w *agogõ*. „Pomyśl tylko – mówiłem sobie – aby wyzwolić się spod władzy ignorancji, aby pokazać samemu sobie, że w to nie wierzysz, zaakceptuj czary. Jak przysięgły ateista, który nocą widuje diabła i prowadzi takie oto ateistyczne rozumowanie: on z całą pewnością nie istnieje i chodzi tylko o złudzenie pobudzonych zmysłów, może zależy to od trawienia, ale on przecież tego nie wie, przecież wierzy w swoją teologię na opak. Co w nim, tak pewnym swego istnienia, wzbudziłoby strach? Robisz znak krzyża, a on, łatwowierny, znika w wybuchu siarki”.

Było ze mną tak jak z pewnym przemądrzałym etnologiem, który poświęcił lata studiom nad kanibalizmem i rzucając wyzwanie tępocie białych, rozповідаł dookoła, że

mięso ludzkie ma delikatny smak. Okazywał w ten sposób brak poczucia odpowiedzialności, gdyż wiedział, że nigdy nie będzie musiał dokonać degustacji. Aż wreszcie ktoś złaknięny prawdy zapragnie to wypróbować właśnie na nim. I kiedy będzie pożerany po kawałku, nie dowie się już, po czyjej stronie była racja, i zostanie mu tylko cień nadziei, że wszystko przebiegnie zgodnie z rytuałem, aby przynajmniej usprawiedliwić swoją śmierć. Tak samo tego wieczoru musiałem wierzyć, że Plan jest prawdziwy, w przeciwnym bowiem razie przez ostatnie dwa lata byłbym wszechmocnym twórcą złośliwego koszmaru. Lepiej, żeby koszmar okazał się rzeczywistością, bo rzecz prawdziwa jest prawdziwa i nie ma na to rady.

Sauvez la faible Aischa des vertiges de Nahash, sauvez la plaintive Héva des mirages de la sensibilité, et que les Khérubs me gardent.

Joséphin Péladan, *Comment on devient Fée*,  
Chamuel, Paris 1893, s. XIII

W okresie gdy zagłębiałem się w las podobieństw, przyszedł list od Belba.

*Drogi Casaubon!*

*Do przedwczoraj nie miałem pojęcia, że jest Pan w Brazylii, całkowicie straciłem Pana z oczu, nie wiedziałem nawet o skończeniu studiów (gratulacje), zanim u Piladego znalazłem kogoś, kto podał mi Pański adres. Uznałem, że powinienem przesłać Panu garść nowych faktów dotyczących nieszczęsnej sprawy pułkownika Ardenti. Minęły już z górą dwa lata, ale chciałbym jeszcze raz przeprosić za to, że mimo woli postawiłem Pana w kłopotliwej sytuacji.*

*Prawie zapomniałem o tej nieprzyjemnej historii, lecz przed dwoma tygodniami pojechałem na wycieczkę do siedziby rodu Montefeltro i znalazłem się w fortecy San Leo. Zdaje się, że w osiemnastym wieku to miejsce wchodziło w skład Państwa Watykańskiego i papież zamknął tu Cagliostro w celi bez drzwi (po raz pierwszy i zarazem ostatni wchodziło się tu przez klapę w suficie) i z okienkiem, przez które skazaniec widział tylko dwa wiejskie kościołki. Na podwyższeniu, na którym Cagliostro spał i które było jego łóżem śmierci, zobaczyłem bukiet róż i wyjaśniono mi, że nadal wielu wyznawców odbywa pielgrzymki do miejsca kaźni. Powiedziano też, że do najwierniejszych pielgrzymów należą członkowie*

*Picatrix, mediolańskiego towarzystwa badań misteriofizycznych, które wydaje czasopismo nazywające się – proszę docenić ich pomysłowość – „Picatrix”.*

*Wie pan, że interesują mnie takie osobliwości, więc po powrocie do Mediolanu zdobyłem numer „Picatrix”, z którego dowiedziałem się, że za kilka dni odbędzie się uroczyste wywoływanie ducha Cagliostro. Poszedłem.*

*Na ścianach damaskinaż ze znakami kabalistycznymi, obfitość sów i puszczyków, skarabeuszy i ibisów, orientalnych bóstw niepewnej proweniencji. W głębi znajdowało się podwyższenie dla mówcy i proscenium z opartymi na klockach nieobrobionego drewna pochodniami, a w tle ołtarz z trójkątną nastawą i dwoma posązkami, Izydy i Ozyrysa. Dookoła rozmieszczono amfiteatralnie figurki Anubisa, portret Cagliostro (kogóż by innego?), złożoną mumię jakby Cheopsa, pięcioramienne świeczniki, gong podtrzymywany przez dwa pełznące węże, pulpit na mównicy okrytej płótnem w hieroglify, dwie korony, dwa trójnogi, walizkowy sarkofag, tron, fałszywy siedemnastowieczny fotel, cztery krzesła, każde z innego kompletu, a wszystkie w stylu „ławeczka u szeryfa z Nottingham”, świeczki, świece, gromnice – wszystko płonące w sposób nader uduchowiony.*

*Krótko mówiąc, w pewnym momencie weszło siedmiu ministrantów w czerwonych, zmiętych komeżkach, a za nimi celebrans, jak się zdaje, redaktor naczelny „Picatrix” – nazywający się, niechaj bogowie mi wybaczą, Brambilla – okryty różowooliwkowymi paramentami, potem adeptka czy też medium, a na koniec sześciu ubranych na biało akolitów podobnych do Ninetta Davoli, ale w przepaskach bogów na głowie, jeśli pamięta Pan jeszcze naszych poetów.*

*Brambilla nasadza sobie na głowę tiarę z półksiężycem, ujmując w dłoń rytualny miecz, kreśli na podłodze magiczne figury, wywołuje parę anielskich duchów o imionach kończących się na „el” i w tym momencie przypominam sobie mgliście te pseudosemickie sztuczki z tekstu Ingolfa, ale trwa to tylko chwilę, bo natychmiast się rozpraszam. Między innymi z tej przyczyny, że dzieje się coś osobliwego; mikrofony na mównicy są połączone z syntezatorem, który miał wyłapywać krążące w kosmosie fale, lecz operator tego urządzenia musiał popełnić jakiś błąd, gdyż najpierw rozbrzmiewa muzyka dyskotekowa, a potem odzywa się Radio Moskwa. Brambilla otwiera sarkofag, wydobywa grimoire, wymachuje trybularzem, wykrzykuje: „Panie, niechaj przyjdzie twoje królestwo!” i, jak się zdaje, osiąga niezły wynik, bo Radio Moskwa milknie, by w najbardziej magicznym momencie huknąć w najlepsze pieśnią pijanych Kozaków, z tych, co tańczą, zamiatając tyłkami podłogę. Brambilla wzywa Clavicula Salomonis, pali na trójnogu jakiś pergamin, nie zważając przy tym na groźbę pożaru, przywołuje kilka bóstw ze świątyni w Karnaku, żąda bezczelnie, żeby postawiono go na sześciennym kamieniu z Esod, i przystępuje do natarczywego wywoływania Domownika 39, który publiczności musi być doskonale znany, gdyż przez salę przebiega dreszcz. Jakaś kobieta z widowni wpada w trans, wywraca oczami, tak że widać tylko białka, ludzie krzyczą – lekarza, lekarza! Brambilla zaprasza na ceremonię potęgę Amuletów, dziewczyna, która zdążyła już zasiąść w rzekomo siedemnastowiecznym fotelu, miota się i jęczy, Brambilla rzuca się w jej stronę i wypytuje ją z troską, a więc wypytuje Domownika 39, czyli, jak uświadamiam sobie w tymże momencie, samego*

*Cagliostra.*

*I oto zaczyna się część niepokojąca, gdyż dziewczyna naprawdę budzi współczucie i naprawdę cierpi, poci się, drży, wyje, zaczyna wypowiadać urywane zdania, bredzi coś o świątyni, o drzwiach, które należy otworzyć, oznajmia, że tworzy się zawirowanie siły, że trzeba wznieść się ku Wielkiej Piramidzie, Brambilla uwija się po scenie, waląc w gong i przyzywając wielkim głosem Izydę, ja rozkoszuję się spektaklem, kiedy nagle słyszę, że dziewczyna między westchnieniem a jękiem mówi o sześciu pieczęciach, stu dwudziestu latach oczekiwania i trzydziestu sześciu niewidzialnych. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mówi o tekście z Provins. Czekam, żeby powiedziała coś więcej, ale ona wali się, wyczerpana, na ziemię, Brambilla gładzi jej czoło, błogostawi obecnych trybularzem i oznajmia, że rytuał dobiegł końca.*

*Trochę pod wrażeniem tego wszystkiego, a trochę kierując się chęcią zrozumienia, podchodzę do dziewczyny, która doszła już do siebie, włożyła dosyć tandetny płaszczyk i już miała wymknąć się tylnym wyjściem; właśnie mam dotknąć jej ramienia, lecz nagle czuję, że ktoś chwyta mnie za rękę. Odwracam się i widzę komisarza De Angelis, który mówi, żebym zostawił dziewczynę w spokoju, bo on wie, gdzie ją znaleźć. Zaprasza mnie na kawę. Idę za nim grzecznie, jakby przyłapał mnie na gorącym uczynku, i w pewnym sensie była to prawda, a w barze pyta, po co tu przyszedłem i dlaczego próbowałem rozmawiać z dziewczyną. Naprzykrza się, więc odpowiadam, że nie żyjemy w państwie dyktatury i że mogę rozmawiać, z kim mi się podoba. Przeprasza i wyjaśnia, w czym rzecz; śledztwo w sprawie Ardentiego toczy się w zwolnionym tempie, ale próbowali odtworzyć, jak*



spędził dwa dni w Mediolanie, zanim spotkał się z tajemniczym Rakoskym, a potem z nami u Garamonda. Po roku okazało się przypadkiem, że ktoś widział, jak Ardeni wychodzi z siedziby Picatrix w towarzystwie medium. Dziewczyna interesowała ich zresztą dlatego, gdyż żyła z facetem nieźle znanym wydziałowi narkotyków.

Wyjaśniam, że chodzi o czysty przypadek i że uderzył mnie fakt, iż dziewczyna wypowiedziała zdanie o sześciu pieczęciach, które padło też z ust pułkownika. Zwraca mi uwagę, że dziwne jest, iż po dwóch latach pamiętam tak dobrze, co powiedział pułkownik, chociaż jemu, komisarzowi, wspomniałem tylko o mglistej wypowiedzi na temat skarbu templariuszy. Tłumaczę, że pułkownik napomknął o skarbie chronionym przez sześć pieczęci czy coś w tym rodzaju, ale nie uznałem tego szczegółu za ważny, gdyż wszystkie skarby są chronione przez siedem pieczęci i złote skarabeusze. Komisarz na to, że nie pojmuje, dlaczego tak mnie uderzyły słowa medium, skoro wszystkie skarby chronione są przez złote skarabeusze. Proszę, by nie traktował mnie jak recydywisty, a on zaraz zmienia ton i wybucha śmiechem. Oznajmia, że nie uważa za dziwne tego, że dziewczyna powiedziała to, co powiedziała, gdyż tak czy inaczej Ardeni musiał zwieryć się jej ze swoich urojeń, może zamysłając nawiązać dzięki niej jakiś astralny kontakt, jak to się w tym środowisku mówi. Medium to gąbka, fotograficzna płyta, jej podświadomość musi przypominać lunapark - oznajmił - ci z Picatrix pewnie raz na rok przeprowadzają jej pranie mózgu, nie można więc wykluczyć, że w stanie transu - a ta dziewczyna przeżywa to na serio, nie udaje i nie należy do tych, co mają łeb na karku - wyłoniły się obrazy, które jakiś czas temu wy-

warty na niej wielkie wrażenie.

*Ale dwa dni później De Angelis zjawia się w biurze i powiada: „Proszę tylko pomyśleć, jakie to dziwne, dwa dni później poszedłem do dziewczyny, a jej nie było. Pytałem sąsiadów, nikt jej nie widział mniej więcej od popołudnia przed feralną ceremonią, nabrałem podejrzeń, wszedłem do mieszkania, wszędzie bałagan, bielizna na ziemi, poduszki ciśnięte w kąt, gazety podeptane, szuflady puste. Zniknęła razem ze swoim gachem czy narzeczoną, czy też współnikiem, można to nazwać, jak się komu podoba”.*

*Mówi, że jeśli wiem coś więcej, powinienem o tym powiedzieć, gdyż zniknięcie dziewczyny wygląda dziwnie i może mieć dwie przyczyny: albo ktoś się zorientował, że on, De Angelis, ma ją na oku, albo stwierdzili, że chce z nią porozmawiać niejaki Jacopo Belbo. „A zatem być może to, co powiedziała w transie, odnosi się do jakiejś poważnej sprawy, a Oni, kimkolwiek są, nie mieli pojęcia, że wie pan tak dużo. Proszę zresztą tylko pomyśleć: któremuś z moich kolegów może przyjść do głowy, że to pan ją zabił – oznajmił De Angelis z szerokim uśmiechem – więc jak sam pan widzi, lepiej trzymać ze mną”. Już miałem stracić zimną krew, choć Bóg jeden wie, że nie zdarza mi się to często, pytam go, czemuż to osoba, której nie zastaje w domu, miałaby paść ofiarą zabójstwa, on zaś pyta, czy przypominam sobie historię pułkownika. Odpowiadam, że tak czy owak, jeśli ją zamordowali albo porwali, stało się to tego wieczoru, kiedy przebywałem w jego towarzystwie, a on na to, skąd ta pewność siebie, przecież rozstaliśmy się koło północy i on nie wie, co było potem, więc ja, czy mówi poważnie, a on rzuca kolejne pytanie, czy nigdy nie czytałem powieści kryminalnych i nie*

wiem, że policja ma zasadę umieszczać na liście podejrzanych wszystkich niemających alibi jaśniejszego jak wybuch w Hiroszynie, i gotów jest choćby zaraz oddać swoją głowę na przeszczep, jeśli mam alibi na okres między pierwszą a rankiem.

Cóż, Casaubon. Może uczyniłbym dobrze, wyjawiając mu całą prawdę, ale ludzie z moich stron są uparci i nie potrafią cofać tego, co raz powiedzieli.

Piszę o tym wszystkim, bo skoro ja zdobyłem Pański adres, może go również zdobyć De Angelis. Jeśliby miał dać znak życia, powinien Pan przynajmniej wiedzieć, jakiej linii postępowania się trzymałem. Ponieważ jednak nie wydaje mi się, by ta linia była szczególnie prosta, może mu Pan powiedzieć wszystko, jeśli uzna, że tak będzie lepiej. Jestem zażenowany, bo mam uczucie, jakbym był współwinny i szukał chociaż trochę szlachetniejszej pobudki, żeby siebie samego usprawiedliwić, lecz jej nie znajdował. To wszystko zapewne przez moje chłopskie pochodzenie, w naszych wsiach rodzą się ludzie niegodziwi.

Cała historia jest – jak się to mówi po niemiecku – unheimlich.

Pański Jacopo Belbo

...ci zagadkowi wtajemniczeni, którzy stali się liczni, zuchwali, zaczęli spiskować; jezuityzm, magnetyzm, martynizm, kamień filozoficzny, elektryzm, wszystko od nich się wywodzi.

C.-L. Cadet-Gassicourt, *Le tombeau de Jacques de Molay*,  
Desenne, Paris 1797, s. 91

List wzbudził mój niepokój. Nie dlatego, bym bał się, że odnajdzie mnie De Angelis, proszę sobie wyobrazić – na drugiej półkuli, ale z powodów mniej uchwytnych. W tamtej chwili sądziłem, że irytuje mnie to, iż powraca rykoszetem świat, który opuściłem. Teraz pojmuję już, że tym, co mnie wzburzyło, był któryś kolejny wątek podobieństwa, podejrzenie analogii. Nastąpiła odruchowa reakcja i pomyślałem, że nie zachwyca mnie perspektywa ponownego spotkania z Belbem i jego wiecznymi wyrzutami sumienia. Postanowiłem nie zajmować się tym wszystkim i nawet nie wspomniałem Amparo o liście. Przyszło mi to tym łatwiej, że dwa dni później Belbo przysłał drugi list, żeby mnie uspokoić.

Historia z medium znalazła rozsądne wyjaśnienie. Konfident policyjny doniósł, że kochanek dziewczyny był zamieszany w jakieś porachunki związane z partią narkotyków, którą sprzedawał detalicznie, zamiast dostarczyć uczciwemu hurtownikowi, choć ten z góry zapłacił za towar. W tym środowisku takie sprawy są źle widziane. Zniknął więc, żeby ratować skórę. Zrozumiałe, że zabrał ze sobą ukochaną. Przeglądając później gazety znalezione w ich apartamencie, De Angelis natknął się na czasopisma w rodzaju „Picatrix” z serią podkreślonych na czerwono artykułów. Jeden dotyczył skarbu templariuszy, drugi różokrzyżowców, którzy zamiesz-

kują jakiś zamek czy pieczarę, czy diabli wiedzą co, gdzie jest napis: *post 120 annos patebo*, i których określono jako trzydziestu sześciu niewidzialnych. De Angelis oznajmił więc, że wszystko jest dla niego jasne. Medium karmiło się tego rodzaju literaturą (taką samą zresztą jak pułkownik), a potem w transie wyrzucało ją z siebie. Sprawa została zamknięta, przekazana wydziałowi narkotyków.

List Belba ociekał wprost poczuciem ulgi. Wyjaśnienie De Angelisa robiło wrażenie najbardziej oszczędnego.

Tamtego wieczoru w peryskopie mówiłem sobie, że być może fakty wyglądały zupełnie inaczej: medium, owszem, cytowało słowa zasłyszane u Ardentiego, ale chodziło o coś, o czym czasopisma nigdy nie pisały i o czym nikt nie mógł się dowiedzieć. W środowisku Picatrix był ktoś, kto doprowadził do zniknięcia pułkownika, by go uciszyć, i ten sam ktoś spozstrzegł, że Belbo chciał rozmawiać z medium, więc usunął dziewczynę. Potem, żeby zmylić trop, usunął także jej kochanka i poinstruował odpowiednio policyjnego konfidenta, żeby ten opowiedział historię z ucieczką.

To proste, jeśli istniał Plan. Czy jednak istniał, skoro sami go wymyśliliśmy, i to znacznie później? Czy to możliwe, aby rzeczywistość nie tylko przerosła fikcję, ale ją poprzedziła, czyli biegła przodem i naprawiała szkody, jakich fikcja dopiero narobi?

A jednak wtedy, w Brazylii, nie takie myśli snułem pod wpływem listu. Raczej znowu miałem uczucie, że coś jest podobne do czegoś innego. Myślałem o wyprawie do Bahii i całe popołudnie spędziłem w księgarniach i sklepach z przedmiotami kultowymi, w miejscach, które dotychczas

omijałem z daleka. Znalazłem prawie zakonspirowane sklepi-ki i składy wypełnione posążkami i bożkami. Kupiłem *perfumadores Yemanjá*, mistyczne kadzidła o ostrym zapachu, tro-ciczki, butlę mdławego sprayu poświęconego Najświętszemu Sercu Jezusowemu, taniutki amulety. I mnóstwo wybranych bez ładu i składu książek, jednych dla wyznawców, innych dla osób badających wyznawców, a także wzory egzor-cyzmów, *Como adivinhar o futuro na bola de cristal* i podręczniki antropologii. Wreszcie monografię różokrzyżowców.

Zrobił mi się z tego w głowie jeden wielki zamęt. Obrzędy satanistyczne i mauretańskie w Świątyni Jerozolimskiej, afry-kańscy szamani i lumpenproletariat z północnego wschodu, tekst z Provins ze swoimi stu dwudziestoma latami i sto dwa-dzieścia lat różokrzyżowców.

Stałem się żywym shakerem, nadającym się jedynie do mieszania rozmaitych trunków, czy też doprowadziłem do krótkiego spięcia, gdyż nogi zaplątały mi się w gmatwaninie wielobarwnych przewodów, które kłębiły się same z siebie, i to od bardzo dawna? Kupiłem książkę o różanym krzyżu. Potem powiedziałem sobie, że jeśli spędzę kilka godzin w tych księgarniach, spotkam co najmniej tuzin pułkowników Ardenti i tyleż mediów.

Wróciłem do domu i oficjalnie zakomunikowałem Amparo, że świat jest pełen zwyrodnialców. Obiecała mi pociechę i za-kończyliśmy dzień zgodnie z naturą rzeczy.

Było to pod koniec siedemdziesiątego piątego roku. Posta-nowiłem zapomnieć o podobieństwach i wszystkie siły poświęcić pracy. W końcu miałem uczyć o kulturze włoskiej, nie zaś o różokrzyżowcach.

Zająłem się filozofią humanistyczną i odkryłem, że ledwie uwolniono się od mroków średniowiecza, świeccy luminarze nowożytnego sposobu myślenia nie znaleźli niczego lepszego do roboty, jak zagłębić się w studia nad Kabałą i magią.

Po dwóch latach obcowania z humanistami, którzy recytowali formuły mające skłonić naturę do czynienia tego, czego czynić nie chciała, dotarły do mnie wiadomości z Włoch. Moi dawni towarzysze, a przynajmniej niektórzy z nich, strzelali w kark każdemu, kto się z nimi nie zgadzał, by zachęcić w ten sposób ludzi do robienia rzeczy, których nie mieli ochoty robić.

Nie mogłem tego pojąć. Uznałem, że należę teraz do Trzeciego Świata, i postanowiłem pojechać do Bahii. Ruszyłem z historią kultury renesansowej pod pachą oraz z książką o różokrzyżowcach, która dotychczas stała nierozcięta na półce.

Na wszystkie tradycje ziemi należy patrzeć jak na tradycje wywodzące się z tradycji matki i z podstawowej, która od samego początku została powierzona grzesznemu człowiekowi i jego pierwszym potomkom.

Louis-Claude de Saint-Martin, *De l'esprit des choses*,  
Laran, Paris 1800, II, *De l'esprit des traditions en général*

I ujrzałem Salvador, Salvador da Bahia de Todos os Santos, „murzyński Rzym” i jego trzysta sześćdziesiąt pięć rysujących się na tle linii wzgórz albo ciągnących się wzdłuż wybrzeża kościołów, w których czci się bogów z afrykańskiego panteonu.

Amparo znała pewnego ludowego artystę, który malował na deskach wielkie obrazy, szczelnie wypełnione wizjami biblijnymi i apokaliptycznymi, błyszczące jak średniowieczne miniatury, kryjące w sobie elementy koptyjskie i bizantyjskie. Był naturalnie marksistą, mówił o nadciągającej rewolucji, całe dni spędzał, snując marzenia w zakrystiach sanktuarium *Nosso Senhor do Bomfím*, triumfie *horror vacui*, w otoczeniu *ex voto*, okrywających niby łuski sklepienie i tworzących inkrustację ścian, wśród mistycznego *assemblage* srebrnych serc, drewnianych protez nóg i rąk, dramatycznych obrazów ocalenia z szalejących sztormów, trąb morskich, malstromów. Zaprowadził nas do zakrystii innego kościoła zapełnionej pachnącymi meblami z palisandru.

- Kogo przedstawia ten obraz? - spytała Amparo zakrystiana. - Świętego Jerzego?

Zakrystian spojrział na nią porozumiewawczo.

- Nazywają go świętym Jerzym i lepiej tak właśnie go nazywać, bo inaczej proboszcz by się gniewał, ale tak na-



prawdę to Oxossi.

Malarz oprowadzał nas dwa dni po ławach i krużgankach skrytych za fasadami zdobnymi niby srebrne półmiski, teraz już poczerniałe i zniszczone. Towarzyszyli nam pomarszczeni i kuśtykający zakrystianie, zakrystie ociekały złotem i cyną, wszędzie ciężkie komody i bogate ramy. W kryształowych szkatułach, stojących wzdłuż ścian, królowały naturalnej wielkości wizerunki świętych, spływających krwią, z otwartymi ranami, które okrywała rubinowa rosa, a obok nich wisiały obrazy przedstawiające Chrystusa skęconego w męce, z nogami we krwi. W blasku późnobarokowego złota zobaczyłem anioły o etruskich twarzach, romańskie gryfony i orientalne syreny na kapitelach kolumn.

Chodziłem po starych ulicach, oczarowany nazwami, które brzmiały jak piosenki, Rua da Agonia, Avenida dos Amores, Travessa de Chico Diabo... Przyjechałem do Salvadoru w okresie, kiedy rząd albo ktoś w jego imieniu zapragnął uzdrowić stare miasto, usuwając stamtąd tysiące burdeli, ale zdołał wykonać ledwie połowę zadania. U stóp tych pustych i pokrytych liszajami kościołów, zakłopotane ich przepychem, rozciągały się nadal smrodliwe zaułki, gdzie roilo się od piętnastoletnich murzyńskich prostytutek, starych przekupek siedzących w kucki na trotuarach przed kościołkami, w których podgrzewały murzyńskie łakocie, od zgrai alfonsów tańczących wśród rynsztoków przy dźwiękach radia z pobliskiego baru. Zabytkowe pałace kolonizatorów z nieczytelnymi już tarczami herbowymi stały się domami rozpusty.

Trzeciego dnia poszliśmy z naszym przewodnikiem do baru hotelowego w górnej części miasta, już przebudowanej, na

ulicę pełną luksusowych antykwariatów. „Mam spotkanie z pewnym Włochem – oznajmił. – Zamierza kupić, nie targując się, mój obraz o wymiarach dwa metry na trzy, na którym mnogie zastępy anielskie toczą ostatnią bitwę z tymi drugimi zastępami”.

W ten sposób poznaliśmy pana Agliè. Nienagannie ubrany pomimo upału w dwurzędowy jasnopopielaty garnitur; złote okulary na różowej twarzy, srebrne włosy. Pocałował Amparo w rękę jak ktoś, kto nie zna innego sposobu witania się z damą, i zamówił szampana. Malarz dokądś się spieszył. Agliè wręczył mu plik *travellers' cheques* i poprosił o odesłanie arcydzieła do hotelu. Zostaliśmy, żeby porozmawiać; Agliè mówił po portugalsku poprawnie, ale jak człowiek, który nauczył się tego języka w Lizbonie, co jeszcze bardziej podkreślało styl staroświeckiego dżentelmena. Zaczął wypytywać o nas, podzielił się domysłami co do geneueńskiego pochodzenia mojego nazwiska, zainteresował się dziejami rodu Amparo, ale nie wiadomo jak domyślił się już, że musi ona pochodzić z Recife. O swoim pochodzeniu wypowiedział się mgliście. „Jestem jak ludzie z tej części świata – oznajmił. – W moich genach zmieszały się niezliczone rasy... Nazwisko jest włoskie, od starej posiadłości jednego z antenatów. Tak, być może szlacheckie, ale kto dzisiaj na to zważa. Do Brazylii przyjechałem z ciekawości. Pasjonuję się wszystkimi przejawami tradycji”.

Powiedział mi, że w Mediolanie, gdzie mieszka od paru lat, ma piękną bibliotekę religioznawczą.

– Proszę zajrzeć po powrocie do kraju, znajdzie pan niejedną ciekawą pozycję, od rytuałów afrobrazylijskich po kult Izidy za czasów nowego państwa.

- Uwielbiam kultury Izydy - oznajmiła Amparo, której duma często nakazywała udawać głuptasa. - Pewnie wie pan wszystko o kultach Izydy.

Odpowiedział skromnie:

- Tylko tę odrobinę, którą udało mi się zobaczyć.

Amparo próbowała odzyskać teren.

- To musiało być jakieś dwa tysiące lat temu.

- Nie jestem taki młody jak pani. - Agliè się uśmiechnął.

- Przypomniał mi się Cagliostro - zażartowałem. - Czy to nie on, przechodząc pewnego razu koło krucyfiksu, szepnął lokajowi tak, że wszyscy to usłyszeli: „Powiedziałem temu Żydowi, żeby wieczorem miał się na baczności, ale nie chciał mnie słuchać”.

Agliè zeszywniał, przestraszyłem się, że żart był niestosowny. Już miałem przeprosić, ale powstrzymał mnie, uśmiechając się pojednawczo.

- Cagliostro był oszustem, ponieważ wiadomo doskonale, kiedy i gdzie przyszedł na świat, i nawet nie udało mu się pożyczyć zbyt długo. Chełpił się.

- Tak sędzę.

- Cagliostro był oszustem - powtórzył Agliè - ale to nie znaczy, że nie istniały i nie istnieją osoby, które miały ten przywilej, że zaznały niejednego życia. Współczesna nauka wie zbyt mało o procesach starzenia się, by można wykluczyć, iż śmiertelność to po prostu skutek niewłaściwego wychowania. Cagliostro był oszustem, ale hrabia de Saint-Germain nie i kiedy mówił, że niektórych swoich sekretów chemicznych nauczył się od starożytnych Egipcjan, być może nie była to czcza przechwałka. Ponieważ jednak nikt mu nie chciał wierzyć, przez grzeczność wobec swoich rozmówców

udawał, że żartował.

- A pan udaje, że żartuje, aby dowieść nam, że mówi prawdę - zauważyła Amparo.

- Pani jest nie tylko piękna, ale i nadzwyczaj przenikliwa - odparł Agliè. - Lecz zaklinam, proszę mi nie wierzyć. Gdybym ukazał się w oślepiającym blasku i okryty pyłem moich czasów, pani uroda zwiędłaby od razu, a tego nigdy bym sobie nie wybaczył.

Podbił tym Amparo, a ja poczułem ukłucie zazdrości. Skierowałem rozmowę na kościoły i na świętego Jerzego-Oxossi, którego widzieliśmy. Agliè oświadczył, że koniecznie musimy wziąć udział w *candomblé*.

- Nie chodźcie tam, gdzie będą żądać pieniędzy. Miejsca prawdziwe to te, gdzie witają, niczego nie żądając, nawet wiary. Uczestniczenia z szacunkiem, owszem, z taką samą tolerancją dla wszystkich wierzeń, do których zaliczają także wasze niedowiarstwo. Niektórzy *pai* albo *mãe-de-santo* wyglądają, jakby dopiero co wyszli z chaty wuja Toma, ale wiedzą nie ustępują teologom z Akademii Gregoriańskiej.

Amparo położyła rękę na jego dłoni.

- Proszę nas zaprowadzić - powiedziała. - Ja byłam kiedyś, wiele lat temu, w szałasie *umbanda*, ale moje wspomnienia są niewyraźne, przypominam sobie tylko wielkie zamieszanie.

Agliè robił wrażenie, jakby dotyk dłoni Amparo wprowadził go w zażenowanie, ale nie cofnął ręki. Tyle że drugą sięgnął do kieszonki kamizelki i wydobył - jak miałem zobaczyć to także później w momentach, kiedy się zamyślał - maleńkie puzderko ze złota i srebra, z wieczkiem ozdobionym agatem, może tabakierkę albo pudełeczko na pigułki. Na barze paliła

się małym płomykiem woskowa świeca i Agliè jakby przypadkiem przysunął do niej puzderko. Ciepło sprawiło, że nie widziałem już agatu, a na jego miejscu pojawiła się maleńka, bardzo delikatna miniatura, niebiesko-zielona i złota, przedstawiająca pastereczkę z koszykiem kwiatów. Z roztargnieniem i jednocześnie jakimś nabożeństwem obracał puzderko w palcach, jakby przesunął paciorki różańca. Zauważył moje zainteresowanie, uśmiechnął się i schował przedmiot.

- Zamieszanie? Nie byłoby dobrze, moja miła, gdyby okazała się pani nie tylko przenikliwa, ale również przesadnie wyczulona. To wyborna cnota, kiedy łączy się z wdziękiem i rozumem, ale niebezpieczna dla kogoś, kto udaje się w pewne miejsca, nie wiedząc, czego szuka i co znajdzie... Z drugiej strony nie należy mylić *umbanda* z *candomblé*. *Candomblé* jest czymś bez reszty autochtonicznym, afrobrazylijskim, jak zwykło się mówić, podczas gdy *umbanda* to kwiat dosyć późny, zrodzony z zaszczepienia na rytach tubylczych europejskiej kultury ezoterycznej, mistyki, powiedziałbym, templariuszy...

Templariusze dopadli mnie nawet tutaj. Powiedziałem Aglièmu, że zajmowałem się nimi. Spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- Osobliwy zbieg okoliczności, mój młody przyjacielu. Tutaj, pod Krzyżem Południa, spotkać młodego templariusza...

- Nie chciałbym, żeby uważał mnie pan za adepta...

- Na miłość boską, panie Casaubon. Czy wie pan, ile szarlatanerii wkradło się do tych spraw?

- Wiem aż nadto dobrze.

- No tak. Musimy się zobaczyć, zanim państwo wyjedziecie.

Umówiliśmy się na następny dzień: wszyscy troje chcieliśmy zobaczyć kryty bazar koło portu.

Spotkaliśmy się tam następnego ranka; był to targ rybny, arabski suk, odpust, który pożerał wszystko jak rak, było to Lourdes, które znalazło się pod władzą zła, gdzie zaklinacze deszczu współżyją z pogrążonymi w ekstazie i noszącymi stygmaty kapucynami, a wszystko wśród zaszywanych pod podszewką błagalnych woreczków z modlitwami, dłoni z półszlachetnego kamienia, które pokazywały figę, koralo-  
wych rogów, krucyfiksów, gwiazd Dawida, seksualnych symboli religii przedjudaistycznych, hamaków, kobierców, toreb, sfinksów, najświętszych serc, kołczanów plemienia Bororo, naszyjników z muszelek. Zdegenerowana mistyka europejskich zdobywców stopiła się z jakościową wiedzą niewolników, podobnie jak kolor skóry każdego z obecnych był opowieścią o dziejach minionych pokoleń.

- Oto obraz tego - rzekł Agliè - co podręczniki etnologii nazywają brazylijskim synkretyzmem. Ale w bardziej wzniosłym sensie synkretyzm to uznanie jednej Tradycji, która przenika i karmi wszystkie religie, wszystkie mądrości, wszystkie filozofie. Mędrcom nie jest ten, kto rozróżnia, ale ten, kto zestawia ze sobą strzępy światła, skądkolwiek pochodzą... Tak więc ci niewolnicy albo potomkowie niewolników są mądrzejsi niż etnologowie z Sorbony. Czy chociaż pani mnie pojmuje, moja piękna?

- Nie umyślem - odparła Amparo. - Trzewiami. Przepraszam, sądzę, że hrabia Saint-Germain nie wyraziłby się w ten sposób. Mam na myśli to, że urodziłam się w tym kraju i nawet to, czego nie wiem, przemawia do mnie skądś, może stąd... - Dotknęła piersi.

- Jak to powiedział owego wieczoru kardynał Lambertini pewnej damie noszącej wspaniałą diamentowy krzyż na *décolletée*? Cóż za radość umrzeć na tej Kalwarii! Tak i ja chciałbym słuchać tych głosów. Teraz muszę się z państwem pożegnać. Pochodzę z epoki, w której ludzie gotowi byli narazić się na wieczne potępienie, byleby oddać hołd urodzie. Zostawiam państwa. Będziemy w kontakcie.

- Mógłby być twoim ojcem - powiedziałem Amparo, prowadząc ją wśród straganów.

- Nawet dziadkiem. Dał nam do zrozumienia, że liczy sobie co najmniej tysiąc lat. Czyżbyś był zazdrosny o mumię faraona?

- Jestem zazdrosny o kogoś, kto sprawia, że w głowie zapala ci się jakaś lampka.

- Cudownie, to naprawdę miłość.

Opowiadając pewnego razu, że poznał w Jerozolimie Poncjusza Piłata, opisał drobiazgowo pałac namiestnika i wymienił, co podano na kolację. Kardynał du Rohan, mniemając, iż słucha jakichś fantazji, zwrócił się do lokaja hrabiego de Saint-Germain, starca o białych włosach i uczciwym wyglądem: „Przyjacielu, z trudem mi przychodzi wierzyć temu, co powiada twój pan. Że jest brzuchomówcą – zgoda, że robi złoto – zgoda, ale że ma dwa tysiące lat i widział Poncjusza Piłata – tego już za wiele. Ty też tam byłeś?” „O nie, ekscelencjo – wyjaśnił naiwnie kamerdyner – ja jestem na służbie u pana hrabiego dopiero od czterystu lat”.

Collin de Plancy, *Dictionnaire infernal*,  
Mellier, Paris 1844, s. 434

W następnych dniach Salvador zawładnął mną bez reszty. Rzadko bywałem w hotelu. Przerzucając indeks książki o różokrzyżowcach, znalazłem odnośnik do hrabiego de Saint-Germain. „No, no – powiedziałem sobie – *tout se tient*”.

Pisał o nim Wolter: *C'est un homme qui ne meurt jamais et qui sait tout*. Horace Walpole mówił o nim jako o Włochu albo Hiszpanie, albo Polaku, który zrobił wielki majątek w Meksyku, a potem uciekł do Konstantynopola z klejnotami swojej żony. Poważniejszych informacji o nim można zasięgnąć w memuarach madame de Hausset, *dame de chambre* pani de Pompadour (piękne referencje – powiedziała nie-tolerancyjna Amparo). Występował pod rozmaitymi nazwiskami, jako Surmont w Brukseli, Welldone w Lipsku, markiz de Aymar, de Bedmar albo Belmar, hrabia Sołtykow. W 1745 roku aresztowany w Londynie, gdzie błyszczał jako muzyk grający w salonach na skrzypcach i klawicymbale; trzy lata później w Paryżu ofiarowuje Ludwikowi XV swoje służby jako ekspert od barwników w zamian za rezydencję w zamku Chambord. Król wysyła go w misjach dyplomatycznych w Ho-



landii, gdzie Saint-Germain popada w tarapaty i znowu ucieka do Londynu. W 1762 roku widzimy go w Rosji, potem raz jeszcze w Belgii. Tam poznaje go Casanova, który opowiada, że hrabia zmienił monetę w złoto. W roku 1776 jest na dworze Fryderyka II, podsuwając mu rozmaite pomysły chemiczne. Osiem lat później umiera w Szlezwiku u landgrafa Hesji, u którego pracował nad uruchomieniem wytwórni barwników.

Nic nadzwyczajnego, typowy życiorys osiemnastowiecznego awanturnika, który miał mniej romansów niż Casanova i repertuar sztuczek mniej efektowny niż Cagliostro. W gruncie rzeczy, pominąwszy kilka incydentów, cieszy się zaufaniem możliwych tego świata, którym obiecuje cuda alchemii, lecz w ujęciu przemysłowym. Jedyny wyjątek to, że wokół niego, i przez niego podsycana, szerzy się pogłoska o jego nieśmiertelności. Z wielką dezynwolturą opowiada w salonach o dawnych wydarzeniach, jakby był ich naocznym świadkiem, i kultywuje swoją legendę z wdziękiem, w sposób jakby przytłumiony.

W książce przytoczono też fragment *Goga* Giovanniego Papini, który opisuje nocne spotkanie na pokładzie transatlantyku z hrabią de Saint-Germain, znużonym liczącą tysiące lat przeszłością, wspomnieniami tłoczącymi się w umyśle, naznaczonym jakąś desperacją przywodzącą na myśl Funesa, *el memorioso* Borgesa, tyle że tekst Papiniego pochodzi z 1930 roku. „Proszę sobie nie wyobrażać, że nasz los jest godny pozazdroszczenia – mówi hrabia do Goga. – Po kilku wiekach nieuleczalna nuda bierze we władanie nieśmiertelnych nieszczęśników. Świat jest monotony, ludzie niczego nie potrafią się nauczyć i każda kolejna genera-

cja popełnia te same błędy i okropności, wydarzenia nie powtarzają się, ale są do siebie podobne... nie ma już nowości, zaskoczenia, olśnienia. Mogę to wyznać panu teraz, kiedy słucha nas tylko Morze Czerwone: jestem znużony nieśmiertelnością. Świat nie ma dla mnie tajemnic i przestałem żywić jakiegokolwiek złudzenia co do moich bliźnich”.

- Osobliwa postać - skomentowałem. - To jasne, że nasz Agliè chce się w niego wcielić. Dojrzały dżentelmen, odrobinę mdły, z dobrze wypchanym portfelem, mnóstwo wolnego czasu, co pozwala spędzać życie na podróżach, miłośnik zjawisk nadnaturalnych.

- Konsekwentny reakcjonista, mający dosyć odwagi, by być dekadentem. W gruncie rzeczy wolę go od mieszczańskich demokratów - oświadczyła Amparo.

- *Women power, women power*, a nagle wpadasz w ekstazę, bo pocałowano cię w rękę.

- Tak nas wychowywaliście przez wieki. Pozwólcie, że będziemy się wyzwalać stopniowo. Wcale nie powiedziałam, że chcę za niego wyjść.

- Tym lepiej.

W następnym tygodniu zatelefonował Agliè. Dziś wieczorem zostaniemy wpuszczeni na *terreiro de candomblé*. Nie weźmiemy udziału w obrzędzie, gdyż Ialorixá nie ufa turystom, ale ona sama przyjmie nas przed ceremonią i pokaże scenerię.

Przyjechał po nas samochodem i pojechaliśmy przez *favelas* na drugą stronę wzgórza. Budynek, przed którym się zatrzymaliśmy, nie rzucał się w oczy, wyglądał jak zwykły blok mieszkalny, ale na progu powitał nas stary Murzyn z ka-

dzidłem w rękę, żeby dokonać oczyszczenia. Dalej, w marnym ogródku, zobaczyliśmy coś w rodzaju ogromnego *corbeille* z wielkich liści palmowych, na którym leżało trochę plemiennych smakołyków, *comidas de santo*.

Wewnątrz znaleźliśmy się w wielkiej sali o ścianach pokrytych obrazami, czymś w rodzaju *ex voto*, afrykańskimi maskami. Agliè wytłumaczył nam rozstawienie sprzętów: w głębi ławy dla niewtajemniczonych, bliżej łoża dla muzyków i krzesła dla *Ogã*.

- To osoby dobrze widziane, niekoniecznie wierzące, ale respektujące obrządki. Tutaj, w Bahii, wielki Jorge Amado jest *Ogã* w jednym z *terreiros*. Został wybrany przez Iansã, panią wojny i wichrów.

- Skąd pochodzą te bóstwa?

- To złożona historia. Przede wszystkim jest gałąź sukańska, która od samego początku niewolnictwa zapanowała na północy, i z tego pnia wywodzi się *candomblé orixás* i *candomblé* afrykańskich bóstw. W stanach południowych odcisnęły swe piętno plemiona Bantu i tam wtajemniczają mieszkańców taśmowo. Kultury z północy dochowują wierności pierwotnym religiom afrykańskim, ale na południu dawna makumba ewoluuje w stronę *umbanda*, na którą wpłynął katolicyzm, kardecyzm i europejski okultyzm...

- Więc dzisiaj nie będziemy mieli do czynienia z templariuszami?

- Templariusze byli tylko metaforą. W każdym razie dzisiaj ich nie będzie. Ale mechanika synkretyzmu jest bardzo subtelna. Czy zauważył pan na zewnątrz, koło *comidas de santo*, żelazną statuetkę, jakby diabełka z widłami, u którego stóp złożono parę ofiar wotywnych? To Exu, niezwykle

potężny w *umbanda*, ale w *candomblé* – nie. A przecież także *candomblé* czci go, uważa za ducha-posłańca, jakby Merkurę, który uległ zwyrodnieniu. W *umbanda* jest się w mocy Exu, tutaj nie. Jednak traktuje się go przychylnie, bo nigdy nie wiadomo. Proszę zobaczyć tu na ścianach... – wskazał polichromową figurę nagiego Indianina i drugą, starego, ubranego na biało Murzyna niewolnika, który siedzi i pali fajkę. – To *caboclo* i *preto velho*, duchy zmarłych, które odgrywają wielką rolę w rytuałach *umbanda*. Co robią tutaj? Przyjmują hołdy, nie odrzuca się ich, ale nie są wykorzystywani, gdyż *candomblé* ustanawia więzy tylko z afrykańskimi *orixás*.

– Co łączy te wszystkie wyznania?

– Wszystkie kulty afrobrazylijskie charakteryzują się tym, że w trakcie obrzędu wtajemniczeni znajdują się we władzy istoty wyższej, są jakby w transie. W *candomblé* tymi wyższymi istotami są *orixás*, w *umbanda* duchy zmarłych...

– Zapomniałam mojego kraju i mojej rasy – rzekła Amparo. – Mój Boże, wystarczyła odrobina Europy, szczypta materializmu historycznego, by wszystko gdzieś przepadło, a przecież opowiadała mi o tym babcia...

– Szczypta materializmu historycznego? – Agliè się uśmiechnął. – Zdaje się, że gdzieś o tym słyszałem. Apokaliptyczny kult wywodzący się bodajże z Trewiru, czy tak?

Ścisnąłem Amparo za ramię.

– *No pasarán*, kochanie.

– Chryste – szepnęła.

Agliè śledził nasz krótki, prowadzony półgłosem dialog, nie wtrącając się.

– Siły synkretyzmu są nieskończone, miła pani. Jeśli pani sobie życzy, przedstawię polityczną wersję tej historii. Dzie-

więtnastowieczne prawa przywróciły wolność niewolnikom, ale w trakcie próby unicestwienia stygmatów niewolnictwa spalono wszystkie archiwa dotyczące handlu niewolnikami. Niewolnicy stali się formalnie wolni, ale pozbawiono ich przeszłości. Skoro zabrakło im tożsamości plemiennej, podjęli próbę odbudowania tożsamości zbiorowej. Wrócili do korzeni. Był to ich sposób stawiania oporu siłom panującym, jak powiadacie wy, młodzi.

- Ale przed chwilą słyszałam, że włączyły się w to sekty europejskie... - powiedziała Amparo.

- Moja droga, czystość jest luksusem, a niewolnicy biorą to, co mają pod ręką. Lecz mszczą się. Dzisiaj mają w swojej mocy więcej białych, niż pani sądzi. Pierwotne kultury afrykańskie odznaczały się słabością wspólną wszystkim religiom, były lokalne, etniczne, krótkowzroczne. W zetknięciu z mitami zdobywców odtworzyły starodawny cud: przywróciły życie misteriom z drugiego i trzeciego wieku naszej ery, rozpowszechnionym wokół Morza Śródziemnego, między Rzymem, który stopniowo się rozpadał, i fermentami z Persji, Egiptu, z przedjudaistycznej Palestyny... W czasach późnego cesarstwa Afryka wchłonęła wpływy całej religijności śródziemnomorskiej i stała się ich schronieniem, miejscem kondensacji. Europę znieprawilo chrześcijaństwo racji stanu, Afryka zaś przechowała skarby mądrości, tak samo jak przechowała je i rozpowszechniła w czasach Egiptu, przekazując Grekom, którzy jednak doprowadzili do ich unicestwienia.

Istnieje substancja, która otula świat w jego całości i pokazuje ci go w formie kolistej, gdyż taka jest forma Wszystkiego... Przedstaw sobie teraz, że pod kręgiem tej substancji przebywa trzydziestu sześciu dziekanów, a to w środku między kręgiem całkowitym a kręgiem zodiaku, oddzielając tym sposobem od siebie te dwa kręgi i wytyczając, by tak rzec, granicę zodiaku, i że owi dziekani przesuwają się po zodiaku wraz z planetami... Zmiany królów, powstawanie miast, klęski głodu, zaraza, przepływy mórz, trzęsienia ziemi – nic nie dzieje się bez wpływu dziekanów...

*Corpus Hermeticum, Stobaeus, excerptum VI*

- Ale jakiej mądrości?

- Czy zdaje pan sobie sprawę, jak wielka była epoka między drugim a trzecim wiekiem po Chrystusie? Nie ze względu na przepych imperium chylącego się już do upadku, ale ze względu na to, co rozkwitało w basenie śródziemnomorskim. W Rzymie pretorianie podrzynali gardła swoim cesarzom, a tam trwała w pełnym rozkwicie epoka Apulejusza, misteriów Izydy, tego wielkiego nawrotu uduchowienia, jakim był neoplatonizm, gnoza... Błogosławione czasy, kiedy chrześcijanie nie wzięli jeszcze władzy w swoje ręce i nie posłali na śmierć heretyków. Wspaniałe czasy obecności No-us, rozświetlone ekstazą, zaludnione obecnościami, emanacjami, demonami i zastępami anielskimi. To mądrość powszechna, nieznaną, stara jak świat, sięgająca do okresu przed Pitagorasem, do indyjskich braminów, do Żydów, do magów, do gimnosofistów i nawet do barbarzyńców z Dalekiej Północy, do druidów z Galii i Wysp Brytyjskich. Grecy uważali, że barbarzyńcy są barbarzyńcami, gdyż nie umieją się wysłowić, jako że posługują się językami, które w wykształconych helleńskich uszach brzmią jak szczekanie. Ale było wprost przeciwnie, w tej właśnie epoce doszło do tego,

że barbarzyńcy wiedzieli znacznie więcej od Greków, i to z tej dokładnie przyczyny, iż mówili językami nie do przeniknięcia. Sądzi pan, że ci, którzy będą tańczyć dzisiejszego wieczoru, pojmują sens wszystkich pieśni i magicznych imion, jakich użyją? Na szczęście nie, gdyż nieznanie imię będzie działało jak ćwiczenie na oddech, jak mistyczna wokaliza. Epoka Antoninów... Świat był nasycony cudowną harmonią, subtelnymi podobieństwami, należało w nie przeniknąć i dopuścić, by przeniknęły człowieka - poprzez sen, wyrocznię, magię, która pozwala oddziaływać na naturę i użyć jej siły do poruszania podobnego podobnym. Mądrość jest nieuchwytna, ulotna, wymyka się wszelkim miarom. Oto czemu w tamtej epoce zwycięskim bogiem był Hermes, wynalazca wszelkich podstępów, władca rozstajnych dróg, bóg łotrzyków, ale twórca pisma, sztuki zwodzenia i zatargów, żeglowania, które pozwala dotrzeć do najodleglejszych horyzontów, gdzie wszystko zlewa się w jedno, dźwigni do miotania kamieni, broni zmieniającej życie w śmierć, pompy wodnej, która unosi ciężką materię, filozofii, która łudzi i oszukuje... I wie pan, gdzie jest dzisiaj Hermes? Tutaj, widział go pan przy drzwiach, nazywają go Exu, tego posłańca bogów, pośrednika, kupca, niezważającego na różnicę między dobrem a złem.

Przyjrzał się nam wyzywająco.

- Uważacie pewnie, że zbyt pochopnie rozmieszczam na nowo bogów - niby Hermes swoje towary. Spójrzcie na tę broszurę, którą kupiłem rano w popularnej księgarni w Pelourinho. Czary i tajemnice świętego Cypriana, receptury pozwalające pozyskać miłość lub sprowadzić śmierć na wroga, inwokacje do aniołów i Dziewicy. Popularna literatura dla tych mistyków w kolorze czarnym. Ale chodzi tu o świętego

Cypriana z Antiochii, po którym została ogromna literatura z wieków srebrnych. Rodzice chcieli, żeby wykształcił się we wszystkich dziedzinach i żeby poznał wszystko, co istnieje na ziemi, w powietrzu, w wodach morskich, więc wysłali go do najodleglejszych krajów, by dowiedział się wszystkich tajemnic, zrozumiał, jak rodzą się i gniją zioła, jakie są przymioty zwierząt i roślin, nie te, które wymieniają nauki przyrodnicze, lecz te, o których mówią nauki tajemne, pogrzebane w otchłaniach archaicznych i odległych tradycji. I Cyprian złożył w Delfach śluby Apollinowi i poetyce węża, poznał misteria Mitry, w wieku piętnastu lat pod przewodnictwem piętnastu hierofantów uczestniczył na Olimpie w rytuale przywoływania Księcia Tego Świata, by nadzorować jego knowania, w Argos został wtajemniczony w misteria Era, we Frygii nauczył się wieszczenia, hepatoskopii, i nie było już nic na ziemi, w morzu i w powietrzu, czego by nie znał, ani zjawy, ani przedmiotu wiedzy, ani wybiegu, ani nawet sztuki odmieniania czarami dokumentów. W podziemnych świątyniach Memfis dowiedział się, jak demony porozumiewają się z tym światem, jakie miejsca budzą ich obrzydzenie, jakie przedmioty kochają, jakie zamieszkują mroki, jakie opory stawiają w pewnych obszarach i skąd umieją opętać ciało i duszę, jakie korzyści mają z wyższej wiedzy, poznał pamięć, przerażenie, złudzenie, sztukę wywoływania trzęsienia ziemi i wpływania na podziemne prądy... Potem niestety się nawrócił, ale okruchy jego wiedzy przetrwały, przekazywano je sobie i oto teraz odnajdujemy je tutaj, na ustach i w umysłach tych obdartusów, których wy nazwiecie bałwochwalcami. Droga przyjaciółko, przed chwilą patrzyła pani na mnie, jakbym był kimś *ci devant*. Kto żyje przeszłością?



Pani, która chciałaby podarować temu krajowi okropności wieku robotniczego i przemysłowego, czy ja, który chciałbym, aby nasza biedna Europa odzyskała naturalność i wiarę tych synów niewolników?

- Chryste - syknęła rozeźlona Amparo - wie pan doskonale, że jest to tylko sposób, żeby siedzieli cicho...

- Nie żeby siedzieli cicho, lecz by nadal potrafili podsycać oczekiwanie. Bez poczucia oczekiwania nie ma nawet raju, czyż nie tego nauczaliście wy, Europejczycy?

- Bierze mnie pan za Europejkę?

- Nie liczy się kolor skóry, liczy się wiara w tradycję. Aby przywrócić poczucie oczekiwania Zachodowi, sparaliżowanemu przez dobrobyt, ci poganie być może cierpią, ale znają jeszcze język duchów natury, powietrza, wód, wiatrów...

- Znowu chce nas pan wyzyskiwać?

- Znowu?

- Tak, i powinien się był pan tego nauczyć w dziewiętnastym wieku, hrabio. Kiedy mamy już wszystkiego dosyć, ciach! - I uśmiechając się jak anioł, przesunęła wyprostowaną piękną dłoń po gardle. Pożądałem nawet jej zębów.

- To wstrząsające - powiedział Agliè, wydobywając z kieszeni swoją tabakierkę i otaczając ją splecionymi dłońmi. - A więc rozpoznała mnie pani? Ale w dziewiętnastym wieku głowy spadały nie za sprawą niewolników, ale tych poczciwych mieszczuchów, których powinna pani nienawidzić. A zresztą hrabia de Saint-Germain widział w ciągu wieków tyleż głów spadających, co wracających na karki. Ale oto nadchodzi *mãe-de-santo*, Ialorixá.

Spotkanie z przełożoną *terreiro* odbyło się spokojnie, serdecznie, na ludowo i w sposób świątły. Była to wielka Mu-

rzynka o olśniewającym uśmiechu. Na pierwszy rzut oka można by wziąć ją za gospodynię wiejską, ale kiedy zaczęliśmy rozmawiać, zrozumiałem, dlaczego tego rodzaju kobiety zdominowały życie obrzędowe Salwadoru.

- Czy *orixás* to osoby, czy siły? - spytałem.

*Mãe-de-santo* odparła, że to z pewnością siły, woda, wiatr, liście, tęcza. Ale jak zabronić ludziom prostym widzieć w nich wojowników, kobiety, świętych z kościołów katolickich? Czyż wy także - powiedziała - nie czcicie siły kosmicznej w osobach dochowujących czystości? Ważne jest, aby adorować siłę, wygląd ma być dostosowany do możliwości umysłowych człowieka.

Potem poprosiła, byśmy wyszli do ogrodu na tyłach i przed rozpoczęciem obrzędu zwiedzili kaplice. W ogrodzie były domy *orixás*. Gromada murzyńskich dzieci w miejscowych strojach krzątała się wesoło przy ostatnich przygotowaniach.

Domy *orixás* rozmieszczono w ogrodzie jak kaplice na jakiejś Świętej Górze, przy czym każdy miał na zewnątrz wizerunek odpowiedniego świętego. W środku porażały wzrok jaskrawe kolory kwiatów, posążków, świeżo sporządzonych pokarmów złożonych w ofierze bogom. Biel dla Oxalá, błękit i czerwień dla Yemanjá, róż i biel dla Xangõ, złoto i żółć dla Oguna... Wtajemniczeni klękali, całowali próg i dotykali swego czoła i miejsca za uchem.

- Czy zatem - zapytałem - Yemanjá nie jest Matką Boską Niepokalanego Poczęcia? A Xangõ świętym Hieronimem?

- Proszę nie zadawać kłopotliwych pytań - doradził mi Agliè. - W *umbanda* jest to jeszcze bardziej skomplikowane. Do linii Oxalá należą święty Antoni oraz święci Kosma i Da-

mian. Do linii Yemanjá należą syreny, ondyny, *caboclas* morskie i rzeczne, marynarze i gwiazdy przewodnie. Do linii wschodu należą Hindusi, lekarze, ludzie nauki, Arabowie i Marokańczycy, Japończycy, Chińczycy, Mongołowie, Egipcjanie, Aztekowie, Inkowie, Karaibowie i Rzymianie. Do linii Oxossi należy słońce, księżyc, *caboclo* wodospadów i *caboclo* czarnych. Do linii Ogun należą Ogun Beira-Mar, Rompe-Mato, Iara, Megé, Narueé... W sumie to zależy.

- Chryste - powiedziała znowu Amparo.

- Mówi się Oxalá - szepnąłem, muskając wargami jej ucho. - Spokojnie, *no pasarán*.

Ialorixá pokazała nam całą serię masek, jakie niektórzy wyznawcy noszą w świątyni. Były to wielkie maski ze słomy albo kaptury, w które zapewne przebierały się media, w miarę jak wpadały w trans, jak bóstwa brały je we władanie. To forma wstydlivosti - wyjaśniła. W niektórych *terreiros* wybrańcy tańczą z odsłoniętymi twarzami, okazując obecnym całą swą namiętność. Ale wtajemniczony jest chroniony, otoczony szacunkiem, osłonięty przed ciekawością profanów i wszystkich, którzy nie są w stanie pojąć wewnętrznej radości i łaski. To zwyczaj tego *terreiro* - powiedziała - i dlatego niechętnie wpuszcza się obcych. Może kiedyś, kto wie - dodała. Pozostało nam tylko powiedzieć do widzenia.

Nie chciała nas jednak wypuścić, dopóki nie dała nam spróbować - nie z *corbeilles*, które muszą pozostać nienaruszone aż do końca obrzędu, ale ze swojej kuchni - odrobiny *comidas de santo*. Wyniosła nam jedzenie na tyły *terreiro* i była to istna wielobarwna uczta, na którą złożyły się maniok, papryka, kokosy, migdały, imbir, *moqueca z siri mole*,

*vatapá, efó, caruru*, czarna fasola z *farofa*, a wszystko z dodatkiem delikatnego zapachu afrykańskich korzeni, słodkawych i pikantnych przypraw tropikalnych, uczta, którą spożywaliśmy ze skruchą, wiedząc, że uczestniczymy w posiłku starożytnych Sudańczyków. Ściśle mówiąc - oznajmiła Ialorixá - każdy z nas, nie zdając sobie z tego sprawy, jest dzieckiem któregoś *orixá* i często można powiedzieć którego. Zapytałem zuchwale, czyim jestem synem. Ialorixá najprzód odmawiała, mówiąc, że nie można ustalić tego na pewno, potem jednak zgodziła się obejrzeć moją dłoń, przesunęła po niej palcem, zajrzała mi w oczy i powiedziała:

- Jesteś synem Oxalá.

Poczułem dumę. Amparo, rozluźniona teraz, zaproponowała, byśmy zbadali, czyim synem jest Agliè, ale on oznajmił, że woli tego nie wiedzieć.

Po powrocie do domu Amparo powiedziała:

- Czy widziałeś jego dłoń? Zamiast linii życia ma całe mnóstwo linii przerywanych jak strumyk, który napotyka głaz i wypływa metr dalej. To linia życia człowieka, który wiele razy był martwy.

- Mistrz świata metempsychozy na czas.

- *No pasarán*. - Amparo się roześmiała.

Z prostego faktu, że zmieniają i skrywają swe imię, że kłamią co do swego wieku i że, jak sami przyznają, nie są rozpoznawani, nie wynika w sposób nieodparty, iżbym mógł negować jawną prawdę ich istnienia.

Heinrich Neuhaus, *Pia et ultimissima admonestatio de Fratibus Roseae-Crucis, nimirum: an sint? quales sint? unde nomen illud sibi asciverint*, Schmidlin, Danzig 1618, wyd. franc. 1623, s. 5

Diotallewi mówił, że Chesed to sefira łaski i miłosierdzia, biały ogień, wiatr z południa. Tamtego wieczoru w peryskopie myślałem o tym, że ostatnie dni przeżyte w Bahii z Amparo były pod tym właśnie znakiem.

Pamiętam – ileż rzeczy sobie człowiek przypomina, oczekując godzinami w ciemności – jeden z ostatnich wieczorów. Nogi nas bolały, bo bardzo dużo chodziliśmy po zaułkach i targowiskach, i zaraz poszliśmy do łóżka, bynajmniej nie zamierzając spać. Amparo zwinęła się wokół poduszki w pozycji embrionalnej i udawała, że przez lekko rozchylone kolana czyta jedną z moich broszur na temat *umbanda*. Co jakiś czas przeciągała się leniwie, gibka, z nogami rozchylonymi, książką na brzuchu, i słuchała mnie, kiedy starałem się wciągnąć ją w rozmowę o tym, co wyczytałem właśnie w książce o różokrzyżowcach. Wieczór był przyjemny, ale, jak by to napisał znużony literaturą Belbo w swoich plikach, nie czuło się najłżejszego tchnienia wiatru. Pozwoliliśmy sobie na dobry hotel, przez okno widać było morze, a dodatkowo otuchy dodawał mi koszyk tropikalnych owoców, które kupiliśmy tego ranka na targu i postawiliśmy we wnęce kuchennej, gdzie nadal było widno.

- Pisze, że w tysiąc sześćset czternastym roku ukazał się

w Niemczech anonimowy tekst *Allgemeine und general Reformation*, czyli *Powszechna i pospolita reforma całego uniwersum*, a nadto *Fama Fraternitatis Czcigodnej Konfraterni Różanego Krzyża skierowana do wszystkich mędrców i władców Europy*, wraz z krótką odpowiedzią pana Haselmayera, który z tej przyczyny został wtrącony do więzienia jezuitów i przykuty do galery. Podana do druku i do wiadomości wszystkich szczerych serc. Wydana w Kassel przez Wilhelma Wessla.

- Czy nie wydaje ci się, że ten tytuł jest trochę przydługi?

- Przypuszczam, że w siedemnastym wieku wszystkie tytuły były właśnie takie. Musiała je pisać Lina Wertmüller. To dziełko satyryczne, bajka o powszechnej reformie ludzkości, co więcej, przepisana częściowo z *Ragguagli di Parnaso* Trianiana Boccalini. Zawiera broszurę, paszkwil i manifest na dwanaście stroniczek, *Fama Fraternitatis*, wznowiony rok później wespół z innym manifestem, tym razem po łacinie, *Confessio fraternitatis Roseae Crucis, ad eruditos Europae*. W obu konfraternia różokrzyżowców przedstawia się i przemawia ustami swojego założyciela, tajemniczego C.R. Dopiero później na podstawie innych źródeł wywnioskowano, że chodzi o niejakiego Christiana Rosencreutza.

- Dlaczego nie podano pełnego nazwiska?

- Wszędzie szasta się na prawo i lewo inicjałami, nikogo nie wymienia się pełnym nazwiskiem, wszyscy nazywają się G.G.M.P.I., a kto ma czuły przydomek, nazywa się P.D. Opisuje się tu pierwsze lata kształtowania się osobowości C.R., który najpierw odwiedza Święty Grób, potem płynie do Damaszku, potem wstępuje do Egiptu, a stamtąd do Fezu, w owych czasach jednego z sanktuariów mądrości mu-

zułmańskiej. Tam nasz Christian uczy się języków orientalnych, fizyki, matematyki, poznaje nauki przyrodnicze i gromadzi w swoim umyśle całą tysiącletnią mądrość Arabów i Afrykanów, nie wyłączając Kabały i magii, tłumaczy nawet na łacinę tajemniczą *Liber M* i poznaje tym samym wszystkie sekrety makro- i mikrokosmosu. Już od dwóch wieków modne było wszystko co orientalne, zwłaszcza jeśli nie rozumiało się tego ni w ząb.

- Ciągłe się to powtarza. Jesteście głodni, zawiedzeni, wyciskiwani? Żądajcie pucharu tajemnicy! Masz... - Zwinęła mi skręta. - Dobry.

- Widzę, że ty też chcesz zapomnieć.

- Ale ja wiem, że chodzi o chemię, i tyle. Nie ma w tym żadnej tajemnicy, rozluźniają się nawet tacy, co nie znają hebrajskiego. Chodź.

- Zaraz. Następnie Rosencreutz udaje się do Hiszpanii, także tam faszeruje się zachłannie wiedzą tajemną i oznajmia, że coraz bardziej zbliża się do Centrum wszelkiej mądrości. A w toku tych podróży, które dla współczesnego intelektualisty naprawdę oznaczały wyprawę po totalną mądrość, dochodzi do wniosku, że należy założyć w Europie stowarzyszenie zdolne poprowadzić rządzących drogą wiedzy i dobra.

- Co za oryginalny pomysł! Warto było przysiąc fałdów. Poproszę o schłodzoną mamaję.

- Jest w lodówce. Bądź miła, przynieś sobie sama, widzisz, że pracuję.

- Skoro pracujesz, jesteś mrówką, a skoro jesteś mrówką, postępuj jak mrówka i idę po prowiant.

- Mamaja to rozkosz, idzie więc po nią konik polny. Albo

idę ja, a ty czytasz.

- O Chryste, nie! Nienawidzę kultury białego człowieka. Idę.

Poszła w stronę wnęki, a ja przyglądałem się jej pożądlivie pod światło. W tym czasie C.R. wrócił do Niemiec i zamiast przystąpić do transmutacji metali, na co pozwoliłaby mu już jego rozległa wiedza, postanowił poświęcić się reformie duchowej. Założył konfraternię, wymyślił tajemny język i pismo, które posłużą przyszłym braciom za fundament mądrości.

- Nie, pobrudzę książkę, włóż mi ją do ust, no nie... nie wygłupiaj się... o tak. O Boże, jaka dobra mamaja, *rosencreutzliche Mutti-ja-ja...* Czy wiesz jednak, że to, co różokrzyżowcy napisali w ciągu pierwszych lat, mogłoby oświecić świat spragniony prawdy?

- Co takiego napisali?

- Z tym cały kłopot. Manifest o tym nie mówi, pozwala, żeby ciekła ci ślinka. Chodzi o coś ważnego, ale tak ważnego, że musiało pozostać zatajone.

- Co za świństwo!

- Nie, no nie, ojej, przestań! Ponieważ różokrzyżowcy pomnożyli swoje szeregi, postanowili wyruszyć w cztery strony świata, by leczyć za darmo chorych, nie nosić szat, po których można by ich rozpoznać, przyjmować wszędzie barwy ochronne, to znaczy przestrzegać miejscowych obyczajów, spotykać się raz do roku i pozostawać w ukryciu przez sto lat.

- Ale jaką reformę chcieli przeprowadzać, skoro jedna już była, i to świeżej daty? Luter to co, gówno?

- Ależ działało się to przed reformą protestancką. Tutaj na-



pisano, że z uważnej lektury *Fama* i *Confessio* płynie wniosek...

- Komu niby płynie?

- Kiedy płynie wniosek, to płynie sobie, i już. Nieważne komu. Ważny jest rozum, zdrowy rozsądek... Rozmawiamy wszak o różanym krzyżu, sprawie najwyższej wagi...

- Gadanie.

- Płynie więc wniosek, że Rosencreutz urodził się w roku tysiąc trzysta siedemdziesiątym ósmym, a umarł w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym, w pięknym wieku stu sześciu lat, i nietrudno się domyślić, że tajna konfraternia niemało przyczyniła się do tej reformy, która w tysiąc sześćset piętnastym roku świętowała swoje stulecie. Jest również prawdą, że w herbie Lutra mamy krzyż i różę.

- Bujasz.

- Wolałabyś, żeby Luter umieścił sobie w herbie płonącą żyrafę albo rozpłynięty zegar? Każdy jest dziecięciem swoich czasów. Zrozumiałem, czym synem jestem, milcz i daj mi kontynuować. Koło roku tysiąc sześćset czwartego różokrzyżowcy odnawiają część swojego tajemnego pałacu czy też zamku, znajdują marmurową płytę z wbitym w nią wielkim gwoździem. Wyrywają gwóźdź, odpada fragment ściany, ukazują się drzwi, na których napisano wielkimi literami POST CXX ANNOS PATEBO...

Wiedziałem już o tym z listu Belba, ale nie mogłem powstrzymać okrzyku.

- O Boże!

- Co się stało?

- To mi przypomina pewien dokument templariuszy, który... Nigdy nie opowiadałem ci tej historii o pułkowniku...

- No i co z tego? Templariusze przepisali od różokrzyżowców.

- Przecież templariusze byli wcześniej.

- No to różokrzyżowcy przepisali od templariuszy.

- Kochanie, gdyby nie ty, dreptałbym w miejscu.

- Kochanie, ten Agliè cię zniszczył. Czekasz na objawienie.

- Ja? Nie czekam na nic.

- Tym lepiej, ale strzeż się opium dla ludu.

- *El pueblo unido jamás será vencido.*

- Śmieję się, śmieję. No dalej, czytaj, co mają do powiedzenia ci głupcy.

- Ci głupcy nauczyli się wszystkiego w Afryce, nie słyszałaś?

- Ci z Afryki zaczęli już nas pakować i wysyłać tutaj.

- Chwała Bogu. Mogłaś urodzić się w Pretorii. - Po całowałem ją i ciągnąłem: - Za drzwiami odkryto grobowiec o siedmiu bokach i siedmiu kątach, cudownie oświetlony sztucznym słońcem. Pośrodku ogromny ołtarz ozdobiony różnymi dewizami i emblematami w rodzaju NEQUAQUAM VACUUM...

- Nie kwak kwak? Podpisano: Kaczor Donald.

- To po łacinie, kapujesz? Oznacza: pustka nie istnieje.

- Tym lepiej, chyba zdajesz sobie sprawę, jakie to by było okropne.

- Włączyłaś wentylator, *animula vagula blandula?*

- Przecież jest zima.

- Dla was, na tej niewłaściwej półkuli, kochanie. Mamy li piec, bądź miła i grzeczna, włącz wentylator, i nie dlatego, że jestem samcem, ale dlatego, że masz bliżej. Dziękuję. W su-

mie pod ołtarzem znaleziono nienaruszone ciało założyciela. Trzymał w dłoni *Liber I*, wypełnioną nieskończoną mądrością, szkoda, że świat nie może jej poznać, powiada manifest, w przeciwnym razie gulp, au, brrrr, pfiuu!

- Ojej!

- A nie mówiłem? Manifest kończy się obietnicą ogromnego skarbu, który nie został dotychczas odkryty, i zadziwiającymi rewelacjami na temat relacji między mikrokosmosem a makrokosmosem. Nie łudź się, że jesteśmy tandetnymi alchemikami i uczymy robić złoto. To zabawa dla majsterkowiczów, my zaś chcemy czegoś lepszego i mierzymy wyżej w każdym sensie. Rozpowszechniamy tę oto *Fama* w pięciu językach, nie mówiąc o *Confessio*, już wkrótce na naszych ekranach. Czekamy na odpowiedzi i oceny uczonych mężów oraz pospólstwa. Piszcie do nas, telefonujcie, podawajcie nazwiska, zobaczymy, czy jesteście godni dopuszczenia do naszych tajemnic, których podaliśmy tutaj ledwie blade szkice. *Sub umbra alarum tuarum Iehova.*

- Co to znaczy?

- Słowa pożegnalne. Przechodzę i zamykam. W sumie chyba różokrzyżowcom nie przyszło do głowy, by rozgłosić to, czego się nauczyli, i czekali na właściwego rozmówcę. Ani słowa o tym, co sami wiedzieli.

- Jak ten facet ze swoją fotografią... to ogłoszenie w gazecie, które widzieliśmy, lecąc samolotem. Jeśli dacie mi dziesięć dolarów, wyjawię wam tajemnicę, jak zostać milionerem.

- Ale ten nie kłamie, odkrył przecież tajemnicę. Jak ja.

- Daj spokój, lepiej już czytaj dalej. Robisz wrażenie, jakbyś widział mnie dzisiaj po raz pierwszy.

- Zawsze jest jak za pierwszym razem.

- Źle. Nie mam zaufania do pierwszego razu, jaki się nawinie. Ale możliwe, że właśnie ty trafiasz na wszystkie pierwsze razy. Najpierw templariusze, potem różokrzyżowcy, ale czy czytałeś, powiedzmy, Plechanowa?

- Nie, czekam, aż odkryją jego grobowiec za sto dwadzieścia lat. Jeśli Stalin nie kazał zasypać go spychaczem.

- Co za dureń. Idę do wanny.

A teraz sławetne bractwo różokrzyżowców obwieszcza, że po całym świecie rozprzestrzenili się prorokujący szaleńcy. W istocie ledwie pojawiła się ta zhora (aczkolwiek *Fama* i *Confessio* dowodzą, że chodzi o zwykłą igraszkę próżniaczych umysłów), od razu obudziła nadzieję na powszechną reformę i spłodziła rzeczy po części śmieszne i niedorzeczne, a po części niegodne wiary. I w ten sposób prawi i rzetelni ludzie z różnych krajów dali posłuch drwinie i krotchwili, by jawnie dać im poparcie albo by pokazać się przed tymi braćmi... przez Zwierciadło Salomona albo w inny tajemny sposób.

Christoph von Besold [?], aneks do: Tommaso Campanella,  
*Von der Spanischen Monarchy*, 1623

Potem było najlepsze i kiedy Amparo wróciła, mogłem już zdać jej sprawę z rzeczy doprawdy zadziwiających.

- Nie do wiary. Manifesty pojawiają się w czasach urodzaju na tego typu literaturę, wszyscy rozglądają się za odnową, złotym wiekiem, krainą obfitości dla ducha. Ten wertuje teksty magiczne, ten nie daje spokoju piecom do transmutacji metali, tamten chce zawładnąć gwiazdami, jeszcze inny moli się nad tajnymi alfabetami i uniwersalnymi językami. Rudolf II zmienia dwór praski w laboratorium alchemiczne, zaprasza Komeńskiego i Johna Dee, nadwornego astrologa królestwa Anglii, który wszystkie tajemnice kosmosu wyjawiał na kilku stroniczkach *Monas Ieroglyphica*, przysięgam, że taki jest tytuł, a *monas* oznacza monadę.

- A nie mówiłam?

- Lekarzem Rudolfa II jest Michael Maier, który pisze księgę symboli wzrokowych i muzycznych, *Atalanta Fugiens*, istny festyn filozoficznych jaj, smoków zjadających własny ogon, sfinksów, nic nie jaśnieje jak tajemna cyfra, wszystko jest hieroglifem czegoś innego. Tylko pomyśl. Galileusz rzuca

kamienie z wieży w Pizie, Richelieu gra z połową Europy w monopoli, a tutaj wszyscy wybałuszają oczy, by odczytać sygnaturę świata. Ale weź też pod uwagę, moja piękna pani, że oprócz swobodnego spadania ciał tkwi pod spodem (albo właśnie na górze) coś więcej. I wyjawię ci to: abrakadabra. Torricelli pracował nad barometrem, oni zaś urządzali balety, pokazy wodotrysków i sztucznych ogni w Hortus Palatinus w Heidelbergu. I zbliżała się wojna trzydziestoletnia.

- Co za radość dla Matki Courage!

- Jednak nawet oni nie zawsze się bawili. Elektor Palatynatu przyjmuje w tysiąc sześćset dziewiętnastym roku koronę Czech, a bierze ją chyba dlatego, że wprost umiera z pragnienia, by panować w Pradze, mieście magicznym, ale rok później Habsburgowie i tak dopadają go pod Białą Górą, w Pradze dochodzi do rzezi protestantów, Komeńskiemu palą dom i bibliotekę, zabijają żonę i syna, on sam ucieka z dworu na dwór i głosi, jak wielka i brzemienna w nadzieję jest idea różokrzyżowców.

- Biedaczysko, chciałbyś, aby pocieszył się barometrem? Ale wybacz, wiesz, że my, kobiety, nie jesteśmy jak mężczyźni i nie potrafimy zrozumieć wszystkiego od razu. Kto napisał manifesty?

- To właśnie jest najlepsze. Nie wiadomo. Daj mi zrozumieć, podrap mnie po różokrzyżu... nie między łopatkami, wyżej, bardziej w lewo, o tu. W tym niemieckim środowisku można spotkać postacie zupełnie nieprawdopodobne. Taki Simon Studion, który pisze pracę pod tytułem *Naometria*, okultystyczny traktat o wymiarach Świątyni Salomona, Heinrich Khunrath, który pisze *Amphitheatrum sapientiae aeternae*, rzecz pełną alegorii, z alfabetem hebrajskim i kabali-

stycznymi kawernami, z których musieli czerpać natchnienie autorzy *Fama*. Są zapewne zaprzyjaźnieni z jednym z dzieściu tysięcy konwentykli utopistów chrześcijańskiego odrodzenia. Obiegowa pogłoska mówi, że autorem był niejaki Johann Valentin Andreae, który rok później opublikuje *Chemiczne wesele Christiana Rosencreutz*, ale tamto napisał w młodości, kiedy chodziła mu po głowie od jakiegoś czasu idea różokrzyżowców. Lecz w jego otoczeniu w Tybindze nie brakuje innych zapaleńców, marzą o republice Christianopolis, być może jakoś się skrzyknęli. Wygląda jednak na to, że zrobili to dla żartu, dla zabawy, pandemonium, jakie rozpętali, nie było w ich planach. Andreae spędza resztę życia na przysięganiu, że nie on napisał manifesty, że stanowiły *lusus, ludibrium*, żakowski figiel, kładzie na szalę swoją reputację akademicką, wpada we wściekłość, mówi, że różokrzyżowcy to oszuści, a może w ogóle nie istnieją. Nic z tego. Ledwie manifesty ujrzały światło dnia, ma się wrażenie, że wszyscy tylko na nie czekali. Uczeni z całej Europy piszą do różokrzyżowców, a ponieważ nie wiedzą, gdzie ich szukać, ogłaszają listy otwarte, broszury, książki. Maier nie zasypia gruszek w popiele i w tym samym jeszcze roku wydaje *Arcana arcanissima*, gdzie wprawdzie nie wymienia różokrzyżowców, ale wszyscy są przekonani, że ich właśnie ma na myśli i sam już nie wie, co pisze. Niektórzy kłamią, twierdząc, że czytali *Fama* w rękopisie. Uważam, że w owych czasach przygotowanie książki do druku było nie lada wyczynem, a jeszcze z rycinami, lecz Robert Fludd w tym samym tysiąc sześćset piętnastym roku (pisze w Anglii i drukuje w Lejdzie, dolicz więc wędrowni korekt) ogłasza *Apologia compendiaria Fraternitatem de Rosea Cruce suspicionis et*

*infamiis maculis aspersam, veritatem quasi Fluctibus abluens et abstergens*, by bronić różokrzyżowców i oczyścić ich z podejrzeń, z „plam”, którymi ich zbrukano, a to oznacza, że trwa już w najlepsze zaciekły spór, że argumenty krążą między Czechami, Niemcami, Anglią, Holandią, a wszystko z użyciem konnych kurierów i wędrownych mędrców.

- A różokrzyżowcy?

- Grobowa cisza. *Post centoventi annos patebo un cavolo*. Obserwują z niebytu swego pałacu. Sądzę, że właśnie ich milczenie ekscytowało umysły. Skoro nie odpowiadają, to znaczy, że naprawdę istnieją. W tysiąc sześćset siedemnastym roku Fludd pisze *Tractatus apologeticus integritatem societatis de Rosea Cruce defendens*, a w *De Naturae Secretis* w tysiąc sześćset osiemnastym oznajmia, że nadszedł moment, by odsłonić tajemnicę różokrzyżowców.

- I odsłonił.

- Można sobie wyobrazić. Komplikuje ją. Odkrywa bowiem, że jeśli od roku tysiąc sześćset osiemnastego odejmiemy sto osiemdziesiąt osiem lat zapowiedzianych przez różokrzyżowców, otrzyma się rok tysiąc czterysta trzydziesty, czyli datę utworzenia Zakonu Złotego Runa.

- Jaki to ma związek?

- Nie wiem, skąd wzięło się sto osiemdziesiąt osiem, jako że powinno być sto dwadzieścia, ale kiedy człowiek zabiera się do mistycznych dodawań i odejmowań, rachunek zawsze się zgadza. Jeśli chodzi o Złote Runo, mamy tu do czynienia z Argonautami, a dowiedziałem się z pewnego źródła, że coś ich łączy ze Świętym Graalem, a także, jeśli pozwolisz, z templariuszami. Ale to jeszcze nie koniec. Między rokiem tysiąc sześćset siedemnastym a tysiąc sześćset dziewiętnastym



Fludd, który opublikował więcej niż Barbara Cartland, oddaje do druku cztery następne księgi, a wśród nich *Utriusque cosmi historia*, coś w rodzaju krótkiego opisu wszechświata, ilustrowanego samymi różami i krzyżami. Maier zdobywa się na odwagę i wydaje swoje *Silentium post clamores*, gdzie utrzymuje, że konfraternia istnieje i jest powiązana nie tylko ze Złotym Runem, ale i z Zakonem Podwiązki. Jest on jednak postacią zbyt mało znaczącą, by go wysłuchano. Wyobraź sobie europejskich uczonych. Skoro nie chcą przyjąć nawet Maiera, chodzi o sprawę naprawdę ekskluzywną. I dlatego osobnicy mniejszego kalibru grają fałszywymi kartami, byleby ich dopuszczono. Wszyscy krzyczą, że różokrzyżowcy istnieją, wszyscy przyznają, że nie widzieli ich na oczy, wszyscy piszą tak, jakby chcieli wyznaczyć im spotkanie, uzyskać audiencję, nikt nie jest na tyle bezczelny, żeby powiedzieć: ja jestem różokrzyżowcem; nieliczni mówią, że nie istnieją, gdyż nie nawiązano z nimi kontaktu, inni, że istnieją właśnie po to, by nawiązano z nimi kontakt.

- A oni milczą.

- Jak ryby.

- Otwórz usta. Należy ci się mamaja.

- Delicje. Zaczyna się wojna trzydziestoletnia i Johann Valentin Andreae pisze *Turris Babel*, aby obiecać, że w ciągu roku Antychryst zostanie pokonany, a niejaki Ireneus Agnostus pisze *Tintinnabulum sophorum...*

- *Tintinnabulum!* Jakie to piękne!

- ...którego nie rozumiem ni w ząb, ale jest pewne, że Campanella, czy ktoś za niego, podejmuje rękawicę w *Monarchia Spagnola*, gdzie oznajmia, że cała sprawa różokrzyżowców jest tylko igraszką znieprawionych

umysłów... Potem koniec, między tysiąc sześćset dwudziestym pierwszym a tysiąc sześćset dwudziestym trzecim wszyscy dają sobie spokój.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Znudzi się. Jak Beatlesi. Ale tylko w Niemczech. Gdyż przypomina to toksyczną chmurę. Napływa nad Francję. Pewnego pięknego ranka tysiąc sześćset dwudziestego trzeciego roku na murach Paryża pojawiają się manifesty różokrzyżowe, które zawiadamiają poczciwych mieszczuchów, że wysłannicy głównego kolegium konfraterni przynieśli się właśnie tutaj i są gotowi otworzyć zapisy. Jednak według innej wersji w manifestach mówi się bez ogródek, że chodzi o trzydziestu sześciu niewidzialnych, rozproszonych po świecie w grupach po sześciu, i że mają oni władzę czynić niewidzialnymi swoich adeptów... Do licha, znowu trzydziestu sześciu...

- Co za trzydziestu sześciu?

- Z mojego dokumentu templariuszy.

- Tym ludziom brak fantazji. Co dalej?

- Dalej rodzi się zbiorowe szaleństwo, jedni ich bronią, inni chcą poznać, jeszcze inni oskarżają o praktyki diabelskie, alchemię i herezję, przy czym Astarotte ma zapewniać im bogactwo, potęgę, władzę przenoszenia się w powietrzu z jednego miejsca na drugie, jednym słowem, wybucha skandal dnia.

- Tym różokrzyżowcom nie brak sprytu. Jeśli chce się uzyskać rozgłos, należy wylansować się w Paryżu.

- Zdaje się, że masz rację, bo zaraz usłyszysz, co się stało. Matko, cóż za czasy! Kartezjusz, właśnie Kartezjusz, był w poprzednich latach w Niemczech i poszukiwał

różokrzyżowców, ale, jak powiada jego biograf, nie zdołał ich znaleźć, gdyż, jak wiemy, zmienili szaty. Kiedy, już po pojawieniu się manifestów, wraca do Paryża, dowiaduje się, że wszyscy uważają go za różokrzyżowca. A wiały wtedy takie wiatry, że tego rodzaju opinia nie mogła nikomu służyć, ściągnęła kłopoty nawet na głowę jego przyjaciela, Marsenne'a, który grzmiał przeciwko różokrzyżowcom, wyzywając ich od nędzników, wywrotowców, czarowników, kabalistów, siewców przewrotnych nauk. Co czyni Kartezjusz? Pokazuje się, gdzie tylko może. A ponieważ wszyscy go widzą i nie sposób temu zaprzeczyć, nie może być niewidzialny, a więc nie jest różokrzyżowcem.

- Niezła metoda.

- Z pewnością nie wystarczyło powiedzieć, że nie jest się różokrzyżowcem. Sprawy przedstawiały się tak, że jeśli ktoś przychodził i mówił: dzień dobry, jestem różokrzyżowcem, był to znak, iż nim nie jest. Szanujący się różokrzyżowiec nigdy czegoś takiego nie mówi. A nawet jak najgłośniejsz zaprzecza.

- Nie można jednak twierdzić, że jeśli ktoś zapewnia, że nie jest różokrzyżowcem, w istocie nim jest, bo tak samo ja mówię, że nie jestem różokrzyżowcem, ale przez to wcale się nim nie staję.

- Jednak podejrzane jest już samo przeczenie.

- Nie. Co bowiem robi różokrzyżowiec, kiedy zrozumie, że ludzie nie wierzą temu, kto mówi, że jest różokrzyżowcem, a podejrzewają tego, który mówi, że nim nie jest? Zaczyna mówić, że nim jest, aby przekonać wszystkich, że nim nie jest.

- Do diaska! Od tej chwili wszyscy, którzy mówią, że są

różokrzyżowcami, kłamią, a więc są nimi naprawdę! No nie, Amparo, nie dajmy się wciągnąć w ich pułapkę. Mają wszędzie szpiegów, nawet pod tym łóżkiem, wiedzą już zatem, że my wiemy. I mówią, że wcale nie są różokrzyżowcami.

- Kochanie, zaczęłam się bać.

- Spokojnie, kochanie, jestem przy tobie, ja, głupiec, bo kiedy mówią, że nie są różokrzyżowcami, ja uważam, że są, i natychmiast ich demaskuję. Zdemaskowany różokrzyżowiec staje się nieszkodliwy, więc wypędzam go przez okno, machając gazetą.

- A Agliè? Stara się wmówić nam, że jest hrabią de Saint-Germain. Oczywiście chce nas w ten sposób przekonać, że nim nie jest. Jest więc różokrzyżowcem. A może nie?

- Dość tego, Amparo, idziemy spać.

- Nie, nie, chcę dowiedzieć się wszystkiego.

- Ogólne pomieszenie. Sami różokrzyżowcy. W roku tysiąc sześćset dwudziestym czwartym Francis Bacon pisze *Nową Atlantyde* i czytelnicy myślą, że opisuje krainę różokrzyżowców, chociaż nie wymienia ich ani razu. Biedny Johann Valentin Andreae umiera, zaklinając się, że albo nie był to on, albo jeśli był to on, wymyślił wszystko dla śmiechu. Ale jest już za późno. Różokrzyżowcy wykorzystują to, że ich nie ma, i pojawiają się wszędzie.

- Jak Pan Bóg.

- Nie przyszło mi to do głowy... Pomyślmy, Mateusz, Łukasz, Marek i Jan to grupa wesołków, którzy zbierają się i postanawiają zrobić kawał, wymyślając pewną postać, ustalają kilka najważniejszych faktów, co do reszty każdy ma wolną rękę, potem zobaczymy, kto najlepiej sobie poradził.

Cztery opowieści trafiają do rąk znajomych, którzy zaczynają się wymądrzać. Mateusz jest dość realistyczny, ale zbyt duży nacisk kładzie na kwestię mesjasza. Marek całkiem, całkiem, lecz trochę bałaganiarski, Łukasz ma elegancki styl... to trzeba przyznać. Jan za dużo filozofuje... ale w sumie książeczki podobają się, krążą z rąk do rąk i kiedy tamci czterej spostrzegają, co się stało, jest już za późno. Paweł spotyka Jezusa na drodze do Damaszku. Pliniusz rozpoczyna śledztwo na rozkaz zatroskanego przebiegiem wydarzeń cesarza, całe stosy apokryfów wmawiają czytelnikom, że ich autorzy też wiedzą niejedno... ty, apokryficzny czytelniku, mój bliźni, mój bracie... Piotrowi to wszystko uderza do głowy, zaczyna traktować siebie poważnie. Jan grozi, że wyjawia całą prawdę. Piotr i Paweł każą go złapać, zakuwają w łańcuchy na wyspie Patmos i biedaczysko zaczyna widzieć niestworzone rzeczy: szarańcza na oparciu łoża, uciszcie trąby, skąd wzięła się ta krew... Inni mówią, że za dużo pije, że to arterioskleroza... A jeśli naprawdę tak było?

- Tak było. Poczytaj sobie Feuerbacha zamiast tych swoich broszurek.

- Amparo, już świta.

- Chyba upadliśmy na głowę.

- Jutrzenka różokrzyżowca pięści fale...

- O tak, dobrze. To Yemanjá, posłuchaj tylko, nadchodzi.

- Zrób mi ludibria.

- Och, tintinnabulum!

- Jesteś moją Atalanta Fugiens...

- Och, Turris Babel...

- Pragnę Arcana arcanissima, Złotego Runa, blad różowego jak morska muszla...

- Sza... *Silentium post clamores* - powiedziała.

Jest prawdopodobne, że większość rzekomych różokrzyżowców, chociaż została za nich uznana, należała w istocie do rozmaitych różokrzyżowcowych stowarzyszeń... Nie ulega nawet wątpliwości, że nie mogli być różokrzyżowcami, a to z tego prostego powodu, iż byli członkami takich stowarzyszeń, co może się wydać paradoksalne i na pierwszy rzut oka wewnątrznie sprzeczne, ale jest mimo to łatwe do zrozumienia...

René Guénon, *Aperçu sur l'initiation*,  
Editions Traditionnelles, Paris 1981, XXXVIII, s. 241

Wróciliśmy do Rio i znowu zacząłem pracować. Pewnego dnia wyczytałem w jakimś ilustrowanym tygodniku, że w mieście działa Zakon Różokrzyżowy Starożytny i Uznany. Zaproponowałem Amparo, żebyśmy tam zajrzeli, a ona się zgodziła, chociaż niezbyt chętnie.

Siedziba mieściła się przy bocznej uliczce; na zewnątrz umieszczono gablotkę z figurkami z gipsu, przedstawiającymi Cheopsa, Nefretete i Sfinksa.

Właśnie tego dnia odbyło się posiedzenie plenarne na temat „Różokrzyżowcy a *umbanda*”. Wykład miał wygłosić niejaki profesor Bramanti, referendarz zakonu na Europę. Tajny Rycerz Wielkiego Przeorstwa In Partibus na Rodos, Malcie i w Salonikach.

Postanowiliśmy wejść do środka. Wnętrze raczej zaniebane, jako dekoracje miniatury tantryczne przedstawiające węża Kundaliniego, tego samego, którego templariusze chcieli obudzić pocałunkiem w tyłek. Pomyślałem, że w gruncie rzeczy nie warto było wyprawiać się za Atlantyk i odkrywać Nowego Świata, skoro takie same rzeczy mogłem sobie obejrzeć w siedzibie Picatrix.

Za przykrytym czerwonym suknem stołem, przed niezbyt

liczną, ale za to senną widownią, stał Bramanti, korpulentny mężczyzna, którego można by uznać za tapira, gdyby nie wymiary ciała. Wykładał już okrągłymi zdaniami, ale chyba od niedawna, gdyż był przy różokrzyżowcach za panowania Amozisa I, czyli w okresie osiemnastej dynastii.

Czterech Zasłoniętych Panów czuwało nad ewolucją rasy, która dwadzieścia tysięcy lat przed założeniem Teb dała początek cywilizacji na Saharze. Faraon Amosis założył pod ich wpływem Białe Bractwo sprawujące pieczę nad przedpotopową mądrością, którą Egipcjanie mieli w małym palcu. Bramanti twierdził, że dysponuje dokumentami (naturalnie niedostępnymi dla zwykłych śmiertelników), które sięgają czasów mędrców ze świątyni w Karnaku i ich tajnych archiwów. Symbol róży i krzyża został później wymyślony przez faraona Echnatona. Pewien człowiek ma ten papirus - oświadczył Bramanti - ale proszę nie pytać, kto taki.

W nurcie Wielkiego Białego Bractwa uformowali się Hermes Trismegistos, którego wpływ na włoskie odrodzenie jest równie niewątpliwy jak na gnozę z Princeton, a dalej Homer, druidzi z Galii, Salomon, Solon, Pitagoras, Plotyn, esseńczycy, terapeuci, Józef z Arymatei, który przywiózł Graala do Europy, Alkuin, król Dagobert, święty Tomasz, Bacon, Szekspir, Spinoza, Jakob Boehme, Debussy i Einstein. Amparo szepnęła mi, że, jak się jej zdaje, brakuje tu tylko Nerona, Cambronne'a, Geronima, Pancho Villi i Bustera Keatona.

Jeśli chodzi o wpływ pierwotnych różokrzyżowców na chrześcijaństwo, Bramanti wskazał każdemu, kto dotychczas nie miał okazji rozważyć dogłębnie tej sprawy, że nie jest zgoła przypadkiem, iż zgodnie z legendą Chrystus skonał na krzyżu.



Nie kto inny, lecz właśnie mędracy Wielkiego Białego Bractwa utworzyli pierwszą lożę masońską w czasach króla Salomona. To, że Dante był różokrzyżowcem i masonem – tak samo zresztą jak święty Tomasz – jest zapisane wyraźnie w jego dziele. W pieśniach XXIV i XXV *Raju* mamy potrójny pocałunek księcia Różanego Krzyża, Pelikana, białe suknie takie same jak suknie starców z Apokalipsy, trzy cnoty kardynalne kapituł masońskich (Wiara, Nadzieja, Miłość). W istocie symboliczny kwiat różokrzyżowy (mistyczna róża z pieśni XXX i XXXI) został przejęty przez Kościół rzymski jako symbol Matki Zbawiciela – stąd właśnie mamy w litaniach ową Różę Mistyczną.

A fakt, że różokrzyżowcy przetrwali przez wieki średnie, jest oczywisty nie tylko z tego względu, iż przeniknęli między templariuszy, ale wynika to z dokumentów znacznie jaśniej się wyrażających. Bramanti zacytował niejakiego Kiesewettera, który pod koniec ubiegłego wieku dowiódł, że w średniowieczu różokrzyżowcy wyprodukowali cztery kwintale złota dla księcia elektora Saksonii, a dowodem niechaj będzie konkretna stronica z *Theatrum Chemicum*, opublikowanego w Strasburgu w 1613 roku. Zapewne jednak niewiele osób zwróciło uwagę na aluzję do templariuszy w legendzie Wilhelma Tella. Tell wyciął swoją strzałę z gałęzi jemioly, rośliny występującej w mitologii aryjskiej, i trafił w jabłko, symbol trzeciego, aktywnego oka węża Kundaliniego – a wiadomo, że Ariowie przybyli z Indii, gdzie skryli się przecież różokrzyżowcy po opuszczeniu Niemiec.

Co zaś do rozmaitych ruchów, które twierdzą, że nawiązują – aczkolwiek w sposób bardzo dziecinny – do Wielkiego Białego Bractwa, Bramanti uznaje jako wystarczająco

ortodoksyjny Rosicrucian Fellowship Maksa Heindla, jednak wyłącznie dlatego, że w tym środowisku ukształtował się Alain Kardec. Wszyscy wiedzą, że Kardec jest ojcem spirytyzmu i że z jego teozofii, kontemplującej kontakty z duszami zmarłych, ukształtowała się duchowość *umbanda*, chwała szlacheckiej Brazylii. W tej teozofii Aum Bhandu jest wyrażeniem sanskryckim odnoszącym się do boskiej zasady i źródła życia. („Znowu nas oszukano – szepnęła Amparo – nawet *umbanda* nie jest naszym słowem, tyle że brzmi z afrykańska”).

Korzeniem jest Aum albo Um, równoważne zresztą z buddyjskim Om, imię Boga w języku adamowym. Um to sylaba, która wymówiona we właściwy sposób przeobraża się w potężną mantrę i wywołuje fluidyczne prądy harmonii w psychice poprzez *siakra*, czyli Splot Czołowy.

- Co to jest splot czołowy? - spytała Amparo. - Nieuleczalna choroba?

Bramanti ostrzegł, byśmy odróżniali prawdziwych różokrzyżowców, spadkobierców Wielkiego Białego Bractwa, oczywiście utajonych jako Zakon Starożytny i Uznany, który on niegodnie reprezentuje, od „różokrzyżowców”, to znaczy tych wszystkich, którzy ze względu na swój osobisty interes czerpią natchnienie z mistyki różokrzyżowej, nie mając do tego najmniejszego prawa. Zalecił publiczności, by nie dawała wiary różokrzyżowcowi, który twierdzi, że jest różokrzyżowcem.

Amparo zauważyła, że każdy różokrzyżowiec jest „różokrzyżowcem” dla tego drugiego.

Jakiś zuchwalec spośród publiczności wstał i zapytał, dlaczegoż to jego, Bramantiego, zakon uważa siebie za auten-

tyczny, skoro gwałci regułę milczenia obowiązującą każdego prawdziwego adepta Wielkiego Białego Bractwa.

Bramanti wstał i oświadczył:

- Nie wiedziałem, że nawet tutaj zdołają się wcisnąć prowokatorzy na żołdzie ateistycznego materializmu. W tych warunkach nie powiem już nic.

I wyszedł dosyć majestatycznym krokiem.

Wieczorem zadzwonił Agliè, by zapytać o nowiny i oznajmić, że następnego dnia będziemy w końcu mogli wziąć udział w rytuale. Na razie zaproponował, byśmy się czegoś napili. Amparo miała zebranie polityczne ze swoimi przyjaciółmi, więc poszedłem sam.

Valentiniani... nihil magis curant quam occultare quod praedicant: si tamen praedicant, qui occultant... Si bona fide quaeres, concreto vultu, suspenso supercilio – altum est – aiunt. Si subtiliter tentes, per ambiguitates bilingues communem fidem affirmant. Si scire te subostendas, negant quidquid agnoscunt... Habent artificium quo prius persuadeant, quam edoceant.

Tertulian, *Adversus Valentinianos*

Agliè zaprosił mnie do odwiedzenia miejsca, gdzie robili jeszcze *batida*, jaką umieją przyrządzać tylko ludzie żyjący poza czasem. Wystarczyło kilka kroków, by opuścić cywilizację Carmen Mirandy i znaleźć się w mrocznym pomieszczeniu, gdzie paru tubylców paliło tłusty jak salceson tytoń przypominający liny kotwiczne skręcone przez starego wilka morskiego. Taką liną trzeba było manipulować, dotykając jej samymi opuszkami palców, i uzyskiwało się wtedy szeroki, przezroczysty arkusz, który zawijało się w bibułę z oleistej słomy. Należy co chwila zapalać je na nowo, lecz wiadomo, czym był tytoń w czasach, kiedy odkrył go sir Walter Raleigh.

Opowiedziałem o popołudniowej przygodzie.

- Na dodatek różokrzyżowcy? Mój przyjacielu, pańskie pragnienie wiedzy jest nienasycone. Ale proszę nie dawać wiary tym szaleńcom, wszyscy oni mówią o niepodważalnych dokumentach, ale nigdy ich nie pokazali. Znam tego Bramantiego. Mieszka w Mediolanie, poza tym krąży po całym świecie, szerząc swoje słowo. Jest nieszkodliwy, ale wierzy jeszcze w Kiesewettera. Całe legiony różokrzyżowców opierają się na tej stroniczce z *Theatrum Chemicum*. Ale jeśli się tam zajrzy - a wyznaję skromnie, że wchodzi w skład mojej mediolańskiej biblioteki - tego cytatu nie ma.

- Więc pan Kiesewetter jest błaznem.

- Trafił pan w sedno. To dlatego, że w dziewiętnastym wieku nawet okultyści padli ofiarą ducha pozytywizmu: rzecz jest prawdziwa tylko wtedy, gdy można jej dowieść. Proszę przypomnieć sobie debatę na temat *Corpus Hermeticum*. Kiedy w piętnastym wieku przeniknął do Europy, Pico della Mirandola, Ficino i mnóstwo innych obdarzonych wielką mądrością spostrzegło prawdę: musi to być dzieło bardzo starej daty, starszej niż Egipcjanie, starszej niż sam Mojżesz, gdyż znajdowały się tam myśli, które później padły z ust Platona i Jezusa.

- Jak to później? Takie same argumenty przytaczał Bramanti, mówiąc o Dantem jako o masonie. Skoro *Corpus* powtarza myśli Platona i Jezusa, oznacza to, że został napisany po nich!

- Otóż to! Nawet pan! Rzeczywiście, takim argumentem posłużyli się współcześni filologowie, którzy dorzucili do tego swoje zagmatwane analizy lingwistyczne, byleby dowieść, że *Corpus* został napisany na przełomie drugiego i trzeciego wieku naszej ery. To jakby powiedzieć, że Kasandra urodziła się po Homerze, gdyż wiedziała już o zniszczeniu Troi. Wiara, że czas jest liniowy i zorientowany, że biegnie od A do B, to tylko nowożytne złudzenie. Może również biec od B do A i wtedy skutek rodzi przyczynę... Co oznacza stwierdzenie, że coś dzieje się przedtem albo potem? Czy pańska piękna Amparo pojawia się przed swoimi nieznanymi przodkami, czy po nich? Jest zbyt olśniewająca - jeśli pozwoli pan wygłosić ten obiektywny sąd człowiekowi, który mógłby być jej ojcem. Więc pojawia się przed. Jest tajemniczym początkiem tego, co przyczyniło się do jej stworzenia.

- Ale w tym punkcie...

- Właśnie koncepcja „tego punktu” jest błędna. Punkty zostały wprowadzone przez naukę po Parmenidesie, aby ustalić, skąd dokąd coś się porusza. Nic się nie porusza i jest tylko jeden punkt, z którego w jednym i tym samym momencie powstają wszystkie punkty. Naiwność dziewiętnastowiecznych okultystów, a i tych współczesnych, polega na dowodzeniu prawdy metodami naukowego kłamstwa. Należy rozmawiać nie według logiki czasu, ale według logiki tradycji. Wszystkie czasy symbolizują się nawzajem, a zatem niewidzialna świątynia różokrzyżowców istnieje i istniała zawsze, niezależnie od przepływów historii, waszej historii. Czas ostatecznego objawienia nie jest czasem zegarowym. Jego więzy utrwalają się w toku „historii subtelnej”, gdzie naukowe „przed” i „po” liczą się bardzo mało.

- Ale w końcu wszyscy ci, którzy głoszą wieczność różokrzyżowców...

- To scjentystyczni błaźni, gdyż starają się udowodnić coś, co powinno się po prostu wiedzieć, bez dowodu. Mniema pan, że wierni, których zobaczymy jutro wieczorem, wiedzą lub są w stanie dowieść wszystkiego, co powiedział im Kardec? Wiedzą, bo gotowi są przyjąć wiedzę. Gdybyśmy wszyscy zachowali tę wrażliwość na tajemnicę, zostalibyśmy olśnieni objawieniem. Niekoniecznie trzeba chcieć, wystarczy być gotowym.

- Ale w sumie, i proszę wybaczyć mi trywialność tego pytania, różokrzyżowcy są czy ich nie ma?

- Co znaczy być?

- Proszę mi powiedzieć.

- Wielkie Białe Bractwo, może ich pan sobie nazwać

różokrzyżowcami, rycerzami duchowymi, których incydentalnym czasowym wcieleniem są templariusze, to jakby zgromadzenie mędrców, niewielu, ledwie garstki wybranych, którzy wędrują poprzez dzieje człowiecze, by uchronić jądro wiecznej mądrości. Historia nie rozwija się od przypadku do przypadku, jest dziełem Władców Świata, których uwadze nic się nie wymyka. Oczywiście Władcy Świata muszą otoczyć się tajemnicą, to ich sposób obrony. Tak więc za każdym razem, kiedy spotka pan kogoś, kto mówi, że jest Władcą albo różokrzyżowcem, albo templariuszem, będzie to kłamstwo. Trzeba ich szukać gdzie indziej.

- A zatem ta historia ciągnie się w nieskończoność?
- Tak jest. Na tym polega wybieg Władców.
- Ale co wedle tych Władców powinni wiedzieć ludzie?
- Że istnieje tajemnica. Po cóż byłoby żyć, gdyby wszystko było takie, jakim nam się jawi?
- A jaka to tajemnica?
- Ta, której religie objawione nie potrafiły wypowiedzieć. Tkwi bowiem gdzie indziej.

Wizje są białe, błękitne, białobladoróżowe. A w końcu są przemieszane i całkowicie wyraźne, barwy płomienia białej świecy: ujrzenie iskry, dostaniecie na ciele gęszej skórki. Wszystko to zapowiada, że przyczyna da siłę napędową temu, kto dokonuje dzieła.

Papus, *Martines de Pasqually*,  
Chamuel, Paris 1895, s. 92

Nadszedł obiecany wieczór. Tak samo jak w Salwadorze przyjechał po nas Agliè. Namiot, w którym miała się odbyć sesja, czyli *gira*, znajdował się w dzielnicy położonej mniej więcej centralnie, jeśli można mówić o centrum w mieście, które swoimi jezorami sięga między wzgórze aż po linię morza, tak że widziane z góry wydaje się w nocnych światłach kosmykami zaczesanymi na łysinę mroku.

- Pamiętajcie, dzisiaj będzie *umbanda*. Nie jest się w mocy *orixás*, lecz *eguns*, które są duchami zmarłych. A nadto w mocy Exu, afrykańskiego Hermesa, którego widzieliście państwo w Bahii, i jego towarzyszki Pomba Gira. Exu to bóstwo plemienia Joruba, demon skłonny do złośliwości i płatania figli, ale bóg kawalarz istniał także w mitologii amerykańskich Indian.

- A kim są zmarli?

- *Pretos velhos* i *caboclos*. *Pretos velhos* to starzy mędrcy afrykańscy, którzy prowadzili swoich ludzi w czasach deportacji, jak Rei Congo lub Pai Agostinho... Są wspomnieniem łagodniejszej fazy niewolnictwa, kiedy Murzyn nie jest już zwierzęciem, lecz staje się przyjacielem rodziny, wujaszkiem, dziadkiem. Natomiast *caboclos* to duchy Indian, siły dziewicze, czystość pierwotnej natury. W *umbanda* afrykańscy *orixás* pozostają w tle, nigdy nie bywają synkretyzowani ze



świętymi katolickimi i nigdy też nie mamy do czynienia z żadnymi innymi bytami. To one wytwarzają trans: medium, *cavalo*, w pewnym momencie czuje, że przenika je istota wyższa, i traci świadomość siebie. Tańczy, dopóki boska istota go nie opuści, a potem będzie czuło się lepiej, przejrzyste, oczyszczone.

- Szczęśliwi ludzie - rzekła Amparo.

- Tak, szczęśliwi - potwierdził Agliè. - Nawiązują kontakt z matką ziemią. Zostali wykorzenieni, rzućni w okropny tygiel miasta, a jak powiada Spengler, merkantylny Zachód w chwilach kryzysu zwraca się znowu ku światu ziemi.

Dotarliśmy na miejsce. Z zewnątrz namiot wyglądał na zwykły budynek. Tutaj także wchodziło się przez ogródek, skromniejszy niż w Bahii, a przed drzwiami *barracão*, jakby magazynu, zobaczyliśmy posążek Exu, wokół którego ustawiono już dary przebłagalne.

Kiedy wchodziliśmy, Amparo odciągnęła mnie na bok.

- Wszystko jest dla mnie jasne. Nie słyszałeś? Tamten tapir rozwodził się podczas odczytu nad epoką aryjską, ten zaś mówi o zmierzchu Zachodu. *Blut und Boden*, krew i ziemia, czysty nazizm.

- To nie takie proste, kochanie, jesteśmy na innym kontynencie.

- Dziękuję za informację. Wielkie Białe Bractwo! Przyniosło wam Boga, byście Go jedli.

- Ci są katolikami, kochanie, to zupełnie co innego.

- To samo. Nie słyszałeś? Pitagoras, Dante. Maryja Dziewica i masoni. Jak zwykle chodzi o to, żeby nas wykantować. Uprawiajcie *umbanda*, ale nie uprawiajcie miłości.

- Wygląda na to, że właśnie ty jesteś synkretyczna. Chodź,

zobaczymy. To także jest wyrazem kultury.

- Istnieje tylko jedna kultura: powiesić ostatniego księdza na kiszce ostatniego różokrzyżowca.

Agliè skinął, byśmy weszli. Na zewnątrz było ubogo, za to w środku szalał istny pożar jaskrawych barw. Była to czworokątna sala z miejscem wyznaczonym na taniec *cavalos*, ołtarzem w głębi, odgrodzonym kratą, przylegającym do podium dla bębnow, *atabaques*. Ta część sali, w której miał odbywać się rytuał, była jeszcze pogrążona w mroku, ale po drugiej stronie kraty falował już różnoraki i przemieszany tłum wiernych i ciekawskich, białych i czarnych. Wyróżniały się w nim media ze swoimi asystentami i *cambonos*, ubrani na biało, niektórzy boso, inni w tenisówkach. Od razu uderzył mnie widok ołtarza: *pretos velhos*, *caboclos* w barwnych pióropuszech, święci, którzy przypominaliby głowy cukru, gdyby nie pantagrueliczne rozmiary, święty Jerzy w skrzęcej się zbroi i szkarłatnym płaszczu, święci Kosma i Damian. Dziewica przeszyta mieczami i bezwstydnie superrealistyczny Chrystus z ramionami otwartymi jak u Odkupiciela z Corcovado, tyle że kolorowy. Brakowało *orixás*, ale ich obecność dostrzegało się na twarzach zgromadzonych oraz wyczuwało w słodkawym zapachu trzciny i przygotowanych potraw, w kwaśnej woni potu spowodowanego gorącem i podnieceniem bliską już *gira*.

Wystąpił *pai-de-santo*, usiadł koło ołtarza i przyjął paru wiernych i gości, osnuwając ich kłębami gęstego dymu z cygara, błogosławiąc i częstując filiżanką napoju, przy czym to wszystko przypominało jakiś pospieszny obrządek eucharystyczny. Ukląknęłam wraz z moimi towarzyszami i piłem: kiedy *cambono* nalewał płyn z butelki, zauważyłem, że to zwykły

dubonnet, ale sączyłem go z namaszczeniem, jakby był to eliksir długiego życia. Od strony podium dobiegł głuchy warkot *atabaques* i wtajemniczeni zaintonowali przebłagalny hymn do Exu i do Pomba Gira: *Seu Tranca Ruas é Mojuba! É Mojuba, é Mojuba! Sete Encruzilhadas é Mojuba! É Mojuba, é Mojuba! Seu Maraboe é Mojuba! Seu Tiriri, é Mojuba! Exu Veludo, é Mojuba! A Pomba Gira é Mojuba!*

Rozniósł się ciężki zapach indiańskich kadzideł, gdyż *pai-de-santo*, wznosząc stosowne modły do Oxalá i Nossa Senhora, wziął trybularz i przystąpił do okadzania.

*Atabaques* przyspieszyły rytm, *cavalos* zajęli przestrzeń przed ołtarzem i już zaczęli poddawać się magicznemu działaniu *pontos*. Większość stanowiły kobiety i Amparo nie omieszkała wygłosić ironicznej uwagi na temat słabości swojej płci („jesteśmy wrażliwsze, prawda?”).

Wśród kobiet było kilka Europejek. Agliè wskazał nam blondynkę, niemiecką psycholog, która od lat uczestniczyła w obrządkach. Próbowwała wszystkiego, ale jeśli nie ma się predyspozycji, to na nic: nigdy nie osiągnęła transu. Tańczyła ze wzrokiem zagubionym w pustce, podczas gdy *atabaques* nie dawały chwili wytchnienia jej i naszym nerwom, a cierpki dym kadzideł wypełniał salę, odurzając tancerzy i widzów, sprawiając, że wszyscy – a w każdym razie ja – czuli skurcz w żołądku. Ale zdarzało mi się to również w *escolas de samba* w Rio, znałem więc psychagogiczne oddziaływanie muzyki i hałasu, identyczne jak to, któremu w sobotnie wieczory poddają się w dyskotekach nasi rozpaleni młodzieńcy. Niemka tańczyła z wytrzeszczonymi oczami, każdym histerycznym ruchem kończyn błagała o zapomnienie. Stopniowo inne córki świętego wpadały w ekstazę – odrzucały głowy do tyłu,

miotwały się, falowały, żeglowały po morzu niepamięci, ona zaś prawie płakała, spięta, wyprężona jak ktoś, kto rozpaczliwie pragnie osiągnąć orgazm, więc rzuca się i męczy, ale nie może rozładować hormonów. Starła się wyzbyć samokontroli i wciąż ją odzyskiwała, biedna Teutonka, chora na dobrze nastrojone klawicymbały.

Wybrani dokonywali w tym czasie swojego skoku w pustkę, spojrzenia mętniały, kończyny sztywniały, ruchy stawały się coraz bardziej automatyczne, ale nie przypadkowe, gdyż ujawniały naturę istoty nawiedzającej tańczącego: niektórzy nabrali chorobliwego wyglądu i zwiesiwszy bezwładnie dłonie, wykonywali całymimi rękami ruchy jak przy piłowaniu; inni, skuleni, poruszali się powoli i *cambonos* okrywali ich białym płótnem, by chronić przed spojrzeniem tłumu tych, których dotknął duch doskonały...

Niektórzy *cavalos* potrząsali gwałtownie ciałami, a ci w mocy *pretos velhos* wydawali z siebie głuche dźwięki – hum, hum, hum – i poruszali się z ciałem pochylonym do przodu na modłę starca, który wspiera się na kiju, wysuwając szczękę, a i ich twarze stawały się wychudłe i bezzębne. Opętani przez *caboclos* wydawali natomiast okrzyki przenikliwe i wojownicze – hiahou! – i *cambonos* spieszyli, by podtrzymać tych, którzy nie panowali nad gwałtownością daru.

Bębny warczały, *pontos* wzbijały się w powietrzu gęstym od dymu. Trzymałem Amparo pod ramię; nagle rozchyliły się jej wargi, dłonie zaczęły się pocić, całe ciało drżeć.

– Nie czuję się dobrze – oznajmiła. – Chciałabym wyjść.

Agliè spostrzegł, co się stało, i pomógł mi wyprowadzić ją na zewnątrz. W wieczornym powietrzu wróciła do siebie.

– Nic mi nie jest – zapewniła – musiałam coś zjeść. Na do-

datek te zapachy i gorąco...

- Nie - powiedział *pai-de-santo*, który wyszedł za nami. - To z powodu zdolności mediumicznych. Zareagowała pani właściwie na *pontos*, przyglądałem się.

- Dość tego! - wykrzyknęła Amparo i dorzuciła kilka słów w narzeczu, którego nie znałem. Zobaczyłem, że *pai-de-santo* zbladł, czy też poszarzał, jak w powieściach przygodowych pisze się o blednących czarnoskórych. - Dość tego, mam mdłości, bo coś zjadłam... Błagam, zostawcie mnie, wracajcie na salę, muszę trochę odetchnąć. Wolę zostać sama, nie jestem kaleką.

Posłuchaliśmy jej, ale kiedy prosto z dworu wszedłem do środka, zapachy, bębny, wszechobecny zapach potu, który oblewał teraz wszystkie ciała, i samo zużyte powietrze działały na mnie jak łyk alkoholu na kogoś, kto po długiej abstynencji pierwszy raz sięga po kieliszek. Przesunąłem dłoń po czole, a jakiś staruszek wetknął mi w rękę *agogõ*, mały złocony instrument, rodzaj trójkąta z dzwoneczkami, w który uderzało się pręcikiem.

- Wejdz na podium - poradził - zagraj, poczujesz się lepiej.

W tej radzie zawarta była jakaś homeopatyczna wiedza. Uderzałem w *agogõ*, starając się trzymać rytmu bębnów, i stopniowo zacząłem uczestniczyć w wydarzeniu, lecz jednocześnie panowałem nad nim, ruchami stóp i całych nóg rozładowywałem napięcie, wyzwalałem się od tego, co mnie otaczało, prowokując to coś i kusząc. Później Agliè miał mi powiedzieć o różnicy między tym, który wie, a tym, który doświadcza.

W miarę jak media wchodziły w trans, *cambonos* odpro-

wadzali je pod ścianę, sadzali, podawali cygara i fajki. Wierni, którzy nie zaznali opętania, podbiegali i klękali u ich stóp, mówili im coś na ucho, wysłuchiwali rad, wchłaniali ich dobroczynny wpływ, rozładowywali się w wyznaniach, czerpali z tego ulgę. Niektórzy dawali oznaki początku transu, do czego *cambonos* zachęcali z umiarem, odprowadzając ich następnie w tłum, bardziej odprężonych.

W miejscu dla tancerzy poruszało się teraz wielu kandydatów do ekstazy. Niemka miotała się nienaturalnie, oczekując, że coś zacznie miotać nią - ale daremnie. Niektórzy byli w mocy Exu i robili miny wyrażające złośliwość, podstępność, przebiegłość, a ich ciałami miotały bezładne wstrząsy.

W tym momencie zobaczyłem Amparo.

Teraz wiem, że Chesed jest nie tylko sefirą łaski i miłosierdzia. Jak przypominał Diotallevi, jest również momentem ekspansji boskiej substancji, która rozszerza się do swoich nieskończonych peryferii. Jest troską żywych o zmarłych, ale ktoś musiał przecież powiedzieć, że jest także troską zmarłych o żywych.

Stukając w *agogõ*, nie śledziłem już tego, co dzieje się na sali, gdyż byłem skupiony na kontrolowaniu swoich ruchów i na poddawaniu się muzyce. Amparo musiała wrócić jakieś dziesięć minut temu i z pewnością odczuwała to samo co ja poprzednio. Ale nikt nie dał jej *agogõ* i może nawet już by tego nie chciała. Wzywana przez głosy z głębi, wyzbyła się wszelkiej woli obrony.

Zobaczyłem, że rzuca się nagle w sam środek tańca, zatrzymuje z twarzą nienaturalnie wzniesioną, z prawie całko-

wicie sztywnym karkiem, a następnie oddaje w zapamiętaniu lubieżnej sarabandzie, rękami wskazując, że składa ofiarę ze swojego ciała.

- *A Pomba Gira, a Pomba Gira!* - wykrzyknęli niektórzy uszczęśliwieni cudem, gdyż tego wieczoru diabllica jeszcze się nie ujawniła. - *O seu manto é de veludo, rebordado todo em ouro, o seu garfo é de prata, muito grande é seu tesouro... Pomba Gira das Almas, vem toma cho cho...*

Nie śmiałem interweniować. Być może przyspieszyłem rytm metalowej różgi, by złączyć się cielesnie z moją kobietą albo z duchem chtonicznym, którego w tym momencie uosabiała.

*Cambonos* zajęli się nią, ubrali ją w strój rytualny, podtrzymywali, kiedy kończyła swój trans, krótki, ale intensywny. Odprowadzili ją, aby usiadła, była bowiem teraz złana potem i z trudem oddychała. Odmówiła przyjęcia tych, którzy przychodzili żebrac o wróżby, i zaczęła płakać.

*Gira* dobiegła końca, zszedłem z podium i podbiegłem do Amparo. Był już przy niej Agliè i masował jej delikatnie skronie.

- Co za wstyd! - powiedziała. - Nie mogę uwierzyć, nie chciałam, ale jak mogłam?

- Zdarza się, zdarza - powtarzał łagodnie Agliè.

- Ale nie ma w takim razie wyzwolenia - mówiła, płacząc, Amparo. - Jestem nadal niewolnicą. Wynoś się! - krzyknęła do mnie ze złością. - Jestem biedną, brudną Murzynką, dajcie mi pana, bo na to zasługuję!

- Zdarza się to również blond Achajom - pocieszał ją Agliè. - Taka jest ludzka natura.

Amparo poprosiła, żeby zaprowadzić ją do toalety.

Obrządek się kończył. Jeszcze tylko Niemka tańczyła na środku sali, rzucając przy tym w stronę Amparo spojrzenia pełne zawiści. Lecz poruszała się teraz z niechętnym uporem.

Amparo wróciła po dziesięciu minutach. Żegnaliśmy się już z *pai-de-santo*, który cieszył się wspaniałym sukcesem naszego pierwszego spotkania ze światem zmarłych.

Agliè prowadził samochód w ciszy późnej już nocy i kiedy stanął przed naszym domem, zaraz zaczął się żegnać. Amparo oznajmiła jednak, że woli wrócić do domu sama.

- Może byś się przeszedł - powiedziała do mnie. - Wróć, kiedy będę już spała. Wybaczcie mi obaj, panowie. Już mówiłam, że musiałam coś zjeść. Wszystkie te dziewczyny coś zjadły i wypily. Nienawidzę mojego kraju. Dobranoc.

Agliè zrozumiał, że czuję się nieswojo, i zaproponował, byśmy usiedli w barze „Copacabana”, otwartym przez całą noc. Milczałem. Agliè poczekał, żebym zaczął sączyć trunka, a potem przerwał milczenie i zakłopotanie.

- Rasa, lub jeśli pan woli, kultura, to część naszej podświadomości. Drugą część zamieszkują archetypowe symbole, takie same dla wszystkich ludzi i wszystkich epok. Dzisiejszego wieczoru nastrój, środowisko rozluźniły naszą czujność, doświadczył pan tego na sobie. Amparo odkryła, że *orixás*, które - jak sądziła - usunęła ze swego serca, mieszkają jeszcze w jej brzuchu. Nie sądzę, żeby uznała to za fakt pozytywny. Słyszał pan, z jakim szacunkiem mówiłem o nadprzyrodzonych energiach wibrujących wokół nas w tym kraju. Proszę jednak nie sądzić, że z jakąś szczególną sympatią patrzę na praktyki opętania. Co innego być wtajemniczonym, a co innego mistykiem. Inicjacja, intuicyjne rozumienie tajemnic, których rozum nie potrafi wyjaśnić, to proces głębi-



nowy, powolne przeobrażanie ciała i umysłu, mogące prowadzić do zyskania cnót wyższego rzędu, a nawet nieśmiertelności, ale jest to coś intymnego, sekretnego. Nie przejawia się na zewnątrz, jest wstydlive, a nade wszystko składają się nań trzeźwość spojrzenia i dystans. Dlatego właśnie Władcy Świata są wtajemniczonymi, lecz nie pozwalają sobie na mistykę. Mistyk jest dla nich niewolnikiem, miejscem, w którym przejawia się *numinosum*, przez niego można śledzić przejawy tajemnicy. Wtajemniczony zachęca mistyka, posługuje się nim jak telefonem, by nawiązać kontakt na odległość, jak chemik posługuje się papierkiem lakmusowym, by się dowiedzieć, że w danym miejscu działa jakaś substancja. Mistyk jest pożyteczny przez swą teatralność, obnaża się. Natomiast wtajemniczeni rozpoznają się tylko między sobą. Wtajemniczony kontroluje siły, którym mistyk się poddaje. W tym sensie nie ma żadnej różnicy między opętaniem *cavalos* a ekstazami świętej Teresy albo świętego Jana od Krzyża. Mistycyzm to niższa forma kontaktu z bóstwem. Wtajemniczenie to owoc długiej ascezy rozumu i serca. Mistycyzm jest zjawiskiem demokratycznym, jeśli nie demagogicznym, wtajemniczenie jest arystokratyczne.

- Jest więc faktem umysłowym, nie zaś cielesnym?

- W pewnym sensie tak. Pańska przyjaciółka Amparo strzeże zaciekle swojego umysłu, ale nie upilnowała ciała. Niedowiarek jest najsłabszy z nas.

Było bardzo późno. Agliè wyjawiał, że opuszcza Brazylię. Zostawił mi swój mediolański adres.

Wróciłem do domu i zastałem Amparo śpiącą. Milcząc, położyłem się przy niej w ciemności i przez całą noc nie zmrużyłem oka. Miałem uczucie, że leżę obok obcej osoby.

Następnego ranka Amparo oznajmiła mi chłodno, że jedzie do Petropolis odwiedzić przyjaciółkę. Pożegnaliśmy się z uczuciem zakłopotania.

Wyjechała, z płócienną torbą i tomem ekonomii politycznej pod pachą.

Przez dwa miesiące nie dawała znaku życia, a i ja nie zabiegałem o nawiązanie kontaktu. Potem napisała krótki, bardzo wymijający list. Wyjaśniła w nim, że potrzebuje jakiegoś czasu na przemyślenie wszystkiego. Nie odpowiedziałem.

Nie było żadnej udręki, zazdrości, tęsknoty. Czułem się pusty, jasny, czysty i lśniący jak aluminiowy garnek.

Spędziłem w Brazylii jeszcze rok, ale już ze świadomością, że siedzę na walizkach. Nie zobaczyłem więcej Agliègo, nie spotkałem się z przyjaciółmi Amparo, godzinami wylegiwałem się na plaży.

Puszcząłem latawce, które w Brazylii są niezwykle piękne.

5  
GEWURA

Beydelus, Demeymes, Adulex, Metucgayn, Atine, Ffex, Uquizuz, Galdix, Sol, Veni cito cum tuis spiritibus.

*Picatrix*, Ms. Sloane 1305, 152, verso

Pęknięcie naczyń. Diotallevi często mówił nam o późnej kabalistycy Izaaka Lurii, w której gubiły się uporządkowane i elastyczne połączenia *sefirot*. Tworzenie – mawiał – to proces wdechu i wydechu, jakby Bóg dyszał niespokojnie, to coś przywodzącego na myśl miech.

– Wielka Astma Boga – skomentował Belbo.

– Sam spróbuj stworzyć coś z niczego. To udaje się najwyżej raz w życiu. Bóg, chcąc stworzyć świat tak, jak wydmuchuje się szklaną bańkę, musi się skurczyć, a dopiero potem z sykiem przeciągłym i świetlistym wyemanować dziecię *sefirot*.

– Z sykiem czy światłem?

– Bóg tchnął i stało się światło.

– Mnogość środków.

– Ale światła *sefirot* trzeba zebrać do zbiorników zdolnych wytrzymać ich blask. Naczynia mające przyjąć Keter, Chochmę i Binę oparły się jasności, ale w przypadku *sefirot* niższych, od Chesed po Jesod, światło i dech zostały wyemanowane za jednym razem i ze zbyt wielką siłą, toteż naczynia trzasnęły. Fragmenty światła rozproszyły się po świecie i z nich to powstała prostacka materia.

Pęknięcie naczyń – ciągnął Diotallevi z troską – to poważna szkoda. Nie ma nic mniej zdolnego do życia niż świat, gdy okazuje się poronionym płodem. Od samego początku w kosmosie musi tkwić jakiś defekt, lecz nawet najmądrzejsi

rabini nie zdołali tego wyjaśnić. Być może w chwili, kiedy Bóg robił wydech, w pierwotnym zbiorniku pozostało parę kropel oliwy, materialne *residuum*, *reszimu*, i Bóg się rozsmarował razem z tą pozostałością. A może w którymś miejscu czekały już obłudnie w zasadzce owe skorupy, *kelipa*, zasady burzenia.

- Śliskie typy z tych *kelipa* - wtrącił Belbo - agenci demonicznego doktora Fu Manchu... A co dalej?

- Dalej - wyjaśniał cierpliwie Diotallevi - w świetle Srogiego Sądu, Gewury, zwanej też Paszad albo Przerazenie, sefiry, w której według Izaaka Ślepego ujawnia się Zło, skorupy zyskały byt rzeczywisty.

- I są wśród nas - rzekł Belbo.

- Rozejrzyj się tylko - dorzucił Diotallevi.

- Ale czy można z nich wyjść?

- Raczej w nie wchodzimy - odparł Diotallevi. - W skurczu *cimcum* wszystko emanuje z Boga. Nasz problem to wprowadzenie w życie *tikkun*, wtórej integracji z Adamem Kadmonem. Wówczas zrekonstruujemy wszystko w zrównoważonej strukturze *parcufim*, twarzy, czyli form, które zajmą miejsce *sefirot*. Wstępowanie dusz to jakby jedwabny sznur, który pozwala pobożnej intencji odnaleźć po omacku, w ciemnościach, drogę ku światłu. Tak w każdej chwili świat, ustawiając litery Tory, stara się odnaleźć naturalną formę, która wyzwoli go z odrażającego pomieszania.

I tak czynię ja w środku nocy, teraz, zamknięty oto w nie-naturalnym spokoju tych wzgórz. Ale tamtego wieczoru w peryskopie byłem jeszcze otulony lepka śliną skorup, które dostrzegałem wokół siebie, tych niewidzialnych ślimaków wtopionych w kryształowe baseny Conservatoire, wplątanych

między barometry i zardzewiałe kółka zegarów trwających w tępej hibernacji. Myślałem o tym, że jeśli naprawdę doszło do pęknięcia naczyń, pierwsza rysa powstała być może owego wieczoru w Rio, w trakcie obrządku, ale pęknięcie nastąpiło dopiero po moim powrocie do ojczyzny. Przebiegało powoli, nie rozległ się żaden huk, lecz zostaliśmy oblepieni szlamem prostackiej materii, w której podobne do robaków stworzenia otwierają się w procesie samoródtwa.

Wróciłem z Brazylii, nie wiedząc już, kim jestem. Zbliżałem się do trzydziestki. A w tym wieku mój ojciec był już ojcem, wiedział, kim jest i gdzie żyje.

Przebywałem zbyt daleko od mojego kraju, kiedy docho-  
dziło w nim do wielkich wydarzeń, żyłem w świecie brze-  
miennym w sprawy niewiarygodne, do którego wiadomości  
z Włoch docierały otulone w legendę. Niedługo przed opusz-  
czeniem tamtej półkuli, kiedy na zakończenie pobytu zafun-  
dowałem sobie lot nad puszcza amazońską, wpadł mi w ręce  
lokalny dziennik, dostarczony do samolotu podczas postoju  
w Fortaleza. Na pierwszej stronie królowało zdjęcie kogoś,  
kogo rozpoznałem, gdyż przez całe lata widywałem go  
sączącego białe wino u Piladego. Podpis głosił: *O homem que  
matou Moro.*

Naturalnie, jak dowiedziałem się po powrocie do Mediola-  
nu, nie on zabił Moro. On raczej, mając w ręku naładowany  
pistolet, strzeliłby sobie w łeb, by sprawdzić, czy działa. Był  
jedynym obecnym, kiedy policja wtargnęła do mieszkania,  
gdzie ktoś ukrył pod łóżkiem trzy pistolety i dwie paczki ma-  
teriału wybuchowego. On sam w stanie ekstazy spoczywał  
natomiast na łóżku, gdyż był to w tej kawalerce jedyny me-  
bel, jaki grupa niedobitków z sześćdziesiątego ósmego

wzięła w dzierżawę od społeczeństwa, by zaspokoić potrzeby ciała. Gdyby pomieszczenie nie było ozdobione wyłącznie manifestem Inti Illimani, można by je nazwać garsonierą. Jeden z najemców był związany z pewną bojówką, a inni nie mogli sfinansować mu kryjóWKi. Wszyscy więc znaleźli się na rok pod kluczem.

Bardzo niewiele zrozumiałem z tego, czym były Włochy w ostatnich latach. Opuściłem kraj stojący u progu wielkich przemian, czując się prawie winowajcą, jako że umykałem w momencie zdawania rachunków. Kiedy wyjeżdżałem, umiałem rozpoznać ideologię każdego po brzmieniu głosu, krągłości zdań, po kanonicznych cytatach, jakich używał. Po powrocie nie wiedziałem nawet, kto z kim trzyma. Nie mówiło się już o rewolucji, lecz o Pragnieniu; jeśli ktoś uważał się za człowieka lewicy, cytował Nietzschego i Céline'a; czasopisma prawicowe słaWiły rewolucję w Trzecim Świecie.

Znowu bywałem u Piladego, ale czułem się tu obco. Pozostał bilard, przychodzili mniej więcej ci sami malarze, ale zmieniła się fauna młodzieżowa. Dowiedziałem się, że niektórzy ze starych bywalców otworzyli szkoły medytacji transcendentalnej i restauracje makrobiotyczne. Spytałem, czy ktoś otworzył już jakiś namiot *umbanda*. Nie, może wyprzedziłem swoje czasy, nabyłem umiejętności nieznanym szerokim kręgom.

Chcąc przypodobać się historycznej już grupce dawnych klientów, Pilade zostawił stary model flippera, z tych, które wydają się skopiowane z Lichtensteina i są masowo skupowane przez antykwariuszy. Ale obok stały, obłożone przez młodszych, maszyny z jaśniejącym ekranem, po którym prze-

mykały chmarami mechaniczne myszołowy, kamikaze kosmosu, albo wyskakiwała jak filip z konopi żaba, skrzecząc coś po japońsku. U Piladego rozbłyskiwały teraz złowrogie światła i być może przed ekranem z galaktyką pojawiali się także kurierzy Czerwonych Brygad, wykonując zadania werbunkowe. Ale z pewnością musieli porzucić flipper, gdyż nie dało się na nim grać z pistoletem zatknętym za pasek.

Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy mój wzrok pobiegł za spojrzeniem Belba utkwionym w Lorenzy Pellegrini. Pojąłem w sposób niejasny to, co Belbo pojął z większą przenikliwością i co znalazłem w jednym z jego plików. Nie wymienił Lorenzy, ale niewątpliwie chodziło o nią, bo tylko ona grała w ten szczególny sposób na flipperze.

---

NAZWA PLIKU: Flipper

---

Na flipperze gra się nie tylko rękami, ale i wzgórkami łonowymi. Przy tej grze problem nie polega na tym, by zatrzymać kulkę, zanim wpadnie w otwór, ani by skierować ją na środek pola obrońcą, ale by zmusić ją do pozostawania na górze, gdzie najwięcej świetlistych strzelców, i odbijać od jednego do drugiego, aby wirowała, zbłąkana i oszalała, lecz według własnej woli. A trzeba to osiągnąć, nie prztykając w kulkę, lecz przekazując w sposób łagodny wibrację flipperowi, tak aby tego nie spostrzegł i nie pochylił się. Możesz to zrobić tylko wzgórkami łonowymi lub raczej ruchami bioder, przy czym wzgórek nie może napierać rytmicznie na flipper, tylko cały czas musi pozostawać na progu orgazmu. A jeśli biodra poruszają się zgodnie z naturą, to nie tyle wzgórek łonowy, ile mięśnie pośladków prą do przodu, jednak z wdziękiem, by w momencie, kiedy impet przenosi się na wzgórek, był już wytłumiony, jak w homeopatii, gdzie im więcej esencji dodasz do roztworu – podczas gdy substancja już się rozplywa w dolewanej bez ustanku wodzie, aż prawie całkowicie niknie – tym mocniejsze jest działanie medyczne. I oto jakiś infinytymalny prąd przenosi się ze wzgórków na obudowę flippera i flipper oddaje się bez śladu nerwowości, kuleczka biega wbrew naturze, wbrew swojej bezwładności, wbrew prawu ciężenia i zasadom dynamiki, wbrew nawet przebiegłości konstruktora, który chciał narzucić jej ruchliwość, i upaja się *vis movendi*, pozostając w grze przez cały czas pamiętny, z zapamiętaniem. Ale musi to być wzgórek łonowy niewieści, by nie wciskać ciał jamistych między jelita a maszynę i by nie było pośrednictwa tkanki erekcyjnej, lecz tylko włosy, ścięgna, kości, tworzące całość dzięki obciążeniu dzinsami,



lecz tylko wysublimowany szal miłosny, jakaś szelmowska oziębłość, jakaś szczodra umiejętność przystosowania się do wrażliwości partnera, jakieś upodobanie do pobudzania jego żądz bez doświadczania nadmiaru własnej: amazonka winna doprowadzić flipper do szaleństwa i z góry smakować fakt, że wkrótce go porzuci.

---

Sądzę, że Belbo zakochał się w Lorenzy Pellegrini w tym momencie, kiedy spostrzegł, że mogłaby obiecać mu nieosiągalne szczęście. I chyba przez nią zaczął dostrzegać erotyczny charakter światów automatycznych, maszyny jako metafory kosmicznego ciała, a mechanicznej gry jako talizmatycznego wywoływania duchów. Narkotyzował się przecież Abulafią i być może już wtedy przeniknął go duch projektu „Hermes”. Z pewnością widział Wahadło. Lorenza Pellegrini, wskutek nie wiem jakiego krótkiego spięcia skojarzeń, była dla niego zapowiedzią Wahadła.

W pierwszym okresie z trudem zadomawiałem się u Piledego. Stopniowo, ale nie co wieczór, w gąszczu obcych twarzy zacząłem dostrzegać swojskie oblicza niedobitków, aczkolwiek jak przez mgłę, bo przyszła pora, kiedy, chcąc nie chcąc, musieli zdjąć maski; ten został pracownikiem agencji reklamowej, tamten radcą skarbowym, inny sprzedawcą książek na raty – z tym że jeśli przedtem entuzjazmował się dziełami Che Guevary, teraz propagował zielarstwo, budyzm, astrologię. Zaczęli odrobinę seplenić, na ich głowach pojawiły się pasma siwych włosów, trzymali w dłoniach szklaneczki whisky i wydawało mi się przez chwilę, że jestem tym samym gołowąsem co dziesięć lat wcześniej, kiedy sączyłem z namaszczeniem jedną kroplę na semestr.

– Co porabiasz? Całkiem zniknąłeś z horyzontu – zagadnął jeden z nich.

- Kim wy teraz jesteście?

Spojrzał, jakby nie było mnie całe lata.

- Powiedzmy, że jestem naczelnikiem wydziału kultury. Zbyt wiele dowcipów mnie ominęło.

Postanowiłem wymyślić jakiś sposób zarabiania na życie. Zdałem sobie sprawę, że wiem mnóstwo rzeczy zupełnie ze sobą niepowiązanych, lecz wystarczy kilka wizyt w bibliotece, by je powiązać. Kiedy wyjeżdżałem, trzeba było mieć jakąś teorię, i cierpiałem, gdyż nie miałem żadnej. Teraz wystarczyły same wyobrażenia, wszyscy stali się na nie łasi, a tym lepiej, jeśli pochodziły z innych czasów. Odnosiło się to również do uniwersytetu, gdzie wpadłem, żeby się rozejrzeć, czy nie dałoby się tu zaczepić. W aulach panował spokój, studenci przesuwali się po korytarzach jak widma, pożyczając jedni drugim źle opracowane bibliografie. Co jak co, ale bibliografię z prawdziwego zdarzenia umiałem przygotować.

Pewnego dnia któryś z dyplomantów, biorąc mnie za docenta (nauczyciele akademicki byli teraz w tym samym wieku co studenci - albo na odwrót), spytał, co właściwie napisał ten lord Chandos, o którym mówiło się na wykładzie w związku z cyklicznymi kryzysami w gospodarce. Powiedziałem, że to postać z Hofmannsthal'a, nie zaś ekonomista.

Tego samego wieczoru byłem na spotkaniu starych znajomych i rozpoznałem jednego z nich, pracującego dla firmy wydawniczej. Podjął tę pracę, kiedy zrezygnowali z wydawania francuskich kolaborantów, by skupić się na albańskich tekstach politycznych. Zorientowałem się, że nadal publikują dzieła polityczne, ale zbliżone do rządowego punktu widzenia. Nie odżegnywali się też od dobrych pozycji filozoficznych. Chodzi o klasyków, dodał.

- A właśnie! - przyszło mu nagle do głowy. - Przecież ty jesteś filozofem, więc...

- Niestety, nie.

- Ale w swoim czasie należałeś do tych, którzy wiedzą wszystko. Opracowuję właśnie przekład tekstu o kryzysie marksizmu i trafiłem na cytat z niejakiego Anzelma z Canterbury. Kto to taki? Nie znalazłem go nawet w słowniku pisarzy.

Powiedziałem mu, że to Anzelm z Aosty, tyle że Anglicy nazywają go tak, bo oni niczego nie robią tak samo jak wszyscy.

Spłynęło na mnie objawienie. Oto mój zawód. Postanowiłem założyć agencję dostarczającą informacji z zakresu kultury. Jako rodzaj przypisów do wszelkiej wiedzy. Zamiast włóczyć się po nocnych lokalach i burdelach, będę bywalcem księgarni, bibliotek, korytarzy uniwersyteckich instytutów. A potem siedziałbym sobie w biurze, z nogami na stole i whisky w kartonowym kubeczku, przyniesioną ze sklepiku na rogu. Ktoś dzwoni i mówi: „Tłumaczę właśnie książkę i natknąłem się na niejakiego... na niejakich mutakallaminów. Nie mogę z tym dojść do ładu”.

Ty też nie masz pojęcia, o co chodzi, ale to nieważne, prosisz o dwa dni zwłoki. Kartkujesz katalog w bibliotece, częstujesz papierosem faceta z działu informacji, trafiasz na trop. Wieczorem zapraszasz do baru asystenta z wydziału orientalistyki, stawiasz mu piwo, potem drugie, ten w chwili słabości podaje ci informację, której szukasz, i to za darmo. Potem już tylko dzwonisz do klienta: „Mutakallamini to byli radykalni teologowie muzułmańscy w czasach Awicenny, powiadali, że świat był, by tak rzec, miazgą przypadków i za-

stygł w formę jedynie przez nagły i doraźny akt boskiej woli. Wystarczy, że Bóg popadnie na moment w roztargnienie, a świat rozpada się na kawałki. Czysta anarchia atomów, bez żadnego sensu. Wystarczy? Pracowałem nad tym trzy dni, pan ustala wynagrodzenie”.

Szczerze uśmiechnęło się do mnie, znalazłem dwa pokoiki z kuchnią w domu na peryferiach, który musiał być niegdyś fabryką z pomieszczeniami administracyjnymi w jednym skrzydle. Mieszkania, jakie z tego wykrojono, wychodziły na długi korytarz: znalazłem się między agencją nieruchomości a pracownią wypychacza zwierząt (A. Salon - taksydermista). Człowiek miał uczucie, że mieszka w amerykańskim drapaczu chmur z lat trzydziestych, i gdybym miał tylko oszklone drzwi, czułbym się jak Marlowe. Wstawiłem tapczan do tylnego pokoju, a biuro urządziłem w pierwszym. Dwie półki przeznaczyłem na atlasy, encyklopedie, katalogi, które stopniowo kupowałem. W zasadzie powinienem pójść na kompromis ze swoim sumieniem i pisać również rozprawy dyplomowe dla zrozpaczonych studentów. Nie byłoby to trudne, wystarczyłoby przepisywać rozprawy z poprzedniego dziesięciolecia. A poza tym zaprzyjaźnieni wydawcy zaczęli przysyłać mi do czytania rękopisy i zagraniczne książki, naturalnie najbardziej niewdzięczne i za nader umiarkowane wynagrodzenie.

Gromadziłem doświadczenia, pojęcia i niczego nie wyrzucałem. Wszystko znajdowało swoje miejsce w kartotece. Nie myślałem o kartotece komputerowej (komputery dopiero wchodziły w powszechne użycie i Belbo był pionierem w tej dziedzinie), posługiwałem się sposobami rękodzielniczymi, ale na kartonikach z cienkiej tektury prowadziłem coś w ro-

dzaju pamięci, w której krzyżowały się odnośniki. Kant... mgławica... Laplace, Kant... Królewiec... siedem mostów w Królewcu... twierdzenia topologiczne... Trochę tak jak z tą grą, w której przez kojarzenie pojęć trzeba dojść w pięciu posunięciach od serdelka do Platona. Zobaczmy: serdelek-świna-szczecina-pędzel-manieryzm-Idea-Platon. Nic trudnego. Nawet najbardziej zakalcowaty rękopis pozwoli zyskać dwadzieścia fiszek do mojego łańcuszka świętego Antoniego. Kryterium było rygorystyczne i - jak mi się zdaje - takim samym posługiwano się w tajnych służbach: nie ma informacji lepszych i gorszych, siła polega na tym, żeby wszystkie je umieścić w kartotece, a następnie tropić skojarzenia. Istnieją zawsze, wystarczy nie lenić się, tylko szukać.

Po mniej więcej dwóch latach pracy byłem zadowolony z samego siebie. Bawiłem się. W tym czasie poznałem Lię.

Kto spyta, wiedz, że jestem Lija;  
Tu się krzątają palce moje skore,  
W mych pięknych rękach wianuszek się zwija.

Dante Alighieri, *Boska Komedia*,  
*Czyściec*, XXVII, 100–102;  
przeł. Edward Porębowicz

Lia. Nie wierzę, bym ją jeszcze zobaczył, ale mogłem nie spotkać jej nigdy. Chciałbym, żeby tu była, żeby trzymała mnie za rękę, kiedy rekonstruuje etapy mojej klęski. Bo mi ją zapowiedziała. Ale musi pozostać poza tą historią, ona i dziecko. Mam nadzieję, że opóźnią powrót, że przybędą już po wszystkim, bo wszystko przecież dobiega końca.

Szesnasty lipca osiemdziesiątego szóstego roku. Mediolan wyludniał się, czytelnia podręczna w bibliotece była prawie pusta.

- Przepraszam, ale tom sto dziewiąty miałam wziąć ja.
- Czemu więc zostawiła go pani na półce?
- Podeszłam do stolika, żeby sprawdzić notatkę.
- To jeszcze nie powód.

Z książką pod pachą bezczelnie poszła do stolika. Usiadłem naprzeciwko i próbowałem zajrzeć jej w oczy.

- Jak pani czyta, przecież to nie jest brajlem? - spytałem.

Podniosła głowę i naprawdę nie wiedziałem, czy to twarz, czy kark.

- Co? - spytała. - Aha, widzę doskonale przez włosy.

Ale mówiąc to, odgarnęła je; miała zielone oczy.

- Ma pani zielone oczy.
- Chyba tak. A co? To źle?

- Proszę sobie wyobrazić! Bywały już takie zielonookie.  
Tak się zaczęło.

- Jedz, jesteś chudy jak szczapa - powiedziała przy kolacji.

O północy siedzieliśmy jeszcze w greckiej restauracji nieopodal Piladego; świeca osadzona w szyjce butelki prawie się stopiła, a my opowiadaliśmy sobie o wszystkim. Uprawialiśmy bardzo podobne zawody i ona właśnie przeglądała hasła w encyklopedii.

Miałem uczucie, że powinienem jej coś powiedzieć. O wpół do pierwszej odgarnęła grzywkę, żeby lepiej mi się przyjrzeć, a ja wycelowałem w nią palcem wskazującym, kciuk unosząc prosto, i oznajmiłem:

- Pim! Strzał w dziesiątkę.

- Dziwne. Dla mnie też.

W ten sposób staliśmy się jednym ciałem i od tego wieczoru byłem dla niej Pimem.

Nie mogliśmy pozwolić sobie na nowe mieszkanie, spałem u niej, a ona zostawała często w moim biurze albo ruszała na polowanie, gdyż była lepszym ode mnie tropicielem i umiała podsunąć mi cenne skojarzenia.

- Zdaje się, że mamy prawie pustą fiszkę dotyczącą różokrzyżowców - zauważyła.

- Muszę kiedyś do niej wrócić, to notatki z Brazylii...

- Dobrze, wpisz odgałęzienie do Yeatsa.

- Co tu ma do rzeczy Yeats?

- Owszem, ma. Czytam właśnie, że był członkiem stowarzyszenia różokrzyżowców, które nazywało się Gwiazda Zaranna.

- Co ja bym bez ciebie zrobił?

Znowu zacząłem chodzić do Piladego, gdyż było to miejsce ubijania interesów, spotykałem tam klientów.

Pewnego wieczoru zobaczyłem Belba (w poprzednich latach musiał przychodzić tu rzadko, a później wrócił do starego nawyku, kiedy poznał Lorenzę Pellegrini). Zawsze taki sam, może trochę bardziej szpakowaty, odrobinę chudszy, ale nie za wiele.

Spotkanie było serdeczne, oczywiście w granicach, jakie wyznaczała jego natura. Kilka żartów o dawnych czasach, parę powściągliwych uwag na temat ostatniego wydarzenia, w które obaj byliśmy zamieszani, oraz jego epistolarnych następstw. Komisarz De Angelis nie dał już znaku życia. Być może więc sprawa jest zamknięta.

Kiedy powiedziałem mu o swojej pracy, okazał zainteresowanie.

- W gruncie rzeczy to byłoby zajęcie dla mnie, być Samem Spade'em kultury, dwadzieścia dolarów dziennie plus koszt.

- Ale nie przychodzą do mnie tajemnicze i fascynujące kobiety i nikt mi nie opowiada o sokole maltańskim.

- Nigdy nie wiadomo. To zabawne.

- Zabawne? - spytałem. I przytoczyłem jego słowa: - To jedyna rzecz, jaką moim zdaniem umiem robić dobrze.

- *Good for you* - odparł.

Spotykaliśmy się jeszcze wiele razy, opowiedziałem mu o swoich przeżyciach brazylijskich, ale widziałem, że jest ciągle jakiś roztargniony, bardziej niż zwykle. Kiedy nie było Lorenzy Pellegrini, siedział ze wzrokiem utkwionym w drzwi, kiedy była, nerwowo zerkał w stronę baru i śledził wszystkie jej ruchy. Pewnego wieczoru, tuż przed zamknięciem, powiedział, patrząc w drugą stronę:



- Proszę posłuchać, może się okazać, że jest nam pan potrzebny, ale nie do udzielenia doraźnej konsultacji. Czy mógłby poświęcić mi pan, powiedzmy w tym tygodniu, któreś popołudnie?

- Nie widzę przeszkód. O co chodzi?

- Pewne zakłady metalurgiczne powierzyły nam książkę o metalach. Chodzi przede wszystkim o obrazki. Pozycja popularna, ale i poważna. Domyśla się pan, w czym rzecz. Metale w historii ludzkości, od wieku żelaza do stopów stosowanych w astronautyce. Potrzebujemy kogoś, kto przeszedłby się po bibliotekach i archiwach i wyszukał piękne ilustracje, stare miniatury, ryciny z dziewiętnastowiecznych dzieł, bo ja wiem, o odlewach albo piorunochronach.

- Dobrze, wpadnę jutro.

Podeszła Lorenza Pellegrini.

- Odwiesz mnie do domu?

- Dlaczego dzisiaj ja?

- Bo jesteś mężczyzną mojego życia.

Zarumienił się, jak to mu się zdarzało, jeszcze bardziej odwracając głowę. Powiedział:

- Mamy świadka.

I zwracając się do mnie:

- Jestem mężczyzną jej życia. Lorenza.

- Cześć.

- Cześć.

Wstał i szepnął jej coś do ucha.

- Co to ma za związek? - zdziwiła się. - Spytałam, czy odwiesz mnie do domu.

- Aha - rzekł. - Przepraszam pana, Casaubon, będę taksówkarzem dla kobiety nie wiadomo czyjego życia.

- Głuptasie - powiedziała czule i pocałowała go w policzek.

Proszę pozwolić, że udzielię rady memu przyszłemu lub obecnemu czytelnikowi, jeśli okaże się prawdziwym melancholikiem: nie powinien czytać o symptomach i prognostykach w dalszej części książki, by nie popadł w zatroszenie i by nie wynikło dlań więcej zła niż dobra, kiedy zastosuje do siebie to, co przeczyta... jak czyni większość melancholików.

R. Burton, *Anatomy of Melancholy*, Oxford 1621, wstęp

Nie ulegało wątpliwości, że Belbo był w jakiś sposób związany z Lorenzą Pellegrini. Nie wiedziałem, jak mocno i od kiedy. Nawet pliki Abulafii nie pomogły mi odtworzyć tej historii.

Jest na przykład nieoznaczony datą plik mówiący o kolacji z doktorem Wagnerem. Belbo znał doktora Wagnera jeszcze przed moim wyjazdem i miał podtrzymywać tę znajomość także po tym, jak zacząłem współpracować z Garamondem, więc ja też się do niego zbliżyłem. A zatem ta kolacja mogła poprzedzać wieczór, o którym piszę, albo po nim następować. Jeśli poprzedzała, pojmuję zażenowanie Belba, jego stateczną rozpacz.

Doktor Wagner – Austriak od lat mieszkający w Paryżu, stąd wymowa Vagnère, zalecana każdemu, kto chciał pochwalić się zażyłością z tym uczonym – od mniej więcej pięćdziesięciu lat był regularnie zapraszany do Mediolanu przez dwie grupy rewolucyjne wywodzące się z okresu bezpośrednio po sześćdziesiątym ósmym. Wyrzywały go sobie i oczywiście każda podawała radykalnie odmienną wersję jego myśli. Nigdy nie byłem w stanie pojąć, dlaczego ten człowiek zgodził się na to, by sponsorowały go ugrupowania parlamentarne. Teorie Wagnera były wyprane z barw, jeśli można tak rzec, i gdyby tylko chciał, mógłby być zapraszany przez uniwersy-

tety, kliniki, akademie. Myślę, że przyjmował te zaproszenia, a nie inne, gdyż był w gruncie rzeczy epikurejczykiem i zależało mu na książęcym goście przy zwrocie kosztów. Osoby prywatne potrafią zgromadzić więcej pieniędzy niż instytucje, a dla doktora Wagnera oznaczało to podróż pierwszą klasą, luksusowy hotel plus rachunki za wykłady i seminaria, obliczane według taryfikatora, który stosował jako terapeuta.

Dlaczego właściwie te dwie grupy znalazły źródło inspiracji ideologicznej w teoriach Wagnera, to całkiem inna sprawa. Ale w tamtych latach jego psychoanaliza wydawała się wystarczająco destruktywna, kontrowersyjna i nastawiona na kwestię libido, by dać teoretyczny zapłon do działalności rewolucyjnej.

Okazało się, że jest niestrawna dla robotników, i być może właśnie dlatego w pewnym momencie dwie grupy musiały wybierać między robotnikami a Wagnerem i wybrały Wagnera. Wypracowano koncepcję, że nowym podmiotem rewolucyjnym będzie nie proletariatus, lecz zboczeńcy seksualni.

- Zamiast doprowadzać do zboczenia proletariuszy, lepiej sproletaryzować zboczeńców, i jest to łatwiejsze, jeśli wziąć pod uwagę ceny doktora Wagnera - powiedział mi któregoś dnia Belbo.

Rewolucja wagnerowców była z pewnością najkosztowniejszą rewolucją w dziejach świata.

Garamond, sfinansowany przez jeden z instytutów psychologii, przetłumaczył zbiór drobniejszych esejów Wagnera, bardzo specjalistycznych, ale już nieosiągalnych, a więc pożądanym przez wiernych wyznawców. Wagner przybył do Mediolanu na prezentację książki i w tych okolicznościach zaczęła się jego znajomość z Belbem.

---

Demoniczny doktor Wagner

Odcinek dwudziesty szósty

Kto w ten poranek...

Podczas dyskusji wystąpiłem z zastrzeżeniem. Sataniczny starzec był tym z pewnością poirytowany, ale nie dał tego po sobie poznać. Odpowiedział nawet tak, jakby chciał mnie oczarować.

Robił wrażenie Charlusa i Jupiena, pszczoły i kwiatka. Geniusz nie potrafi znieść tego, że nie jest kochany, i natychmiast musi oczarować każdego, kto jest odmiennego zdania, by ten go pokochał. Udało mu się, pokochałem go.

Chyba mi jednak nie wybaczył, gdyż w wieczór rozvodu wymierzył mi cios. Nie wiedząc o tym, instynktownie: podświadomie próbował mnie oczarować i podświadomie postanowił mnie ukarać. Za cenę deontologii dokonał gratis mojej psychoanalizy. Podświadomość kąsa nawet swoich strażników.

Historia markiza de Lantenac z *Roku 93*. Okręt Wandejczyków znajduje się w czasie sztormu na pełnym morzu nieopodal wybrzeży bretońskich, w pewnym momencie któreś z dział wyrывa się z łożyska, a ponieważ okrętem miota na wszystkie strony, dział rusza w szaleńczy tan po pokładzie: ogromna bestia grozi rozwaleniem jednej lub drugiej burty. Jeden z kanonierów (niestety ten, przez którego niedbalstwo dział nie zostało należycie umocowane), okazując niezrównaną odwagę, z łańcuchem w dłoni rzuca się pod bestię, która prawie go miażdży, i zatrzymuje ją, unieruchamia, wlecze do łożyska. Straszliwy Lantenac uroczyście zwołuje załogę na pokład, chwali śmiałka, zdejmuje ze swojej szyi wysokie odznaczenie, dekoruje go nim, bierze w ramiona, a załoga wrzeszczy wniebogłosy: hura!

Następnie Lantenac, twardy jak diament, przypomina, że właśnie odznaczony ponosi odpowiedzialność za całe wydarzenie, i każe go rozstrzelać.

Wspaniały Lantenac, cnotliwy, sprawiedliwy, bez skazy! Tak samo zrobił ze mną doktor Wagner, zaszczycił swoją przyjaźnią, a potem zabił, odsłaniając mi prawdę.

i zabił, odsłaniając, czego naprawdę pragnę

i ujawnił, czego, pragnąc, lękałem się.

Historia zaczyna się od życia barowego. Potrzeba zakochania się.

Czasem czujesz, że coś się stanie, zakochujesz się nie dlatego, że się zakochujesz, zakochujesz się, ponieważ w danym momencie miałeś rozpaczliwą potrzebę zakochania się. W okresach, kiedy czujesz potrzebę zakochania się, winieś baczyć, którądy stąpasz: zupełnie jak po wypiciu jednego z tych wywarów, co sprawiają, że zakochujesz się w pierwszej spotkanej istocie. Może to być dziobak.

Dlaczego odczuwałem taką potrzebę właśnie w momencie, kiedy przestałem pić? Związek między wątrową a sercem. Nowa miłość to dobry powód, żeby

zacząć znowu pić. Jest z kim ruszyć na wędrówkę po barach. Poczuć się dobrze.

Wędrówka po knajpach jest krótka i ukradkowa. Pozwala ci na długie i pełne słodczy oczekiwanie przez cały dzień, aż będziesz mógł pójść i skryć się w półcieniu, zapaść w skórzany fotel, o szóstej po południu jest pusto, plugawa klientela zjawi się wieczorem, kiedy zaczną się występy pianisty. Wybrać późnym popołudniem pusty i dwuznaczny bar amerykański, kelner przychodzi dopiero po trzecim wezwaniu i niesie już gotowe koktajle martini.

Najważniejsza rzecz to martini. Nie whisky, lecz martini. Płyn jest biały, unieś kieliszek, zobaczysz, jaki oleisty. Różnica między patrzeniem na ukochaną kobietę przez koktajl martini w trójkątym, zbyt małym kieliszku a patrzeniem na nią przez martini z ginem *on the rocks* przez szklaneczkę; jej twarz ulega kubi-stycznym rozbićciu w przezroczystych kostkach lodu, a efekt zdwojony uzyskacie, jeśli zbliżycie swoje szklaneczki i oprzecie czoła o chłodne szkło, tak by między waszymi czołami znalazły się szklaneczki – z kieliszkiem to niemożliwe.

Krótką porą knajpy. Potem będziesz czekał z drzeniem na następny wieczór. Nie istnieje okup za poczucie bezpieczeństwa.

Kto zakochuje się barowo, nie potrzebuje kobiety wyłącznie dla siebie. Ktoś wypożycza was tylko jedno drugiemu.

Jego wizerunek. Zostawiał wam dużo swobody, wiecznie był w rozjazdach. Podejrzana szczodrość, mogłem telefonować nawet o północy, on był, ciebie nie było, odpowiadał, że nie ma cię w domu, ale skoro już dzwonicz, może wiesz przypadkiem, gdzie się zapodziała. Jedyne chwile zazdrości. Ale w ten sam sposób odbierałem Cecilię saksofoniście. Kochać albo sądzić, że się kocha – jako wieczny kapłan odwiecznej wendety.

Skomplikowały się sprawy z Sandrą; uświadomiła sobie, że tym razem wpadłem naprawdę, żyjemy w ciągłym napięciu. Powinniśmy się rozstać? No więc rozstańmy się. Nie, poczekajmy, pomówmy. Nie, tak nie może dłużej trwać. W sumie problemem była Sandra.

Kiedy ruszasz na wędrówkę po knajpach, dramat namiętności polega nie na tym, z kim wędrujesz, ale z kim się rozchodzisz.

W tym czasie wypada kolacja z doktorem Wagnerem. Podczas wykładu podał tylko pewnemu prowokatorowi definicję psychoanalizy: *La psychanalyse? C'est qu'entre l'homme et la femme... chers amis... ça ne colle pas.*

Dyskutowano o małżeństwie, o rozwodzie jako złudzeniu Prawa. Pochłonięty moimi problemami, z żarliwością uczestniczyłem w rozmowie. Daliśmy się wciągnąć w igraszki dialektyczne, my mówiliśmy, a Wagner milczał, zapomnieliśmy, że mamy wśród nas wyrocznie. Miał minę pogrążonego w myślach.

miał minę milczka

miał minę melancholika, którego to nie obchodzi

i z tą miną człowieka, który odbiega od tematu, Wagner oznajmił (próbuję przypomnieć sobie dokładnie słowa, wyryły mi się przecież w pamięci, niemożliwe, bym sam siebie oszukał): „W całym moim życiu zawodowym nie miałem nigdy pacjenta cierpiącego na nerwicę przez swój rozwód. Powodem złego samopoczucia był zawsze rozwód Tamtego”.

Doktor Wagner nawet wymawiał słowo Tamten przez duże „T”. Faktem jest, że podskoczyłem jak ukąszony przez żmiję.

wicehrabia podskoczył, jakby ukąsiła go żmija

lodowaty pot wystąpił mu na czoło

baron przyglądał mu się przez kłęby dymu snujące się leniwie z jego delikatnych rosyjskich papierosów

– Chce pan powiedzieć – spytałem – że kryzys następuje nie ze względu na rozwód z własnym partnerem, ale ze względu na możliwość lub niemożliwość rozwodu tej trzeciej osoby, sprawcy kryzysu małżeństwa, którego jest się uczestnikiem?

Wagner przyjrzał mi się z zakłopotaniem laika, który po raz pierwszy spotyka się z osobą niezrównoważoną psychicznie. Spytał, co mam na myśli.

Prawdę mówiąc, cokolwiek chciałem powiedzieć, powiedziałem to niezdarnie. Spróbowałem osiągnąć większą precyzję rozumowania. Wziąłem ze stołu łyżkę i położyłem ją obok widelca.

– Tutaj jestem ja, Widelec, ożeniony z nią, Łyżką. A tu mamy drugie małżeństwo, Łyżeczki z Nożem lub Mackie Majchrem. Teraz mnie, Widelcowi, wydaje się, że cierpię, gdyż muszę opuścić moją Łyżkę, ale nie chciałbym, Kocham Łyżeczkę, ale chcę, żeby pozostała ze swoim Nożem. Jednak w gruncie rzeczy powiada mi pan: doktorze Wagner, czuję się źle, gdyż Łyżeczka nie rozstaje się z Nożem. Czy tak?

Wagner odpowiedział innemu współbiednikowi, że niczego takiego nie twierdził.

– Czyż nie powiedział pan tego? Stwierdził pan przecież, że nigdy nie spotkał nikogo znerwicowanego z powodu swojego rozwodu, ale zawsze z powodu rozwodu tego innego.

– Być może, nie pamiętam – oznajmił wówczas niechętnie Wagner.

– A skoro tak, czy nie miał pan na myśli tego, co ja zrozumiałem?

Wagner milczał przez parę minut.

Kiedy biesiadnicy czekali, nawet nie przełykając, Wagner skinął, żeby nalano mu wina, przyjrzał się uważnie płynowi pod światło i wreszcie przemówił.

– Skoro tak to pan zrozumiał, to dlatego, że tak właśnie chciał pan to zrozumieć.

Potem odwrócił się w inną stronę, oznajmił, że robi się gorąco, wspomniał o pewnej arii z opery lirycznej, poruszając bułeczką, jakby dyrygował daleką orkiestrą, ziewnął, skupił się na ciastku z kremem, a w końcu, po kolejnym ataku mutyzmu, poprosił, żeby odwieziono go do hotelu.

Pozostali spojrzeli na mnie jak na kogoś, kto zrujnował sympozjum, na którym mogły paść Słowa ostateczne.

Prawdę mówiąc, to ja usłyszałem, jak przemawia Prawda.

Zadzwoniłem do ciebie. Byłaś w domu, z Tamtym. Spędziłem bezsenną noc. Wszystko stało się jasne: nie mogłem znieść, że jesteś przy nim. Sandra nie miała tu nic do rzeczy.

Nastąpiło sześć dramatycznych miesięcy, kiedy nie dawałem ci chwili spokoju, czułaś na karku mój oddech, chciałem zniszczyć twoje małżeństwo, wmawiając ci, że chcę cię wyłącznie dla siebie i że nienawidzisz Tamtego. Zaczęłaś się z nim kłócić, on zaś stał się wymagający, zazdrosny, nie wychodził wieczorami. Kiedy był w podróży, dzwonił dwa razy dziennie, a nawet w środku nocy. Pewnego wieczoru spoliczkował cię. Zażądałaś ode mnie pieniędzy, bo chciałaś uciec, wyjechałaś w góry z przyjaciółmi, nie zostawiając mi adresu. Tamten telefonował do mnie, rozpaczliwie pytając, czy nie wiem, gdzie jesteś, a ja nie wiedziałem, i chyba wyglądało to na kłamstwo, bo powiedziałaś, że rzucasz go dla mnie.

Kiedy wróciłaś, oznajmiłaś płomiennie, że napisałaś do niego pożegnalny list. W tym punkcie zadałem sobie pytanie, do czego dojdzie między mną a Sandrą, ale nie zdążyłem nawet się zatrwożyć. Oznajmiłaś, że poznałaś kogoś z blizną na policzku i bardzo cygańskim mieszkaniem. Zostaniesz z nim.

– Już mnie nie kochasz?

– Przeciwnie, jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu, ale po tym wszystkim, co się zdarzyło, czuję potrzebę przeżycia tego doświadczenia, nie bądź dziecinny, spróbuj mnie zrozumieć, w gruncie rzeczy rzuciłam męża dla ciebie, niech każdy żyje po swojemu.

– Po swojemu? Masz na myśli to, że odchodzisz z innym?

– Jesteś intelektualistą, w dodatku lewicowym, nie zachowuj się więc jak mafioso. Do zobaczenia.

Wszystko zawdzięczam doktorowi Wagnerowi.

---



Kto rozmyśla nad czterema rzeczami, lepiej byłoby dla niego, żeby się nigdy nie narodził: nad tym, co jest nad, co jest pod, co jest przed i co jest po.

Talmud, *Chagiga*, 2.1

Stawiłem się w Garamondzie właśnie tego ranka, kiedy instalowali Abulafię, podczas gdy Belbo i Diotallevi zatracali się w diatrybie na cześć imion Boga, a Gudrun podejrzliwie przyglądała się mężczyznom, którzy ten nowy i niepokojący byt wciskali między stopy coraz bardziej zakurzonych maszynopisów.

- Niech pan siada, Casaubon, tutaj są projekty do naszej historii metali.

Zostaliśmy we dwóch i Belbo pokazał mi spis treści, szkice rozdziałów, schematy paginacji. Miałem przeczytać tekst i dobrać ilustracje. Wymieniłem kilka mediolańskich bibliotek, które uważałem za dobrze zaopatrzone.

- To nie wystarczy - stwierdził Belbo. - Trzeba będzie zajrzeć jeszcze w inne miejsca. Na przykład w Muzeum Nauki w Monachium jest wspaniała fototeka. W Paryżu mamy Conservatoire des Arts et Métiers. Chciałbym tam zajrzeć sam, ale boję się, że nie będę miał czasu.

- Jest takie niezwykle?

- Niepokojące. Triumf maszyny w gotyckim kościele... - Zawahał się, ułożył jakieś kartki poniewierające się po biurku. Potem dodał głosem takim, jakby bał się nadać zbyt wielką wagę swojej informacji: - Mają tam Wahadło.

- Co za wahadło?

- Wahadło. Nazywa się wahadłem Foucaulta.

Opisał mi Wahadło tak, jak zobaczyłem je w sobotę - a może w sobotę ujrzałem je właśnie dlatego takim, że Belbo przygotował mnie na ten widok. Wtedy jednak nie okazałem chyba zbyt wielkiego entuzjazmu, bo spojrzał na mnie jak na człowieka, który omiótłszy wzrokiem wnętrze Kaplicy Sykstyńskiej, pyta, czy to wszystko.

- Panuje tam atmosfera kościoła, ale zapewniam, że wrażenie jest niezwykle. Proszę pomyśleć: wszystko wokół nas dokądś pędzi i tylko tam w górze tkwi jedyny punkt stały we wszechświecie... Dla niedowiarka to okazja powrotu do Boga, i to bez podważania swojego niedowiarstwa, gdyż chodzi o Biegun Nicości. Widzi pan, dla ludzi z mojej generacji, która nałykała się rozczarowań na śniadanie i kolację, może to być kojące.

- Moja generacja skonsumowała więcej rozczarowań.

- To zarozumiałstwo. Nie, dla was był to tylko etap, śpiewaliście karmaniołę, a potem znaleźliście się w Wandei. To szybko minie. Z nami było inaczej. Najpierw faszyzm, nawet jeśli przeżywaliśmy go jako dzieci, a więc jak powieść przygodową - nieśmiertelne przeznaczenie było punktem stałym. Następnym punktem stałym był ruch oporu, zwłaszcza dla tych, którzy, jak ja, przyglądali mu się z zewnątrz i uczynili z niego rytuał życia, powrót wiosny, ekwinokcjum czy też solstycjum, zawsze mi się to myli... Potem dla jednych Bóg, dla innych klasa robotnicza, a dla wielu i jedno, i drugie. Dla intelektualisty pocieszająca była myśl, że istnieje robotnik, piękny, czysty, mocny, gotów przystąpić do przebudowy świata. A jeszcze potem, sami byliście tego świadkami, robotnik pozostał, ale klasa zniknęła. Zabili ją pewnie na Węgrzech. I zjawiliście się wy. Dla was było to pewnie natu-

ralne, zapanował nastrój święta. Dla ludzi w moim wieku przyszła pora zdawania rachunków, wyrzutów sumienia, skruchy, odrodzenia duchowego. Nam się nie powiodło, ale oto wy przynosicie entuzjazm, śmiałość, samokrytykę. Dla nas, którzy mieliśmy wtedy trzydzieści pięć albo czterdzieści lat, była to nadzieja, upokarzająca, ale nadzieja. Na nowo staliśmy się jak wy, płacąc jednak za to określoną cenę: wszystko musieliśmy zaczynać od nowa. Nie nosiliśmy już krawatów, zrzuciliśmy *trench coats*, a kupiliśmy sobie używane kurtki, ten i ów porzucił nawet pracę, żeby nie służyć burżujom...

Zapalił papierosa i udał urazę, jakby chciał, by wybaczone mu wylewność.

- I cofnęliście się na wszystkich frontach. My, z naszymi pokutniczymi pielgrzymkami do katakumb ardeatyńskich, odmawialiśmy wymyślenia haseł reklamowych dla Coca-Coli, gdyż byliśmy antyfaszystami. Zadowalaliśmy się nędznymi zarobkami u Garamonda, gdyż przynajmniej książka jest demokratyczna. A wy teraz, żeby zemścić się na burżujach, których nie zdołaliście zaprowadzić na szubienicę, sprzedajecie im wideokasety i tygodniki dla fanów rocka, ogłupiacie ich zenem i sztuką konserwacji motocykla. Ustawiliście nas za cenę podpisania się pod waszą wersją myśli Mao i za te pieniądze poszliście kupić sobie petardy na święto nowej kreatywności. Bez cienia wstydu. My wstydziliśmy się przez całe życie. Oszukaliście nas, nie było w was ani krzty czystości, to wszystko okazało się młodzieńczym trądzikiem. Przez was poczuliśmy się jak robaki, gdyż nie mieliśmy dość odwagi, by z otwartą przyłbicą stawić czoło boliwijskiej żandarmerii, a potem strzelaliście w plecy nieszczęśnikom, którzy prze-

chodzili akurat ulicą. Dziesięć lat temu zdarzało się nam kłamać, żeby wyciągnąć któregoś z was z więzienia, wy zaś kłamaliście, żeby posyłać do więzienia swoich przyjaciół. Dlatego podoba mi się tamto urządzenie: jest głupie, w nic nie wierzy, nie narzuca mi wiary, robi, co mu każę, ja głupi i ono głupie... lub on. To uczciwa relacja.

- Ja...

- Pan jest niewinny, Casaubon. Uciekł pan, zamiast rzucać kamieniami, skończył studia, nie strzelał. A jednak kilka lat temu czułem się szantażowany także przez pana. Proszę jednak przyjąć do wiadomości, że nie było w tym niczego osobistego. Cykle pokoleń. A kiedy zobaczyłem w zeszłym roku Wahadło, zrozumiałem wszystko.

- Co wszystko?

- Prawie wszystko. Widzi pan, Casaubon, nawet Wahadło jest fałszywym prorokiem. Człowiek patrzy na nie, sądzi, że to jedyny punkt stały w kosmosie, lecz przecież jeśli odczepi się je od sklepienia Conservatoire i powiesi w burdelu, też będzie funkcjonowało. Są zresztą inne wahadła, jedno w Nowym Jorku w gmachu ONZ, jedno w San Francisco w Muzeum Nauki i kto wie ile jeszcze innych. Wahadło Foucaulta jest niezmiennie, tylko Ziemia obraca się bez względu na to, w jakim miejscu je zawiesić. Każdy punkt wszechświata jest punktem stałym, wystarczy zawiesić w nim Wahadło.

- Bóg jest wszędzie?

- W pewnym sensie tak. Właśnie dlatego Wahadło mnie denerwuje. Obiecuje nieskończoność, ale mnie pozostawia decyzję, gdzie chcę ją mieć. Tak więc nie wystarczy adoracja Wahadła tam, gdzie jest, trzeba jeszcze podjąć decyzję i poszukać lepszego punktu. Albo...

- Albo?

- Albo... nie weźmie pan jednak tego poważnie, prawda, Casaubon? Nie, mogę być spokojny, należymy do ludzi, których nie bierze się poważnie... Albo, jak mówiłem, ma się uczucie, że człowiek w swoim życiu zawieszał Wahadło w wielu miejscach i nigdzie nie funkcjonowało, a tam, w Conservatoire, kołysze się bez zarzutu... A jeśli w kosmosie istnieją jakieś punkty osobliwe? Tutaj, pod sufitem tego pokoju? Nie, nikt w to nie uwierzy. Potrzebna jest atmosfera. Bo ja wiem, może ciągle szukamy właściwego punktu, może jest blisko nas, ale nie potrafimy go rozpoznać, bo trzeba by uwierzyć... No tak, idziemy do pana Garamonda.

- Zawiesić Wahadło?

- Och, to głupstwa. Idziemy załatwić sprawy poważne. Żeby były pieniądze, trzeba pokazać pana szefowi, który musi pana dotknąć, obwąchać i oznajmić, że jest pan w porządku. Chodźmy, niech pana obmaca, jego dotyk leczy ze skrofułów.

Mistrz Tajemny, Mistrz Doskonały, Mistrz od Ciekawości, Intendent Gmachów, Wybraniec Dziewięciu, Kawaler Prawdziwej Arki Salomona i Mistrz Dziewiętej Arki, Wielki Szkot Świętego Sklepienia, Kawaler Orientu i Miecza, Księżę Jerozolimy, Rycerz Wschodu i Zachodu, Księżę Różanego Krzyża i Kawaler Orła i Pelikana, Wielki Pontifex i Wzniosły Szkot Niebiańskiego Jeruzalem, Czcigodny Mistrz Wszystkich Lóż *ad vitam*, Kawaler Pruski i Patriarcha Noachicki, Kawaler Rzeczywistego Topora albo Księżę Libanu, Księżę Tabernakulum, Kawaler Miedzianego Węża, Kawaler Współczucia i Łaski, Wielki Komtur Świętyni, Kawaler Słońca albo Księżę Adept, Kawaler Świętego Andrzeja Szkockiego lub Wielki Mistrz Światła, Kawaler Wielkiego Wybrańca Kadosza i Kawaler Białego i Czarnego Orła.

wyższe stopnie Masonerii Rytu Szkockiego  
Antycznego i Uznanego

Przeszliśmy korytarzem, pokonaliśmy trzy schodki i otworzyliśmy drzwi ze szlifowanego szkła. Od razu znaleźliśmy się w innym świecie. Pomieszczenia, które oglądałem dotychczas, były mroczne, zakurzone, poobijane, te przypominały salon dla VIP-ów na międzynarodowym lotnisku. Sącząca się muzyka, błękitne ściany, sala o wyglądzie kojącym, markowe meble, ściany ozdobione fotografiami, na których widnieli panowie o twarzach posłów do parlamentu, wręczający skrzydlatą Nike panom o obliczach senatorów. Na stoliku, rzucone niedbale niby w poczekalni u dentysty, jakieś czasopisma wydrukowane na lakierowanym papierze. „Dowcip Literacki”, „Poetycki Atanor”, „Róża i Kolec”, „Parnas Winopłynny”, „Wiersz Swobodny”. Nigdy nie widziałem ich w obiegu i potem dowiedziałem się dlaczego. Były rozprowadzane wyłącznie wśród klientów firmy Manuzio.

W pierwszej chwili sądziłem, że znaleźliśmy się w strefie dyrektorskiej Garamonda, ale szybko musiałem zmienić zda-

nie. Byliśmy w biurach innego domu wydawniczego. W korytarzu Garamonda była mroczna i brudna gablota z ostatnio wydanymi książkami, ale były to książki skromne, wymagające rozcięcia i miały nierzucające się w oczy, szarawe okładki – przypominały francuskie wydania uniwersyteckie drukowane na papierze żółknącym po paru latach, co miało sugerować, że autor, a już zwłaszcza autor młody, publikuje od nie wiadomo jak dawna. Tutaj była inna witryna, oświetlona od środka, goszcząca książki domu wydawniczego Manuzio, niektóre otwarte na najpiękniejszych stronicach: okładki białe, lekkie, foliowane, bardzo eleganckie, papier ryżowy, czcionka piękna, wyraźna.

Serie Garamonda nosiły nazwy poważne i skłaniające do refleksji, jak *Studia Humanistyczne* albo *Filozoficzne*. Serie Manuzia miały nazwy subtelne i poetyckie: *Nie Zrywaj Tego Kwiatka* (poezja), *Ziemia Nieznana* (proza), *Godzina Olean dra* (gościła tytuły w rodzaju *Dziennik chorej dziewczynki*), *Wyspa Wielkanocna* (zdaje się, że ta obejmowała różnorodną eseistykę), *Nowa Atlantyda* (ostatnim opublikowanym dziełem była *Koenigsberg Redenta – Prolegomena do wszelkiej przyszłej metafizyki, która zaprezentuje się jako podwójny system transcendentalny, i wiedza o noumenie fenomenologicznym*). Na wszystkich okładkach znak firmy, pelikan pod palmą, i dewiza: „Mam tyle, ile dałem innym”.

Belbo był mglisty, a jednocześnie zwięzły: pan Garamond ma dwa wydawnictwa, to wszystko. W następnych dniach spostrzegłem, że przejście między Garamondem a Manuziem jest całkowicie prywatne i poufne. Oficjalne wejście do Manuzia było przy ulicy Marchese Gualdi, gdzie zaropiały świat z Sincero Renato ustępował miejsca wyszorowanemu świeżo

fasadom, szerokim schodom wejściowym, lśniącym od aluminium window. Nikt nie mógł podejrzewać, że apartament starego przedsiębiorstwa przy Sincero Renato łączy się trzema ledwie schodkami z firmą jak się patrzy, mieszczącą się przy ulicy Gualdi. Aby uzyskać na to pozwolenie, pan Garamond musiał nieźle się nagimnastykować, zdaje się, że skorzystał nawet z rekomendacji jednego ze swoich autorów, pracownika urzędu budowlanego.

Zostaliśmy przyjęci od razu przez panią Grazię, łagodnie macierzyńską, w apaszcze znanej firmy i kostiumie dopasowanym kolorem do ścian; ze stosownym uśmiechem wprowadziła nas do gabinetu map.

Pomieszczenie nie było zbyt duże, ale nasuwało na myśl salon w Palazzo Venezia, pewnie z powodu globusa przy wejściu i stojącego w głębi mahoniowego biurka pana Garamonda, który wyglądał tak, jakby patrzono na niego przez odwrotną stronę lunety. Garamond skinął, żebyśmy podeszli, i poczułem się nagle onieśmielony. Później, kiedy wszedł De Gubernatis, Garamond wybiegł mu naprzeciw i ten gest serdeczności nadał mu jeszcze większy charyzmat, gdyż gość najpierw widział, jak Garamond kroczy przez salę, a później wraca tą samą drogą, prowadząc go pod ramię: przestrzeń w jakiś magiczny sposób powiększała się dwukrotnie.

Garamond kazał nam usiąść naprzeciwko swojego biurka i traktował nas z szorstką życzliwością.

- Doktor Belbo chwalił pana, doktorze Casaubon. Potrzebujemy sprawnych współpracowników. Jak pan pojmuje, nie wchodzi w grę stała posada, nie możemy sobie na to pozwolić. Będzie pan wynagradzany stosownie do swej pilności, do oddania, jeśli pan pozwoli, albowiem nasza praca jest rodza-



jem posłannictwa.

Rzucił liczbę *à forfait*, na podstawie przypuszczalnych godzin pracy, i w tamtym momencie wydała mi się ona rozsądna.

- Doskonale, drogi Casaubon. - Wyeliminował tytułowanie, z chwilą gdy stałem się jego pracobiorcą. - Ta historia metali ma być okazała, powiem więcej, przepiękna. Popularna, przystępna, ale naukowa. Musi działać na wyobraźnię czytelnika, lecz od strony naukowej. Podam panu przykład. Czytam tutaj, w pierwszych szkicach, że była ta kula... jakże się nazywa... magdeburska, dwie zestawione półkule, a w środku wytwarzało się próżnię. Zaprzęgli do niej dwie pary normandzkich koni, jedną z jednej, a drugą z drugiej strony, i ciągnęły, ale nie rozdzieliły dwóch półkul. Dobrze, to informacja naukowa. Musi pan jednak wyłuskać ją spośród wszystkich innych, mniej malowniczych. A kiedy już ją pan wyłuska, trzeba znaleźć ilustrację, fresk, olej, co się uda. Ówczesną. Damy ją na całą stronę, w kolorach.

- Jest taka rycina - oznajmiłem. - Znam ją.

- No widzi pan? Wybornie. Cała stronica. Barwna.

- Jeśli to rycina, będzie czarno-biała - wyjaśniłem.

- Ach, tak? Doskonale, w takim razie czarno-biała. Naszym hasłem jest wierność. Ale na złotym tle, żeby uderzyła czytelnika jak obuchem. Musi poczuć, że tam jest, tego dnia, kiedy przeprowadzano eksperyment. Jasne? Naukowość, realizm, pasja. Naukę można wykorzystać, żeby chwycić czytelnika za trzewia. Chodzi o coś teatralnego, dramatycznego, jak madame Curie, która wraca wieczorem do domu i widzi w ciemności fosforyzujące światło, o mój Boże, a co to takiego... To węglowodan, golkonda, flogiston, czy jak się zowie,

i voilà – Maria Curie odkryła promieniowanie X. Dramatyzować. Z poszanowaniem prawdy.

– Czy promieniowanie X ma coś wspólnego z metalami? – spytałem.

– A czy rad nie jest metalem?

– Chyba jest.

– Sam pan widzi. Wychodząc od metali, można puścić w ruch całe uniwersum wiedzy. Belbo, jaki tytuł daliśmy książce?

– Myśleliśmy o czymś poważnym, w rodzaju *Metale a kultura materialna*.

– I musi to być rzecz poważna. Ale z tym wabikiem, z tym czymś, co mówi wszystko, pomyślmy... Mam. *Powszechna historia metali*. Są tam Chińczycy?

– Tak, są.

– A więc powszechna. To nie sztuczka reklamowa, ale czysta prawda. A nawet *Cudowna przygoda metali*.

W tym właśnie momencie pani Grazia zaanonsowała komandora De Gubernatis. Pan Garamond zawahał się, spojrzął na mnie niepewnie, ale Belbo dał mu znak, jakby chciał zapewnić, że teraz może mi zaufać. Garamond polecił więc, żeby wprowadzono gościa, i ruszył mu naprzeciw. De Gubernatis ubrany był w dwurzędowy garnitur, miał rozetkę odznaczenia w butonierce, wieczne pióro w kieszonce, złożoną gazetę w bocznej kieszeni i teczkę pod pachą.

– Kochany komandorze, proszę siadać. Mój drogi przyjaciel, De Ambrosiis, mówił mi o panu, o całym życiu w służbie państwa. I utajona wena poetycka, prawda? Proszę zaraz mi pokazać ten skarb, który trzyma pan w rękach... Przedstawiam panu dwóch moich dyrektorów generalnych.

Posadził go przed biurkiem zavalonym rękopisami i ręką drżącą z ciekawości pogładził teczkę zawierającą arcydzieło, które mu przyniesiono.

- Proszę nic nie mówić, wiem wszystko. Pochodzi pan z Vipiteno, miasta wielkiego i szlchetnego. Życie spędzone w służbie celnej. I w tajemnicy dzień po dniu, noc po nocy te stroniczki podyktowane przez demona poezji. Poezja... Wypaliła młodość Safony i żywiła podeszły wiek Goethego... *Pharmakon* - powiadali Grecy - trucizna i lekarstwo. Oczywiście będziemy musieli zapoznać się z owocem pańskiej twórczości, ja wymagam co najmniej trzech recenzji, jednej wewnętrznej, a dwóch sporządzonych przez ekspertów z zewnątrz (niestety, anonimowych, chodzi o osoby na świeczniku). Manuzio nie publikuje książek, jeśli nie ma gwarancji, że trafiło mu w ręce dzieło wysokiego lotu, wie pan o tym lepiej niż ja, cała rzecz w tym czymś nieuchwytnym, trzeba to odkryć szóstym zmysłem. Zdarza się, że w książce są fragmenty mniej udane, jakieś zbędne słowo - nawet Svevo pisał źle, powie mi pan - ale, na Boga, można tam wyczuć myśl, rytm, siłę. Wiem, wiem, proszę nic nie mówić, zaledwie rzuciłem okiem na incipit tych stroniczek, poczułem, że coś w tym jest, ale nie chcę oceniać sam, aczkolwiek wielokrotnie - i to ile razy! - recenzje były chłodne, ale ja się uparłem, albowiem nie można wyrokować o autorze, jeśli, by tak rzec, człowiek nie uchwyci tego tonu. Oto na przykład otwieram na chybił trafił pański tekst i mój wzrok pada na wers: „niby jesienią rżesa wynędzniała”... No tak, nie wiem, co jest dalej, ale wyczuwam w tym szeroki oddech, chwytam obraz, czasem tak jest z jakimś tekstem, ekstaza, uniesienie... *Cela dit*, drogi przyjacielu, gdybyż można było czynić to, czego się

pragnie! Lecz wydawanie książek to także produkcja, najszlachetniejsza, ale produkcja. Czy wie pan, ile kosztuje teraz druk i papier? Proszę tylko zajrzeć do dzisiejszej gazety, o ile wzrosła *prime rate* na Wall Street. Powiada pan, że nas to nie dotyczy? Jednak, niestety, dotyczy. Czy wie pan, że płacimy podatek także za pozycje leżące w magazynie? Nic nie sprzedają, a oni nakładają podatek na dochody. Płacę również za niepowodzenie, cierpienie geniusza, którego kołtuni nie chcą uznać. Ten papier welinowy – jest bardzo delikatny, jeśli pan pozwoli, wydrukowałbym tekst na papierze właśnie tak delikatnym, wyczuwa się wtedy poetę; pierwszy z brzegu szarlatan użyłby papieru *extra strong*, by olśnić oko i wprowadzić zamęt do umysłu, ale ta poezja pisana jest sercem, cóż, słowa są kamieniami i wstrząsają światem – ten papier welinowy kosztuje mnie tyle co papier na banknoty.

Zadzwonił telefon. Dowiedziałem się później, że Garmond nacisnął guzik pod blatem biurka i pani Grazia połączyła go z fikcyjnym rozmówcą.

– Drogi mistrz! Co? To wspaniale! Wielka nowina, bijemy we wszystkie dzwony! Nowa pańska książka to wydarzenie. Ależ z pewnością, firma Manuzio jest dumna, wzruszona, powiem więcej, szczęśliwa, że ma pana wśród swoich autorów. Widziałem, co napisano w prasie o pańskim ostatnim poemacie epickim. To ma rangę Nobla. Co więcej, wyprzedza pan swoje czasy. Z trudem zdołaliśmy sprzedać trzy tysiące egzemplarzy...

Komandor De Gubernatis zbladł. Trzy tysiące egzemplarzy – to przekraczało jego wyobraźnię.

– Nie zwróciły się koszty produkcji. Niech pan tylko przejdzie na drugą stronę oszklonych drzwi, a zobaczy, ilu mam

ludzi w redakcjach. W dzisiejszych czasach, żeby nie stracić na książce, muszę wydać co najmniej dziesięć tysięcy egzemplarzy i na szczęście w wielu przypadkach mogę sprzedać nawet więcej, ale chodzi o pisarzy, by tak rzec, mających talent innego typu. Balzac był wielki i sprzedawał książki jak świeże bułeczki. Proust był równie wielki i publikował własnym nakładem. Pan trafi do antologii szkolnych, ale nie do kiosków na dworcach, i nawet Joyce'owi, podobnie jak Proustowi, zdarzało się publikować własnym nakładem. Na wydawanie takich książek jak pańska mogę sobie pozwolić raz na dwa, trzy lata. Proszę dać mi trzy lata...

Nastąpiła dłuższa przerwa. Na twarzy Garamonda odbiło się bolesne zakłopotanie.

- Jak? Pańskim sumptem? Nie, nie, nie w tym rzecz, koszty można zawrzeć... chodzi o to, że Manuzio nie ma w zwyczaju... Z pewnością, powiada pan, Joyce, Proust... Oczywiście, rozumiem...

Następna wytrzymana odpowiednio pauza.

- No dobrze, pomówimy o tym. Byłem szczery, pan się niecierpliwi, przystąpmy do, jak to się mówi, *joint venture*. Amerykanie nas tego nauczyli. Proszę wpaść jutro, policzymy... Moje uszanowanie i wyrazy podziwu.

Garamond jakby się przebudził, potarł ręką oczy, a potem okazał, że nagle przypomniał sobie o obecności gościa.

- Proszę wybaczyć. To pisarz, może wielki. A jednak pewnie właśnie dlatego... Czasem człowiek czuje się upokorzony, wykonując ten zawód. Gdyby nie to, że takie jest moje powołanie... Ale wróćmy do pana. Powiedzieliśmy sobie wszystko, napiszę, powiedzmy, za trzy miesiące. Pański tekst zostaje tutaj, w dobrych rękach.

Komandor De Gubernatis wyszedł bez jednego słowa. Postawił stopę w kuźni sławy.

Kawaler Planisfery, Księżę Zodiaku, Subtelny Filozof Hermetyczny, Najwyższy Komtur Ciał Niebieskich, Najwspanialszy Pontefix Izydy, Księżę Świętego Wzgórza, Filozof z Samotraki, Tytan Kaukaski, Dziecię Złotej Lutni, Kawaler Prawdziwego Feniksa, Kawaler Sfinksa, Wzniosły Starzec Labiryntu, Księżę Bramański, Mistyczny Strażnik Sanktuarium, Budowniczy Tajemnej Wieży, Wzniosły Księżę Świętej Zasłony, Tłumacz Hieroglifów, Doktor Orficki, Strażnik Trzech Ognia, Kustosz Imion Nieprzekazywalnych, Wzniosły Edyp Wielkich Tajemnic, Umiłowany Pasterz Oazy Tajemnic, Doktor Świętego Ognia, Kawaler Świetlistego Trójkąta.

stopnie Dawnego i Pierwotnego Obrzędu Memfis-Misraim

Firma Manuzio była wydawnictwem dla NWA.

NWA w żargonie obowiązującym u Manuzia – czemu jednak używać czasu przeszłego? NWA istnieją po dziś dzień, sprawy toczą się tam swoim torem, tylko ja rzutuję wszystko na straszliwie odległą przeszłość, gdyż to, co zdarzyło się tamtego wieczoru, było jakby rozdarciem w czasie, w nawie Saint-Martin-des-Champs zburzony został porządek wieków... albo od tamtego wieczoru postarzałem się o całe dziesięciolecia, albo lęk, że Tamci mnie znajdą, każe mi przemawiać, jakbym spisywał kronikę rozpadającego się imperium, leżąc w balneum, z żyłami już przeciętymi, czekając, aż utonę we własnej krwi.

NWA oznacza Nakład Własny Autora i Manuzio to jedno z tych przedsięwzięć, które w krajach anglosaskich nazywają się *vanity press*. Faktury wysokie, koszty własne żadne. Garamond, pani Grazia, księgowy zwany dyrektorem administracyjnym w klitce na tyłach oraz Luciano, kaleki ekspedytor, władający rozległym magazynem w suterenie.

– Nigdy nie mogę pojąć, jak Luciano pakuje książki jedną ręką – powiedział mi Belbo. – Zdaje się, że pomaga sobie

zębami. Z drugiej strony niewiele ma do pakowania. Ekspe-  
dytorzy z normalnych domów wydawniczych wysyłają książki  
do księgarń, podczas gdy Luciano wysyła książki wyłącznie  
do autorów. Firma Manuzio nie interesuje się czytelnikami...  
Najważniejsze, powiada pan Garamond, żeby nie zawiedli  
nas autorzy, bez czytelników można się doskonale obejść.

Belbo podziwiał pana Garamonda. Widział w nim siłę,  
która jemu nie została dana.

System Manuzia był bardzo prosty. Trochę ogłoszeń w ga-  
zetach lokalnych, czasopismach fachowych, periodykach lite-  
rackich na prowincji, zwłaszcza takich, które po wydaniu kil-  
ku numerów padają. Reklamy średniej wielkości z fotografią  
autora i kilkoma zwięzłymi zdaniem. „Szlachetny ton w na-  
szej poezji” albo „Nowy dowód talentu autora *Floriana  
i sióstr*”.

- W tym momencie sieć jest zarzucona - wyjaśniał Belbo -  
i NWA wpadają w nią kiściami, jeśli w sieć można wpadać  
kiściami, ale niedorzeczna metafora jest specjalnością au-  
torów Manuzia i zaraziłem się od nich, przepraszam.

- A potem?

- Weźmy przypadek De Gubernatisa. Za miesiąc, kiedy  
nasz emeryt przemaceruje się już w trwodze, Garamond tele-  
fonuje i zaprasza go na kolację z paroma pisarzami. Spotka-  
nie w bardzo ekskluzywnej restauracji bez żadnych szyldów  
na zewnątrz: dzwoni się do drzwi i podaje swoje nazwisko  
portierowi. Luksusowe wnętrze, przygaszone światła, egzo-  
tyczna muzyka. Garamond ściska dłoń mistrza, mówi „ty”  
kelnerom i odsyła butelki wina, ponieważ rocznik mu nie od-  
powiada, albo mówi: proszę wybaczyć, mój kochany, ale nie  
jest to kuskus, jaki jada się w Marrakeszu. De Gubernatis zo-



staje przedstawiony komisarzowi Caio, nadzorującemu wszystkie służby w porcie lotniczym, ale przede wszystkim wynalazcy, apostołowi kosmoranto, międzynarodowego języka pokojowego, nad którym dyskutuje się w UNESCO. Potem idzie profesor Tizio, wielka postać włoskiej prozy, nagroda Petruzzellis della Gattina tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt, ale także luminarz nauk medycznych. Ile lat profesor wykładał? W innych czasach, owszem, kiedy studia były rzeczą poważną. I nasza znakomita poetka Odolinda Mezzofanti Sassabetti, autorka tomu *Cnotliwe macanki*, pewnie pan czytał.

Belbo wyznał mi, że długo się zastanawiał, dlaczego wszyscy NWA płci żeńskiej podpisują się dwoma nazwiskami, Laurette Solimeni Calcanti, Dora Ardenzi Fiamma, Carolina Pastorelli Cefalù. Dlaczego poważne pisarki, z wyjątkiem Ivy Compton-Burnett, mają jedno nazwisko, a niektóre nie mają nawet imienia, na przykład Colette, natomiast każda NWA musi być Odolindą Mezzofanti Sassabetti? Otóż prawdziwy pisarz pisze, bo nakazuje mu to miłość do dzieła, i nieważne, jeśli znany jest z pseudonimu, *vide* Nerval, podczas gdy taki NWA chce być rozpoznany przez sąsiadów, mieszkańców tej samej dzielnicy, a także tej, w której mieszkał poprzednio. Mężczyźnie wystarczy własne nazwisko, ale kobiecie nie, gdyż są tacy, którzy znali ją wyłącznie jako pannę. Stąd podwójne nazwisko.

- Jednym słowem, wieczór gęsty od przeżyć intelektualnych. De Gubernatis ma wrażenie, że pije koktajl z LSD. Będzie słuchał paplaniny współbiesiadników, smakowitej anegdoty o wielkim poecie znanym ze swojej impotencji, a który nawet jako poeta niewiele jest wart, rzuci przenikli-

we spojrzenie na nową edycję *Encyklopedii sławnych Włochów*, którą Garamond wyciągnie nagle, wskazując odpowiednią stronicę komisarzowi (widzisz, mój drogi, także ty znalazłeś się w Panteonie, no tak, sprawiedliwości stało się zadość).

Belbo pokazał mi tę encyklopedię.

- Przed godziną udzielałem panu pouczeń. Ale nikt z nas nie jest bez winy. Encyklopedię opracowujemy tylko we dwóch, Diotallevi i ja. Przysięgam jednak, że nie po to, by zakręcić wypłatę na pierwszego. Jest to jedna z najzabawniejszych rzeczy na tym świecie i co roku trzeba przygotować nowe, uzupełnione wydanie. Struktura jest mniej więcej taka: jedno hasło poświęcone sławnemu pisarzowi, jedno jakiegoś NWA, i problem polega tylko na tym, żeby dobrze opracować porządek alfabetyczny i nie marnować miejsca na pisarzy sławnych. Proszę spojrzeć na przykład na literę „L”.

LAMPEDUSA, Giuseppe Tomasi di (1896–1957). Pisarz sycylijski. Długo nieznany, sławę zyskał dopiero po śmierci powieścią *Lampart*.

LAMPUSTRI, Adeodato (1919– ). Pisarz, wychowawca, kombatant (medal brązowy w Afryce Wschodniej), myśliciel, prozaik i poeta. Jego postać dominuje w literaturze włoskiej naszego stulecia. Objawił się już w 1959 pierwszym tomem pomyślanej z rozmachem trylogii *Bracia Carmassi*, wyróżniającej się surowym realizmem i szerokim oddechem. Za tym dziełem, wyróżnionym w 1960 nagrodą Petruzzellis della Gattina, w następnych latach przyszły *Odprawa* oraz *Pantera o bezrzęsnych oczach*, które może jeszcze dobitniej niż debiutanckie dokonanie wyznaczają miarę epickiej,

olśniewającej wyobraźni plastycznej, lirycznego tchnienia tego niezrównanego artysty. Lampustri, sumienny urzędnik ministerialny, uznawany jest w swoim otoczeniu za człowieka niezwyklej prawości, przykładnego ojca i małżonka, subtelnego mówcę.

- Taki De Gubernatis z pewnością zapragnie znaleźć się w encyklopedii - wyjaśniał dalej Belbo. - Zawsze przecież powtarzano, że sława największych jest sławą sztucznie rozdmuchaną, wynikiem spisku życzliwych krytyków. Ale przede wszystkim zrozumie, że wejdzie do rodziny pisarzy, którzy są jednocześnie dyrektorami instytucji państwowych, pracownikami bankowymi, arystokratami, urzędnikami miejskimi. Od razu rozszerzy krąg swoich znajomych i jeśli będzie potrzebował czyjejs przysługi, będzie miał do kogo się zwrócić. Pan Garamond ma władzę wydobywania De Gubernatisa z zapadłej prowincji, wyniesienia go na sam szczyt. Pod koniec bankietu powie mu na ucho, żeby wpadł następnego ranka.

- I De Gubernatis przyjdzie?

- Można przysiąc. Spędzi bezsenną noc, myśląc o sławie Adeodata Lampustri.

- A potem?

- Następnego ranka Garamond powie mu: wczoraj wieczorem nie chciałem o tym mówić, żeby nie upokarzać reszty, cóż za wspaniała rzecz, mam na myśli nie tylko entuzjastyczne recenzje wewnętrzne, powiem więcej, pozytywne, ale ja sam pierwszy spędziłem noc nad tymi stronicami. Książka godna nagrody literackiej. Wielka, doprawdy wielka. Podejdzie do biurka, uderzy otwartą dłonią w rękopis, teraz wymięty, zużyty od zakochanych spojrzeń co najmniej czterech czytelników - patynowanie rękopisów to zadanie pani Grazii

- i zacznie przyglądać się NWA zatroskanym spojrzeniem. Co z tym zrobimy? Co zrobimy? - spyta De Gubernatis. A Garamond odpowie: wartość dzieła jest poza wszelką dyskusją, ale to oczywiste, że książka wyprzedza swoje czasy i nie uda się wydać więcej niż dwa tysiące, dwa tysiące pięćset egzemplarzy. Dla De Gubernatisa dwa tysiące to dość, żeby obdarować wszystkie znane mu osoby. NWA nie myśli w kategoriach globu, a właściwie jego planeta składa się ze znajomych twarzy, kolegów szkolnych, dyrektorów banku, kolegów nauczycieli ze szkoły średniej, pułkowników w stanie spoczynku. To wszystkie osoby, jakie NWA chce wprowadzić do swojego poetyckiego świata, wliczając tych, którzy wcale nie mają na to ochoty, jak masarz albo prefekt... Wobec niebezpieczeństwa, że Garamond zechce się wycofać z przedsięwzięcia, i to teraz, kiedy już wszyscy w domu, okolicy, urzędzie wiedzą, iż pokazał rękopis wielkiemu mediolańskiemu wydawcy, De Gubernatis dokona obliczeń. Mógłby podjąć wszystko z konta, poprosić o odstąpienie piątej części, wziąć pożyczkę, sprzedać parę obligacji państwowych, w końcu Paryż wart mszy. Zaproponuje nieśmiało swój udział w kosztach. Garamond okaże zakłopotanie, u Manuzia tego się nie robi, a potem: cóż, targ ubity, przekonał mnie pan, w końcu nawet Proust i Joyce musieli ugiąć się przed twardą rzeczywistością, koszty są takie a takie, drukujemy na razie dwa tysiące egzemplarzy, ale umowa będzie na maksimum dziesięć tysięcy. Proszę tylko policzyć: dwieście egzemplarzy dla pana, żeby mógł pan ofiarować, komu pan zechce, dwieście wyśle do prasy, gdyż możemy zrobić huczek, jakby to była Angelica dei Golon, i kolportujemy tysiąc sześćset. I jeśli chodzi o te egzemplarze, sam pan rozumie, żadnych praw dla

pana, ale jeśli książka sprzeda się dobrze, wznowimy ją i od tego momentu bierze pan dwanaście procent.

Widziałem później typową umowę, jaką De Gubernatis, teraz już pod pełną narkozą poetycką, podpisałby, nawet nie czytając, słuchając za to, jak obecny przy wszystkim księgowy lamentuje, że pan Garamond podał zbyt niskie koszty. Dziesięć stron klauzul: czcionka osiem punktów, prawa na zagranicę, prawa do adaptacji teatralnych, scenariuszy radiowych i filmowych, wydań brajlem dla niewidomych, odstąpienie skrótu „Reader’s Digest”, gwarancje na wypadek procesu o zniesławienie, prawo autora do wglądu w poprawki redakcyjne, kompetencja trybunału mediolańskiego w przypadku sporu... NWA, w stanie skrajnego wyczerpania, ze wzrokiem zagubionym teraz w marzeniach o sławie, musi dojść do zgubnych klauzul, w których mówi się o maksymalnym nakładzie dziesięciu tysięcy, ale ani słowa o nakładzie minimalnym, o tym, że suma, jaką ma wpłacić, nie jest związana z nakładem, omówionym tylko ustnie, zwłaszcza że wydawca ma prawo oddać w ciągu roku na przemiał niesprzedane egzemplarze, chyba że autor odkupi je po połowie ceny podanej na okładce. Podpisuje.

Promocja w stylu niedopuszczającym najmniejszych wątpliwości, komunikat dla prasy na dziesięciu stronach, wraz z biografią i esejem krytycznym. Za grosz wstydu, i tak w redakcji czasopism trafi to bezpośrednio do kosza. Nakład rzeczywisty: tysiąc egzemplarzy w arkuszach, z czego tylko trzysta pięćdziesiąt oprawionych. Dwieście dla autora, pięćdziesiąt dla drugorzędnych i należących do spółki księgarń, pięćdziesiąt dla prowincjonalnych gazet, trzydzieści dla wielkich dzienników na wypadek, gdyby stał się

cud i zechciały poświęcić tej pozycji linijkę w rubryce „Książki nadesłane”. Jeden egzemplarz zostanie wysłany w darze do szpitala lub więzienia – i rozumiemy już, dlaczego pierwsze nie leczą, a drugie nie resocjalizują.

W lecie nadejdzie nagroda Petruzzellis della Gattina, twór Garamonda. Koszt całkowity: wikt i hotel dla jury przez dwa dni i cynobrowa Nike z Samotraki, telegramy z gratulacjami od autorów Manuzia.

Półtora roku później przychodzi wreszcie moment prawdy. Garamond napisze: Drogi Przyjacielu, jak przewidziałem, pojawił się Pan o pięćdziesiąt lat za wcześnie. Recenzji, jak sam Pan widział, ile dusza zapagnie, nagrody i pochwały krytyki, *ça va sans dire*. Ale sprzedaliśmy niewiele egzemplarzy, publiczność nie jest jeszcze na takie dzieła przygotowana. Jesteśmy zmuszeni opróżnić magazyn zgodnie z terminami umowy (dołączonej). Albo oddamy na przemiał, albo skorzysta Pan ze swoich uprawnień i odkupi po połowie ceny podanej na okładce.

De Gubernatis szaleje z bólu, krewni go pocieszają: ludzie cię nie rozumieją, z pewnością gdybyś był jednym z nich, gdybyś dał w łapę komu trzeba, miałbyś recenzje nawet w „Corriere”, to mafia, trzeba walczyć. Egzemplarzy autorских zostało pięć, a tyle jeszcze ważnych osób można uszczęśliwić, nie do pomyślenia, żeby twoje dzieło poszło na przemiał i zostało zmienione na papier toaletowy, obliczmy, ile zdołamy uciuć, to pieniądze dobrze wydane, żyje się raz, powiedzmy, że odkupimy pięćset egzemplarzy, a co do reszty *sic transit gloria mundi*.

W firmie Manuzio zostało sześćset pięćdziesiąt egzemplarzy nieoprawionych, pan Garamond oprawia je i wysyła za

zaliczeniem pocztowym. Ostateczny rachunek: autor opłacił szczerze koszty produkcji dwóch tysięcy egzemplarzy, Manuzio wyprodukował tysiąc, z czego oprawił osiemset pięćdziesiąt, a z tego za pięćset zapłacono po raz drugi. Pięćdziesięciu autorów rocznie i Manuzio zawsze wyjdzie na swoje.

I żadnych wyrzutów sumienia: sprzedaje szczęście.

Lękliwy stokroć umiera przed śmiercią.

William Szekspir, *Juliusz Cezar*, II, 2;

przeł. Józef Paszkowski

Zawsze dostrzegałem kontrast między nabożeństwem, z jakim Belbo pracował nad szacownymi autorami firmy Garamond, dążąc do tego, żeby mieć prawo do dumy z książki, którą się zajmował, a bezwzględnością, jaką się odznaczał, nie tylko biorąc udział w oskubywaniu nieszczęśników od Manuzia, ale i odsyłając na ulicę Gualdi tych, których uznał za nienadających się dla Garamonda – jak próbował w przypadku pułkownika Ardentii.

Pracując z nim, często zadawałem sobie pytanie, dlaczego godzi się na taką sytuację. Myślę, że nie dla pieniędzy. Znał wystarczająco dobrze swój fach, żeby znaleźć pracę lepiej płatną.

Długo sądziłem, że chodziło mu o okazję do studiów nad ludzką głupotą z wyjątkowo dogodnego stanowiska obserwacyjnego. To, co nazywał głupotą, ta nieuchwytna paralogika, ten zdradziecki obłęd zamaskowany argumentacją, której nie można było nic zarzucić, fascynowało go – i mówił o tym bez przerwy. Ale to także była tylko maska. Diotallevi, owszem, tkwił tam dla zabawy, z nadzieją w sercu, że pewnego dnia jedna z książek oficyny Manuzio okaże się nieznaną kombinacją Tory. Również dla zabawy, dla czystej rozrywki, dla kawału i z ciekawości tkwiłem tam ja, zwłaszcza odkąd Garamond zaczął lansować projekt „Hermes”.

Z Belbem było inaczej. Stało się to dla mnie jasne dopiero, kiedy przejrzałem jego pliki.



Przychodzi ot tak. Nawet jeśli w biurze są ludzie, chwytą mnie za kłapę marynarki, unosi głowę i całuje mnie w policzek. Anna, która całując, staje na palcach. Całuje mnie, jakby grała na flipperze.

Wie, że wprawia mnie w zakłopotanie, ale lubi się popisywać.

Nigdy nie kłamie.

– Kocham cię.

– Zobaczymy się w niedzielę?

– Nie, spędzam weekend ze znajomym...

– Miałaś na myśli znajomą.

– Nie, znajomego, znasz go, to ten, który był ze mną w barze w zeszłym tygodniu. Obiecałam, nie chcesz chyba, żebym odwoływała?

– Nie odwołuj, ale nie przychodź tutaj, żeby... Proszę cię... czekam na autora.

– Geniusz, którego trzeba wylansować?

– Nieszczęśnik, którego trzeba zniszczyć.

Nieszczęśnik, którego trzeba zniszczyć.

Przyszedłem po ciebie do Piladego. Nie było cię. Długo czekałem, potem wyszedłem, żeby zdążyć przed zamknięciem galerii. Na miejscu powiedziano mi, że wyszłaś już do restauracji. Udawałem, że przyglądam się obrazom; tyle dzieł umarło od czasów Hölderlina – mówią mi. Dwadzieścia minut zajęło mi odszukanie restauracji, gdyż właściciele galerii wybierają zawsze lokale, które staną się sławne miesiąc później.

Byłaś tam wśród tych samych co zawsze twarzy, u boku mężczyzny z blizną. Ani przez chwilę nie okazałaś zakłopotania. Spojrzałaś na mnie porozumiewawczo i jednocześnie – jak to osiągasz? – wyzywająco, jakby mówiąc: no i co? Intruz z blizną zmierzył mnie wzrokiem jak intruza. Inni, zorientowani w sytuacji, czekali. Powinienem być znaleźć jakiś pretekst do awantury. Wszedłbym na tym dobrze, nawet gdyby mnie wyszydził. Wszyscy wiedzieli, że byłaś tam z nim, żeby mnie sprowokować. Czy pozwolę się sprowokować, czy nie, moja rola została już wyznaczona. Robiłem przecież z siebie widowisko.

Widowisko za widowisko, zdecydowałem się więc na brawurową komedię, włączyłem się uprzejmym tonem do rozmowy, mając nadzieję, że znajdzie się ktoś, komu zaimponuje moje panowanie nad sobą.

Jesteś nędznikiem, kiedy czujesz się nędznikiem.

Zamaskowany mściciel. Niby Clark Kent troszczy się o młodych niezrozumianych geniuszy i jak Superman karzę starych geniuszy, słusznie niezrozumianych. Współpracuję przy łupieniu tych, którzy nie mieli tyle odwagi co ja i nie potrafili się ograniczyć do roli widzów.

Czy to możliwe? Spędzić życie na karaniu ludzi, którzy nawet nie będą wiedzieć, że zostali ukarani? Chciałeś zostać Homerem? Masz, chłystku, i uwierz.

Nienawidzę tych, którzy chcą mi sprzedać iluzję namiętności.

---

---



Kiedy przypomnimy sobie, że Daath jest usytuowany w punkcie, w którym Otchłań odcina Filar Środkowy, i że na szczycie Filara Środkowego znajduje się Ścieżka Strzały... i że również tam przebywa Kundalini, widzimy, że w Daath tkwi sekret zarówno generacji, jak i regeneracji, klucz do objawienia wszystkich rzeczy poprzez dyferencjację par przeciwieństw i ich Jedność w Trzecim.

Dion Fortune, *The Mystical Qabalah*,  
Fraternity of the Inner Light, London 1957, 7.19

Ja jednak miałem się zajmować nie firmą Manuzio, ale cudowną przygodą metali. Poszukiwania zacząłem od bibliotek mediolańskich. Za punkt wyjścia posłużyły mi podręczniki, spisywałem z nich bibliografie i piąłem się z tego miejsca ku mniej lub bardziej starym oryginałom, w których mogłem natrafić na ciekawe ilustracje. Nie ma niczego gorszego, niż ilustrując rozdział o wyprawach kosmicznych, posłużyć się zdjęciem ostatniej amerykańskiej sondy. Pan Garamond nauczył mnie, że kiedy nie znajduje się żadnego lepszego wyjścia, trzeba wykorzystać aniołka Dorégo.

Uzyskałem zgodę na czterodniowy wyjazd do Paryża. Mało, jeśli chce się odwiedzić wszystkie archiwa. Pojechałem z Lią, na miejscu znalazłem się w czwartek i zarezerwo- wałem bilet powrotny na poniedziałkowy wieczór. Po- pełniłem błąd, gdyż wizytę w Conservatoire przewidziałem na poniedziałek, a właśnie w ten dzień Conservatoire jest zamknięte. Za późno, wróciłem jak niepyszny.

Belbo był niezadowolony, ale zebrałem mnóstwo intere- sującego materiału, który zanieśliśmy panu Garamondowi do przejrzania. Przerzucał reprodukcje, które wybrałem, wiele kolorowych. Potem zerknął na rachunek i syknął:

- Mój drogi. Mamy do wypełnienia posłannictwo, pracujemy dla kultury, *ça va sans dire*, ale nie jesteśmy Czerwonym Krzyżem, powiem więcej, nie jesteśmy nawet UNICEF-em. Czy konieczne było kupowanie wszystkich tych materiałów? Choćby tutaj, widzę jakiegoś pana w gaciach i z wąsami, przypominającego d'Artagnana, w otoczeniu abrakadabry i koziorożców, ale kto to taki, Mandrake?

- Pierwociny medycyny. Wpływ zodiaku na różne części ciała oraz stosowne zioła lecznicze. A także minerały, w tym metale. Doktryna sygnatur kosmicznych. W tamtych czasach granice między magią a nauką były jeszcze niepewne.

- Interesujące. Ale co mówi ten frontispis? *Philosophia Moysaica*. Co tu ma do rzeczy Mojżesz, czy te pierwociny nie są zbyt zamierzchłe?

- Chodzi o dysputę na temat *unguentum armarium* albo *weapon salve*. Sławni medycy przez pięćdziesiąt lat dyskutowali, czy ten balsam, wtarty w broń, która zadała cios, może uleczyć ranę.

- To czyste szaleństwo. Gdzie tu nauka?

- Nie ma jej w tym sensie, w jakim rozumiemy ją my. Ale dyskutowano nad tym, gdyż niedawno odkryto cudowne właściwości magnezu i przekonano się, że możliwe jest działanie na odległość. Zgodnie z tym, co twierdziła magia. To jasne, oni się mylili, ale Volta i Marconi nie. Czym jest elektryczność i radio, jeśli nie działaniem na odległość?

- Tylko popatrzcie, no, no, jaki zuch z naszego Casaubona. Nauka i magia ramię w ramię, co? Mocna rzecz. A więc damy to poniżej, obetnie pan nieco to odrażające dynamo, a doda Mandrake'a. Parę skojarzeń demonicznych, bo ja wiem, może na złotym tle.

- Boję się przesadzić. To ma być cudowna przygoda metali. Osobliwości pasują tu jedynie, jeśli są z czymś skojarzone.

- Cudowna historia metali ma być przede wszystkim historią błędów. Umieszcza się piękną osobliwość, a w podpisie wyjaśnia, że to fałsz. Na razie jest tam i czytelnika ogarnia zaniepokojenie, gdyż widzi, że nawet wielcy ludzie popełniali błędy w rozumowaniu - zupełnie jak on sam.

Opowiedziałem o dziwnym przeżyciu, jakie miałem nad Sekwaną, niedaleko quai Saint-Michel. Wszedłem do jakiejś księgarni, która nawet rozmieszczonymi symetrycznie witrynami zachwalała swoją schizofrenię. Po jednej stronie książki dotyczące komputerów i elektroniki, po drugiej wyłącznie dzieła okultystyczne. Tak samo w środku. Apple i Kabała.

- Nie do wiary - powiedział Belbo.

- Oczywiście - oświadczył Diotallevi. - A przynajmniej ty powinieneś być ostatnim, który się temu dziwi, Jacopo. Świat maszyn próbuje odnaleźć tajemnicę stworzenia. Litery i liczby.

Garamond milczał. Złożył ręce jak do modlitwy i wznosił wzrok do nieba. Potem klasnął w dłonie.

- Wszystko, co powiedzieliście dzisiaj, utwierdza mnie w przekonaniu, że pomysł, który od kilku dni... Ale wszystko w swoim czasie, trzeba to jeszcze przemyśleć. Nie ustawajcie w pracy. Świetnie, Casaubon, przejrzymy jeszcze pańską umowę, bo okazał się pan cennym współpracownikiem. I nie szcędźcie, nie szcędźcie, moi panowie, Kabały i komputerów. Komputery robią z krzemu. Nie mylę się, prawda?

- Tak, tylko że krzem nie jest metalem, lecz metaloidem.

- Co komu z tego drobiazgowego badania końcówek? A czymże jest *rosa rosarum*? Komputerem. I Kabałą.

- Która nie jest metalem - upierałem się.

Odprowadził nas do drzwi. Na progu, zwracając się do mnie, powiedział:

- Casaubon, wydawanie książek to sztuka, nie nauka. Nie jesteśmy rewolucjonistami, których czas minął. Aha, à propos pańskich rachunków, pozwoliłem sobie skreślić kuszetkę. Nie ze skąpstwa, chyba nie ma pan co do tego wątpliwości. Dlatego, że poszukiwaniom sprzyja, by tak rzec, pewien duch spartański. Inaczej człowiek traci w nie wiarę.

Wezwał nas znowu kilka dni później. Mam w biurze - oznajmił Belbowi - gościa, którego powinniście poznać.

Poszliśmy. Garamond rozmawiał z tęgim, pozbawionym podbródka mężczyzną o twarzy tapira i z jasnymi wąsikami pod wielkim, mięsistym nosem. Wydało mi się, że skądś go znam, i po chwili przypomniałem sobie, że to profesor Bramanti, którego wykładu słuchałem w Rio, donosiciel, czy jak to nazwać, w sprawie zakonu różokrzyżowców.

- Profesor Bramanti - wyjaśnił Garamond - utrzymuje, że dla wydawcy doświadczonego i wrażliwego na klimat kulturalny naszych czasów byłoby rzeczą właściwą uruchomić serię poświęconą naukom okultystycznym.

- Dla... Manuzia - podsunął Belbo.

- Dla kogóż by innego? - Pan Garamond uśmiechnął się chytrze. - Profesor Bramanti, polecony mi przez naszego drogiego przyjaciela, doktora De Amicis, autora tych wspaniałych *Kronik zodiaku*, które wydaliśmy w tym roku, ubolewa, że nieliczne serie poświęcone tym sprawom - prawie zawsze publikowane przez wydawców mało poważnych i mało wiarygodnych, znanych natomiast z tego, iż są powierzchowni, nierzetelni, niechlujni, powiem więcej, nieprecyzyjni - nie

oddają w pełni bogactwa i głębi tego obszaru badań...

- Po upadku utopii nowożytnego świata wybiła godzina dokonania nowej oceny kultury minionych epok - stwierdził Bramanti.

- Święte słowa, profesorze. Musi pan jednak wybaczyć nam naszą, mój Boże, nie powiem ignorancję, ale przynajmniej nasze mgliste wyobrażenie o tej materii. Co pan miał na myśli, mówiąc o naukach okultystycznych? Spirytualizm, astrologię, czarną magię?

Bramanti zrobił gest wyrażający upadek jego ducha.

- Na miłość boską! Ależ to bzdury, którymi upajają się prostacy. Ja mówię o nauce, aczkolwiek nauce tajemnej. Oczywiście także o astrologii, skoro już przy tym jesteśmy, ale uprawianej nie po to, by wyjawić maszynistce, że w najbliższą niedzielę pozna młodzieńca swego życia. Chodzi raczej o poważne studia, powiedzmy, nad dziekanami.

- Pojmuję. Podejście czysto naukowe. Ta problematyka mieści się z pewnością w naszych zamierzeniach programowych, czy zechciałby pan jednak nieco ten wątek rozwinąć?

Bramanti rozsiadł się w fotelu i powiódł spojrzeniem po pokoju, jakby szukał natchnienia astralnego.

- Z pewnością najlepiej posłużyć się przykładami. Powiedziałbym, że idealnym czytelnikiem serii tego rodzaju byłby adept różokrzyżowców, a zatem ktoś biegły *in magiam*, *in necromantiam*, *in astrologiam*, *in geomantiam*, *in pyromantiam*, *in hydromantiam*, *in chaomantiam*, *in medicinam adeptam*, by przytoczyć księgę Azoth - tę, którą tajemnicza dziewczynka wręczyła diakonowi niosącemu krzyż w procesji, jak to zostało opisane w *Raptus philosophorum*. Ale wiedza adepta obejmuje również inne dziedziny, jest wśród nich fizjognoza

dotycząca tajemnej fizyki, statyka, dynamika i kinematyka, astrologia albo biologia ezoteryczna i badanie duchów natury, zoologia hermetyczna i astrologia biologiczna. Dodajmy do tego kosmognozę, badającą tematykę astrologiczną, ale w aspekcie astronomicznym, kosmologicznym, fizjologicznym, ontologicznym, albo antropognozę, która zajmuje się anatomią homologiczną, nauki wieszczce, fizjologię fluidalną, psychurgię, astrologię społeczną i hermetyzm historii. Następnie matematyka jakościowa i, jak pan wspomniał, arytmologia... Ale wiedza wstępna musiałaby objąć kosmografię niewidzialnego, magnetyzm, zefiry, sny, fluidy, psychometrię oraz jasnowidztwo – i w ogóle badanie pozostałych pięciu zmysłów hiperfizycznych – nie mówiąc już o astrologii horoskopowej, która staje się karykaturą nauki, jeśli nie jest uprawiana z należyłą ostrożnością – a dalej fizjonomikę, odczytywanie myśli, sztuki odgadywania (tarok, mimika), aż po stopnie wyższe, jak profetyka i ekstaza. Potrzebne są dostateczne informacje na temat postępowań fluidycznych, alchemii, sztuki spagiryicznej, telepatii, ezoteryki, magii obrzędowej i ewokacyjnej, podstaw teurgii. Jeśli chodzi o właściwy okultyzm, radziłbym podjęcie wyprawy badawczej na terytorium pierwotnej Kabały, braminizmu, gimnosofii, hieroglifów z Memfis...

– Fenomenologii templarnej – podsunął Belbo.

Twarz Bramantiego rozjaśniła się.

– Bez wątpienia. Ale byłbym zapomniiał. Przed podstawowymi pojęciami z zakresu nekromancji i guślarstwa ras niebiałych jeszcze jest onomancja, profetyczne szwały, taumaturgia wolicjonalna, sugestia, joga, hipnotyzm, somnambulizm, chemia rtęci... Wroński doradzał mistykom, by uwzględnili



technikę opętanych z Loudun, spazmatyków od świętego Medarda, napoje mistyczne, wino z Egiptu, eliksir życia i *aqua tofana*. Jeśli chodzi o zasadę zła (a rozumiem, że dochodzimy tutaj do najbardziej zastrzeżonego działu ewentualnej serii), powiedziałbym, że należy się oswoić z tajemnicami Belzebuba jako właściwą destrukcją i Szatana jako zdetronizowanego księcia, a dalej Eurinoma, Molocha, inkubów i sukubów. Jeśli chodzi o zasadę pozytywną, niebiańskie tajemnice świętego Michała, Gabriela i Rafaela oraz agatodaimonów. Następnie tajemnice Izydy, Mitry, Morfeusza, Samotraki i Eleuzis oraz tajemnice naturalne męskiego członka, fallusa, Drzewo Życia, Klucz Nauk, Bafomet, młot, naturalne tajemnice organu żeńskiego, Ceres, Kteis, Patera, Kybele, Asztarte.

Pan Garamond wychylił się do przodu z przymilnym uśmiechem.

- Proszę nie zapomnieć o gnostykach...

- Ależ z pewnością nie zapomnę, aczkolwiek na ten szczególny temat krąży mnóstwo mało poważnych i tandetnych materiałów. Tak czy inaczej, każdy zdrowy okultyzm jest formą Gnozy.

- A nie mówiłem? - wtrącił się pan Garamond.

- I to wszystko? - odezwał się łagodnie pytającym tonem Belbo.

Bramanti wydał policzki i w jednej chwili przeobraził się z tapira w chomika.

- To wszystko... dla zainicjowania serii, lecz nie dla inicjacji... proszę wybaczyć mi grę słów. Ale już wydając pięćdziesiąt tomów, moglibyście, panowie, zmesmeryzować publiczność, składającą się z tysięcy czytelników, którzy czekają na słowo niepodważalne... Inwestując parę setek milionów -

przychodzę właśnie do pana, doktorze Garamond, gdyż wiem, że jest pan skłonny do najszlachetniejszych przygód – oraz uwzględniając skromny procencik dla mnie jako redaktora prowadzącego serii...

Bramanti powiedział już dosyć i w oczach Garamonda przestał być interesujący. Rzeczywiście, został odprawiony pośpiesznie i z wielkimi obietnicami. Jak zwykle komisja konsultantów rozważy starannie propozycję.

Lecz wiedźcie, że wszyscy jesteźmy zgodni, cokolwiek mówimy.

*Turba Philosophorum*

Kiedy Bramanti wyszedł, Belbo stwierdził, że profesor powinien wyciągnąć sobie korek. Pan Garamond nie znał tego wyrażenia i Belbo spróbował mu wyjaśnić, używając pełnych respektu peryfraz, ale bez powodzenia.

- Tak czy owak - oznajmił Garamond - nie stwarzajmy problemów tam, gdzie ich nie ma. Ledwie ten pan wypowiedział pięć pierwszych słów, wiedziałem, że nie jest to klient dla nas. On sam. Ale ci, o których mówił, jak najbardziej. Autorzy i czytelnicy. Ten Bramanti potwierdził rozważania, jakie snułem od kilku dni. O, proszę, panowie.

I teatralnym gestem wyciągnął z szuflady trzy książki.

- Oto trzy tomy, które wyszły w ostatnich latach i odniosły sukces. Pierwszy został wydany po angielsku i nie czytałem go, lecz autorem jest sławny krytyk. A co napisał? Spójrzcie na podtytuł: powieść gnostyczna. A teraz spójrzcie na to. Z pozoru powieść o wątku kryminalnym, bestseller. A o czym mówi? O pewnym gnostycznym Kościele w okolicach Turynu. Wiecie, panowie, kim są ci gnostycy... - Powstrzymał nas gestem dłoni. - Nieważne, chodzi o jakieś sprawy demoniczne i to mi wystarczy... Wiem, wiem, być może nie powinienem tak się z tym spieszyć, ale nie chcę mówić jak wy, tylko jak ten Bramanti. A w tym momencie jestem wydawcą, nie zaś profesorem gnoseologii porównawczej czy czegoś w tym guście. Co oczywistego, obiecującego, zachęcającego, powiem więcej, ciekawego, dostrzegłem w słowach naszego

gościa? Tę zadziwiającą umiejętność wpychania wszystkiego do jednego worka; nie powiedział „gnostycy”, chociaż, jak sami widzieliście, mógł wymienić tę nazwę między geomancją, gerovitałem i radamesem z rtęcią. Dlaczego kładę na to nacisk? Ponieważ mam tu inną książkę, napisaną przez sławną dziennikarkę, która opowiada niewiarygodne rzeczy, jakie dzieją się w Turynie, powtarzam, w Turynie, mieście samochodów. Gusła, czarne msze, wywoływanie diabła, a wszystko dla ludzi z gotówką, nie dla tych z Południa, którzy podrygują po ukąszeniu tarantuli. Casaubon, Belbo powiedział mi, że przyjechał pan z Brazylii, gdzie uczestniczył w satanistycznych obrzędach tamtejszych dzikusów... Dobrze, później mi pan opowie, co to za jedni... ale to bez znaczenia. Panowie, Brazylia jest tutaj. Przedwczoraj wszedłem osobiście do tej księgarni... jakże się nazywa... wszystko jedno, chodzi o księgarnię, która sześć czy siedem lat temu sprzedawała teksty anarchistyczne, rewolucyjne. Tupamaros, terroryści, powiem więcej, marksści... No i co? Jak się przystosowała? Sprzedaje rzeczy, o których mówił Bramanti. To prawda, żyjemy w epoce zamętu i jeśli pójdziecie, panowie, do księgarni katolickiej, gdzie niegdyś można było kupić tylko katechizm, teraz znajdziecie tam także nowe podejście do Lutra, choć nie sprzedawaliby jednak książki mówiącej, że cała religia to szalbierstwo. Natomiast w księgarniach, o których mówię, sprzedaje się autorów wierzących w to, co piszą, i szydzących z tego, wszystko jedno, byleby dotknęli tematu, by tak rzec...

- Hermetycznego? - podsunął Diotallevi.

- Otóż to, chyba właśnie o to słowo chodzi. Widziałem tam co najmniej dziesięć książek o Hermesie. I właśnie dochodzę

do projektu „Hermes”. Zajmiemy się tą gałęzią...

- Złotą gałęzią - wtrącił Belbo.

- Właśnie - potwierdził Garamond, nie chwytając aluzji. - Chodzi o żyłę złota. Zauważyłem, że gotowi są przełknąć wszystko, byleby było hermetyczne, jak to pan ujął, byleby mówiło coś odwrotnego niż to, co znajdują w szkolnych podręcznikach. Nie jestem z powołania dobroczyńcą, ale w tych mrocznych czasach ofiarować komuś wiarę, uchylić rąbka wiedzy o sprawach nadprzyrodzonych... Garamond zawsze był wierny swojej naukowej misji.

Belbo zeszywniał.

- Myślałem, że chodzi panu o firmę Manuzio.

- O jedną i drugą. Proszę posłuchać. Szperałem w tej księgarni, a potem poszedłem do innej, bardzo szacownej, która jednak nie omieszkała zafundować sobie półki z dziełami poświęconymi okultyzmowi. Prowadzi się na ten temat badania uniwersyteckie i książki poważnych autorów stoją obok dzieł takich ludzi jak Bramanti. Pomyślmy: ten Bramanti być może nigdy nie zetknął się z ludźmi nauki, ale ich czytał, i to tak, jakby był jednym z nich. Należy do osób, które, cokolwiek się im powie, sądzą, że odnosi się to do problemu będącego przedmiotem ich zainteresowań, jak w tej historii z kotem, o którego toczą spór rozwodzący się małżonkowie, podczas gdy on myśli, że dyskutują nad tym, jakie podroby dać mu na śniadanie. Pan też to dostrzegł, Belbo, podsunął mu pan tę historię z czymś templarnym, a on natychmiast okay, również templariusze, a także Kabała i tolotek, i fusy z kawy. Są wszystkożerni! Widzieliście, panowie, twarz Bramantiego. To gryzoń. Ogromna publiczność podzielona na dwie wielkie kategorie, już ich widzę, defilują

przed oczyma mojej duszy, a jest ich legion. *In primis* ci, którzy piszą, i tych Manuzio gotów jest przyjąć z otwartymi ramionami. Wystarczy ich przyciągnąć, inicjując serię, która zrobi trochę hałasu, a która mogłaby się nazywać, pomyślmy...

- Tabula Smaragdina - podsunął Diotallevi.

- Jak? Nie, to za trudne i na przykład mnie nic nie mówi, potrzeba nam czegoś, co kojarzyłoby się z czymś innym.

- Izyda Obnażona - powiedziałem.

- Izyda Obnażona! To brzmi dobrze, świetnie, Casaubon, kryje się w tym Tutenchamon, skarabeusz, piramidy. Izyda Obnażona i okładka z aluzją do czarów, ale nienatrętą. Idziemy dalej. Mamy następną grupę, czyli kupujących. Otóż, moi przyjaciele, powiecie może, że Manuzio nie interesuje się kupującymi książki. A kto nam zabrania? Tym razem, proszę panów, będziemy sprzedawać książki firmy Manuzio, dokonamy skoku jakościowego! A wreszcie pozostają badania naukowe i tutaj na scenę wkracza Garamond. Poszukamy sobie poważnego konsultanta i obok studiów historycznych i innych serii uniwersyteckich będziemy publikować trzy albo cztery książki rocznie w kolekcji poważnej, surowej, opatrzonej nazwą jasną, ale nie malowniczą...

- Hermetyka - rzucił Diotallevi.

- Wybornie. Klasyczna, godna. Spytacie, dlaczego wydawać pieniądze na Garamonda, skoro możemy zarabiać je u Manuzia. Otóż kolekcja poważna będzie wabikiem, przyciągnie rozsądne osoby, które przyjdą z innymi propozycjami, wskażą nam tropy, a zresztą przyciągnie też tamtych, różnych Bramantich, których będzie się rzucało w objęcia Manuzia. Projekt „Hermes” wydaje mi się bez zarzutu, ope-

racją nieskazitelną, dochodową, umacniającą idealny przepływ między dwiema firmami... Panowie, do pracy! Odwiedzajcie księgarnie, zbierajcie bibliografię, żądajcie katalogów, zbadajcie, co robią w innych krajach... Kto wie, ile nam się wymknęło osób, które przynosiły tu skarby innego rodzaju, a których pozbyliśmy się, gdyż wtedy nie były nam potrzebne. I zalecam, Casaubon, także historię metali ma pan przyprawić nieco alchemią. Złoto, spodziewam się, jest metalem. Komentarze później, wiecie, panowie, że jestem otwarty na wszelkie uwagi krytyczne, sugestie, wątpliwości, jak to jest przyjęte przez ludzi na pewnym poziomie kulturalnym. Projekt wchodzi z tą chwilą w fazę realizacji. Pani Grazio, proszę wprowadzić tę panią, która czeka od dwóch godzin, nie można tak traktować Autora - oznajmił, otwierając nam drzwi i starając się mówić tak, by było go słychać w poczekalni.

Ludzie spotykani na ulicy... oddają się potajemnie praktykom Czarnej Magii, wiążą się lub próbują wiązać z Duchami Ciemności, by zaspokoić swoje pragnienia, ambicje, nienawiści, miłości, jednym słowem: czynić Zło.

J.K. Huysmans, przedmowa do: J. Bois, *Le satanisme et la magie*,  
1895, s. VIII–IX

Zdawało się, że projekt „Hermes” to ledwie zarysowany pomysł. Nie znałem pana Garamonda. Kiedy ja chodziłem po bibliotekach, szukając ilustracji do książki o metalach, u Manuzia praca szła pełną parą.

Po dwóch miesiącach zobaczyłem u Belba pachnący jeszcze farbą drukarską numer „Parnasu Winopłynnego” z długim artykułem *Odrodzenie okultyzmu*, w którym znany hermetyk, profesor Moebius – nowiutki, prosto z igły pseudonim Belba, jego pierwszy ruch w ramach projektu „Hermes” – omawiał cudowne odrodzenie nauk okultystycznych we współczesnym świecie i zapowiadał, że Manuzio wkroczy na tę drogę nową serią, Izyda Obnażona.

W tym samym czasie pan Garamond napisał szereg listów do różnych czasopism hermetycznych, astrologicznych, zajmujących się tarokiem czy ufologią, i podpisując się pierwszym nazwiskiem, jakie przyszło mu do głowy, prosił o informacje na temat nowej serii, zapowiedzianej przez wydawnictwo Manuzio. Wskutek tego redaktorzy tych czasopism dzwonili do niego, chcąc czegoś się dowiedzieć, on zaś był tajemniczy i mówił, że nie może na razie ujawnić dziesięciu pierwszych tytułów, które zresztą są już w produkcji. W ten sposób świat okultystów, z pewnością pobudzony bezustannym łomotem tam-tamu, dowiedział się o projekcie „Her-



mes”.

- Przebierzmy się za kwiaty - rzekł pan Garamond, który przed chwilą wezwał nas do gabinetu map - a zlecą się pszczoły.

Ale to nie wszystko. Garamond chciał nam pokazać folder (*dépliant* - jak powiedział, ale w mediolańskich firmach wydawniczych wymawia się to słowo podobnie jak „citroen” czy „trecéncinquanta”): nic nadzwyczajnego, cztery stroniczki, ale na lakierowanym papierze. Na pierwszej stronie znajdowała się reprodukcja schematycznej okładki serii, coś w rodzaju złotej pieczęci (nazywa się to Pentaklem Salomona - objaśnił Garamond) na czarnym tle, przy czym brzeg okładki obramowany był motywem dekoracyjnym przypominającym mnóstwo splecionych ze sobą swastyk (to swastyka azjatycka - wyjaśnił Garamond - skierowana zgodnie ze słońcem, nie zaś nazistowska, która zwrócona jest zgodnie z ruchem wskazówek zegara). U góry, w miejscu tytułów poszczególnych tomów, napis: „Są rzeczy na niebie i ziemi...” Na stronicach wewnętrznych wynoszono pod niebiosa zasługi Manuzia dla kultury, a następnie za pomocą kilku zgrabnych haseł wskazywano na fakt, że współczesny świat domaga się pewników głębszych i bardziej olśniewających od tych, jakie może dać nauka: „Z Egiptu, Chaldei, Tybetu zapomniana mądrość - by Zachód odrodził się duchowo”.

Belbo spytał, dla kogo przeznaczone są *dépliants*, a Garamond uśmiechnął się tak, jak uśmiecha się - oznajmił później Belbo - potępiona dusza radży Asamu.

- Kazałem przysłać sobie z Francji spis wszystkich tajemnych stowarzyszeń istniejących obecnie na świecie, ale nie pytajcie mnie, skąd wziął się ogólnie dostępny spis tajnych

stowarzyszeń; jest i tyle. Oto on, *éditions* Henry Veyrier, wraz z adresami, numerami telefonów, kodami pocztowymi. Tak więc pan, Belbo, przejrzy go i wyeliminuje te, które nas nie interesują, gdyż widzę tutaj także jezuitów, Opus Dei, karbonariuszy i Klub Rotariański, wyszuka natomiast wszystkie mające odcień okultystyczny, niektóre zresztą już zaznaczyłem.

Zaczął kartkować księgę.

- Są tu: absolucyści (wierzą w metamorfozy), Aetherius Society z Kalifornii (telepatyczne relacje z Marsem), Astara z Lozanny (przysięga absolutnej tajemnicy), Atlanteans z Wielkiej Brytanii (poszukiwanie utraconej szczęśliwości), Builders of the Adytum z Kalifornii (alchemia, Kabała, astrologia), Krąg E.B. z Perpignan (poświęcający się Hathor, bogini miłości i strażniczce Góry Zmarłych), Krąg Elifasa Lewiego z Maule (nie wiem, kim jest ten Lewi, musi być francuskim antropologiem, czy jak się to nazywa), Rycerze Przymierza Templarnego z Tuluzy, Kolegium Druidów z Galii, Konwent Spirytualistyczny Jerycha, Cosmic Church of Truth z Florydy, Seminarium Tradycyjalne Ecône ze Szwajcarii, mormoni (znalazłem ich też kiedyś w jakiejś książce telefonicznej, ale może już ich tam nie ma), Kościół Mitry z Londynu i Brukseli, Kościół Szatana z Los Angeles, Zjednoczony Kościół Lucyferański Francji, Kościół Różokrzyżowy Apostolski z Brukseli, Dzieci Ciemności albo Zielony Zakon z Côte d'Or (tych może nie, nie wiadomo, jakim językiem się posługują), Escuela Hermetista Occidental z Montevideo, National Institute of Cabalah z Manhattanu, Central Ohio Temple of Hermetic Science, Tetra-Gnosis z Chicago, Starsi Bracia Różanego Krzyża z Saint-Cyr-sur-Mer, Bractwo Joan-

nickie na rzecz Odrodzenia Templum z Kassel, Międzynarodowe Bractwo Odrodzenia Izis z Grenoble, Ancient Bavarian Illuminati z San Francisco, The Sanctuary of the Gnosis z Sherman Oaks, Grail Foundation of America, Sociedade do Graal do Brasil, Hermetic Brotherhood of Luxor, Lectorium Rosicrucianum z Holandii, Ruch Graala ze Strasburga, Zakon Anubisa z Nowego Jorku, Temple of Black Pentacle z Manchesteru, Odinst Fellowship z Florydy, Zakon Podwiązki (musi do niego należeć nawet królowa Anglii), Zakon Vrila (masoneria neonazistowska, bez adresu), Militia Templi z Montpellier, Suwerenny Zakon Świątyni Słonecznej z Monte Carlo, Różokrzyżowcy z Harlemu (do czego to doszło, nawet Murzyni), Wicca (stowarzyszenie lucyferskie obediencji celtyckiej, wzywają siedemdziesiąt dwa duchy Kabały)... czy mam czytać dalej?

- Naprawdę one wszystkie istnieją? - spytał Belbo.

- Jest ich znacznie więcej. Do roboty. Proszę sporządzić spis ostateczny i przystępujemy do wysyłki. Także za granicę. Wymieniają informacje. Pozostaje jeszcze jedno. Trzeba obejść stosowne księgarnie i porozmawiać nie tylko z księgarzami, ale i z klientami. Napomykać w trakcie rozmów, że istnieje taka a taka seria.

Diotallewi zauważył, że nie można narażać się w ten sposób, trzeba znaleźć propagandzistów utajonych, a Garmond odparł, żeby ich poszukał.

- Byleby nie trzeba im było płacić.

Ale wymagania - skomentował Belbo, kiedy wróciliśmy do biura. Lecz bogowie podziemni nam sprzyjali. Dokładnie w tym momencie weszła Lorenza Pellegrini, bardziej słoneczna niż kiedykolwiek; Belbo promieniał, ona zaś zobaczyła

*dépliant* i zainteresowała się.

Kiedy dowiedziała się o planach sąsiedniego wydawnictwa, twarz jej się rozjaśniła.

- Ależ to świetnie. Mam sympatycznego znajomego, byłego urugwajskiego tupamaro, który pracuje w piśmie „Picatrix” i zabiera mnie na seanse spirytystyczne. Zaprzyjaźniłam się nawet z pewną wybitną ektoplazmą, która teraz zawsze żąda mnie, ilekroć się zmaterializuje.

Belbo spojrział na Lorenzę, jakby chciał o coś zapytać, ale się rozmyślił. Pewnie spodziewał się po niej, że bywa w miejscach budzących większe wątpliwości, on zaś postanowił zajmować się jedynie tymi, które mogłyby rzucić cień na jego miłosny związek (czy jednak ją kochał?). A w tym napomknieniu o „Picatrix” ujrzał nie tyle upiora pułkownika, ile upiora zbyt sympatycznego Urugwajczyka. Ale Lorenza mówiła już o czymś innym, opowiadała, że często odwiedza te małe księgarnie, w których sprzedają książki, jakie Izyda Obnażona chciałaby publikować.

- To nie lada widok. Znajduję tam rośliny lecznicze i przepis na stworzenie homunkulusa, zupełnie jak Faust z Heleną Trojańską. Och, Jacopo, zróbmy go, tak bym chciała mieć z tobą homunkulusa, moglibyśmy go potem hodować jak jamnika. W tej książce twierdzi się, że to łatwe, wystarczy zebrać do fiolki odrobinę męskiego nasienia, dla ciebie to fraszka, mam nadzieję, nie czerwień się, głuptasie, a następnie wymieszać z hipomenem, to chyba płyn wydzielany... wydzielany... jak się mówi?

- Wydzielany - podsunął Diotallevi.

- Naprawdę? W każdym razie z tym, co wydzielają żrebne kobyły, i wydaje mi się, że to byłoby trudniejsze, gdybym bo-

wiem była żrebną kobyłą, wcale bym nie chciała, żeby mi pobierali hipomen, a już szczególnie nieznanymi, ale sądzę, że można znaleźć gotowy produkt, jak *agarbatties*. Potem wlewasz wszystko do naczynia, zostawiasz, by się macerowało przez czterdzieści dni, i widzisz, jak stopniowo kształtuje się figurka, fetusik, który po następnych dwóch tygodniach staje się pełnym gracji homunkulusem, wychodzi stamtąd i staje do twoich usług - zdaje się, że one nigdy nie umierają, więc tylko pomyśl: zanieś ci kwiaty na grób, kiedy umrzesz!

- I co jeszcze widziałas w tych księgarniach? - spytał Belbo.

- Fantastycznych ludzi, ludzi przemawiających jak aniołowie, ludzi, którzy wytwarzają złoto, a także fachowych czarowników o twarzach fachowych czarowników...

- Jak wygląda fachowy czarownik?

- Zwykle ma orli nos, brwi jak Rosjanin i oczy drapieżne, włosy opadające na ramiona jak u dawnych malarzy oraz brodę, ale niezmierną, z kilkoma pasemkami siwizny między podbródkiem a policzkiem, i wąsy sterczące do przodu i zasłaniające górną wargę, lecz siłą rzeczy, ponieważ warga jest mocno uniesiona, sterczą biedakom zęby, odrobinę zachodzące na siebie. Mając takie zęby, nie powinni się uśmiechać, a jednak czynią to, uśmiechają się łagodnie, ale oczy (powiedziałam już, że są drapieżne?) wpatrują się w człowieka w niepokojący sposób.

- *Facies hermetica* - skomentował Diotallevi.

- Ach, tak? Sami więc widzicie. Kiedy wchodzi ktoś i prosi o książkę, powiedzmy z modłami przeciwko złym duchom, natychmiast podsuwają księgarzowi właściwy tytuł, którego, jak się okazuje, księgarz akurat nie ma. Jeśli jednak nawiąże

się znajomość i spyta, czy jest to książka skuteczna, znowu się uśmiechają ze zrozumieniem, jakby rozmawiali z dzieckiem, i oznajmiają, że w tego rodzaju sprawach trzeba bardzo uważać. Następnie cytują przypadki diabłów, które robiły swoim przyjaciołom rzeczy po prostu straszne, ty wpadasz w przerażenie, a oni uspokajają cię, mówiąc, że często chodzi o zwykłą histerię. W końcu nigdy się nie wie, czy w to wierzą, czy nie. Księgarze często dają mi pałeczki kadzideł, jeden dał mi nawet rączkę z kości słoniowej przeciwko złemu spojrzeniu.

- Jeśli więc natkniesz się na takiego - powiedział Belbo - spytaj, czy wie coś o nowej serii wydawnictwa Manuzio, a nawet pokaż mu folder.

Lorenza wyszła, zabierając dziesiątkę *dépliants*. Pewnie w następnych tygodniach ona też pracowała wytrwale, ale nie sądziłem, że to wszystko potoczy się tak szybko. Po kilku miesiącach pani Grazia nie mogła się już opędzić od diabolistów, jak nazywaliśmy NWA z zainteresowaniami okultystycznymi. Był ich legion, bo taką już mają naturę.

Wzywa siły Stołu Zjednoczenia zgodnie z najwyższym rytuałem Pentagramu, wraz z Duchem Aktywnym i Pasywnym, z Eheieh i Agla. Wraca do ołtarza i odmawia następującą inwokację do Duchów Henochiańskich: *Ol Sonuf Vaorsag Goho Iad Balt, Lonsh Calz Vonpho, Sobra Z-ol Ror I Ta Nazps, od Graa Ta Malprg... Ds Hol-q Qaa Nothoa Zimz. Od Commah Ta Nopbloh Zien...*

Israel Regardie, *The Original Account of the Teachings, Rites and Ceremonies of the Hermetic Order of the Golden Dawn*, Llewellyn Publications, St. Paul 1986, s. 423

Spotkało nas szczęście i odbyliśmy pierwszą rozmowę na najwyższym szczeblu – w każdym razie, jeśli się uwzględni nasz stopień inicjacji.

Trio Belbo, Diotallevi i ja było w komplecie i niewiele brakowało, a wydalibyśmy z siebie okrzyk zdumienia, kiedy w drzwiach stanął nasz gość. Miał *facies hermetica* opisaną przez Lorenzję Pellegrini, a ponadto był ubrany na czarno.

Wszedł, popatrując podejrzliwie dokoła, i przedstawił się (profesor Camestres). Na pytanie „profesor czego?” odpowiedział nieokreślonym gestem, jakby chciał nas zachęcić do większej powściągliwości.

– Przepraszam – rzekł – ale nie wiem, czy panowie zajmują się problemem z punktu widzenia czysto technicznego, komercyjnego, czy też są związani z jakąś grupą inicjacyjną...

Uspokoiliśmy go.

– Nie jest to z mojej strony przesadna ostrożność – oświadczył – ale nie chciałbym mieć do czynienia z kimś z OTO.

Następnie, widząc nasze zmieszanie, wyjaśnił:

– Ordo Templi Orientalis, konwentykiel ostatnich rzekomych wiernych Aleistera Crowleya... Widzę, że nie jesteście,

panowie, zaznajomieni z... Tym lepiej, nie będziecie mieli żadnych uprzedzeń. – Zgodził się usiąść. – Gdyż widzicie, panowie, dzieło, które oto wam zaprezentuję, śmiało przeciwstawia się Crowleyowi. Wszyscy, ja także, dochowujemy wierności *Liber Al vel legis*, która, jak może panowie wiecie, została podyktowana Crowleyowi w 1904 roku w Kairze przez wyższy umysł noszący imię Aiwaz. Zwolennicy OTO po dzień dzisiejszy badają ten tekst we wszystkich czterech wydaniach, z których pierwsze poprzedza o dziewięć miesięcy wybuch wojny bałkańskiej, drugie o dziewięć miesięcy wybuch pierwszej wojny światowej, trzecie o dziewięć miesięcy wojnę chińsko-japońską, czwarte o dziewięć miesięcy rzezie hiszpańskiej wojny domowej...

Nie mogłem powstrzymać się od nerwowego splecenia dłoni. Spostrzegł to i uśmiechnął się niewesoło.

– Rozumiem pańskie podniecenie. Zważywszy na to, że przyniosłem panom propozycję piątego wydania tej książki, co zdarzy się za dziewięć miesięcy? Nic, proszę się uspokoić, gdyż proponuję *Liber legis* uzupełnioną, albowiem dany mi był ten zaszczyt, iż nawiedził mnie nie zwykły umysł wyższego rzędu, lecz sam Al, najwyższa zasada, czyli Hoor-paar-Kraat, będący ponoć, nawiasem mówiąc, sobowtórem i mistycznym bliźniakiem Ra-Hoor-Khuita. Upierałbym się jedynie przy żądaniu (między innymi pragnąc uniknąć zgubnych wpływów), aby moje dzieło zostało opublikowane na przesilenie zimowe.

– Można by się nad tym zastanowić – powiedział zachęcającym tonem Belbo.

– Jestem więc usatysfakcjonowany. Książka narobi mnóstwo szumu w środowiskach inicjacyjnych, gdyż, jak to



panowie rozumieją, moje źródło mistyczne jest poważniejsze i bardziej wiarygodne niż źródło Crowleya. Nie mam pojęcia, jak Crowley mógł wprowadzić w życie rytuały Bestii, nie uwzględniając Liturgii Miecza. Jedynie obnażając miecz, można zrozumieć, czym jest Matapralaja, czyli Trzecie Oko Kundaliniego. A zresztą w swojej arytmologii, całkowicie opartej na liczbie Bestii, nie uwzględnił dziewięćdziesięciu trzech, stu osiemnastu, czterystu czterdziestu czterech, osiemset sześćdziesięciu ośmiu i tysiąca jeden, Liczb Nowych.

- Co one oznaczają? - spytał Diotallevi, nagle okazując najżywsze zainteresowanie.

- Ach - odparł profesor Camestres - jak już powiedziano w pierwszej *Liber legis*, każda liczba jest nieskończona i nie ma między nimi różnic.

- Rozumiem - oznajmił Belbo. - Nie sądzi pan jednak, że to wszystko może być nieco niejasne dla zwykłego czytelnika?

Camestres podskoczył na krześle.

- Ale inaczej być nie może. Absolutnie. Kto zrozumie te sekrety bez należytego przygotowania, runie w otchłań! Już publikując je w sposób zawoalowany, narażam się na niebezpieczeństwo, proszę mi wierzyć. Poruszam się w kręgu adoracji Bestii, ale w sposób bardziej radykalny niż Crowley, zobaczycie, panowie, strony poświęcone *congressus cum daemone*, przepisy na sprzęty świątynne i złączenie fizyczne z Niewiastą Szkarłatną i Bestią, której Ona Dosiada. Crowley zatrzymał się przy kongresie cielesnym, zwanym „przeciwko naturze”, ja staram się przenieść rytuał poza Zło takie, jak je pojmujemy, muskam sprawy nieuchwytnie, czystość abso-

lutną Goetia, krańcowy próg Bas-Aumgn oraz Sa-Ba-Ft...

Belbowi pozostało tylko wybadać możliwości finansowe Camestresa. Uczynił to, zdążając do celu krętymi ścieżkami, i w końcu okazało się, że Camestres, podobnie jak Bramanti, nie ma najmniejszego zamiaru finansować wydania swoich dzieł. Nastąpiła wówczas faza wycofywania się, z grzeczną prośbą o zostawienie rękopisu na tydzień w celu przeczytania, a później się zobaczy. Ale w tym momencie Camestres przycisnął maszynopis do piersi, twierdząc, że nigdy jeszcze nie został potraktowany tak podejrzliwie, i wyszedł, dając nam do zrozumienia, iż ma niepospolite sposoby, by ukarać nas za zniewagę.

Jednak już wkrótce mieliśmy do dyspozycji dziesięć maszynopisów bez najmniejszych wątpliwości NWA. Należało przystąpić do jakiejś choćby pobieżnej selekcji, zważywszy na to, że chcieliśmy je przecież sprzedać. Było rzeczą niemożliwą, byśmy przeczytali to wszystko, przebiegaliśmy tylko wzrokiem spisy treści i dzieliliśmy się spostrzeżeniami.

Stąd wynika zadziwiające pytanie. Czyżby Egipcjanie znali elektryczność?

Peter Kolosimo, *Terra senza tempo*,  
Sugar, Mediolan 1964, s. 111

- Wyłowilem tekst o zaginionych cywilizacjach i tajemniczych krainach - oznajmił Belbo. - Zdaje się, że na samym początku istniał gdzieś w okolicach Australii kontynent Mu i że tam zaczęły się wielkie ruchy migracyjne. Jedno z odgałęzień trafiło na wyspę Avalon, drugie na Kaukaz i do źródeł Indusu, a następnie mamy Celtów, założycieli cywilizacji egipskiej i wreszcie Atlantyde.

- To stare rzeczy, facetów, którzy pisali książki o Mu, mogę dostarczyć na pęczki - pochwaliłem się. - Ale może to opłacać się. A zresztą mamy tu piękny rozdział o migracji greckiej na Jukatan, wydedukowanej na podstawie płaskorzeźby wojownika z Chichén Itzá, podobnego do rzymskiego legionisty. Jak dwie krople wody...

- Wszystkie hełmy na świecie ozdabiano piórami albo końskim ogonem - stwierdził Diotallevi. - To żaden dowód.

- Dla ciebie, ale nie dla niego. On widzi, że we wszystkich cywilizacjach czczono węża, i wnioskuje stąd, że wszystkie wywodzą się z jednego pnia...

- Któż nie czcił węża? - rzekł znowu Diotallevi. - Oczywiście poza Narodem Wybranym.

- Rzeczywiście, ci czcili cielce.

- Chwila słabości. Ja bym to odrzucił, nawet gdyby miało być opłacać się. Celtyzm i Ariowie, Kali-Juga, zmierzch Zachodu i cywilizacja SS. Może jestem paranoikiem, ale pachnie mi

to nazizmem.

- Dla Garamonda niekoniecznie musi to być przeciwwskazanie.

- Tak, ale wszystko ma swoje granice. Natomiast ja widziałem maszynopis poświęcony gnomom, ondynom, salamandrom, elfom i sylfidom, wróżkom... Jednak i tutaj autor bierze na warsztat początki cywilizacji aryjskiej. Wygląda na to, że SS-mani zostali spłodzeni przez siedmiu krasnoludków.

- Nie przez siedmiu krasnoludków, ale przez Nibelungów.

- Ale tutaj chodzi o Mały Lud Irlandzki. Złe są czarownice, maleństwa zaś poczciwe, tyle że nieco przekorne.

- Odłóż na bok. A co pan znalazł, Casaubon?

- Jedynie interesujący tekst o Krzysztofie Kolumbie. Autor analizuje jego podpis i znajduje w nim ni mniej, ni więcej, tylko nawiązanie do piramid. Zamiarem Kolumba było odbudowanie Świątyni Jerozolimskiej, jako że pełnił obowiązki wielkiego mistrza templariuszy na wygnaniu. Ponieważ powszechnie wiadomo, że był portugalskim Żydem - a więc biegłym kabalistą - stosując talizmatyczne zaklęcia, uspokoił burzę i opanował szkorbut. Nie zaglądałem do tekstów dotyczących Kabały, bo chyba przejrzał je Diotallevi.

- We wszystkich literach hebrajskie są błędnie pisane, to fotokopie z broszurek typu Smorfia, czyli zajmujących się sposobami odgadywania przez sens numerów loteryjnych.

- Pamiętajmy jednak, że wybieramy tekst do Izydy Obnażonej. Nie zajmujemy się filologią. Być może diaboliści upodobali sobie litery hebrajskie wzięte ze Smorfii. Nie czuję się zbyt pewny, gdy chodzi o wszelkie wpływy na masonerię. Pan Garamond zalecał, bym poruszał się po tym terenie ostrożnie, nie chce bowiem mieszać się w spory między roz-

maitymi rytami. Jednak nie lekceważyłbym tekstu odnoszącego się do symboliki masońskiej w grocie w Lourdes. Ani też tego, wprost wybornego, o pojawieniu się w momencie powstania flagi Stanów Zjednoczonych pewnego arystokraty, hrabiego de Saint-Germain, przyjaciela Franklina i Lafayette'a. Tyle że tłumaczy wprawdzie właściwe znaczenie gwiazd, ale błądzi we mgle, kiedy pisze o pasach.

- Hrabia de Saint-Germain! - wykrzyknąłem. - No, no!

- Co, zna go pan?

- Jeśli powiem, że tak, nie uwierzycie. Dajmy temu pokój. Mam tutaj jakąś potworność na czterystu stronach przeciwko błędom współczesnej nauki. Atom to żydowskie kłamstwo, błąd Einsteina i mistyczna tajemnica materii. Złudzenie Galileusza i niematerialna natura Księżyca oraz Słońca.

- Jeśli o to chodzi - oznajmił Diotallevi - najbardziej podobą mi się przegląd nauk fortiańskich.

- Co to takiego?

- Nazwa pochodzi od niejakiego Charlesa Hoy Forta, który zgromadził ogromną kolekcję niewyjaśnionych informacji.

Deszcz żab w Birmingham, ślady baśniowego zwierzęcia w Devon, tajemnicze i pokryte bąblami schody na zboczach niektórych gór, nieregularność następowania zrównania dnia z nocą, napisy na meteorytach, czarny śnieg, burze krwi, istoty skrzydlate na wysokości ośmiu tysięcy metrów nad Palermo, świetliste koła w morzu, szczątki gigantów, opadanie zeschniętych liści we Francji, opady żywej materii na Sumatrze i oczywiście wszystkie ślady na Machu Picchu i innych szczytach Ameryki Południowej, świadczące o lądowaniu w czasach prehistorycznych potężnych kosmicznych statków. Nie

jesteśmy sami we wszechświecie.

- Wcale nieźle - rzekł Belbo. - Mnie natomiast zaintrygowało tych pięćset stron o piramidach. Czy wiedzieliście, że piramida Cheopsa znajduje się dokładnie na trzydziestym równoleżniku, a właśnie ten równoleżnik przecina najwięcej lądów, które się wyłoniły z oceanów? Że relacje geometryczne w piramidzie Cheopsa są zupełnie takie same jak w Pedra Pintada w Amazonii? Że Egipt miał dwa pierzaste węże, jednego na tronie Tutenchamona, drugiego na piramidzie w Sakkara, i że to kojarzy się z Quetzalcoatlem?

- Co ma wspólnego Quetzalcoatl z Amazonią, skoro wchodzi w skład panteonu meksykańskiego?

- No, może umknęło mi jakieś ogniwo. Jak z drugiej strony uzasadnić, że posągi na Wyspie Wielkanocnej są megalityczne, tak samo jak posągi celtyckie? Jeden z bogów polinezyjskich nazywał się Ya i jest to oczywiście Iod Hebrajczyków, jak starowęgierski Iov, bóg wielki i dobry. Stary rękopis meksykański pokazuje ziemię jako kwadrat otoczony przez morze, a w samym środku tkwi piramida, która nosi u podstawy napis: Aztlan, co przypomina Atlasa albo Atlantyde. Dlaczego po obu stronach Atlantyku mamy piramidy?

- Bo łatwiej budować piramidy niż kule. Gdyż wiatr tworzy wydmy w kształcie piramid, nie zaś Panteonu.

- Nienawidzę ducha oświecenia - oświadczył Diotallevi.

- Idę dalej. Kult boga Ra nie pojawia się w religii egipskiej przed Nowym Państwem, a więc wziął się od Celtów. Przypomnij sobie Świętego Mikołaja i jego sanki. W prehistorycznym Egipcie słoneczna łódź to były sanie. Ponieważ w Egipcie te sanie nie mogły sunąć po śniegu, ich pochodzenie musi być nordyckie...

Nie poddawałem się.

- Ale zanim wynaleziono koło, używano sań również na piasku.

- Niech pan nie przerywa. Książka powiada, że najpierw należy wyłapać analogie, a potem znaleźć dla nich uzasadnienie. A w tym miejscu mówi się, że w końcu wyjaśnienia są naukowe. Egipcjanie znali elektryczność, gdyż w przeciwnym razie nie zdołaliby zrobić tego wszystkiego, co zrobili. Pewien niemiecki inżynier zatrudniony przy kanalizowaniu Bagdadu odkrył funkcjonujące jeszcze ogniwa elektryczne, które pamiętały czasy Sasanidów. Podczas wykopalisk w Babilonii wydobyto akumulatory, wyprodukowane cztery tysiące lat temu. A wreszcie Arka Przymierza (w której musiały znajdować się tablice z Prawami, laska Aarona i naczynie z manną z pustyni) była czymś w rodzaju elektrycznego sejfu, zdolnego wytwarzać wyładowania elektryczne rzędu pięciuset woltów.

- Widziałem to już na jakimś filmie.

- I co z tego? Jak pan myśli, skąd czerpią pomysły scenarzyści? Arka była wykonana z drewna akacjowego, obitego wewnątrz i na zewnątrz złotem - dokładne powtórzenie zasady kondensatora elektrycznego, dwa dobre przewodniki rozdzielone złym. Otoczona była wieńcem z czystego złota. Znajdowała się w strefie suchej, gdzie pole magnetyczne sięga pięciuset-sześciuset woltów w pionie na metr. Mówi się, że Porsena dzięki elektryczności uwolnił swoje królestwo od straszliwego zwierza o nazwie Volt.

- I właśnie dlatego Volta wybrał sobie ten egzotyczny przydomek. Przedtem nazywał się po prostu Szmrszlyn Krasnapolski.

- Bez żartów. Oprócz maszynopisów mam tutaj cały wa-

chlarz listów proponujących rewelacje na temat związków między Joanną d'Arc a Księgami sybillińskimi, demonem tal-mudycznym Lilith a wielką matką hermafrodytą, kodem genetycznym a pismem marsjańskim, tajemną inteligencją roślin, odrodzeniem komicznym a psychoanalizą, Marksem a Nietzschem w perspektywie nowej angelologii, Złotą Liczbą a kamieniem z Madery, Kantem a okultyzmem, misteriami eleuzyńskimi a jazzem, Cagliostrem a energią atomową, homoseksualizmem a gnozą, Golemem a walką klas, kończąc na ośmiotomowej pracy o Graalu i Najświętszym Sercu.

- Czego chce dowieść autor? Że Graal był alegorią Najświętszego Serca czy Najświętsze Serce alegorią Graala?

- Dostrzegam różnicę i doceniam ją, ale zdaje mi się, że dla niego wartość mają obie te rzeczy. Właściwie w tym miejscu sam już nie wiem, czym się kierować. Trzeba by zasięgnąć opinii pana Garamonda.

Tak uczyniliśmy. On zaś wyjaśnił, że w zasadzie nie powinno się odrzucać niczego i że trzeba wszystkim umożliwić zabranie głosu.

- Proszę tylko spojrzeć: większość tych prac powtarza rzeczy, które znaleźć można we wszystkich kioskach dworcowych - powiedziałem. - Autorzy, nawet ci wydawani, powtarzają po sobie, jeden podaje jako świadectwo twierdzenia drugiego i wszyscy jako ostatecznego dowodu używają pewnego zdania z Jamblicha, by tak rzec.

- No to co? - spytał Garamond. - Chce pan sprzedać czytelnikom coś, czego nie wiedzą? Książki Izydy Obnażonej mają mówić dokładnie o tych samych rzeczach, o których mówią inne. Potwierdzają się nawzajem, więc powiadają



prawdę, proszę nie ufać oryginalności.

- Zgoda - rzekł Belbo - trzeba jednak wiedzieć, co jest oczywiste, a co nie. Przydałby się nam konsultant.

- Jakiego rodzaju?

- Sam nie wiem. Powinien być trzeźwiejszy niż diaboliści, ale musi znać ich świat. A poza tym powinien powiedzieć, na co winniśmy stawiać w hermetryce, jakiś poważny badacz hermetyzmu renesansowego...

- Świetnie! - wykrzyknął Diotallevi. - I jak tylko wsuniesz mu w dłonie Graala i Najświętsze Serce, wyjdzie, trzaskając drzwiami.

- Niekoniecznie.

- Chyba znam właściwą osobę - oświadczyłem. - Ten facet jest z pewnością erudytą, wystarczająco poważnie traktuje te sprawy, lecz czyni to z pewną elegancją, z ironią. Poznałem go w Brazylii, ale w tej chwili mieszka zapewne w Mediolanie. Muszę mieć gdzieś jego telefon.

- Proszę się z nim skontaktować - przyzwolił Garamond. - Ale ostrożnie, wszystko zależy od kosztów. Poza tym niech pan wykorzysta go także do cudownej przygody metali.

Agliè był, jak się zdaje, uszczęśliwiony, że mnie słyszy. Zapytał, co u zachwycającej Amparo, dałem mu więc nieśmiało do zrozumienia, że to zamknięta karta, przeprosił, wygłosił kilka uprzejmych uwag na temat świeżości, z jaką młodzieniec może ciągle otwierać nowe rozdziały w swoim życiu. Wspomniałem mu o projekcie wydawniczym. Okazał zainteresowanie, oznajmił, że chętnie się z nami zobaczy, i umówiliśmy się u niego w domu.

Od chwili narodzin projektu „Hermes” aż do tamtego dnia

bawiłem się bezmyślnie kosztem połowy świata. Teraz oni przedstawia rachunek. To ja byłem pszczołą i leciałem w stronę kwiatu, choć na razie ani się tego domyślałem.

W ciągu dnia podejdziesz kilka razy do żaby i wypowiesz słowa, w których złożysz jej hołd. I będziesz prosił, żeby dokonała cudów, jakich pragniesz... Przygotujesz w tym czasie krzyż, na którym złożysz z niej ofiarę.

z Rytuału Aleistera Crowleya

Agliè mieszkał w okolicy placu Susa. Mała prywatna uliczka, pałacyk z końca wieku, z umiarem ozdobiony esami-floresami. Otworzył nam stary lokaj w kamizelce w prążki, wprowadził nas do saloniku i poprosił, byśmy poczekali na pana hrabiego.

- Więc to hrabia - szepnął Belbo.

- Przecież mówiłem. To Saint-Germain *redivivus*.

- Nie może być przywrócony do życia, skoro nigdy nie umarł - stwierdził sentencjonalnie Diotallevi. - Czy nie jest czasem Ahaswerem, Żydem Wiecznym Tułaczem?

- Niektórzy twierdzą, że hrabia Saint-Germain był także Ahaswerem.

- No widzisz?

Wszedł Agliè, jak zwykle nieskazitelnie ubrany. Uścisnął nam dłonie i przeprosił: nudna i zupełnie nieprzewidziana wizyta zmusza go do pozostania jeszcze przez dziesięć minut w swoim gabinecie. Poleciał lokajowi podać kawę, a nas poprosił, byśmy się rozgościli. Potem wszedł, rozchylając ciężką kotarę ze starej skóry. Nie było drzwi i kiedy piliśmy kawę, słyszeliśmy dochodzące z sąsiedniego pomieszczenia wzburzone głosy. Z początku rozmawialiśmy między sobą głośno, żeby nie podsłuchiwać, ale potem Belbo zauważył, że być może przesadzamy. W chwili gdy zamilkliśmy, usłysz-

liśmy głos i słowa, które wzbudziły nasze zaciekawienie. Diotallevi wstał, z miną, jakby podziwiał wiszącą na ścianie tuż obok kotary siedemnastowieczną rycinę. Przedstawiała pieczarę górską, do której pielgrzymi pili się po siedmiu stopniach. Wkrótce wszyscy trzej udawaliśmy, że oglądamy rycinę.

Tym, którego głos usłyszeliśmy, był z pewnością Bramanti.

- W końcu nie posyłam diabłów do niczyjego domu!

Tego dnia uświadomiliśmy sobie, że Bramanti ma nie tylko wygląd, ale i głos tapira.

Drugi głos był nieznan, z mocnym akcentem francuskim, o brzmieniu ostrym, prawie histerycznym. Od czasu do czasu do dialogu mieszał się głos Agliègo, łagodny i pojednawczy.

- Ależ, panowie - mówił teraz Agliè - odwołał się do mojego werdyktu i jestem tym zaszczycony. W takim razie proszę mnie wysłuchać. Pozwólcie mi przede wszystkim powiedzieć, że pan, drogi Pierre, był co najmniej nieostrożny, pisząc ten list...

- Sprawa jest bardzo prosta, panie hrabio - odpowiedział głos francuski. - Obecny tu pan Bramanti pisze artykuły w piśmie, które wszyscy szanujemy, i pozwala sobie na dosyć plugawe szyderstwo w stosunku do pewnych lucyferan, którzy chcieliby mieć hostię, nie wierząc przy tym w rzeczywistą obecność, aby ciągnąć z tego zyski i tak dalej. *Bon*, dzisiaj wszyscy już wiedzą, że jedyny *Eglise Luciférienne* uznany to Kościół, którego jestem skromnym tauroboliastą i psychopompą, a wiadomo, że mój Kościół nie uprawia taniego satanizmu i nie robi *ratatouille* z hostii, bo to godne kanonika Docre'a z Saint-Sulpice. Napisałem w liście, że nie jesteśmy

satanistami *vieux jeu*, czcicielami *Grand Tenancier du Mal*, i że nie potrzebujemy małpować Kościoła rzymskiego z wszystkimi cyboriami i tymi, jak to się nazywa, ornatami... Należymy raczej do palladian, ale o tym wie cały świat, dla nas Lucyfer jest zasadą dobra, skoro Adonaj jest zasadą zła, gdyż stworzył ten świat, czemu Lucyfer próbował się przeciwstawić...

- No dobrze! - wykrzyknął podnieconym tonem Bramanti.  
- Napisałem to, może zgrzeszyłem lekkomyślnością, ale to jeszcze nie upoważnia go do grożenia rzucaniem uroków!

- Coś takiego! Przecież chodziło o metaforę! To raczej pańską odpowiedzią było *envoûtement*!

- Dobrze sobie, jakbyśmy mogli, ja i moi bracia, pozwolić sobie na trwonienie czasu i rozsyłanie dokoła diabełków! My praktykujemy Dogmat i Rytuał Wyższej Magii, nie jesteśmy byle czarownikami.

- Panie hrabio, odwołuję się do pana. Pan Bramanti utrzymuje, co jest powszechnie znane, stosunki z opatem Boutroux, a wie pan dobrze, iż o tym kapłanie powiada się, że kazał sobie na podeszwach wytatuować krzyż, by deptać naszego Pana albo swojego... *Bon*, tydzień temu spotkałem tego rzekomego opata w księgarni Du Sangreal, wie pan, on zaś uśmiecha się do mnie, równie lepki jak jego ubranie, i mówi: dobrze, dzwonił się któregoś wieczoru... Co jednak znaczy owo „któregoś wieczoru”? Oznacza, że dwa dni później zaczynają się wizyty. Kładę się do łóżka i czuję na twarzy *chocs fluidalne*, wie pan sam, jak łatwo rozpoznać te emanacje.

- Pewnie się pan potknął o dywan.

- Ach, tak? Czemu więc unoszą się w powietrzu bibeloty, czemu jeden z moich alembików uderza mnie w głowę, cze-

mu spada na ziemię gipsowy Bafomet, pamiątka po moim biednym ojcu, czemu na ścianach pojawiają się czerwone napisy, świństwa, których nie śmiem powtórzyć? Wie pan doskonale, że nie dalej jak rok temu monsieur Gros oskarżył opata o to, że ten robi mu kataplazmy z materii fekalnej, proszę wybaczyć, a opat skazał go na śmierć... i dwa tygodnie później monsieur Gros umarł w tajemniczych okolicznościach. Że ten Boutroux manipuluje substancjami trującymi, ustalił nawet sąd honorowy zwołany przez martynistów z Lyonu...

- Na podstawie kalumnii... - oznajmił Bramanti.

- Czyżby? W tego rodzaju sprawach zawsze mamy proces poszlakowy...

- Tak, ale monsieur Gros był alkoholikiem w ostatnim stadium marskości wątroby, o czym podczas procesu nie wspomniano.

- Niech pan nie będzie dzieckiem! Przecież czarownictwo kroczy drogami naturalnymi i jeśli ktoś ma marskość wątroby, atakuje się chory organ, to abecadło czarnej magii...

- Więc wszyscy, którzy umierają na marskość wątroby, są ofiarami poczciwego Boutroux? Niech mnie pan nie rozśmiesza!

- Proszę więc opowiedzieć, co działo się w Lyonie w ciągu tych dwóch tygodni... kaplica zbezczeszczona, hostia z tetragramatonem, pański Boutroux w czerwonej sutannie z krzyżem do góry nogami, a madame Olcott, jego *voyante personnelle*, by nie rzec więcej, ukazuje mu się z trójzębem na czole, i puste kielichy, które same napełniają się krwią, i ksiądz, który pluje w twarzę swoim wiernym... Było tak czy nie?

- Za dużo czytał pan Huysmansa, drogi przyjacielu! - Bramanti się roześmiał. - Było to wydarzenie kulturalne, historyczne odtworzenie, podobne do celebracji szkoły Wicca i kolegów druidów!

- *Ouai*, karnawał w Wenecji...

Nastąpiło jakieś zamieszanie, jakby Bramanti rzucił się na swojego przeciwnika, a Agliè z trudem go powstrzymywał.

- Jeszcze pan zobaczy, jeszcze pan popamięta! - wykrzykiwał Francuz głosem sponad pięciolinii. - Uważaj, Bramanti, zapytaj swojego przyjaciela Boutroux, co mu się przydarzyło! Jeszcze nie wiesz, ale znalazł się w szpitalu. Spytaj go, kto mu rozwalił mordę! Chociaż nie praktykuję tej waszej goecji, co nieco o niej wiem, więc kiedy zrozumiałem, że mój dom jest nawiedzony, nakreśliłem na parkiecie obronny krąg, i chociaż ja w to wszystko nie wierzę, w odróżnieniu od twoich diabełków, owszem, zabrałem szkaplerz z Karmelu i uczyniłem przeciwnaki, *l'envoûtement retourné*, tak, tak. Twój opat przeżył ciężkie chwile.

- O, o, sam pan widzi. - Bramanti dyszał ciężko. - To on rzuca uroki.

- Panowie, dość tego - oświadczył Agliè uprzejmie, ale stanowczo. - Teraz posłuchajcie mnie. Wiecie, jak bardzo cenię w płaszczyźnie poznawczej to odtwarzanie zapomnianych obrzędów, i dla mnie Kościół Lucyferański i Zakon Szatana są równie godne szacunku mimo różnic demonologicznych. Znacie mój sceptycyzm pod tym względem, ale w końcu należymy do tego samego rycerstwa duchowego i zachęcam, panowie, do zachowania minimum solidarności. A zresztą, moi panowie! Mieszać Księcia Ciemności do osobistych konfliktów! Byłoby to zaiste dziecinne. Dajmy pokój, to bajki dla

okultystów. Zachowują się jak prostaccy wolnomularze. Bouteroux jest aspołeczny, bądźmy szczerzy, i jeśli kiedyś, drogi Bramanti, nakłoni go pan, by odsprzedał jakiemuś handlarzowi starzyzną te swoje rekwizyty, stosowne dla Mefistofelesa Boita...

- *Ah, ah, c'est bien dit ça!* - Francuz zaśmiał się szyderczo. - *C'est de la brocanterie...*

- Rozważmy jeszcze raz fakty. Doszło do dyskusji nad tym, co nazwalibyśmy formalizmem liturgicznym, umysły rozgorzały, ale nie róbmy z igły wideł. Niech pan zważy, drogi Pierre, nie wykluczam zgoła obecności w pańskim domu bytów obcych, to rzecz najzwyczajniejsza w świecie, ale przy odrobinie zdrowego rozsądku wszystko można wyjaśnić poltergeistem...

- Tego nie wykluczam - zgodził się Bramanti. - Komunikacja astralna w tym momencie...

- No właśnie! Dalej, podajcie sobie dłonie i uściśnijcie się po bratersku.

Usłyszeliśmy wypowiedziane ściszonymi głosami słowa przeprosin.

- Pan również wie dobrze - mówił Bramanti - że czasem, chcąc wyłuskać kogoś, kto naprawdę trudni się inicjacją, trzeba pozwolić sobie na odrobinę folkloru. Nawet ci handlarze z Wielkiego Wschodu, którzy w nic nie wierzą, mają swój ceremoniał.

- *Bien entendu, le rituel, ah ça...*

- Ale nie żyjemy w czasach Crowleya, pojmuje pan? - wtrącił się Agliè. - Teraz panów żegnam, mam innych gości.

Czym prędzej wróciliśmy na kanapę i w postawie godnej, a zarazem pełnej niewymuszonej swobody, czekaliśmy na



Agliègo.

Wielki zaiste był nasz trud, by znaleźć porządek w tych siedmiu sposobach, pojemny, wystarczający, odmienny i który zawsze podtrzymywałby czucie rozbudzone i pamięć przenikliwą... Ta wielka i niezrównana kolokacja miała nie tylko zachować powierzone rzeczy, słowa i biegłości... lecz dała nam też prawdziwą mądrość...

Giulio Camillo Delminio, *L'Idea del Teatro*,  
Torrentino, Firenze 1550, wstęp

Po kilku minutach wkroczył Agliè.

- Proszę mi wybaczyć, drodzy przyjaciele. Odbyłem właśnie co najmniej nieprzyjemną rozmowę. Jak wie nasz kochany Casaubon, uważam się za krzewiciela historii religii, i z tej przyczyny ten lub ów wcale nierzadko ucieka się do mojej wiedzy, być może bardziej do mojego zdrowego rozsądku niż doktryny. To ciekawe, proszę panów, ale wśród adeptów studiów mądrościowych spotyka się czasem postacie nader osobliwe... Nie mówię o zwykłych poszukiwaczach pociechy transcendentalnej ani o duszach melancholijnych, lecz również ludzie głębokiej wiedzy i subtelnego umysłu pozwalają sobie czasem na nocne fantazjowanie i tracą poczucie granicy między prawdami tradycyjnymi i archipelagiem spraw zdumiewających. Panowie, z którymi dopiero co rozmawiałem, toczą spory, opierając się na domysłach doprawdy dziecinnych. Niestety, jak się powiada, zdarza się to w najlepszych rodzinach. Ale proszę do mojego gabinetu, porozmawiamy w stosowniejszej atmosferze.

Uniósł skórzaną zasłonę i przepuścił nas do drugiego pokoju. Przy takich wymiarach i takim wyposażeniu w wytworne, antykwaryczne regały, wypełnione porządnie oprawionymi książkami, bez wątpienia w czcigodnym wieku, ta sala nie

mieściła się w moich wyobrażeniach gabinetu. Bardziej jednak niż widok książek uderzyły mnie gablotki zawierające jakieś nieznanne przedmioty, które wyglądały jak kamienie lub małe zwierzątka, nie wiadomo – wypchane, zmumifikowane czy też pieczołowicie odtworzone. Wszystko nurzało się w przygaszonym świetle zmierzchu. Wydawało się, że pada ono od wielkiego dwudzielnego okna w głębi, rzucając bursztynowy blask przez oprawione w ołów szybki w kształcie rombów, lecz światło z zewnątrz łączyło się ze światłem wielkiej lampy stojącej na zarzuconym mapami stoliku z ciemnego mahoni. Była to jedna z tych lamp, jakie spotyka się czasem na stolikach w starych bibliotekach, z zieloną szklaną bańką, rzucających na książkę biały owal, a otoczenie pozostawiających w opalizującym półmroku. Ta gra różnych światła, przy czym oba były nienaturalne, w jakiś osobliwy sposób ożywiała, miast gasić, polichromię sufitu.

Było to sklepienie łukowe i cały pomysł zdobniczy sprowadzał się do wsparcia go z czterech stron na ceglasterkowych kolumnkach z maleńkimi złożonymi kapitelami, lecz *trompe-l'oeil* obrazów, które rozmieszczono w siedmiu obszarach owego sklepienia, sprawiało, iż wyglądało ono na żagielkowe, a cała sala przybierała wygląd kaplicy żałobnej, nieuchwytnie grzesznej, melancholijnie zmysłowej.

- Mój mały teatr - powiedział Agliè - na wzór tych renesansowych fantazji z rozmieszczonymi przemyślnie wizualnymi encyklopediami, sylogizmami uniwersum. Jest to bardziej machina do przypominania niż mieszkanie. Wśród tych obrazów, które macie, panowie, przed oczami, nie wskażecie ani jednego, który odpowiednio zestawiony z innymi nie ujawniałby i nie streszczał jakiejś tajemnicy świata. Proszę

spojrzeć na tę procesję postaci, którym malarz narzucił podobieństwo z postaciami w pałacu mantuańskim. To trzydziestu sześciu dziekanów, władców niebios. I z nawyku oraz wierności dla tradycji, kiedy ujrzałem tę wspaniałą rekonstrukcję, którą zawdzięczamy nie wiadomo komu, chciałem, by także drobne znaleziska, umieszczone w gablotach, ale pozostające w korespondencji z obrazami na sklepieniu, wyrażały podstawowe żywioły wszechświata: powietrze, wodę, ziemię i ogień. To wyjaśnia, dlaczego na przykład znalazła się tutaj ta pełna wdzięku salamandra, arcydzieło miłego sercu przyjaciela, taksydermisty, albo ta delikatna miniaturowa kopia, prawdę mówiąc, raczej późna, eolipili Herona, przy czym powietrze zawarte w kuli – gdybym uruchomił obejmujący ją mały palnik alkoholowy – ogrzewając się i wydostając tymi poprzecznymi dziobkami, wprawiłoby ją w ruch wirowy. Magiczne urządzenie, którego używali kapłani egipscy w swoich sanktuariach, jak świadczy o tym wiele sławnych tekstów. Oni potrzebowali go, żeby pozorować cud i żeby tłumy temu cudowi składały hołd, ale prawdziwy cud tkwi w złotym prawie, które rządzi tajemną i prostą mechaniką, powietrznym i elementarnym, gdyż mamy tu powietrze i ogień. Taką mądrość mieli nasi przodkowie i alchemicy, lecz utracili ją budowniczości cyklotronów. Tak więc zwracam spojrzenie ku mojemu teatrowi pamięci, spadkobiercy innych rozległych teatrów, które fascynowały wielkie umysły przeszłości, i wiem. Wiem więcej od tak zwanych uczonych. Wiem, że tak jak w dole, jest i na górze. I nie ma żadnej innej wiedzy.

Poczęstował nas kubańskimi cygarami o szczególnym kształcie, nie prostymi, lecz węzlastymi, fryzowanymi, aczkolwiek przysadzistymi i grubymi. Wydaliśmy z siebie parę

okrzyków podziwu, a Diotallevi podszedł do książek.

- Ach - mówił Agliè - jak pan widzi, biblioteka minimum, nie więcej niż dwie setki tomów, lepszą mam w domu rodzinnym. Ale muszę przyznać, że wszystkie są dosyć cenne i rzadkie, i naturalnie nie zostały rozmieszczone przypadkowo, gdyż porządek materii słownej został dopasowany do porządku obrazów i przedmiotów.

Diotallevi zrobił nieśmiały gest, jakby chciał dotknąć tomów.

- Bardzo proszę - przyzwolił Agliè - to *Aedypus Aegyptiacus* Athanasiusa Kirchera. Jak panowie wiecie, on pierwszy po Horapollonie spróbował rozwiązać zagadkę hieroglifów. Fascynujący człowiek; chciałbym, żeby ten dom był jego muzeum osobliwości, które uznaje się dzisiaj za zaginione, bo jeśli ktoś nie umie szukać, nie znajduje... Uroczy gawędziarz. Jakże dumny był tego dnia, kiedy odkrył, że ten hieroglif oznacza „łaski boskiego Ozyrysa biorą się ze świętych obrzędów i przez łańcuch geniuszów”... Potem pojawił się ten intrygant Champollion, człowiek odrażający, proszę mi wierzyć, dziecinnie próżny, i uparł się, że ten znak odpowiada po prostu imieniu faraona. Jakąż pomysłowość przejawiają nasi współcześni, kiedy chcą poniżyć święte symbole! Dzieło nie jest zresztą takie rzadkie i kosztuje mniej niż mercedes. Proszę spojrzeć raczej na to, pierwsze wydanie, z roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego piątego, *Amphitheatrum sapientiae aeternae* Khunratha. Podobno na całym świecie są tylko dwa egzemplarze. Ten byłby trzeci. Tutaj zaś mamy pierwsze wydanie *Telluris Theoria Sacra* Burnetiusa. Nie mogę wieczorem patrzeć na ilustracje w tym dziele, nie doznając klaustrofobii mistycznej. Głębiny naszej planety... Nie-

oczekiwane, prawda? Widzę, że doktor Diotallevi jest zafascynowany tymi hebrajskimi literami w *Traicté des chiffres Vigenère'a*. Proszę spojrzeć zatem na to: to pierwsza edycja *Kabały obnażonej* Knorra Christiana von Rosenrot. Zapewne znacie to, panowie, książka była zresztą tłumaczona, wprowadzie we fragmentach i źle, i rozpowszechniana po angielsku na początku naszego wieku przez tego nędznika McGregora Mathersa... I wiecie co nieco o tym skandalicznym konwentyklu, który fascynował tylu brytyjskich estetów, Golden Dawn. Taka banda fałszerzy dokumentów inicjacyjnych musiała spłodzić całą nieskończoną serię degeneracji, od Gwiazdy Zarannej po kościoły sataniczne Aleistera Crowleya, który przyzywał demony, by zaskarbić sobie łaski pewnych dżentelmenów, oddających się *vice anglais*. Drodzy przyjaciele, ileż osób wątpliwych, i to łagodnie mówiąc, trzeba poznać, kiedy człowiek poświęca się tego rodzaju studiom, zobaczycie sami, jeśli zaczniemy działalność wydawniczą w tym zakresie.

Belbo skorzystał z okazji, żeby wtrącić się do rozmowy. Oznajmił, że Garamond zamierza co rok publikować parę książek o charakterze ezoterycznym.

- Och, ezoterycznym. - Agliè uśmiechnął się i twarz Belba oblał rumieniec.

- Powiedzmy... hermetycznym?

- Och, hermetycznym. - Agliè znowu się uśmiechnął.

- No dobrze - rzekł Belbo. - Być może używam niewłaściwych terminów, ale pan z pewnością wie, o jaki rodzaj literatury nam chodzi.

- Och! - Agliè raz jeszcze się uśmiechnął. - Jest mnóstwo rodzajów. Istnieje wiedza. Chcecie, panowie, publikować

przeгляд wiedzy niezdegenerowanej. Być może panom chodzi wyłącznie o wybór z punktu widzenia wydawcy, ale jeśli mam się tym zająć, dla mnie będzie to poszukiwaniem prawdy, *queste du Graal*.

Belbo ostrzegł, że tak samo jak rybak, zarzucając sieci, może wyłowić tylko puste muszle i plastikowe woreczki, tak i do Garamonda wpłynie mnóstwo maszynopisów wątpliwej wartości, i szukamy surowego lektora, który oddzieliłby ziarno od plew, sygnalizując także interesujące odrzuty, gdyż mamy zaprzyjaźniony dom wydawniczy, który byłby wdzięczny, jeśliby kierowano do niego autorów niższego lotu... Naturalnie trzeba przy tym określić jakąś godziwą formę wynagrodzenia.

- Dzięki Bogu, jestem, jak to się mówi, człowiekiem zamożnym. Człowiekiem zamożnym i przezornym dziwakiem. Wystarczy, że w trakcie moich poszukiwań natrafię na inną kopię Khunratha albo na inną pięknie zabalsamowaną salamandrę, albo na róg narwala (który wstydzilibym się trzymać w mojej kolekcji, ale który nawet skarbiec wiedeński przechowuje jako róg jednoroźca), i dzięki szybkiej a przyjemnej transakcji zarobię więcej niż wy, panowie, możecie ofiarować mi za dziesięć lat konsultacji. Przejrzę wasze maszynopisy w duchu pokory. Jestem przekonany, że nawet w najmizerniejszym tekście znajdę jakąś iskrę, jeśli nie prawdy, to przynajmniej dziwaczного kłamstwa, a często skrajności się spotykają. Nudzić mnie będą wyłącznie oczywistości i za tę nudę oczekuję wynagrodzenia. Biorąc za podstawę nudę, jakiej doświadczę, pozwolę sobie pod koniec roku przesłać krótki rachunek, który zawrę w granicach symbolicznych. Jeśli uznacie go, panowie, za wygórowany, przyślecie mi skrzynkę

dobrego wina.

Belbo poczuł się zakłopotany. Przywykł do omawiania interesów z konsultantami żalącymi się i zachłannymi. Otworzył torbę, którą przyniósł ze sobą, i wydobyl z niej gruby maszynopis.

- Nie chciałbym, żeby nabrał pan wyobrażeń zbyt optymistycznych. Proszę na przykład rzucić okiem na ten; wydaje mi się typowy w swojej miernocie.

Agliè otworzył teczkę z maszynopisem.

- Tajemny znak piramid... Zobaczmy spis treści... Piramidon... Śmierć lorda Carnavona... świadectwo Herodota... - Zamknął maszynopis. - Panowie to czytaliście?

- Ja przerzuciłem go w tych dniach - wyjaśnił Belbo. Agliè oddał mu teczkę.

- Proszę mnie poprawić, jeśli moje streszczenie okaże się nieścisle.

Usiadł za biurkiem, wsunął dłoń w kieszeń kamizelki, wydobyl puzderko na pigułki, znane mi już z Brazylii, zaczął je obracać w cienkich, delikatnych palcach, którymi przed chwilą gładził grzbiety swoich ukochanych książek, podniósł wzrok na dekorację sufitu i zaczął mówić tak, jakby recytował tekst od dawna znany na pamięć.

- Autor tej książki przypomina zapewne, że święte i ezoteryczne miary w piramidach odkrył w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku Piazzzi Smyth. Pozwolicie, panowie, że przytoczę tylko liczby całkowite, gdyż w moim wieku pamięć zaczyna zawodzić... Jest rzeczą osobliwą, że kwadrat w podstawie ma boki długości dwustu trzydziestu dwóch metrów. Pierwotnie wysokość wynosiła sto czterdzieści osiem metrów. Jeśli przełożymy to na święte łokcie egipskie,



będziemy mieli w podstawie trzysta sześćdziesiąt sześć łokci, a więc liczbę dni w roku przestępnym. Zdaniem Piazziego Smytha wysokość pomnożona przez dziesięć do dziewiątej da odległość Księżyca od Ziemi: sto czterdzieści osiem milionów kilometrów. Dobrze przybliżenie jak na owe czasy, zważywszy na to, że obliczona w naszych czasach odległość wynosi sto czterdzieści dziewięć i pół miliona kilometrów i wcale nie jest powiedziane, że to my, współcześni, mamy rację. Podstawa podzielona przez szerokość jednego bloku kamiennego da liczbę „trzysta sześćdziesiąt pięć”, obwód podstawy wynosi dziewięćset trzydzieści jeden metrów. Jeśli podzieli się ją przez podwojoną wysokość, uzyska się trzy i czternaście setnych, liczbę  $\pi$ . Wspaniale, prawda?

Belbo uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- To niemożliwe! Proszę powiedzieć, jak pan...

- Daj mówić doktorowi Agliè, Jacopo - przerwał mu czym prędzej Diotallevi.

Agliè podziękował mu uprzejmym uśmiechem. Mówił, pozwalając, by jego spojrzenie błędziło po suficie, ale mnie wydawało się, że to spojrzenie nie było ani leniwe, ani przypadkowe. Jego wzrok śledził jakiś szlak, jakby odczytywał w obrazach to, co rzekomo czytał z pamięci.

Otóż od szczytu do podstawy pomiary Wielkiej Piramidy egipskiej dają 161 miliardów. Ile dusz ludzkich żyło od Adama do naszych dni? Dobrym przybliżeniem byłoby coś między 153 a 171 miliardami.

Piazzi Smyth, *Our Inheritance in the Great Pyramid*,  
Isbister, London 1880, s. 583

- Pański autor utrzymuje, jak sobie wyobrażam, że wysokość piramidy Cheopsa jest równa pierwiastkowi kwadratowemu z liczby określającej powierzchnię każdego z bloków. Naturalnie mierzenie odbywa się krokami, co daje wyniki bliższe łokciowi egipskiemu lub hebrajskiemu, nie zaś w metrach, gdyż metr to miara abstrakcyjna i wymyślona w czasach nowożytnych. Egipski łokieć wynosi w stopach jeden i siedemset dwadzieścia osiem tysięcznych. Skoro nie mamy dokładnej wysokości, możemy odwołać się do piramidionu, czyli małej piramidy umieszczonej na dużej, a więc stanowiącej zwieńczenie. Była ze złota lub innego metalu, który błyszczał w słońcu. Weźmy teraz wysokość piramidionu, pomnóżmy ją przez wysokość całej piramidy, pomnóżmy wszystko przez dziesięć do piątej - i mamy obwód Ziemi wzdłuż równika. To nie wszystko, bo jeśli się weźmie obwód podstawy, pomnoży przez dwadzieścia cztery do trzeciej i podzieli przez dwa, uzyska się średni promień Ziemi. Co więcej, powierzchnia piramidy pomnożona przez dziewięćdziesiąt sześć i przez dziesięć do osiemnastej daje sto dwadzieścia sześć milionów osiemset dziesięć tysięcy mil kwadratowych, co pokrywa się z powierzchnią Ziemi, czy tak?

Belbo zwykle lubił przejawiać zdumienie, przybierając wyraz twarzy, którego nauczył się w filmotece, oglądając orygi-

nalną wersję *Yankee Doodle Dandy* z Jamesem Cagneyem: *I am flabbergasted!* Tak właśnie wykrzyknął. Najwidoczniej Agliè znał dobrze także angielszczyznę kolokwialną, gdyż nie ukrywał ukontentowania, nie wstydząc się zgoła tego aktu próżności.

- Drodzy przyjaciele - oznajmił - kiedy jakiś jegomość, którego nazwisko nic mi nie mówi, pichci kompilację tajemnic piramidy, mogę powtórzyć tylko to, co dzisiaj wiedzą nawet dzieci. Byłbym zdumiony, gdyby udało mu się powiedzieć coś nowego.

- Tak więc - zawahał się Belbo - ten autor powtarza prawdy już dowiedzione.

- Prawdy? - Agliè się roześmiał, podsuwając nam znowu pudełko ze swoimi rachitycznymi, lecz wybornymi cygarami. - *Quid est veritas*, jak powiadał pewien mój znajomy sprzed mnóstwa lat. Część to po prostu kupa bzdur. Zacznijmy od tego, że jeśli się podzieli dokładną długość podstawy piramidy przez jej podwojoną wysokość, uwzględniając także miejsca po przecinku, nie otrzyma się liczby  $\pi$ , ale trzy przecinek milion czterysta siedemnaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt cztery. Niewielka różnica, ale mająca swoje znaczenie. A dalej, pewien uczeń Piazziego Smytha, Flinders Petrie, który robił także pomiary w Stonehenge, powiada, że przyłapał pewnego dnia swojego mistrza na tym, że, chcąc uzyskać zgodność obliczeń, szlifował występy granitowe w królewskim przedsionku... Może to plotka, ale Piazzie Smyth nie był człowiekiem budzącym zaufanie, wystarczyło zobaczyć, jak wiązał krawat. Jednak wśród mnóstwa głupstw są tu także niepodważalne prawdy. Czy zechcecie, panowie, podejść ze mną do okna?

Teatralnym gestem otworzył oba skrzydła, zachęcił nas, byśmy się wychylili, i w oddali, na skrzyżowaniu między uliczką a alejami, wskazał mały drewniany kiosk, w którym zapewne sprzedawano bilety loterii Merano.

- Panowie - powiedział - proponuję, byście poszli i zmierzili ten kiosk. Zobaczylibyście, że długość podestu wynosi sto czterdzieści dziewięć centymetrów, a więc jedną stumiliardową odległości Ziemia-Słońce. Wysokość od tyłu podzielona przez szerokość okienka daje sto siedemdziesiąt sześć przez pięćdziesiąt sześć, czyli trzy i czternaście setnych. Wysokość z przodu wynosi dziewiętnaście decymetrów, a więc tyle samo, ile liczba lat w greckim cyklu księżycowym. Suma wysokości dwóch narożników przednich i dwóch tylnych daje sto dziewięćdziesiąt razy dwa plus sto siedemdziesiąt sześć razy dwa równe siedemset trzydzieści dwa, czyli datę zwycięstwa pod Poitiers. Wysokość podestu wynosi trzy i dziewiętnaście setnych centymetra, a szerokość framugi okienka osiem i osiem dziesiątych centymetra. Zastępując liczby całkowite odpowiadającymi im literami alfabetu, otrzymamy  $C_{10}H_8$ , czyli wzór chemiczny naftaliny.

- Fantastyczne - powiedziałem. - Mierzył pan?

- Nie - wyznał Agliè. - Zmierzył to w innym kiosku niejaki Jean-Pierre Adam. Wyobrażam sobie, że wszystkie kioski loterii mają mniej więcej takie same wymiary. Z liczbami można robić, co się komu żywnie podoba. Jeśli mam liczbę „dziewięć” i chcę otrzymać liczbę „tysiąc trzysta czternaście”, datę spalenia na stosie Jakuba z Molay, datę drogą sercu każdego, kto, jak ja, głosi, że jest oddany rycerskiej tradycji templariuszy, cóż czynię? Mnożę dziewięć przez sto czterdzieści sześć, fatalną datę zniszczenia Kartaginy. Jak do

tego doszedłem? Podzieliłem tysiąc trzysta czternaście przez dwa, trzy i tak dalej, aż znalazłem satysfakcjonującą mnie datę. Mogłem również podzielić tysiąc trzysta czternaście przez sześć i dwadzieścia osiem setnych, czyli podwojoną liczbę „trzy i czternaście setnych”, i uzyskałbym dwieście dziewięć. Otóż jest to data wstąpienia na tron Attali I, króla Pergamonu. Czy to wystarczy?

- A więc nie wierzy pan w żadne numerologie - stwierdził zawiedziony Diotallevi.

- Ja? Wierzę niezachwianie, wierzę, że świat jest cudowną symfonią stosunków liczbowych i że odczytanie liczby oraz jej interpretacja symboliczna to droga do wiedzy uprzywilejowanej. Jeśli jednak świat, niższy albo wyższy, to system relacji, w których *tout se tient*, jest rzeczą naturalną, że kioski i piramida, jedno i drugie dzieło rąk ludzkich, nieświadomie odtworzyły w swojej strukturze harmonię kosmosu. Ci tak zwani piramidolodzy, stosując bardzo wyrafinowane sposoby, odkrywają prawdy linearne, znacznie starsze i od dawna znane. Właśnie logika odkrywania i poszukiwania jest przewrotna, bo to logika nauki. Logika mądrości nie potrzebuje odkryć, gdyż wie. Po co dowodzić czegoś, co nie może być inne? Jeśli istnieje jakaś tajemnica, tkwi ona znacznie głębiej. Wasi autorzy, panowie, prześlizgują się jedynie po powierzchni. Wyobrażam sobie, że ten tu przytacza również wszystkie bajki o tym, iż Egipcjanie znali elektryczność.

- Nawet nie pytam, jak pan to odgadł.

- Widzi pan? Zadowolają się elektrycznością jak pierwszy lepszy inżynier Marconi. Mniej już dziecinna byłaby hipoteza mówiąca o radioaktywności. Jest to interesujące przypuszczenie, które - w przeciwieństwie do hipotezy elektrycznej -

dawałoby wyjaśnienie okrzyczanej klątwy Tutenchamona. W jaki sposób Egipcjanie dźwigali kamienie na piramidy? Unosili je, stosując elektrowstrząsy, wyrzucali w powietrze, wyzyskując energię rozszczepienia jądra? Egipcjanie znaleźli metodę eliminowania siły ciężenia i posiadli tajemnicę lewitacji. Inna forma energii... Wiadomo, że kapłani chaldejscy uruchamiali święte mechanizmy wyłącznie dźwiękami, a kapłani z Karnaku i Teb potrafili otworzyć bramę świątyni dźwiękiem swojego głosu, o czym zresztą mówi, proszę tylko pomyśleć, legenda: Sezamie, otwórz się.

- A więc... - spytał Belbo.

- W tym sedno sprawy. Elektryczność, radioaktywność, energia atomowa... prawdziwy wtajemniczony wie, że to tylko metafory, sztuczne zasłony, konwencjonalne kłamstwa, w najlepszym razie żalosne namiastki jakiejś siły starodawnej i zapomnianej, której wtajemniczony szuka i którą pewnego dnia pozna. Powinniśmy mówić, być może - zawahał się na chwilę - o prądach tellurycznych.

- Co to jest? - spytał już nie wiem który z nas trzech. Agliè zrobił minę wyrażającą rozczarowanie.

- Sami, panowie, widzicie. Miałem nadzieję, że wśród waszych kandydatów pojawił się ktoś, kto mógłby powiedzieć mi coś bardziej interesującego. Zdaję sobie sprawę, że zrobiło się późno. No dobrze, przyjaciele, umowa została zawarta, a reszta to tylko dywagacje starego tropiciela tajemnic.

Kiedy ścisnął nasze dłonie, wkroczył lokaj i szepnął mu coś na ucho.

- Och, droga przyjaciółka - powiedział Agliè. - Zapomniałem na śmierć. Poproś, żeby chwileczkę zaczekała... nie, nie, nie w salonie. W saloniku tureckim.

Droga przyjaciółka czuła się najwidoczniej zupełnie swojsko w tym domu, gdyż stanęła na progu gabinetu i nawet na nas nie spojrzawszy w półmroku kończącego się dnia, podszła pewnym krokiem do Agliègo, zalotnie pogłaskała go po twarzy i oświadczyła:

- Simone, nie każesz mi wyczekiwać w przedpokoju!

Była to Lorenza Pellegrini.

Agliè odsunął się nieco, pocałował ją w rękę i wskazując nas, powiedział:

- Moja droga, moja słodka Sophio, wiesz, że jesteś u siebie w każdym domu, który rozświetlasz swoją obecnością. Ale właśnie żegnałem się z moimi gośćmi.

Lorenza spostrzegła naszą obecność i powitała nas radosnym gestem; nie przypominam sobie zresztą, bym widział ją kiedykolwiek zaskoczoną albo zakłopotaną.

- Och, świetnie! - wykrzyknęła. - Wy także znacie mojego przyjaciela! Jak się masz, Jacopo. (Nie spytała, jak się ma, było to zdanie oznajmujące).

Zobaczyłem, że Belbo pobladł. Skłoniliśmy się, Agliè rzekł, że cieszy się z tej wspólnej znajomości.

- Uważam, że nasza znajoma odznacza się naturalnością, jaką się rzadko spotyka. W swojej świeżości jest wcieleniem, jeśli pozwolicie, panowie, na tę fantazję staremu uczonemu, Sophii wygnanej na tę ziemię. Moja miła Sophio, nie miałem czasu cię zawiadomić, ale obiecany wieczór został odłożony o kilka tygodni. Bardzo mi przykro.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła go Lorenza - poczekam. Idziecie do baru? - spytała, a raczej rozkazała. - Dobrze, ja zostanę tu pół godziny, chciałabym, żeby Simone dał mi jeden ze swoich eliksirów, wy też powinniście tego spróbować,

choć powiada, że to tylko dla wybranych. Potem do was dołączę.

Agliè uśmiechnął się z miną pobłażliwego wujaszka, poprosił, by usiadła, a nas odprowadził do wyjścia.

Znaleźliśmy się na ulicy i moim samochodem pojechaliśmy w stronę Piladego. Belbo milczał. Przez całą drogę nikt nie odezwał się ani słowem, ale kiedy usiedliśmy na stołkach przy barze, trzeba było przełamać czar.

- Nie chciałbym, by się okazało, że oddałem was w ręce szaleńca - oznajmiłem.

- Nie - powiedział Belbo. - On jest przenikliwy i subtelny. Tyle że żyje w innym niż my świecie. - Potem dodał posępnie:  
- Lub prawie.



Traditio Templi narzuca sama przez się tradycję templarnej rycerskości, rycerskości duchowej i inicjacyjnej...

Henry Corbin, *Temple et contemplation*,  
Flammarion, Paris 1980, s. 373

- Zdaje mi się, że zrozumiałem twojego Agliègo, Casaubon - oznajmił Diotallevi, który zamówił u Piladego białe cierpkie wino, co sprawiło, że my dwaj zaczęliśmy się lękać o jego zdrowie psychiczne. - Ciekawią go nauki tajemne i nie ufa tym, którzy zajmują się nimi powierzchownie i po amatorsku. Ale, jak podstępnie dzisiaj zasłyszeliśmy, gardząc, jednak ich wysłuchuje, krytykując, wcale się od nich nie odzegnuje.

- Dzisiaj pan hrabia, margrabia Agliè, czy kim tam jest, wypowiedział słowa kluczowe - oświadczył Belbo. - Rycerstwo duchowe. Gardzi tymi ludźmi, ale czuje się z nimi związany więzami rycerstwa duchowego. Chyba go rozumiem.

- W jakim sensie? - zapytaliśmy.

Belbo był już przy trzecim ginie z martini (whisky jest dobra na wieczór, gdyż koi i skłania do *rêverie*, natomiast gin z martini późnym popołudniem, gdyż pobudza i wzmacnia). Zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie w \*\*\*, jak to już raz przy mnie mu się zdarzyło.

- Było to między tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim a czterdziestym piątym rokiem, to znaczy w okresie przejściowym od faszyzmu do demokracji, a potem znowu dyktatury republiki Salò, ale też w okresie toczącej się w górach wojny partyzanckiej. Na początku tej historii miałem jedenaście lat i przebywałem u wujka Carla. Miesz-

kaliśmy w mieście, lecz w czterdziestym trzecim roku wzmożły się bombardowania i mama doszła do wniosku, że musimy się ewakuować, jak się wówczas mówiło. W \*\*\* mieszkali wuj Carlo i ciotka Caterina. Wuj Carlo pochodził z rodziny plantatorów i odziedziczył dom w \*\*\* wraz z ziemią, oddaną w dzierżawę niejakiemu Adelinowi Canepie. Dzierżawca pracował, zbierał plony, robił wino i połowę dochodów oddawał właścicielowi. Sytuacja w sposób oczywisty sprzyjająca napięciom. Dzierżawca uważał, że jest wyzyskiwany, i tak samo myślał właściciel, gdyż dostawał tylko połowę dochodów ze swojej ziemi. Właściciele nienawidzili dzierżawców, dzierżawcy nienawidzili właścicieli. Ale wspólnie mieszkali w domu wuja Carla. Wuj Carlo w czternastym zaciągnął się na ochotnika do strzelców alpejskich. Nieokrzesana natura piemoncka, ojczyzna i obowiązek, najpierw został porucznikiem, później kapitanem. Krótko mówiąc, podczas bitwy pod Carso znalazł się w pobliżu żołnierza idioty, który pozwolił, żeby granat wybuchł mu w rękach - w przeciwnym bowiem razie czemu używałoby się nazwy „granat ręczny”? Wuja mieli już wrzucić do wspólnego dołu, kiedy jeden z sanitariuszy spostrzegł, że jeszcze dycha. Zaniesiono go do szpitala wojskowego, wyjęto mu oko, które zwisało z oczodołu, obcięto rękę i, jak twierdzi ciocia Caterina, włożono metalową płytkę pod skórę na głowie, gdyż stracił część czaszki. Krótko mówiąc, arcydzieło chirurgii z jednej strony i bohater z drugiej. Srebrny medal, Krzyż Kawalera Korony Włoskiej, a po wojnie gwarantowane miejsce w administracji publicznej. Wuj Carlo zasiadł po jakimś czasie w fotelu naczelnika urzędu podatkowego w \*\*\*, gdzie odziedziczył po rodzinie posiadłość, i zamieszkał obok Adelina Cane-

py i jego rodziny.

Jako naczelnik urzędu podatkowego był miejscowym notablen. A jako inwalida wojenny i Kawaler Korony Włoskiej nie mógł nie sympatyzować z rządem sprawującym akurat władzę, a więc zrzędzeniem losu z rządem faszystowskim. Czy wuj Carlo był faszystą?

W tej mierze, jak powiadało się w sześćdziesiątym ósmym, w jakiej faszyzm doceniał weteranów wojennych, nagradzał ich odznaczeniami i awansami zawodowymi, powiedzmy, że wuj Carlo był umiarkowanym faszystą. Wystarczająco jednak faszystą, by budzić nienawiść Adelina Canepy, który z zupełnie jasnych powodów był antyfaszystą. Musiał stawiać się raz do roku u wuja, by złożyć deklarację podatkową. Przybywał do urzędu z miną porozumiewawczą i zuchwałą, gdyż przedtem czarował ciocię Caterinę, dając jej w prezencie dziesięć jaj. I oto stawał przed wujem Carlem, który nie tylko był nieprzekupny, jak przystało na bohatera, ale wiedział lepiej niż kiedykolwiek, ile Canepa ukradł w ciągu roku, i nie puszczał płazem ani grosika. Adelino Canepa uważał się za ofiarę dyktatury i jął rozpowszechniać zniesławiające pogłoski o wuju Carlu. Jeden z nich mieszkał na piętrze, drugi na parterze, spotykali się rano i wieczorem, ale już się sobie nie kłaniali. Kontakty podtrzymywała ciocia Caterina, a kiedy przybyliśmy – także moja matka, której Adelino Canepa wyrażał gorące współczucie i zrozumienie płynące z faktu, że jest krewną potwora. Wuj wracał co wieczór o szóstej, w swoim zwykłym szarym dwurzędowym garniturze, miękkim kapeluszu i z nieprzeczytanym jeszcze numerem „Stampy”. Szedł prosto, jak powinien chodzić strzelec alpejski, stalowym wzrokiem wpatrywał się w szczyt schodów,

w to wzgórze, które należało zdobyć. Mijał Adelina Canepę, który o tej porze zażywał chłodu na ławeczce w ogródku, i udawał, że go nie widzi. Potem spotykał w drzwiach parteru panią Canepa i ceremonialnie uchylał kapelusza. I tak co wieczór, rok po roku.

Była ósma. Lorenza ciągle nie przychodziła. Belbo był po piątym ginie z martini.

- Nadszedł rok czterdziesty trzeci. Pewnego ranka wuj Carlo wszedł do nas, obudził mnie całusem i rzekł: chłopcze, czy chcesz poznać największą nowinę roku? Przepędzili Mussoliniego. Nigdy nie zrozumiałem, czy wuj Carlo z tego powodu cierpiał. Był lojalnym obywatelem, sługą państwa. Jeśli nawet cierpiał, nic nie powiedział i nadal pobierał podatki, tyle że dla rządu Badoglia. Później przyszedł ósmy września, tereny, gdzie mieszkaliśmy, znalazły się pod kontrolą republiki społecznej i wuj Carlo się dostosował. Ściągał podatki dla republiki społecznej. Adelino Canepa chełpił się kontaktami z pierwszymi formacjami partyzanckimi zaszytymi gdzieś w górach i zapowiadał przykładną zemstę. My, chłopcy, nie wiedzieliśmy jeszcze, kto to taki partyzanci. Opowiadano sobie o nich bajki, ale nikt ich dotychczas nie widział. Mówiło się o przywódcy zwolenników Badoglia, jakim Terzim (był to oczywiście, jak w owych czasach przystało, pseudonim i wielu mówiło, że zaczerpnął go z komiksów, od przyjaciela Dicka Fulmine), byłym sierżancie karabinierów, który w pierwszych walkach przeciw faszystom i SS-manom stracił nogę i dowodził wszystkimi brygadami na wzgórzach wokół \*\*\*. I oto co się stało. Pewnego dnia w okolicy pokazali się partyzanci. Zeszli z gór i przemierzali drogi, jeszcze bez żadnych określonych mundurów, tylko z błękitny-

mi chusteczkami, strzelając z karabinów maszynowych seriami w niebo, żeby wiadano, że tu są. Wiadomość obiegła okolicę, wszyscy zamknęli się w domach, nikt jeszcze nie miał pojęcia, co to są właściwie za ludzie. Ciocia Caterina łagodnym głosem wyraziła zaniepokojenie; podobno są przyjaciółmi Adelina Canepy, a w każdym razie Adelino Canepa mówił, że jest ich przyjacielem; chyba nic nie zrobią wujowi? Ale zrobili. Poinformowano nas, że koło jedenastej oddział partyzantów z wycelowanymi pistoletami wkroczył do urzędu i aresztował wuja, uprowadzając go w nieznanym kierunku. Ciocia Caterina padła na łożo, jej wargi pokryły się białą pianą, i oznajmiła, że wuj nie wyjdzie z tego żywy. Wystarczy jedno uderzenie kolbą karabinu i z powodu tej płytki pod skórą umrze na miejscu. Zwabiony okrzykami cioci, przyszedł Adelino Canepa z żoną i dziećmi. Ciocia wrzasnęła, że to on sprowadził partyzantów, że to on zadenuncjował wuja, przecież wuj ściągał podatki dla republiki społecznej. Adelino Canepa przysiągł zaś na wszystko, co miał najświętszego, że to nieprawda, ale widać było, że czuje się odpowiedzialny, gdyż plątał się w tym, co mówił, i ciocia go wypędziła. Dzierżawca płakał, odwoływał się do mojej matki, przypominał wszystkie króliki i kury oddawane za śmieszne doprawdy sumy; moja matka zamknęła się w pełnym godności milczeniu, a ciocia Caterina nadal toczyła białą ślinę. Ja płakałem. Wreszcie po dwóch godzinach udręki usłyszeliśmy okrzyki i ukazał się wuj Carlo na rowerze, który prowadził jedną ręką, a wyglądał, jakby właśnie wracał z przejażdżki. Natychmiast zauważył zamieszanie w ogrodzie i miał chęć zapytać, co się stało. Nienawidził dramatów, jak wszyscy w naszych stronach. Wspiął się po schodach, podszedł do

łóża boleści cioci Cateriny, która nadal wierzgała chudymi nogami, i zapytał, dlaczego jest taka wzburzona.

- A co się właściwie stało?

- Stało się to, że najprawdopodobniej partyzanci Terziego usłuchali podszeptów Adelina Canepy, uznali wuja Carla za jednego z miejscowych przedstawicieli reżimu i aresztowali go, żeby udzielić nauczki całej okolicy. Wuj Carlo został wywieziony ciężarówką z miasta i stanął przed Terzim, olśniewającym w swoich wojennych odznaczeniach, z pistoletem w prawicy, z lewicą wspartą na kuli. A wuj Carlo, ale nie sądzę, żeby to był wybieg, raczej chodziło o odruch, nawyk, rycerski obyczaj, stanął na baczność i przedstawił się jako major strzelców alpejskich Carlo Covasso, kontuzjowany, inwalida wojenny, srebrny medal. Także Terzi poderwał się do postawy na baczność i przedstawił jako sierżant Rabaudengo z karabinierów królewskich, dowódca Brygady Zwolenników Badoglia imienia Bettina Ricasolego, medal brązowy. Gdzie? - spytał wuj Carlo. A Terzi w roli podkomendnego: Pordoi, panie majorze, kota trzysta dwadzieścia siedem. Na Boga! - wykrzyknął wuj Carlo. Ja byłem na poziomie trzysta dwadzieścia osiem, trzeci pułk. Sasso di Stria! Bitwa w dzień przesilenia? Ostrzał artyleryjski na Cinque Dita? Rany boskie, doskonale pamiętam! I atak na bagnety w wigilię świętego Kryspina? Rany boskie! Wiecie, jak to jest. Potem, ten bez ręki, tamten bez nogi, jak jeden mąż zrobili krok do przodu i padli sobie w ramiona. Terzi powiedział: widzi pan, kawalerze, widzi pan, majorze, doniesiono nam, że zbiera pan daninę dla faszystowskiego rządu służącego najeźdźcy. Widzi pan, komendancie - odpowiedział wuj Carlo - mam rodzinę i dostaję pensję od rządu centralnego, który jest, jaki

jest, ale nie ja go wybrałem, co by pan robił na moim miejscu? Drogi majorze - odpowiedział Terzi - na pańskim miejscu robiłbym to samo co pan, ale niech pan przynajmniej okaże większą opieszałość, jeśli będzie okazja. Postaram się - odparł wuj Carlo - nie mam nic przeciwko wam, wy także jesteście walecznymi żołnierzami i synami Włoch. Chyba dlatego się porozumieli, że obaj słowo „Ojczyzna” wymawiali przez duże „O”. Terzi rozkazał, żeby wujowi dano rower, i wuj wrócił. Adelino Canepa zniknął na kilka miesięcy z pola widzenia. Otóż nie wiem, czy rycerstwo duchowe na tym właśnie polega, ale z pewnością są to więzy, które nie nikną, nawet jeśli stoimy po dwóch stronach barykady.

Jestem bowiem pierwszą i ostatnią. Jestem czczona i znienawidzona.  
Jestem dziwką i świętą.

fragment *Nag Hammadi*, 6, 2

Weszła Lorenza Pellegrini. Belbo spojrzał w sufit i zamówił ostatnie martini. W powietrzu wyczuwało się napięcie i zrobiłem gest, jakbym zamierzał wstać. Lorenza powstrzymała mnie.

- Nie, chodźcie wszyscy ze mną, dzisiaj wieczorem jest wernisaż Riccarda, który pokaże całkiem nowy styl! Jest naprawdę wielki, ty go znasz, Jacopo.

Wiedziałem, kim jest Riccardo, kręcił się ciągle u Piladego, ale wtedy nie rozumiałem, dlaczego Belbo jeszcze bardziej skupił wzrok na suficie. Po przeczytaniu plików wiem, że Riccardo to mężczyzna z blizną, z którym powinno było dojść do bijatyki, lecz Belbo się na to nie zdobył.

Lorenza nalegała: galeria jest niedaleko Piladego, zorganizowali przyjęcie jak się patrzy, a nawet orgię. Diotallevi był wstrząśnięty, powiedział, że musi wracać do domu, ja się wałęsałem, ale było oczywiste, że Lorenza chce, bym tam poszedł, i także to sprawiało Belbowi ból, bo widział, jak oddala się moment rozmowy sam na sam. Nie mogłem jednak uchylić się od zaproszenia i poszliśmy.

Nie przepadałem za tym Riccardem. Na początku lat sześćdziesiątych produkował bardzo nudne obrazy, pracowite sploty czerni i szarości, bardzo to było geometryczne, trochę optical, dostawało się oczopląsu. Nosiły tytuły *Kompozycja 15*, *Paralaksa 17*, *Euklides X*. Ledwie zaczął się rok sześćdziesiąty ósmy, jał wystawiać w instytucjach, gdzie



trwały strajki okupacyjne, zmienił odrobinę paletę, teraz malował wyłącznie ostre kontrasty czerni i bieli, pociągnięcia pędzlem nabrały rozmachu i tytuły zmieniły się na *Ce n'est qu'un début*, *Molotov*, *Sto kwiatów*. Kiedy wróciłem do Mediolanu, zobaczyłem, że wystawia w kręgach, gdzie czczono doktora Wagnera; wyeliminował czerń, pracował nad strukturami białymi i kontrasty wynikały jedynie z faktury pociągnięć pędzlem na porowatym papierze firmy Fabriano, tak że obrazy – wyjaśniał – ujawniały rozmaite profile zależnie od kąta padania światła. Nosiły tytuły *Pochwała dwuznaczności*, *Poprzez, Ça*, *Berggasse* i *Odmowa 15*.

Tego wieczoru, ledwie weszliśmy do nowej galerii, zrozumiałem, że poetyka Riccarda doznała głębokiej ewolucji. Ekspozycja nazywała się *Megale Apophasis*. Riccardo przestawił się na malarstwo figuratywne i paletę pstrą. Igrał cytatami, a ponieważ, moim zdaniem, nie umiał rysować, rzutował, jak sądzę, na płótno diapozytyw jakiegoś sławnego obrazu, obracając się w okresie od przedstawicieli stylu pompierskiego z końca zeszłego stulecia po symbolistów z początku naszego. Na tym oryginalnym szkicu pracował techniką pointylistów, przemierzając punkt po punkcie całe spektrum, poprzez infinityzmalne gradacje kolorów, w ten sposób, że zaczynał zawsze od bardzo świetlistego i płomiennego jądra, a kończył na całkowitej czerni – albo na odwrót, zależnie od tego, jaką koncepcję mistyczną lub kosmologiczną zapragnął akurat wyrazić. Obrazy przedstawiały góry emanujące promienie świetlne, rozłożone na pył sfer o subtelnych barwach, widziało się koncentryczne nieba i aluzje do aniołów z przezroczystymi skrzydłami, coś w rodzaju *Raju Dorégo*. Tytuły to: *Beatrycze*, *Róża mistyczna*, *Dante Gabriel 33*, *Wierni*

*miłości, Atanor, Homunkulus 666...* Oto skąd się wzięła namiętność Lorenzy do homunkulusów - powiedziałem sobie. Największy obraz nazywał się *Sophia* i przedstawiał coś w rodzaju potoku czarnych aniołów, który rozpływał się u dołu, tworząc jakąś białą istotę pieszczoną wielkimi, trupio bladymi dłońmi, skopiowanymi z wyciągniętej, wycelowanej prosto w niebo dłoni z *Guerniki*. To nawiązanie budziło wątpliwości, z bliska rzucało się w oczy niechlujstwo wykonania, ale z odległości dwóch albo trzech metrów efekt był nader liryczny.

- Ja jestem realistą w starym stylu - szepnął mi na ucho Belbo. - Rozumiem jedynie Mondriana. Co przedstawia obraz niegeometryczny?

- Przedtem malował obrazy geometryczne - wyjaśniłem.

- To nie była żadna geometria, tylko glazura w toalecie.

Lorenza podbiegła uścisnąć Riccarda, który wymienił z Belbem lekki ukłon. Panował tłok, galeria prezentowała się niczym *loft* w Nowym Jorku: wszystko pomalowane na białą, pod sufitem nagie rury centralnego ogrzewania albo wodociągów. Kto wie, ile wydali na tę stylizację. Ustawiony w kącie zestaw wzmacniaczy ogłuszał obecnych wschodnią muzyką, coś na sitarze, o ile pamiętam, w każdym razie jeden z tych utworów, w którym nie da się rozpoznać melodii. Wszyscy przemykali z roztargnieniem przed obrazami, pragnąc dotrzeć czym prędzej do stołów w głębi i uchwycić kartonowy kubeczek. Trochę się spóźniliśmy, powietrze było gęste od dymu, co chwila jakaś dziewczyna ruszała w płasy na środku sali, ale wszyscy byli jeszcze pochłonięci konsumpcją w bufecie, trzeba przyznać, naprawdę obficie zaopatrzoną. Usiadłem na kanapce, przy której stał wielki szkla-

ny półmisek, jeszcze do połowy napełniony surówką. Już miałem jej sobie nabrać, bo nie jadłem kolacji, ale wydało mi się, że widzę jakby odcisk stopy, która stąpnęła w sam środek owocowych kostek, zmieniając je w jednolitą miazgę. Nie można było tego wykluczyć, jako że podłoga została już zalana białym winem i niektórzy goście poruszali się z niejakim trudem.

Belbo zdobył kubeczek i krążył ociężale i bez widocznego celu, od czasu do czasu poklepując kogoś po ramieniu. Chciał odnaleźć Lorenzę.

Niewiele osób stało w miejscu. Tłum przejawiał skłonność do ruchu jakby okrężnego, niby pszczoły szukające nieznanego jeszcze kwiatu. Ja nie szukałem niczego, ale wstałem i przemieszczałem się zgodnie z ruchem narzucanym przez stado. Zobaczyłem w pobliżu Lorenzę, która z uniesioną głową, mrużąc oczy jak krótkowidz, prostując ramiona i prężąc pierś, błąkała się rozkołysanym krokiem żyrafy i co jakiś czas rozradowaną miną dawała komuś znać, że go rozpoznaje.

W pewnym momencie naturalny przepływ unieruchomił mnie w kącie za jakimś obrazem i zobaczyłem tuż przed sobą, odwróconych do mnie plecami, Lorenzę i Belba, którzy w końcu się spotkali, może przypadkowo, i też zostali zablokowani. Nie wiem, czy spostrzegli moją obecność, ale w tym zgiełku nikt nie słyszał tego, co mówią inni. Myśleli więc, że są odizolowani od reszty, podczas gdy ja, chcąc nie chcąc, słuchałem ich rozmowy.

- No, to gdzie właściwie poznałaś tego swojego Agliègo? - spytał Belbo.

- Mojego? Sądząc po tym, co dzisiaj widziałam, jest tak

samo twój jak mój. Ty możesz znać Simone, a ja nie. To dobre!

- Dlaczego nazywasz go Simone? Bo ciebie nazywa Sophią?

- Przecież to żart! Poznałam go przez przyjaciół, jesteś zadowolony? I uważam, że to fascynujący człowiek. Całuje mnie w rękę, jakbym była księżną. A mógłby być moim ojcem.

- Uważaj, żeby nie został ojcem twojego syna.

Miałem uczucie, że to ja rozmawiam w Bahii z Amparo. Lorenza nie myliła się. Agliè umiał całować dłonie młodych dam, które nie nawykły do tego rytuału.

- Dlaczego Simone i Sophia? - upierał się Belbo. - On ma na imię Simone?

- To cudowna historia. Czy wiedziałeś, że nasz świat jest owocem błędu i że częściowo z mojej winy? Sophia to był żeński aspekt Boga, bo wtedy Bóg był bardziej żeński niż męski, to wy przyprawiliście mu później brodę i zaczęliście mówić o nim On. Ja byłam jego dobrą połową. Simone powiada, że chciałam począć świat, nie pytając o pozwolenie, ja, Sophia, która nazywa się również, poczekaj, Ennoia. Zdaje się, że moja strona męska nie chciała tworzyć - może nie miała dość odwagi, może była impotentem - a ja, zamiast się z nią połączyć, chciałam stworzyć świat samodzielnie, nie potrafiłam się temu oprzeć, pewnie z nadmiaru miłości, to prawda, uwielbiam ten zbajzlowany świat. Dlatego jestem jego duszą. Tak powiada Simone.

- Jak to miło z jego strony. Czy wszystkim to mówi?

- Nie, głuptasku, nikomu innemu. Zrozumiał mnie lepiej niż ty i nie próbuje przerobić na swój obraz. Tak samo zro-

biła Sophia, rzuciła się do stwarzania świata. Natknęła się jednak na pierwotną materię, która była odrażająca, zdaje się, że nie używała dezodorantów, i wprawdzie nieumyślnie, ale chyba ona właśnie stworzyła demo... jak to się mówi?

- Nie chodzi czasem o Demiurga?

- O niego. Nie pamiętam już, czy Demiurga stworzyła Sophia, czy też był, a Sophia tylko podbechtowała tego półgłówka: stwórz świat, będzie niezła zabawa. Demiurg musiał być burdelarzem, nie umiał stworzyć świata jak należy i w ogóle nie powinien się do tego zabierać, bo materia jest zła, a on nie miał żadnego upoważnienia, żeby brać ją w swoje ręce. Ale co się stało, to się nie odstanie i Sophia została w środku. Więzień świata.

Lorenza mówiła, nie przestając pić. Wielu gości zaczynało już, z zamkniętymi oczami, kiwać się łagodnie na środku sali, a Riccardo wyłaniał się co parę minut i dolewał Lorenzy czegoś do kieliszka. Belbo próbował mu przeszkodzić, mówiąc, że i tak już za dużo wypija, ale Riccardo śmiał się tylko i potrząsał głową, a ona buntowała się i twierdziła, że znosi alkohol lepiej niż Jacopo, bo jest młodsza.

- Okay, okay - mówił Belbo. - Nie słuchaj wujaszka. Słuchaj Simone. Co jeszcze powiedział?

- Że jestem więźniem świata, a także złych aniołów... bo w tej historii aniołowie są źli i pomogli Demiurgowi stworzyć cały ten bajzel... źli aniołowie, jak mówiłam, trzymają mnie między sobą, nie pozwalają się wydostać i zadają cierpienia. Ale co jakiś czas pojawia się wśród ludzi ktoś, kto mnie rozpoznaje. Jak Simone. Powiedział, że zdarzyło mu się to już kiedyś, tysiące lat temu... bo nie powiedziałam ci, że Simone jest, praktycznie biorąc, nieśmiertelny. Gdybyś wiedział, na

co on patrzył...

- Z pewnością, z pewnością. A teraz przestań już pić.

- Pssst... Simone spotkał mnie raz, jak byłem prostytutką w burdelu w Tyrze i nazywałam się Helena...

- Więc takie historyjki opowiada ci ten pan? A ty się z tego cieszysz? Pozwól, że ucałuję twoją dłoń, kurewko z mojego zasranego świata... Cóż za dżentelmen!

- Jeśli już, to kurewką była ta Helena. A zresztą kiedy w tamtych czasach mówiło się „ prostytutka”, miało się na myśli kobietę wolną, niczym niezwiązaną, intelektualistkę, która nie chciała być kurą domową. Sam wiesz dobrze, że prostytutka to była kurtyzana, która prowadziła salon, dzisiaj byłaby nią taka, która zajmuje się public relations; nazwiesz kurewką specjalistkę od public relations, jakby była jedną z tych, co polują na kierowców ciężarówek?

W tym momencie zjawił się znowu Riccardo i wziął ją za rękę.

- Chodę, zatańczymy - powiedział.

Tkwili pośrodku sali, kreśląc lekkie ruchy, pogrążeni w jakimś rozmarzeniu, jakby wybijali rytm na bębenku. Ale od czasu do czasu Riccardo przyciągał ją do siebie i władczo kładł jej rękę na karku, a ona poddawała się z zamkniętymi oczami, rozpaloną twarzą, głową odrzuconą do tyłu, włosami opadającymi poniżej ramion. Belbo palił jednego papierosa za drugim.

Po chwili Lorenza chwyciła Riccarda w talii i zaczęli powoli się przemieszczać, aż w końcu dotarli do Belba. Trzymała się Riccarda lewą ręką, w prawej miała kubeczek; odwróciła odrobinę wilgotne spojrzenie w stronę Jacopa i wydawało się, że płacze, ale przeciwnie, uśmiechała się...

I zaczęła mówić.

- A czy wiesz, że to nie tylko wtedy?

- Jakie wtedy? - spytał Belbo.

- Kiedy spotkał Sophię. Wiele lat później Simone był także Wilhelmem Postelem.

- Roznosił listy?

- Kretyn. Był renesansowym uczonym, który czytał po żydowsku...

- Hebrajsku.

- Co za różnica? Czytał w tym języku tak, jak dzieci czytają o przygodach Myszki Miki. Wystarczyło mu rzucić okiem. Otóż w pewnym weneckim szpitalu spotkał starą posługaczkę analfabetkę, spojrzał na nią i mówi: zrozumiałem, to nowe wcielenie Sophii, Ennoia, ta Wielka Matka Świata, zstąpiła między nas, aby odkupić cały świat, który ma duszę żeńską. A więc Postel zabiera Joannę ze sobą, wszyscy uważają, że ma nie po kolei w głowie, ale on nic sobie z tego nie robi, oddaje jej cześć, próbuje uwolnić z więzienia aniołów, a kiedy ona umiera, jemu pozostaje wpastrywać się przez godzinę w ziemię, i potem przez wiele dni nic nie je ani nie pije, zamieszkały przez Joannę, której już nie ma, ale jakby była, ponieważ jest zawsze tutaj, przykuta do świata, i co jakiś czas objawia się, jak to się mówi, ucieleśnia... Czy nie można się popłakać?

- Tonę we łzach. I tobie sprawia tak ogromną przyjemność być Sophią?

- Ale jestem nią także dla ciebie, kochanie. Wiesz, że zanim mnie poznałeś, nosiłeś okropne krawaty i miałeś łupież na kołnierzu?

Riccardo znowu położył jej dłoń na karku.

- Czy mógłbym wziąć udział w rozmowie? - spytał.
- Bądź miły i tańcz. Jesteś narzędziem mojej rozpusty.
- To mi się podoba.

Belbo ciągnął, jakby tamtego nie było:

- A więc ty jesteś jego prostytutką, jego feministką, która zajmuje się public relations, a on twoim Simone?

- Nie nazywam się Simone - zaprzeczył Riccardo, któremu język zaczął się już trochę plątać.

- Nie o tobie mowa - wyjaśnił Belbo.

Od jakiegoś czasu czułem niesmak. On, zwykle tak zazdrośnie strzegący swoich uczuć, prowadzi miłosne utarczki przy świadku, a nawet rywalu. Ale ta kwestia pozwoliła mi zrozumieć, że obnażając się przy Riccardo - w momencie, kiedy prawdziwym przeciwnikiem był ktoś inny - w jedyny dostępny sobie sposób Belbo potwierdził swoje prawa do Lorenzy.

Tymczasem Lorenza poprosiła kogoś o jeszcze jedną szklaneczkę i odpowiedziała:

- Ale tylko dla zabawy. Przecież kocham ciebie.

- Dobrze przynajmniej, że nie czujesz do mnie nienawiści. Posłuchaj, chcę iść do domu, mam atak nieżyty żołądka. Też jestem niewolnikiem niższej materii. A mnie Simone niczego nie obiecał. Idziesz ze mną?

- Zostańmy jeszcze trochę. Jest wspaniale. Nie bawisz się dobrze? A zresztą nie obejrzałeś jeszcze obrazów. Czy zauważyłeś, że Riccardo namalował jeden na mój temat?

- Ile rzeczy chciałbym robić na tym temacie! - oznajmił Riccardo.

- Jesteś ordynarny. Odwal się. Rozmawiam z Jacopem. Jacopo, o Boże, czy tylko ty możesz pozwalać sobie na intelek-



tualne igraszki z przyjaciółmi, a ja nie? Kto mnie traktuje jak prostytutkę z Tyru? Ty.

- Wiedziałem. Więc to przeze mnie. To ja pcham cię w ramiona starszych panów.

- Nigdy nie próbował wziąć mnie w ramiona. Nie jest satyrem. Złości cię to, że nie chce zaciągnąć mnie do łóżka, ale uważa za partnera intelektualnego.

- Kokietka.

- Właśnie tego nie powinieneś być mówić. Riccardo, chodź, poszukamy czegoś do picia.

- Nie, poczekaj. Powiedz mi, czy bierzesz go poważnie, chcę wiedzieć, czy oszalałaś, czy nie. I przestań pić. Powiedz, na Boga, czy bierzesz go na serio.

- Ależ, kochanie, to nasza gra, między nim a mną. A zresztą najpiękniejsze jest to, że kiedy Sophia rozumie, kim jest, i wyzwala się spod tyranii aniołów, może powstać, wolna od grzechu.

- Zrezygnowałaś z grzeszenia?

- Proszę, zastanów się jeszcze - wtrącił się Riccardo, całując ją cnotliwie w czoło.

- Przeciwnie - odparła, zwracając się do Belba i nie racząc nawet spojrzeć na malarza. - To wszystko, o czym myślisz, przestaje być grzechem, można robić, co się żywnie podoba, aby uwolnić się od ciała, jest się poza złem i dobrem.

Odepchnęła Riccarda. Oświadczyła głośno:

- Jestem Sophią i aby uwolnić się od aniołów, muszę popełnić... popełnić... popełnić wszystkie grzechy, nawet te najsmakowitsze!

Chwiejąc się lekko, poszła w stronę kąta, gdzie siedziała ubrana na czarno dziewczyna o oczach zbitego psa i bladej

cerze. Lorenza wyciągnęła ją na środek sali i zaczęła się z nią kołysać. Tańczyły z rękami zwieszonymi wzdłuż ciała, prawie ocierając się o siebie brzuchami.

- Mogę kochać także ciebie - powiedziała Lorenza.

I pocałowała tamtą w usta.

Inni utworzyli półkole, trochę podekscytowani, i ktoś coś krzyknął. Belbo siedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i patrzył na tę scenę jak impresario asystujący przy próbie. Był spocony, a w lewym oku miał tik, którego nigdy u niego nie widziałem. Nagle, kiedy Lorenza tańczyła już przynajmniej pięć minut, a jej ruchy zaczęły nabierać coraz bardziej erotycznego charakteru, otrząsnął się.

- Chodź tutaj.

Lorenza zatrzymała się, rozstawiła nogi, wyrzuciła ramiona do przodu i wykrzyknęła:

- Jestem dziwką i świętą!

- Jesteś łajnem - powiedział Belbo i wstał. Podszedł prosto do niej, chwycił ją mocno za przegub dłoni i pociągnął w stronę drzwi.

- Przestań! - wrzasnęła. - Nie pozwalam... - Potem zaczęła płakać i zarzuciła mu ramiona na szyję. - Jestem Sophią dla ciebie, kochanie, nigdy się za to na mnie nie pogniewasz...

Belbo czule objął ramiona Lorenzy, pocałował ją w skroń, poprawił jej włosy, a potem, zwracając się do wszystkich, oznajmił:

- Proszę jej wybaczyć, nie przywykła tyle pić.

Usłyszałem, że paru obecnych się zaśmiało. Zdaje się, że usłyszałem także Belba. Zobaczył mnie na progu i zrobił coś, co było przeznaczone dla mnie, dla tamtych, dla niego same-

go – nigdy się nie dowiedziałem. Wypowiedział to przytłumionym głosem, kiedy reszta przestała się już nimi interesować.

Ciągle trzymając Lorenzę w ramionach, obrócił się w trzech czwartych do sali i cicho, tonem kogoś, kto mówi rzecz oczywistą, rzekł:

– Kukuryku.

Kiedy więc czcigodny Ceruellone Kabalista chce coś ci rzec, nie sądz, iż powiada rzecz frywolną, wulgarną, pospolitą – powierza ci czcigodną tajemnicę, czcigodną przepowiednię...

Thomaso Garzoni, *Il Theatro de vari e diversi cervelli mondani*,  
Zanfretti, Venezia 1583, dyskurs XXXVI

Materiał ikonograficzny znaleziony w Mediolanie i Paryżu był niewystarczający. Pan Garamond upoważnił mnie do spędzenia kilku dni w Monachium, w Deutsches Museum.

Parę wieczorów spędziłem w knajpach dzielnicy Schwabing – w tych ogromnych kryptach, gdzie muzykują starsi wąsaci panowie w skórzanych krótkich spodenkach, a pochylone nad litrowymi kufkami piwa rzędy zakochanych ślą sobie uśmiechy przez gęste opary wzbijające się znad dań z wieprzowiny – a popołudniami przeglądałem katalog reprodukcji. Od czasu do czasu wychodziłem z archiwum i wstępowałem do muzeum, gdzie zrekonstruowano wszystko, co rodzaj ludzki zdołał wynaleźć. Wciskałem guzik i panorama terenów roponośnych nabierała życia, bo zaczynały działać wieże wiertnicze, wchodziłem do prawdziwej łodzi podwodnej, wprawiałem w obrót planety, bawiłem się w wytwarzanie kwasów i wywoływanie reakcji łańcuchowych – jednym słowem, było to Conservatoire, tyle że mniej gotyckie, za to całkowicie nastawione na *futuribile*, nawiedzane przez opętaną młodzież szkolną, która uczy się tam kochać inżynierów.

W Deutsches Museum można nauczyć się także wszystkiego o górnictwie. Schodzi się po schodkach do kopalni wyposażonej w chodniki, windy dla ludzi i koni, rury, którymi

prześlizgują się wycieńczone i wyzyskiwane dzieci (mam nadzieję, że z wosku). Człowiek wędruje bez końca mrocznymi korytarzami, przystaje nad jakąś bezdenną studnią, dreszcz przebiega mu przez plecy i prawie czuć zapach metanu. Skała jeden do jednego.

Szedłem bez pośpiechu jakimś bocznym korytarzem, spragniony już dziennego światła, i nagle zobaczyłem, że nad otchłanią pochyła się ktoś, kto wydał mi się znajomy. Już gdzieś musiałem widzieć tę pomarszczoną i szarą twarz, te białe włosy i te oczy puszczyka, lecz strój musiał być wtedy zupełnie inny, może coś w rodzaju uniformu; miałem wrażenie, jakbym po wielu latach zobaczył znajomego księdza bez sutanny albo kapucyna bez brody. Tamten też mi się przyglądał i też się wahał. Jak to bywa w takich razach, po skrzyżowaniu ukradkowych spojrzeń on przejął inicjatywę i odezwał się po włosku. Od razu miałem go przed oczyma odzianego w jego zwykłe szaty; gdyby był ubrany w długi żółtawy kitel, od pierwszego rzutu oka rozpoznałbym pana Salona. A. Salona – taksydermistę. Miał swoją pracownię kilkoro drzwi za moim biurem, w korytarzu dawnej fabryczki, gdzie odgrywałem rolę Marlowe’a kultury. Czasem spotykałem go na schodach i wymienialiśmy ukłony.

– To dziwne – powiedział, podając mi dłoń. – Od tak dawna jesteście sąsiadami, a znajomość zawieramy tutaj, w trzeviach Ziemi, tysiąc mil od domu.

Wymieniliśmy kilka zdawkowych uwag. Miałem uczucie, że tamten doskonale wie, co tu robię, a to wcale nie mało, zważywszy, że ja sam nie miałem na ten temat wyrobionego zdania.

– Jakim cudem trafił pan do muzeum techniki? Zdaje się,

że w waszym wydawnictwie zajmujecie się sprawami bardziej podniosłymi.

- Skąd pan wie?

- Och - zrobił nieokreślony gest - ludzie lubią pogadać, a do mnie przychodzi tyle osób.

- Jacy ludzie przychodzą do wypychacza zwierząt, przepraszam, do taksydermisty?

- Mnóstwo najrozmaitszych. Powie pan, podobnie jak wszyscy, że nie jest to zawód zbyt pospolity. Ale klientów nie brak i bywają różni. Muzea, prywatni kolekcjonerzy.

- Rzadko się zdarza, żebym zobaczył u kogoś w domu wypchane zwierzę.

- Tak? Zależy, w jakich domach pan bywa... albo w jakich piwnicach.

- Czyżby trzymano wypchane zwierzęta w piwnicach?

- Niektórzy tak. Nie wszystkie jasełka odgrywane są przy świetle dnia lub księżyca. Nie ufam tego rodzaju klientom, ale sam pan wie, jak to jest, praca to praca... Nie ufam tym podziemnym.

- I właśnie dlatego przechadza się pan po podziemiach?

- Sprawdzam. Nie ufam ludziom z podziemi, ale chcę ich zrozumieć. Prawdę mówiąc, nie ma zbyt wielu możliwości. Powie pan: rzymskie katakumby. Nie ma tam żadnej tajemnicy, za to pełno turystów i nadzór Kościoła. Są kanały paryskie... Był pan w nich? Można je zwiedzać w poniedziałki, wtorki i w ostatnią sobotę każdego miesiąca, wejście od Pont de l'Alma. To także wycieczka dla turystów. Naturalnie w Paryżu są także katakumby i podziemne pieczary. Nie mówiąc już o metrze. Czy był pan kiedyś pod numerem sto czterdziestym piątym przy rue Lafayette?

- Przyznaję, że nie.

- To trochę na uboczu, między Gare de l'Est i Gare du Nord. Budynek, którego się na pierwszy rzut oka nie dostrzeżę. Ale jeśli lepiej mu się przyjrzeć, widać, że drzwi wyglądają jak z drewna, lecz są z pomalowanego żelaza, a po drugiej stronie okien znajdują się pomieszczenia od wieków niezamieszkałe. Nigdy żadnych świateł. Ale ludzie przechodzą, o niczym nie mając pojęcia.

- O czym takim?

- O tym, że to nie jest prawdziwy dom. To tylko fasada, powłoka bez dachów, bez wnętrza. Pusty. Jest tylko wejściem. Służy do wietrzenia i odprowadzania wyziewów z metra. Kiedy się to wie, ma się wrażenie, że człowiek znalazł się przed wrotami piekieł i gdyby tylko mógł przejść na drugą stronę tych murów, miałby otwarty dostęp do Paryża podziemnego. Bywało, że całe godziny spędzałem przed tymi drzwiami, które maskują bramę nad bramami, początkową stację podróży w głąb Ziemi. Jak pan sądzi, po co to zrobili?

- Żeby wietrzyć metro, sam pan powiedział.

- Wystarczyłyby do tego władze. Nie, w obliczu tych ludzi z podziemi ogarniają mnie podejrzenia. Rozumie pan?

Miałem wrażenie, że kiedy mówi o ciemności, twarz mu zaczyna jaśnieć. Spytałem, dlaczego podejrzewa ludzi podziemi.

- Ponieważ, jeśli istnieją Władcy Tego Świata, muszą przebywać pod ziemią, oto prawda, której wszyscy się domyślają, ale którą tylko niewielu odważa się wypowiedzieć. Być może jedynym, który miał dość odwagi, by napisać o tym bez osłonek, był Saint-Yves d'Alveydre. Zna to pan?

Być może któryś z diabolistów wymienił to nazwisko, ale

nie mogłem sobie dokładnie przypomnieć.

- To ten, który opowiadał nam o Agartcie, podziemnej siedzibie Króla Świata, tajemnym centrum Synarchii - oznajmił Salon. - Nie bał się, był pewny siebie. Ale wszyscy, którzy nie kryjąc się, podążyli jego tropem, zostali usunięci, gdyż za dużo wiedzieli.

Ruszyliśmy tunelem i pan Salon, rozmawiając ze mną, bez ustanku zapuszczał roztargnione spojrzenie w kolejne mijane chodniki, we wloty studzien, jakby szukał w mroku potwierdzenia swoich podejrzeń.

- Czy zastanawiał się pan kiedy, dlaczego w ubiegłym wieku wszystkie nowożytnie metropolie zaczęły na gwałt budować koleje podziemne?

- Żeby rozwiązać problemy komunikacyjne. Czy nie tak?

- Kiedy nie było jeszcze samochodów i po ulicach kursowały jedynie pojazdy konne? Po człowieku o pańskim rozumie miałem prawo się spodziewać subtelniejszego wyjaśnienia.

- Pan je zna?

- Być może - odparł pan Salon i odniosłem wrażenie, że wypowiada te słowa z miną zatroskaną i jednocześnie roztargnioną. Ale chodziło mu tylko o przerwanie rozmowy. Rzeczywiście, uświadomił sobie zaraz, że na niego już czas. Uścisnął mi dłoń, lecz jeszcze zatrzymał się na chwilę, jakby uderzony jakąś myślą, która przypadkiem przyszła mu do głowy. - À propos, ten pułkownik... jakże się nazywał, ten, który przed laty przyszedł do wydawnictwa Garamond, żeby opowiedzieć o skarbie templariuszy? Nigdy już nie obilo się panu o uszy jego nazwisko?

To brutalne i niedyskretne ujawnienie wiedzy, którą



uważałem za poufną i pogrzebaną, było dla mnie jak smagnięcie biczem. Chciałem go zapytać, skąd o tym wszystkim wie, lecz poczułem lęk. Powiedziałem więc tylko z obojętną miną:

- Och, to stara historia, zupełnie o niej zapomniałem. Ale à propos. Dlaczego powiedział pan „à propos”?

- Powiedziałem „à propos”? Ach, tak, wydawało mi się, że znalazł coś w jakichś podziemiach.

- Skąd pan wie?

- Nie wiem. Nie pamiętam, kto mi o tym powiedział. Może któryś z klientów. A mnie zawsze ogarnia nieprzeparta ciekawość, kiedy wyłania się sprawa jakichś podziemi. Dziwactwa podeszłego wieku. Dobranoc.

Poszedł sobie, a ja zostałem, rozmyślając nad znaczeniem tego spotkania.

W pewnych rejonach Himalajów, pośród dwudziestu dwóch świątyń, które symbolizują dwadzieścia dwie Tajemnice Hermesa oraz dwadzieścia dwie litery niektórych świętych alfabetów, Agartta tworzy zero mistyczne, nieodnajdywalność [...] Olbrzymia szachownica, która rozciąga się pod ziemią, sięgając prawie wszystkich rejonów globu.

Saint-Yves d'Alveydre, *Mission de l'Inde en Europe*,  
Calmann Lévy, Paris 1886, s. 54 i 65

Po powrocie opowiedziałem Belbowi i Diotalleviemu o tym spotkaniu i zaczęliśmy snuć rozmaite hipotezy. Salon, ekscentryk i gaduła, który w pewnym sensie delectował się tajemnicami, znał Ardentiego i to wszystko. Albo: Salon wiedział coś o zniknięciu Ardentiego i pracował dla tych, którzy doprowadzili do zniknięcia pułkownika. Jeszcze inna hipoteza: Salon jest konfidentem policji.

Później pojawili się nasi diaboliści i Salon zniknął wśród siebie podobnych.

Kilka dni później stawiał się w biurze Agliè, żeby omówić parę maszynopisów, które Belbo mu posłał. Oceniał je precyzyjnie, bezlitośnie albo pobłażliwie. Jako człowiekowi spozstrzegawczemu niewiele było mu potrzeba, żeby zrozumieć podwójną grę Garamond-Manuzio, więc nie kryliśmy już przed nim, jak sprawy stoją. Robił wrażenie, jakby rozumiał i usprawiedliwiał. Niszczył jakiś tekst ciętymi uwagami, a później z wytwornym cynizmem oświadczał, że dla wydawnictwa Manuzio jest jak najbardziej stosowny.

Spytałem go, co może powiedzieć o Agartcie i Saint-Yvie d'Alveydre.

- Saint-Yves d'Alveydre... - powtórzył. - Niewątpliwie oryginał, od lat młodzieńczych żył wśród zwolenników Fa-

bre'a d'Olivet. Był zwykłym urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, ale nie brakowało mu ambicji... Niezbyt dobrze przyjęliśmy jego ożenek z Marie-Victoire...

Agliè nie oparł się pokusie. Zaczął mówić w pierwszej osobie. Wspominał.

- Kim była Marie-Victoire? Uwielbiam plotki - oznajmił Belbo.

- Marie-Victoire de Risnitch, przepiękna w czasach, kiedy przyjaźniła się z cesarzową Eugenią. Ale kiedy poznała Saint-Yves'a, przekroczyła już pięćdziesiątkę. On miał koło trzydziestki. Oczywiście dla niej był to mezalians. Nie tylko w tym rzecz, bo w dodatku, żeby uzyskać dla niego tytuł, kupiła mu jakieś ziemie należące do niejakich markizów d'Alveydre. Dzięki temu nasz zuchwały bohater mógł ozdobić swoje nazwisko tytułem, a w Paryżu zaczęto śpiewać kuplety o żigolaku. Żył teraz z renty, mógł więc oddać się bez reszty swoim marzeniom. Wbił sobie w głowę, że znajdzie formułę polityczną, która doprowadzi do ukształtowania bardziej harmonijnego społeczeństwa. Synarchia jako przeciwieństwo anarchii. Społeczność europejska rządzona przez trzy zgromadzenia, które reprezentowały władzę ekonomiczną, administracyjną i duchową, czyli przez Kościoły oraz uczonych. Oświecona oligarchia, która wyeliminuje walkę klas. Mógł wymyślić doprawdy coś gorszego.

- Ale Agartta?

- Oświadczył, że nawiedził go pewnego dnia tajemniczy Afgańczyk, niejaki Hadzi Szarif, który Afgańczykiem być nie mógł, jako że nazwisko jest wyraźnie albańskie... I ów Afgańczyk wyjawiał mu sekret stolicy Króla Świata... a nawet jeśli sam Saint-Yves nigdy tego wyrażenia nie użył, użyli go

potem inni... Agartta. Nieodnajdywalna.

- Gdzie jest to opisane?

- W *Mission de l'Inde en Europe*. Dzieło, które wywarło wielki wpływ na ówczesną myśl polityczną. W Agartcie są podziemne miasta, pod nimi zaś, a więc w stronę środka Ziemi, żyje pięć tysięcy hinduskich mędrców, którzy nią rządzą - oczywiście liczba pięć tysięcy przypomina tu o hermetycznych korzeniach języka wedyjskiego, jak panowie dobrze wiecie. A każdy korzeń to magiczny hierogram powiązany z mocą niebiańską oraz z sankcją mocy piekielnej. Centralną kopułę Agartty rozświetlają od góry jakby zwierciadła, które dopuszczają światło wyłącznie przez enharmoniczną grę kolorów, w stosunku do której słoneczne spektrum z naszych dzieł poświęconych fizyce stanowi grę zaledwie diatoniczną. Mędrzy z Agartty studiują wszystkie święte języki, aby dotrzeć do języka powszechnego, który zowie się vattan. Kiedy rozmyślają nad tajemnicami nazbyt już głębokimi, unoszą się z ziemi i lewitują, i pewnie porozbijaliby sobie głowy o sklepienie kopuły, gdyby konfratry ich nie przytrzymywali. Preparują pioruny, kierują cyklicznymi prądami fluidów międzybiegunowych i międzywrotnikowych, derywacjami interferencyjnymi w różnych strefach szerokości i długości geograficznej Ziemi. Dokonują selekcji gatunków i stworzyli maleńkie zwierzątka o nadzwyczajnych przymiotach psychicznych, noszące na grzbietach żółwie pancerze z żółtym krzyżem i mające na każdym końcu ciała jedno oko i jeden pysk. Są to zwierzęta wielonożne, które mogą poruszać się w rozmaitych kierunkach. W Agartcie najprawdopodobniej schronili się po rozproszeniu templariusze, którzy pełnią tam funkcje nadzorcze. Coś jeszcze?

- Ale... mówił pan poważnie? - spytałem.

- Jestem przekonany, że on traktował to dosłownie. Najpierw wzięliśmy go za człowieka egzaltowanego, ale później zrozumieliśmy, że nawiązuje, być może w sposób wizjoner-ski, do tajemnej historii świata. Czy nie powiada się, że histo-ria jest krwawą i niedorzeczną zagadką? To niemożliwe, mu-si istnieć jakiś plan. Potrzebny jest jakiś Umysł. Dlatego lu-dzie z pewnym przygotowaniem rozmyślali o Panach albo Królach Świata, może nie jako o osobach fizycznych, ale jako o regule, regule zbiorowej, która raz za razem staje się chwi-lowym wcieleniem Niezmiennej Intencji. Chodzi o coś, z czym z pewnością kontaktowały się wielkie, a już nieist-niejące, zakony kapłańskie i rycerskie.

- Pan w to wierzy? - spytał Belbo.

- Osoby bardziej od niego zrównoważone szukają Niezna-nych Zwierzchników.

- I znalazły ich?

Agliè zaśmiał się dobrodusznie, prawie sam do siebie.

- A kimże byliby Nieznani Zwierzchnicy, gdyby ujawnili się pierwszemu lepszemu? Panowie, do roboty! Mam jeszcze jeden rękopis i jest to dzieło poświęcone tajnym stowarzysze-niom.

- Dobrze? - spytał Belbo.

- Można się domyślić. Ale dla firmy Manuzio całkiem od-powiednie.

Nie mogąc otwarcie kierować przeznaczeniami ziemskimi, gdyż rządy by się temu sprzeciwiły, owo tajemnicze towarzystwo mogło działać jedynie jako związek tajny... Te tajne związki, tworzone w miarę potrzeb, są podzielone na grupy rozmaite i pozornie przeciwstawne, głoszące co jakiś czas poglądy pozostające wobec siebie nawzajem w największej sprzeczności, by tym sposobem kierować oddzielnie i pewną ręką wszystkimi partiami religijnymi, politycznymi, ekonomicznymi i literackimi, i powiązane, ażeby utrzymywać wspólny kierunek, z nieznanym ośrodkiem, gdzie tkwi w ukryciu potężna sprężyna, która w tak niewidoczny sposób stara się poruszać wszystkimi berłami tego świata.

Józef Maria Hoene-Wroński,  
cyt. w: P. Sédir, *Histoire et doctrine des Rose-Croix*,  
Rouen 1932

Pewnego dnia zobaczyłem pana Salona stojącego w drzwiach swojej pracowni. Natychmiast pomyślałem, że ni z tego, ni z owego wyrecytuje wiersz sowy. Pozdrowił mnie jak starego przyjaciela i spytał, jak mi się powodzi. Zrobiłem nieokreślony ruch ręką, uśmiechnąłem się i pomknąłem dalej.

Znowu owładnęła mną myśl o Agartcie. Pomysły Saint-Yves'a, jak nam je zreferował Agliè, mogły okazać się fascynujące dla diabolisty, ale nie było w nich niczego niepokojącego. A jednak w Monachium widziałem na twarzy Salona i uchwyciłem w jego słowach jakieś zatrwożenie.

Wychodząc z domu, postanowiłem wstąpić do biblioteki i poszukać *Mission de l'Inde en Europe*.

W sali z katalogami i przy przyjmowaniu zamówień na książki panował jak zwykle tłok. Rozpychając się łokciami, zawładnąłem potrzebnym pudełkiem, odnalazłem sygnaturę, wypełniłem fiszkę i podałem ją pracownikowi. Oświadczył mi, że książka jest wypożyczona, i, jak to w bibliotece, zrobił

minę, jakby się z tego cieszył. W tym momencie usłyszałem za plecami czyjś głos.

- Oto ona, przed chwilą ją oddałem.

Obróciłem się. Za mną stał komisarz De Angelis.

Poznałem go i on poznał mnie - powiedziałbym nawet, że zbyt szybko. Ja widziałem go w okolicznościach dla mnie wyjątkowych, on w trakcie rutynowego przesłuchania. Poza tym w czasach Ardentiego nosiłem rzadką bródkę i trochę dłuższe włosy. Co za pamięć wzrokowa!

Czyżbym od powrotu z Brazylii był inwigilowany? A może jest po prostu fizjonomistą, policjanci muszą pielęgnować zmysł obserwacji, zapamiętywać twarze, nazwiska...

- Pan Casaubon! Widzę, że czytamy te same książki.

Podał mi rękę.

- Jestem już od jakiegoś czasu doktorem. Być może stanę do konkursu na stanowisko w policji, jak doradzał mi pan tamtego przedpołudnia. Wtedy będę pierwszy dostawał książki.

- Wystarczy, jeśli pan przyjdzie pierwszy - odparł. - Ale książka wróciła, weźmie ją pan później. Teraz pozwoli pan, że postawię mu kawę.

Zaproszenie wprowadziło mnie w zakłopotanie, ale trudno było się wykręcić. Usiedliśmy w pobliskim barku. Zapytał, jak to się stało, że zainteresowałem się misją Indii, a ja miałem ochotę odwzajemnić mu się pytaniem, dlaczego on się tym zainteresował, lecz postanowiłem przede wszystkim zabezpieczyć sobie tyły. Wyjaśniłem, że dla zabicia czasu kontynuuję studia nad templariuszami. Według von Eschenbacha templariusze opuścili Europę i udali się do Indii, jak twierdzą niektórzy - do królestwa Agartty.

Teraz jego kolej odkryć karty.

- Już raczej ciekawsze jest pytanie, dlaczego pan się tym zainteresował? - spytałem.

- Och, wie pan - odparł - odkąd doradził mi pan książkę o templariuszach, zacząłem studiować ten temat. Powiada mi pan, że od templariuszy dochodzi się prostą drogą do Agarty. - *Touché*. Potem dodał: - Żartowałem. Szukałem tej książki z innych powodów. Dlatego że... - zawahał się. - Krótko mówiąc, kiedy nie jestem na służbie, odwiedzam biblioteki. Żeby nie zmienić się w maszynę albo żeby nie być urzędnikiem kwestury, może pan wybrać formułę, która wyda się panu sympatyczniejsza. Proszę mi jednak opowiedzieć o sobie.

Zagłębiłem się w referowanie autobiografii aż do cudownej historii metali.

- Czy jednak w tym wydawnictwie, no i tym obok, nie zajmujecie się książkami poświęconymi naukom tajemnym?

Skąd wiedział o Manuziu? Zebrał informacje, kiedy miał na oku Belba? Czy też nadal tropi Ardentiego?

- Ponieważ mnóstwo typów w rodzaju pułkownika Ardenti trafiło do Garamonda, a Garamond odsyłał ich do Manuzia - pan Garamond doszedł do wniosku, że warto ten kontakt podtrzymywać. Zdaje się, że można na tym zarobić. Jeśli szuka pan facetów w rodzaju starego pułkownika, tam będzie miał ich pan pod dostatkiem.

- Tak, ale Ardenti zniknął. Mam nadzieję, że pozostali nie.

- Nie, i czasem myślę sobie: niestety. Ale zaciekał mnie pan, komisarzu. Wyobrażałem sobie, że ludzi, którzy znikają albo z którymi dzieje się coś gorszego, ma pan codziennie ile dusza zapragnie. I każdemu poświęca pan tyle... czasu?



Spojrzał na mnie z rozbawioną miną.

- A dlaczego sądzi pan, że w dalszym ciągu poświęcam czas pułkownikowi Ardentii?

No dobrze, odbił piłkę. Musi odkryć karty, a ja muszę zdobyć się na odwagę i w nie zajrzeć. Nie miałem nic do stracenia.

- Ależ, komisarzu, wie pan wszystko o Garamondzie i Manuziu, przychodzi pan tutaj po książkę o Agartcie...

- Jak to, czyżby Ardentii mówił coś o Agartcie?

Znowu celny cios. Rzeczywiście, o ile pamiętałem, Ardentii napomknął o Agartcie. Sparowałem cios:

- Nie, ale opowiedział jakąś historię o templariuszach, pamięta pan?

- Słusznie - przyznał. Potem dodał: - Niech pan jednak nie myśli, że zajmujemy się danym przypadkiem, dopóki go nie wyjaśnimy. Tak to wygląda tylko w telewizji. Policjant jest jak dentysta, przychodzi pacjent, powierci mu się w zębie, włoży lekarstwo i każe przyjść znowu za dwa tygodnie, a w tym czasie przyjmuje się stu innych pacjentów. Sprawa taka jak pułkownika może leżeć spokojnie w archiwum przez dziesięć lat, a potem w toku innej sprawy, wskutek czyjegoś zeznania, ujawnia się jakaś nowa okoliczność, trach, olśnienie, i człowiek przez jakiś czas znowu o tym myśli... A jeszcze potem przychodzi kolejne olśnienie... albo nie przychodzi i wtedy po sprawie.

- A na co takiego natknął się pan ostatnio, że nastąpiło olśnienie?

- Nie sądzi pan, że to pytanie jest odrobinę niedyskretne? Ale proszę mi wierzyć, nie ma żadnej tajemnicy. Sprawa pułkownika stała się aktualna zupełnie przypadkowo. Mamy

kogoś na oku z całkiem innych powodów i zwróciliśmy uwagę na fakt, że jest to bywalec klubu Picatrix, słyszał pan o nim?

- Nie, znam pismo, ale stowarzyszenia nie. Co się tam stało?

- Och, nic, nic, to spokojni ludzie, może odrobinę egzaltowani. Ale przypomniałem sobie, że bywał tam również Ardeni, a cała fachowość policjanta polega na pamiętaniu, gdzie już słyszał jakieś nazwisko lub widział jakąś twarz. Nawet po dziesięciu latach. I w ten sposób doszedłem do pytania, co słyhać u Garamonda. To wszystko.

- A co klub Picatrix ma wspólnego z wydziałem politycznym?

- Ta natarczywość wynika zapewne z czystego sumienia, ale robi pan wrażenie człowieka strasznie ciekawskiego.

- Przecież to pan zaprosił mnie na kawę.

- To prawda, i żaden z nas nie jest na służbie. Proszę pomyśleć: z pewnego punktu widzenia na tym świecie wszystko wiąże się ze wszystkim. - „Wspaniała subtelność hermetyczna” - pomyślałem. Jednak komisarz natychmiast dodał: - Nie twierdzą wcale, że ci ludzie mają coś wspólnego z polityką, ale wie pan... Kiedyś szukaliśmy Czerwonych Brygad w czynszowych kamienicach, a Czarnych w klubach zajmujących się sztuką wojenną, lecz dzisiaj mogłoby się okazać, że jest na odwrót. Żyjemy w dziwacznym świecie. Zapewniam pana, dziesięć lat temu mój zawód był łatwiejszy. Dzisiaj nawet ludzie zaangażowani nie mają religijnego podejścia do ideologii. Bywają dni, że wolałbym pracować w wydziale do walki z narkomanią. Przynajmniej jeśli ktoś sprzedaje heroinę, to sprzedaje heroinę - i nie ma tu miejsca na żadne wątpliwości. Stawia się na wartości niewątpliwe.

Przez chwilę milczał, wahając się – tak mi się w każdym razie zdawało. Potem wyjął z kieszeni notesik, który wyglądał jak książeczka do nabożeństwa.

– Panie Casaubon, z racji swojego zawodu zna pan ludzi dziwnych, a w bibliotekach wyszukuje książki jeszcze dziwniejsze. Proszę mi pomóc. Co pan wie o synarchii?

– No i wyjdę zaraz na głupca. Prawie nic. Słyszałem o tym w związku z Saint-Yves'em, i to wszystko.

– A co się na ten temat mówi?

– Jeśli nawet coś się mówi, do mnie to nie dociera. Prawdę mówiąc, pachnie mi faszyzmem.

– I rzeczywiście, wiele z tych tez zostało podchwyconych przez Action Française. I gdyby na tym się wszystko kończyło, nie byłoby problemu. Spotykam grupkę, która mówi o synarchii, i wiem, jakie ma zabarwienie. Ale pogłębiam wiedzę na ten temat i oto dowiaduję się, że w tyśiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku niejacy Vivian Postel du Mas i Jeanne Canudo zakładają stowarzyszenie Polaris, dla którego natchnieniem jest mit Króla Świata, a następnie propagują projekt synarchiczny: służba społeczna przeciwko kapitalistycznemu wyzyskowi, wyeliminowanie walki klas poprzez ruchy spółdzielcze... Wygląda to na socjalizm typu fabiańskiego, ruch personalistyczny i jednocześnie wspólnotowy. I rzeczywiście, zarówno Polaris, jak i irlandzki fabianizm zostają oskarżone o to, że ich zwolennicy są emisariuszami synarchicznego spisku kierowanego przez Żydów. A kto ich oskarża? „Revue internationale des sociétés secrètes”, gdzie pisze się o żydo-masońsko-bolszewickim spisku. Wielu współpracowników pisma ma powiązania z prawi-  
cowym stowarzyszeniem integrystycznym, jeszcze bardziej

tajnym, Sapinière. Ci twierdzą, że wszystkie rewolucyjne organizacje polityczne są jedynie fasadą dla szatańskiego spisku uknutego przez kręgi okultystyczne. Powie pan: no dobrze, pomyliliśmy się, Saint-Yves stał się w końcu natchnieniem dla grup reformistycznych, prawica zawsze pakuje wszystkich do jednego worka i wszędzie widzi powiązania demo-pluto-socjal-żydowskie. Nawet Mussolini tak robił. Cemu jednak oskarża się ich o to, że są kierowani przez ośrodki okultystyczne? Z tego, co wiem, a wiem mało, w takim Picatrix są ludzie, którzy naprawdę niezbyt interesują się ruchami robotniczymi.

- Tak sądzę i ja, Sokratesie. Co dalej?

- Dziękuję za Sokratesa, ale dochodzimy teraz do rzeczy najpiękniejszej. Im więcej czytam na ten temat, tym większy mam zamęt w głowie. W latach czterdziestych pojawiły się różne grupki, które twierdziły, że są synarchistami, i mówiły o nowym porządku europejskim pod rządami mędrców stojących ponad partyjnymi waśniami. I gdzie spotykają się wszystkie te grupki? W środowisku kolaborantów z Vichy. Powie pan, że znowu się pomyliliśmy, bo synarchia jest prawicowa. Nie tak szybko. Po tych lekturach dochodzę do wniosku, że wszyscy są zgodni tylko co do jednego: synarchia istnieje i potajemnie rządzi światem. Tu jednak pojawia się pewne „ale”...

- Ale?

- Dwudziestego czwartego stycznia trzydziestego siódmego roku Dymitr Nawakin, mason i martynista (nie wiem, co znaczy martynista, ale zdaje się, że chodzi o jedną z tych sekt), doradca ekonomiczny Frontu Ludowego, a przedtem dyrektor moskiewskiego banku, zostaje zamordowany przez

Organisation Secrète d'Action Révolutionnaire et Nationale, lepiej znaną jako kagulardzi, finansowaną przez Mussoliniego. Powiadało się wtedy, że kagulardami manipuluje tajna synarchia i Nawakin został zamordowany, gdyż odkrył jej tajemnice. Pewien dokument, który został ujawniony przez środowiska lewicowe podczas okupacji niemieckiej, mówi o Synarchicznym Pakcie Imperium, odpowiedzialnym za klęskę francuską i stanowiącym wyraz łańciskiego faszyzmu, takiego jak w Portugalii. Później jednak okazuje się, że ów pakt został napisany przez du Masa i Jeanne Canudo i zawiera idee, jakie wszędzie już publikowali i zachwalali. Nic tajnego. Ale jako tajne, a nawet supertajne, ogłasza te myśli w czterdziestym szóstym roku niejaki Husson, ujawniając lewicowy rewolucyjny pakt synarchiczny, w *Synarchie, panorama de vingt-cinq années d'activité occulte*, przy czym podpisuje się jako... zaraz znajdę, mam, Geoffroy de Charnay.

- To wspaniałe - powiedziałem. - Gotfryd z Charnay jest towarzyszem Jakuba z Molay, wielkiego mistrza templariuszy. Razem giną na stosie. Mamy więc tutaj neotemplariusza, który atakuje synarchię ze stanowiska prawicowego. Ale synarchia rodzi się w Agartcie, miejscu schronienia templariuszy.

- A nie mówiłem! Sam pan widzi, podsunął mi pan dodatkowy trop. Niestety, powiększa on jeszcze bardziej zamęt. Tak więc z prawicy potępia się Pakt Synarchiczny Imperium, socjalistyczny i tajny, który wcale tajny nie jest, i tenże tajny synarchiczny pakt spotyka się z potępieniem lewicy. Dochodzimy teraz do nowej interpretacji. Synarchia to spisek jezuicki, mający rozsadzić Trzecią Republikę. Teza Rogera Mennevée, z lewicy. A żeby moje życie stało się jeszcze lżejsze,

czytam oto, że w czterdziestym trzecim roku w niektórych środowiskach wojskowych Vichy, owszem, petainowskich, ale i antyniemieckich, krążą dokumenty wskazujące, że synarchia to spisek nazistowski, a Hitler to różokrzyżowiec ulegający wpływowi masońskiemu, czyli, jak pan widzi, ci przechodzą od spisku judeo-bolszewickiego do imperialnego spisku niemieckiego.

- I teraz wiemy już, czego się trzymać.

- Gdyby na tym był koniec! Oto kolejna rewelacja. Synarchia jest spiskiem międzynarodowych technokratów. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku taką tezę wysunął niejaki Villemarest w pracy *Le quatorzième complot du treize mai*. Spisek techno-synarchiczny zmierza do destabilizacji rządów i w tym celu prowokuje wojny, wspiera i knuje zamachy stanu, doprowadza do wewnętrznych rozłamów w partiach politycznych, podsycając spory frakcyjne... Rozpoznaje pan tych synarchistów?

- Mój Boże, przecież to IPW. Imperialistyczne Państwo Wielonarodowców, kilka lat temu mówiło się o nich w Czerwonon Brygadach...

- Trafna odpowiedź! I co ma teraz robić komisarz De Angelis, jeśli ktoś powoła się na synarchię? Pytam doktora Casaubona, specjalistę od templariuszy.

- Moim zdaniem istnieje tajne stowarzyszenie, które ma odgałęzienia na całym świecie i które uknuło spisek polegający na tym, aby szerzyć pogłoskę, że istnieje spisek powszechny.

- Pan żartuje, a ja...

- Wcale nie żartuję. Proszę przyjść i poczytać maszynopisy napływające do Manuzia. Jeśli jednak chce pan usłyszeć

interpretację bardziej przyziemną, to przypomina ona historię o jaskale, który twierdzi, że nie wzięli go na spikera radiowego, bo nie należy do partii. Zawsze czujemy potrzebę przypisania innym swoich porażek, dyktatury zawsze znajdują wroga zewnętrznego, by jednoczyć swoich zwolenników. Ktoś powiedział, że każdy skomplikowany problem ma proste rozwiązanie i jest ono błędne.

- A jeśli znajdę w pociągu bombę owiniętą w ksero ulotki mówiącej o synarchii, mam zadowolić się stwierdzeniem, że to proste rozwiązanie skomplikowanego problemu?

- Dlaczego? Znalazł pan bombę w pociągu, który... Nie, przepraszam. To naprawdę nie moje sprawy. Czemu właściwie pan mi o nich mówi?

- Bo miałem nadzieję, że wie pan więcej niż ja. A może czuję ulgę, kiedy dowiaduję się, że nawet pan nie może się w tym połapać. Mówi pan, że musi czytać zbyt wielu szaleńców i uważa to za stratę czasu. Ja nie, dla mnie teksty waszych szaleńców (mówiąc „waszych”, mam na myśli ludzi normalnych) są tekstami ważnymi. Mnie tekst szaleńca może wyjaśnić, jak rozumuje ktoś, kto podkłada bombę w pociągu. A może boi się pan zostać informatorem policyjnym?

- Nie, słowo honoru. W gruncie rzeczy szukanie idei w katalogach to moja profesja. Jeśli wpadnie mi w ręce jakaś właściwa informacja, będę o panu pamiętał.

Wstając, rzucił ostatnie pytanie:

- A czy wśród tych rękopisów nie natknął się pan na żadną aluzję do Tres?

- Co to takiego?

- Nie wiem. Powinno to być jakieś stowarzyszenie lub coś w tym rodzaju, ale nie wiem nawet, czy naprawdę istnieje.

Słyszałem o nich i przyszli mi do głowy w związku z szaleńcami. Pozdrowienia dla pańskiego przyjaciela, pana Belba. Proszę mu powiedzieć, że nie śledzę waszych posunięć. I że wykonuję paskudny zawód, który na swoje nieszczęście lubię.

Wracając do domu, zastanawiałem się, kto tu ubił interes. On opowiedział mi mnóstwo rzeczy, ja jemu nic. Mógłbym podejrzewać, że wyciągnął coś ze mnie tak zręcznie, że nawet się nie spostrzegłem. Ale kiedy człowiek zaczyna podejrzewać, często popada w psychozę spisku synarchicznego.

Kiedy opowiedziałem o tej rozmowie Lii, oznajmiła:

- Moim zdaniem był szczerzy. Naprawdę chciał sobie ulżyć. Myślisz, że w kwesturze znajdzie kogoś, kto go wysłucha, kiedy będzie roztrząsał kwestię, czy Jeanne Canudo była z lewicy, czy z prawicy? Chciał jedynie dojść do tego, czy to on jest taki tępy, czy też cała ta historia jest naprawdę bardzo trudna. A ty nie potrafiłeś mu udzielić jedynej słusznej odpowiedzi.

- Jest taka?

- Jasne. Że nie ma tu niczego do rozumienia, gdyż synarchia to Bóg.

- Bóg?

- Tak. Ludzkość nie może znieść myśli, że świat powstał wskutek przypadku, błędu, wyłącznie dzięki temu, że cztery postrzelone atomy wpadły jedne na drugie na mokrej jezdni. Trzeba więc znaleźć kosmiczny spisek, Boga, anioły albo diabły. Synarchia spełnia tę samą funkcję, aczkolwiek na mniejszą skalę.

- Powinienem więc wytłumaczyć mu, że ludzie podkładają bomby w pociągach, gdyż szukają Boga?



- Može i tak.

Książę ciemności jest szlachcicem.

William Szekspir, *Król Lir*, III, 4;  
przeł. Józef Paszkowski

Nadeszła jesień. Pewnego ranka udałem się na ulicę Marchese Gualdi, gdyż musiałem poprosić pana Garamonda o zgodę na zamówienie fotokopii za granicą. W pokoju pani Grazii zobaczyłem Agliègo pochylonego nad kartoteką autorów Manuzia. Nie przeszkadzałem mu, bo byłem już i tak spóźniony.

Kiedy omówiliśmy sprawy techniczne, spytałem Garamonda, co robi Agliè w sekretariacie.

- To geniusz - odparł Garamond - człowiek nadzwyczajnie subtelny i wykształcony. Przedwczoraj wziąłem go na kolację z paroma naszymi autorami i zepchnąłem go do roli statysty. Co za dar konwersacji, co za styl! Dżentelmen starej daty, wielki pan, dzisiaj już takich się nie spotyka. Co za erudycja, co za kultura, powiem więcej, co za informacje! Opowiadał smakowite anegdoty o osobach sprzed stu lat, jakby znał je osobiście, przysięgam panu. I wie pan, jaki pomysł podsunął mi w drodze powrotnej? Od pierwszego spojrzenia przeniknął moich gości, zna ich teraz lepiej niż ja. Powiedział, że lepiej nie czekać, aż autorzy propozycji do Izydy Obnażonej sami raczą się zjawić. Strwonimy siły na czytanie ich maszynopisów, nie wiedząc nawet, czy będą skłonni partycypować w kosztach. A możemy przecież eksploatować inną kopalnię skarbów, mianowicie kartotekę wszystkich autorów Manuzia z ostatnich dwudziestu lat! Pojmuje pan? Piszemy do naszych starych i sławnych autorów, a w każdym razie do tych, którzy

wykupili resztki nakładu swych dzieł. Drogi panie, czy wie pan, że zainaugurowaliśmy nową serię naukową i tradycjonalistyczną poświęconą najwyższej duchowości? Czy autor tak subtelny jak pan nie zechciałby spenetrować tej *terra incognita*, i tak dalej, i tak dalej. Powtarzam, to geniusz. Zdaje się, że pragnie spędzić z nami wszystkimi niedzielny wieczór. Chce nas zawieźć do zamku, twierdzy, powiem więcej, luksusowej willi gdzieś niedaleko Turynu. Podobno chodzi o jakieś niezwykle rzeczy, obrzędy, celebracje, sabaty, podczas których ktoś wytworzy czyste złoto albo srebro, albo coś w tym rodzaju. To cały świat czekający na odkrycie, drogi Casaubon, aczkolwiek zdaje pan sobie sprawę, jaki szacunek żywię dla tej nauki, której oddaje się pan z taką pasją, i jestem bardzo, wprost niezwykle zadowolony z naszej współpracy... wiem, wiem, ten drobny retusz finansowy, o jakim zechciał pan wspomnieć, nie zapomniałem, wrócimy do tego we właściwym czasie. Agliè powiedział też, iż będzie tam ta pani, ta piękna dama... może nie najpiękniejsza, ale ma swój styl i to coś w spojrzeniu... ta przyjaciółka Belba, jakże się nazywa...

- Lorenza Pellegrini.

- Chyba tak. Coś jest między nią a naszym Belbem, mam rację?

- Myślę, że się przyjaźnią.

- Ach. Tak właśnie odpowiada dżentelmen. Świetnie, Casaubon. Ale to nie przez ciekawość, chodzi o to, że wobec was wszystkich czuję się jak ojciec i... *glissons, à la guerre comme à la guerre...* Żegnam, drogi przyjacielu.

Naprawdę jesteście umówieni z Aglièm na turyńskich wzgórzach - potwierdził Belbo. Podwójne spotkanie. Pierw-

sza część wieczoru to przyjęcie na zamku pewnego bardzo zamożnego różokrzyżowca, a potem Agliè zawiezie nas kilka kilometrów dalej, do miejsca, gdzie odbędą się, naturalnie o północy, obrzędy druidyczne, o których wypowiadał się w sposób nader mglisty.

- Pomyślałem - dodał Belbo - że powinniśmy wreszcie uporać się z tą historią metali, a tutaj ciągle coś nam przeszkadza. Może byśmy wyjechali w sobotę i spędzili dwa dni w moim starym domu w \*\*\*? Przekona się pan, jest tam pięknie, warto zobaczyć te wzgórza. Diotallevi jest za i być może zjawi się też Lorenza. Naturalnie, proszę przyjechać, z kim pan zechce.

Nie znał Lii, ale wiedział, że kogoś mam. Odparłem, że przyjadę sam. Od dwóch dni kłóciłem się z Lią. Poszło o głupstwo i w ciągu tygodnia wszystko wróci do normy. Ale czułem potrzebę wyjazdu na dwa dni z Mediolanu.

W ten sposób znaleźliśmy się w \*\*\*, nasza trójka z Garmonda i Lorenza Pellegrini. Przy wyjeździe doszło do spięcia. Lorenza przyszła na umówione miejsce, ale w momencie, gdy miała wsiąść do samochodu, oznajmiła:

- Może ja zostanę, będziecie mogli spokojnie pracować. Przyjadę później z Simone.

Belbo, który siedział z rękami na kierownicy, naprężył mięśnie ramion i patrząc prosto przed siebie, powiedział cicho:

- Wsiadaj.

Lorenza usiadła obok Belba i przez całą drogę trzymała rękę na jego karku, on zaś prowadził, nie odzywając się ani słowem.

\*\*\* pozostało miejscina, jaką Belbo znał z czasów wojny.

Niewiele nowych domów, powiedział, upadające rolnictwo, bo młodzi przenieśli się do miasta. Pokazywał nam niektóre wzgórza, teraz przeznaczone na pastwiska, a niegdyś żółte od zbóż. Mieścina ukazała nam się nagle za zakrętem, u stóp wzgórza, gdzie stał dom Belba. Wzgórze było niskie i po jego drugiej stronie widziało się Monferrato, otulone lekką, świetlistą mgłą. Kiedy szliśmy pod górę, Belbo pokazał pagórek przed nami, prawie łysy, na którym wznosiła się kapliczka z dwiema sosnami po bokach.

- Bricco - oznajmił. Potem dodał: - Nic nie znaczy, jeśli nic wam nie mówi. W poniedziałek wielkanocny chodziliśmy tam na podwieczorek. Teraz, samochodem, jest się na miejscu w pięć minut, ale wtedy, na piechotę, była to cała pielgrzymka.

Nazywam teatrem [miejsce, gdzie] wszystkie działania słów i myśli, a także szczegóły wypowiedzi i argumentacji, są pokazane jak w teatrze publicznym, gdzie przedstawia się tragedie i komedie.

Robert Fludd, *Utriusque Cosmi Historia*,  
Tomi Secundi Tractatus Primi Sectio Secunda,  
Oppenheim (?) 1620 (?), s. 55

Dotarliśmy do willi. Willa to dużo powiedziane, chodziło raczej o dom z dużymi piwnicami, w których Adelino Canepa – kłótniwy dzierżawca, co to zadenuncjował wuja partyzantom – robił wino, dbając o winnice należące do posiadłości Covasso. Widać było, że dom jest od dawna niezamieszkały.

W chłopskim domku obok żyła jeszcze staruszka – powiedział Belbo – ciotka Adelina. Tamci, wujostwo i małżonkowie Canepa, już powymierali, została tylko ta stulatka, która uprawia sobie ogródek i hoduje cztery kury oraz wieprzka. Ziemia poszła na zapłacenie podatku spadkowego, o długach nikt już nie pamiętał. Belbo zastukał do drzwi chałupinki, staruszka wyszła na próg, trochę czasu potrzebowała, żeby rozpoznać gościa, potem ją wylewnie okazywać mu swój szacunek. Chciała koniecznie zaprosić go do siebie, ale Belbo uciął to krótko, uściskawszy ją jednak przedtem i uspokoiwszy.

Kiedy weszliśmy do środka, Lorenza, w miarę odkrywania schodów, korytarzy, mrocznych pokoiów ze starymi meblami, wydawała co chwila okrzyki radości. Belbo postawił na *understatement*, rzucając uwagę, że każdy ma Donnafugatę, na jaką go stać, lecz był wzruszony. Przyjeżdża tutaj od czasu do czasu – wyjaśnił – ale raczej rzadko.

– W każdym razie pracuje się tutaj dobrze, w lecie jest

chłodno, w zimie grube mury chronią przed mrozem i wszędzie są piece. Naturalnie, kiedy byłem dzieckiem ewakuowanym, mieszkaliśmy tylko w tych dwóch bocznych pokojach, tam, w głębi dużego korytarza. Teraz przejąłem skrzydło wujostwa. Pracuję tutaj, w gabinecie wuja Carla.

Stała tam jedna z tych sekreter, które nie zapewniają zbyt wiele miejsca na rozłożenie papierów, mają za to mnóstwo jawnych i sekretnych szufladek.

- Nie mógłbym postawić tutaj Abulafii - ciągnął Belbo - ale w tych nieczęstych sytuacjach, kiedy tu jestem, z przyjemnością piszę odręcznie jak niegdyś. - Pokazał nam bardzo dostojną szafę. - Kiedy umrę, nie zapomnijcie, że tutaj została ukryta cała moja młodzieńcza twórczość literacka, wiersze, które układałem jako siedemnastolatek, notatki do sześciotomowej sagi, którą pisałem jako osiemnastolatek... i tak dalej, i tak dalej.

- Patrzcie no, patrzcie! - wykrzyknęła Lorenza. Klasnęła i kocimi ruchami zaczęła się skradać w stronę szafy.

- Stać! - rozkazał Belbo. - Nie ma tam niczego ciekawego. Nawet ja już tam nie zaglądam. A zresztą chciałbym, żeby po mojej śmierci wszystko zostało spalone.

- W takim miejscu muszą pojawiać się upiory - rzekła Lorenza.

- Teraz tak. W czasach wuja Carla było tu bardzo wesoło. Sielsko. Przyjeżdżam właśnie dlatego, że jest tu sielsko. Lubię pracować wieczorem, kiedy w dolinie czekają psy.

Pokazał pokoje, w których będziemy spać, Lorenza, Diotallevi i ja. Lorenza obejrzała swoją sypialnię, dotknęła starego łóżka okrytego wielką białą narzutą, powąchała pościel, oznajmiła, że ma uczucie, jakby znalazła się w bajce babuni,

bo pościel pachnie lawendą. Belbo wyjaśnił, że tak nie jest, że to tylko zapach wilgoci. Lorenza odrzekła, że to bez znaczenia, a potem oparła się o ścianę i wypychając lekko do przodu biodra i wzdórek łonowy, jakby chciała zmusić flipper do uległości, spytała:

- Czy mam tu spać sama?

Belbo odwrócił głowę, spojrział na nas dwóch, potem skierował wzrok jeszcze gdzie indziej, a wreszcie ruszył korytarzem, mówiąc:

- Jeszcze do tego wrócimy. W każdym razie masz tutaj kąpiel wyłącznie dla siebie.

Diotallewi i ja oddaliśmy się, ale usłyszeliśmy, jak Lorenza pyta Belba, czy się jej wstydzi. Zwrócił uwagę, że gdyby nie przydzielił jej pokoju, spytałaby, gdzie niby ma spać.

- Ja zrobiłem pierwszy ruch, więc nie masz wyboru.

- Przebiegły Afgańczyk! W takim razie będę spała u siebie.

- Dobrze, dobrze - powiedział zirytowany Belbo. - Ale oni przyjechali tu pracować, wyjdźmy więc na taras.

Tak więc pracowaliśmy na wielkim tarasie, nad którym była pergola. Przed sobą mieliśmy zimne napoje i mnóstwo kawy. Alkohol został zakazany aż do wieczora.

Z tarasu widać było Bricco, a poniżej wielki budynek bez żadnych ozdób, za to z dziedzińcem i boiskiem do piłki nożnej. Wszędzie pełno maleńkich postaci, jak mi się wydawało - dzieci. Belbo po raz pierwszy wspomniął o tym miejscu.

- To oratorium salezjanów. Tam właśnie don Tico uczył mnie grać. W orkiestrze.

Przypomina mi się trąbka, do której Belbo odmówił sobie



prawa, wtedy, po nocy marzeń. Spytałem:

- Na trąbce czy na klarncie?

Na chwilę wpadł w popłoch.

- Skąd... Aha, prawda, opowiedziałem panu o marzeniu i trąbce. Nie, don Tico nauczył mnie grać na trąbce, ale w orkiestrze grałem na alcie.

- Na alcie?

- Stare historie z dzieciństwa. No, do roboty.

Ale w trakcie pracy często zerkał w stronę oratorium. Miałem wrażenie, iż właśnie dlatego, by móc tam spoglądać, mówił nam o czymś innym. Czasem przerywał dyskusję.

- Tu w dole doszło do jednej z najgwałtowniejszych strzelanin końca wojny. Tutaj, w \*\*\*, obowiązywała między faszystami a partyzantami niepisana umowa. Latem dwukrotnie, rok po roku, partyzanci zajmowali miasto, a faszyci im w tym nie przeszkadzali. Faszyci nie byli stąd, podczas gdy partyzanci to wszystko chłopcy z tych stron. Gdyby doszło do starcia, wiedzieliby, jak się przekradać między szpalerami kukurydzy, zagajnikami, płotami. Faszyci umacniali się w mieście i tylko sporadycznie przeczesywali teren. Zimą partyzantom było trudniej utrzymać się na równinie - nie ma gdzie się ukryć, człowiek jest z daleka widoczny na śniegu, a z karabinu maszynowego można strzelać celnie nawet na kilometr. Więc partyzanci zaszywali się w najwyższych partiach gór. A tam znowu oni byli tymi, którzy znają wszystkie ścieżki, zagłębienia, kryjówki. I wtedy faszyci kontrolowali równinę. Lecz tej wiosny zbliżało się wyzwolenie. Nadal byli tu faszyci, ale chyba nie mieli odwagi wkraczać do miasta, gdyż spodziewali się, że ostatni cios zostanie im wymierzony właśnie tam, i tak się zresztą stało dwudziestego piątego

kwietnia. Sądzę, że podjęto rokowania, partyzanci wyczekiwali, woleliby uniknąć starcia, mieli już pewność, że wkrótce coś się stanie. Nocą Radio Londyn podawało krzepiące wiadomości, częściej się pojawiały specjalne meldunki dla partyzantów: jutro znowu będzie padać, wuj Piotr przyniósł chleb, tego rodzaju rzeczy, może ty, Diotallevi, ich słuchałeś... Krótko mówiąc, musiało zajść jakieś nieporozumienie: partyzanci zeszli z gór, kiedy faszyci jeszcze tu tkwili. Faktem jest, że któregoś dnia moja siostra siedziała na tym tarasie i w pewnym momencie weszła do środka, by powiedzieć, że jakichś dwóch mężczyzn bawi się chyba w berka, bo biegają z karabinami maszynowymi. Wcale nas to nie zdziwiło, po obu stronach byli tylko chłopcy, którzy zabijali nudę, bawiąc się bronią. Kiedyś dwaj z nich zaczęli dla rozrywki naprawdę strzelać i kula utkwiała w rosnącym przy alei drzewie, o które opierała się moja siostra. Nawet nie zdała sobie z tego sprawy; o wszystkim donieśli sąsiedzi, więc pouczono ją, że kiedy zobaczy kogoś bawiącego się pistoletem, ma stamtąd odejść. „Znowu się bawią” – powiedziała, wchodząc do domu, bo chciała pokazać, jaka jest posłuszna. W tym momencie usłyszeliśmy pierwszą serię. Po niej rozległa się druga, trzecia, a później już padała seria za serią, słychać było suche trzaski karabinów maszynowych, kilka głuchych wybuchów, może to były granaty ręczne, a wreszcie karabiny maszynowe. Zrozumieliśmy, że to już nie zabawa. Ale nie zdążyliśmy omówić tej sprawy, gdyż nie słyszeliśmy się nawzajem. Pim pum bang, ratatata. Przycupnęliśmy pod zlewem, mama, siostra i ja. Potem na czworakach przyszedł korytarzem wuj Carlo, żeby oznajmić, że od naszej strony jesteśmy marnie osłonięci, więc musimy przejść do nich. Przenieśliśmy się do

drugiego skrzydła, gdzie ciocia Caterina tonęła we łzach, bo babcia wyszła z domu...

- To wtedy babcia leżała twarzą do ziemi między dwiema liniami ognia...

- Skąd pan o tym wie?

- Opowiedział pan o tym w siedemdziesiątym trzecim, wtedy, po manifestacji.

- Boże, co za pamięć! Trzeba uważać, co się przy panu mówi... To prawda. Ale nie było także mojego ojca. Jak się dowiedzieliśmy później, znalazł się w samym środku strzelaniny, wszedł do jakiejś bramy i nie mógł z niej wychylić nosa, bo strzelano z obu końców ulicy, a z wieży ratusza garstka żołnierzy Czarnych Brygad omiatała plac seriami z karabinu maszynowego. W tej samej bramie schował się były faszystowski burmistrz miasta. W pewnym momencie oznajmił, że biegnie do domu, który jest blisko, tuż za rogiem. Wyczekał na moment ciszy, wybiegł z bramy, dotarł do rogu i tam dostał serię przez plecy, oddaną z wieży ratusza. Odruchowa reakcja mojego ojca, który brał przecież udział w pierwszej wojnie światowej, była taka: lepiej przeczekać wszystko w bramie.

- Widzę, że jest to miejsce nasycone pełnymi słodczy wspomnieniami - zauważył Diotallevi.

- Nie uwierzysz - odparł Belbo - ale naprawdę są pełne słodczy. I są jedyną prawdziwą rzeczą, jaką pamiętam.

Tamci tego nie zrozumieli, ja tylko przeczuwałem - ale teraz wiem. Zwłaszcza w ciągu tych miesięcy, kiedy żeglował po morzu kłamstw diabolistów, i po tylu latach życia ze złudzeniem, jakie przynoszą kłamstwa powieściowe, czasy \*\*\* jawiły mu się w pamięci jako świat, w którym kula jest

kulą, a człowiek unika jej albo zostaje trafiony, w którym dwie strony stają naprzeciw siebie oznaczone swoimi barwami, czerwoną i czarną albo khaki i feldgrau, żadnych pomyłek – przynajmniej wtedy tak mu się wydawało. Zabity był zabity był zabity był zabity. Nie jak pułkownik Ardent, obrzydliwie zaginiony. Pomyślałem, że może powinienem mu opowiedzieć o synarchii, która już w tamtych latach skradała się podstępnie. Czyż spotkanie między wujem Carlem a Terzim nie było synarchiczne, skoro obaj, stojąc po przeciwnej stronie barykady, odwoływali się do tego samego rycerskiego ideału? Czemu jednak miałbym odbierać Belbowi jego Combray? Wspomnienia są pełne słodyczy, ponieważ wyjawiają mu jedyną prawdę, jaką znał, a dopiero później przeszedł inicjację w zwątpieniu. Chyba że, jak dał mi do zrozumienia, nawet w dniach prawdy ograniczał się do obserwowania. Oglądał we wspomnieniu czas, kiedy patrzył na rodzącą się pamięć innych, pamięć Historii i pamięć mnóstwa historii, których on nie opisze.

A może był to moment chwały i wyboru? Powiedział bowiem:

- A poza tym tego dnia dokonałem czynu bohaterskiego.
- Mój ty Johnie Wayne! – wykrzyknęła Lorenza. – Opowiedz.
- Och, nic takiego. Kiedy już przeczołgaliśmy się do wujostwa, ja uparłem się, że będę stał wyprostowany w korytarzu. Okno znajdowało się w głębi, byliśmy na pierwszym piętrze, nic mi nie grozi, oznajmiłem. I czułem się jak kaptan, który stoi, prosty jak świeca, na samym środku mostka, chociaż kule świszczą mu wokół głowy. Wreszcie wuj Carlo zezłościł się, wciągnął mnie bez ceregieli do środka i już

miałem zalać się łzami, bo przerwano mi zabawę, kiedy usłyszeliśmy trzy strzały, odgłos tłukącego się szkła i coś jakby rykoszet, jakby ktoś rzucał w korytarzu piłką tenisową. Jakaś kula wpadła przez okno, odbiła się od rury wodociągowej i utkwiała nisko, dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą stałem. Gdybym tam pozostał, byłaby mnie okulała. Być może.

- O Boże, nie chciałam cię kulawego - oświadczyła Lorenza.

- Kto wie, może dzisiaj byłbym z tego zadowolony - rzekł Belbo.

W rzeczywistości nawet wtedy nie miał wyboru. Dał się wciągnąć wujowi do pokoju.

Po godzinie znowu oderwał się od pracy.

- W pewnym momencie przyszedł Adelino Canepa. Powiedział, że będziemy bezpieczniejsi w piwnicy. Jak już mówiłem kiedyś, wuj i on nie rozmawiali ze sobą od kilku lat. Ale w chwili dramatycznej Adelino znowu stał się istotą ludzką i wuj uścisnął mu nawet dłoń. Tak więc spędziliśmy godzinę w ciemności, wśród kadzi, owionięci zapachem moszczu, uderzającym nieco do głowy, zabezpieczeni przed kulami. Potem serie stały się rzadsze, odgłosy strzałów bardziej stłumione. Zrozumieliśmy, że jedna ze stron się wycofuje, chociaż nie wiedzieliśmy jeszcze która. Dopóki z wychodzącego na ścieżkę okienka nad naszymi głowami nie usłyszeliśmy wypowiedzianych w dialekcie słów: *Monssu, i'è d'la repubblica bele si?*

- Co to znaczy? - spytała Lorenza.

- Mniej więcej: panowie, czy zechcielibyście udzielić mi informacji, czy są tu gdzieś jeszcze zwolennicy republiki

społecznej? W owych czasach republika to było słowo pa-skudne. Jakiś partyzant zadał to pytanie komuś akurat przechodzącemu albo stojącemu w oknie, a więc można już było chodzić ścieżką, faszyci zniknęli. Robiło się ciemno. Wkrótce nadeszli babcia i ojciec i każde opowiedziało swoją przygodę. Mama i ciocia przygotowały coś do jedzenia, a wuj i Adelino Canepa wymieniali ceremonialne ukłony. Do końca wieczoru słyszeliśmy od strony wzgórz odgłosy odległych se-rii. Partyzanci polowali na tych, którym udało się wymknąć. Zwyciężyliśmy.

Lorenza pocałowała Belba w głowę, a on zmarszczył nos. Wiedział, że zwyciężył za pośrednictwem innych. W rzeczywistości patrzył na film. Ale przez chwilę, kiedy groziła mu odbita rykoszetem kula, wkroczył do akcji. Ledwie przemknął przez ekran, jak w *Czystym szaleństwie*, kiedy pomyłono taśmy i w samym środku balu zjawia się konny Indianin, który pyta, gdzie tamci, a ktoś odpowiada „tam” i Indianin wraca do całkiem innej opowieści.

Jął dąć w swoją wspaniałą trąbę z taką siłą, że rozdźwiewczała się cała góra.

Johann Valentin Andreae, *Die Chymische Hochzeit des Christian Rosencreutz*, Zetzner, Strassburg 1616, 1, s. 4

Doszliśmy do rozdziału mówiącego o cudach przewodów hydraulicznych i oglądaliśmy szesnastowieczną rycinę ze *Spiritaliów* Herona, przedstawiającą coś w rodzaju ołtarza z ustawionym na nim przyrządem, który – dzięki jakiemuś wymyślnemu mechanizmowi na parę – dął w trąbę.

Nawiązałem do wspominków Belba.

– Ale co to była za historia z tym Tycho de Brahe, czy jak się nazywał, który uczył pana gry na trąbce?

– Don Tico. Nigdy się nie dowiedziałem, czy to było jego imię, czy nazwisko. Potem ani razu już nie zajrzałem do oratorium. Wszystko zaczęło się od przypadku. Msza, katechizm, mnóstwo zabaw i można było wygrać obrazek błogosławionego Dominika Savio, tego młodzieńca w wymiętych spodniach z grubego sukna, który na rzeźbach czepia się sutanny don Bosco, zawsze ze wzrokiem wzniesionym do nieba, by nie słuchać kolegów opowiadających sprośne kawały. Dowiedziałem się, że don Tico zebrał orkiestrę złożoną z chłopców w wieku od dziesięciu do czternastu lat. Najmniejsi grali na klarnetach, fletach, saksofonach sopranowych, a najwięksi musieli dźwigać bombardony i wielkie bębny. Wszyscy mieli jednolite stroje, kurtki koloru khaki, granatowe spodnie, czapki z daszkiem. Marzenie, postanowiłem zostać jednym z nich. Don Tico oznajmił, że przydałby mu się alt.

Spojrzał na nas z wyższością i wyrecytował:

- To po prostu rodzaj trąbki, która w rzeczywistości nazywa się małą trąbką Es. Najgłupszy instrument w całej orkiestrze. Gra umpa-umpa-umpa-umpap, kiedy rusza się do marszu, a później parapapa-pa-pa-pa-paaa i przechodzi do wybijania rytmu pa-pa-pa-pa-pa... Łatwy do opanowania, należy do rodziny instrumentów dętych, podobnie jak każda inna trąbka, i jego działanie nie różni się od działania trąbki. Jednak wymaga mocniejszego dmuchania i dobrego *embouchure*, jakby okrągłego stwardnienia, które tworzy się na wargach, jak u Armstronga. Oszczędza się wtedy tchu i uzyskuje dźwięk jasny i czysty, tak że nie słyhać dmuchania... Inna rzecz, że nie można nadymać policzków, zdarza się to tylko w literackiej fantazji albo karykaturze.

- A co z trąbką?

- Grać na trąbce uczyłem się sam: w letnie popołudnia, kiedy w oratorium nikogo nie było, ukrywałem się na widowni teatryku... Ale powodem mojego zainteresowania trąbką były względy miłosne. Widzicie tę małą willę w dole, kilometr od oratorium? Mieszkała w niej Cecilia, córka dobrodziejki salezjanów. Tak więc przy okazji każdego popisu orkiestry, podczas świąt kościelnych, po procesji, na dziedzińcu oratorium, a szczególnie w teatrze podczas amatorskich występów, Cecilia zasiadała zawsze ze swoją matką w pierwszym rzędzie, na honorowym miejscu, obok proboszcza katedralnego. I wtedy orkiestra zawsze grała na otwarciu marsza, który nazywał się *Dobra reguła* i zaczynały go trąbki, trąbki w stroju B, samo złoto i srebro, wypolerowane na tę okoliczność. Trąbki wstawały i grały solo. Potem siadały i przystępowała do gry cała orkiestra. Grać na trąbce to był



jedyny sposób, żeby Cecilia zwróciła na mnie uwagę.

- Bo inaczej? - spytała Lorenza rozczulona.

- Nie było żadnego inaczej. Przede wszystkim miałem trzynaście lat, ona trzynaście i pół, a dziewczynka trzynastoipółletnia jest kobietą, natomiast chłopak smarkaczem. Poza tym była zakochana w saksofonie kontraltowym, niejakim Papiem, według mojej oceny osobnikiem okropnym i wyleniałym, i patrzyła tylko na niego, on zaś buczał ordynarnie, gdyż saksofon, kiedy nie gra na nim Ornette Coleman i kiedy wchodzi w skład orkiestry - a w dodatku używa go okropny Papi - jest (lub tak wydawało mi się wówczas) instrumentem kozłim i sromowym, ma głos, by tak rzec, modelki, która się rozpiła i wyszła na ulicę.

- Jaki głos ma modelka, która wyszła na ulicę? Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Tak czy owak, Cecilia nie wiedziała nawet o moim istnieniu. Naturalnie, kiedy wieczorem z mozołem pokonywałem zbocze wzgórza, idąc po mleko do gospodarza, wymyślałem sobie cudowne historie: zostaje porwana przez Czarne Brygady, ja pędzę jej na ratunek, kule świszczą wokół mojej głowy i z odgłosem pac, pac padają na ściernisko, wyjawiam jej to, czego ona nie może wiedzieć, a mianowicie, że moje papiery są fałszywe i w rzeczywistości dowodzę ruchem oporu w całym Monferrato, ona zaś wyznaje mi, że zawsze żyła tą nadzieją, i w tym miejscu ogarniał mnie wstyd, gdyż czułem w żyłach miód... przysięgam, nawet nie wilgotniał mi napletek, to było coś innego, wspanialszego i straszniejszego... i po powrocie z mlekiem szedłem do spowiedzi... Sądzę, że w tym właśnie są grzech, miłość i chwała... spuszczasz się na związanych prześcieradłach z okna Pałacu Smutku, ona

trzyma się twojej szyi, zawieszona nad przepaścią, i szepcze, że zawsze marzyła tylko o tobie. Reszta to seks, kopulacja, utrwalanie nikczemnego nasienia. Gdybym jednak przeszedł do trąbki, Cecilia nie mogłaby mnie już ignorować, przecież stałbym, promienny, a nędzny saksofon musiałby siedzieć. Trąbka jest wojownicza, anielska, apokaliptyczna, zwycięska, daje sygnał do ataku, podczas gdy saksofon gra prowincjonalnym apaszom o włosach zlepionych brylantyną, kiedy tańczą policzek przy policzku ze spoconymi dziewczynami. A więc uczyłem się jak oszalały gry na trąbce i czułem się ni- by Oscar Levant podczas pierwszej próby na Broadwayu z Gene'em Kellym. I don Tico powiedziała: przechodzisz do trąbki. Jednak...

- Jakie to dramatyczne - przerwała mu Lorenza. - Opowiadaj, bo wszyscy wstrzymali oddech.

- Musiałem jednak znaleźć kogoś, kto by zastąpił mnie na alcie. Załatw to jakoś, powiedział don Tico. I załatwiłem. Musicie wiedzieć, moje drogie dzieci, że w owych czasach mieszkali w \*\*\* dwaj nędznicy, moi koledzy z klasy, aczkolwiek o dwa lata starsi, a to mówi wszystko o ich podejściu do nauki. Te dwa dzikusy nazywały się Annibale Cantalamessa i Pio Bo. Jeden. Historyczne.

- Co, co? - spytała Lorenza.

Czytaliśmy w młodości te same książki, mogłem więc popieszyć z wyjaśnieniem:

- Kiedy Salgari powołuje się na jakiś wypadek autentyczny (albo przez niego uważany za autentyczny), powiedzmy, że Siedzący Byk po Little Big Horn zjadł serce generała Custer, u dołu strony umieszcza przypis: „Jeden. Historyczne”.

- No właśnie. Jest zatem faktem historycznym, że Anniba-

le Cantalamessa i Pio Bo tak właśnie się nazywali, i nie to było ich najgorszą stroną. Byli leniuchami, złodziejami komiksów z kiosków z gazetami, wykradali łuski temu, kto zgromadził piękną kolekcję, i kładli bułki z salami na książkach o lądowych i morskich przygodach, a te książki pożyczali od ciebie, jak tylko wręczyli ci je w prezencie na Gwiazdkę. Cantalamessa mówił, że jest komunistą, Bo - że faszystą, obaj byli gotowi sprzedać cię przeciwnikowi za procę; nie mając wielkiego pojęcia o anatomii, snuli opowieści o sprawach płci, spierali się, kto dłużej się onanizował poprzedniego wieczoru. Byli to osobnicy gotowi na wszystko, czemu więc mieliby się przestraszyć altu? Postanowiłem ich oczarować. Zachwalałem, jak mogłem, uniform grajków, ciągałem na publiczne popisy orkiestry, napomykałem o szansach na sukcesy miłosne z Córami Maryi... Wpadli w sidła. Całe dni spędzałem w teatrzyku, ściskając w rękę długą trzcinę, bo taką samą widziałem na ilustracjach w broszurkach o misjonarzach, waliłem tą trzciną po plecach, kiedy mylili nuty... alt ma tylko trzy klapki, używa się palca wskazującego, środkowego i serdecznego, a reszta to kwestia owego ukształtowania warg, o którym już mówiłem. Nie będę was dłużej nudził, moi mali słuchacze, powiem więc, że nadszedł dzień, kiedy mogłem przedstawić don Ticowi dwa alty, może nie doskonałe, ale całkiem do przyjęcia, przynajmniej jak na pierwszy sprawdzian, do którego przygotowywałem ich przez długie, bezsenne popołudnia. Don Tico dał się przekonać, przydzielił im mundurki, a mnie wręczył trąbkę. I po tygodniu, na święto Matki Boskiej Wspomożycielki, na otwarcie sezonu teatralnego *Małym paryżaninem*, przy opuszczonej kurtynie, wobec miejscowych władz,

ja stałem i grałem początek *Dobrej reguły*.

- Co za chwała! - wykrzyknęła Lorenza, na której twarzy odmalowała się tkliwa zazdrość. - A Cecilia?

- Nie przyszła. Może zachorowała. Skąd mam wiedzieć? Nie przyszła i już.

Powiódł spojrzeniem po widzach, gdyż w tym momencie czuł się bardem - lub kuglarzem. Wytrzymał dobrze obliczoną pauzę.

- Dwa dni później don Tico przysłał po mnie i kiedy przed nim stanąłem, oznajmił, że Annibale Cantalamessa i Pio Bo zepsuli cały wieczór. Nie trzymali tempa, rozpraszali uwagę podczas pauz jakimiś żarcikami i błazeństwami, nie atakowali we właściwym momencie. „Alt - powiedział don Tico - to kręgosłup orkiestry, jest jej rytmicznym sumieniem, duszą. Orkiestra to stado, instrumenty owce, dyrygent jest pastierzem, alt zaś wiernym i warczącym psem, który utrzymuje porządek w stadzie. Dyrygent patrzy przede wszystkim na alt i jeśli on jest mu posłuszny, za nim pójdą owce. Drogi Jacopo, muszę prosić cię o wielkie poświęcenie, wróć do altu i graj razem z tamtymi dwoma. Masz wycucie rytmu, będziesz trzymał ich krótko. Przysięgam, że jak tylko nauczą się grać samodzielnie, przejdziesz do trąbki”. Don Ticowi zawdzięczałem wszystko. Powiedziałem: tak. I przy okazji następnej gali trąbki wstały i zagrały wstęp do *Dobrej reguły*. W obecności Cecylia, która znowu zasiadła w pierwszym rzędzie. Ja pozostałem w cieniu jako jeden z altów. Jeśli chodzi o tamtych dwóch nędzników, nigdy nie osiągnęli samodzielności. Nie przeszedłem do trąbki. Skończyła się wojna, wróciłem do miasta, porzuciłem instrumenty dęte i nigdy nie dowiedziałem się nawet, jakie nazwisko nosi Cecilia.

- Co za okropny pech! - powiedziała Lorenza, obejmując jego ramiona. - Na szczęście masz teraz mnie.

- Myślałem, że lubisz saksofony - rzekł Belbo. Potem obrócił odrobinę głowę i pocałował Lorenzę w rękę. Znowu przybrał poważny wyraz twarzy. - Do roboty, mamy przygotować historię przyszłości, nie zaś kronikę straconego czasu.

Wieczorem świętowaliśmy hucznie zniesienie prohibicji. Wyglądało na to, że Jacopo zapomniał o elegijnych nastrojach, gdyż stanął w szranki z Diotallevim. Wymyślali absurdalne maszyny i zaraz spostrzegali, że ktoś już je wynalazł. O północy, po dniu pełnym wrażeń, wszyscy doszli do wniosku, że trzeba spróbować, jak się śpi wśród wzgórz.

Położyłem się w starym pokoju, w pościeli jeszcze wilgotniejszej, niż była po południu. Jacopo nalegał, by najpierw skorzystać z klechy, tej owalnej ramy, która utrzymuje przykrycie uniesione i pod którą wsuwa się szkandełę z węglami - pewnie chciał, byśmy skosztowali wszystkich rozkoszy tu-tejszego życia. Jeśli jednak wilgoć przesiąkła głęboko, klecha tylko wyciąga ją na zewnątrz, człowiek czuje rozkoszne ciepło, ale pościel robi wrażenie zupełnie mokrej. Cierpliwości. Zapaliłem lampę z frędzlastym abażurem, o którą przed śmiercią biły skrzydełkami jętki, jak pisze poeta. Starłem się sprowadzić senność, pogrążając się w lekturze gazety.

Ale przez godzinę albo dwie słyszałem kroki na korytarzu, odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi, a wreszcie po raz ostatni (ostatni, jaki słyszałem) ktoś trzasnął drzwiami. Lorenza Pellegrini wystawiała na próbę nerwy Belba.

Już zasypiałem, kiedy ktoś zaskrobał w moje drzwi. Nie potrafiłem rozpoznać, czy to jakieś zwierzę (ale nie wi-

działem tu psów ani kotów), i miałem uczucie, że jest to zaproszenie, żądanie, wabienie. Może to Lorenza, świadoma, że Belbo ją obserwuje. Zawsze uważałem Lorenzę za własność Belba - a zresztą, odkąd miałem Lię, stałem się niewrażliwy na inne fascynacje. Szelmowskie, często porozumiewawcze spojrzenia, jakie Lorenza, szukając sprzymierzeńca albo świadka, posyłała mi czasem w biurze albo barze, kiedy żartowała z Belba, mieściły się - tak przynajmniej uważałem - w konwencji gry towarzyskiej, a ponadto taka już była, że na każdego spoglądała z miną, jakby rzucała wyzwanie jego miłosnym talentom, lecz robiła to w pewien szczególny sposób, niemal mówiąc: „Chcę cię, aby ci pokazać, że się boisz”. Tego wieczoru, wsłuchując się w drapanie paznokci o lakier drzwi, doznałem innego uczucia: uświadomiłem sobie, że pragnę Lorenzy.

Nakryłem głowę poduszką i starałem się myśleć o Lii. Chcę mieć dziecko z Lią - mówiłem sobie. I natychmiast kupię mu (albo jej) trąbkę, jak tylko będzie umiał w nią zadąć.

Pod co trzecim drzewem, po obu jego stronach, jest zawieszona latarnia i zachwycająca dziewczica, ona także w błękitnej szacie, zapala ją cudowną pochodnią, a ja przystaję dłużej niż to niezbędne, podziwiając zjawisko o niewysłowionym uroku.

Johann Valentin Andreae, *Die Chymische Hochzeit des Christian Rosencreutz*, Zetzner, Strassburg 1616, 2, s. 21

Koło południa zjawiała się na tarasie Lorenza i oświadczyła nam z uśmiechem, że znalazła świetny pociąg, który odjeżdża z \*\*\* o dwunastej trzydzieści i którym z jedną zaledwie przesiadką dojedzie po południu do Mediolanu. Zapytała, czy odprowadzimy ją na stację.

Belbo, nie odrywając wzroku od notatek, powiedział:

- Zdaje się, że Agliè czeka również na ciebie, a ponadto mam wrażenie, że całą tę wyprawę zorganizował wyłącznie na twoją cześć.

- Tym gorzej dla niego - oznajmiła Lorenza. - Kto mnie odprowadzi?

Belbo wstał i powiedział:

- Zaraz wracam. Potem będziemy mogli zostać tutaj jeszcze dwie godzinki. Miałaś jakąś torbę?

Nie wiem, czy rozmawiali po drodze na stację. Belbo wrócił po dwudziestu minutach i bez słowa komentarza wziął się do pracy.

O drugiej znaleźliśmy przyjemną restaurację na rynku, a wybieranie dań i win dało Belbowi okazję do wspomnienia innych wydarzeń z dzieciństwa. Ale mówił tak, jakby cytował biografię jakiejś innej osoby. Po południu ruszyliśmy na spotkanie z Aglièm i Garamondem.

Belbo skręcił na południowy zachód; widok zmieniał się teraz z każdym przejechanym kilometrem. Wzgórza w \*\*\* nawet późną jesienią nadawały pejzażowi delikatność i słodycz; horyzont stawał się coraz rozleglejszy, chociaż z za każdego zakrętu wyłaniały się wierzchołki, na których przycupnęły jakieś wioski. Ale między jednym a drugim wierzchołkiem otwierały się bezkresne horyzonty – dalsze niż płot, jak zauważył Diotallevi, który sumiennie ujmował w słowa nasze spostrzeżenia. Kiedy jechaliśmy na trzecim biegu pod górę, za każdym zakrętem otwierały się ogromne, nieprzerwane i faliste przestrzenie, które gdzieś na granicy równiny rozciągały się w prawie już zimowej mgle. Wydawało się, że to równina pofałdowana wydmami, a byliśmy w samym środku gór. Jakby dłoń niezdarnego demiurga wgniotła szczyty, które wydały mu się za wyniosłe, przeobrażając je w wyboistą miazgę sięgającą morskiego brzegu albo bardziej stromych i wyrazistych łańcuchów górskich.

Dojechaliśmy do wsi, gdzie w barze na głównym placu mieliśmy się spotkać z Aglièm i Garamondem. Kiedy okazało się, że nie ma z nami Lorenzy, Agliè, jeśli nawet był zawieszony, nie dał tego po sobie poznać.

– Nasza znakomita znajoma nie chce uczestniczyć z innymi w misteriach, które ją określają. Szczególna wstydlivość, którą doceniam – oznajmił. I to było wszystko.

Jechaliśmy – mercedes Garamonda z przodu, renault Belba z tyłu – dolinami i wzgórzami, aż do miejsca, gdzie w słabnącym świetle słońca ukazała się na wzgórzu dziwna żółta budowla, rodzaj osiemnastowiecznego zamku, od którego odchodziły, jak mi się wydawało z daleka, tarasy, bujnie, mimo pory roku, ukwiecone i zadrzewione.



U stóp wzgórza znaleźliśmy się na placyku, gdzie parkowało już dużo aut.

- Tutaj zostawimy samochody - powiedział Agliè. - Dalej pójdziemy pieszo.

Zmierzch przechodził już w ciemność. Droga była widoczna w świetle mnóstwa lampek palących się na zboczu.

Osobliwa rzecz, ale o wszystkim, co zdarzyło się od tego momentu aż do późnej nocy, zachowałem wspomnienie jasne i jednocześnie chaotyczne. Przypomniałem sobie potem, ukryty w peryskopie, ten wieczór i dostrzegałem jakieś rodzinne podobieństwo między dwoma przeżyciami. Oto - mówiłem sobie - jestem teraz tutaj, znalazłem się w sytuacji nienormalnej, zamroczony niewyczuwalną stęchlizną starego drewna, i boję się, że przebywam w grobowcu albo we wnętrzu jakiegoś naczynia, w którym dokonuje się transformacja. Gdybym tylko wytknął głowę poza kabinę, ujrzałbym w półmroku, że przedmioty, które dzisiaj widziałem nieruchome, poruszają się niby cienie eleuzyńskie wśród oparów oczarowania. I taki był wieczór w zamku: światła, niespodzianki po drodze, zasłyszane słowa, a później z pewnością woń kadzideł - wszystko zmówiło się, by mnie przekonać, że to sen, ale odbiegający od normy, jak wtedy, gdy ktoś śni swój własny sen i wie, że za chwilę się obudzi.

Powinienem nie pamiętać niczego. A jednak pamiętam wszystko, lecz tak, jakbym nie ja to przeżył, jakby zostało mi opowiedziane.

Nie wiem, czy to, co przypominam sobie z tą chaotyczną wyrazistością, wydarzyło się naprawdę, czy też tylko pragnąłem, aby się wydarzyło, ale z całą pewnością tego właśnie wieczoru ukształtował się w naszych umysłach Plan -

z potrzeby nadania jakiegokolwiek formy nieforemnemu przeżyciu, przeobrażając w fantastyczną rzeczywistość tę fantazję, którą ktoś chciał uczynić rzeczywistością.

- Szlak, którym idziemy, ma charakter rytualny - mówił Agliè. - Są to ogrody wiszące, takie same albo prawie takie same jak te, które Salomon de Caus zaprojektował dla Heidelbergu, to znaczy dla elektora palatyńskiego, Fryderyka V, w wielkim wieku różokrzyżowców. Światła jest niewiele, ale tak ma być, gdyż lepiej jest przeczuwać niż wiedzieć. Nasz amfitrion nie odtworzył wiernie zamysłu Salomona de Caus, lecz ścieśnił go na skromniejszej przestrzeni. Ogrody Heidelbergu naśladują makrokosmos, a ten, kto je odtworzył tutaj, naśladował jedynie mikrokosmos. Widzicie, panowie, tę grootę *en rocaille*... Jest bardzo dekoracyjna, to pewne. Lecz de Caus miał na uwadze ten emblemat z *Atalanta Fugiens* Michaela Maiera, gdzie koral jest kamieniem filozoficznym. De Caus wiedział, że poprzez formę ogrodów można wpływać na ciała niebieskie, gdyż są w ogrodach znaki, które swoją konfiguracją odtwarzają harmonię wszechświata...

- Fenomenalne - oświadczył Garamond. - Ale w jaki sposób ogród wpływa na ciała niebieskie?

- Są takie znaki, które skłaniają się jedne ku drugim, które patrzą jedne na drugie i które biorą się w ramiona, przymuszają do miłości. I nie mają, nie mogą mieć, formy określonej. Każdy, zależnie od tego, czy narzuca swą namiętność, czy poryw ducha, doświadcza określonych sił, jak to się dzieje z hieroglifami Egipcjan. Relacje między nami a istotami boskimi mogą mieć miejsce jedynie poprzez pieczęcie, symbole, litery i obrzędy. Z tej samej przyczyny bóstwa przemawiają do nas wyłącznie przez sny i zagadki.

I tak jest właśnie z tymi ogrodami. Każdy aspekt tego tarasu odtwarza jedną tajemnicę sztuki alchemicznej, ale niestety nie potrafimy jej już odczytać, podobnie zresztą jak nasz gospodarz. Osobliwe oddanie dla tajemnicy, zgodzą się panowie, w tym człowieku, który wydaje wszystko, co zgromadził przez lata, by kreślić ideogramy, choć nie zna ich sensu.

W miarę jak przechodziliśmy coraz wyżej z tarasu na taras, zmieniało się oblicze ogrodów. Niektóre miały kształt labiryntu, inne figury emblematycznej, przy czym rysunek tarasów niższych można było obejrzeć z wyższych, tak że zobaczyłem w dole wzór korony i wiele innych regularności, których nie mogłem widzieć, kiedy tamtędy przechodziliśmy, a których tak czy owak nie umiałem rozszyfrować. Kiedy się szło między żywopłotami, każdy taras odsłaniał, wskutek działania prawa perspektywy, jakiś obraz, ale patrząc z tarasu wyższego, doznawało się nowych objawień, czasem nawet odmieniających znaczenie na przeciwne, i tak każdy stopień tych schodów przemawiał w tym samym momencie dwoma różnymi językami.

Znajdowaliśmy się coraz wyżej i teraz mieliśmy przed oczami małe budowle. Oto jakaś fontanna o kształcie fallicznym, która ukazywała się pod jakby łukiem czy małym portykiem, wraz z Neptunem deptającym węża, jakaś brama z kolumnami kojarzącymi się niejasno z Asyrią i znowu łuk o trudnym do określenia kształcie, coś jakby spiętrzone trójkąty i wielokąty, przy czym na każdym wierzchołku znajdowała się figurka zwierzęcia, łosia, małpy, lwa...

- I to wszystko służy objawieniu czegoś? - spytał Garmond.

- Bezsprzecznie! Wystarczyłoby przeczytać *Mundus Sym-*

*bolicus* Picinello, którego Alciato antycypował z osobliwym szaleństwem profetycznym. Cały ogród można odczytać jako księgę albo czarowanie, co w końcu na jedno wychodzi. Gdybyście, panowie, umieli wypowiedzieć ściszym głosem słowa, które wypowiada ogród, mielibyście władzę rządu jedną z niezliczonych sił działających w świecie podlunarnym. Ogród to maszyna do władania nad światem.

Pokazał nam jedną z grot. Chorobliwa gmatwanina wodorostów i szkieletów morskich stworów, nie wiadomo – prawdziwych, z gipsu czy z kamienia... Dostrzegało się niewyraźne zarysy najady splecionej w uścisku z bykiem o pokrytym łuskami ogonie wielkiej ryby biblijnej, spoczywającej w strumieniu wody, co wypływała z konchy, którą tryton trzymał w łapach niby amforę.

– Chciałbym, abyście uchwycili, panowie, głębokie znaczenie tego, co w innym razie byłoby tylko banalną wodną igraszką. De Caus wiedział doskonale, że jeśli weźmie się naczynie, napełni wodą i zamknie od góry, to nawet po wywierceniu otworu w dnie woda nie wypłynie. Jeśli jednak wykona się otwór również od góry, woda będzie wypływać, a raczej tryskać.

– Czy nie jest to oczywiste? – spytałem. – W tym drugim przypadku od góry dostaje się do naczynia powietrze, które pcha wodę w dół.

– Przedstawia pan typowe wyjaśnienie naukowe, w którym bierze się przyczynę za skutek albo odwrotnie. Nie powinien pan się zastanawiać, dlaczego w drugim przypadku woda wypływa. Powinien pan się zastanawiać, dlaczego nie chce wypływać w pierwszym.

– A dlaczego nie chce? – spytał z niepokojem Garamond.

- Bo gdyby wypłynęła, w naczyniu wytworzyłaby się próżnia, a natura nie znosi próżni. *Nequaquam vacui*, to była zasada różokrzyżowców, o której zapomniała nowożytna nauka.

- Imponujące - oświadczył Garamond. - Casaubon, przypominam panu, takie sprawy należy uwypuklać w naszej cudownej historii metali. I proszę nie mówić, że woda nie jest metalem. Potrzeba nam odrobiny fantazji.

- Przepraszam - zwrócił się Belbo do Agliègo - ale pan podał argument *post hoc ergo ante hoc*. Potem, więc skutek tego.

- Nie należy w rozumowaniu posługiwać się sekwencjami liniowymi. Przecież woda w tych fontannach tego nie czyni. Nie czyni tego natura, gdyż nie zważa na czas. Czas to wynalazek zachodni.

Po drodze spotykaliśmy innych gości. Na widok niektórych Belbo trącał łokciem Diotalleviego, ten zaś komentował to półgłosem: „No tak, *facies hermetica*”.

Wśród pielgrzymów o *facies hermetica* natknąłem się na pana Salona, trochę na uboczu, z wyrazem surowej pobłażliwości na twarzy. Uśmiechnąłem się, odwzajemnił mój uśmiech.

- Zna pan Salona? - spytał Agliè.

- A pan? - odpowiedziałem pytaniem. - W moim przypadku to nic nadzwyczajnego, mam biuro w sąsiedztwie jego pracowni. Co pan o nim myśli?

- Mało go znam. Niektórzy godni zaufania przyjaciele utrzymują, że jest konfidentem policji.

Oto dlaczego Salon wiedział o Garamondzie i Ardentim. Jakie są związki Salona z De Angelisem? Ograniczyłem się

jednak do zadania Agliemu jeszcze jednego pytania:

- Co konfident policji robi na takim przyjęciu?

- Konfidenci policji - odparł Agliè - chodzą wszędzie.

Każda sposobność jest dobra, byleby dało się zmyślić jakąś informację. Z policją jest tak, że im więcej się wie lub okazuje, że wie, tym większą ma się władzę. I nie ma znaczenia, czy chodzi o prawdę. Ważne jest, proszę zauważyć, żeby mieć jakąś tajemnicę.

- Ale czemu zaprasza się tu Salona?

- Mój przyjacielu, zapewne dlatego, że nasz gospodarz postępuje według tej złotej reguły mądrościowej, która powiada, iż każdy błąd może być nośnikiem zapoznanej prawdy. Prawdziwy ezoteryzm nie lęka się przeciwnieństw.

- Chce pan powiedzieć, że w ostatecznym rachunku wszyscy oni są między sobą zgodni.

- *Quod ubique, quod ab omnibus et quod semper*. Wtajemniczenie to odkrywanie filozofii wiecznotrwałej.

Tak filozofując, dotarliśmy na szczyt tarasów i znaleźliśmy się na początku ścieżki wiodącej przez rozległy ogród ku wejściu do pałacyku czy zameczku. W świetle pochodni większej od innych, osadzonej na kolumnie, ujrzeliśmy dziewczynę w błękitnej, usianej złotymi gwiazdami sukni, trzymającą w ręku fanfarę, jakiej w operze używają heroldowie. Dziewczyna miała umocowane do ramion dwa wielkie białe skrzydła ozdobione migdałowymi kształtami z zaznaczonym pośrodku punktem, tak że przy odrobinie dobrej woli można je było uznać za oczy - zupełnie jak w kościelnych misteriach, w których aniołowie występują w piórach z bibułki.

Ujrzeliśmy profesora Camestresa, jednego z pierwszych diabolistów, jacy odwiedzili nas u Garamonda, przeciwnika

Ordo Templi Orientalis. Rozpoznaliśmy go z trudem, gdyż zamaskował się w sposób, który nam wydał się osobliwy, ale Agliè określił jako stosowny do okoliczności: owinął się w białą płócienną płachtę i ściągnął ją czerwoną wstążką krzyżującą się na piersi i plecach, a na głowę włożył osobliwy kapelusz w stylu siedemnastowiecznym z czterema czerwonymi różami. Ukląkł przed dziewczyną z trąbą i wypowiedział kilka słów.

- Zaiste - powiedział Garamond - są rzeczy na ziemi i w niebie...

Przeszliśmy pod ozdobnym portalem, który nasunął mi na myśl cmentarz Staglieno. Na górze, nad skomplikowaną neoklasyczną alegorią, ujrzałem wyryte słowa: CONDOLEO ET CONGRATULOR.

W środku liczni goście tłoczyli się z ożywieniem przy bufecie urządzonym w westybulu, z którego dwoje schodów prowadziło na wyższe piętra. Zauważyłem inne znajome twarze, a wśród nich Bramantiego i - ku naszemu zdumieniu - komandora De Gubernatis, NWA oskubanego już przez Garamonda, choć być może niepostawionego jeszcze przed okropną perspektywą uratowania wszystkich egzemplarzy swego arcydzieła przed zmieleniem, gdyż wybiegł mojemu pryncypałowi na spotkanie, okazując mu szacunek i wdzięczność. Natomiast żeby okazać szacunek Aglièmu, wystąpił z tłumu jakiś drobniutki facet o rozegzaltowanych oczach. Po wyraźnie francuskim akcencie poznaliśmy Pierre'a, którego podsłuchiwalismy przez kotarę gabinetu Agliègo, kiedy oskarżał Bramantiego o rzucanie uroków.

Podszedłem do bufetu. Stały na nim karafki z kolorowymi płynami, których jednak nie udało mi się zidentyfikować. Na-

lałem sobie jakiegoś żółtego napitku, który robił wrażenie wi-  
na; nie był zły, smakował jak stary likier i z całą pewnością  
zawierał alkohol. Być może czegoś do niego dolano, bo  
zaczęło mi się kręcić w głowie. Wokół mnie tłoczyły się *facies*  
*hermeticae*, a obok nich surowe oblicza prefektów w stanie  
spoczynku: chwyciłem strzępy rozmów...

- W pierwszej fazie powinieneś osiągnąć komunikację  
z innymi umysłami, a potem rzutować na inne istoty myśli  
i obrazy, napełniać miejsca stanami emocjonalnymi, zyskać  
władzę nad królestwem zwierząt. W trzecim etapie spróbuj  
projekcji swojego sobowtóra w dowolny punkt przestrzeni:  
bilokacja, jak u jogów, powinieneś ukazać się jednocześnie  
w kilku różnych postaciach. Następnie chodzi o przejście do  
wiedzy ponadmysłowej esencji roślinnych. A wreszcie  
spróbuj dyslokacji, rzecz w tym, żeby opanować telluryczną  
spójność ciała, roztopić się w jednym miejscu i ukazać w in-  
nym, integralnie... powtarzam... nie zaś po prostu jako so-  
bowtór. Ostatnie stadium, przedłużenie bytowania fizyczne-  
go...

- A nieśmiertelność...

- Nie od razu.

- No a ty?

- Potrzebna jest do tego koncentracja. Nie będę przed  
tobą ukrywał, że jest to wyczerpujące. Widzisz, nie mam już  
dwudziestu lat...

Odnalazłem moje towarzystwo. Wchodzili właśnie do ja-  
kiegoś pokoju o białych ścianach i zaokrąglonych kątach.  
W głębi, niby w Musée Grévin - lecz obrazem, jaki wyłonił  
się owego wieczoru w moim umyśle, był ołtarz, który wi-



działem w Rio w namiocie *umbanda* - dwie woskowe figury prawie naturalnej wielkości, ubrane w skrzącą się tkaninę, przywodzącą na myśl tandetne rekwizyty teatralne. Jedna z figur przedstawiała damę na tronie, okrytą nieskazitelną lub prawie nieskazitelną szatą, która usiana była pajetkami. Nad nią zwieszały się na drutach jakieś stworzenia o nieokreślonym kształcie, które wyglądały jak wykonane z organ-dyny. Ustawiony w kącie wzmacniacz wydawał z siebie muzykę odległych trąb, być może jakiś utwór Gabrielego, i trzeba przyznać, że przynajmniej to urządzenie było wysokiej jakości, toteż efekt dźwiękowy był w lepszym guście niż wizualny. Po drugiej stronie, obok pozłocistej wagi, znajdowała się druga figura kobieca, odziana w karmazynowy aksamit, przepasana białą wstęgą, z laurowym wieńcem na głowie. Agliè objaśniał nam, co do czego nawiązuje, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że słuchałem go w skupieniu. Interesował mnie wyraz twarzy licznych gości, którzy przechodzili od figury do figury, okazując szacunek i wzruszenie.

- Nie różnią się niczym od tych, którzy chodzą do kościoła, żeby zobaczyć Madonnę w karmazynowej sukni pokrytej srebrnymi sercami - powiedziałem, zwracając się do Belba. - Może myślą, że to Matka Chrystusa z krwi i ciała? Nie, ale też nie mają poglądu odwrotnego. Delektują się podobieństwem, to, co widzą, odbierają jak wizję, a wizję jak rzeczywistość.

- Tak - odparł Belbo - ale problem nie polega na tym, żeby wiedzieć, czy ci tutaj są lepsi albo gorsi od tych, którzy przychodzą do kościoła. Zastanawiam się, kim jesteśmy my. My, którzy uważamy Hamleta za kogoś bardziej rzeczywistego niż nasz dozorca. Czy mam prawo ich osądzić, ja, który

krążę po świecie, szukając madame Bovary, by urządzić jej scenę?

Diotallewi potrząsał głową i mówił ściszym głosem, że nie powinno się sporządzać wizerunków rzeczy boskich i że wszystkie one są epifanią złotego cielca. Ale bawił się wyśmienicie.

Dlatego alchemia jest niewinną nierządnicą, która ma licznych kochanków, lecz wszystkich zwodzi i żadnemu nie pozwala wziąć się w objęcia. Zamienia głupców w wariatów, bogatych w nędzarzy, filozofów w durniów, a oszukanych w złotoustych oszustów...

Tritemiusz, *Annalium Hirsaugensium Tomus II*,  
S. Gallo, 1690, 225

Nagle salę ogarnął półmrok, natomiast rozświetliły się ściany. Dopiero teraz zauważyłem, że są w trzech czwartych zakryte półokrągłym ekranem, na który rzucać się będzie obrazy. Kiedy się pojawiły, uświadomiłem sobie, że część sufitu i posadzki jest z jakiegoś materiału odbijającego światło i że pewne przedmioty, które poprzednio uderzyły mnie swoją chropowatością, pajetki, waga, tarcza, kilka miedzianych czasz, także odbijają światło. Byliśmy jakby zanurzeni w wodnym środowisku, gdzie obrazy mnożyły się, dzieliły na segmenty, zlewały z cieniami obecnych, gdzie posadzka odbijała się na ścianach. Wraz z muzyką niosły się po sali delikatne zapachy, z początku hinduskie kadzidła, później jakieś inne wonie, mniej wyraziste, czasem nieprzyjemne.

Najpierw półmrok przeszedł łagodnie w całkowitą ciemność, potem dało się słyszeć jakieś lepkie bulgotanie, kipienie lawy; znaleźliśmy się w kraterze, gdzie mroczna i kleista materia kłębiła się w przerywanym blasku żółtych i niebieskawych oparów.

Jakaś tłusta i mazista ciecz parowała, by po chwili opaść z powrotem na dno jako rosa albo deszcz, i ze środka dobywał się smród zgnilizny, stęchlizny, pleśni. Wdychałem wyziewy *sepulcrum*, Tartaru, mroków, oblepiała mnie od środka jakaś zjadliwa ropa przepływająca między jęzorami gnoju,

kompost, miał węglowy, błoto, krew miesięczkowa, dym, ołów, łajno, kora, szumowiny, nafta, czerń czarniejsza od czerni, która jednak teraz się rozjaśniała, byśmy mogli zobaczyć dwa gady – błękitnego i czerwonego – splecione jakby w miłosnym uścisku, kęsające sobie wzajemnie ogony, tworzące jakąś jedną kolistą figurę.

Czułem się, jakbym ponad miarę opił się alkoholu, nie widziałem już moich towarzyszy, przepadli gdzieś w półmroku, nie rozpoznawałem postaci, które prześlizgiwały się obok mnie, i postrzegałem je jako sprośne i płynne szablony... W tym momencie poczułem, że ktoś mnie chwyta za rękę. Wiem, że tak być nie mogło, ale nie ważyłem się odwrócić, aby nie odkryć, iż się mylę. Lecz wyczuwałem zapach Lorenzy i dopiero w tym momencie zrozumiałem, jak bardzo jej pragnę. To musiała być Lorenza. Przyszła tu, by podjąć ten dialog złożony z szelestów, drapania paznokciami o drzwi, ten dialog, którego nie dokończyła poprzedniego wieczoru. Zdawało się, że siarka i merkuriusz łączą się, wytwarzając wilgotne ciepło, od którego pulsowało mi, lecz bez gwałtowności, w pachwinie.

Czekałem na Rebis, androginiczne dziecko, sól filozoficzną, ukoronowanie dzieła w kolorze białym.

Zdawało mi się, że wiem wszystko. Być może umysł wydobywał na powierzchnię lektury z ostatnich miesięcy, być może Lorenza przekazywała mi swoją wiedzę dotknięciem ręki i dlatego czułem, że jej dłoń jest odrobinę spocona.

I zauważyłem, że szepczę odległe imiona, imiona, jakie filozofowie z pewnością nadali Bieli, ale którymi ja – być może – przywoływałem bojaźliwie Lorenzę, sam nie wiem, gdyż nie mogłem wykluczyć, że przepowiadałem je sobie jako

przebłagalną litanie: Biała Miedzi, Baranku bez Skazy, Aibastest, Alborach, Wodo Święcony, Merkuriuszu Oczyszczony, Aurypigmentie, Azoch, Baurach, Cambar, Caspa, Cerusa, Świeco, Chaia, Comerisson, Elektronie, Eufracie, Ewo, Fada, Wietrzyku od Zachodu, Fundamencie Sztuki, Cenny Kamieniu Givinis, Diamencie, Zibach, Ziva, Zasłono, Narcyzie, Lilio, Hermafrodyto, Hae, Hipostazo, Hyle, Mleko Dziewicy, Kamieniu Jedyny, Księżycu w Pełni, Matko, Oliwo Żywa, Strąku, Jajo, Flegmo, Punkcie, Pierwiastku, Soli Natury, Ziemio Liściasta, Tevos, Tincar, Paro, Gwiazdo Wieczorna, Wietrze, Megiero, Szkło Faraona, Uryno Dziecka, Sępie, Placento, Krwi Miesiączkowa, Sługo Zbiegły, Lewa Ręko, Spermometali, Duchu, Cyno, Soku, Siarko Mazista...

W smole, teraz szarawej, zaczął się rysować widnokrąg skał i wyschłych drzew, za którymi zachodziło czarne słońce. Potem rozbłysło prawie oślepiające światło i ukazały się błyszczące obrazy, które odbijały się wszędzie, wytwarzając efekt kalejdoskopu. Rozeszły się teraz wonie liturgiczne, kościelne, rozboleła mnie głowa, poczułem jakby ciężar na czole, ujrzałem ociekającą przepychem salę ze złocistymi arrasami, może trwała uczta weselna, panem młodym był książę, panna młoda w bieli, dalej stary król i królowa na tronach, obok nich wojownik i jeszcze jeden król, czarnoskóry. Przed królem małeńki ołtarzyk, na którym położono okrytą czarnym aksamitem księgę i ustawiono kandelabr z kości słońskiej. Obok kandelabru - wirujący globus i zegar z umieszczoną na wierzchu kryształową fontanną, z której tryskał jakiś płyn koloru krwi. Na fontannie leżała chyba czaszka, z oczodołów wypełzał biały wąż...

Lorenza szeptała mi do ucha słowa lekkie jak tchnienie.

Nie słyszałem jednak jej głosu.

Wąż poruszał się w takt smutnej i powolnej muzyki. Starzy monarchowie przebierali się teraz w czarne suknie i stawiano przed nimi sześć zamkniętych trumien. Rozległo się kilka posępnych dźwięków tuby basowej i ukazał się mężczyzna w czarnym kapturze. Najpierw odbyła się uroczysta egzekucja, przeprowadzona jakby w zwolnionym tempie, przy czym król godził się na nią z jakąś żalosną radością, posłusznie skłaniając głowę. Potem zakapturzony mężczyzna zamachnął się toporem, ostrze zakreśliło błyskawicznie wahadłowy tor, cios ostrza uległ pomnożeniu przez każdą z błyszczących powierzchni, a w każdej z tych powierzchni przez każdą z powierzchni, i potoczyło się tysiąc głów; i od tego momentu następowały po sobie obrazy, których treści nie byłem już w stanie śledzić. Zdaje mi się, że stopniowo wszystkie osoby, z czarnoskórym królem włącznie, zostały ścięte i złożone w trumnach, a potem cała sala zmieniła się w brzeg morza albo jeziora i ujrzeliśmy, jak cumuje sześć oświetlonych okrętów, na które przeniesiono trumny, i okręty odpłynęły po zwierciadle wodnym, roztapiając się w ciemności, a w tym czasie zapachy kadzideł stały się namacalne, gdyż przybrały postać gęstych oparów, przez chwilę bałem się, że jestem wśród skazańców, i wiele osób dokoła mnie zaczęło szeptać: „Wesele, wesele...”

Straciłem kontakt z Lorenzą i dopiero teraz odwróciłem się, żeby wypatrzeć ją wśród cieni.

Sala stała się kryptą albo okazałym grobowcem o sklepieniu oświetlonym karbunkulem niezwykłych rozmiarów.

W każdym z rogów ukazały się niewiasty w dziewiczych sukniach, skupione wokół dwupoziomowego kotła-zameczku

z kamiennym cokołem-portykiem, robiącym wrażenie paleniska z dwiema bocznymi wieżami, z których wystawały dwa alembiki kończące się jajowatymi kolbami, i z trzecią wieżą, centralną, która kończyła się kształtem fontanny...

W cokole zameczku widać było ciała ściętych. Jedna z niewiast przyniosła szkatułkę, wyjęła z niej okrągły przedmiot, umieściła go nad cokołem, pod łukiem wieży centralnej, i natychmiast fontanna na szczycie zaczęła tryskać. Minął jakiś czas, zanim rozpoznałem ten przedmiot; była to głowa Murzyna, która płonęła niby bierwiono, doprowadzając do wrzenia wodę w fontannie. Opary, szmery, bulgotania...

Tym razem Lorenza położyła mi dłoń na karku i gładziła mnie tak, jak w samochodzie ukradkiem Belba. Przyszła niewiasta, niosąc złotą kulę; przekręciła kranik w palenisku cokołu i nabrała do kuli czerwonego gęstego płynu. Potem kula została otwarta i okazało się, że zamiast czerwonego płynu zawiera wielkie i piękne jajo, białe jak śnieg. Kobiety wyjęły je i złożyły na ziemi, na kupce żółtego piasku, a jajo otworzyło się i wyszedł z niego ptak, jeszcze nieforemny i ociekający krwią. Ale pojony krwią ściętych zaczął na naszych oczach rosnąć, aż stał się piękny i okazały.

Teraz ucinali głowę ptakowi i spalali go na popiół na małym ołtarzu. Ktoś ugniatał popiół, a potem wiano ciasto do dwóch form i wsunięto formy do pieca, dmuchając w ogień przez rurki. Na koniec otwarto formy i ukazały się dwie postacie, blade i pełne wdzięku, chłopiec i dziewczyna, nie więksi niż na cztery piędzi, delikatni i cieleśni jak istoty ludzkie, ale o oczach jeszcze szklistych, nieorganicznych. Położono ich na dwóch poduszkach i jakiś starzec poił ich po kropli krwią...

Zjawiły się kolejne niewiasty, z pozłocistymi trąbami ozdobionymi zielonymi wieńcami, i wręczyły jedną trąbę starcowi, który zbliżył ją do ust dwóch istot, zawieszonych jeszcze między roślinną omdlałością a słodkim snem zwierzęcym, by tchnąć duszę w ich ciała... Sala wypełniła się światłem, potem światło osłabło i zapanował półmrok, wreszcie zapadła całkowita ciemność, zakłócona jedynie przez pomarańczowe lampki, po czym zaczęła się sączyć jasność poranka i jednocześnie kilka trąb zagrało wysoko i przenikliwie, a wszystko ogarnęło rubinowe oślepiające światło.

Wszędzie rozlała się płomienista czerwień, która powoli słabła, przechodząc w indygo i fiolet, aż ekran zgasł. Ból głowy stał się nie do zniesienia.

- *Mysterium Magnum* - powiedział stojący obok Agliè, tym razem głośno i spokojnie. - Odrodzenie nowego człowieka przez śmierć i mękę. Muszę przyznać, że wykonanie było dobre, aczkolwiek upodobanie do alegorii wpłynęło może niekorzystnie na klarowność poszczególnych faz. To, co pan widział, było oczywiście przedstawieniem, to jasne, ale mówiącym o Sprawie. A nasz gospodarz utrzymuje, że on tę Sprawę wytworzył. Chodźcie, panowie, obejrzymy cud spełniony.



I jeśli rodzą się takie potwory, należy mniemać, iż są dziełem natury, chociaż wyglądają inaczej niż człowiek.

Paracelsus, *De Homunculis*, w: *Operum Volumen Secundum*,  
De Tournes, Genève 1658, s. 475

Wyprowadził nas do ogrodu i natychmiast poczułem się lepiej. Nie śmiałem zapytać, czy Lorenza rzeczywiście przyjechała. To był sen. Jednak po przejściu kilku kroków weszliśmy do cieplarni i duszne gorąco znowu mnie oszołomiło. Wśród roślin, przeważnie tropikalnych, stało sześć szklanych flaszek w kształcie gruszek albo łez, hermetycznie zamkniętych, opieczętowanych, pełnych niebieskiego płynu. W każdej unosiła się wysoka na jakieś dwadzieścia centymetrów istota. Rozpoznaliśmy siwowłosego króla, królową, Murzyna, wojownika i dwoje młodych uwieńczonych laurem, jedno błękitne, drugie czerwone... Poruszały się z wdziękiem, ruchem pływaków – jakby przebywały w swoim żywiole.

Trudno było rozstrzygnąć, czy to modele z plastiku, wosku, czy też żywe istoty, między innymi dlatego, że odrobinę mętny płyn nie pozwalał dojrzeć, czy ożywiający je lekki oddech jest złudzeniem optycznym, czy rzeczywistością.

- Zdaje się, że rosną z każdym dniem - rzekł Agliè. - Co rano naczynia zagrzebuje się w stosie świeżego nawozu końskiego, a więc ciepłego, zapewniającego temperaturę najstosowniejszą do wzrastania. Dlatego właśnie u Paracelsusa jest przepis mówiący, że homunkulusy należy hodować w temperaturze końskiego brzucha. Nasz gospodarz twierdzi, że te homunkulusy, rozmawiając z nim, zdradzają mu tajemnice, prorokują, jeden wyjawia prawdziwe wymiary

Świątyni Salomona, drugi opowiada, jak egzorcyzmować demony... Szczerze mówiąc, ja nigdy nie słyszałem, żeby mówiły.

Miały bardzo ruchliwe twarze. Król patrzył czule na królową i jego spojrzenie było pełne słodyczy.

- Nasz gospodarz wyznał, że któregoś ranka zobaczył, jak błękitny młodzieniec, który nie wiadomo jak wydostał się z więzienia, próbował odpieczętować naczynie swojej towarzyszki... Ale przebywał poza swoim żywiołem, oddychał z trudem i ledwie zdążyli go odratować, umieszczając z powrotem w płynie.

- Straszne - oznajmił Diotallevi. - Wcale nie chciałym ich mieć. Musiałbym wszędzie zabierać ze sobą naczynie i szukać nawozu. Co robić z nimi latem? Zostawiać u dozorczy?

- Być może jednak - zamknął dyskusję Agliè - są tylko ludionami, diabełkami Kartezjusza. Albo automatami.

- Do diabła, do diabła - powiedział Garamond. - Pan, doktorze Agliè, objawia mi nowy świat. Wszyscy musimy nabrać większej pokory, drodzy przyjaciele. Są rzeczy na niebie i ziemi... Ale w końcu *à la guerre comme à la guerre...*

Garamond był po prostu olśniony. Diotallevi miał minę świadczącą o cynicznym zaciekawieniu, Belbo nie przejawiał żadnych uczuć.

Chciałem rozwiązać wszystkie swoje wątpliwości i zwracając się do niego, powiedziałem:

- Jaka szkoda, że nie było tu Lorenzy, świetnie by się bawiła.

- No tak - potwierdził z roztargnieniem.

Lorenza nie przyjechała. A ja byłem jak Amparo w Rio. Czułem się źle. Czułem się, jakby mnie oszukano. Nikt nie

podał mi *agogõ*.

Zostawiłem towarzystwo, wróciłem do budynku, przepchnąłem się przez tłum i wziąłem zimny napój z bufetu, chociaż bałem się, że może to być jakiś wywar. Zacząłem rozglądać się za toaletą, żeby obmyć sobie kark i skronie. Znalazłem ją i poczułem ulgę. Ale kiedy stamtąd wyszedłem, zaciekały mnie kręte schody i nie oparłem się pokusie nowej przygody. Być może, chociaż wydawało mi się, że doszedłem do siebie, nadal szukałem Lorenzy.

Biedny głupcze! Byłeś tak naiwny, by wierzyć, że przekazemy ci bez skrywania największe i najważniejsze tajemnice? Zapewniam cię, że jeśli ktoś spróbuje to, o czym piszą Filozofowie Hermetyczni, objaśnić wedle zwykłego i dosłownego sensu słów, rychło znajdzie się w meandrach labiryntu i nie zdoła się z niego wydostać, a nie będzie miał nici Ariadny, która zaprowadziłaby go do wyjścia.

Artefiusz

Trafiłem do jakiejś sali pod poziomem gruntu, skąpo oświetlonej, o ścianach *en rocaille*, podobnie jak fontanny w parku. W kącie dostrzegłem otwór w kształcie stożka tuby ściennej i już z daleka słyszałem dochodzące stamtąd jakieś dźwięki. Podeszedłem bliżej i dźwięki stały się wyraźniejsze, tak że doskonale rozumiałem słowa, czysto i wyraźnie, jakby były wypowiedane tuż obok. Ucho Dionizjusza!

Ucho najwidoczniej miało połączenie z jedną z górnych sal i chwyciło rozmowy tych, którzy przechodzili koło jego wlotu.

- Powiem pani coś, czego nie wyjawiałem jeszcze nikomu. Jestem zmęczony... Pracowałem z cynobrem, merkuriumem, sublimowałem alkohole, fermenty, sole żelaza, stali i ich szumowiny, ale nie znalazłem Kamienia. Potem przyrządziłem wody mocne, wody korodujące, wody gorejące, lecz wynik był ciągle ten sam. Używałem skorupki jaj, siarki, wiotriolu, arseniku, salmiaku, szkliwa solnego, soli alkalicznej, soli kuchennej, soli kamiennej, saletry potasowej, saletry chilijskiej, soli attincar, węglanu potasowego, soli alembrot, lecz proszę mi wierzyć, niech pani na nich nie polega. Trzeba unikać metali niedoskonałych, rubifikowanych, inaczej zawiedzie się

pani tak, jak zawiodłem się ja. Próbowałem wszystkiego, krwi, włosów, duszy Saturna, markazytów, *aes ustum*, szafranu marsowego, płatków i szumowin żelaza, litargitu, antymonu. Daremnie. Pracowałem nad pozyskaniem oliwy i wody ze srebra, prażyłem srebro bądź z solą preparowaną, bądź bez niej, a także z okowitą, i uzyskałem jedynie oleje korodujące, i to wszystko. Stosowałem mleko, wino, podpuszczkę, gwieźdną spermę spadającą na ziemię, jaskólcze ziele, placentę, mieszałem merkuriusza z metalami, doprowadzając je do stanu krystalicznego, szukałem nawet w popiołach... A wreszcie...

- Wreszcie?

- Nie ma na świecie rzeczy wymagającej większej oględności niż prawda. Wyjawić ją to jakby puścić sobie krew prosto z serca...

- Och, nie, nie, przez pana cała płonę...

- Jedynie tobie ośmielam się powierzyć moją tajemnicę. Nie jestem z żadnej epoki ani z żadnego miejsca. Moja wieczna egzystencja trwa poza czasem i przestrzenią. Są istoty, które nie mają aniołów stróżów. Ja do nich należę...

- Ale dlaczego przyprowadziłeś mnie tutaj?

Jakiś inny głos:

- Drogi Balsamo, igramy z mitem nieśmiertelności?

- Głupcze! Nieśmiertelność nie jest mitem. To fakt.

Już miałem odejść, znudzony tą paplaniną, kiedy usłyszałem Salona. Mówił półgłosem, z napięciem, miałem wrażenie, jakby ciągnął kogoś za ramię. Rozpoznałem głos Pierre'a.

- Niech pan da spokój - mówił Salon. - Proszę mi nie

wmawiać, że pan także przyszedł tutaj z powodu tej alchemicznej błazenady. Że chciał pan zaczerpnąć świeżego powietrza w ogrodzie. Czy wie pan, że po Heidelbergu de Caus zgodził się na prośbę króla Francji zająć szorowaniem Paryża?

- *Les façades?*

- Nie był Malraux. Podejrzewam, że chodziło o ścieki. To ciekawe, prawda? Ten pan wymyślał symboliczne pomarańczarnie i sady jabłoniowe dla władców, ale w istocie interesowały go podziemia Paryża. W tamtych czasach nie było jeszcze w Paryżu prawdziwej sieci kanalizacyjnej, tylko płątanina kanałów na powierzchni i podziemne tunele, o których bardzo mało wiedziano. Rzymianie już w czasach republiki wiedzieli wszystko o swojej *cloaca maxima*, a tysiąc pięćset lat później w Paryżu nikt nie ma zielonego pojęcia o tym, co mieści się pod ziemią. I de Caus przyjmuje zaproszenie króla, bo chce dowiedzieć się czegoś więcej. A czegoż to? Po nim Colbert postanawia oczyścić zakryte ścieki (był to tylko pretekst, gdyż proszę sobie przypomnieć, że chodzi o czasy Żelaznej Maski) i wysyła galerników, ci jednak wyruszają w rejs po rzece gnoju, płyną z prądem aż do Sekwany i oddalają się bez przeszkód w swojej łodzi, bo nikt nie śmie stawić czoła tym kreaturom otulonym niemożliwym do zniesienia smrodem i otoczonym przez roje much... Wtedy Colbert stawia przy każdym ujściu do Sekwany żandarmów i skazańcy umierają w podziemiach. W ciągu trzech wieków zdołano przykryć w Paryżu zaledwie trzy kilometry ścieków. Ale w osiemnastym wieku przykryto dwadzieścia sześć kilometrów, i to w przeddzień rewolucji. Czy to nic panu nie mówi?

- Och, wie pan, są to sprawy...

- Rzecz w tym, że do władzy doszli nowi ludzie, którzy wiedzą coś, o czym ich poprzednicy nie wiedzieli. Napoleon wysłała zespoły ludzi, którzy brną w mroku przez odpadki wielkiej metropolii. Jeśli w tamtych czasach ktoś zdobył się na to, żeby tam pracować, mógł niejedno znaleźć. Pierścionki, złoto, naszyjniki, klejnoty, które nie wiadomo w jaki sposób trafiły do ścieków. Mam na myśli ludzi, którzy mieli dostatecznie zdrowy żołądek, by przełknąć to, co znaleźli, a po wyjściu zażyć coś na przeczyszczenie i żyć dalej w dobrobycie. Odkryto, że wiele domów miało podziemne przejścia połączone ze ściekami.

- *Ça, alors...*

- W czasach, kiedy nieczystości wylewano przez okno? I dlaczego z tamtych czasów pozostały kanały mające boczne schody i wmurowane w ściany pierścienie, których można się przytrzymać? Te przejścia prowadziły do owych *tapis francs*, gdzie męty społeczne, *la pègre*, jak się wtedy mówiło, miały swoje meliny, bo w razie pojawienia się policji można się było tamtędy wymknąć i wyjść na światło dnia w zupełnie innym miejscu.

- Tandetna literatura...

- Czyżby? Kogo próbuje pan chronić? Za Napoleona III baron Haussmann ustawowo zobowiązuje wszystkich właścicieli domów w Paryżu do budowania niezależnych zbiorników i kanałów odprowadzających nieczystości do ogólnej sieci... Są to tunele o wysokości dwa metry trzydzieści i szerokości metr trzydzieści. Proszę tylko pomyśleć! Każdy dom w Paryżu jest połączony podziemnym tunelem ze ściekami. Czy wie pan, jaką długość mają dzisiaj paryskie kanały? Dwa

tysiące kilometrów w wielu poziomach. A wszystko zaczęło się od tego, który zaprojektował te ogrody w Heidelbergu...

- I co z tego?

- Widzę, że nie chce pan ze mną rozmawiać. Albo wie pan coś, czego nie chce mi powiedzieć.

- Proszę pana. Niechże da mi pan święty spokój. Pan mnie tu trzyma, a tam na mnie czekają, żeby rozpocząć zebranie.

Odgłos kroków.

Nie mogłem zrozumieć, o co chodzi Salonowi. Rozejrzałem się dokoła i wciśnięty tak między ścianę *en rocaille* a wylot tuby, miałem wrażenie, że ja także znalazłem się w podziemiach, pod sklepieniem, ów zaś przewód tonurgiczny prowadzi nie gdzie indziej, tylko do mrocznych tuneli schodzących do samego środka Ziemi, a rojących się od Nibelungów. Poczulem chłód. Już miałem stamtąd odejść, kiedy usłyszałem jeszcze jeden głos:

- Chodźmy. Zaraz zaczynamy. W tajnej sali. Zwołaj resztę.



Złotego Runa strzeże trójgłowy Smok, a jego pierwszy łeb wziął się z wody, drugi z ziemi i trzeci z powietrza. Jest konieczne, by te trzy łby zostały połączone w jednym przepotężnym Smoku, który pożre wszystkie inne Smoki.

Jean d'Espagnet, *Arcanum Hermeticae  
Philosophiae Opus*, 1623, 138

Odnalazłem moje towarzystwo. Powiedziałem Agliemu, że słyszałem, jak mówiono o jakimś zebraniu.

- Ach! - wykrzyknął Agliè. - Jesteśmy ciekawi! Ale rozumiem doskonale. Kiedy człowiek wnika w tajemnice hermetyczne, chce wiedzieć wszystko. O ile wiem, dzisiejszego wieczoru ma dojść do wtajemniczenia nowego członka Zakonu Różokrzyżowców Starożytnego i Uznanego.

- Czy można to zobaczyć? - spytał Garamond.

- Nie można. Nie należy. Nie powinno się. Nie potrzeba. Ale zrobimy jak ci bohaterowie greckiego mitu, którzy zobaczyli to, czego nie powinni byli oglądać, i stawimy czoło gniewowi bogów. Pozwolę panom rzucić okiem.

Wprowadził nas po schodkach do mrocznego korytarza, odsunął portierę i przez zamknięte oszklone drzwi mogliśmy zajrzeć do położonej niżej sali, oświetlonej w kilku miejscach żarzącymi się węglami. Ściany były pokryte adamaszkiem haftowanym w lilie, a w głębi stał tron ze złocistym baldachimem. Po obu stronach tronu, na dwóch trójnogach, umieszczono tekturowe albo plastikowe modele Słońca i Księżyca, dosyć prymitywnie wykonane, ale oklejone staniolem lub metalowymi blaszkami, naturalnie złotymi i srebrnymi, i dawało to nie najgorszy efekt, gdyż każde z dwóch ciał niebieskich było bezpośrednio podświetlone żarzącymi się węglami. Nad

baldachimem zwieszała się z sufitu ogromna gwiazda, lśniąca od klejnotów czy szkiełek. Sufit był zakryty błękitnym adamaszkiem usianym srebrzystymi gwiazdami.

Przed tronem stał długi, udekorowany palmami stół, na którym leżała szpada, a tuż przed stołem – wypchany lew z otwartą szeroko paszczą. Widocznie umieszczono mu we łbie czerwoną lampę, gdyż ślepia się jarzyły i miało się wrażenie, że z paszczy bucha płomień. Pomyślałem, że musi to być dzieło pana Salona, i uświadomiłem sobie, o jakich to szczególnych klientach napomknął owego dnia w Monachium.

Przy stole stał Bramanti wystrojony w szkarłatną suknię i zielone haftowane paramenty oraz białą pelerynę ze złotymi frędzlami: na piersi miał sypiący skrami krzyż, a na głowie kapelusz, który kształtem nawiązywał mgliście do infuły i był ozdobiony biało-czerwonym pióropuszem. Przed nim ustawiono w pełnym dostojęstwa szyku około dwudziestu osób, ubranych również w szkarłatne tuniki, ale bez paramentów. Wszyscy mieli na piersi coś złocistego i wydało mi się, że to coś rozpoznałem. Przypomniałem sobie renesansowy portret: wielki habsburski nochal i u pasa to osobliwe jagnię, któremu zwisają bezwładnie nogi. Ci ludzie przywdziewali przekonującą imitację Złotego Runa.

Bramanti przemawiał ze wzniesionymi ramionami, jakby recytując litanie, a obecni co jakiś czas odpowiadali chórem. Potem Bramanti uniósł szpadę, a wszyscy wydobyli spod tunik sztylety czy nożyki do przecinania kartek i też je unieśli. W tym momencie Agliè opuścił kotarę. Widzieliśmy już za dużo.

Oddaliliśmy się (krokiem Różowej Pantery, jak określił to

Diotallewi, doskonale poinformowany, jeśli chodzi o perwersje współczesnego świata) i nieco zadyszani, znaleźliśmy się z powrotem w ogrodzie.

Garamond był osłupiały.

- Czy to... masoni?

- Och - odparł Agliè. - Cóż oznacza termin „masoni”? Są to adepci pewnego zakonu rycerskiego, który powołuje się na różokrzyżowców, a pośrednio również na templariuszy.

- Ale chyba to wszystko ma jakiś związek z masonerią? - obstawał przy swoim Garamond.

- Jeśli ma to coś wspólnego z masonerią, to, jak pan widział, tyle, że również obrzęd Bramantiego stanowi hobby prowincjonalnych politykierów i ludzi wolnych zawodów. Tak jest od samego początku. Masoneria zawsze sprowadzała się do sterylnej spekulacji na temat templariuszy. Karykatura karykatury. Jednak ci panowie podchodzą do tego ze śmiertelną powagą. Niestety! Świat roi się od takich miłośników różokrzyżowców i templariuszy jak ci, których widzieliście, panowie, dzisiejszego wieczoru. Nie od nich można oczekiwać oświecenia, aczkolwiek właśnie wśród nich można czasem spotkać oświeconego godnego naszej wiary.

- Ale w końcu - rzekł Belbo, bez ironii, bez prowokacji, jakby to dotyczyło go osobiście - w końcu pan się z nimi spotyka. Komu wierzy... komu uwierzył pan... proszę mi wybaczyć... spośród nich wszystkich?

- Oczywiście nikomu. Czy wyglądam na człowieka łatwowiernego? Przyglądam się im chłodnym okiem, ze zrozumieniem, z zainteresowaniem, z jakim teolog może patrzeć na neapolitańskie tłumy, wrzeszczące w oczekiwaniu cudu świętego Januarego. Te tłumy są potwierdzeniem wiary,

głębokiej potrzeby, i teolog będzie krążył wśród tych spocynych i zaślinionych ludzi, ponieważ może spotkać wśród nich świętego, który sam siebie nie zna, nosiciela prawdy wyższego rzędu, który jest w stanie rzucić pewnego dnia nowe światło na tajemnicę Trójcy Świętej. Ale Trójca Święta to nie święty January.

Był nie do ugryzienia. Nie miałem pojęcia, jak zdefiniować jego hermetyczny sceptycyzm, jego liturgiczny cynizm, jego wzniosłe niedowiarstwo, które kazały mu uznawać dostojność każdego zabobonu, choć nim zarazem pogardzał.

- To proste - ciągnął swoją odpowiedź. - Jeśli templariusze, ci prawdziwi, pozostawili jakąś tajemnicę i ustanowili ciągłość, trzeba będzie wyruszyć na ich poszukiwanie w środowiskach, w których najłatwiej by im przyszło przybrać barwy ochronne, dla których sami być może wymyślili obrzędy i mity, by poruszać się niewidzialni jak ryba w wodzie. Co robi policja, kiedy szuka jakiegoś zbiega najwyższej klasy, geniusza zła? Węszy wśród mętów społecznych, w podejrzanych knajpach, gdzie zwykle kręcą się łotrzykowie drobnego kalibru, którzy nigdy nie wpadną na myśl popełnienia wielkiej zbrodni, jak ów poszukiwany. Co robi strateg terroru, by zwerbować zwolenników, nawiązać kontakt z podobnymi sobie, by ich rozpoznać? Krąży po lokalach uczęszczanych przez rzekomych burzycieli porządku, którzy są osobnikami zbyt małego formatu, aby cokolwiek zburzyć, a tylko stać ich na demonstracyjne naśladowanie stylu swoich idoli. Zagubionego światła szuka się wśród gorejących węgli lub w poszyciu leśnym, bo tam palono ognisko i maleńkie płomyki tlą się jeszcze pod suchymi gałęziami, torfem, nadpalonym listowiem. Gdzie więc najlepiej mógłby skryć się prawdziwy tem-

plariusz, jeśli nie w tłumie własnych karykatur?

Za stowarzyszenia druidyczne uważamy z definicji te stowarzyszenia, które określają się jako druidyczne w nazwie i celach oraz dokonują wtajemniczenia, odwołując się do druidyzmu.

M. Raoult, *Les druides. Les sociétés initiatiques celtes contemporaines*, Rocher, Paris 1983, s. 18

Zbliżała się już północ i zgodnie z programem Agliègo czekała nas druga niespodzianka wieczoru. Opuściliśmy pałatyńskie ogrody i podjęliśmy wędrówkę wśród wzgórz.

Po trzech kwadransach jazdy Agliè polecił zaparkować oba samochody na skraju zarośli. Trzeba przedrzeć się przez tę gęstwinę – oznajmił – żeby dotrzeć na polanę, i nie ma tutaj żadnej drogi ani ścieżki.

Szliśmy nieco pod górę, przedzierając się przez poszycie leśne. Nie było mokro, ale wyczuwaliśmy pod butami warstwę gnijących liści i oślizgłe korzenie. Agliè co jakiś czas zapalał latarkę, by odnaleźć w miarę dogodne przejście, ale zaraz ją gasił, gdyż – powiadał – nie należy sygnalizować naszej obecności uczestnikom ceremonii. Diotallevi spróbował w pewnym momencie wygłosić jakiś komentarz, nie pamiętam już jaki, być może wspomniał o Czerwonym Kapturku, lecz Agliè poprosił go z niejakim naciskiem, żeby zamilkł.

Kiedy już wychodziliśmy z krzaków, usłyszeliśmy odległe głosy. Dotarliśmy na skraj polany oświetlonej rozproszonym blaskiem – może łuczywami albo raczej światełkami falującymi tuż przy ziemi, wątlymi i srebrzystymi rozbłyskami – jakby płonęła jakaś lotna substancja, jednak chemicznie chłodna, w bańkach mydlanych unoszących się nad samą trawą. Agliè powiedział, żebyśmy tu stanęli, zasłonięci przez krzewy,

i czekali w ukryciu.

- Niebawem zjawią się kapłanki. Druidessy. Chodzi o wezwanie wielkiej dziewicy kosmicznej, Mikil... Święty Michał to jej ludowa przeróbka na potrzeby chrześcijaństwa i nie przypadkiem ów święty jest aniołem, a więc istotą androginiczną, która mogła zająć miejsce bóstwa żeńskiego...

- Skąd przybyły? - spytał szeptem Diotallevi.

- Z różnych miejsc, z Normandii, Norwegii, Irlandii... Wydarzenie jest dosyć szczególne, a teren odpowiedni do odprawienia obrzędów.

- Dlaczego? - spytał Garamond.

- Bo jedne miejsca są magiczne, inne zaś nie.

- Ale kim są... w życiu codziennym? - spytał znowu Garamond.

- Ludźmi. Maszynistkami, agentkami ubezpieczeniowymi, poetkami. Kobietami, jakie jutro może pan spotkać, zupełnie nie zwracając na nie uwagi.

Dostrzeżliśmy grupę osób, która przygotowywała się do wejścia na środek polany. Zrozumiałem, że owo zimne światło, które widziałem, to małe lampki ukryte w dłoniach kapłanek, a ponieważ polana leżała na szczycie wzgórza, powstawało wrażenie, jakby świeciły bardzo nisko, choć to tylko druidessy, podchodząc z doliny, wyłaniały się na przeciwnym krańcu szczytowej równi. Ubrane były w białe suknie, które falowały na lekkim wietrze. Ustawiły się w krąg i na środek wystąpiły trzy celebrantki.

- Są to trzy *hallouines*, z Lisieux, Clonmacnois i Pino Torinese - wyjaśnił Agliè. Belbo spytał, dlaczego właśnie one, a Agliè wzruszył tylko ramionami. - Sza, poczekajmy. Nie potrafię streścić w paru słowach obrzędu i hierarchii magii nor-

dyckiej. Musicie się, panowie, zadowalać tym, co powiem. Jeśli nie mówię więcej, to dlatego, że nie wiem... albo nie mogę wyjawiać. Muszę respektować obowiązek milczenia.

Na samym środku polany dostrzegłem stos kamieni, przypominający, aczkolwiek tylko w ogólnych zarysach, dolmen. Polana została zapewne wybrana właśnie ze względu na te głazy. Jedna z celebrantek weszła na dolmen i zadęła w trąbę. Bardziej jeszcze niż podczas widowiska sprzed kilku godzin wydało się to nam rogiem z marsza triumfalnego z *Aidy*. Ale był to dźwięk stłumiony, mroczny, który zdawał się nadciągać z dali. Belbo dotknął mojego ramienia.

- To ramsinga thugów pod świętym banianem...

W tym momencie okazałem brak delikatności. Zagłębiłem nóż w ranie, nie zdając sobie sprawy z tego, że Belbo żartuje, by odsunąć inne analogie.

- Z pewnością alt byłby znacznie mniej sugestywny.

Belbo przytaknął.

- Jestem tutaj właśnie dlatego, że nie chcę żadnego altu - oświadczył.

Zastanawiam się, czy nie tego wieczoru zaczął dostrzegać pewne powiązania między swoimi marzeniami a tym, co przydarzyło mu się w ciągu ostatnich miesięcy.

Agliè nie słyszał naszej rozmowy, ale spostrzegł, że coś szepczemy.

- Nie chodzi tutaj o sygnał ani wezwanie - rzekł - lecz o pewien rodzaj ultradźwięku, ułatwiającego kontakt z falami podziemnymi. Proszę tylko spojrzeć, druidessy sformowały koło i trzymają się za ręce. Tworzą rodzaj żywego akumulatora, który odbiera i skupia wibracje telluryczne. Teraz powinna pojawić się chmura...



- Jaka chmura? - spytałem szeptem.

- Tradycja nazywa ją chmurą zieloną. Cierpliwości...

Nie byłem przygotowany na żadną zieloną chmurę. Ale oto z ziemi podniósł się raptownie jakiś wiotki opar - nazwałbym go chmurą, gdyby był jednolity i zwarty. Chodziło jednak o zbiorowisko strzępów, które krzepły w jakimś punkcie, a potem, poruszane tchnieniem wiatru, wzlatywały niby kłęby cukrowej waty, przepływały w powietrzu i zwijały się znowu w innym miejscu polany. Efekt był bardzo osobliwy, raz bowiem ukazywały się gdzieś w tle drzewa, raz wszystko zatracało się w bladawym tumanie, a potem jakiś kłąb wzbijał się pośrodku polany, niweczając możliwość zobaczenia tego, co się działo, i pozostawiając odsłonięty jeno skraj równi i niebo, na którym niewzruszenie jaśniał księżyc. Ruchy strzępów były nagłe, niespodziewane, jakby miotał nimi czyjś kapryśny oddech.

Z początku byłem przekonany, że chodzi o chemiczną sztuczkę, ale potem zastanowiłem się: znajdowaliśmy się na wysokości mniej więcej sześciuset metrów i całkiem możliwe, że były to najprawdziwsze w świecie chmury. Przewidziane przez rytuał, przywołane? Być może nie, być może po prostu celebransi wyliczyli, że na tej wysokości w sprzyjających warunkach mogą tworzyć się tuż nad ziemią owe majestatyczne ławice.

Trudno było uwolnić się od fascynacji tą sceną również dlatego, że suknie celebrantek mieszały się z bielą oparów i wydawało się, iż ich postacie wynurzają się z tego mlecznego mroku i zanurzają weń jakby z niego zrodzone.

W pewnym momencie obłok wypełnił cały środek łąki, a niektóre tampony mgły, wydłużając się, wzlatywały w górę

i prawie zasłaniały księżyc, chociaż nie na tyle, by otulić w biel polanę, która po brzegach zawsze pozostawała jasna. I nagle zobaczyliśmy, jak z obłoku wyłania się druidessa i wyjąc, biegnie do lasu, z ramionami wyciągniętymi przed siebie, aż pomyślałem, że dostrzegły nas i właśnie rzucają klątwę. Ale kilka metrów przed nami zmieniła kierunek i zaczęła biec wokół mgławicy, zniknęła po jej lewej stronie, by po kilku minutach ukazać się po prawej i znowu przebiec koło nas, tak że mogłem zobaczyć jej oblicze. Była to sybilla o wielkim, dantejskim nosie nad wąskimi jak rozpadlina ustami, które otworzyły się niby podmorski kwiat, bezzębne, z wyjątkiem dwóch siekaczy i burzącego symetrię kła. Oczy miała ruchliwe, drapieżne, o przeszywającym spojrzeniu. Usłyszałem, a może tylko mi się zdawało - i na ten obraz nakładają się inne wspomnienia - wraz z serią słów, które wówczas uznałem za gaelickie, parę ewokacji jakby po łacinie, coś w rodzaju o *pegnia* (och i och, *intus*) *et eee uluma!!!*, i nagle obłok prawie zniknął, polanę z powrotem zalała jasność i wtargnęło na nią stado świń z grubymi karkami owiniętymi naszymi naszyjnikami z kwaśnych jabłek. Druidessa, która grała na trąbie i nie schodziła przez cały czas z dolmenu, zaczęła potrząsać nożem.

- Idziemy - zakomenderował Agliè. - Już po wszystkim.

Słuchając go, spostrzegłem, że chmura jest nad nami i wokół nas, tak że prawie nie widziałem już moich sąsiadów.

- Jak to po wszystkim?! - wykrzyknął Garamond. - Zdaje mi się, że najlepsze będzie dopiero teraz.

- Ale skończyło się to, co mogliście, panowie, widzieć. Wykluczone. Uszanujmy obrządek. Idziemy.

Weszliśmy w las i natychmiast ogarnęła nas wilgoć.

Szliśmy, trzęsąc się, ślizgając na podłożu zgniłych liści, zady-  
szani i w nieładzie niby armia w odwrocie. Znaleźliśmy się na  
szosie. Za niecałe dwie godziny mogliśmy być w Mediolanie.  
Aglie, zanim wsiadł z Garamondem do auta, pożegnał się  
z nami.

- Proszę mi wybaczyć, że przerwałem widowisko.  
Chciałem, byście, panowie, coś poznali, byście poznali kogoś,  
kto żyje wśród nas i dla kogo w gruncie rzeczy teraz wy  
także pracujecie. Ale nie można było zobaczyć więcej. Kiedy  
poinformowano mnie o tym wydarzeniu, musiałem przyrzec,  
że nie zakłócę ceremonii. Nasza obecność wpłynęłaby nega-  
tywnie na kolejne jej fazy.

- Ale świnię! I co się teraz stanie? - spytał Belbo.

- Powiedziałem wszystko, co mogłem.

- Co panu przypomina ta ryba?
- Inną rybę.
- A ta inna ryba?
- Jeszcze inną rybę.

Joseph Heller, *Paragraf 22*;  
przeł. Lech Jęczmyk

Do Piemontu wróciłem z wyrzutami sumienia. Ale kiedy zobaczyłem Lię, zapomniałem o wszystkich trawiących mnie żądzach.

Jednak po tej podróży zostały mi inne ślady i uważam, lecz dopiero teraz, za niepokojące właśnie to, że wówczas nie wydały mi się niepokojące. Porządkowałem rozdział po rozdziale ilustracje do historii metali i jak niegdyś w Rio nie mogłem się uwolnić od demona analogii. Jaka różnica zachodzi między piecem cylindrycznym Réaumure'a z 1750 roku, inkubatorem do wylęgania piskląt i siedemnastowiecznym atanorem, tym macierzyńskim brzuchem, mroczną macicą do wylęgania Bóg jeden wie jakich metali mistycznych? To tak, jakby Deutsches Museum zainstalowali w piemonckim zamku, który odwiedziłem przed tygodniem.

Było mi coraz trudniej wyłuskać świat magii z tego, co dzisiaj nazywamy uniwersum precyzji. Trafiałem na ludzi, o których uczyłem się w szkole jako o niosących światło matematyki i fizyki w mroki zabobonu, i odkrywałem, że pracowali, stojąc jedną nogą w Kabale, a drugą w laboratorium. Może całą historię odczytywałem na nowo oczami naszych diabolistów? Ale potem natknąłem się na wiarygodne teksty, które relacjonowały, jak to fizycy pozytywiści, ledwie

opuściwszy progi uniwersyteckie, udawali się na deser na seanse mediumiczne i astrologiczne zgromadzenia i jak Newton doszedł do prawa powszechnego ciężenia, gdyż wierzył, że istnieją tajemne siły (przypomniałem sobie jego wyprawy badawcze na terytorium kosmologii różokrzyżowej).

Z niedowiarstwa uczyniłem sobie obowiązek naukowy, ale teraz nie mogłem już ufać nawet mistrzom, którzy tego niedowiarstwa mnie nauczyli.

Powiedziałem sobie: jestem jak Amparo, nie wierzę, ale ulegam. I przyłapywałem się na tym, iż rozmyślam nad faktem, że wielka piramida ma wysokość wynoszącą jedną miliardową odległości między Ziemią a Słońcem i że naprawdę rysują się analogie między mitologią celtycką a indiańską. I zaczynałem badać wszystko, co mnie otaczało: domy, szyldy sklepów, chmury na niebie i ryciny w bibliotece, by opowiedziały mi nie swoją historię, lecz tę inną, którą z pewnością w sobie kryją, a którą w ostatecznym rachunku odsłaniają z powodu i na mocy tajemnych podobieństw.

Uratowała mnie, przynajmniej na jakiś czas, Lia.

Opowiedziałem jej wszystko (albo prawie) o wizycie w Piemencie i co wieczór wracałem z nowymi ciekawymi informacjami, które należało dołączyć do mojego katalogu skojarzeń. Lia komentowała to tak:

- Jedz, bo jesteś chudy jak szczapa.

Pewnego wieczoru usiadła obok biurka, grzywę włosów rozdzieliła pośrodku czoła, żeby spojrzeć mi prosto w oczy, dłonie splotła na podołku, jak to czynią wiejskie gospodynie. Nigdy tak nie siedziała, rozkraczona, z sukienką napiętą między kolanami. Pomyślałem, że to postawa odarta z wdzięku. Ale potem przyjrzałem się jej twarzy i wydała mi

się bardziej świetlista, obłana delikatnym kolorem. Wysłuchałem jej – choć nie wiedziałem jeszcze dlaczego – z szacunkiem.

– Pim – rzekła – nie podoba mi się to, w jaki sposób przeżywasz tę historię z Manuziem. Najpierw zbierałeś fakty, tak jak zbiera się muszki. Teraz ma się wrażenie, że zakreślasz liczby w lotto.

– To tylko dlatego, że liczby są dla mnie zabawniejsze.

– Wcale się nie bawisz, lecz pasjonujesz, a to coś innego. Uważaj, doprowadzisz się do choroby.

– Przesadzasz. Co najwyżej tamci są chorzy. Człowiek nie staje się wariatem dlatego, że jest pielęgniarzem w zakładzie dla psychicznie chorych.

– To wcale nie takie pewne.

– Wiesz, że nigdy nie ufałem analogiom. Teraz znalazłem się w świecie analogii, to Coney Island, Pierwszy Maja w Moskwie, to Rok Święty analogii, dostrzegam, że niektóre są lepsze niż inne, i zastanawiam się, czy przypadkiem nie ma to jakiegoś uzasadnienia.

– Pim – powiedziała na to Lia – widziałam twoje fiszki, do mnie należy utrzymywanie w nich porządku. Zważ, że cokolwiek odkrywają twoi diaboliści, i tak jest to już tutaj.

I poklepała się po brzuchu, biodrach, udach i czole. Kiedy tak siedziała z rozstawionymi kolanami, które napinały sukienkę, wyglądała jak mamka: mocna i dorodna – ona, taka wątła i gibka – gdyż jakaś spokojna mądrość rozświeciła ją matriarchalnym autorytetem.

– Pim, nie ma archetypów, istnieje ciało. Brzuch w środku jest piękny, bo rośnie tam dziecko, wdziera się radośnie twój ptaszek i wpada smakowite jedzonko, więc dlatego są piękne

i ważne pieczary, wąwozy, szyby, podziemia, a nawet labirynty, które zupełnie przypominają nasze pocziwe i święte kiszki, i kiedy ktoś ma wymyślić coś ważnego, wydobywa to coś właśnie z brzucha, gdyż ty też się z niego wzięłeś w dniu swoich narodzin; płodność zawsze wiąże się z jakąś dziurą, w której coś najpierw gnije, a potem pojawia się mały Chińczyk, daktyl, baobab. Ale góra jest lepsza niż dół, bo kiedy stajesz na głowie, krew ci do niej uderza, bo nogi śmierdzą, a włosy mniej, bo lepiej wleźć na drzewo i zbierać owoce niż skończyć pod ziemią i tuczyć robaki, bo rzadko robisz sobie coś złego, sięgając w górę (miałeś właśnie iść na strych), a zwykle robisz sobie krzywdę, spadając, no więc góra jest anielska, a dół diabelski. Ponieważ jednak jest również prawdą to, co powiedziałam przedtem o moim brzuchu, prawdziwe są obie rzeczy, piękny jest dół i środek w jednym sensie, a w innym góra i wierzch, i nie ma tutaj nic do rzeczy duch merkuriusza ani powszechna sprzeczność. Ogień grzeje, a z zimna dostajesz zapalenia oskrzeli, zwłaszcza jeśli jesteś mędrcelem sprzed czterech tysięcy lat, a więc ogień ma tajemne przymioty, i jeszcze dlatego, że można na nim ugotować kurę. Ale zimno konserwuje tę samą kurę, a jeśli dotkniesz ognia, zrobi ci się pęcherz, o, taki wielki, jeśli więc myślisz o czymś, co zachowuje się od tysiącleci, jak mądrość, powinieneś wyobrażać ją sobie na szczycie górskim, wysoko, wysoko (a widzieliśmy, że jest to dobre), ale i w pieczarze (która jest też dobra), i w wiecznym chłodziu tybetańskich śniegów (co jest wprost wyśmienite). A jeśli chcesz wiedzieć, czemu mądrość przybywa ze Wschodu, nie zaś z Alp szwajcarskich, to powiem ci, że ciało twoich przodków rankiem, kiedy się budziło jeszcze po ciemku, pa-

trzyło w stronę Wschodu z nadzieją, że wstanie słońce i nie będzie padać, co za czasy!

- Tak, mamusiu.

- A jakże, synku! Słońce jest dobre, bo milutko grzeje ciało i ma dość rozsądku, żeby co rano wstawać, dobre jest więc także wszystko, co wraca, nie zaś to, co odchodzi i przepada, i co z oczu, to z serca. Najwygodniejszym sposobem, żeby wrócić tam, skąd się wyszło, nie pokonując dwa razy tej samej drogi, jest przebyć trasę kolistą. A ponieważ jedynym zwierzątkiem, które robi z siebie obwarzanek, jest wąż, mamy bez liku kultów i legend związanych z węzem, trudno bowiem wyobrazić sobie powrót Słońca, zwijając w precelek hipopotama. Ponadto, jeśli prowadzisz małą ceremonię i wznosisz modły do Słońca, musisz krążyć w kółko, bo jak tylko zacznie poruszać się w linii prostej, oddalisz się od domu i ceremonia nie potrwa długo, a z drugiej strony krąg jest najwygodniejszy do obrządków, i wiedzą o tym nawet połykacze ognia na placyku, bo przecież stojąc w kręgu, wszyscy widzą tego, który tkwi w środku, i gdyby całe plemię ustawiło się w szeregu jak żołnierze, ci najdalsi zobaczyliby guzik z pętelką, więc krąg jest ruchem, a ruch okrężny i cykliczne powroty stanowią rzecz podstawową w każdym kulcie i każdym obrządku.

- Tak, mamusiu.

- A jakże! A teraz przejdziemy do magicznych numerów, za którymi przepadają twoi autorzy. Jeden to ty, bo nie ma dwóch takich, jeden masz interesik, o, ten tutaj, i ja mam jeden interesik, o, tutaj, jeden jest nos, jedno serce, i sam już widzisz, ile ważnych rzeczy występuje pojedynczo. Dwoje jest oczu, uszu, dwie dziurki w nosie, dwie moje piersi, dwa twoje



jajeczka, nogi, ręce i póldupki. Trzy jest najbardziej magiczne ze wszystkiego, bo tej liczby nasze ciało nie zna, nie mamy niczego w liczbie trzech, musi to być liczba niesłychanie tajemnicza, przypisujemy ją więc Bogu bez względu na to, którą stronę świata zamieszkujemy. Jeśli jednak zastanowić się chwilę, to widzimy jasno, że ty masz jednego fiutka, ja jedną dziurkę (siedź cicho, nikt cię nie prosi o to, żebyś był taki strasznie dowcipny), a jeśli te dwie rzeczy złączymy, pojawi się trzecia rzecz i będzie nas troje. Czy w takim razie potrzebny tu profesor uniwersytetu, by obwieścić, że u wszystkich ludów są troiste struktury, jakieś trójce i tak dalej? Ale w religiach nie oblicza się tego za pomocą komputera, bo przecież byli to ludzie z krwi i kości, którzy pieprzyli się przykładnie, i struktury troiste nie są żadną tajemnicą, tylko opowieścią o tym, co robisz ty i co robili oni. A teraz dwie ręce i dwie nogi to cztery, no to i cztery jest piękną liczbą, a jeszcze może przypomnisz sobie, że zwierzęta mają po cztery łapy i na czworakach chodzą małe dzieci, o czym wiedział dobrze Sfinks. O pięciu nie warto nawet mówić, mamy pięć palców u ręki, a jeśli spojrzysz na swoje dwie ręce, ujrzysz inną świętą liczbę, jasne więc, że dziesięć jest nawet przykazań, gdyby bowiem było ich dwanaście, to ksiądz, pokazując je na palcach jeden, dwa, trzy... doszedłszy do dwóch ostatnich, musiałby skorzystać z ręki zakrystiana. Popatrz teraz na swoje ciało i pomyśl o wszystkich rzeczach sterczących z tułowia: ręce, nogi, głowa i penis to sześć, ale u kobiety siedem, dlatego właśnie twoi autorzy nigdy nie traktują poważnie szóstki, chyba jako podwójną trójkę, odnosi się ona wszak tylko do mężczyzn, którzy nie mają żadnej siódemki i kiedy wydają rozkazy, wolą uważać siedem za

liczbę świętą, zapominając, że także moje cycuszki sterczą do przodu, ale cierpliwości. Osiem... o Boże, nie mamy żadnej ósemki... nie, poczekaj, jeśli rękę albo nogę weźmiemy nie za jedno, lecz za dwa, a to ze względu na łokcie i kolana, będziemy mieli osiem długich kości, które sterczą na zewnątrz; weź tę ósemkę i tułów, a otrzymasz dziewiątkę, i potem zatknij na wierzchu głowę, żeby uzyskać dziesięć. Nie potrzebujesz niczego poza ludzkim ciałem, żeby wyłuskać wszystkie liczby, jakie zechcesz, a pomyśl tylko o otworach.

- Otworach?

- Tak, ile otworów ma twoje ciało?

- No, oczy, dziurki w nosie, uszy, usta, dupa - to osiem.

- A widzisz? Jeszcze jeden powód, żeby uznać osiem za piękną liczbę. Ale ja mam dziewięć dziurek! I przez tę dziewiątkę przychodzisz na świat, oto dlaczego dziewięć jest bardziej boskie niż osiem! Czy mam ci wyjaśnić inne powtarzające się symbole? Czy mam obnażyć ci anatomię każdego menhiru, o którym rozpisują się twoi autorzy? Człowiek jest na nogach w ciągu dnia i leży w nocy, a nawet twój interesik, nie, nie mów, co robi w nocy, faktem jest, że pracuje na stojąco, a odpoczywa na leżąco. Tak więc stadium pionowe to życie, i ma to związek ze Słońcem, no i obeliski sterczą do góry jak drzewa, a stadium poziome i noc to sen i śmierć, i wszyscy czczą menhiry, piramidy, kolumny, nikt zaś nie czci balkonów i balustrad. Czy słyszałeś kiedy o kulcie świętej poręczy? Widzisz? To także dlatego, że taką masz budowę ciała, czcisz kamień pionowy, nawet bowiem gdy jest was dużo, wszyscy go widzą, a gdyby czciło się jakąś rzecz poziomą, byłaby widoczna tylko z pierwszych rzędów i reszta

pchałaby się, wrzeszcząc: ja też, ja też; cóż za szpetny spektakl jak na ceremonię magiczną...

- Ale rzeki...

- Rzeki czci się nie dlatego, że są poziome, ale dlatego, że płynie w nich woda, a chyba nie muszę ci wyjaśniać, co łączy wodę z ciałem... Och, jednym słowem, jesteśmy, jacy jesteśmy, mamy ciała takie, a nie inne, wszyscy, i dlatego wybieramy sobie te same symbole, chociaż dzielą nas tysiące kilometrów, więc wszystko jest podobne, i sam wiesz, że ci, co mają olej w głowie, kiedy zobaczą piec alchemika, zamknięty i ciepłutki w środku, myślą o brzuchu mamusi, z którego rodzi się dziecko, i tylko twoi diaboliści, widząc Madonnę, zaraz myślą, że to aluzja do pieca alchemika. Spędzili więc tysiące lat, szukając tajemnego posłannictwa, a wszystko przecież było gotowe, wystarczyło, żeby spojrzeli w lustro.

- Ty zawsze odsłaniasz mi szczerą prawdę. Jesteś moim Ja, które zresztą jest moją Duszą widzianą przez twoje Ja. Pragnę odkryć wszystkie utajone archetypy ciała.

Od tego wieczoru do naszego języka weszło wyrażenie „zajmować się archetypami”, którym określaliśmy chwile czułości.

Kiedy już pogrążałem się we śnie, Lia dotknęła mojego ramienia.

- Byłabym zapomniała - powiedziała. - Jestem w ciąży.

Powiniennem był posłuchać Lii. Przemawiała z mądrością kogoś, kto wie, skąd się bierze życie. Schodząc w podziemia Agartty, zagłębiając się w piramidę Izydy Obnażonej, wkroczyliśmy do Gewury, która jest sefirą przerażenia, chwilą, kiedy w świecie wyczuwa się gniew. Czy dałem się uwieść, choćby na minutę, myśli o Sophii? Mojżesz Kordowero po-

wiada, że Kobiecość jest po lewej stronie i wszystkie jej kierunki są z Gewury... Chyba że mąż wykorzysta te skłonności, by przyozdobić swoją Małżonkę, i krusząc je, skieruje jej kroki ku dobru. To jakby powiedzieć, że każde pragnienie winno pozostać w swoich granicach. Inaczej Gewura staje się Srogością, mroczną zjawą, światem demonów.

Poddać pragnienie dyscyplinie... Tak uczyniłem w namiocie *umbanda*: stukając w *agogõ*, wziąłem udział w widowisku, ale od strony orkiestry, i dzięki temu uniknąłem popadnięcia w trans. I tak samo uczyniłem z Lią, okiełznałem pragnienie czci dla Małżonki i spotkała mnie nagroda w głębi moich lędźwi, bo moje nasienie zostało pobłogosławione.

Nie potrafiłem jednak wytrwać. Uwiodła mnie uroda Tiferet.

6  
TIFERET

Śnić o tym, że mieszka się w mieście nowym i nieznanym, oznacza rychło umrzeć. Zaiste, gdzie indziej mieszkają zmarli, a nie wiemy gdzie.

Gerolamo Cardano, *Somniorum Synesiorum*,  
Basilea 1562, 1, 58

Jak Gewura jest sefirą zła i strachu, tak Tiferet jest sefirą piękną i harmonii. Mówił Diotallevi: jest spekulacją oświecającą, drzewem życia, rozkoszą, pąsowym zjawiskiem. Jest zgodnością Reguły i Wolności.

I ten rok był dla nas rokiem rozkoszy, krotochwilnego wywracania wielkiego tekstu świata, czasem celebrowania zaślubin Tradycji z Machiną Elektroniczną. Tworzyliśmy i czerpaliśmy z tego przyjemność. Był to rok, kiedy wymyśliśmy Plan.

Dla mnie był to z pewnością rok szczęścia. Cięża Lii przebiegała spokojnie: Garamond i moja agencja zapewniały mi życie bez kłopotów finansowych, nie pozbyłem się biura w starej fabryce, ale przebudowaliśmy mieszkanie Lii.

Cudowna przygoda metali znalazła się już w rękach drukarzy i korektorów. I właśnie w tej sytuacji pan Garamond miał nowy przebłysk geniuszu.

- Ilustrowana historia nauk magicznych i hermetycznych! Korzystając z materiałów napływających od diabolistów, przy kompetencjach, jakie pan zyskał, i pomocy tego niewiarygodnego człowieka, pana Agliè, w ciągu roku trzaśnięcie tom w dużym formacie, czterysta stron bogato ilustrowanych, wkładki o kolorach zapierających dech w piersi. Proszę wykorzystać część materiału ikonograficznego z historii metali.

- No dobrze - sprzeciwiłem się - ale to całkiem inny mate-

riał. Co mi przyjdzie ze zdjęcia cyklotronu?

- Czym się pan tak przejmuję? Wyobraźnia, Casaubon, wyobraźnia! Co niby dzieje się w tych maszynach atomowych, no, tych pozytronach megatronowych, czy jak im tam? Rozpaćkują materię, dodają sera szwajcarskiego i wyskakuje kwark, czarna dziura, odwirowany uran, czy ja wiem co! Magia urzeczywistniona, Hermes i Alchermes... w końcu znaleźć odpowiedź to pańska sprawa. Tu po lewej stronie rycina z Paracelsusa, abrakadabra i alembiki, oczywiście na złotym tle, a po prawej kwazar, mikser do ciężkiej wody, antymateria grawitacyjno-galaktyczna, jednym słowem, czy wszystko musi być na mojej głowie? Przecież ktoś, kto nie rozumiał ni w ząb i partaczył na oślepa, nie jest magiem, lecz uczonym, który wydzierał tajemnice materii. Odkrywać wokół nas cudowności, sugerować, że w Mount Palomar sami już nie wiedzą, co mówią...

Pragnąc podsycić mój zapał, w odczuwalny sposób podniósł mi wynagrodzenie. Zabrałem się ochoczo do szukania miniatur w *Liber Solis* Trismosina, w *Liber Mutus* Pseudo-Lullusa. Zapełniałem teczki pentaklami, drzewami *sefirot*, dziekanami, talizmanami. Przemierzałem najbardziej zapomniane sale biblioteczne, kupowałem dziesiątki książek u tych samych księgarzy, którzy niegdyś handlowali rewolucją kulturalną.

Poruszałem się wśród diabolistów z dezynwolturą psychiatry, który przywiązuje się do swoich pacjentów i uważa, że wonie zalatujące od wiekowego parku jego prywatnej kliniki są balsamiczne. Wkrótce zaczyna pisać o obłędzie, po jakimś czasie z tych tekstów wyziera obłąd. Nie zdaje sobie sprawy, że pacjenci oczarowali go, wydaje mu się, że został artystą.

Tak właśnie narodził się pomysł Planu.

Diotallewi przystąpił do tej gry, bo dla niego była to modlitwa. Jeśli chodzi o Jacopa Belba, sądziłem wtedy, że bawi się tak samo jak ja. Dopiero teraz widzę, że nie miał z tego prawdziwej uciechy. Uczestniczył w tym, bo nie potrafił się powstrzymać, zupełnie jak ktoś ogryzający paznokcie.

Albo podjął tę grę, żeby znaleźć przynajmniej jeden z fałszywych kierunków, a może scenę bez proscenium, o których wspomina w pliku zatytułowanym „Sen”. Zastępcze teologie dla Anioła, który miał nigdy nie przybyć.

---

---

NAZWA PLIKU: Sen

---

---

Nie pamiętam, czy śniłem je jeden w drugim, czy następowały po sobie w ciągu tej samej nocy, czy po prostu były przemieszane.

Szukam pewnej kobiety, którą znam, z którą byłem mocno związany, tak mocno, że nie rozumiem, dlaczego rozluźniłem tę więź – to była moja wina, bo nie przychodziłem. Wydaje mi się nie do pojęcia, że pozwoliłem, by minęło tyle czasu. Szukam jej z pewnością, szukam ich, nie jest sama, było ich wiele, wszystkie tak samo utracone – przez moje lenistwo, i nęka mnie poczucie niepewności, i jedna by mi wystarczyła, toteż wiem, że tracąc je, straciłem wiele. Zwykle nie znajduję, nie mam, nie mogę zdobyć się na to, by otworzyć notes z telefonami, a jeśli nawet go otwieram, nie mogę odczytać imion – jakbym był dalekowidzem. Wiem, gdzie ona mieszka, a właściwie nie wiem, wiem tylko, jak wygląda to miejsce, mam w pamięci schody, sień, podest. Nie biegam po mieście, żeby odnaleźć to miejsce, owładnęła mną jakaś trwoga, czuję zahamowanie, nie przestaję się złościć na samego siebie za to, że pozwoliłem albo chciałem, by ten związek obumarł – choćby nie przychodząc na ostatnie spotkanie. Gdybym przynajmniej wiedział, jak się nazywa, doskonale przecież wiem, kim jest, tyle że nie mogę sobie przypomnieć rysów twarzy.

Czasem w półśnie, w jaki potem zapadam, podaję ten sen w wątpliwość. Spróbuj sobie przypomnieć, wiesz i pamiętasz wszystko, zamknąłeś wszystkie rachunki, a może w ogóle ich nie otwierałeś. Nie ma niczego, o czym nie wiedziałbyś, gdzie się znajduje. Niczego.

Pozostaje podejrzenie, że o czymś zapomniałem, że zagubiłem coś wśród codziennych trosk, tak samo jak zapomina się banknotu albo kartki z notatką – w kieszonce spodni albo w starej marynarce, i dopiero po jakimś czasie człowiek uświadamia sobie, że chodziło o coś najważniejszego, rozstrzygającego, jedyne-go.



Obraz miasta jest wyraźniejszy. To Paryż, jestem na lewym brzegu, wiem, że jeśli przejdę na drugą stronę rzeki, znajdę się na placu, być może na Place des Vosges... nie, na jakimś bardziej otwartym, gdyż w głębi rysuje się jakby Madeleine. Przecinam plac, obchodzę kościół, natrafiam na ulicę (na rogu jest księgarnia antykwariat), która skręca ciągle w prawo, tworząc całą serię zaułków, i z pewnością jestem w Barcelonie, w Barrio Gotico. Trzeba wyjść na jakąś ulicę, bardzo szeroką, rzęsiście oświetloną, i właśnie przy tej ulicy, przypominam to sobie z ejdetyczną wyrazistością, po prawej stronie, w głębi ślepego zaułka, jest Teatr.

Nie da się na pewno określić, co się dzieje w tym przybytku rozkoszy, bez wątpienia coś płochego, wesołego i zarazem podejrzanego, jak striptiz (dlatego nie śmiem się dopytywać), i wiem o tym czymś dostatecznie dużo, by z ekscytacją myśleć o powrocie w to miejsce. Jednak daremnie, w okolicy Chatham Road wszystkie ulice się mylą.

Budzę się i mam w ustach smak tego chybionego spotkania. Nie mogę pogodzić się z tym, że nie wiem, co straciłem.

Niekiedy przebywam w wielkim domu na wsi. Jest obszerny, ale ma jeszcze jedno skrzydło, do którego jednak nie potrafię dotrzeć – jakby zamurowano przejścia. A w tym skrzydle jest mnóstwo pokoi, kiedyś je widziałem, to niemożliwe, by przyśniły mi się w innym śnie, i są tam stare meble i wyblakłe ryciny, konsole z dziewiętnastowiecznymi teatrykami z wycinanek, kanapy okryte wielkimi haftowanymi narzutami, półki z mnóstwem książek, wszystkie roczniki „Ilustrowanego Kuriera Podróży i Przygód na Lądzie i Morzu”, to nieprawda, że rozpadły się wskutek częstego czytania i mama oddała je szmaciarzowi. Zastanawiam się, kto tak poplątał korytarze i schody, przecież tutaj właśnie chciałem urządzić sobie *buen retiro*, właśnie wśród tych zapachów cennej starzyzny.

Dlaczego nie mogę śnić, jak wszyscy, o egzaminie maturalnym?

---

Powierzchnia jej złożona była z kawałków drewna, wielkości kostki do gry, choć niektóre były większe niż inne. Wszystko połączono cienkimi drucikami. Owe kawałki drewna pokryte były ze wszystkich stron nalepionymi na nie kawałkami papieru, a na papierkach tych wypisano wszystkie słowa ich języka we wszystkich odmianach, czasach i deklinacjach, lecz bez żadnego porządku... Na jego polecenie każdy z uczniów pochwycił jedną z żelaznych korb, których czterdzieści było umocowanych wokół krawędzi ramy, a gdy obrócili je nagle, cały układ słów odmienił się. Poleciał później trzydziestu sześciu chłopcom, aby cicho odczytali po kilka linijek zgodnie z tym, jak następowały po sobie na powierzchni ramy. Gdy natrafili na trzy albo cztery następujące po sobie wyrazy, które wspólnie mogły utworzyć część jakiegoś zdania, dyktowali je czterem pozostałym chłopcom.

Jonathan Swift, *Podróże do wielu odległych narodów świata*, III, 5;  
przeł. Maciej Słomczyński

Zdaje mi się, że w dywagacjach na temat snu Belbo raz jeszcze wrócił do roztrząsania kwestii utraconej okazji i przeznaczenia, które narzuca mu rezygnację z Momentu, gdyż nie umie go wykorzystać, jeśli już się nadarzy. Zainicjował Plan, gdyż pogodził się z tym, że będzie sobie stwarzał momenty fikcyjne.

Poprosiłem go o jakiś tekst, więc zaczął szperać w stosie maszynopisów ułożonych jedne na drugich bez względu na ich objętość i wymiary. Dostrzegł szukany tekst i spróbował go wyciągnąć, ale wtedy cały stos runął na ziemię. Teczki po otwierały się i wyfrunęły luźne kartki.

- Może trzeba było najpierw zdjąć połowę stosu - zauważyłem.

Niepotrzebnie strzepiłem język, zawsze tak robił. I odpowiadał niezmiennie:

- Wieczorem Gudrun to pozbiera. Musi mieć jakieś życiowe posłannictwo, inaczej zatraci swoją tożsamość.

Lecz tym razem byłem osobiście zainteresowany ratowaniem maszynopisów, gdyż stałem się przecież częścią firmy.

- Ale Gudrun nie potrafi ich uporządkować, włożyć właściwych kartek do właściwych teczek.

- Diotallevi nie posiadałby się z radości. Wyszłyby z tego książki odmienne, eklektyczne, przypadkowe. To mieści się w logice diabolistów.

- Znaleźlibyśmy się w sytuacji specjalistów od Kabały. Całe tysiąclecia, żeby odtworzyć właściwą kombinację. Pan wyznacza po prostu Gudrun rolę małpy, która stuka przez całą wieczność w maszynę do pisania. Jedyna różnica to czas. W skali ewolucji nie zyskuje się nic. Czy nie ma programu, który pozwoliłby Abulafii wykonać to zadanie?

Pojawił się Diotallevi.

- Oczywiście jest - odparł Belbo - i teoretycznie pozwala wprowadzić dwa tysiące danych. Wystarczy usiąść i taki program napisać. Powiedzmy, że chodzi o wersy wszystkich możliwych utworów poetyckich. Program pyta, na ile wersów ma być wiersz, a pan decyduje, że na dziesięć, dwadzieścia albo sto. Potem program pobiera z wewnętrznego zegara komputera liczbę sekund, dokonuje losowego wyboru, czyli mówiąc zwyczajnie: tworzy coraz to nowe kombinacje. Już przy dziesięciu wersach można uzyskać tysiące przypadkowych utworów. Wczoraj wprowadziłem do komputera wersy w rodzaju: „drżą w chłodzie lipy”, „ciążą mi powieki”, „gdybyż aspidistra chciała”, „daję ci oto żywot”, i tak dalej. Mam tu parę rezultatów.

Liczę noce, dźwięczy sistrum,  
Śmierci, twoje zwycięstwo  
Śmierci, twoje zwycięstwo...  
Gdybyż aspidistra chciała...

Z serca jutrzeńki (o serce)  
złowrogi albatrosie  
(gdybyż aspidistra chciała...)  
Śmierci, twoje zwycięstwo.

Drżą w chłodzie lipy,  
liczę noce, dźwięczy sistrum,  
patrzy złowieszczco dudek.  
Drżą w chłodzie lipy.

- Są tu powtórzenia, nie udało się ich uniknąć, zdaje się, że komplikowałyby to program. Ale przecież także powtórzenia mają walor poetycki.

- Interesujące - oświadczył Diotallevi. - To może pojednać mnie z twoją maszyną. Gdybym więc wpakował do środka całą Torę, a potem polecił, jak to się mówi, dokonywać losowych wyborów, stałaby się jak najprawdziwsza Temura i uzyskałbym kombinacje wersetów Księgi?

- Pewnie, to tylko kwestia czasu. Rezultat miałbyś za kilka stuleci.

Wtrąciłem się:

- Jeśli natomiast weźmie się kilka dziesiątków zdań zaczerpniętych z dzieł diabolistów, na przykład, że templariusze uciekli do Szkocji albo że *Corpus Hermeticum* dotarł do Florencji w tysiąc czterysta sześćdziesiątym roku, plus parę łączników w rodzaju „jest rzeczą oczywistą, że” albo „to dowodzi, że”, można otrzymać zdania naprawdę odkrywcze. Potem wystarczy uzupełnić miejsca puste albo nadać powtórzeniom walor prorocत्व, sugestii i napomnień. W najgorszym razie otrzymałoby się niepublikowany rozdział historii magii.

- Genialne! - zawołał Belbo. - Natychmiast bierzemy się do roboty.

- Nie, już siódma. Jutro.

- Zrobię to jeszcze dzisiaj wieczorem. Niech mi pan tylko pomoże przez chwilę, trzeba podnieść z ziemi na chybił trafił dwadzieścia kartek i wyłowić pierwsze z brzegu zdanie, które stanie się naszą daną.

Pochyliłem się i wziąłem jakąś kartkę.

- „Józef z Arymatei zawiózł Graala do Francji”.

- Wybornie, odfajkowane. Dalej.

- „Zgodnie z tradycją templariuszy Gotfryd z Bouillon zakłada w Jerozolimie Wielkie Przeorstwo Syjonu”. „Debussy był różokrzyżowcem”.

- Przepraszam - przerwał nam Diotallevi - ale trzeba jeszcze dodać garść danych obojętnych, na przykład, że koala żyje w Australii albo że Papin wynalazł kocioł ciśnieniowy.

- „Minnie jest narzeczoną Myszki Miki” - zaproponowałem.

- Nie przesadzajmy.

- Ależ przesadzajmy. Jeśli dopuścimy możliwość, że we wszechświecie istnieje choćby jedna dana, która nie jest znakiem czegoś innego, natychmiast wychodzimy poza myślenie hermetyczne.

- Racja. Niech więc będzie Myszka Miki. I pozwólcie, że wprowadzę pewną informację o charakterze fundamentalnym: „Templariusze zawsze są w to wmieszani”.

- To się rozumie samo przez się - potwierdził Diotallevi.

Pracowaliśmy przez jakieś dziesięć minut. Potem zrobiło się naprawdę późno. Ale Belbo zapewnił, że możemy się nie przejmować. Zajmie się tym sam. Przyszła Gudrun i powiedziała, że zamyka. Belbo zaś oznajmił, że jeszcze musi popracować, i poprosił, żeby pozbierała kartki z podłogi. Gudrun wydała z siebie kilka dźwięków, które mogły należeć bądź do

łaciny *sine flexione*, bądź do języka maryjskiego, ale z pewnością wyrażały oburzenie i poczucie krzywdy, a to stanowi potwierdzenie powszechnego pokrewieństwa wszystkich języków wywodzących się wszak z jednego pnia adamowego. Wykonała polecenie, wybierając losowo lepiej niż komputer.

Następnego ranka Belbo promieniał.

- Funkcjonuje - oznajmił. - Funkcjonuje i daje zupełnie nieoczekiwane rezultaty. Podał nam wydruk z komputera.

Templariusze zawsze są w to wmieszani  
Nie jest prawdą, co następuje  
Jezus został ukrzyżowany pod Poncjuszem Piłatem  
Mędrzec Ormus założył w Egipcie zakon różokrzyżowy  
W Prowansji są kabaliści  
Czyje wesele było w Kanie?  
Minnie jest narzeczoną Myszki Miki  
Wynika stąd, że  
Jeśli  
Druidzi czcili czarne dziewice  
Zatem  
Szymon Mag rozpoznaje Sopię w prostytutce z Tyru  
Czyje wesele było w Kanie?  
Merowingowie powiadają, że są królami z prawa bożego  
Templariusze zawsze są w to wmieszani.

- Trochę niejasne - zauważył Diotallevi.

- Nie umiesz dostrzec powiązań. I nie przykładasz należytej wagi do tego dwakroć powtarzającego się znaku zapytania. Czyje wesele było w Kanie? Powtórzenie to magiczny klucz. Naturalnie dopełniłem to, lecz wtajemniczony ma wszak prawo dopełnić prawdę. Oto więc moja interpretacja: Jezus nie został ukrzyżowany i dlatego templariusze zapierali się krzyża. Legenda o Józefie z Arymatei kryje prawdę głębszą. Sam Jezus, nie zaś Graal, dociera do Francji, do ka-

balistów z Prowansji. Jezus to metafora króla świata, rzeczywistego założyciela Różanego Krzyża. Z kim schodzi Jezus na ląd? Oczywiście z żoną. Dlaczego w ewangeljach nie mówi się, czyje wesele odbywało się w Kanie? Ależ dlatego, że chodziło o wesele Jezusa, wesele, o którym nie można było wspomnieć ze względu na znaną jawno grzesznicę Marię Magdalenę. Oto czemu od tamtych czasów wszyscy oświeceni, od Szymona Maga do Postela, szukają właśnie w burdelu zasady wiecznej kobiecości. A Jezus jest założycielem rodu królewskiego we Francji.

Jeśli nasza hipoteza jest słuszna, Święty Graal... to ród i potomstwo Jezusa, Sang real, której strażnikami byli templariusze... Jednocześnie Święty Graal musiał być, w sensie dosłownym, naczyniem, w które zebrano i w którym przechowywano krew Jezusa. Innymi słowy chodzi zapewne o łono Magdaleny.

M. Baigent, R. Leigh, H. Lincoln, *The Holy Blood and the Holy Grail*,  
Cape, London 1982, XIV

- Ależ nikt nie weźmie cię poważnie! - wykrzyknął Diotallevi.

- Przeciwnie, sprzedałby paręset tysięcy egzemplarzy - oznajmiłem pośpiesznie. - Ta historyjka istnieje, tyle że z drobnymi zmianami; została już napisana. Chodzi o książkę poświęconą tajemnicy Graala i tajemnicom Rennes-le-Château. Zamiast czytać wyłącznie maszynopisy, przejrzelibyście czasem rzeczy publikowane przez innych wydawców.

- Święci serafini! - rzekł Diotallevi. - A nie mówiłem? Ta maszyna mówi tylko to, o czym wszyscy już wiedzą.

I wyszedł przygnębiony.

- Nieprawda, jest pożyteczna - oświadczył urażony Belbo. - Przyszedł mi do głowy pomysł, na który wpadli już inni. I co z tego? Nazywa się to literacką poligenezą. Pan Garamond uznałby to za dowód, że mówię prawdę. Ci faceci musieli myśleć nad tym całymi latami, a ja rozwiązałem zagadnienie w ciągu jednego wieczoru.

- Popieram pana, uważam, że gra jest warta świeczki. Ale wydaje mi się, że regułą winno być wprowadzenie mnóstwa danych niepochozących od diabolistów. Problem nie polega na tym, żeby znaleźć tajemne powiązania między Debussym a templariuszami, bo to robią wszyscy. Rzecz w tym, żeby



znajdować relacje utajone, na przykład między Kabałą a świecami samochodowymi.

Powiedziałem to ot tak sobie, ale dla Belba była to gratka. Wyznał mi to parę dni później.

- Okazało się, że miał pan rację. Pierwsza lepsza dana staje się ważna, jeśli tylko zostanie powiązana z jakąś inną. Relacja odmienia perspektywę. Skłania do wiary, że każdy aspekt świata, każdy głos, każde wypowiedziane lub zapisane słowo ma nie ten sens, który widzimy, lecz wyjawia nam Tajemnicę. Zasada jest prosta, trzeba podejrzewać, bez ustanku podejrzewać. Można w ten sposób odczytać nawet znak zakazu wjazdu.

- Z całą pewnością. Moralizm katarski. Wstręt do kopionania. Wjazd jest zakazany, gdyż stanowi oszustwo Demiurga. Nie tędy wstąpi się na Drogę.

- Wczoraj wieczorem wpadł mi w ręce podręcznik prawa jazdy. Może to z powodu półmroku, a może tego, co mi pan powiedział, ogarnęło mnie podejrzenie, że ten tekst mówi o Czymś Innym. A jeśli samochód istnieje tylko jako metafora stwarzania? Nie należy jednak zatrzymywać się przy tym, co zewnętrzne, poprzestać na iluzji tablicy przyrządów, trzeba dojrzeć to, co widzi jedynie Sprawca, to, co kryje się pod. To, co pod, jest jak to, co nad. Drzewo *sefirot*.

- Proszę nie mówić...

- Ja nic nie mówię. To mówi samo, wypowiada siebie. Przede wszystkim wał napędzający jest w istocie Drzewem. Weźmy pod uwagę silnik z przodu, dwa koła przednie, sprzęgło, skrzynię biegów, dwa przeguby, mechanizm różnicowy i dwa koła tylne. Dziesięć członów jak dziesiątka *sefirot*.

- Ale nie zgadza się rozmieszczenie.

- Kto to powiedział? Diotallevi wyjaśniał nam przecież, że w niektórych wersjach Tiferet jest nie szóstą, ale ósmą sefirą i znajduje się po Necach i Hod. Moje drzewo to drzewo Belbot, inna tradycja.

- *Fiat.*

- Idźmy jednak dalej za dialektyką Drzewa. Na samym szczycie mamy Motor, *Omnia Movens*, o którym możemy powiedzieć, iż jest Krynica Stwórczą. Motor przekazuje swoją stwórczą moc dwóm Kołom Wzniosłym, Kołu Rozumu i Kołu Mądrości.

- To się zgadza, jeśli mamy do czynienia z napędem przednim...

- Wspaniałość drzewa Belbot polega na tym, że dopuszcza ono metafizykę alternatywną. Weźmy wizerunek kosmosu duchowego z przednim napędem, przy którym umieszczony z przodu Motor przekazuje bezpośrednio swoją wolę Kołom Wzniosłym, gdy tymczasem w wersji materialistycznej mamy wizerunek kosmosu zdegradowanego, w którym Ruch narzucony zostaje przez Motor Końcowy dwóm Kołom Poślednim. Z otchłani kosmicznej emanacji wyzwalają się nikczemne siły materii.

- A jeśli mamy tylny i Motor, i napęd?

- Sytuacja sataniczna. Zbieżność Wzniosłości z Nikczemnością. Bóg utożsamiony z poruszeniem prostackiej materii zadniej. Bóg jako niespełniona wieczna aspiracja do boskości. Musi to być związane z Pęknięciem Naczyń.

- Czy nie chodzi tutaj czasem o Pęknięcie Tłumika?

- Tak właśnie dzieje się w Kosmosach Poronionych, gdzie jadowity dech archontów rozprzestrzenia się w Kosmicznym

Eterze. Ale nie zbaczajmy z prostej linii. Po Motorze i dwóch Kołach mamy Sprzęgło, sefirę Łaski, która ustanawia albo przerywa strumień Miłości łączący pozostałą część Drzewa z Energią Wyższą. To Tarcza, mandala pieścząca inną mandalę. Dalej Szkatuła Zmian, czyli, jak powiadają pozytywiści, skrzynia biegów, która stanowi zasadę Zła, gdyż pozwala ludzkiej woli spowolnić albo przyspieszyć nieprzerwany proces emanacji. Dlatego właśnie automatyczna skrzynia biegów jest droższa, w tym bowiem przypadku samo Drzewo podejmuje decyzje zgodne z zasadą Władczej Równowagi. Potem przychodzi Przegub, który, proszę sobie to uświadomić, wziął nazwę od renesansowego maga, Cardana, i Przekładnia Stożkowa (warto tu odnotować opozycję w stosunku do czwórki Cylindrów w silniku), w której mamy Wieniec (Keter, Niższa Korona), przekazujący ruch kołom ziemskim. I w tym miejscu staje się widoczna rola sefiry Różnicy, czyli Mechanizmu Różnicowego, z majestatycznym poczuciem Piękna rozdzielającego siły kosmiczne między dwa Koła, Chwały i Zwycięstwa, które w kosmosie nieporonionym (napęd przedni) naśladowują ruch narzucony przez Koła Wzniosłe.

- Ta interpretacja jest logiczna. A serce Motoru, siedziba Jedynego, Korona?

- Ależ wystarczy spojrzeć oczyma wtajemniczonego. Najwyższy Motor żyje ruchem Ssania i Wydechu. Skomplikowany oddech boży, w którym były pierwotnie dwie jedności zwane Cylindrami (oczywisty archetyp geometryczny), ale potem wzbudziły trzecią, a wreszcie kontemplują same siebie i poruszają się przez wzajemną miłość w chwale czwartej. W procesie tego oddechu w Pierwszym Cylindrze (a żaden

z nich nie jest pierwszy w hierarchii, lecz tylko przez cudowną alternację położenia i relacji) Tłok, czyli Piston (etymologicznie od Pistis Sophia), schodzi od Górnego Punktu Martwego do Dolnego Punktu Martwego i jednocześnie Cylinder napełnia się energią w stanie czystym. Upraszczam, gdyż trzeba by tu jeszcze wspomnieć o hierarchiach anielskich, czyli Pośrednictwie Rozdzielacza, który, jak powiada mój podręcznik, „umożliwia otwieranie i zamykanie Prześwitów dających połączenie wnętrza Cylindrów z kanałami ssącymi mieszankę”... Wewnętrzna siedziba Motoru łączy się z resztą kosmosu jedynie dzięki temu pośrednictwu i tutaj, uważam, objawia się być może, lecz nie chciałbym popaść w herezję, pierwotne ograniczenie Jedyne, który w pewien sposób zależy w swym stwórczym dziele od Wielkich Mimośrodów. Trzeba uważnie odczytać Pismo. Tak czy inaczej, kiedy Cylinder napełnia się Energią, Tłok pnie się z powrotem do Górnego Punktu Martwego i dokonuje Największego Sprężenia. To *cimcum*. I w tym momencie mamy całą chwałę Big Bang, Wybuchu i Ekspansji. Przeskakuje Iskra, mieszanka błyska i goreje i jest to, jak zapewnia podręcznik, jedyna Aktywna Faza Cyklu. A biada, jeśli do Mieszanki dostaną się skorupy, owe kelipy, kropelki nieczystej materii, jak woda albo coca-cola. Ekspansja nie następuje albo przebiega poronnymi szarpnięciami...

- Czyż Shell nie oznacza kelipy? Trzeba więc mieć się na baczności. Od tej chwili tylko Mleko Dziewicy...

- Sprawdzimy. Może tu chodzić o knowania Siedmiu Sióstr, tych niższych zasad pragnących kontrolować proces Stwarzania... W każdym razie po Ekspansji następuje wielki odpływ, który w dawniejszych tekstach nazywa się Wyde-

chem. Tłok wędruje do Górnego Punktu Martwego i usuwa bezkształtną materię, teraz już spaloną. Dopiero kiedy dobiegnie końca operacja oczyszczania, zaczyna się Nowy Cykl. Który, jeśli dobrze się nad tym zastanowić, jest również neo-platońskim mechanizmem Eksodos i Parodos, cudowną dialektyką Drogi w Górę i Drogi w Dół.

- *Quantum mortalia pectora caecae noctis habent!* I synowie materii nigdy nie zdali sobie z tego sprawy!

- Dlatego właśnie mistrzowie gnozy powiadają, że nie należy ufać hylikom, lecz pneumatykom.

- Na jutro przygotuję mistyczną interpretację książki telefonicznej...

- Ciągle ambitny nasz drogi Casaubon. Proszę zważyć, że przyjdzie panu rozwikłać niezgłębiony problem Jedności i Wielości. Co nagle, to po diable. Zajmijmy się lepiej mechanizmem pralki.

- To mówi samo za siebie. Alchemiczna transmutacja dzieła w tonacji mrocznej w dzieło najjaśniejsze.

Da Rosa, nada digamos agora...

Sampayo Bruno, *Os Cavaleiros do Amor*,  
Guimarães, Lisboa 1960, s. 155

Kiedy człowiek dojdzie już na dobre do stanu podejrzliwości, jego uwadze nie umyka żaden trop. Po tych bredniach o drzewie motoru byłem skłonny dostrzegać znaki objawione w każdym przedmiocie, jaki wpadł mi w ręce.

Przez cały czas podtrzymywałem kontakty z moimi brazylijskimi przyjaciółmi, a właśnie w tych dniach odbywał się w Coimbrze zjazd poświęcony kulturze luzytańskiej. Przyjaciele z Rio, bardziej kierując się pragnieniem ponownego spotkania niż z szacunku dla moich kompetencji, wystarali się o zaproszenie dla mnie. Lia nie pojechała, była w siódmym miesiącu; ciąża niewiele zmieniła jej szczupłą sylwetkę, upodobniła ją tylko do subtelnej flamandzkiej Madonny – lecz Lia wolała nie ryzykować wyjazdu.

Spędziłem ze starymi znajomymi trzy wesołe wieczory, a kiedy wracaliśmy już autokarem do Lizbony, doszło do sporu, czy zrobić przerwę w podróży w Fatimie, czy w Tomarze. W Tomarze był zamek, w którym portugalscy templariusze mieli swoją twierdzę, kiedy dobrotliwość króla i papieża uratowała ich, pozwalając się przeobrazić w Zakon Rycerzy Chrystusa. Nie wybaczyłbym sobie, gdybym stracił okazję zobaczenia zamku templariuszy; na szczęście reszta towarzystwa też nie należała do entuzjastów Fatimy.

Tomar doskonale pasował do moich wyobrażeń o zamku templariuszy. Dojeżdża się tam obwarowaną drogą, biegnącą wzdłuż zewnętrznych murów, z otworami strzelniczymi

w kształcie krzyża, i od pierwszej chwili oddycha się atmosferą krucjat. Rycerze Chrystusa przez całe wieki mieli tu dogodną siedzibę. Tradycja mówi, że zarówno Henryk Żeglarz, jak i Krzysztof Kolumb należeli do zakonu, a skutkiem tego były ich morskie wyprawy, które przyniosły bogactwa Portugalii. Ponieważ templariusze długo i bezpiecznie władali tym miejscem, zamek był w rozmaitych wiekach odbudowywany i rozbudowywany, toteż do części średniowiecznej doszła renesansowa i barokowa. Ze wzruszeniem wszedłem do kościoła z jego ośmiokątną rotundą naśladującą Święty Grób. Zaciekał mnie fakt, że krzyże templariuszy miały tutaj rozmaite kształty. Zastanawiałem się nad tym już dawniej, kiedy przeglądałem chaotyczną ikonografię tego zagadnienia. Przecież krzyż kawalerów maltańskich był zawsze mniej więcej taki sam, podczas gdy forma krzyża templariuszy, jak mi się wydawało, zmieniała się zależnie od czasów i lokalnej tradycji. Dlatego też łowcy templariuszy każdy znaleziony krzyż mogą przypisać właśnie templariuszom.

Potem przewodniczka zaprowadziła nas do manuelińskiego okna, prawdziwego *janela*, istnego tunelu, kolażu morskich i podmorskich znalezisk, alg, muszli, kotwic, lin, łańcuchów – dla uczczenia wyczynów rycerzy na oceanach. A po obu stronach owego okna, jakby opasując dwie wieżyczki, które stanowiły jego obramowanie, wyrzeźbiono znak Podwiązki. Co robił symbol zakonu angielskiego w warownym klasztorze portugalskim? Przewodniczka nie potrafiła tego wyjaśnić, ale chwilę później, po drugiej stronie, chyba północno-zachodniej, zobaczyłem znak Złotego Runa. Nie mogłem powstrzymać się od myśli o subtelnej sieci powiązań między Podwiązką a Złotym Runem, Złotym Runem a Argo-

nautami, Argonautami a Graalem, Graalem a templariuszami. Przypomniały mi się zaraz opowieści, jakie snuł Ardent, i niektóre stronice z maszynopisów diabolistów... Aż drgnąłem, kiedy przewodniczka zaprowadziła nas do jakiejś mniej ważnej sali i wskazała na sklepienie z kilkoma zwornikami. Były to małe rozety, ale na paru zobaczyłem wyrzeźbioną twarz, brodatą i mgliście koźłą. Bafomet...

Zeszliśmy do krypty. Najpierw siedem stopni, potem marsz po kamiennej posadzce i znaleźliśmy się w absydzie, gdzie zapewne był kiedyś ołtarz albo stało krzesło wielkiego mistrza. Dociera się do tego miejsca, przechodząc pod siedmioma coraz większymi zwornikami w kształcie róży, przy czym ostatnia z tych róż, największa, znajduje się nad studnią. Krzyż i róża, i w klasztorze templariuszy, i w pomieszczeniu z całą pewnością zbudowanym przed manifestami różokrzyżowymi... Zacząłem wypytywać przewodniczkę, a ona uśmiechnęła się. „Czy wie pan, ilu badaczy nauk tajemnych pielgrzymuje do tego miejsca? Powiada się, że była to sala wtajemniczenia...”

Wszedłem przypadkiem do jakiegoś jeszcze nieodrestaurowanego pomieszczenia, gdzie zobaczyłem parę pokrytych kurzem sprzętów i mnóstwo kartonowych pudeł na posadzce. Zajrzałem na chybił trafił i wpadły mi w ręce strzępy ksiązek po hebrajsku, przypuszczalnie z XVII wieku. Co robili Żydzi w Tomarze? Przewodniczka wyjaśniła, że rycerze żyli w dobrych stosunkach z miejscową wspólnotą żydowską. Zaprowadziła mnie do okna i pokazała ogród w stylu francuskim, przypominający układem mały, wytworny labirynt. Dzieło – oznajmiła – siedemnastowiecznego żydowskiego architekta, Samuela Schwartza.



Drugie spotkanie, w Jerozolimie... A pierwsze w zamku. Czyż nie o tym mówił tekst z Provins? Na Boga, zamkiem z ordonansu znalezionej przez Ingolfa nie był mało prawdopodobny Monsalwat z romansów rycerskich ani hiperborejska wyspa Avalon! Jakież miejsce może być stosowniejsze do dowodzenia komandoriami niż do rozczytywania się w romansach Okrągłego Stołu, kiedy stoi się, jak templariusze z Provins, wobec nieuniknionej konieczności wyznaczenia pierwszego spotkania? Tomar, zamek Rycerzy Chrystusa, gdzie niedobitki zakonników cieszyły się pełną wolnością, niewzruszonymi gwarancjami i gdzie można było utrzymywać kontakt z wysłannikami drugiej grupy!

Z Tomaru i z Portugalii wyjechałem z głową w płomieniach. W końcu zacząłem traktować z całą powagą przekaz dostarczony nam przez Ardentiego. Templariusze, zawiązawszy tajny zakon, przygotowują przewidziany na sześćset lat plan, który dopiero w naszym wieku ma doczekać się realizacji. Byli ludźmi poważnymi. Jeśli więc mówili o zamku, mieli na myśli jakieś miejsce istniejące naprawdę. Punktem wyjścia dla planu byłby więc Tomar. Jaki zaś byłby idealny szlak? Jaka konsekwencja następnych pięciu wyznaczonych miejsc? Musiały to być miejsca, w których templariusze mogliby liczyć na przyjaźń, ochronę, współpracę. Pułkownik wspomniał o Stonehenge, wyspie Avalon, Agartcie... Bajdurzenie. Cały tekst należy odczytać na nowo.

Naturalnie - mówiłem sobie, wracając do Mediolanu - nie chodzi o odkrycie tajemnicy templariuszy, ale o jej skonstruowanie.

Belbo zrobił minę, jakby nie miał wielkiej ochoty wracać do dokumentu zostawionego przez pułkownika, i bez entuzja-

zmu szperał w dolnej szufladzie. Jednak go zachował. Razem przeczytaliśmy tekst z Provins. Po tylu latach.

Zaczynało się od zdania zaszyfrowanego według Tritemiusza: *Les XXXVI inuisibles separez en six bandes*. A dalej:

*a la ... Saint Jean  
36 p charrete de fein  
6 ... entiers avec saiel  
p... les blancs mantiax r ... s ... chevaliers de Pru-  
ins pour la ... j . nc  
6 foiz 6 en 6 places  
chascune foiz 20 a ... 120 a ...  
iceste est l'ordonation  
al donjon li premiers  
it li secunz joste iceus qui ... pans  
it al refuge it a Nostre Dame de l'altre part de  
l'iau  
it a l'ostel des popelicans  
it a la pierre  
3 foiz 6 avant la feste la Grant Pute.*

- Trzydzieści sześć lat po wozie z sianem, w noc świętego Jana roku tysiąc trzysta czterdziestego czwartego, sześć pism opieczętowanych przez rycerzy w białych płaszczach, rycerzy uratowanych w Provins dla pomsty. Sześć razy sześć w sześciu miejscach, co dwadzieścia lat, a więc razem przez sto dwadzieścia lat, oto Plan. Pierwsi idą do zamku, potem u tych, którzy jedli chleb, potem w kryjówce, potem u Naszej Pani z drugiej strony rzeki, potem dom popelican, a wreszcie przy kamieniu. Pomyślcie tylko, w roku tysiąc trzysta czterdziestym czwartym tekst powiada, że pierwsi mają udać się

do zamku. I rzeczywiście, rycerze osiedlili się w Tomarze w tysiąc trzysta pięćdziesiątym siódmym roku. Musimy teraz się zastanowić, gdzie udała się druga grupa. No dalej! Proszę sobie wyobrazić, że jest pan uciekającym templariuszem. Gdzie by się pan udał, żeby utworzyć drugi zawiązek?

- No... Jeśli prawdą jest, że ci od wozu uciekli do Szkocji... Czemu jednak w Szkocji mieliby jeść chleb?

Byłem teraz nie do pobicia w wynajdowaniu łańcuchów skojarzeń. Wystarczy obrać sobie dowolny punkt wyjścia, Szkocja, Highlands, ryty druidów, noc świętojańska, przesilenie letnie, ogniska świętojańskie, złota gałąź... Oto trop, aczkolwiek wąty. Czytałem o ogniskach świętojańskich w *Złotej gałęzi* Frazera.

Zadzwoiłem do Lii.

- Bądź tak dobra, weź do ręki *Złotą gałąź* Frazera i zobacz, co on pisze o ogniskach świętojańskich.

W takich sprawach Lia była niezrównana. Natychmiast odnalazła właściwy rozdział.

- Co chcesz wiedzieć? To odwieczny kult, praktykowany w prawie wszystkich krajach europejskich. Świętuje się chwilę, kiedy słońce dochodzi do szczytu swojej wędrówki, a święty Jan jest na doczepkę, żeby całą sprawę schrystianizować...

- Czy jedli tam chleb, to znaczy w Szkocji?

- Poczekaj... Chyba nie... O, mam. Owszem, jedli, ale nie na świętego Jana, tylko w noc pierwszomajową, w noc ognisk Beltane, święta o pochodzeniu druidycznym, a zwłaszcza w szkockich Highlands...

- Otóż to! Dlaczego jedli chleb?

- Zagniatali placki z razowej i owsianej mąki i piekli je na

ognisku... Potem przystępowali do obrzędu będącego wspomnieniem ofiar z ludzi... Te podpłomyki nazywały się *bannock*...

- Jak? *Spell, please!*

Przeliterowała słowo, ja zaś podziękowałem, oznajmiłem, że jest moją Beatrycze, moją fatum Morganą, i dodałem mnóstwo innych czułych rzeczy. Starąłem się przypomnieć sobie moją hipotezę. Zgodnie z legendą utajony zawiązek pojawił się w Szkocji przy królu Robercie Brusie, któremu templariusze pomogli wygrać bitwę pod Bannock Burn. W nagrodę król utworzył z nich nowy zakon - Świętego Andrzeja Szkockiego.

Wziąłem z półki wielki słownik angielski i odszukałem: *bannock* w średniowiecznej angielszczyźnie (*bannuc* w dawnym saksońskim, *bannach* po gaelicku) to rodzaj placka z jęczmienia, owsa lub innego zboża, pieczonego na płycie kuchennej albo ruszcie. *Burn* to potok. Wystarczyło przetłumaczyć to tak, jak uczyniliby to francuscy templariusze, śląc wiadomości ze Szkocji swoim rodakom w Provins, i wychodziło coś w rodzaju strumienia podpłomyków albo bułek, albo chlebów. Ten, kto jadł chleb, odniósł też zwycięstwo nad potokiem chleba, mamy więc ów szkocki zawiązek, który w tamtych czasach rozprzestrzenił się już być może na całe Wyspy Brytyjskie. To logiczne: z Portugalii do Anglii droga jest krótka, w przeciwieństwie do wyprawy z bieguna do Palestyny.

Niechaj twoje szaty będą białe jak śnieg... Jeśli jest noc, rozpal mnóstwo świateł, aż wszystko zajaśnieje... Teraz zacznij łączyć kilka liter, albo i dużo, przemieszczaj je i składaj, by rozgrzało ci się serce. Miej baczność na ruchy liter i na to, co możesz uzyskać, mieszając je. A kiedy spostrzeżesz, iż serce ci się już rozgrzało, kiedy ujrzysz, iż poprzez kombinacje liter domyślasz się rzeczy, których nie mogłeś pojąć sam ani przy wsparciu tradycji, kiedy gotów jesteś przyjąć przenikający w ciebie strumień boskiej mocy, użyj wówczas całej głębi swojej myśli, by przedstawić sobie w swym sercu Imię i Jego najwyższe anioły, jakby były istotami ludzkimi, które stanęły obok.

Abulafia, *Haje ha-Olam ha-Ba*

- To ma sens - oznajmił Belbo. - Gdzie w takim razie byłaby Kryjówka?

- Sześć grup osiadło w sześciu miejscach, ale tylko jedno z nich zostało nazwane Kryjówką. Interesujące. Oznacza to bowiem, że w innych miejscach, na przykład w Portugalii albo Anglii, templariusze mogli żyć sobie spokojnie, chociaż pod innym imieniem, podczas gdy tam musieli się ukrywać. Powiedziałbym, że Kryjówka to miejsce, gdzie schronili się templariusze z Paryża po opuszczeniu Templum. Ponieważ wydaje się również, iż najrozsądniejszy szlak prowadzi z Anglii do Francji, czemu nie mielibyśmy wyobrazić sobie, że templariusze urządzili sobie kryjówkę w samym Paryżu, w jakimś sekretnym i dobrze strzeżonym miejscu? Byli dobrymi politykami i pewnie sądzili, że w ciągu dwustu lat sprawy ulegną odmianie i będą mogli znowu działać w pełnym, albo prawie pełnym, świetle dnia.

- Zgoda na Paryż. A co zrobimy z czwartym miejscem?

Pułkownik myślał o Chartres, skoro jednak przyjęliśmy jako trzecie Paryż, nie możemy brać Chartres jako czwartego,

gdyż Plan musiał obejmować oczywiście wszystkie ośrodki europejskie. A zresztą porzucamy teraz trop mistyczny i podążamy tropem politycznym. Wygląda na to, że zmiany miejsc odbywały się ruchem węzowym, i dlatego musimy przenieść się teraz do północnych Niemiec. Otóż po drugiej stronie rzeki czy wody, a zatem po drugiej stronie Renu, jest na ziemi niemieckiej miasto, nie zaś kościół, poświęcone Matce Boskiej. Nieopodal Gdańska było miasto Najświętszej Panny, Marienburg.

- Dlaczego wyznaczyli sobie spotkanie właśnie w Marienburgu?

- Ponieważ był stolicą Krzyżaków! Stosunki między templariuszami a Krzyżakami nie są tak zabagnione jak między templariuszami a szpitalnikami, którzy niby sępy tylko czyhają na kasatę Świątyni, by zawładnąć jej dobrami. Zakon krzyżacki został utworzony w Palestynie przez cesarzy niemieckich jako przeciwwaga dla templariuszy, ale Krzyżacy bardzo wcześnie wywędrowali na północ, żeby powstrzymać inwazję pruskich barbarzyńców. I tak dziarsko przystąpili do dzieła, że po dwóch wiekach mieli państwo obejmujące wszystkie tereny nadbałtyckie. Ich teren działania to Polska, Litwa, Łotwa. Założyli Koenigsberg, ponieśli jedną jedyną klęskę, w Estonii, z ręki Aleksandra Newskiego, i mniej więcej w okresie aresztowania templariuszy w Paryżu ustanowili stolicę swojego państwa w Marienburgu. Jeśli istniał plan opanowania świata przez rycerstwo zakonne, templariusze i Krzyżacy podzielili się strefami wpływów.

- Wie pan co? Zgoda - oznajmił Belbo. - Teraz piąta grupa. Gdzie są ci *popelicans*?

- Nie wiem.

- Rozczarował mnie pan, Casaubon. Może powinniśmy zapytać o to Abulafię?

- O nie, proszę pana - odparłem urażony. - Abulafia ma nam podsuwać niezwykle skojarzenia. Ale *popelicans* to fakt, nie zaś skojarzenie, a fakty są sprawą Sama Spade'a. Proszę więc o kilka dni zwłoki.

- Daję panu dwa tygodnie - oświadczył Belbo. - Jeśli w tym czasie *popelicans* nie znajdą się tutaj, będzie mi się należała butelka ballantine Twelve Years Old.

To nie na moją kieszeń. Po tygodniu rzuciłem *popelicans* moim zachłannym partnerom.

- Wszystko już jasne. Proszę podążać za mną, bo musimy się cofnąć aż do czwartego wieku, na tereny Bizancjum, kiedy nad Morzem Śródziemnym szerzyły się rozmaite ruchy czerpiące natchnienie z manicheizmu. Zaczniemy od archontyków, sekty założonej w Armenii przez Piotra z Kafarbaruchy, który, musicie to przyznać, nosił piękne imię. Antyżydowski, diabeł utożsamiany z Sabaot, bogiem Żydów, zamieszkującym siódme niebo. Żeby dotrzeć do Wielkiej Matki w ósmym niebie, trzeba odrzucić Sabaot oraz chrzest. W porządku?

- Dobrze, odrzucamy go - zgodził się Belbo.

- Ale archontycy to faceci wielkiej zacności. W piątym wieku pojawiają się messalianie, którzy, nawiasem mówiąc, przetrwali w Tracji aż do jedenastego wieku. Messalianie nie są dualistami, lecz monarchistami. Żyją jednak za pan brat z mocami piekielnymi, i to do tego stopnia, że w niektórych tekstach mówi się o nich jako o borborytach, od *borboros*, błoto, a to z powodu tego, co wyprawiali i o czym trudno nawet powiedzieć.

- Cóż takiego robili?

- Nic nadzwyczajnego. Mężczyźni i kobiety wznosili do nieba dłonie wypełnione własnymi wydzielinami, spermą i krwią miesięczkową, które potem zjadali, mówiąc, że to ciało Chrystusa. Jeśli przypadkiem kobieta zaszła w ciążę, w odpowiednim czasie wpychali jej dłoń do brzucha, wrywali płód, miażdżyli go w mózdzierzu, mieszały z miodem i pieprzem i - zjadaj to, co ciebie zjada.

- Co za ohyda! - wtrącił się Diotallevi. - Miód z pieprzem!

- Tacy więc byli messalianie, których jedni nazywali stratiotykami albo fibionitami, inni zaś barbelitami, a którzy dzielili się na naaseńczyków i femionitów. Ale według niektórych ojców Kościoła barbelici byli zapóźnionymi gnostykami, a więc dualistami, czcili Wielką Matkę Barbelo, a ich wtajemniczeni nazywali borborian hylikami, to znaczy synami materii, w odróżnieniu od psychików, którzy już byli czymś lepszym, oraz pneumatyków, którzy byli po prostu wybranymi, tworzyli w tym wszystkim jakby Rotary Club. Ale być może stratiotyki byli tylko hylikami dla mitraistów.

- Czy nie jest to odrobinę zagmatwane? - spytał Belbo.

- Z konieczności. Nie zostawili po sobie żadnych dokumentów. Znamy ich tylko z plotek rozsiewanych przez wrogów. Nieważne. Chciałem wam jedynie uświadomić, jaki zamęt panował wówczas w obszarze śródziemnomorskim. I żeby wyjaśnić, skąd się wzięli paulicjanie. Byli to zwolennicy niejakiego Pawła, do których dołączyli wypędzeni z Albanii ikonoklaści. Począwszy od ósmego wieku, mnożyli się jak króliki, z sekty stali się wspólnotą, ze wspólnoty zgrają, ze zgrai potęgą polityczną, aż władców Bizancjum ogarnął niepokój i zaczęli słać przeciwko nim cesarskie wojska. Rozprze-



strzenili się po granice świata arabskiego, rozlali w stronę Eufratu, przeniknęli terytorium bizantyjskie aż po Morze Czarne. Wszędzie po trochu zakładali swoje kolonie i spotykamy ich jeszcze w siedemnastym wieku, kiedy to zostali nawróceni przez jezuitów, a nawet w naszych czasach istnieją ich wspólnoty na Bałkanach i dalej na południe. W co wierzą paulicjanie? Wierzą w Boga jedynego i troistego, z tym że do dzieła stworzenia świata wtrącił się Demiurg i sami widzimy, jakie są tego rezultaty. Odrzucali Stary Testament, nie przyjmowali sakramentów, gardzili krzyżem i nie czcili Maryi, gdyż Chrystus wcielił się w niebie, a Matka Boska była tylko pośredniczką. Bogomiłowie, którzy od tamtych czerpali przynajmniej częściowo inspirację, powiedzą, że Chrystus wniknął w Maryję przez ucho i wyszedł przez drugie, ona zaś nawet tego nie zauważyła. Niektórzy oskarżali ich jeszcze o to, że czcili słońce i diabła i mieszały krew dzieci z chlebem i winem eucharystycznym.

- Jak wszyscy.

- Były to czasy, kiedy uczestniczenie we mszy musiało być dla heretyka istną udręką. Równie dobrze mógłby przejść na islam. Ale tacy właśnie byli. I mówię o tym dlatego, że kiedy heretycy dualiści rozmnożyli się we Włoszech i Prowansji i chciano podkreślić, iż są tacy sami jak paulicjanie, nazywano ich popelikanami, publikanami, populikanami, którzy *gallice etiam dicuntur ab aliquis popellicant!*

- Mamy ich wreszcie!

- Istotnie. W dziewiątym wieku paulicjanie nadal doprowadzali do rozpaczki władców Bizancjum, aż cesarz Bazyli przysiągł, że jeśli dostanie w swoje ręce ich przywódcę, Chryzocheira, który wtargnął do kościoła Świętego Jana Apo-

stoła w Efezie i poił konia z naczynia z wodą święconą...

- Ciągle ta sama słabostka - zauważył Belbo.

- ...to wpakuje mu w głowę trzy strzały. Wysłał więc cesarską armię, Chryzocheira pojmano, ścięto, posłano głowę cesarzowi, ten zaś ustawił ją przed sobą na stole, na *trumeau*, na kolumnie z porfiru, i ciach, ciach, ciach wbił w nią trzy strzały: jak sądzę, po jednej w każde oko, a trzecią w usta.

- Wspaniali ludzie - oświadczył Diotallevi.

- Nie robili tego z niegodziwości - wyjaśnił Belbo. - Chodziło o sprawy wiary. Substytut rzeczy oczekiwanych.

Dalej, Casaubon, nasz Diotallevi nie chwyta teologicznych subtelności, to przecież plugawy bogobójca.

- Już kończę. Krzyżowcy zetknęli się z paulicjanami. Doszło do tego w okolicach Antiochii w trakcie pierwszej krucjaty, kiedy to paulicjanie walczyli u boku Arabów, a także podczas oblężenia Konstantynopola, wtedy bowiem wspólnota paulicjańska z Filipopolis czyniła starania, żeby na złość Frankom powierzyć miasto bułgarskiemu carowi Joannicy. Píše o tym Villehardouin. Mamy więc kontakty z templariuszami i mamy rozwiązanie naszej zagadki. Legenda powiada, że templariusze czerpali inspirację od katarów, a tymczasem było wprost przeciwnie, gdyż oni właśnie inspirowali katarów. W toku krucjat natknęli się na wspólnoty paulicjańskie i nawiązali z nimi tajne kontakty, podobnie jak nawiązywali przecież kontakty z mistykami i heretykami mużmańskimi. A z drugiej strony wystarczy prześledzić szlak z ordonansu. Nie mógł ominąć Bałkanów.

- A to dlaczego?

- Bo chyba nie ulega wątpliwości, że szóste spotkanie wy-

znaczono w Jerozolimie. Tekst mówi o wyprawie do kamienia. A gdzie znajduje się kamień, który i dzisiaj stanowi dla muzułmanów przedmiot takiej czci, że jeśli chce się go zobaczyć, trzeba zzuć buty? Ależ właśnie w samym środku meczetu Umara w Jerozolimie, w tym samym miejscu, gdzie niegdyś stała świątynia templariuszy. Nie mam pojęcia, kto miał ich oczekiwać w Jerozolimie, może jakaś grupka templariuszy, którzy zdołali przeżyć w przebraniu, albo kabalistów związanych z Portugalczykami, ale z pewnością najkrótsza droga z Niemiec do Jerozolimy wiedzie przez Bałkany, tam zaś czekała piąta grupka, paulicjanie. Sami widzicie, jak w tym momencie Plan staje się przejrzysty i zwięzły.

- Muszę powiedzieć, że mnie pan przekonał - oznajmił Belbo. - Ale w jakim miejscu na Bałkanach oczekiwali owi popelikanie?

- Moim zdaniem, naturalnymi sukcesorami paulicjan byli bułgarscy bogomiłowie, lecz templariusze z Provins nie mogli jeszcze wiedzieć, że niewiele lat później Bułgaria dostanie się na pięć wieków pod panowanie tureckie.

- Można więc sądzić, że przy przejściu od Niemców do Bułgarów Plan się załamał. Kiedy miało się to stać?

- W tysiąc osiemset dwudziestym czwartym roku - oświadczył Diotallevi.

- Skąd wiesz?

Diotallevi szybko sporządził zestawienie.

PORTUGALIA	ANGLIA	FRANCJA	NIEMCY	BUŁGARIA	JEROZOLIMA
1344	1464	1584	1704	1824	1944

- W tysiąc trzysta czterdziestym czwartym roku pierwsi wielcy mistrzowie każdej z grup osiedli w sześciu wyznaczo-

nych miejscach. W ciągu stu dwudziestu lat w każdej grupie następowało po sobie sześciu wielkich mistrzów, aż w tysiąc czterysta sześćdziesiątym czwartym roku szósty mistrz z Tomaru spotkał się z szóstym mistrzem grupy angielskiej. W tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym roku dwunasty mistrz angielski spotyka się z dwunastym mistrzem francuskim. Wszystko toczy się w tym rytmie i jeśli nie dochodzi do spotkania z Bułgarami, to przerwanie łańcucha następuje właśnie w roku tysiąc osiemset dwudziestym czwartym.

- Przypuśćmy, że w istocie nie dochodzi do tego spotkania - rzekłem. - Nie jestem jednak w stanie pojąć, czemu ludzie tak roztropni, mając w rękach cztery szóste końcowego tekstu, nie mogli odtworzyć reszty. Albo dlaczego nie nawiązali kontaktu z następną grupą, skoro już nie udało się spotkać z Bułgarami.

- Casaubon - powiedział Belbo - czy sądzi pan, że prawodawcy z Provins byli durniami? Skoro chcieli, żeby informacja pozostała zatajona przez sześćset lat, musieli się jakoś zabezpieczyć. Mistrz każdej grupy wie, gdzie ma znaleźć mistrza następnego, ale nie jest w stanie odnaleźć innych, którzy z kolei nie mają zielonego pojęcia, jak odnaleźć mistrzów grup poprzedzających. Jeżeli Niemcy nie spotkali się z Bułgarami, już nigdy się nie dowiedzą, jak odnaleźć jerozolimczyków, a i jerozolimczycy nie będą umieli nikogo odnaleźć. Jeśli zaś chodzi o odtworzenie posłannictwa z niekompletnych fragmentów, wszystko zależy od tego, jak te fragmenty zostały podzielone. Oczywiście nie zrobiono tego zgodnie z kolejnością, jaką narzuca logika. Wystarczy, że zbraknie jednego kawałka, a już całość staje się niezrozumiała. Jednocześnie ten, kto ma ów brakujący fragment, też

nie wie, co z nim począć.

- Pomyślcie tylko - rzekł Diotallevi - jeśli nie doszło do spotkania, Europa jest w tej chwili widownią utajonego baletu grup, które daremnie szukają się nawzajem, choć każda wie, że wystarczyłaby drobnostka, by zawładnąć światem. Casaubon, jak nazywa się ten specjalista od wypychania zwierząt, o którym nam mówiłeś? Może spisek jest faktem i historia sprowadza się do walki o zrekonstruowanie zaginionego posłannictwa? Jesteśmy jak ślepcy, a oni, niewidoczni, krzątają się wokół nas.

Belbo i ja wpadliśmy zapewne jednocześnie na tę samą myśl, gdyż obaj otworzyliśmy usta. Ale w tym wypadku nie było trudno o takie same skojarzenia. Wiedzieliśmy przecież, że przynajmniej dwa fragmenty tekstu z Provins, wzmianka o trzydziestu sześciu niewidzialnych podzielonych na sześć grup oraz o studwudziestoletnich okresach, pojawiają się także w dyskusji nad różokrzyżowcami.

- Ostatecznie byli to Niemcy - zauważyłem. - Czytali manifesty różokrzyżowców.

- Ale sam pan powiedział, że byli fałszywi - przypomniał Belbo.

- I co z tego? Przecież my też rekonstruujemy fałszyfikat.

- To prawda. Zapomniałem.

Elles deviennent le Diable: débiles, timorées, vaillantes à des heures exceptionnelles, sanglantes sans cesse, lacrymantes, caressantes, avec des bras qui ignorent les lois... Fi! Fi! Elles ne valent rien, elles sont faites d'un côté, d'un os courbe, d'une dissimulation rentrée... Elles baisent le serpent...

Jules Bois, *Le satanisme et la magie*,  
Chailley, Paris 1895, s. 12

Zapomniał o tym. Teraz już wiem. I z pewnością z tego właśnie okresu pochodzi ten krótki i zdumiewający plik.

---

---

NAZWA PLIKU: Ennoia

---

---

Zjawiał się u mnie niespodziewanie. Przyniosłaś trawkę. Nie chciałem tego, nie chcę dopuścić, żeby jakaś substancja roślinna wpływała na funkcjonowanie mojego mózgu (jednak kłamię, palę przeciw tytoń i piję destylaty z ziarna). Kiedy na początku lat sześćdziesiątych zdarzało się, choć bardzo rzadko, że zmuszano mnie do uczestniczenia w obiegu jointa, tego kawałka oślizgłego od śliny papieru, który przy ostatnich pociągnięciach nabijało się na szpilkę, czasem wybuchiałem śmiechem.

Ale wczoraj ty mnie poczęstowałaś, więc pomyślałem, że jest to być może twój sposób oddawania się, i paliłem z wiarą. Tańczyliśmy przytuleni, choć nikt tak już od wielu lat nie tańczy, w rytm – co za hańba! – *IV symfonii* Mahlera. Czulem, jakby w moich ramionach unosiła się w powietrzu jakaś odwieczna istota o pełnej słodczy, pomarszczonej twarzy starej kozy, żmija, która wyszła z moich łędźwi, i wielbiłem cię jako starodawną i powszechną kumę. Zapewne poruszałem się wtulony w twoje ciało, ale czulem też, iż wzbijasz się do lotu, przeobrażasz w złoto, otwierasz zamknięte drzwi, przemieszczasz przedmioty zawieszony w powietrzu. Przenikałem w głębi twojego mrocznego brzucha, Megale Apophasis. Więźniarko aniołów.

Czyż nie ciebie szukałem? Może ciągle czekam tu na ciebie. Za każdym razem traciłem cię, gdyż nie umiałem rozpoznać? Za każdym razem traciłem cię, gdyż wprawdzie rozpoznawałem, ale brakowało mi śmiałości? Za każdym razem traciłem cię, gdyż wprawdzie rozpoznawałem, ale wiedziałem, że muszę cię stracić?

Ale gdzie podziałaś się wczorajszego wieczoru? Obudziłem się rano z bólem głowy.

---

---

Pamiętamy jednak dobrze tajemne napomknienia o okresie 120 lat, z jakimi brat A... następca D i ostatni z drugiej linii sukcesji – żyjący wśród wielu spomiędzy nas – zwracał się do nas, z trzeciej linii sukcesji...

*Fama Fraternitatis*, w: *Allgemeine und general Reformation*,  
Wessel, Cassel 1614

Wziąłem się do lektury całości dwóch manifestów różokrzyżowców, *Fama* i *Confessio*. Rzuciłem również okiem na *Wesele chemiczne Christiana Rosencreutza* pióra Johanna Valentina Andreae, gdyż właśnie Andreae uważano za autora manifestów.

Manifesty ukazały się w Niemczech między rokiem 1614 a 1616, trzydzieści lat po spotkaniu Francuzów z Anglikami w 1584 roku, ale prawie sto lat przed nawiązaniem kontaktu między Francuzami a Niemcami.

Podszedłem do owych manifestów z nastawieniem, że nie będę wierzył w to, co zostało w nich napisane, lecz będę czytał między wierszami, jakby w istocie wyrażały inne treści. Wiedziałem, że trzeba przeskakiwać fragmenty i uznawać jedne zdania za mówiące więcej niż inne. Właśnie tego uczyli nas przecież diaboliści i ich mistrzowie. Kiedy człowiek porusza się w subtelnym rytmie objawień, nie może trzymać się kurczowo drobiazgowych i bezmyślnych łańcuchów logicznych ani ich monotonicznych sekwencji. Z drugiej jednak strony oba manifesty, odczytane dosłownie, stanowiły stek absurdów, zagadek i sprzeczności.

Tym samym nie mogą głosić tego, co głoszą z pozoru, a w konsekwencji nie są ani wezwaniem do głębokiej reformy duchowej, ani historią nieszczęsnego Christiana Rosencreutza. Są natomiast zaszyfrowanym orędziem, które należy od-

czytywać za pomocą określonej siatki szyfrowej, odsłaniającej jedne miejsca, zasłaniającej zaś inne. Podobnie jak to było z tekstem z Provins, gdzie liczyły się jedynie pierwsze litery. Nie dysponowałem taką siatką, lecz należało domniemywać, że istnieje, a w związku z tym czytać nieufnie.

Fakt, że oba manifesty mówiły o Planie z Provins, nie podlegał dyskusji. W grobowcu C.R. (alegoria Grange-aux-Dîmes, noc 23 czerwca 1344!) schowano przezornie skarb dla potomnych, skarb „ukryty... na sto dwadzieścia lat”. Było oczywiste, że nie chodzi tu o żadne walory pieniężne. Rzec nie tylko w tym, że podjęto polemikę z naiwną zachłannością alchemików, ale i w tym, że obiecano wielką odmianę historii. A gdyby ktoś jeszcze tego nie pojął, w następnym manifestie powtórzono, że nie powinno się ignorować oferty dotyczącej *miranda sextae aetatis* (cudów szóstego i zarazem ostatniego spotkania), i raz jeszcze stwierdzono: „Gdybyż spodobało się Bogu przenieść aż do nas światło swojego szóstego *Candelabrum*... gdybyż dało się wyczytać wszystko z jednej księgi, a czytając, pojmować i zapamiętywać to, co było... Jakże byłoby wspaniale, gdyby pieśnią (czytany na głos posłannictwem) dało się przeobrazić głązy (*lapis exillis!*) w perły i drogie kamienie...” A dalej była mowa o sekretnych arkanach, o rządzie, który powinno się ustanowić w Europie, i o „wielkim dziele”, jakiego należy dokonać...

Powiedziano tam, że C.R. udał się do Hiszpanii (a może do Portugalii?) i wskazał tamtejszym mędrcom, „gdzie zdobyć prawdziwe *indicia* przyszłych wieków”, ale zrobił to daremnie. Dlaczego daremnie? Dlaczego na początku siedemnastego wieku niemiecka grupa templariuszy podawała do publicznej wiadomości strzeżony najzazdrośniej sekret – jakby



chodziło o to, by wyjść z ukrycia i uczynić coś, żeby odblokować przekazywanie misji?

Nikt nie może zaprzeczyć, że manifesty były próbą zrekonstruowania tych etapów Planu, które przedstawił w sposób syntetyczny Diotallevi. Pierwszym bratem, tym, o którego śmierci, czy też o fakcie, że dotarł do „kresu”, napomknięto, był zmarły w Anglii brat I.O. A więc ktoś dotarł triumfalnie na pierwsze spotkanie. Wspomina się też o drugiej i trzeciej linii sukcesji. I aż do tego momentu wszystko powinno przebiegać bez zakłóceń. Druga linia, angielska, kontaktuje się z trzecią, francuską, w 1584 roku, więc ludzie piszący na początku siedemnastego wieku mogli mówić jedynie o tym, co przydarzyło się trzem pierwszym grupom. W *Weselu chemicznym*, napisanym przez Andreae w okresie młodości, a więc przed powstaniem manifestów (aczkolwiek ukazały się już w 1616 roku), wspomina się o trzech majestatycznych świątyniach, o trzech miejscach, które musiały już być znane.

Widziałem jednak jasno, że w obu manifestach, owszem, użyte są te same terminy – ale w taki sposób, jakby doszło do jakiegoś niepokojącego wydarzenia.

Dlaczego na przykład taki nacisk kładzie się na stwierdzenie, że chociaż nieprzyjaciel użył wszystkich swoich wybiegów, aby nie dopuścić do wykorzystania sposobności, nadszedł już czas, nadeszła chwila. O jaką sposobność chodzi? Mówi się, że ostatecznym celem C.R. była Jerozolima, ale nie zdołał do niej dotrzeć. Dlaczego? Wychwala się Arabów, gdyż wymieniają się informacjami, podczas gdy w Niemczech uczeni nie potrafią pomagać jedni drugim. Wspomina się też o „największej grupie, która chce mieć dla

siebie całe pastwisko”. A dotyczy to nie tylko kogoś, kto stara się zmienić Plan, by osiągnąć jakieś korzyści osobiste, ale również zmiany istotnie dokonanej.

W *Famie* podano, że na samym początku ktoś opracował magiczne pismo (ależ tak, chodzi o tekst z Provins), ale że zegar Boga bije co minutę, „nasz zaś nie potrafi wybijać nawet godzin”. Kto chybił chwili, kiedy bił zegar boży, kto nie umiał dotrzeć we właściwym momencie na wskazane miejsce? Wspomina się o pierwotnej grupce braci, którzy mogliby ujawnić tajemną filozofię, ale postanowili rozproszyć się po świecie.

Manifesty ujawniają jakieś zaniepokojenie, niepewność, poczucie zagubienia. Bracia z pierwszej linii sukcesji zadbali o to, by każdy miał „godnego następcę”, ale „zechcieli utrzymać w tajemnicy... miejsce swojego pochówku i po dzień dzisiejszy nie wiemy, gdzie ich pogrzebano”.

Do czego odnosi się ta aluzja? Czego nie wiedziano? Miejsce jakiego „pochówku” jest nieznane? Manifesty napisano dlatego, że zagubiono jakąś informację i wzywano kogoś, kto przypadkiem mógłby ją znać, aby się ujawnił - to było dla mnie oczywiste.

Zakończenie *Famy* jest jasne: „Raz jeszcze wzywamy wszystkich uczonych Europy... by z życzliwym nastawieniem rozważyli naszą ofertę... by podzielili się z nami swoimi refleksjami... Albowiem chociaż w tej chwili nie ujawniliśmy naszych imion... każdy, kto wyjawi nam swoje imię, będzie z nami rozmawiał twarzą w twarz albo - gdyby zachodziły jakieś przeszkody - na piśmie”.

Dokładnie to samo chciał uczynić pułkownik, publikując swoją historię. Skłonić kogoś do tego, by porzucił milczenie.

Chodziło o jakąś sytuację, jakiś przeskok, nawias, o jakąś lukę. W grobowcu C.R. był nie tylko napis *post 120 annos patebo*, przypominający o rytmie spotkań, ale również *Nequaquam vacuum*. Zamiast „pustki nie ma” napisano „pustki nie powinno być”. A jednak powstała pustka, którą należało wypełnić.

Raz jeszcze zadałem sobie pytanie: czemu te słowa napisano właśnie w Niemczech, gdzie czwarta linia miała co najwyżej po prostu czekać, okazując świętą cierpliwość, aż nadejdzie jej kolej? W 1614 roku Niemcy nie mogli się uzalać na chybione spotkanie w Marienburgu, bo przecież to spotkanie zostało przewidziane na rok 1704!

Można stąd wyciągnąć tylko jeden wniosek: Niemcy skarżyli się, gdyż nie doszło do spotkania poprzedniego!

Oto klucz! Niemcy z czwartej linii ubolewali nad tym, że Anglicy z drugiej linii nie nawiązali kontaktu z Francuzami z trzeciej linii! Ależ tak! Można wyłowić z tekstu alegorie, w których mogłoby się połapać nawet dziecko. Oto otwierają grobowiec C.R. i znajdują w nim podpisy braci z pierwszego i drugiego kręgu, ale z trzeciego – nie! Portugalczycy i Anglicy stawili się, ale co z Francuzami?

Tak więc dwa manifesty różokrzyżowców zawierają aluzje (które jednak trzeba umieć wyłuskać) do faktu, że Anglicy nie zdołali spotkać się z Francuzami. A zgodnie z tym, co ustaliliśmy, Anglicy jedyni wiedzieli, gdzie można było znaleźć Francuzów. Francuzi zaś byli jedynymi, którzy wiedzieli, gdzie znaleźć Niemców. Ale gdyby nawet w roku 1704 Francuzi odnaleźli Niemców, stawiliby się na spotkanie bez dwóch trzecich tego, co mieli przekazać.

Różokrzyżowcy wyszli na powierzchnię, nie zważając na

zagrożenia, jakie z tego wynikały, gdyż był to jedyny sposób uratowania Planu.

Nie mamy nawet pewności, czy Bracia z drugiej linii mieli tę samą wiedzę, co ci z pierwszej, ani czy zostali dopuszczeni do wszystkich tajemnic.

*Fama Fraternitatis*, w: *Allgemeine und general Reformation*,  
Wessel, Cassel 1614

Tonem nieznoszącym sprzeciwu wyjawilem to wszystko Belbowi i Diotalleviemu. Przyznali, że utajony sens manifestów staje się jasny nawet dla okultystów.

- Teraz widzę wszystko wyraźnie - oznajmił Diotallevi. - Wbiliśmy sobie do głowy, że Plan został zablokowany w trakcie przejścia od Niemców do paulicjan, a tymczasem przecięty został w tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym roku, między Anglią a Francją.

- Ale dlaczego? - spytał Belbo. - Czy mamy jakiś wystarczający powód tego, że w tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym roku Anglikom nie udało się spotkać z Francuzami? Przecież właśnie Anglicy, i tylko oni, wiedzieli, gdzie jest Kryjówka.

Pragnął prawdy. Uruchomił Abulafię. Zażądał na próbę podania skojarzeń między dwiema danymi. Oto wydruk:

Minnie jest narzeczoną Myszki Miki  
Trzydzieści dni ma listopad oraz kwiecień, czerwiec i wrzesień.

- Jak to zinterpretować? - spytał. - Minnie ma randkę z Myszką Miki, ale przez pomyłkę wyznacza spotkanie trzydziestego pierwszego września.

- Cisz! - wykrzyknąłem. - Minnie mogła popełnić błąd jedynie, jeśli wyznaczyła randkę na piątego października tysiąc

pięćset osiemdziesiątego drugiego roku!

- Niby dlaczego?

- Gregoriańska reforma kalendarza! Przecież to oczywiste! W roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym drugim wchodzi w życie reforma gregoriańska, dokonuje się korekty kalendarza juliańskiego i w celu przywrócenia równowagi przekreśla dziesięć dni października, od piątego do czternastego!

- Ale spotkanie we Francji zostało wyznaczone na rok tysiąc pięćset osiemdziesiąty czwarty, w noc świętojańską, dwudziestego trzeciego czerwca - przypomniał Belbo.

- To prawda. Jeśli jednak pamięć mnie nie zawodzi, reformę wprowadzono nie wszędzie jednocześnie. - Zajrzałem do wiecznego kalendarza, który stał na półce. - Mam. Reforma istotnie została ogłoszona w tysiąc pięćset osiemdziesiątym drugim roku i znosiła dni od piątego do czternastego października, ale dotyczyło to tylko papieża. Francja przyjmuje reformę w tysiąc pięćset osiemdziesiątym trzecim roku i znosi dni od dziesiątego do dziewiętnastego grudnia. W Niemczech mamy schizmę i regiony katolickie przyjmują reformę w tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym roku, podobnie jak Czechy, ale regiony protestanckie dopiero w tysiąc siedemset siedemdziesiątym piątym roku, pojmujecie, prawie dwieście lat później, nie mówiąc nawet o Bułgarii (i ten fakt warto zapamiętać), która decyduje się dopiero w tysiąc dziewięćset siedemnastym. Zobaczmy teraz Anglię... Przechodzi na kalendarz gregoriański w tysiąc siedemset pięćdziesiątym drugim! Sprawa jest jasna. Nienawisć do papistów każe anglikanom opierać się przez dwa stulecia. Sami więc widzicie, co się stało. Francja przekreśla dziesięć dni pod koniec roku tysiąc pięćset osiemdziesiątego trzeciego

i do dwudziestego trzeciego czerwca wszyscy zdążyli się już do tego przyzwyczaić. Ale kiedy we Francji jest dwudziesty trzeci czerwca tysiąc pięćset osiemdziesiątego czwartego roku, w Anglii mamy dopiero trzynasty czerwca, i chyba nie przypuszczacie, że porządny Anglik, choćby był templariuszem, uwzględnił tę okoliczność, a zwłaszcza w tamtych czasach, kiedy informacje krążyły w zwolnionym tempie. Nawet teraz mają ruch lewostronny i nie chcą słyszeć o układzie metrycznym... A więc Anglicy stawiają się na spotkanie swojego dwudziestego trzeciego czerwca, kiedy dla Francuzów jest to już trzeci lipca. W dodatku mamy prawo się domyślać, że spotkanie nie miało odbyć się przy dźwiękach fanfar, lecz ukradkowo, na wyznaczonym rozstaju dróg, o wyznaczonej godzinie. Francuzi dwudziestego trzeciego czerwca udają się na miejsce, czekają dzień, dwa, a potem odchodzą przekonani, że coś musiało się stać. Może nawet rezygnują właśnie w przeddzień, drugiego lipca. Anglicy przybywają trzeciego lipca i nie widzą nikogo. Może oni też czekali z tydzień i też bezskutecznie. W tym momencie dwaj wielcy mistrzowie się minęli.

- Wspaniałe - oznajmił Belbo. - Tak musiało być. Czemu jednak wracają do tej sprawy niemieccy różokrzyżowcy, nie zaś Anglicy?

Poprosiłem o jeszcze jeden dzień zwłoki, przewróciłem do góry nogami moją kartotekę i wróciłem do firmy, pęczniejąc z dumy. Znalazłem trop, z pozoru wprawdzie niewyraźny, ale tak przecież pracował Sam Spade, dla jego drapieżnego spojrzenia nie było rzeczy błahych. Koło roku 1584 Johnowi Dee, magowi i kabaliście, astrologowi królowej angielskiej, polecono zbadać kwestię reformy kalendarza juliańskiego.

- Anglicy spotkali Portugalczyków w tysiąc czterysta sześćdziesiątym czwartym roku. Ma się wrażenie, że po tej dacie Wyspy Brytyjskie ogarnęła jakaś kabalistyczna gorączka. John Dee to czołowy przedstawiciel tego renesansu magii i hermetyzmu. Gromadzi prywatną bibliotekę, która liczy cztery tysiące tomów i sprawia wrażenie, jakby skompletowali ją templariusze z Provins. Jego *Monas Ieroglyphica* czerpie chyba natchnienie bezpośrednio z *Tabula smaragdina*, biblii alchemików. A czym zajmuje się John Dee po tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym? Czyta *Steganographia* Tritemiusza! I to czyta w rękopisie, gdyż książka ukaże się drukiem dopiero na początku siedemnastego stulecia. Jako wielki mistrz grupy angielskiej, który poniósł klęskę, gdyż nie stawiał się na umówione spotkanie, John Dee chce się dowiedzieć, co się właściwie stało, gdzie tkwi błąd. A ponieważ był również dobrym astronomem, stuka się w końcu w czoło i wykrzykuje: ale ze mnie dureń! I żeby poszukać sposobu naprawienia błędu, zabiera się do studiowania reformy gregoriańskiej, wyłudzając przy okazji apanaże od Elżbiety. Widzi jednak, że już za późno. Nie ma pojęcia, z kim kontaktować się we Francji, ale ma znajomości w Mitteleuropa. Praga Rudolfa II jest jednym wielkim laboratorium alchemicznym, no i właśnie w tym okresie Dee udaje się tam, spotyka z Khunrathem, autorem *Amphitheatrum sapientiae aeternae*, z którego alegorycznych obrazów czerpali natchnienie zarówno Andreae, jak i różokrzyżowcy. Jakie kontakty nawiązuje Dee? Nie wiem. Udręczony wyrzutami sumienia z powodu błędu, którego nie da się już naprawić, umiera w tysiąc sześćset ósmym roku. Nic strasznego, gdyż mamy w Londynie innego osobnika, którego ludzie uznali za różokrzyżowca



i który pisał o różanym krzyżu w swojej Nowej Atlantydzie. Myślę o Francisie Baconie.

- Rzeczywiście Bacon pisał o różanym krzyżu? - spytał Belbo.

- Niezupełnie, ale niejaki John Heydon przepisuje *Nową Atlantyde*, zmieniając tytuł na *The Holy Land* i pakując do swego dzieła różokrzyżowców. Nam tylko w to graj. Bacon z oczywistych względów nie pisze niczego wyraźnie, ale wszystko jest tak, jakby pisał.

- A jeśli ktoś myśli inaczej, niech go trafi szlag.

- Tak jest. I właśnie Bacon jest duszą zabiegów zmierzających do dalszego zacieśnienia więzów między środowiskiem angielskim i niemieckim. W tysiąc sześćset trzynastym roku dochodzi do zaślubin Elżbiety, córki panującego wówczas Jakuba I, z Fryderykiem V, elektorem Palatynatu. Po śmierci Rudolfa II Praga traci swoje uprzywilejowane miejsce i jej rolę przejmuje Heidelberg. Zaślubiny książęcej pary to prawdziwy triumf templariuszowskich alegorii. Reżyseria ceremonii londyńskich została powierzona samemu Baconowi, który przedstawił alegorię mistycznego rycerstwa wraz z templariuszami na szczycie wzgórza. Nie ulega wątpliwości, że Bacon jest następcą Johna Dee jako wielki mistrz angielskiej grupy templariuszy...

- ...A ponieważ nie ulega również wątpliwości, że jest autorem dramatów Szekspira, będziemy musieli przeczytać całego Szekspira, który niechybnie pisze wyłącznie o Planie - oświadczył Belbo. - Noc świętego Jana, sen nocy letniej.

- Dwudziesty trzeci czerwca to pierwsza noc lata.

- Zwyczajna *licentia poetica*. Zastanawiam się, jak to możliwe, by nikt nigdy nie wziął pod uwagę tych symptomów, tych

dowodów. Wydaje mi się w tej chwili, że ta prawda jaśniej oślepiającym blaskiem.

- Zostaliśmy odciągnięci od myślenia racjonalnego - oświadczył Diotallevi. - Zawsze to mówiłem.

- Daj mówić Casaubonowi, który moim zdaniem wykonał wspaniałą robotę.

- Niewiele zostało do powiedzenia. Po festynach londyńskich zaczęły się festyny w Heidelbergu, gdzie Salomon de Caus urządził dla elektora wiszące ogrody, których bladą imitację oglądaliśmy, jak pamiętacie, owego wieczoru w Piemencie. W trakcie owych uroczystości pojawił się pojazd będący alegoryczną pochwałą małżonka jako Jazona, przy czym na dwóch masztach zbudowanego na platformie okrętu umieszczono symbole Złotego Runa i Podwiązki, a chyba nie zapomnieliście, że Złote Runo i Podwiązka są przedstawione także na kolumnach w Tomarze... Wszystko się zgadza. Za rok miały się ukazać manifesty różokrzyżowców, sygnał, który templariusze angielscy, pozyskawszy do współpracy paru przyjaciół z Niemiec, rozpowszechnili w całej Europie, by związać na nowo przerwana nić Planu.

- Co jednak chcieli uzyskać?

Nos invisibles pretendus sont (à ce que l'on dit) au nombre de 36, separez en six bandes.

*Effroyables pactions faictes entre le diable  
& les pretendus Invisibles,  
Paris 1623, s. 6*

- Być może operacja miała podwójny cel, z jednej strony dać sygnał Francuzom, a z drugiej związać zerwaną nić z grupą niemiecką, która zapewne uległa rozbiciu wskutek reformy luterańskiej. Ale właśnie w Niemczech wszystko najbardziej się zagmatwało. Od ukazania się manifestów mniej więcej w roku tysiąc sześćset dwudziestym pierwszym ich autorzy otrzymali zbyt dużo odpowiedzi...

Przytoczyłem kilka z mnóstwa broszurek, jakie ukazały się na ten temat i dostarczyły tyle zabawy mnie i Amparo tamtej nocy w Salwadorze.

- Prawdopodobnie są wśród nich tacy, którzy to i owo wiedzą, ale nie sposób ich wyłowić z tłumu ludzi nawiedzonych, entuzjastów biorących manifesty dosłownie, być może także prowokatorów pragnących zniweczyć całe przedsięwzięcie, warchołów, partaczy... Anglicy chcą włączyć się do dysputy, wprowadzić ją na właściwy tor i nie jest zgoła przypadkiem, że Robert Fludd, kolejny angielski templariusz, w ciągu roku pisze trzy dzieła mające podsunąć właściwą interpretację manifestów... Ale reakcja wymknęła się już spod kontroli, zaczęła się wojna trzydziestoletnia, elektora palatynskiego spotkała klęska z ręki Hiszpanów, Palatynat i Heidelberg to tereny bez ustanku płądrowane. Czechy w ogniu... Anglicy postanawiają raz jeszcze spróbować we

Francji. Różokrzyżowcy pojawiają się ze swoimi manifestami w Paryżu i przedstawiają Francuzom mniej więcej taką samą ofertę jak przedtem Niemcom. I cóż takiego możemy wyczytać z paszkwilów, które opublikował w Paryżu ktoś, kto nie ufał różokrzyżowcom i starał się mącić wodę? Że są czcicielami diabła, to jasne, ale ponieważ nawet w kalumnii nie można do końca ukryć prawdy, znajdujemy w tym tekście sugestię, że gromadzą się w Marais.

- I co z tego?

- Nie znacie Paryża? Marais to dzielnica Templum, a także, zważcie, dzielnica żydowskiego getta! Nie mówiąc już o tym, że w tych broszurkach oskarża się różokrzyżowców o kontakty z pewną sektą iberyjskich kabbalistów, Alumbrados! Być może pamflety tylko pozornie atakują trzydziestu sześciu niewidzialnych, a w istocie chcą ułatwić ich odszukanie... Gabriel Naudé, bibliotekarz Richelieu, pisze *Instructions à la France sur la vérité de l'histoire des Frères de la Rose-Croix*. Jakie instrukcje? Czyżby był rzecznikiem templariuszy z trzeciej grupki, a może tylko awanturnikiem, który usiłuje wtargnąć na cudze pole? Z jednej strony ma się wrażenie, iż on także chce, by uznano różokrzyżowców za pierwszych z brzegu demonistów, z drugiej zaś nie szczędzi insynuacji, powiada, iż istnieją jeszcze trzy kolegia różokrzyżowców, i może to prawda, gdyż po trzeciej grupce są jeszcze następne trzy. Podaje miejsca prawie bajeczne (na przykład w Indiach, na pływających wyspach), ale sugeruje też, że jedno z nich znajduje się w podziemiach Paryża.

- Sądzi pan, że daje to nam wyjaśnienie wojny trzydziestoletniej? - spytał Belbo.

- Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości - odparłem. - Richelieu, uprzywilejowany, jeśli chodzi o dostęp do informacji, gdyż dostarcza mu ich Naudé, nie chce, żeby coś działo się za jego plecami, ale wszystko myli, interweniuje zbrojnie i jeszcze bardziej mąci wodę. Nie możemy jednak przejść do porządku dziennego nad innymi dwoma faktami. W tysiąc sześćset dziewiętnastym roku, po czterdziestu latach milczenia, zbiera się w Tomarze kapituła Rycerzy Chrystusa. Poprzednie zgromadzenie miało miejsce w tysiąc pięćset siedemdziesiątym trzecim roku, niewiele lat przed tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym, prawdopodobnie chodziło o przygotowanie wspólnej z Anglikami wyprawy do Paryża, natomiast po całej aferze z manifestami zbiera się raz jeszcze, by ustalić linię postępowania, zdecydować, czy należy wziąć udział w działaniach podjętych przez Anglików, czy też spróbować jakiejś innej drogi.

- Nie ulega wątpliwości - rzekł Belbo - że ci ludzie znaleźli się teraz w labiryncie: jeden chce iść tą drogą, drugi inną, a trzeci coś wykrzykuje, nikt już nie wie, czy słyszy czyjaś odpowiedź, czy echo własnego głosu... Wszyscy działają po omacku. A co się dzieje w tym czasie z paulicjanami i jerozolimitami?

- Ba! - westchnął Diotallevi. - Nie zapominajcie, że w tym czasie szerzy się kabała luriańska i zaczyna się przebąkiwać o Pęknięciu Naczyń... I w tymże czasie coraz szersze kręgi zwolenników zyskuje opinia, koncepcja, mówiąca, że Tora jest posłaniem niekompletnym. Pewien polski tekst chasydzki powiada, że gdyby wydarzenie miało inny kształt, powstałaby inna kombinacja liter. Postawmy jednak sprawę jasno. Kabaliści wcale nie są zachwyceni tym, że Niemcy

próbują wyprzedzić moment. Właściwy porządek i kolejność Tory pozostały zatajone i są znane jedynie Najświęszemu, niech będzie pochwalony. Ale zaczynam pleść trzy po trzy, i to z waszej winy. Jeśli w Plan zostanie wplątana nawet święta Kabała...

- Jeśli Plan istnieje, musi mieścić w sobie wszystko. Albo jest globalny, albo niczego nie wyjaśnia - zauważył Belbo. - Ale Casaubon wspomniał o jakiejś drugiej wskazówce.

- Tak jest. A nawet o całej serii wskazówek. Zanim jeszcze nadszedł fatalny rok tysiąc pięćset osiemdziesiąty czwarty, rok nieudanego spotkania, John Dee zajął się studiami kartograficznymi i propagowaniem wypraw morskich. I z kim się brata? Z Pedrem Nuñezem, nadwornym kosmografem króla Portugalii... Dee nakłania do wypraw, które doprowadziłyby do odkrycia północno-zachodniej drogi do Chin, inwestuje pieniądze w ekspedycję niejakiego Frobishera, ten płynie w stronę bieguna i wraca z Eskimosem, którego wszyscy biorą za Mongoła, podbechtuje Francisa Drake'a do podróży dokoła świata, myśli o rejsie w stronę wschodnią, wschód bowiem jest zasadą wszelkiej wiedzy zakrytej, a przed wyruszeniem sam już nie wiem której z tych wypraw przyzywa anioły.

- I co miałyby to znaczyć?

- Wydaje mi się, że Dee w gruncie rzeczy nie interesuje się odkrywaniem rozmaitych miejsc, lecz ich odwzorowywaniem kartograficznym, i z tego właśnie powodu współpracuje z Merkatorom i Orteliuszem, wielkimi kartografami. Ma się wrażenie, jakby z fragmentów tekstu, który wpadł mu w ręce, zrozumiał, że ostateczna rekonstrukcja musi doprowadzić do jakiejś mapy, i próbował dokonać tego własnymi

siłami. A nawet gotów byłbym, jak pan Garamond, powiedzieć, że więcej. Czy to możliwe, żeby uwagi uczonego tego kalibru uszedł rozziw między kalendarzami? A jeśli było to starannie przemyślane? Dee robi wrażenie, jakby chciał na własną rękę zrekonstruować tekst, wyprzedzając inne grupki. Podejrzewam, że to jemu zawdzięczamy pogląd, iż posłannictwo można uzupełnić, stosując metody magiczne lub naukowe, nie czekając na spełnienie Planu. Syndrom niecierpliwości. Kształtuje się typ mieszczańskiego konkwistadora, skażeniu ulega zasada solidarności, będąca wszak fundamentem rycerstwa duchowego. Skoro na taki pomysł wpadł Dee, nie warto nawet mówić o Baconie. Od tej chwili Brytyjczycy starają się dotrzeć do tajemnicy, wykorzystując wszystkie sekrety nowej nauki.

- A Niemcy?

- Niemcom najlepiej zostawmy drogę tradycyjną. W ten sposób będziemy mogli objaśnić przynajmniej dwa wieki historii filozofii i starcie anglosaskiego empiryzmu z romantycznym idealizmem...

- Stopniowo rekonstruujemy historię świata - powiedział Diotallevi. - Piszemy na nowo Księgę. To mi się podoba, i jeszcze jak.

Inny ciekawy przypadek kryptografii przedstawił publiczności w 1917 roku jeden z najlepszych historiografów Bacona, doktor Alfred von Weber Ebenhoff z Wiednia. Korzystając z metod wypróbowanych już w odniesieniu do dzieł Szekspira, zastosował je do utworów Cervantesa... w toku badań odkrył rewolucyjny dowód materialny: pierwszy angielski przekład *Don Kichota*, dzieło Sheltona, nosi poprawki, które wyszły spod ręki Bacona. Wyciągnął stąd wniosek, że ta wersja angielska jest w istocie oryginałem powieści i że Cervantes opublikował tylko wersję hiszpańską.

J. Duchaussoy, *Bacon, Shakespeare ou Saint-Germain?*,  
La Colombe, Paris 1962, s. 122

To, że w następnych dniach Belbo rzucił się łapczywie na dzieła historyczne dotyczące różokrzyżowców, wydawało mi się czymś zupełnie oczywistym. Kiedy jednak wyjawiał nam konkluzje, wydobywał ze swoich fantazji tylko nagi wątek, który dostarczył nam zresztą cennych sugestii. Teraz już wiem, że na Abulafii pisał historię znacznie bardziej złożoną, w której szalone igraszki cytatai mieszały się z fragmentami jego własnych mitów. Stanąwszy wobec możliwości dowolnego zestawiania czyjejs historii, poczuł chęć napisania swojej fikcyjnej opowieści. Nam nie pisańł o tym słowa. I nęka mnie wątpliwość, czy zdobywając się na swoistą odwagę, badał doświadczalnie własne możliwości artykułowania fikcji, czy też utożsamiał się jak pierwszy lepszy diabolista z Wielką Historią, którą wywracał do góry nogami.

---

NAZWA PLIKU: Dziwny gabinet doktora Dee

---

Z biegiem czasu zapominam, że jestem Talbotem. A w każdym razie odkađ postanowiłem, że będę nazywał się Kelley. W gruncie rzeczy sfalszowałem tylko dokumenty, a to robią przecież wszyscy. Ludzie królowej nie wiedzą, co to litość. Żeby ukryć moje biedne odcięte uszy, muszę nosić tę czarną myckę, i wszyscy szepczą, że jestem magiem. Niech tam. Doktor Dee czerpie korzyści z tej sławy.



Zastałem go w Mortlake zajętego oglądaniem jakiejś mapy. Demoniczny starzec ani myślał wyjść poza ogólniki. Złowrogie błyski w chytrych oczkach, kości sta dłoń gładząca kozią bródkę.

– To manuskrypt Rogera Bacona – oznajmił. – Pożyczył mi go Rudolf II. Czy znasz Pragę? Radzę odwiedzić to miasto. Mógłbyś znaleźć tam coś, co odmieniłoby twoje życie. *Tabula locorum rerum et thesaurorum absconditorum Menabani...*

Udało mi się zerknąć na próbę transkrypcji tajnego alfabetu. Ale doktor zaraz ukrył manuskrypt pod stosem innych pożółkłych kart. Żyć w czasach i w środowisku, gdzie każda karta jest pożółkła, nawet jeśli dopiero co wyszła z warsztatu papiernika!

Pokazałem doktorowi Dee niektóre moje próby, a przede wszystkim wiersze poświęcone Dark Lady. Świetlisty wizerunek z mojego dzieciństwa, ciemny, gdyż wchłonięty w mrok czasu i wymykający się z mej mocy. I moja tragiczna improwizacja, historia Jima Konopiarza, który wraca do Europy w świetle sir Waltera Raleigha i zastaje ojca martwego, a brata – kazirodcę. Lulek czarny.

– Nie brak ci fantazji, panie Kelley – oznajmił Dee – i potrzebujesz grosza. Jest taki młodzieniec, naturalny syn kogoś, czyjego imienia nie śmiem nawet pomyśleć, który pragnie sławy i zaszczytów. Cierpi na niedostatek talentu, ty więc, pozostając w ukryciu, będziesz jego duszą. Pisz i żyj w cieniu jego chwały, panie Kelley, tylko ty i ja będziemy wiedzieli, że tobie się ona należy.

Tak więc spędziłem całe lata, pracując nad intrygami, które przed królową i całą Anglię trafiały pod imieniem tego bladego młodzieńca. *If I have seen further it is by standing on ye sholders of a Dwarf*. Miałem trzydzieści lat i nikt mi nie powie, że jest to najpiękniejszy okres życia.

– Williamie – powiedziałem mu – zapuść sobie włosy, by zasłaniały uszy, będzie ci do twarzy. – Miałem swój plan (podszyć się pod niego?).

Czy można żyć z nienawiścią do Trzęsidzidy, którym w istocie się jest samemu? *That sweet thief which sourly robs from me*.

– Zachowaj pogodę ducha, panie Kelley – mówił mi Dee. – Wzrastać w cieniu to przywilej tych, którzy gotują się do podboju świata. *Keepe a Lowe Profyle*. William będzie jedną z naszych twarzy. – I wyjawiał mi (och, tylko częściowo) prawdę o Kosmicznym Spisku. O tajemnicy templariuszy.

– A miejsce? – spytałem.

– *Ye Globe*.

Od dawna kładłem się spać z kurami, ale pewnego razu przeszukałem o północy osobistą szkatułę Dee, odkryłem pewne formuły, chciałem przyzwać anioły, jak on to czynił przy pełni Księżyca. Dee znalazł mnie zwałonego w samym środku kręgu Makrokosmosu, jakby smagniętego batem. Na czole pentakl Salomona. Teraz muszę jeszcze bardziej naciągać na oczy moją myckę.

– Nie wiesz jeszcze, jak to czynić – oświadczył Dee. – Bacz na siebie, bo każę ci wyrwać także nozdrza. *I will show you Fear in a Handful of Dust...*

Uniósł wychudłą dłoń i wypowiedział straszliwe słowo: Garamond! Poczulem, że płonę wewnętrznym ogniem. Uciekłem (w noc).

Trzeba było roku, żeby Dee wybaczył i zadedykował mi swoją Czwartą

Księgę Tajemnic *post reconciliationem kellianam*.

Tego lata miały mną szaleć abstrakcji. Dee wezwał mnie do Mortlake, byłem ja, William, Spenser i młody arystokrata o umykającym spojrzeniu, Francis Bacon. *He had a delicate, lively, hazel Eie. Doctor Dee told me it was like the Eie of a Viper.* Dee wyjawiał nam część prawdy o Kosmicznym Spisku. Chodziło o spotkanie w Paryżu francuskiej gałęzi templariuszy i połączenie dwóch części mapy. Udadzą się tam Dee i Spenser w towarzystwie Pedra Nuñeza. Mnie i Baconowi powierzył pewne dokumenty – pod przysięgą, że otworzymy je tylko wtedy, jeśli oni nie wrócą.

Wrócili, obrzucając się wzajemnie obelgami.

– To niemożliwe – mówił Dee. – Plan jest matematycznie ścisły, ma doskonałość mojej *Monas Ieroglyphica*. Musieliśmy ich spotkać, była noc świętego Jana!

Nie cierpię, kiedy się mnie nie docenia. Spytałem:

– O którą noc świętojańską chodzi, ich czy naszą?

Dee klepnął się w czoło i wyrzucił z siebie straszliwe przekleństwa.

– *Oh, from what power hast thou this powerful might?*

Błady William natychmiast zanotował sobie to zdanie, co za nędzny plagiator! Dee szperał gorączkowo w almanachach i kronikach.

– Na rany Boga żywego, jakże mogłem być takim głupcem? – Obrzucał obelgami Nuñeza i Spensera. – Czy sam muszę myśleć o wszystkim? Kosmograf jak z koziej dupy trąba! – wrzasnął do Nuñeza, siny ze złości. Potem krzyknął jeszcze: – Amanasie Zorobabel! – Nuñez, jakby tryknięty przez niewidzialnego barana prosto w brzuch, cofnął się, pobladły, kilka kroków i runął na ziemię. – Głupiec! – rzucił mu Dee.

Spenser był błady jak chusta. Powiedział z wysiłkiem:

– Można by zarzucić przynętę. Kończę właśnie poemat, alegorię poświęconą władczyni przeznaczenia, i miałem ochotę wprowadzić rycerza różokrzyżowca... Proszę mi na to pozwolić. Prawdziwi templariusze rozpoznają się wzajemnie, rozumieją więc, że wiemy, i nawiążą z nami kontakt...

– Znam cię – odparł Dee. – Zanim to napiszesz i ludzie przeczytają twój poemat, minie *lustrum* albo i lepiej. Ale pomysł z wabikiem nie jest taki zły.

– Czemu nie skontaktujesz się z nimi przy pomocy aniołów? – spytałem.

– Głupcze! – Tym razem skierował tę obelgę do mnie. – Czyż nie czytałeś Tritemiusza? Aniołowie odbiorcy są po to, by wyjaśnić mu posłannictwo, które otrzyma. Moi aniołowie nie są konnymi posłańcami. Chybiliśmy Francuzów. Ale mam pewien plan. Wiem, jak odnaleźć kogoś z linii niemieckiej. Trzeba pojechać do Pragi.

Usłyszeliśmy jakiś hałas, ciężka zasłona z adamaszku uniosła się, zobaczyliśmy przezroczystą dłoń, a potem ukazała się Ona. Szlachetna Dziewica.

– Jej Królewska Mość! – wykrzyknęliśmy, padając na kolana.

– Dee – rzekła Ona – wiem o wszystkim. Nie sądzicie, że po to moi przodkowie ocalili niegdyś rycerzy, by powierzyć im władanie nad światem. Domagam się, słyszysz, domagam, żeby tajemnica przeszła w posiadanie Korony.

– Wasza Królewska Mość, pragnę tajemnicy. Za wszelką cenę. Pragnę jej dla

Korony. Muszę odnaleźć innych jej powierników, skoro nie ma krótszej drogi, ale kiedy ufnie przekażą mi swoją wiedzę, bez trudu usunę ich za pomocą sztyletu albo *aqua tofana*.

Na obliczu Królowej Dziewicy pojawił się przerażający uśmiech.

– Tak będzie dobrze, mój pocziwy Dee... Nie chcę wiele, tylko władzy całkowitej. A jeśli ci się uda, dostaniesz Podwiązkę. Dla ciebie zaś, Williamie... – zwróciła się z lubieżnym uśmiechem w stronę małego pasożyta – jeszcze jedna podwiązka i jeszcze jedno złote runo. Chodź ze mną.

Szepnąłem Williamowi do ucha:

– *Perforce I am thine, and that is in me...*

William obrzucił mnie spojrzeniem pełnym obleśnej wdzięczności i znikł za zasłoną. *Je tiens la reine!*

---

Byłem z Dee w Złotej Pradze. Przemierzaliśmy wąskie i smrodliwe zaułki nieopodal cmentarza żydowskiego i Dee nakazał, bym miał się na baczności.

– Jeśli rozejdzie się wiadomość o nieudanym spotkaniu, inne grupy podejmą działania na własny rachunek. Boję się Żydów, jerozolimczycy mają tutaj, w Pradze, zbyt wielu agentów...

Był wieczór. Połyskiwał błękitnawo śnieg. Przy mrocznym wejściu do dzielnicy żydowskiej przycupnęły kramiki bożonarodzeniowe, a między nimi wznosiła się, okryta czerwonym suknem, plugawa scena teatrzyku marionetek oświetlonego dymiącymi łuczycami. Ale trochę dalej przechodziło się pod łukiem z potężnych kamieni i obok fontanny z brązu, z której ogrodzenia zwieszały się długie sople, otwierał się następny zaułek. Nad starymi portalami widać było złożone łby lwów, trzymających w paszczach pierścienie z brązu. Jakaś subtelna wibracja poruszała te mury, jakieś niewytłumaczalne dźwięki staczały się z niskich dachów i spływały rynnami. Domy, tajemni władcy życia, zdradzały swoje upiorne życie... Jakiś stary lichwiarz, owinięty w wytartą opończę, prawie musnął nas, przechodząc obok, i zdawało mi się, że usłyszałem jego szept:

– Strzeżcie się Athanasiusa Pernatha...

Dee mruknął:

– Boję się zupełnie innego Athanasiusa...

I zaraz dotarliśmy do Złotej Uliczki.

Tam nagle, i na to wspomnienie jeszcze teraz uszy, których nie mam, pałą mnie pod wytartą czapką, w mroku kolejnego nieoczekiwanego zaułka pojawił się przed nami jakiś olbrzym, ohydna szara istota, o pozbawionym wyrazu obliczu, ciele opancerzonym brązową powłoką, wsparta na sękatym, krętym białym kijku. Od tej zjawy zalatywała woń sandałowa. Ogarnęło mnie śmiertelne przerażenie i wskutek czarów skamieniałem, wlepiając wzrok w stojącą przede mną istotę. Ani na chwilę nie mogłem oderwać spojrzenia od przezroczywego, mglistego kłębu otulającego mu ramiona i z wielkim trudem rozróżniałem drapieżny pysk egipskiego ibisa, a za nim mnogość obliczy, koszmarów mojej wyobraźni i pamięci. Kontury tego widziadła rozszerzały się i kurczyły w mroku zaułka, jakby jakiś powolny, martwy oddech przenikał całą postać... i cóż za ohyda, kiedy spuściłem wzrok, zamiast stóp ujrzałem na śniegu niekształtne kikuty, których

ciało, szare i bezkrwiste, wywinęło się, tworząc koncentryczne wałki opuchlizny.

O moje zachłanne wspomnienia...

– Golem! – wyjaśnił Dee. Wzniósł ramiona do nieba i czarna opończa z szerokimi rękawami osunęła się na ziemię, tworząc *cingulum*, pępowinę, która łączyła powietrzny układ ramion z powierzchnią i głębią Ziemi. – *Jezebel, Malkut, Smoke Gets in Your Eyes!* – rzekł. I natychmiast Golem rozsypał się niby zamek z piasku pod podmuchem wiatru, prawie oślepiły nas cząstki jego glinianego ciała, które rozpadło się w powietrzu na atomy, i rychło mieliśmy u stóp tylko garstkę zetlałego popiołu. Dee pochylił się, pogrzebał w tym popiele swoimi chudymi palcami i wydobył mały zwitek pergaminu, który ukrył na piersi.

W tym momencie wynurzył się z cienia stary rabin w wytłuszczonym birecie, bardzo podobnym do mojej czapki.

– Doktor Dee, jak mniemam – rzekł.

– *Here Comes Everybody*, rabbi Löwy. Jakże miło cię spotkać, panie...

Tamten zaś:

– Czy widziałeś przypadkiem pewną istotę, która krążyła w pobliżu?

– Istotę? – spytał Dee, udając osłupienie. – Przez kogo stworzoną?

– Do diabła, Dee! – wykrzyknął rabbi Löwy. – To był mój Golem!

– Twój Golem? Nic o nim nie wiem.

– Strzeż się, doktorze Dee – powiedział posępnym głosem rabbi Löwy. – Podjąłeś bowiem grę za dużą jak na ciebie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, rabbi Löwy – odparł Dee. – Jesteśmy tutaj, żeby wytworzyć parę uncji złota dla twojego cesarza. Nie jesteśmy pierwszymi lepszymi nekromantami.

– Oddaj mi przynajmniej pergamin – błagał rabbi Löwy.

– Jaki pergamin? – spytał Dee z demoniczną naiwnością.

– Bądź przekłety, doktorze Dee! – wykrzyknął rabin. – I zaprawdę powiadam ci, że nie ujrzysz brzasku nowego wieku.

Oddalił się w mrok, mamrocząc pod nosem posępne spółgłoski, nie mieszając między nie ani jednej samogłoski. O Diabelski i Święty Języku!

Dee stał oparty o wilgotny mur zaułka, z ziemistą twarzą, ze zjeżonymi włosami.

– Znam rabiego Allevi – oznajmił. – Umrę piątego sierpnia tysiąc sześćset ósmego roku według kalendarza gregoriańskiego. A więc ty, panie Kelley, możesz mi urzeczywistnić mój plan. Twoim zadaniem będzie doprowadzenie go do końca. *Gilding pale streams with heavenly alchymy*, pamiętaj.

Zapamiętałem to, a William wraz ze mną, i przeciwko mnie.

Nie powiedział nic więcej. Błada chmura, która ocierała się plecami o szyby, żółty dym, który ocierał się plecami o szyby, zlizywał jęzorem kanty wieczoru. Byliśmy teraz w jakimś innym zaułku, białawe opary wzbijały się z krat na poziomie gruntu, widzieliśmy stąd rudery o krzywych murach, rytmiczne gradacje mglistych szarości... i kiedy szedłem po omacku jakimiś schodami (o stopniach nienaturalnie ortogonalnych), dostrzegłem postać starca w wyświechtanym *re-dingote* i wysokim cylindrze. Dostrzegł go także Dee.

– Caligari! – wykrzyknął. – To dom madame Sosostriś. *The Famous Clairvoyante!* Szybko!

Przyspieszyliśmy kroku i dotarliśmy do drzwi domku przy jakiejś oświetlonej niepewnym światłem, złowrogo semickiej uliczce.

Zastukaliśmy i drzwi otworzyły się jak pod działaniem czarów. Weszliśmy do obszernego salonu oświetlonego siedmioramiennymi świecznikami, z reliefami tetragramów, gwiazdami Dawida. Przy wejściu, na długim stole o kształcie anamorfotycznie nieregularnym, leżał stos starych skrzypiec barwy werniksu na dawnych obrazach. Z wysokiego sklepienia pieczary zwieszała się mumia wielkiego krokodyla, kołysząc się lekko w wieczornym wietrzyku przy wąłym świetle jedyne go łuczywa, a może wielu – albo żadnego. W głębi, przed jakby namiotem lub baldachimem, pod którym stało tabernakulum, na klęczkach, mamrocząc bez przerwy siedemdziesiąt dwa imiona Boga i bluźniąc przeciwko nim, modlił się Starzec. Nagłe olśnienie Nous wyjawilo mi, że jest to Heinrich Khunrath.

– Witaj, Dee – rzekł, obracając się i przerywając modły. – Czego chcesz?

– Khunrath – powiedział Dee – nie doszło do trzeciego spotkania.

Khunrath rzucił ohydne przekleństwo:

– *Lapis exillis!* Co teraz?

– Khunrath, mógłbyś zarzucić przynętę i skontaktować mnie z niemiecką linią templariuszy.

– Zobaczymy – rzekł Khunrath. – Mogę poprosić Maiera, który ma liczne kontakty na dworze. Ale ty za to wyjawisz mi tajemnicę Mleka Dziewiczego, Najtajniejszego Pieca Filozofów.

Dee uśmiechnął się. O, jakież boski uśmiech miał ten Sofo! Skulił się jakby w modlitwie i zaszemrał:

– Kiedy zechcesz transmutować i rozpuścić w wodzie lub w Mleku Dziewicznym sublimat merkuriusza, umieść go na płycie między występami a czarą z Rzeczą sumiennie rozproszkowaną, nie przykrywaj jej, lecz czyn tak, by gorące powietrze docierało do nagiej materii, podgrzej to ogniem z trzech węgli, który podtrzymuj przez osiem dni solarnych, a następnie zdejmij i utłucz starannie na marmurze, aż stanie się niewyczuwalna. To uczyniwszy, umieść ową materię w szklanym alembiku i destyluj w Balneum Mariae nad kociołkiem z wodą, lecz alembik ma być nie bliższy wody niż na dwa palce, zawieszony w powietrzu, i jednocześnie rozpal ogień pod kąpielą. Wtedy i dopiero wtedy, choć materia żywego srebra nie dotknie wody, ale znajdując się w tym ciepłym i wilgotnym brzuchu, sama przemieni się w wodę.

– Mistrzu! – wykrzyknął Khunrath, padając na kolana i całując wychudłą i przezroczystą dłoń doktora Dee. – Mistrzu, tak uczynię. A ty uzyskasz, czego pragniesz. Zapamiętaj te słowa. Róża i krzyż. Usłyszysz je.

Dee owinął się w opończę, tak że widać było tylko roziskrzone i złośliwe oczy.

– Idziemy, Kelley – oznajmił. – Ten człowiek jest już nasz. A ty, Khunrath, trzymaj z daleka od siebie Golema, aż znajdziemy się w Londynie. Potem niech Praga zamieni się w jeden gorejący stos.

Zaczął się oddalać. Khunrath, ciągle na klęczkach, chwycił go za kraj

opończy.

– Przyjdzie może do ciebie kiedyś pewien człowiek. Zechce o tobie pisać. Bądź mu przyjacielem.

– Daj mi Władzę – rzekł Dee z niemożliwym do opisanego wyrazem wychudłej twarzy – a jego fortuna będzie zapewniona.

Wyszliśmy. Niż barometryczny znad Atlantyku przemieszczał się ku wschodowi na spotkanie wyżu wiszącego nad Rosją.

– Ruszamy do Moskwy – powiedziałem.

– Nie. Wracamy do Londynu.

– Do Moskwy, do Moskwy – szeptałem w zapamiętaniu. – Dobrze wiedziałeś, Kelley, że nigdy tam nie dotrzesz. Czeka na ciebie Wieża.

---

Wróciliśmy do Londynu. Doktor Dee powiedział:

– Staraj się przed nami dotrzeć do Rozwiązania. Kelley, napiszesz dla Williama coś... jakąś diaboliczną insynuację na ich temat.

Zrobiłem to, do diabła, ale William zepsuł tekst i przeniósł wszystko z Pragi do Wenecji. Dee wpadł w furję. Ale wyblakły, oślizgły William czuł się bezpieczny pod skrzydłami królewskiej konkubiny. Ponieważ stopniowo przekazywałem mu jego najlepsze sonety, pytał mnie bezwstydnym spojrzeniem o Nią, o Ciebie, my Dark Lady. Co za ohyda słyszeć twoje imię z jego nikczemnych warg (nie wiedziałem, że ten człowiek o duszy skazanej na podwójne i zastępcze potępienie poszukiwał jej przez Bacona)!

– Dość tego – oznajmiłem mu. – Znużyło mnie budowanie w cieniu twojej chwały. Pisz sam za siebie.

– Nie mogę – odpowiedział, patrząc wzrokiem kogoś, kto ujrzał właśnie upióra. – Nie pozwala mi.

– Kto? Dee?

– Nie, werulamczyk. Nie widzisz, że teraz on pociąga wszystkie sznurki? Zmusza mnie do pisania dzieł, którymi później będzie się chwalił jako swoimi. Czyż nie pojąłeś, Kelley, że ja jestem prawdziwym Baconem, lecz potomność nigdy się o tym nie dowie. Co za pasożyt! Jakże nienawidzę tego typu z piekła rodem!

– Bacon jest nędznikiem, ale nie brak mu talentu – zauważyłem. – Czemu więc nie pisze sam?

Nie wiedziałem, że nie ma na to czasu. Uświadomimy sobie to dopiero później, kiedy Niemcy ogarnie szaleństwo różokrzyżowe. Wtedy, składając rozsiane to tu, to tam aluzje, słowa, które tak niechętnie wymykały się z jego ust, zrozumiałem, że on właśnie był autorem manifestów różokrzyżowych. To on pisał pod fałszywym imieniem Johanna Valentina Andreae!

Nie rozumiałem jeszcze wówczas, dla kogo pisał Andreae, ale teraz, w mroku tej celi, gdzie obumieram, bardziej przenikliwy niż don Isidro Parodi, teraz wiem. Powiedział mi to Soapes, mój więzienny towarzysz, były portugalski templariusz. Andreae pisał romans rycerski dla pewnego Hiszpana, który w tym czasie przebywał też w więzieniu. Nie wiem dlaczego, ale ten zamysł posłużył niecnemu Baconowi, który pragnął przejść do historii jako nieznan autor przygód

rycerza z La Manczy, więc poprosił Andreae, by ten potajemnie napisał mu dzieło, on sam zaś udawałby prawdziwego autora nieznanego, by pozostając w cieniu, radować się (ale dlaczego? dlaczego?) triumfem innego.

Odbiegam jednak od tematu, marznę w tej ciemnicy i boli mnie wielki palec u nogi. Przy słabym świetle padającym od gasnącego kaganka piszę ostatnie dzieła, które świat pozna pod nazwiskiem Williama.

---

Doktor Dee umarł, szepcząc: Światła, więcej Światła, i błagając o wykałaczkę. Rzekł: *Qualis Artifex Pereo!* To Bacon go zabił. Już wiele lat temu, przed śmiercią królowej, podupadłej na umyśle i sercu, werulamczyk w pewien sposób ją oczarował. Jej rysy uległy zmaczeniu, upodobniła się do szkieletu. Odżywiała się już tylko białym chlebem i zupą z cykorii. Miała zawsze szpadę u boku i w chwilach gniewu wbijała ją gwałtownie w zasłony i adamaszki okrywające ściany jej ustronia. (A gdyby za taką zasłoną stał ktoś i podsłuchiwał? Albo: szczur, szczur? Dobry pomysł, mój stary Kelley, warto go zanotować). Staruchę w tym stanie Bacon bez większego trudu przekonał, że to on jest Williamem, jej bękartem: padł do królewskich kolan, okryty skórą owczą – była przecież już ślepa. Złote Runo! Powiadano, że dążył do tronu, ale ja wiem, że pragnął czegoś zupełnie innego, kontroli nad Planem. Wtedy właśnie został wicehrabią Saint-Albans. A ponieważ poczuł się mocny, usunął doktora Dee.

---

Królowa nie żyje, niech żyje król... Ja stałem się niewygodnym świadkiem. Wciągnął mnie w zasadzkę pewnego wieczoru, kiedy Dark Lady mogła w końcu być moją i tańczyła w moich ramionach, była we władaniu ziół dających wizje, odwieczna Sophia z pomarszczoną twarzą starej kozy... Wtargnął z garścią zbrojnych, kazał zakryć mi oczy chustką, zrozumiałem natychmiast: witriol! I jak Ona się śmiała, jak się śmiałaś, Pin Ball Lady – *oh maiden virtue rudely strumpe- ted, oh gilded honor shamefully misplac'd!* – kiedy on dotykał cię swoimi dra- pieżnymi palcami, a ty nazywałaś go Simone i całowałaś jego straszliwą bliznę...

Do Wieży, do Wieży – śmiał się werulamczyk. I od tamtego czasu jestem tu razem z tym ludzkim upiorem, który twierdzi, że nazywa się Soapes, a strażnicy znają mnie jedynie jako Jima Konopiarza. Studiowałem dogłębnie i z żarliwym zapalem filozofię, nauki prawne i medycynę, i niestety teologię. A teraz, biedny szaleniec, znalazłem się tutaj i wiem tyle co przedtem.

---

Przez otwór strzelniczy widziałem królewskie zaślubiny i rycerzy czerwonego krzyża harcujących przy dźwiękach trąb. Powinienem być tam i grać na trąbie. Cecilia wiedziała o tym i raz jeszcze odebrano mi nagrodę czekającą u celu. Grał za to William. Ja, ukryty w cieniu, pisałem dla niego.

– Powiem ci, jak się zemścić – podszepnął mi Soapes i tego dnia wyszło szydło z worka, dowiedziałem się, kim naprawdę jest: opatem bonapartystą, od wieków pogrzebanym w tej ciemnicy.

– Wyjdiesz stąd? – spytałem.

– *If...* – zaczął, ale zaraz zamilkł. Wystukując łyżką o mur tajemny alfabet, który, jak mi się zwierzył, otrzymał od Tritemiusza, zaczął przekazywać wiado-

mości komuś z sąsiedniej celi. Hrabiemu Monsalwatu.

---

Minęły lata. Soapes wytrwale stukał w mur, teraz już wiem, dla kogo i po co. Nazywał się Noffo Dei. Dei (przez jaką tajemną kabałę Dei i Dee brzmi tak podobnie? kto zadenuncjował templariuszy?), poinformowany przez Soapesa, zadenuncjował Bacona. Co powiedział, nie wiem, ale przed kilkoma dniami werulamczyka wtrącono do więzienia. Oskarżono go o sodomie, gdyż powiadano (drzę na myśl, że to prawda), iż Ty, Dark Lady, Czarna Dziewica druidów i templariuszy, jesteś niczym innym, jak odwiecznym androginem, który wyszedł z uczonych rąk, lecz czyich? czyich? Teraz, teraz już wiem, z rąk twojego kochanka, hrabiego de Saint-Germain! Kimże jednak jest Saint-Germain, jeśli nie samym Baconem (ileż rzeczy wie Soapes, ten zapoznany templariusz o wielu żywotach...)?

---

Werulamczyk wyszedł z więzienia, dzięki magicznym sztuczkom odzyskał przychylność monarchy. Teraz – jak powiada William – spędza noce nad Tamizą, w Pilad's Pub, grając na tej dziwnej machinie – wymyślonej specjalnie na jego życzenie przez pewnego nolańczyka, który przez niego zginął potem w okrutny sposób na stosie w Rzymie, a którego przedtem ściągnął do Londynu, by wydrzeć zeń tajemnicę – na machinie astralnej, pożerającej nierozumne kule, którą poprzez nieskończone i powszechne światy, pośród rozbłysków anielskich światel, sprośnymi ruchami triumfującej bestii napierając wzgórkami łonowymi na jej obudowę, by symulować następstwo ciał niebiańskich w siedzibie dziekanów i pojąć ostateczne sekrety jej wielkich pierwocin oraz tajemnicę Nowej Atlantydy, nazwał Gottlieb's, parodiując w ten sposób święty język manifestów przypisywanych Andreae... Ach! – wykrzyknąłem (*s'écria-t-il?*), przejmując świadom, lecz za późno i daremnie, a serce łomotało mi pod koronkami gorsetu: oto dlaczego zabrał mi trąbę, ten amulet, talizman, kosmiczną więź mającą władzę nad demonami. Jakie spiski będzie knuł w Domu Salomona? Za późno – powtarzam sobie – teraz dano mu już za dużo władzy.

---

Powiadają, że Bacon nie żyje. Soapes zapewnia, że to nieprawda. Nikt nie widział zwłok. Żyje pod fałszywym nazwiskiem u boku landgraфа Hesji, wtajemniczony teraz w największe sekrety, a więc nieśmiertelny, gotów prowadzić dalej swoją posępną walkę o triumf Planu – triumf w jego imieniu i pod jego kontrolą.

Po tej domniemanej śmierci odwiedził mnie William – jak zawsze z tym swoim obłudnym uśmiechem, którego nie zasłoniła przed moimi oczami nawet krata. Zapytał, dlaczego w sonecie 111 napisałem o jakimś Farbiarzu, i przytoczył odpowiedni wers: *To What it Works in, Like the Dyer's Hand...*

Nigdy nie napisałem tych słów – zaprzeczyłem. I była to prawda... To jasne, włączył je Bacon, zanim zniknął, dając w ten sposób jakiś tajemny sygnał tym, którzy w przyszłości mieli kolejno na swoich dworach gościć Saint-Germaina jako biegłego znawcę barwników... Sądzę, że kiedyś spróbuje przekonać świat, że to on napisał dzieła Williama. Jakże wszystko staje się jasne, kiedy patrzy się z ciemnicy!

---



---

*Where Art Thou, Muse That Thou Forget'st So Long?* Czuję się zmęczony, chory. William oczekuje ode mnie nowego materiału do swoich szarlatańskich błazeństw w Globe.

Soapes pisze. Zaglądam mu przez ramię. Kreśli jakieś niezrozumiałe słowa: *Rivverrun, past Eve and Adam's...* Zasłania kartkę, przygląda mi się, widzi, że jestem bledszy niż Duch, wyczytuje z moich oczu Śmierć. Szepcze mi:

– Odpocznij. Nie bój się. Będę pisał za ciebie.

I tak właśnie czyni, to maska maski. Ja powoli gasnę, on zaś odbiera mi moje ostatnie światło, światło ciemności.

---

---

Chociaż nie sposób odmówić dobrej woli, jednak jego duch i jego pro-  
roctwa jawią się jako niechybne złudy diabelskie... Mogą omamić wiele  
ciekawych osób i przynieść wielką szkodę i wielkie zgorzenie Kościołowi  
Boga Naszego Pana.

opinia o Wilhelmie Postelu  
przekazana Ignacemu Loyoli przez ojców jezuitów,  
Salmerona, Lhoosta i Ugoletta 10 maja 1545

Belbo opowiedział nam obojętnym tonem o tym, co wy-  
myślił, nie odczytując jednak tego, co napisał, i usuwając  
wszelkie aluzje osobiste. Sugerował nawet, że to Abulafia do-  
starczył odpowiednich skojarzeń. Z twierdzeniem, że Bacon  
był autorem manifestów różokrzyżowych, już się gdzieś spo-  
tkałem. Uderzyła mnie jednak informacja, że Bacon był wi-  
cehrabią Saint-Albans.

Coś mi chodziło po głowie, coś mającego jakieś punkty  
styczne z moją rozprawą dyplomową. Całą noc spędziłem na  
szperaniu w kartotece.

- Panowie - oznajmiłem następnego ranka dosyć uroczy-  
stym tonem moim współnikom. - Nie potrzebujemy wynajdo-  
wać skojarzeń. One istnieją. Kiedy w tysiąc sto sześćdzie-  
siątym czwartym roku święty Bernard rzucił myśl zwołania  
synodu w Troyes, by nadać status prawny templariuszom,  
wśród osób, którym powierzono organizację, był przeor Sa-  
int-Albans, noszący zresztą imię pierwszego angielskiego  
męczennika, ewangelizatora wysp brytyjskich, urodzonego  
w Verulam, włościach Bacona. Saint-Albans, imię celtyckie  
i bez wątpienia druidyczne, wtajemniczony jako święty Ber-  
nard.

- To za mało - oświadczył Belbo.

- Poczekajcie. Ten przeor Saint-Albans jest opatem Saint-Martin-des-Champs, opactwa, w którym miało być w przyszłości zorganizowane Conservatoire des Arts et des Métiers!

To wywarło odpowiednie wrażenie na Belbie.

- Na Boga!

- Nie koniec na tym. Conservatoire zostało pomyślane jako hołd pamięci Bacona. Dwudziestego piątego brumaire'a roku trzeciego Konwent upoważnił Comité d'Instruction Publique do wydania *opera omnia* Bacona. A osiemnastego vendémiaire'a tego samego roku tenże Konwent przegłosował ustawę nakazującą budowę domu sztuk i rzemiosł, który miał być realizacją pomysłu Domu Salomona, opisanego przez Bacona w *Nowej Atlantydzie* jako miejsce, gdzie zgromadzono wszystkie techniczne wynalazki ludzkości.

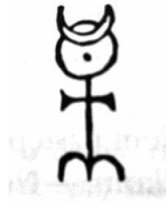
- No i co z tego? - spytał Diotallevi.

- A to, że Conservatoire to Wahadło - oznajmił Belbo.

Z reakcji Diotalleviego domyśliłem się, że Belbo nie podzielił się z nim swoimi rozważaniami na temat wahadła Foucaulta.

- Nie przeskakujmy etapów - rzekłem. - Wahadło zostało wynalezione i umieszczone w muzeum dopiero w ubiegłym wieku. Na razie zostawmy je w spokoju.

- Zostawić w spokoju Wahadło? - sprzeciwił się Belbo. - Czy nigdy wasze oko nie spoczęło na Monadzie Hieroglificznej Johna Dee ani na talizmanie, w którym miała się skupić cała wiedza uniwersum? Czyż nie przypomina wahadła?



- No dobrze - zgodziłem się - powiedzmy, że zdołamy ustalić związek między tymi dwoma faktami. Ale jak przejść od Saint-Albans do Wahadła?

Dowiedziałem się tego kilka dni później.

- A zatem przeor Saint-Albans jest opatem Saint-Martin-des-Champs, a to właśnie opactwo stanie się w przyszłości ośrodkiem filotemplariuszy. Bacon, dzięki położeniu swoich włości, ma możliwość nawiązania kontaktu inicjacyjnego z druidami, zwolennikami Saint-Albans. A teraz posłuchajcie. Kiedy w Anglii kończy się kariera Bacona, we Francji zaczyna swoją karierę Guillaume Postel.

(Zauważyłem ledwie dostrzegalny skurcz na twarzy Belba, przypomniałem sobie rozmowę na wernisażu Riccarda. Postel kojarzył się Belbowi z kimś, kto odebrał mu duszę Lorenzy. Ale trwało to mgnienie oka).

- Postel studiuje hebrajski, próbuje dowieść, że jest to macierz wszystkich języków, tłumaczy *Zohar* i *Bahir*, ma kontakty z kabalistami, rzuca projekt powszechnego pokoju pokrewny planowi niemieckich grup różokrzyżowych, stara się nakłonić króla Francji do zawarcia przymierza z sułtanem, odwiedza Grecję, Syrię, Azję Mniejszą, uczy się arabskiego, jednym słowem - podąża tropem Christiana Rosencreutza. I nie przypadkiem podpisuje niektóre swoje teksty imieniem Rosispergius, rozsiewający rosę. Gassendi w swoim *Examen Philosophiae Fluddanae* powiada, że Rosencreutz wzięło się nie od rosa, lecz od ros, czyli „rosa”. W swoim manuskrypcie

opisuje tajemnicę, którą należy przechować, aż nadejdzie czas, i powiada: „Dlatego nie rzucajcie pereł między wieprze”. A wiecie, gdzie pojawia się ten ewangeliczny cytat? Na frontispisie *Wesela chemicznego*. A ojciec Marin Mersenne, potępiając różokrzyżowca Fludda, powiada, że jest on ulepiony z tej samej gliny co ów *atheus magnus*, czyli Postel. Z drugiej strony można przypuszczać, że Dee i Postel mogli się dowiedzieć, że są dwoma mistrzami, którym powierzono sprawę Planu, i że mają się spotkać w tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym. Otóż Postel oświadcza, tylko posłuchajcie, że król Francji, jako potomek w prostej linii najstarszego syna Noego, który jest założycielem linii celtyckiej, a tym samym cywilizacji druidów, to jedyny prawowity pretendent do tytułu Króla Świata. Tak właśnie, Króla Świata z Agartty, tyle że mówi o tym trzy wieki wcześniej. Zostawmy na boku fakt, że zakochuje się w pewnej staruszce, Joannie, i uznaje ją za *Sophia divina*. Temu facetowi brakowało piątej klepki. Zwróćmy natomiast uwagę na to, że miał moźnych wrogów, mówili o nim, iż jest psem, obrzydłym potworem, kloaką wszelkiej herezji, opętanym przez legion złych duchów. Ale pomimo całego skandalu związanego z Joanną Kościół nie uważa go za heretyka, lecz za *amens*, powiedzmy, za odrobinę stukniętego. Oznacza to, że nikt nie śmie tego człowieka zniszczyć, gdyż jest rzecznikiem jakiejś wystarczająco potężnej grupy. Sygnalizuję Diotalleviemu, że Postel podróżuje również na wschód i jest współczesnym Izaaka Lurii, możesz wyciągnąć z tego wnioski, jakie ci się podoba. No dobrze, w tysiąc pięćset sześćdziesiątym czwartym roku (w tym roku Dee pisze *Monas Ieroglyphica*) Postel odwołuje swoje herezje i wycofuje się... zgadnijcie dokąd... Do klaszto-

ru Saint-Martin-des-Champs! Dlaczego? Oczywiście czeka na rok tysiąc pięćset osiemdziesiąty czwarty.

- Oczywiście - potwierdził Diotallevi.

- Tylko pomyślmy! - ciągnąłem. - Postel jest wielkim mistrzem grupy francuskiej i czeka na kontakt z grupą angielską. Lecz umiera w tysiąc pięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, na trzy lata przed terminem spotkania. Wnioski? Primo, nieporozumienie z tysiąc pięćset osiemdziesiątego czwartego roku wzięło się stąd, że w odpowiednim momencie zabrakło przenikliwego umysłu, jakim był Postel, który potrafiłby zrozumieć, co się dzieje w związku z zamętem w kalendarzach. *Secundo*, w Saint-Martin templariusze zawsze byli u siebie i tam właśnie należało osiąść, czekając na człowieka, który ma nawiązać trzeci kontakt. Saint-Martin-des-Champs było Kryjówką!

- Wszystko pasuje do siebie jak w mozaice.

- Uważajcie teraz, co powiem. W momencie nieudanego spotkania Bacon ma ledwie dwadzieścia lat. Ale w tysiąc sześćset dwudziestym pierwszym zostaje wicehrabią Saint-Albans. Co znajduje w odziedziczonych posiadłościach? Tajemnica. Faktem jest, że w tym właśnie roku ktoś oskarża go o korupcję i Bacon trafia na jakiś czas do ciemnicy. Czyżby odkrył coś, co budziło lęk? U kogo? Ależ z całą pewnością w tym właśnie okresie Bacon domyśla się, że Saint-Martin jest kontrolowany, i wpada na pomysł, żeby urządzić tam swój Dom Salomona, laboratorium, w którym będzie można dotrzeć na drodze doświadczalnej do tajemnicy.

- Ale - spytał Diotallevi - co możemy znaleźć takiego, co pozwoliłoby powiązać spadkobierców Bacona z grupami rewolucyjnymi z końca osiemnastego wieku?

- Czyżby chodziło o masonerię? - podsunął Belbo.
- Wspaniała myśl. W gruncie rzeczy to Agliè zasugerował ją tamtego wieczoru w zamku.
- Trzeba by odtworzyć przebieg wydarzeń. Co takiego stało się naprawdę w tych środowiskach?

Snu wieczystego... unikną zatem ci jeno, którzy już za żywota umieli skierować sumienia ku światu wyższemu. Wtajemniczeni, Adeptci, stoją na skraju takiej drogi. Zyskawszy pamięć, *anamnesis* wedle wyrażenia Plutarcha, zyskują wolność, zrywają więzy, w wieńcu laurowym celebrują „misteria” i widzą, jak na ziemi ciżba tych, którzy nie są wtajemniczeni i którzy nie są „czyści”, tłoczy się i popycha w błocie i ciemnościach.

Julius Evola, *La tradizione ermetica*,  
Edizioni Mediterranee, Roma 1971, s. 111

Śmiało wysunąłem swoją kandydaturę, kiedy stanęła kwestia przeprowadzenia szybkich i precyzyjnych poszukiwań. Nie powinienem był się tego podejmować. Utonąłem w istnym grzędawisku książek zawierających studia historyczne i hermetyczne bajdurzenia i z wielkim trudem dokonywałem rozróżnienia między informacjami godnymi wiary a fantastycznymi. Przez cały dzień harowałem jak maszyna i na koniec zdecydowałem się przedstawić prawie niezrozumiały spis sekt, łóż, konwentykli. Kiedy go sporządzałem, czułem czasem przebiegający przez plecy dreszcz, gdyż napotykałem znane nazwiska, których nie spodziewałem się w tym towarzystwie, i zbieżności chronologiczne, których odnotowanie wydawało mi się stosowne. Pokazałem dokument moim dwóm współnikom.

1645 Londyn: Ashmole zakłada Invisible College o inspiracji różokrzyżowej.

1662 Z Invisible College rodzi się Royal Society, a z Royal Society, jak wszyscy wiedzą, masoneria.

1666 Paryż: Académie des Sciences.

1707 Urodził się Claude-Louis de Saint-Germain, jeśli w istocie się urodził.



1717 Utworzenie Wielkiej Loży Londynu. 1721 Anderson ustanawia konstytucje masonerii angielskiej. Piotr Wielki, wtajemniczony w Londynie, zakłada lożę w Rosji.

1730 Monteskiusz, przejazdem w Londynie, zostaje dopuszczony do wtajemniczenia.

1737 Ramsay wysuwa tezę o templariuszowskich źródłach masonerii. Powstanie Obrządku Szkockiego, od tej chwili prowadzącego walkę z Wielką Lożą Londynu.

1738 Fryderyk, wówczas książę następcą tronu, zostaje wtajemniczony. Będzie protektorem encyklopedystów.

1740 W tych latach powstają we Francji rozmaite loże: Ecosais Fidèles w Tuluzie, Souverain Conseil Sublime, Mère Loge Ecosaise du Grand Globe Français, Collège des Sublimes Princes du Royal Secret w Bordeaux, Cour des Souverains Commandeurs du Temple w Carcassonne, Philadelphes w Narbonne, Chapitre des Rose-Croix w Montpellier, Sublimes Elus de la Vérité...

1743 Pierwsze wystąpienie publiczne hrabiego de Saint-Germain. W Lyonie powstaje stopień Rycerza Kadusza, który ma pomścić templariuszy.

1753 Willermoz zakłada lożę Parfaite Amitié.

1754 Martinez de Pasqually zakłada Świątynię Elus Cohen (być może stało się to w roku 1760).

1756 Baron von Hund zakłada Ścisłą Obserwę Templarną. Ktoś utrzymywał, że zainspirował go Fryderyk II Pruski. Po raz pierwszy wspomina się tam

o Nieznanych Zwierzchnikach. Ktoś inny sugeruje, że owymi Zwierzchnikami są Fryderyk I i Wolter.

1758 Do Paryża przybywa Saint-Germain, który ofiarowuje swoje usługi królowi jako chemik, specjalista od barwników. Bywa u pani de Pompadour.

1759 Powstaje ponoć Conseil des Empereurs d'Orient et d'Occident, która trzy lata później miała ustanowić Constitution et Règlement de Bordeaux, z czego miał powstać Szkocki Dawny i Uznany Obrządek (choć oficjalnie pojawia się on dopiero w 1801). Typowe dla obrządku szkockiego będzie rozmnożenie wysokich stopni - aż do trzydziestu sześciu.

1760 Saint-Germain udaje się z niejasną misją dyplomatyczną do Holandii. Musi uciekać, zostaje aresztowany w Londynie, następnie zwolniony. Dom Pernety zakłada Zakon Iluminatów w Awinionie. Martinez de Pasqually zakłada Chevaliers Maçons Elus de l'Univers.

1762 Saint-Germain w Rosji.

1763 Casanova spotyka w Belgii Saint-Germaina. Ten przybiera nazwisko Surmont i przemienia monetę w złoto.

Willermoz zakłada Souverain Chapitre des Chevaliers de l'Aigle Noire Rose-Croix.

1768 Willermoz wstępuje do Elus Cohen Pasqually'ego. W Jerozolimie ukazuje się drukiem apokryf *Les plus secrets mystères de hauts grades de la maçonnerie dévoilée, ou la vraie Rose-Croix*. Powiada się tam, że loża Różanego Krzyża znajduje się na górze Heredon sześćdziesiąt mil od Edynburga. Pasqually spotyka

Louisa-Claude'a de Saint-Martin, który staje się znany jako Le Philosophe Inconnu. Dom Pernety zostaje bibliotekarzem króla Prus.

1771 Książę de Chartres, znany później jako Philippe Egalité, zostaje wielkim mistrzem Grand Orient, potem Grand Orient de France, i zmierza do zjednoczenia wszystkich łóż. Opory ze strony łóż obrządku szkockiego.

1772 Pasqually wyrusza na San Domingo, a Willermoz i Saint-Martin tworzą Tribunal Souverain, który z czasem stanie się Grande Loge Ecossaise.

1774 Saint-Martin wycofuje się i zostaje Le Philosophe Inconnu, a wysłannik Ścisłej Obserwy Templarnej podejmuje rokowania z Willermozem. Powstaje z tego Szkocki Dyrektoriat Prowincji Owernia. Z Dyrektoriatu Owernii zrodzi się Szkocki Obrządek Poprawiony.

1776 Saint-Germain pod nazwiskiem hrabiego Welldone przedstawia projekty chemiczne Fryderykowi II. Powstaje Société des Philathètes, które ma zjednoczyć wszystkich hermetystów.

Łoża Neuf Soeurs. Przystępują do niej Guillotin i Cabanis, Wolter i Franklin. Weishaupt powołuje Iluminatów Bawarskich. Zdaniem niektórych został wtajemniczony przez duńskiego kupca wracającego z Egiptu, niejakiego Kölmera, który jest ponoć tajemniczym Altotasem, mistrzem Cagliostro.

1778 Saint-Germain spotyka się w Berlinie z Dom Pernety. Willermoz zakłada Ordre des Chevaliers Bienfaisants de la Cité Sainte. Ścisła Obserwa Templarna dochodzi do zgody z Grand Orient w sprawie

przyjęcia Obrządku Szkockiego Poprawionego.

1782 Wielki zjazd wszystkich łóż inicjacyjnych w Wilhelmsbadzie.

1783 Markiz Thomé zakłada Obrządek Swedenborgiański.

1784 Saint-Germain ponoć umiera w czasie opracowywania dla landgraфа Hesji planu fabryki barwników.

1785 Cagliostro zakłada Obrządek Memfis, który przekształci się w Dawny i Pierwotny Obrządek Memfis-Misraim, podnosząc liczbę wyższych stopni do dziewięćdziesięciu.

Wybuch manipulowany przez Cagliostra skandal z naszyjnikami królowej. Dumas, chcąc zdyskredytować monarchię, opisuje całą sprawę jako spisek masoński. Rozwiązany zostaje zakon Iluminatów Bawarskich, podejrzany o knowania rewolucyjne.

1786 Mirabeau zostaje wtajemniczony przez Iluminatów Bawarskich w Berlinie. W Londynie ukazuje się manifest różokrzyżowy przypisywany Cagliostrowi. Mirabeau pisze list do Cagliostra i do Lavatera.

1787 We Francji istnieje siedemset łóż. Publikacja Nachtrag Weishaupta, gdzie opisano schemat tajnej organizacji, w której każdy członek zna tylko swojego bezpośredniego zwierzchnika.

1789 Zaczyna się rewolucja francuska. Kryzys łóż we Francji.

1794 Ósmego vendémiaire'a deputowany Grégoire przedstawia Konwentowi projekt Conservatoire des Arts et des Métiers. Zostanie założone w 1799 w Saint-Martin-des-Champs przez Radę Pięciuset.

Księżę Brunszwiku zachęca loże do samorozwiązania, gdyż zatrąła je wszystkie pewna jadowita sekta wywrotowa.

1798 Aresztowanie Cagliostro w Rzymie.

1801 W Charlestonie ogłoszono oficjalnie utworzenie Obrządku Szkockiego Dawnego i Uznanego z trzydziestoma trzema stopniami.

1824 Dokument dworu wiedeńskiego przedstawiony rządowi francuskiemu. Ujawnia się w nim istnienie tajnych stowarzyszeń, takich jak Absolutyści, Niezależni, Alta Vendita Carbonara.

1835 Kabalista Oettinger oświadcza, że spotkał w Paryżu Saint-Germaina.

1846 Wiedeński pisarz Franz Graffer publikuje relację ze spotkania, jakie jego brat miał z Saint-Germainem między rokiem 1788 a 1790; Saint-Germain przyjmuje gościa, przeglądając książkę Paracelsusa.

1865 Założenie Societas Rosicruciana w Anglii (według innych źródeł w 1860 lub 1867). Przystępuje do niego Bulwer-Lytton, autor różokrzyżowej powieści *Zanoni*.

1868 Bakunin zakłada Porozumienie Socjaldemokratyczne wzorowane zdaniem niektórych na Iluminatach Bawarskich.

1875 Helena Pietrowna Bławatska zakłada Stowarzyszenie Teozoficzne. Wychodzi *Izyda Obnażona*. Baron Spedalieri oświadcza, że jest członkiem Wielkiej Łoży Samotnych Braci Gór, Bratem Oświeconym Dawnego i Odnowionego Zakonu Manichejczyków i Najwyższym Oświeconym Martynistów.

1877 Madame Bławatska mówi o regule teozoficznej Saint-Germaina. Wśród jego wcieleń byli Francis i Roger Baconowie, Rosencreutz, Proklos, Saint-Albans. Francuski Grand Orient znosi inwokację do Wielkiego Budowniczego Wszechświata i proklamuje absolutną wolność sumienia. Zrywa więzy z Wielką Lożą Angielską i staje się zdecydowanie laicki i radykalny.

1879 Założenie Societas Rosicruciana w USA.

1880 Początek działalności Saint-Yves'a d'Alveydre. Leopold Engler reorganizuje Iluminatów Bawarskich.

1884 Leon XIII w encyklice *Humanum Genus* potępia masonerię. Katolicy ją opuszczają, racjoniści się do niej pchają.

1888 Stanislas de Guaita zakłada Ordre Kabbalistique de la Rose-Croix. Utworzenie w Anglii Hermetic Order of the Golden Dawn. Jedenaście stopni, od neofity po Ipsissimusa. Jest nim imperator McGregor Mathers. Jego siostra wychodzi za Bergsona.

1890 Joséphin Péladan opuszcza Guaitę, zakłada Rose+Croix Catholique du Temple et du Graal, a sam ogłasza, że jest Sar Merodachem. Konflikt między różokrzyżowcami Guaity i Péladana zostanie nazwany wojną dwóch róż.

1891 Papus ogłasza *Traité Méthodique de Science Occulte*.

1898 Aleister Crowley wtajemniczony w Golden Dawn. Założy później, już na swój rachunek, zakon Thelema.

1907 Z Golden Dawn powstaje Gwiazda Zaranna,

do której wstępuje Yeats.

1909 W Ameryce Spencer Lewis „budzi” Anticus Mysticus Ordo Rosae Crucis i w 1916 dokonuje po-myślnie w pewnym hotelu transmutacji kawałka cynku w złoto.

Max Heindel zakłada Rosicrucian Fellowship. Niepew-ne są daty powstania w następstwie Lectorium Rosi-crucianum, Les Frères Aînés de la Rose-Croix, Frater-nitas Hermetica, Templum Rosae-Crucis.

1912 Annie Besant, uczennica Bławatskiej, zakłada w Londynie zakon Świątyni Różanego Krzyża.

1918 W Niemczech powstaje stowarzyszenie Thule.

1936 We Francji powstaje Grand Prieuré des Gau-les. W jego „Cahiers de la fraternité polaire” Enrico Contardi-Rhodio opowiada o wizycie, jaką złożył mu hrabia de Saint-Germain.

- Co to wszystko ma oznaczać? - spytał Diotallevi.

- Nie pytajcie. Chcieliście dat? Macie je. Nic więcej nie wiem.

- Trzeba będzie poradzić się Agliègo. Założę się, że nawet on nie zna wszystkich tych organizacji.

- A jakże, przecież to dla niego chleb powszedni. Ale możemy poddać go próbie. Dorzucmy jakąś nieistniejącą sektę. Niedawno założoną.

Przyszło mi na myśl osobliwe pytanie De Angelisa, czy słyszałem coś o Tres. Powiedziałem więc:

- Tres.

- Co to takiego? - spytał Belbo.

- Jeśli to akrostych, musi się pod tym kryć jakiś tekst - oświadczył Diotallevi - inaczej moi rabini nie mogliby prakty-

kować Notarikonu. Zobaczmy... Templi Resurgentes Equites Synarchici. Podoba się wam?

Nazwa nam się spodobała, więc wpisaliśmy ją na koniec listy.

- Przy tych wszystkich konwentyklach wymyślenie jeszcze jednego to nie w kij dmuchał - oświadczył Diotallevi, który padł w tym momencie ofiarą ataku próżności.



Gdyby zresztą chodziło o opisanie zwykłym słowem dominującego rysu francuskiej masonerii z XVIII wieku, jedno byłoby stosowne: dyletan-tyzm.

René Le Forestier, *La Franc-Maçonnerie Templière et Occultiste*, Aubier, Paris 1970, 2

Następnego wieczoru Agliè zjawił się, na nasze zaproszenie, u Piladego. Chociaż nowi bywalcy baru przeprosili się z marynarką i krawatem, obecność naszego gościa, ubranego w szaroniebieski garnitur i nieskazitelnie białą koszulę, w krawacie ze złotą szpilą, wywołała jednak pewne poruszenie. Na szczęście o szóstej po południu nie ma u Piladego zbyt wielkiego ruchu.

Agliè wprowadził Piladego w zakłopotanie, zamawiając markowy koniak. Oczywiście koniak się znalazł, ale królował na półce za kontuarem, pewnie od lat nieruszany. Agliè mówił, patrząc pod światło na płyn, a potem grzejąc go w dłoniach tak, że zobaczyliśmy na jego nadgarstkach złote spinki w stylu bliżej nieokreślonym, ale przywodzącym na myśl Egipt.

Pokazaliśmy mu spis, mówiąc, że wzięliśmy go z maszynopisu któregoś z diabolistów.

- To, że templariusze byli powiązani ze starożytnymi lożami mistrzów mularskich, które zawiązały się podczas budowy Świątyni Salomona, nie ulega wątpliwości. Podobnie jak nie ulega wątpliwości, że od tamtych czasów członkowie loż powołują się na budowniczego Świątyni, Hirama, który padł ofiarą tajemniczego zabójstwa, i poświęcają się sprawie jego pomszczenia. Wskutek prześladowań z pewnością wielu rycerzy Świątyni napłynęło do tych konfraterni rze-

mieślników, dodając do mitu zemsty za Hiramą mit zemsty za Jakuba z Molay. W osiemnastym wieku istniały w Londynie loże jak najprawdziwszych mularzy, tak zwane loże operatywne, ale stopniowo niektórzy spośród znudzonych, aczkolwiek szacownych arystokratów, przyciągniętych tradycyjnymi obrzędami, zaczęli do nich na wyścigi wstępować. W ten sposób masoneria operatywna, będąca domeną prawdziwych murarzy, przeobraziła się w masonerię spekulatywną, domeną murarzy symbolicznych. W tym klimacie niejaki Desaguliers, popularyzator Newtona, skłania pastora protestanckiego, Andersona, by opracował konstytucję loży Braci Mularzy o inspiracji deistycznej, i zaczyna mówić o konfraterniach masońskich jako o korporacjach, które swoją historią sięgają cztery tysiące lat wstecz, do czasów budowniczych Świątyni Salomona. Oto skąd się wzięła masońska maskarada, fartuszek, węgielnica, młotek. Może właśnie dlatego masoneria staje się modna, przyciąga arystokratów przez nawiązanie do drzew genealogicznych, ale jeszcze bardziej podoba się mieszczanom, którzy nie tylko mają tutaj okazję do spotkań na równej stopie z arystokratami, ale zyskują nawet prawo do noszenia szpady. Kiedy przychodzi mizéria świata nowożytnego, arystokraci potrzebują jakiegoś środowiska, w którym mogliby się kontaktować z nowymi wytwórcami kapitału, a jednocześnie ci ostatni, jak można to sobie doskonale wyobrazić, odczuwają potrzebę legitymizacji.

- Wydaje się, że templariusze pojawiają się później.
- Człowiekiem, który pierwszy nawiązuje bezpośredni kontakt z templariuszami, jest Ramsay. O nim jednak wolałbym nie mówić. Podejrzewam, że działał z inspiracji jezuitów. Z jego nauk rodzi się szkockie skrzydło masonerii.

- W jakim sensie szkockie?

- Obrządek szkocki to wymysł francusko-niemiecki. Masoneria londyńska wprowadziła trzy stopnie: czeladnika, towarzysza i mistrza. Masoneria szkocka natomiast mnoży stopnie, gdyż oznacza to mnożenie poziomów wtajemniczenia i tajemnicy... Francuzi, którzy są z natury lekkoduchami, dostali bzika na tym punkcie...

- Ale o jaką tajemnicę chodziło?

- Oczywiście o żadną. Gdyby była jakaś tajemnica (albo gdyby oni ją znali), jej złożoność stanowiłaby uzasadnienie złożoności stopni wtajemniczenia. Ramsay zaś mnoży stopnie, by wmówić ludziom, że jest powiernikiem jakiejś tajemnicy. Możemy sobie wyobrazić, jaki dreszcz przebiegał po grzbiecie poczciwego sklepikarza, który stawał się oto księciem zemsty...

Agliè opowiadał nam wolnomularskie plotki. I stopniowo, jak to było w jego zwyczaju, przechodził na relację w pierwszej osobie.

- W tamtych czasach pisano już we Francji *couplets* o nowej modzie na *frimaçons*, loże wyrastały jak grzyby po deszczu i spotykało się w nich prałatów, braciszków zakonnych, markizów i sklepikarzy, a członkowie rodziny królewskiej dostępowali godności wielkich mistrzów. Do Ścisłej Obserwy Templarnej, wymyślonej przez von Hunda, wstąpili Goethe, Lessing, Mozart, Wolter, zawiązywano loże w kręgach wojskowych, w pułkach knuto spiski w celu pomszczenia Hirama i dyskutowano o nadchodzącej rewolucji. A dla innych masoneria była *société de plaisir*, rodzajem klubu, symbolem statusu towarzyskiego. Spotykało się tam najrozmaitsze typy, Cagliostro, Mesmera, Casanovę, barona d'Holbach, d'Alem-

berta... Encyklopedystów i alchemików, libertynów i hermetystów. I stało się to doskonale widoczne, kiedy wybuchła rewolucja i członkowie tej samej loży znaleźli się we wrogich obozach, można więc było sądzić, że wielkie bractwo na zawsze już pogrąża się w kryzysie...

- Nie było sprzeczności między Wielkim Wschodem a Lożą Szkołą?

- Tylko w słowach. Na przykład do loży Dziewięciu Sióstr wstąpił Franklin, który naturalnie starał się jej narzucić kierunek laicki. Interesowało go wyłącznie poparcie dla rewolucji amerykańskiej... Ale równocześnie jednym z wielkich mistrzów został hrabia de Milly, który szukał eliksiru długowieczności. Ponieważ jednak był głupcem, w trakcie swoich eksperymentów zatrzał się i umarł. Zresztą pomyślcie, panowie, o Cagliostro. Z jednej strony wynajdował obrządki egipskie, z drugiej wplątany był w aferę z naszyjnikami królowej, w skandal spreparowany przez nowe klasy rządzące, by zdyskredytować *ancien régime*. I Cagliostro tkwił w tym po uszy, panowie? Wyobraźcie sobie, z jakiego rodzaju ludźmi się tam współżyło...

- Musiało to być nieprzyjemne - oświadczył ze zrozumieniem Belbo.

- Kimże jednak są - spytałem - ci baronowie von Hund szukający Nieznanych Zwierzchników...

- Doszło do tego, że mieszczańska farsa obrosła w grupy ludzi, którzy mieli zupełnie odmienne zamiary, którzy dla pozyskania adeptów utożsamiali się wprawdzie z lożami masońskimi, ale zdążali do celów bardziej inicjacyjnych. I właśnie w tej sytuacji dochodzi do dyskusji nad Nieznanymi Zwierzchnikami. Niestety, von Hund nie był osobą poważną.

Najpierw przekonuje adeptów, że Nieznani Zwierzchnicy to Stuartowie. Potem postanawia, że celem zakonu będzie odzyskanie dóbr templariuszy, i bierze pieniądze, skąd się tylko da. Ciągłe ma ich za mało i wpada w łapy niejakiego Starcka, który chełpi się, twierdząc, że uzyskał tajemnicę wytwarzania złota od prawdziwych Nieznanych Zwierzchników przebywających w Petersburgu. Wokół von Hunda i Starcka tłoczą się teozofowie, alchemicy od siedmiu boleści, świeżo upieczeni różokrzyżowcy, i wszyscy oni wybierają na wielkiego mistrza nieposzlakowanego arystokratę, księcia Brunswickiego. Ten natychmiast spostrzega, że znalazł się w złym towarzystwie. Jeden z członków Obserwy, landgraf Hesji, wzywa do siebie hrabiego de Saint-Germain, gdyż mniema, że ten szlachcic może zrobić dla niego złoto... Trudno, w tamtych czasach lepiej było nie sprzeciwiać się zachciankom możliwych. Ale, szczyt wszystkiego, ten człowiek uważa się za świętego Piotra. Zapewniam was, panowie, że pewnego razu Lavater, który był gościem landgrafa, musiał zrobić scenę księżnej Devonshire, gdyż uznała się za Marię Magdalenę.

- Ale ci wszyscy Willermozowie, ci Martinezowie de Pasqually, którzy seryjnie zakładali sekty...

- Pasqually był awanturnikiem. Dokonywał operacji teurgicznych w swoim tajnym gabinecie, duchy anielskie ukazywały mu się pod postacią świetlistych smug i hieroglifów. Willermoz wziął to na poważnie, gdyż był zapaleńcem, uczciwym, lecz naiwnym. Fascynowała go alchemia, myślał o Wielkim Dziele, któremu powinni poświęcić się wybrani, by odkryć punkt przymierza sześciu metali szlachetnych dzięki studiom nad miarami zawartymi w sześciu literach pierwsze-

go imienia Boga, wyjawionego przez Salomona swoim wybranym.

- No i?

- Willermoz założył wiele obediencji, wstąpił jednocześnie do wielu łóż, co w owym czasie nie było niczym zdrożnym, i nie ustawał w poszukiwaniu ostatecznego objawienia, lękając się, że wiło sobie gniazdko w coraz to innym miejscu, co było prawdą, a może nawet jedyną prawdą... Tak zatem związał się z Elus Cohen Pasqually'ego. Ale w siedemdziesiątym drugim Pasqually znika, wyrusza na San Domingo, zostawia wszystko niedokończone. Dlaczego umyka? Podejrzewam, że wszedł w posiadanie jakiejś tajemnicy i nie chciał się nią dzielić. Tak czy owak, niech spoczywa w pokoju, znika na tamtym kontynencie, zapomniany, gdyż na to właśnie sobie zasłużył...

- A Willermoz?

- W tamtych latach wszystkimi wstrząsnęła śmierć Swedenborga, człowieka, który o niejednym mógłby pouczyć chory Zachód, gdyby tylko Zachód zechciał go słuchać, ale teraz stulecie pędziło już na złamanie karku w stronę rewolucyjnego szaleństwa, by zaspokoić ambicje stanu trzeciego... Otóż właśnie wtedy Willermoz usłyszał od von Hunda o Ścisłej Obserwie Templarnej i był tym zafascynowany. Powiedziano mu, że templariusz, który się ujawnia, powiedzmy, tworząc stowarzyszenie publiczne, nie jest templariuszem, lecz wiek osiemnasty to wiek ogromnej łatwowierności. Willermoz próbuje z von Hundem rozmaitych przymierzy, których ślad mamy tutaj na sporządzonej przez panów liście, dopóki von Hund nie zostaje zdemaskowany, to znaczy dopóki nie odkryto, że należy do osobników lubiących zniknąć nagle z kasą,

i księżę Brunszwicki wyklucza go ze stowarzyszenia.

Raz jeszcze przejrzał spis.

- Coś takiego! Na śmierć zapomniałem o Weishaupcie. Iluminaci Bawarscy, dysponując takim nazwiskiem, z początku przyciągnęli wiele szlachetnych umysłów. Ale ten Weishaupt był anarchista, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, komunista, i gdybyście, panowie, tylko wiedzieli, ile bredni krążyło w tym środowisku, nic tylko zamachy stanu, detronizacje, krwawe łaźnie... Proszę jednak zauważyć, że wielce podziwiałem Weishaupta, choć nie z powodu jego idei, ale ze względu na niezwykle przejrzystą koncepcję funkcjonowania tajnego stowarzyszenia. Okazuje się, że można mieć wspaniałe pomysły organizacyjne, a cele raczej mętne. Księżę Brunszwicki spostrzegł się, że ma kierować bałaganem pozostawionym przez von Hunda, i zrozumiał, że w tym momencie w niemieckim świecie wolnomularskim ścierają się co najmniej trzy sposoby myślenia: nurt mądrościowy i okultystyczny, w tym paru różokrzyżowców, nurt racjonalistyczny oraz anarchistyczno-rewolucyjny nurt Iluminatów Bawarskich. I wtedy zaproponował rozmaitym zakonom i obrządkom zebranie się w Wilhelmsbadzie na „konwent”, jak to się wówczas mówiło, powiedzmy, stanów generalnych. Należało poszukać odpowiedzi na trzy pytania. Czy zakon ma naprawdę korzenie w jakimś starożytnym stowarzyszeniu i jeśli tak, w jakim? Czy naprawdę istnieją Nieznani Zwierzchnicy sprawujący pieczę nad starożytną tradycją i jeśli tak, kim są? Jakie są prawdziwe cele zakonu, czy jest takim celem restauracja zakonu templariuszy? I tak dalej, nie wyłączając wątpliwości co do tego, czy zakon powinien się zajmować naukami okultystycznymi. Willermoz godzi się

z zapalem, nareszcie znajdzie odpowiedź na pytania, które stawiał sobie uczciwie przez całe życie... I tutaj mamy casus de Maistre'a.

- Którego de Maistre'a? - spytałem. - Josepha czy Xaviera?

- Josepha.

- Tego reakcjonisty?

- Jeśli był reakcjonistą, to w zbyt małym stopniu. Osobliwy człowiek. Zauważcie, panowie, że ten obrońca Kościoła katolickiego dokładnie w momencie, kiedy papież zaczęli ogłaszać pierwsze bulle skierowane przeciw masonerii, wstępuje do loży pod imieniem Josephus a Floribus. Zbliży się nawet do masonerii, kiedy w tysiąc siedemset siedemdziesiątym trzecim papieskie brewe potępia jezuitów. Naturalnie de Maistre ma kontakty z lożami typu szkockiego, nie jest oczywiście mieszczkańskim iluministą, człowiekiem oświecenia, lecz jednym z iluminatów... i musicie, panowie, pamiętać o tym rozróżnieniu, jako że Włosi nazwą „iluminista” określają jakobina, podczas gdy w innych krajach ta sama nazwa określa zwolennika tradycji. Osobliwy zamęt...

Sącząc koniak, sięgnął po wykonaną z prawie białego metalu papierośnicę i poczęstował nas *cigarillos* o niespotykanym kształcie. („Wyrabia je dla mnie specjalista z Londynu - wyjaśnił - i podobnie jak cygara, których kosztowaliście, panowie, u mnie, są doskonałe. Bardzo proszę” - mówił ze wzrokiem zagubionym we wspomnieniach).

- De Maistre... de Maistre... Człowiek o umyśle wytwornym, słuchanie go było ucztą duchową. Zyskał wielki autorytet w kręgach wtajemniczonych. Jednak w Wilhelmsbadzie zawiódł oczekiwania wszystkich. Przysłał księciu list,



w którym stanowczo neguje powiązania z templariuszami, istnienie Nieznanych Zwierzchników, użyteczność nauk ezoterycznych. Odrzuca to przez wierność Kościołowi katolickiemu, lecz stosuje argumenty godne mieszczańskiego encyklopedysty. Kiedy książkę odczytał ten list w kręgu najbliższych sobie ludzi, nikt nie chciał uwierzyć. De Maistre głosił teraz tezę, że celem zakonu jest jedynie odnowa duchowa i że ceremoniały i tradycyjne obrzędy służą wyłącznie podtrzymaniu ducha mistycznego w stanie rozbudzenia. Pochwalał wszystkie nowe symbole masońskie, ale stwierdzał, że obraz, który reprezentuje zbyt wiele rzeczy, nie reprezentuje niczego. A to jest, proszę mi wybaczyć, sprzeczne z wszelką tradycją hermetyczną, jako że symbol jest tym pełniejszy, potężniejszy i tym więcej objawia, im bardziej jest niejasny, trudno uchwytny, w przeciwnym bowiem razie gdzież zapodziałby się duch Hermesa, boga o tysiącu twarzy? W związku z templariuszami de Maistre oświadczył, że zakon Świątyni powstał z zachłanności, więc zachłanność go zniszczyła, i to wszystko. Ten Sabaudczyk nie był w stanie zapomnieć, że zakon został unicestwiony za zgodą papieża. Nigdy nie można ufać katolickim legitymistom, choćby nie wiem jak żarliwe wydawało się ich powołanie hermetyczne. Również odpowiedź w kwestii Nieznanych Zwierzchników była doprawdy śmiechu warta. Nie ma ich, a najlepszym dowodem jest to, że ich nie znamy. Zaprzeczono mu, mówiąc, że oczywiście ich nie znamy, bo inaczej nie byłiby nieznani. Czy sądzicie, panowie, że jego rozumowanie było bez zarzutu? To szczególne, jak dalece wierny jego kalibru może być niewrażliwy na poczucie tajemnicy. Wreszcie de Maistre zaapelował: wracajmy do ewangelii, a porzućmy szaleństwo Memfis. Po prostu za-

proponował nam niezmienną od stuleci linię Kościoła. Rozumiecie teraz, panowie, w jakiej atmosferze przebiegał zjazd w Wilhelmsbadzie. Wskutek dezercji takiego autorytetu, jak de Maistre, Willermoz znalazł się w mniejszości i w najlepszym razie można było doprowadzić do jakiegoś kompromisu. Utrzymano obrządek Templum, odrzucono wszelkie konkluzje w sprawie źródeł, w sumie porażka. Wtedy właśnie Obrządek Szkocki utracił swoją okazję. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, być może inaczej wyglądałaby historia wieku, który nadciągał.

- A potem? - spytałem. - Niczego nie sfastrygowano?

- Co niby można było, używając pańskiej terminologii, sfastrygować?... Trzy lata później pewien kaznodzieja ewangelicki, który przystąpił do Iluminatów Bawarskich, niejaki Lanze, ginie w lesie od pioruna. Znalezione przy nim instrukcje zakonu, wtrącił się w sprawę rząd bawarski, odkryto, że Weisthaupt spiskował przeciw władzom, i w następnym roku doszło do kasacji zakonu. Co gorsza, opublikowano pisma Weishaupta zawierające rzekome plany Iluminatów, dyskredytujące neotemplaryzm francuski i niemiecki... Proszę zauważyć, że Iluminaci Weishaupta stali prawdopodobnie po stronie masonerii jakobińskiej i do nurtu neotemplarnego przeniknęli po to, żeby go zniszczyć. Nie przypadkiem ta hołota przeciągnęła na swoją stronę Mirabeau, trybuna rewolucji. Czy chcecie, panowie, usłyszeć pewne wyznanie?

- Proszę mówić.

- Ludzie tacy jak ja, zainteresowani tym, by związać zerwaną nić Tradycji, poczuli się zagubieni w obliczu wydarzenia takiego jak Wilhelmsbad. Ktoś odgadł, ale milczał, ktoś wiedział, ale kłamał. A potem było już za późno, nadciągała

rewolucyjna zawierucha, po niej zaś ujadanie dziewiętnastowiecznego okultyzmu... Spójrzcie tylko, panowie, na wasz spis, na ten festiwal złej woli i łatwowierności, kopania pod sobą dołków, ekskomunik, tajemnic, które są na ustach wszystkich. Teatr okultystyczny.

- Czy ma pan na myśli to, że okultyści nie są wiarygodni?  
- spytał Belbo.

- Trzeba umieć odróżniać okultyzm od ezoteryzmu. Ezoteryzm to poszukiwanie wiedzy, którą można przekazywać jedynie poprzez symbole, nieprzeniknione dla profanów. Natomiast okultyzm, który szerzy się w dziewiętnastym wieku, to wierzchołek góry lodowej, ta odrobina wiedzy ezoterycznej, która wynurza się na powierzchnię. Templariusze byli wtajemniczonymi, a za dowód niechaj posłuży to, że gdy poddawano ich torturom, umierali, lecz nie zdradzali tajemnicy. Właśnie ta siła, z jaką ją chronili, upewnia nas co do tego i sprawia, że tęsknimy za tym, co wiedzieli. Okultysta to exhibicjonista. Jak powiedział Péladan, wyjawiona tajemnica inicjacyjna niczemu już nie służy. Na szczęście Péladan nie należał do grona wtajemniczonych, był okultystą. Wiek dziewiętnasty to wiek donosów. Wszyscy prześcigali się w publikowaniu tajemnic magii, teurgii, Kabały, taroka. I gdyby choć w to wierzyli!

Agliè znowu przeglądał spis z uśmiechem wyrażającym szyderstwo i politowanie.

- Helena Pietrowna. W gruncie rzeczy zacna niewiasta, ale nie powiedziała ani jednej rzeczy, która nie byłaby już wypisana wielkimi literami na wszystkich murach... De Guaita. Biblioman, nafaszerowany narkotykami. Papus. Ten jest w porządku.

Nagle zatrzymał wzrok w jakimś miejscu listy.

- Tres... Skąd wzięła się ta informacja? Z jakiego maszynopisu?

„Świetnie - pomyślałem. - Dostrzegł, że to interpolacja”.

Odpowiedzieliśmy w sposób wymijający.

- Wie pan, ta lista została ułożona przy kartkowaniu najrozmaitszych tekstów i większość już odrzuciliśmy, bo to była makulatura. Belbo, przypomina pan sobie, gdzie pojawiło się to Tres?

- Chyba nie. Diotallevi?

- To musiało być już parę dni temu... Czy to ważne?

- Bynajmniej - uspokoił nas Agliè. - Chodzi o to, że nigdy się z tą nazwą nie spotkałem. Naprawdę nie potraficie powiedzieć, panowie, skąd się wzięła?

Z ubolewaniem potwierdziliśmy, że nie pamiętamy.

Agliè wyjął zegarek z kieszonki kamizelki.

- O Boże, byłem umówiony. Bardzo panów przepraszam.

Opuścił nas, a my pograżyliśmy się w dyskusji.

- Teraz wszystko jasne. Anglicy lansują masonerię, żeby wszystkich wtajemniczonych europejskich skupić wokół planu Bacona.

- Ale plan powiódł się tylko w połowie. Myśl wypracowana przez zwolenników Bacona jest tak fascynująca, że prowadzi do rezultatów przeciwnych, niż oczekiwano. Nurt zwany szkockim zamierza zwołać nowy konwentykiel, chce bowiem zrekonstruować sukcesję, nawiązuje więc kontakt z templariuszami niemieckimi.

- Agliè uznał historię za niezrozumiałą. To oczywiste. Teraz tylko my potrafimy powiedzieć, co się właściwie stało, bo postanowimy, żeby się stało. W tym punkcie rozmaite grupki

narodowe wstępują w szranki, walcząc jedne przeciwko drugim, i nie wykluczyłbym, że ten Martinez de Pasqually jest agentem grupki z Tomaru. Anglicy nie uznają Szkotów, którzy są zresztą Francuzami. Francuzi są najwyraźniej podzieleni na dwie grupy, filoangielską i filoniemiecką. Masoneria to tylko zewnętrzna przykrywka, pretekst pozwalający agentom różnych grup (Bóg jeden wie, gdzie w tym wszystkim znaleźli sobie miejsce paulicjanie i jerozolimczycy) spotykać się i ścierać, by wydrzeć jedni drugim jakieś źdźbło tajemnicy.

- Masoneria jako Rick's Bar w Casablance - zauważył Belbo. - A to burzy całkowicie obiegową opinię. Masoneria nie jest tajnym stowarzyszeniem.

- Jasna sprawa, jest portem wolnocłowym jak Makau. Powierzchnią. Tajemnica tkwi gdzie indziej.

- Biedni masoni!

- Nie ma postępu bez ofiar. Przyznacie jednak, że odnajdujemy w ten sposób immanentny racjonalizm historii.

- Racjonalizm historii to skutek właściwego napisania na nowo Tory - oznajmił Diotallevi. - Tak postępujemy i niech pochwalone będzie imię Najwyższego.

- No dobrze - powiedział Belbo. - Teraz zwolennicy Bacona mają już Saint-Martin-des-Champs, francusko-niemieckie skrzydło templariuszy rozpada się na mnóstwo sekt... Ale nie ustaliliśmy jeszcze, o jaką tajemnicę chodzi.

- Tu was mam! - wykrzyknął Diotallevi.

- Nas? Wszyscy tkwimy w tym po uszy i jeśli nie znajdziemy jakiegoś honorowego wyjścia, doprawdy trudno będzie spojrzeć komuś w oczy.

- Niby komu?

- Ależ historii, trybunałowi Prawdy.
- *Quid est veritas?* - spytał Belbo.
- My - odparłem.

To zielsko zowią Filozofowie czarcim płóchem. Zostało wypróbowane, że tylko to nasienie wypędza diabły i ich złudy... Podali je pewnej dziewczce, którą w nocy dręczył diabeł, i zielsko zmusiło go do ucieczki.

Johannes de Rupescissa, *Trattato sulla Quintessenza*, II

W następnych dniach zaniedbałem Plan. Lia miała już wkrótce rodzić i kiedy tylko mogłem, pozostawałem przy niej. Koła moje niepokoje, mówiła, że jeszcze czas. Chodziła na kurs bezbolesnego rodzenia, a ja starałem się brać udział w jej ćwiczeniach. Odrzuciła pomoc nauki, która mogłaby określić płeć dziecka. Woląla niespodziankę. Pogodziłem się z tym dziwactwem. Dotykałem jej brzucha, nie zastanawiając się, co z niego wyjdzie; postanowiliśmy używać określenia Rzecz.

Zapytałem tylko, w jaki sposób mógłbym jej pomóc w czasie porodu.

- Rzecz jest także moja - powiedziałem. - Nie chcę być jednym z tych ojców, których widuje się w filmach, jak krążą po szpitalnym korytarzu, odpalając jednego papierosa od drugiego.

- Pim, nie zrobisz więcej niż to możliwe. Od pewnego momentu będzie to tylko moja sprawa. Zresztą nie palisz i chyba nie chcesz wykorzystać tej sytuacji, żeby popaść w nałóg.

- Co więc mam robić?

- Masz uczestniczyć przedtem i potem. Po wszystkim, jeśli okaże się, że mamy syna, będziesz go wychowywał, formował, wykształcisz w nim kompleks Edypa jak się patrzy, kiedy przyjdzie pora, poddasz się z uśmiechem rytualnemu oj-cobójstwu, i to bez robienia z tego historii, a jeszcze potem

pokażesz mu swoje nędzne biuro, kartotekę, fiszki, korektę cudownej historii metali i powiesz: mój synu, pewnego dnia to wszystko będzie twoje.

- A jeśli urodzi się córka?

- Powiesz: moja córko, pewnego dnia to wszystko należeć będzie do tego próżniaka, twojego męża.

- A przedtem?

- Kiedy zaczną się bóle, będą między nimi przerwy i wtedy trzeba liczyć, bo w miarę jak przerwa się skraca, coraz bliższa jest chwila porodu. Będziemy liczyć razem, a ty zadbaj o to, byśmy utrzymywali właściwe tempo liczenia, tak jak podaje się rytm wioślarzom. To tak, jakbyś ty też się starał, żeby Rzecz wyszła powolutku ze swojej mrocznej pieczary. Biedaczek-biedaczka. Tylko posłuchaj, teraz jest mu-jej tam dobrze w ciemnościach, wysysa soki niby ośmiornica, wszystko ma gratis, a potem bęc, wyskoczy na światło słoneczne, zamruga oczkami i powie: gdzie, do diabła, trafiłem-trafiłam?

- Biedaczek-biedaczka. I nie będzie jeszcze znało pana Garamonda. No dobrze, spróbujmy liczyć.

Licyliśmy, trzymając się w ciemności za ręce. Snułem fantazje. Rzecz jest najprawdziwszą Rzeczą, która przychodząc na świat, nada sens wszystkim blagom diabolistów. Biedni diaboliści, którzy spędzają całe noce na wyobrażaniu sobie chemicznego wesela, zastanawiając się, czy rzeczywiście będzie z tego osiemnastokaratowe złoto i czy kamień filozoficzny to *lapis exillis*, ubogi Graal z wypalanej gliny. Mój Graal jest tutaj, w brzuchu Lii.

- Tak - powiedziała Lia, przesuwając dłonią po pękatym, napiętym brzuchu - tutaj maceruje się twoja *materia prima*.



Co według tych ludzi, których widziałeś w zamku, dzieje się w naczyniu?

- Och, myślą, że bulgocze tam melancholia, ziemia siarkawa, czarny ołów, olej Saturna, że jest tam Styks, w którym odbywa się rozmiękczenie, pieczenie, próchnienie, topienie, ugniatanie, nasączenie, zanurzanie, *terra fetida*, grobowiec cuchnący...

- Co to za ludzie, impotenci? Nie wiedzą, że w naczyniu dojrzewa nasza Rzecz, bieluśka, piękna i różowa?

- Pewnie, że wiedzą, ale dla nich twój brzusek jest metaforą brzemienią w tajemnicę...

- Nie ma w nim żadnych tajemnic, Pim. Dobrze wiemy, jak formuje się Rzecz, jak tworzą się jej malutkie nerwy, mięśnie, oczka, śledzionki, trzusteczki...

- O mój Boże, ile tych śledzion? Co to ma być, Rosemary's Baby?

- Tylko tak mi się powiedziało. Ale musimy być przygotowani na powitanie Rzeczy, nawet jeśli będzie miała dwie głowy.

- Jasna sprawa. Nauczę ją wtedy gry w duecie na trąbkę i klarnet... Nie, gdyby miała cztery ręce, byłby to nadmiar, chociaż pomyśl, co za pianista, to nie byle koncert na lewą rękę. Brr... Ale nawet moi diaboliści wiedzą, że tego dnia w klinice powstanie również dzieło w tonacji białej, narodzi się rebis, androgin...

- Tylko tego brakowało! Posłuchaj lepiej. Damy mu imię Giulio albo Giulia, po moim dziadku, zgadzasz się?

- Nie mam nic przeciwko temu, brzmi nieźle.

Wystarczyłoby, żebym zatrzymał się w tym miejscu. Żeby napisać białą księgę, porządny *grimoire* dla wszyst-

kich adeptów Izydy Obnażonej, by wyjaśnić im, że nie warto już szukać *secretum secretorum*, że odczytanie życia nie odsłania żadnego zakrytego sensu, że wszystko jest tutaj, w brzuchach wszystkich Lii tego świata, w pokojach klinik, na siennikach, na kamienistych brzegach rzek, i że kamienie wracające z wygnania oraz Święty Graal to tylko maleńkie wrzeszczące brzydactwa, którym zwisa jeszcze z brzuszka pępowina, a doktor wymierza klapsa w pupę. Że dla Rzeczy Nieznani Zwierzchnicy to ja i Lia i że rozpozna nas Ona natychmiast, nie szukając odpowiedzi u tego głupca, de Maistre'a.

Ale nie, my - szydercy - chcieliśmy bawić się w chowanego z diabolistami, pokazując im, że jeśli już ma być spisek kosmiczny, potrafimy wymyślić taki, który będzie bardziej kosmiczny, niż oni potrafią sobie wyobrazić.

Dobrze ci tak - powtarzałem sobie tamtego wieczoru. Teraz tkwisz tutaj i czekasz, co się zdarzy pod wahadłem Foucaulta.

Powiedziałbym niechybnie, że ta potworna krzyżówka nie wzięła się z matczyego brzucha, lecz pewnie z jakiegoś Efialta, z jakiegoś inkuba lub innego obrzydliwego diabła, poczęta jakby przez zgniły i trujący grzyb, dziecię faunów i nimf, demonowi podobniejsze niż człowiekowi.

Athanasius Kircher, *Mundus Subterraneus*,  
Jansson, Amsterdam 1665, II, s. 279–280

Tego dnia chciałem zostać w domu, gnębiło mnie jakieś przeczucie, ale Lia powiedziała, żebym nie zgrywał się na księcia małżonka i ruszał do roboty.

– Masz czas, Pim, jeszcze nie rodzę. Też muszę wyjść. Idę.

Dochodziłem do mojego biura, kiedy otworzyły się drzwi pracowni pana Salona. Stał w nich starzec, ubrany w swój żółty fartuch. Nie mogłem uniknąć wymiany ukłonów, a wtedy on zaprosił mnie do środka. Nigdy nie widziałem jego pracowni, więc wszedłem.

Jeśli kiedyś za tymi drzwiami było zwykłe mieszkanie, Salon musiał zburzyć ściany działowe, zobaczyłem bowiem jakby ogromną pieczarę o trudnym do określenia kształcie. Z jakichś zapomnianych już względów architektonicznych to skrzydło budynku było w tym miejscu poddaszem i światło przenikało przez ustawione skośnie okna. Może szyby były brudne albo matowe, może Salon je zasłonił, żeby uniknąć padających pionowo promieni słonecznych, a może powodowały to stosy rozmaitych rzeczy, głośno mówiących wszem wobec o lęku przed pustą przestrzenią, tak czy inaczej w pieczarze było światło jak o zmierzchu, także dlatego, iż to wielkie pomieszczenie zostało podzielone regałami z jakiejś starej apteki, wśród których otwierały się arkady, wyznaczające rytm przesmyków, przejść, widoków. Odcieniem domi-

nującym był brąz, wszystkie przedmioty, etażerki, stoły, miały barwę kasztanową – połączenie rozproszonego światła dziennego ze światłem starych lamp, rzucającym tu i ówdzie jaśniejsze plamy. Na pierwszy rzut oka miało się wrażenie, że to warsztat lutnika, który wyprowadził się stąd w czasach Stradivariususa i od tamtej pory na pasiastych brzuchach teorbantów gromadził się pomału kurz.

Potem stopniowo wzrok mi się wyostrzył i zrozumiałem, że jestem, jak należało się spodziewać, w skamieniałym zoo. Tutaj niedźwiadek o błyszczących szklanych oczach piął się na sztuczną gałąź, koło mnie przysiadła sowa płomykówka, osłupiała i dostojna, na stole przed sobą zobaczyłem łasicę, a może kunę albo tchórza – nie wiem. Pośrodku blatu stało jakieś prehistoryczne zwierzę, którego zrazu nie rozpoznałem, jakby z gatunku kotów, lecz oglądanych przez aparat rentgenowski. Mogła to być puma, mógł być serwal albo nawet olbrzymi pies, widziałem tylko szkielet, częściowo już wypchany kłakami, które trzymały się dzięki armaturze z drutów.

- Duński dog pewnej bogatej damy o czułym serduszku – Salon uśmiechnął się szyderczo – która pragnie wspominać czasy małżeńskiego pożycia. Widzi pan? Ściąga się ze zwierzęcia skórę, smaruje się ją od wewnątrz mydłem arsenowym, a potem moczy i wybiela kości... Proszę tylko spojrzeć na tę półkę, jaka piękna kolekcja kręgosłupów i klatek piersiowych! Wspaniała kostnica, prawda? Potem łączy się kości za pomocą drutu i kiedy ma się już szkielet, montuje się armaturę. Zwykle używam do tego celu siana albo papier mâché, albo gipsu. Na koniec idzie skóra. Usuwam szkody wyrządzone przez śmierć i proces rozkładu. Proszę tylko

spojrzeć na tę sowę, czy nie wygląda jak żywa?

Od tej chwili każda żywa sowa wyda mi się martwa, z góry skazana przez Salona na sklerotyczną wieczność. Spojrzałem na twarz tego specja od balsamowania zwierzęcych faraonów, na jego krzaczaste brwi, szare lico, i starałem się zrozumieć, czy jest żywą istotą, czy raczej arcydziełem swojego własnego rzemiosła.

Chcąc mu się lepiej przyjrzeć, zrobiłem krok do tyłu i poczułem, że coś musnęło mój kark. Drgnąłem, obróciłem się i zobaczyłem, że wprowadziłem w ruch wahadło.

Wielki, całkowicie zmasakrowany ptak kołysał się zgodnie z ruchem włóczni, która go przeszyla. Weszła od strony głowy i ponieważ tułów był rozdarty, ujrzałem, że sięgnęła miejsca, gdzie niegdyś znajdowały się serce i żołądek, i tam rozgałęziła się w odwrócony do góry nogami trójząb. Jedno ostrze, to grubsze, przebiło miejsce po trzewiach i niby miecz celowało w kierunku ziemi, podczas gdy dwa florety przeszły przez nogi i wyszły symetrycznie między szponami. Ptak kołysał się lekko i trzy punkty wskazywały na ziemi ślad, który by zostawił, gdyby ją muskały.

- Piękny okaz orła królewskiego - wyjaśnił Salon. - Ale muszę jeszcze kilka dni nad nim popracować. Dobieram właśnie oczy. - Pokazał mi pudełko pełne szklanych rogówek i źrenic, jakby relikwie, które kat świętej Łucji zbierał przez lata swej zawodowej kariery. - Nie zawsze jest tak łatwo jak z owadami, którym wystarczy pudełeczko i szpilka. Bezkręgowce na przykład traktuje się formaliną.

Śmierdziało nią jak w trupiarni.

- Musi to być pasjonująca praca - powiedziałem. I myślałem o tej żywej rzeczy w brzuchu Lii. Naszła mnie lo-

dowata myśl: jeśli Rzecz umrze, chcę sam ją pogrzebać, by stała się pokarmem dla wszystkich podziemnych robaków i użyźniła glebę. Tylko w ten sposób mogłaby pozostać dla mnie żywa...

Wzdrygnąłem się, bo Salon coś powiedział i zaczął ściągać z którejś półki jakieś dziwne stworzenie. Miało ze trzydzieści centymetrów długości i z pewnością było smokiem, gadem o wielkich czarnych i błoniastych skrzydłach, kogucim grzebieniu i rozwartej paszczy uzbrojonej w małe, ostre jak piła zęby.

- Piękny, prawda? To moja kompozycja. Wykorzystałem salamandrę, nietoperza, łuski węża... Smok z podziemi. Inspirowałem się tym... - wskazał leżący na innym stole wielki wolumin in folio, oprawny w stary pergamin, ze skórzanymi rzemieniami. - Kosztował mnie bajeczną sumę, nie jestem bibliofilem, ale ten tom chciałem mieć. To *Mundus Subterraneus* Athanasiusa Kirchera, pierwsze wydanie, z tysiąc sześćset sześćdziesiątego piątego roku. O, tu jest smok. Podobny, nie sądzi pan? Żyje w parowach wulkanów, jak utrzymywał ten zacny jezuita, który wiedział wszystko o tym, co znane, nieznanie, a nawet nieistniejące...

- Nadal rozmyśla pan o podziemiach? - spytałem, przypomniawszy sobie naszą rozmowę w Monachium i zdania, które usłyszałem przez ucho Dionizjusza.

Otworzyłem księgę w innym miejscu. Był tam obraz kuli, która robiła wrażenie nabrzmiałego i czarnego organu oplecionego pajęczyną świetlistych, wijących się i płomienistych żył.

- Jeśli Kircher się nie mylił, w sercu Ziemi jest więcej drózek niż na jej powierzchni. Kiedy coś dzieje się w przyro-

dzie, bierze się z gorąca, które kłębi się pod spodem...

Myślałem o dziele w tonacji czarnej, w brzuchu Lii, o Rzeczy, która chce wyrwać się ze swojego pełnego słodczy wulkanu.

- ...A jeśli coś dzieje się w świecie ludzi, tam, pod spodem, zostało uknute.

- Tak twierdzi ojciec Kircher?

- Nie, on zajmuje się tylko przyrodoznawstwem... Ale to szczególne, że druga część tej książki została poświęcona alchemii i alchemikom i że właśnie tutaj, proszę spojrzeć, mamy atak na różokrzyżowców. Czemu atakuje różokrzyżowców w dziele poświęconym światu podziemnemu? Niejedno wiedział nasz jezuita, wiedział, że ostatni templariusze schronili się w podziemnym królestwie Agartty...

- I zdaje się, że nadal tam przebywają - ośmieliłem się wtrącić.

- Nadal - odparł Salon. - Nie w Agartcie, w innych trzeviach. Może właśnie pod naszymi nogami. Także Mediolan ma teraz metro. Kto chciał je wybudować? Kto kierował wykopami?

- Sądzę, że inżynierowie specjaliści.

- Dobrze, niech pan zamyka oczy. A przecież w pańskim wydawnictwie publikuje się nie wiadomo czyje książki. Czy macie wśród waszych autorów Żydów?

- Nie pytamy o ich pochodzenie - odparłem oschle.

- Proszę nie myśleć, że jestem antysemitą. Wśród moich najbliższych przyjaciół są Żydzi. Mam na myśli pewien określony typ Żydów...

- Jaki typ?

- Już ja wiem...

Otworzył swój kuferek. W nieopisanym nieładzie kłębiły się tam kołnierzyki, podwiązki, przybory kuchenne, odznaki najrozmaitszych szkół technicznych, nawet monogram cesarzowej Aleksandry Fiodorowny i krzyż Legii Honorowej. Ku jego wielkiemu osłupieniu wskazał pieczęć Antychrysta w kształcie trójkąta albo dwóch skrzyżowanych trójkątów.

Alexandre Chayla, *Serge A. Nilus et les Protocoles*,  
„La Tribune Juive”, 14 maja 1921, s. 3

- Widzi pan - dodał - urodziłem się w Moskwie. Właśnie w Rosji za mojej młodości ukazały się tajne dokumenty żydowskie, w których mówiło się jawnie, że jeśli chce się podporządkować sobie rządy, należy działać w podziemiu. Niech pan posłucha. - Wziął zeszytik, w którym odnotowywał odręcznie cytaty. - „W tym czasie wszystkie miasta będą miały metro i przejścia podziemne. Umożliwi to nam wysadzenie w powietrze wszystkich miast na ziemi”. Protokoły Mędrców Syjonu, dokument numer dziewięć!

Przyszło mi do głowy, że kolekcja kręgosłupów, pudełko z oczami, skóry, które napinał na armaturach, wzięły się z jakiegoś obozu zagłady. Ale nie, miałem do czynienia ze starym nostalgikiem, który przywiózł tu ze sobą dawne wspomnienia rosyjskiego antysemityzmu.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, jakiś krąg Żydów, choć nie obejmujący wszystkich, knuje spisek. Ale dlaczego w podziemiach?

- To chyba oczywiste! Kiedy ktoś spiskuje, robi to w ukryciu, nie zaś w pełnym świetle dnia. Wszyscy wiedzą o tym od niepamiętnych czasów. Władza nad światem oznacza władzę nad tym, co jest pod spodem. Nad podziemnymi prądami.

Przypomniałem sobie pytanie, jakie Agliè zadał w swoim



gabinecie, i druidessy z Piemontu, które przyzywały telluryczne prądy.

- Dlaczego Celtowie swoje sanktuaria budowali w głębi ziemi, czemu drążyli tunele połączone ze świętą studnią? - ciągnął Salon. - Kopano te studnie w warstwach radioaktywnych, to znana rzecz. Jak jest zbudowane Glanstonbury? Czy nie chodzi przypadkiem o wyspę Avalon, z której wziął się mit Graala? A kto wymyślił Graala, jeśli nie Żyd?

O Boże, znowu Graal! Ale jaki Graal, jest tylko jeden, to moja Rzecz połączona z radioaktywnymi warstwami macicy Lii; być może żegluje w tej chwili w stronę wylotu studni, może gotuje się do wyjścia, podczas gdy ja tkwię tu wśród wypchanych sów, z których setka jest martwych, a jedna udaje, że żyje.

- Wszystkie katedry zostały zbudowane w miejscach, gdzie Celtowie mieli swoje menhiry. Dlaczego, nie zważając na trudy, osadzali głazy w ziemi?

- A dlaczego Egipcjanie tak się męczyli, wznosząc piramidy?

- No właśnie. Anteny, termometry, sondy, igły podobne do tych, które lekarze chińscy wbijają w miejsca reagowania ciała, w punkty węzłowe. A w samym środku Ziemi jest roztopione jądro podobne do Słońca, a nawet najprawdziwsze Słońce, wokół którego coś krąży po najróżniejszych trajektoriach. Orbity prądów tellurycznych. Celtowie wiedzieli, któredy przebiegają i jak nad nimi panować. A Dante, a Dante? O czym nam opowiada, opisując zejście w otchłań? Czy pojmuje pan, drogi przyjacielu?

Wcale nie miałem ochoty być jego drogim przyjacielem, lecz słuchałem. Giulio-Giulia, mój rebis osadzony niby Lucy-

fer w centrum brzucha Lii, ale on-ona, Rzecz, wywinie kociołka, wypchnie się ku górze, wydostanie się w jakiś sposób. Rzecz jest stworzona tak, by wyjść z trzewi, by odsłonić się w swojej przejrzystej tajemnicy, nie zaś by głową w dół dać nurka i szukać jakiegoś oślizgłego sekretu.

Salon ciągnął swoje, zatracił się teraz w monologu, który powtarzał, jak mi się zdawało, z pamięci.

- Czy wie pan, co to są angielskie *leys*? Jeśli pan przeleci się samolotem nad Anglią, zobaczy, że wszystkie święte miejsca zostały połączone liniami prostymi, siatką linii, które obejmują całe terytorium i po dzień dzisiejszy są widoczne, przywodząc na myśl zarys dróg...

- Skoro były święte miejsca, musiały być połączone drogami, a drogi prowadzi się tak, żeby były jak najprostsze...

- Tak? A dlaczego migracja ptaków odbywa się właśnie wzdłuż tych linii? Dlaczego wyznaczają trasy spadających spodków? Chodzi o tajemnicę, która została zagubiona po inwazji rzymskiej, ale są tacy, którzy nadal ją znają...

- Żydzi - podsunąłem.

- Także oni drążą. Pierwszą zasadą alchemiczną jest *Vitriol: Visita Interiora Terrae, Rectificando Invenies Occultum Lapidem*.

*Lapis exillis*. Mój Kamień, który powoli wydostaje się z wygnania, ze słodkiego, niepamiętnego, hipnotycznego wygnania w pojemnym naczyniu Lii, nie szukając innych głębi, mój piękny i biały Kamień, który tęskni za powierzchnią... Chciałem biec do domu, do Lii, razem z nią oczekiwać pojawienia się Rzeczy, godzina po godzinie wyglądać chwili triumfu z odzyskania powierzchni. W pieczarze Salona panuje zaduch podziemi, a podziemia to początki, które należy

opuścić, nie zaś cel, który trzeba osiągnąć. A jednak słuchałem Salona i kłębiły mi się w głowie nowe szelmowskie pomysły do Planu. Czekałem na jedyną Prawdę tego sublu-narnego świata, a troszczyłem się o budowanie nowych kłamstw. Byłem ślepy jak podziemne zwierzęta.

Otrząsnąłem się. Trzeba wyjść z tego tunelu.

- Muszę już iść - powiedziałem. - W razie czego wskaże mi pan lektury na ten temat.

- Ba, kiedy wszystko, co napisano, jest fałszywe, fałszywe jak dusza Judasza. Wiem to tylko, czego dowiedziałem się od mojego ojca...

- Geologa?

- Och, nie! - Salon się roześmiał. - Nie, zupełnie nie. Mój ojciec (nie ma się czego wstydzić, przeszło, minęło) pracował w Ochraniu. Bezpośrednio pod rozkazami szefa, legendar-ne-go Raczkowskiego.

Ochrana. Ochrana, coś w rodzaju KGB, czy nie była to czasem tajna policja carska? A kim był ten Raczkowski? Kto nosił podobne nazwisko? Na Boga, przecież to tajemniczy gość pułkownika, hrabia Rakosky... No nie, tego za wiele, po-zwalam, żeby zaskakiwał mnie zwyczajny zbieg okoliczności. Nie wypychałem przecież martwych zwierząt, lecz płodziłem żywe.

Kiedy w materii Wielkiego Dzieła pojawiła się Biel, Życie zwyciężyło Śmierć, ich Król został wskrzeszony. Ziemia i Woda stały się Powietrzem, nastaly rządy Księżyca, narodziło się ich dziecię... Wówczas Materia zyskała tak wielką niezmiennosc, że Ogień nie mógłby już jej zniszczyć... Kiedy artysta widzi biel bez skazy, Filozofowie powiadają, że trzeba porzucić księgi, bo stały się zbędne.

Dom J. Pernety, *Dictionnaire mytho-hermétique*,  
Bauche, Paris 1758, „Blancheur”

Wybelkotałem pospiesznie słowa przeprosin. Chyba powiedziałem coś w rodzaju: „Moja dziewczyna jutro ma rodzić”. Salon z miną, jakby nie wiedział, kto jest ojcem, życzył mi wszystkiego najlepszego. Pobiegłem do domu, żeby odetchnąć czystym powietrzem.

Lii nie było. Na stole w kuchni kartka: „Kochanie, odeszły wody. Nie zastałam cię w biurze. Biorę taksówkę i jadę do kliniki. Przyjedź, czuję się samotna”.

Wpadłem na chwilę w panikę, miałem przecież tam być i liczyć razem z Lią, miałem siedzieć w biurze. Rzecz urodzi się martwa, Lia też umrze, Salon obie wypcha.

Wpadłem do kliniki, jakbym cierpiał na zapalenie błędnika, pytałem tych, którzy o niczym nie mieli pojęcia, dwa razy pomyliłem oddział. Wszystkim mówiłem, że powinni wiedzieć, gdzie rodzi Lia, i wszyscy odpowiadali, żebym się uspokoił, bo tutaj wszystkie rodzą.

Wreszcie, sam nie wiem w jaki sposób, znalazłem się w jakiejś sali, Lia była blada, ale bladością perłową, i uśmiechała się. Ktoś odgarnął jej włosy i wcisnął pod biały czepek. Po raz pierwszy widziałem w całym blasku czoło Lii. Obok siebie miała Rzecz.

- To Giulio - oznajmiła.

Mój rebis. Ja też go stworzyłem, i to nie z fragmentów martwych ciał, i bez mydła arsenowego. Niczego mu nie brakowało, wszystkie palce miał na właściwych miejscach.

Chciałem obejrzyć go całego.

- Ach, co za piękna armatka, ach, jakie ma wielkie kulki! - Potem zacząłem całować Lię w odsłonięte czoło. - Ale to twoja zasługa, najdroższa, wszystko zależy od naczynia.

- Pewnie, że to moja zasługa, draniu. Musiałam liczyć sama.

- Jeśli chodzi o liczenie, to ty dla mnie liczysz się najbardziej.

Ludność podziemi doszła do wysokiej wiedzy... Gdyby nasza szalona ludzkość przedsięwzięła przeciwko nim wojnę, potrafiliby wysadzić w powietrze całą powierzchnię naszej planety.

Ferdinand Ossendowski, *Beasts, Men and Gods*, 1924, V;  
 Antoni Ferdynand Ossendowski, *Przez kraj ludzi,  
 zwierząt i bogów*, 1925, s. 335 i nast.

Byłem u boku Lii nawet po wyjściu z kliniki, bo kiedy tylko znalazła się w domu i przystąpiła do zmieniania dziecku pieluszek, wybuchnęła płaczem i powiedziała, że nigdy jej się to nie uda. Ktoś później wyjaśnił nam, że to normalne. Kiedy opadnie już podniecenie wywołane zwycięskim porodem, przychodzi poczucie bezsilności w obliczu ogromu obowiązków. Przez pierwsze dni obijałem się z kąta w kąt, czując się niepotrzebny, a w każdym razie nie mogąc karmić piersią, i czytałem wszystko, co znalazłem na temat prądów tellurycznych.

Po powrocie rozmawiałem o tym z Aglièm. Przesadnym gestem okazał swoje znudzenie tą sprawą.

- Marne metafory, które mają być aluzją do węża Kundalinięgo. Nawet geomancja chińska szukała w ziemi śladów smoka, ale wąż telluryczny miał oznaczać po prostu węża inicjacyjnego. Bogini odpoczywa pod postacią zwiniętego węża, śpi pogrążona w wiecznym letargu. Kundalini drży łagodnie, wydając cichy świst i wiążąc ciała ciężkie z ciałami lekkimi. Niby śmigło albo turbina wodna, niby połowa sylaby OM.

- Do jakiej tajemnicy nawiązuje wąż?
- Do prądów tellurycznych. Ale do tych prawdziwych.
- Jakie są prawdziwe prądy telluryczne?
- Stanowią wielką tajemnicę kosmologiczną i aluzję do

węza.

„Do diabła z Agliem - pomyślałem sobie. - Ja wiem więcej na ten temat”.

Przeczytałem moje notatki Belbowi i Diotalleviemu i okazało się, że nie mamy już najmniejszych wątpliwości. Wreszcie byliśmy w stanie dostarczyć templariuszom godną ich tajemnicę. Było to rozwiązanie najoszczędniejsze, najelegantsze i mające tę zaletę, że zaczęły pasować do siebie wszystkie elementy naszej tysiącletniej układanki.

Tak więc Celtowie wiedzieli o prądach tellurycznych. Dowiedzieli się o nich od Atlantydów, kiedy ci, którzy ocalili z katastrofy kontynentu, wyemigrowali - jedni do Egiptu, drudzy do Bretanii.

Natomiast Atlantydzi dowiedzieli się tego wszystkiego od naszych przodków, którzy z wyspy Avalon, przemierzywszy cały kontynent Mu, dotarli do pustyni w środku Australii - w czasach, kiedy wszystkie kontynenty były połączone, stanowiły cudowną Pangeę, tak że można było bez trudu wszędzie podróżować. Gdybyśmy tylko umieli odczytać (jak umięją aborygeni, którzy jednak milczą) tajemniczy alfabet wyryty w wielkim masywie Ayers Rock, mielibyśmy Objaśnienie. Ayers Rock leży na antypodach wielkiej góry (nieznanej), stanowiącej Biegun, ale Biegun prawdziwy, Biegun inicjacyjny, nie zaś ten, do którego może dotrzeć pierwszy lepszy mieszczkański odkrywca. Jak zwykle, i jest to jasne dla każdego, kogo nie zaślepiła fałszywa wiedza zachodniej nauki, Biegun, który widzimy, jest Biegunem nieistniejącym, istnieje natomiast ten, którego nie potrafi zobaczyć nikt, z wyjątkiem paru adeptów zobowiązanych jednak do milczenia.

Ale Celtowie wierzyli, że wystarczyłoby odkryć globalny

plan prądów. Dlatego stawiali megality. Menhiry były radiestetycznymi aparatami, pełniły rolę sworzni, były elektrycznymi ujęciami osadzonymi w miejscach, gdzie prądy rozgałęziały się w różnych kierunkach. *Leys* wyznaczały bieg prądu już odnalezionego. Dolmeny były komorami kondensacji energii i tam właśnie druidzi starali się dzięki swoim umiejętnościom geomantycznym ekstrapolować układ całościowy. Kromlechy i Stonehenge to obserwatoria mikro-makrokosmiczne, gdzie badając porządek konstelacji, trudzono się nad odgadnięciem porządku prądów, gdyż zgodnie z *Tabula Smaragdina* to, co nad, jest izomorficzne z tym, co pod.

Ale nie w tym tkwił problem, a przynajmniej nie tylko w tym. Zrozumiało to drugie skrzydło atlantyckiej emigracji. Tajemna wiedza Egipcjan przeszła od Hermesa Trismegistosa do Mojżesza, który ani myślał przekazywać ją swoim oberwańcom z brzuchami pełnymi jeszcze manny – dla nich było dziesięć przykazań, gdyż to potrafili przynajmniej zrozumieć. Prawdę, która jest z natury arystokratyczna, Mojżesz zaszyfrował w Pięcioksięgu. Zrozumieli to kabaliści.

- Tylko pomyślcie – mówiłem – wszystko było już zapisane niby w otwartej księdze w wymiarach Świątyni Salomona, a powiernikami tajemnicy byli różokrzyżowcy, tworzący Wielkie Białe Bractwo, czyli sektę esseńczyków, i jak wiadomo, podzielili się swoimi sekretami z Jezusem, co spowodowało Jego ukrzyżowanie, którego inaczej nie sposób wytłumaczyć...

- Z pewnością, a męka Chrystusa stanowi alegorię, zapowiedź procesu templariuszy.

- Tak jest. Dzięki zaś Józefowi z Arymatei tajemnica Jezu-



sa trafia albo wraca do kraju Celtów. Jednak oczywiście jest jeszcze niepełna, chrześcijańscy druidzi znają jedynie fragment i oto mamy ezoteryczne znaczenie Graala: coś w tym jest, lecz nie wiadomo co. Tego, co powinno być, tego, co Świątynia wypowiadała w całej pełni, domyśla się jedynie grupka rabinów, którzy pozostali w Palestynie. Powierzają tę wiedzę muzułmańskim sektom inicjacyjnym: sufim, ismailitom, mutakallaminom. I od nich wiedza przechodzi do templariuszy.

- Wreszcie templariusze. Już zacząłem się martwić.

Kształtowaliśmy ostatecznie Plan, który niby miękka glinika poddawał się naszej konfabulującej woli. Templariusze odkryli tajemnicę podczas długich bezsennych nocy, kiedy spoczywali w ramionach towarzysza, z którym dzielili siodło, na pustyni, gdzie wiał bezlitosny samum. Wydzierali ją kawałek po kawałku tym, którzy znali moce kosmicznej koncentracji Czarnego Kamienia z Mekki, dziedzictwa po babilońskich magach - jako że teraz już nie ulegało wątpliwości, iż wieża Babel nie była niczym innym, jak próbą, niestety zbyt popieszną i słusznie zakończoną niepowodzeniem wskutek pychy projektantów, zbudowania menhiru potężniejszego od innych, lecz budowniczkowie babilońscy popełnili błąd w obliczeniach, gdyż, jak to wykazał ojciec Kircher, jeśli wieża została wzniesiona, wskutek swojej nadmiernej wagi przekręciłaby o dziewięćdziesiąt, może nawet więcej stopni oś obrotu Ziemi i nasza nieszczęsna planeta, zamiast ityfalicznej i erekcyjnej korony wskazującej prosto w niebo, miałaby bezpłodny wyrostek, zwiotczały penis, małpi ogon, kołyszący się gdzieś w dole. Szechinę zagubioną wśród oszałamiających otchłani antarktycznego Malchut, obwisły

hieroglif dla pingwinów.

- Ale w końcu jaką tajemnicę odkryli templariusze?
- Cierpliwości, dochodzimy do tego. Trzeba było siedmiu dni, żeby stworzyć świat. Zobaczmy.

Ziemia jest ciałem magnetycznym, a właściwie, jak odkryli to niektórzy uczeni, jednym wielkim magnesem, co już mniej więcej trzysta lat temu twierdził Paracelsus.

H.P. Blavatsky, *Isis Unveiled*, Bouton,  
New York 1877, I, s. XXIII

Zobaczyliśmy i udało się. Ziemia jest wielkim magnesem, więc siła i kierunek jej prądów są określone między innymi przez wpływ sfer niebieskich, cykle pór roku, następowanie po sobie kolejnych ekwinokcjów, cykle kosmiczne. Z tego względu układ prądów jest zmienny. Ale musi być taki jak włosów, które rosną na całej czaszce, chociaż ma się wrażenie, że wychodzą spiralnie z jednego punktu na tyle głowy, gdzie najoporniej poddają się działaniu grzebienia. Jeśli się ten punkt odszuka, umieści w nim najpotężniejszą stację, będzie się miało władzę nad wszystkimi fluktuacjami tellurycznymi planety, będzie można nimi kierować, dowolnie rządzić. Templariusze zrozumieli, że sekret polega nie tylko na tym, żeby wejść w posiadanie globalnej mapy, ale także na tym, by znaleźć punkt krytyczny, *Omphalos*, *Umbilicus Telluris*, Środek Świata, źródło Kierowania.

Cała alchemiczna afabulacja, chtoniczny schyłek dzieła w tonacji czarnej, elektryczne wyładowanie dzieła w tonacji białej były jedynie przejrzystymi dla wtajemniczonych symbolami tego wielowiekowego nasłuchiwania, którego ostatecznym wynikiem powinno być dzieło w tonacji czerwonej, globalna wiedza, olśniewająca władza nad planetarnym systemem prądów. Tajemnica, prawdziwa tajemnica alchemiczna i templarna, polega na wykryciu źródła tego wewnętrzne-

go rytmu, straszliwego i rytmicznego jak drzenie węża Kundaliniego, nieznanego jeszcze w wielu swoich aspektach, ale z całą pewnością regularnego jak zegarek, na wykryciu źródła jedyne prawdziwego Kamienia, jaki kiedykolwiek spadł na miejsce wygnania z nieba, Wielkiej Matki Ziemi.

To właśnie pragnął z drugiej strony zrozumieć Filip Piękny. Stąd wziął się ten złośliwy nacisk, jaki inkwizytorzy kładli na pocałunek *in posteriori parte spine dorsi*. Chcieli dotrzeć do tajemnicy Kundaliniego. Nie o sodomię im chodziło.

- Wszystko doskonale - powiedział Diotallevi - ale co robisz, kiedy umiesz już kierować prądami tellurycznymi? Piwa?

- Daj pokój - odparłem. - Czyż nie chwytasz znaczenia tego odkrycia? Wsadź w Pępek Telluryczny potężny sworzeń... Władanie tą stacją daje ci możliwość przewidywania deszczu i suszy, rozpętywania huraganów, sztormów, rozszczepiania kontynentów, zatapiania wysp (nie ulega wątpliwości, że Atlantyda zatonęła wskutek nieudanego eksperymentu), powodowania wzrostu puszczy i gór... Zdajesz sobie sprawę? To coś lepszego niż bomba atomowa, która nie wychodzi na zdrowie także temu, który ją zrzuca. Ze swojej wieży kontrolnej telefonujesz, bo ja wiem, do prezydenta Stanów Zjednoczonych i mówisz: do jutra chcę mieć tyle a tyle milionów dolarów albo niezależność Ameryki Łacińskiej, albo Hawajów, albo zniszczenie zapasów broni jądrowej, bo jak nie, szczelina kalifornijska otworzy się ostatecznie i Las Vegas zmieni się w szulernię pływającą...

- Las Vegas jest w Nevadzie...

- Co za różnica? Skoro kontrolujesz prądy telluryczne,

możesz oderwać również Nevadę, a nawet Kolorado. A potem telefonujesz do Rady Najwyższej i powiadasz: moi przyjaciele mili, do poniedziałku proszę mi dostarczyć cały kawałek z Wołgi, a na Syberii chcę urządzić magazyn mrożonek, bo inaczej zamierzam wessać Ural, spowodować wylew Morza Kaspijskiego, przerobić Litwę i Estonię na wyspy, które zatopię w Rowie Filipińskim.

- To prawda - przyznał Diotallevi. - Niezmierzona potęga. Można na nowo napisać Ziemię jak Torę. Przesunąć Japonię do Zatoki Panamskiej.

- Panika na Wall Street.

- Lepsze niż wojny gwiazdne. Lepsze niż przemiana metali w złoto. Kierujesz odpowiednio wyładowaniem, doprowadzasz do orgazmu trzewia Ziemi, każesz im wykonać w dziesięć sekund to, na co potrzebowały miliardów lat, i całe Zagłębie Ruhry zmienia się w zagłębie diamentowe. Elifas Lewi powiadał, że wiedza o przepływach fluidalnych i powszechnych prądach stanowi sekret wszechpotęgi człowieka.

- Musi tak być - oświadczył Belbo. - To jakby przeobrazić całą Ziemię w komorę orgoniczną. To oczywiste. Reich był z pewnością templariuszem.

- Wszyscy byli templariuszami oprócz nas. Dobrze, że chociaż to odkryliśmy. Teraz mamy nad nimi przewagę czasową.

Co w istocie powstrzymało templariuszy, kiedy już weszli w posiadanie sekretu? Wiedzieć to nie wszystko, trzeba umieć jeszcze swoją wiedzę wykorzystać. W tym czasie templariusze, pouczeni przez diabolicznego świętego Bernarda, zastąpili menhiry, marniutkie sworznie celtyckie, znacznie czulszymi i potężniejszymi gotyckimi katedrami, które miały krypty zamieszkałe przez czarne dziewice i bezpośrednią

styczność z warstwami radioaktywnymi, które pokryły całą Europę siecią stacji przekaźnikowych, wymieniających między sobą informacje o mocy i kierunku fluidów, o kapryśkach i gwałtowności prądów.

- A ja twierdzę, że odkryli kopalnie srebra w Nowym Świecie, doprowadzili do erupcji, a potem, kontrolując Golfstrom, sprawili, że minerał wypłynął u wybrzeży portugalskich. Tomar był ośrodkiem, z którego rozprawiano towar, a Forêt d'Orient głównym magazynem. Oto skąd się wzięły ich bogactwa. Ale to jeszcze głupstwo. Doszli do wniosku, że jeśli chcą w pełni wykorzystać swoją tajemnicę, muszą poczekać, aż nastąpi odpowiedni postęp techniczny, a to wymaga co najmniej sześciuset lat.

W tej sytuacji templariusze obmyślili Plan w taki sposób, by tylko ich następcy, kiedy będą już umieli wykorzystać należycie to, co wiedzą, odkryli, gdzie się znajduje *Umbilicus Telluris*. Ale jak doszło do tego, że rozdzielili fragmenty jednej jedynej informacji między trzydziestu sześciu towarzyszy rozproszonych po świecie? Czy było aż tyle części tego posłannictwa? Czy musiało być tak skomplikowane, skoro wystarczyło powiedzieć, że Umbilicus jest, powiedzmy, w Baden-Baden, Cuneo, Chattanooga?

Mapa? Ale mapa to jakiś znak w punkcie umbilikalnym. I ten, kto ma fragment z tym znakiem, wie wszystko i nic mu po innych fragmentach. Nie, musiało to być coś bardziej skomplikowanego. Ta sprawa nie dawała nam spokoju przez kilka dni, aż wreszcie Belbo postanowił uciec się do pomocy Abulafii. Odpowiedź brzmiała:

Wilhelm Postel umarł w 1581 roku.

Bacon jest wicehrabią Saint-Albans.

W Conservatoire wisi wahadło Foucaulta.

Nadeszła chwila, żeby znaleźć jakieś miejsce dla Wahadła.

Po kilku dniach mogłem już zaproponować dosyć elegancie rozwiązanie. Pewien diabolista przyniósł nam tekst dotyczący hermetycznej tajemnicy katedr. Według naszego autora budowniczo wie katedry w Chartres uczepili pewnego dnia sznur z ołowianym ciężarkiem do zwornika sklepienia i bez trudu wyciągnęli wniosek, że Ziemia się obraca. Oto przyczyna procesu Galileusza - zauważył Diotallevi. - Kościół wywęszył w nim templariusza. Nie - sprzeciwił się Belbo - kardynałowie, którzy skazali Galileusza, byli adeptami templariuszy, przeniknęli do Rzymu i czym prędzej postarali się zamknąć usta przekłętemu Toskańczykowi, temu templariuszowi zdrajcy, bo przez swoją próżność gotów był wszystko wypaplać, wyprzedzając o czterysta lat datę realizacji Planu.

W każdym razie to odkrycie wyjaśniało, dlaczego pod Wahadłem mistrzowie mularscy nakreślili labirynt, stylizowany obraz podziemnych prądów. Zaczęliśmy szukać obrazu labiryntu w Chartres. Zegar słoneczny, róża wiatrów, krwiobieg, ścieżka śluzu pozostawiona przez pogrążonego we śnie Węża. Globalna mapa prądów.

- No dobrze, załóżmy, że templariusze posługiwali się Wahadłem, żeby wyznaczyć Umbilicus. Zamiast labiryntu, który jest przecież zawsze abstrakcyjnym schematem, połóż na posadzce mapę świata i powiedz na przykład, że punkt wskazany o danej godzinie przez ostrze Wahadła jest Umbilicusem. Co to za punkt?

- Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. To Saint-Martin-des-Champs, Kryjówka.

- Tak. - Belbo się zamyślił. - Załóżmy jednak, że o północy Wahadło kołysze się wzdłuż osi, mówię na chybił trafił, Kopenhaga-Kapsztad. Gdzie będzie Umbilicus, w Danii czy w Afryce Południowej?

- Słuszna uwaga - przyznałem. - Ale nasz diabolista opowiada również, że w Chartres jeden z witraży chóru ma rysę i że o danej porze dnia promień słoneczny wpada przez nią i oświetla zawsze ten sam punkt, zawsze tę samą płytę posadzki. Nie pamiętam już, jaki z tego płynie wniosek, ale chodzi o jakąś tajemnicę. Oto mechanizm. W chórze Saint-Martin jedno z okien ma zadrapanie w miejscu, gdzie dwie zabarwione albo zmatowione szybki są spojone ołowiem. Dobrano je bardzo precyzyjnie i prawdopodobnie od sześciuset lat ktoś troszczy się o to, żeby pozostały w dobrym stanie. O wschodzie słońca w określony dzień roku...

- A może to być tylko ranek dwudziestego czwartego czerwca, dzień świętego Jana, przesilenie letnie...

- ...no więc tego dnia i o tej godzinie pierwszy promień słońca pada przez okno na Wahadło i w miejscu, gdzie Wahadło znajduje się w tym momencie, dokładnie w tym punkcie mapy, jest Umbilicus!

- Świetnie - pochwalił Belbo. - A jeśli dzień jest pochmurny?

- Trzeba poczekać do następnego roku.

- Przepraszam - rzekł Belbo - ale mamy jeszcze ostatnie spotkanie, w Jerozolimie. Czy Wahadło nie powinno być zawieszona u szczytu kopuły meczetu Umara?

- Nie - przekonywałem. - W pewnych punktach globu Wahadło przebywa pełny cykl w ciągu trzydziestu sześciu godzin, na biegunie północnym potrzebowałyby dwudziestu



czterech godzin, na równiku płaszczyzna wahania pozostałaby niezmienna. Tak więc miejsce ma znaczenie. Skoro templariusze dokonali swojego odkrycia w Saint-Martin, ich rachunek zachowuje ważność tylko w Paryżu, gdyż w Palestynie Wahadło zakreślałoby inną krzywą.

- A skąd wiemy, że dokonali odkrycia w Saint-Martin?

- Faktem jest, że wybrali sobie to miejsce na Kryjówkę, że od przeora Saint-Albans po Postela i Konwent mieli je pod swoją kontrolą, że natychmiast po pierwszych doświadczeniach Foucaulta umieścili tam Wahadło. Zbyt wiele wskazówek.

- Ale spotkanie w Jerozolimie?

- W czym rzecz? W Jerozolimie posłannictwo zostaje odtworzone, a nie jest to zajęcie na kilka minut. Potem przez rok trwają przygotowania i dwudziestego trzeciego czerwca następnego roku wszystkie sześć grup spotyka się w Paryżu, by dowiedzieć się w końcu, gdzie jest Umbilicus, i przystąpić do podboju świata.

- Jednak - upierał się Belbo - nie podoba mi się jeszcze jedno. O tym, że chodzi o ujawnienie Umbilicusa, wiedzieli wszyscy z tamtych trzydziestu sześciu. Wahadła używano już w katedrach, nie stanowiło więc żadnej tajemnicy. Co przeszkadzało Baconowi, Postelowi, samemu Foucaultowi (skoro bowiem zmajstrował Wahadło, widać należał do kliki), co im, na Boga, przeszkadzało położyć mapę świata na posadzce, i to zgodnie z czterema głównymi kierunkami? Zeszliśmy na manowce.

- Nie zeszliśmy na manowce - zapewniłem. - Posłannictwo mówi coś, czego nikt nie mógł wiedzieć. Jakiej mapy trzeba użyć!

Mapa to jeszcze nie terytorium.

Alfred Korzybski, *Science and Sanity*, 1933, wyd. 4,  
The International Non-Aristotelian Library, 1958, II, 4, s. 58

- Uprzytomnijcie sobie, jaka była sytuacja kartografii w czasach templariuszy - powiedziałem. - W tamtym stuleciu krążyły mapy arabskie, które odznaczały się między innymi tym, że Afrykę lokowały na górze, a Europę na dole, mapy żeglarzy, w sumie dosyć dokładne, oraz mapy sprzed trzech albo czterech setek lat, w szkołach uznawane jeszcze za dobre. Zauważcie, że jeśli chce się zlokalizować Umbilicus, niepotrzebna jest mapa dokładna w tym znaczeniu, jakie my nadajemy temu określeniu. Wystarczy, żeby spełniała jeden warunek; po właściwym zorientowaniu ma pokazać Umbilicus w miejscu, gdzie Wahadło jest oświetlone o świcie dwudziestego czwartego czerwca. Teraz uważajcie. Załóżmy czysto teoretycznie, że Umbilicus znajduje się w Jerozolimie. Na naszych współczesnych mapach Jerozolima usytuowana jest w ściśle określonym miejscu, chociaż nawet dzisiaj zależy to od sposobu rzutowania. Ale templariusze dysponowali mapą Bóg raczy wiedzieć jak sporządzoną. Co to miało dla nich za znaczenie? To nie Wahadło jest funkcją mapy, lecz mapa funkcją Wahadła. Pojmujecie? Mogła to być najbardziej niedorzeczna mapa, byleby, kiedy ułoży się ją odpowiednio pod Wahadłem o świcie dwudziestego czwartego czerwca, wiesz czy promień słońca wskazał punkt, gdzie na tej, a nie na żadnej innej mapie pojawia się Jerozolima.

- Ale to nie rozwiązuje naszego problemu - oznajmił Diotallevi.

- Z pewnością, podobnie jak nie rozwiązuje problemu dla trzydziestu sześciu niewidzialnych. Jeśli bowiem nie weźmiesz odpowiedniej mapy, nic z tego. Spróbujmy wyobrazić sobie mapę zorientowaną w sposób kanoniczny, gdzie wschód oznacza kierunek absydy, a zachód nawy, tak bowiem są zorientowane kościoły. Wysuńmy teraz pierwszą lepszą hipotezę, choćby że tego decydującego ranka Wahadło ma się znaleźć nad jakimś obszarem, z grubsza rzecz biorąc, położonym na wschodzie, prawie na skraju południowo-wschodniej ćwiartki koła. Gdybyśmy mieli do czynienia z zegarem, powiedzielibyśmy, że Wahadło wskaże dwadzieścia pięć po piątej. Jasne? A teraz zobaczcie.

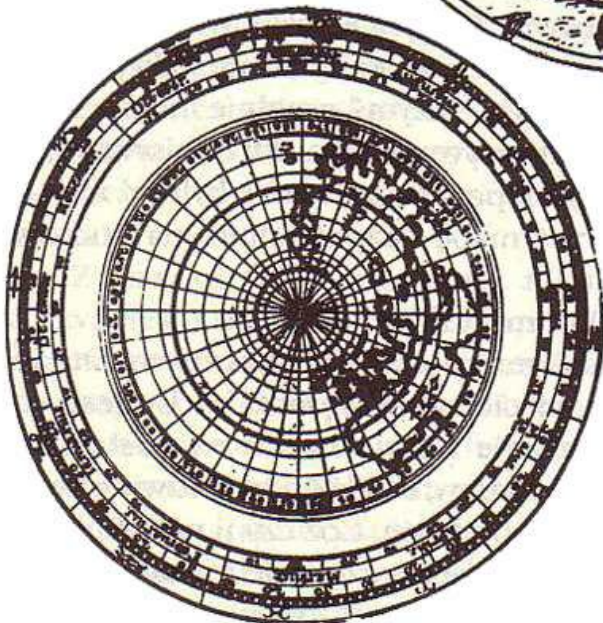
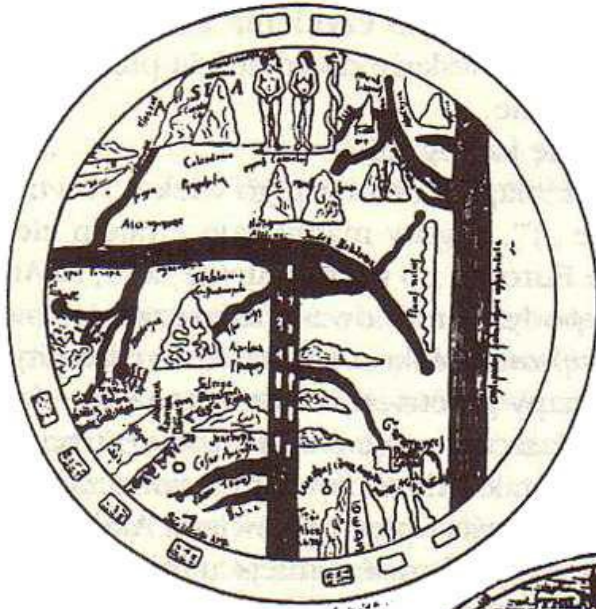
Poszedłem po historię kartografii.

- Oto numer jeden, mapa z dwunastego wieku. Powtarza układ map w kształcie „T”, u góry mamy Azję z rajem ziemskim, po lewej stronie Europę, po prawej Afrykę, a tu, za Afryką, dodali jeszcze antypody. Numer dwa to mapa zainspirowana przez *Somnium Scipionis* Makrobiusza, ale w rozmaitych opracowaniach takie mapy przetrwały aż do szesnastego wieku. Afryka jest nieco spłaszczona, ale cierpliwości. Patrzcie teraz uważnie, zorientujcie tak samo obie mapy, a zobaczycie, że na pierwszej pięć i dwadzieścia pięć odpowiada Arabii, a na drugiej Nowej Zelandii, w tym bowiem miejscu mamy antypody. Możesz wiedzieć wszystko o Wahadle, ale jeśli nie wiesz, której mapy użyć, przegrałeś. Posłannictwo zawierało starannie zaszyfrowane instrukcje, mówiące, gdzie znaleźć właściwą mapę, być może sporządzoną tylko do tego celu. Tak więc posłannictwo mówiło, gdzie tej mapy szukać, w jakim manuskrypcie, w jakiej bibliotece, w jakim opactwie czy zamku. Mogło nawet się zdarzyć, że Dee albo Bacon, al-

bo ktoś inny zrekonstruował posłanie, ale, kto to wie, może informacja głosiła, iż mapa jest tu i tu, lecz zważywszy na to wszystko, co działo się w Europie, wskazane opactwo spłonęło albo mapę skradziono, ukryto Bóg jeden wie gdzie. Może ktoś ma mapę, nie wie jednak, do czego służy, albo wie, ale niedokładnie, i przemierza świat, szukając nabywcy. Pomyślcie, całe to krążenie ofert, wszystkie te fałszywe tropy, teksty odczytywane tak, jakby mówiły o mapie, chociaż mówią o czymś zupełnie innym, i teksty mówiące o mapie, ale odczytywane tak, jakby opisywały, bo ja wiem, wytwarzanie złota. I prawdopodobnie byli też tacy, którzy próbowali odtworzyć mapę bezpośrednio, na podstawie domysłów.

- Jakiego rodzaju domysłów?

- Na przykład relacji mikro-makrokosmicznych. Oto jeszcze jedna mapa. Czy wiecie, skąd się wzięła? Umieszczona została w drugiej rozprawie *Utriusque Cosmi Historia* Roberta Fludda. Nie zapominajmy, że Fludd to człowiek związany z różokrzyżowcami w Londynie. Cóż czyni nasz Robert de Fluctibus, jak kazał się nazywać? Prezentuje już nie mapę, ale dziwaczny rzut całego globu od strony bieguna, bieguna mistycznego, to oczywiste, a więc z punktu widzenia idealnego Wahadła zawieszzonego na idealnym zworniku sklepienia. To właśnie mapa pomyślana tak, żeby rozpostrzeć ją pod Wahadłem! Dowody są niewątpliwe, nie rozumiem, jak to się stało, że nikt dotychczas na to nie wpadł...



- Bo diaboliści są powolni, bardzo powolni - wyjaśnił Belbo.

- Bo my trzej jesteśmy jedynymi godnymi spadkobiercami templariuszy. Pozwólcie mi jednak mówić dalej. Rozpoznajcie ten układ, chodzi o ruchome krążki, takie same jak te, których używał Tritemiusz do szyfrowania swoich tekstów. To nie jest mapa. Mamy przed sobą projekt urządzenia do próbowania różnych wariantów, do tworzenia map alternatywnych, aż trafi się na tę właściwą! I Fludd mówi o tym w objaśnieniach. Jest to szkic *instrumentum*, wymaga jeszcze dalszej pracy.

- Czy to jednak nie Fludd z uporem zaprzeczał temu, że Ziemia się kręci? Jakże więc mógł myśleć o Wahadle?

- Mamy do czynienia z wtajemniczonymi. Wtajemniczony wypiera się tego, co wie, zaprzecza, iżby to wiedział, kłamie, żeby ukryć tajemnicę.

- To wyjaśniałoby, czemu Dee tak zaprzętał sobie głowę kartografami królewskimi. Nie po to, by poznać „prawdziwy” kształt świata, ale by z wszystkich tych błędnych map zrekonstruować tę jedyną, która będzie użyteczna, a więc jedyną właściwą.

- Nieźle, wcale nieźle - pochwalił Diotallevi. - Dotrzeć do prawdy, odtwarzając ściśle tekst kłamliwy.

Głównym zajęciem tego Zgromadzenia, i najpożyteczniejszym, winna być, moim zdaniem, praca nad historią naturalną, zgodna z projektami werulamczyka.

Christiaan Huygens, list do Colberta, w: *Oeuvres complètes*,  
Den Haag 1888–1950, VI, s. 95–96

Koleje losów sześciu grup nie ograniczały się do poszukiwania mapy. Prawdopodobnie w dwóch częściach posłannictwa, tej w rękach Portugalczyków i tej w rękach Anglików, templariusze napomykali o Wahadle, ale samo pojęcie wahadła było jeszcze czymś bardzo niejasnym. Jedna rzecz bujać obciążonym ołowiem sznurkiem, druga zbudować mechanizm tak precyzyjny, żeby został oświetlony przez słońce w wyznaczonej co do sekundy chwili. Dlatego templariuszom potrzeba było wieków na dokonanie obliczeń. Odłam baconowski podejmuje prace w tym kierunku i próbuje przyciągnąć do siebie wszystkich wtajemniczonych, z którymi rozpaczliwie chce nawiązać kontakt.

Nie jest zbiegiem przypadkowych okoliczności fakt, że człowiek Różanego Krzyża, Salomon de Caus, pisze dla Richelieu rozprawę poświęconą zegarom słonecznym. I od czasów Galileusza trwają gorączkowe badania nad wahadłami. Pretekstem jest potrzeba określania długości geograficznej, ale kiedy w 1681 roku Huygens odkrywa, że wahadło, działające precyzyjnie w Paryżu, spóźnia się w Kajennie, od razu dochodzi do wniosku, że ma to związek z różnicami siły odśrodkowej wytworzonej wskutek obrotów Ziemi. A kiedy publikuje swoje *Horologium*, w którym rozwija domysły Galileusza w sprawie zegara, kto wzywa go do Paryża?

Ten sam Colbert, który sprowadził już Salomona de Caus, żeby zajął się podziemiami Paryża.

W 1661 roku Accademia del Cimento przewiduje już wniosek Foucaulta, toteż Leopold Toskański rozwiązuje ją po pięciu latach i wkrótce potem jako cichą nagrodę otrzymuje od Rzymu kapelusz kardynalski.

Ale to nie wystarczało. Również w następnych wiekach trwa polowanie na Wahadło. W 1742 roku (na rok przed pierwszym udokumentowanym pojawieniem się hrabiego de Saint-Germain!) niejaki De Mairan przedstawia Académie Royale des Sciences memoriał dotyczący wahadeł: w 1756 roku (kiedy w Niemczech powstaje Ścisła Obserwa Templarna!) niejaki Bouguer pisze *sur la direction qu'affectent tous les fils à plomb*.

Natrafiałem na tytuły oszałamiające, jak choćby dzieło Jeana-Baptiste'a Biot z 1821 roku *Recueil d'observations géodesiques, astronomiques et physiques, exécutées par ordre du Bureau des Longitudes de France, en Espagne, en France, en Angleterre et en Ecosse, pour déterminer la variation de la pesanteur et de degrés terrestres sur le prolongement du méridien de Paris*. We Francji, Hiszpanii, Anglii i Szkocji! I w związku z południkiem Saint-Martin! A sir Edward Sabine, który w roku 1823 publikuje *An Account of Experiments to Determine the Figure of the Earth by Means of the Pendulum Vibrating Seconds in Different Latitudes?* A ten tajemniczy hrabia Fiodor Pietrowicz Litke, który w 1836 ogłasza rezultaty swoich badań nad zachowaniem wahadła w trakcie rejsu dokoła świata? Dla Cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu. Dlaczego nawet Rosjanie?

A jeśli w ciągu tego czasu jakaś grupa, z pewnością wy-



wodząca się od Bacona, postanowiła odkryć tajemnicę prądów bez map i wahadła, rozważając na nowo, od początku, oddech węża? Oto okazało się, że Salon miał dobre przeczucia. Właśnie mniej więcej w czasach Foucaulta świat przemysłowy, twór odłamu baconowskiego, rozpoczął budowę sieci kolei podziemnych w europejskich metropoliach.

- To prawda - powiedział Belbo. - Wiek dziewiętnasty cierpi na obsesję podziemi, Jean Valjean, Fantomas i Javert, Rocambole, wszyscy wędrują tam i z powrotem kanałami i po kloakach. O Boże, dopiero teraz uświadomiłem sobie, że całe dzieło Verne'a to inicjacyjne ujawnienie tajemnic podziemi! Wyprawa do wnętrza Ziemi, dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi, jaskinie na tajemniczej wyspie, ogromne podziemne królestwo Czarnych Indii! Trzeba odtworzyć plan jego zadziwiających podróży, a z pewnością natrafimy na szkic zwojów węża, mapę *leys* zrekonstruowaną dla każdego kontynentu. Verne od góry i od dołu bada sieć prądów tellurycznych.

Wsparłem go.

- Jak się nazywa bohater *Czarnych Indii*? John Garral, to prawie anagram Graala.

- Nie jesteśmy cudakami, stoimy mocno obiema nogami na ziemi. Verne daje jeszcze wyraźniejsze sygnały. Robur le Conquérant, R.C. Rose-Croix. A Robur czytany wspak daje Rubor, czyli czerwień róży.

Phileas Fogg. Nazwisko, które jest jak podpis. *Eas* oddaje po grecku pojęcie pełni (jest więc równoważnikiem *pan* i *poly*), zatem Phileas jest tym samym co Poliphile. Jeśli zaś chodzi o słowo Fogg, oznacza ono po angielsku mgłę... Bez wątpienia Verne należy do stowarzyszenia Le Brouillard. Był nawet na tyle miły, że zechciał wyjaśnić powiązania między tym stowarzyszeniem a Różą + Krzyżem, dlatego w końcu pytamy, kimże jest ten szlachetny podróżnik zwany Phileasem Foggiem, jeśli nie członkiem Róży + Krzyża?... A zresztą, czyż nie należy do Reform Clubu, którego nazwa skrócona, R.C., oznacza właśnie Różę + Krzyż, stowarzyszenie reformatorskie? W dodatku ten Reform Club zawiązuje się przy Pall Mall, raz jeszcze nawiązując w ten sposób do snu Polifila.

Michel Lamy, *Jules Verne, initié et initiateur*,  
Payot, Paris 1984, s. 237–238

Rekonstrukcja zajęła nam wiele dni. Przerywaliśmy zwykłe zajęcia, żeby podzielić się świeżo odkrytym powiązaniem, wszystko, co wpadło nam w rękę, encyklopedie, gazety, komiksy, katalogi wydawnictw, czytaliśmy na opak, szukając skojarzeń; szperaliśmy u bukinistów, węszyliśmy w kioskach z gazetami, kradliśmy, ile się dało, z maszynopisów naszych diabolistów; wpadaliśmy do biura, rzucając triumfalnie na stół najnowsze znalezisko. Kiedy przypominam sobie te tygodnie, cała sprawa wydaje mi się groźna, szaleńcza jak film Larry'ego Semon, gdzie wszystko odbywa się zrywami i skokami, drzwi otwierają się i zamykają z ponaddzwiękową prędkością, w powietrzu latają ciastka z kremem, widzimy jakieś gonitwy po schodach puszczane do przodu i tyłu, zderzenia starych samochodów, walące się półki w sklepie i kaskady pudeł, butelek, serów, rozbryzgi wody sodowej, trzaskające worki z mąką. I odwrotnie, kiedy przypominam sobie przerwy, okresy martwe, czyli resztę życia, jakie toczyło się wokół nas, mogę odczytać wszystko, jakby działo się w zwol-

nionym tempie. Plan powstawał w rytmie obowiązującym w gimnastyce artystycznej, było to jak powolne obroty dysko-bola, wyważone ruchy miotacza kulą, przerwy między uderzeniami piłeczki podczas gry w golfa, niedorzeczne wyczekiwanie przy baseballu. W każdym razie, i bez względu na tempo, los nam sprzyjał, gdyż jeśli chce się znaleźć powiązania, zawsze się je znajdzie, wszędzie i między wszystkim, świat rozpada się na siatkę, na wir powinowactw i każda rzecz odsyła do każdej innej, każda każdą wyjaśnia...

Nie mówiłem o tym Lii, żeby jej nie irytować, ale zanie-dbywałem nawet Giulia. Budziłem się w nocy i uświada-miałem sobie, że René Cartesius to R.C. i że zbyt wielką energię przejawiał, szukając różokrzyżowców, a potem za-przecząc informacjom, że ich znalazł. Skąd ta obsesja me-tody? Metoda była potrzebna przy szukaniu rozwiązania ta-jemnicy, która fascynowała wszystkich wtajemniczonych Eu-ropy... A kto słał magię gotycką? René de Chateaubriand. Kto w czasach Bacona napisał *Steps to the Temple*? Richard Crashaw. A Ranieri de'Calzabigi, René Char, Raymond Chan-der? A Rick z Casablanki?

Ta nauka, która nie zaginęła, przynajmniej jeśli chodzi o aspekt materialny, została przekazana religijnym budowniczym przez mnichów z Cîteaux... W ubiegłym stuleciu byli znani jako Compagnons du Tour de France. I do nich to zwrócił się Eiffel, kiedy miał budować wieżę.

L. Charpentier, *Les mystères de la cathédrale de Chartres*,  
Laffont, Paris 1966, s. 55–56

Dokonaliśmy teraz przeglądu całej epoki nowożytnej – ni-  
by pracowite krety drążące pod ziemią tunele, by obserwo-  
wać planetę od spodu. Ale potrzebne nam było coś jeszcze,  
jakieś inne przedsięwzięcie, które podjęli następcy Bacona  
i którego rezultaty, etapy były dla wszystkich doskonale wi-  
doczne, choć nikt sobie z nich nie zdawał sprawy... Drążąc  
bowiem ziemię, bada się głębokie jej warstwy, ale przecież  
Celtowie i templariusze nie ograniczyli się do kopania studni,  
osadzali te sworznie wycelowane prosto w niebo, by porozu-  
miewać się między megalitami i przechwytywać wpływy  
gwiazd...

Pomysł nasunął się podczas bezsennej nocy. Belbo stanął  
w oknie i w oddali nad dachami Mediolanu zobaczył światła  
metalowej wieży nadawczej, wielkiej miejskiej anteny. Pełnej  
umiaru i rozsądnie zbudowanej wieży Babel. I w tym samym  
momencie doznał objawienia.

– La Tour Eiffel – oznajmił nam następnego ranka. – Jak  
mogliśmy nie pomyśleć o wieży Eiffla? Metalowy megalit,  
menhir ostatnich Celtów, wydrążona iglica wyższa od wszyst-  
kich iglic gotyku. Po co była Paryżowi ta do niczego nieprzy-  
datna budowla? To astralna sonda, antena odbierająca sy-  
gnały od wszystkich hermetycznych sworzni osadzonych na  
skorupie ziemskiej, od posągów z Wyspy Wielkanocnej, od

Machu Picchu, od Statuy Wolności na Bedloe's Island, która powstała z inicjatywy należącego wszak do wtajemniczonych Lafayette'a, od obelisku w Luksorze, od najwyższej wieży w Tomarze, od Kolosa Rodyjskiego, który wciąż nadaje z głębin portu, gdzie nikt już nie potrafi go odnaleźć, od świątyń w bramińskich dżunglach, od wieżyczek na Wielkim Murze, od szczytu Ayers Rock, od iglic w Strasburgu, którymi delectował się pewien wtajemniczony, Goethe, od twarzy na Mount Rushmore (ile rzeczy zrozumiał inny wtajemniczony, Hitchcock!), od anteny na Empire State Building, a sami powiedzcie, do czego nawiązuje ten twór wtajemniczonych amerykańskich, jeśli nie do imperium Rudolfa Praskiego! Wieża przechwytuje informacje z podziemi i zestawia z tymi, które napływają z nieba. A kto dał nam pierwszy prze-rażający filmowy obraz wieży? René Clair w *Paris qui dort*. René Clair, R.C.

Została na nowo odczytana cała historia nauki. Nawet wyścig w kosmosie stawał się teraz zrozumiały, nawet te szalone satelity, które mają za jedyne zadanie fotografować skorupę ziemską w poszukiwaniu niewidocznych naprężeń, podmorskich przepływów prądów ciepłego powietrza. I rozmawiając między sobą, przemawiać do wieży, przemawiać do Stonehenge...

To osobliwa zbieżność, że edycja in folio z 1623 roku, która ukazała się pod nazwiskiem Szekspira, zawiera dokładnie trzydzieści sześć utworów.

W.F.C. Wigston, *Francis Bacon versus Phantom Captain Shakespeare: The Rosicrucian Mask*,  
Kegan Paul, London 1891, s. 353

Kiedy wymienialiśmy się płodami naszej wyobraźni, wydało się nam, i słusznie, że wykorzystujemy skojarzenia niedopuszczalne, że dokonujemy jakichś dziwacznych połączeń, którym wstydzilibyśmy się dać wiarę – gdyby je nam przypisano. Dodawało nam otuchy uzgodnienie – milczące, jak wymaga etykieta ironii – że parodiujemy logikę tamtych. Ale w czasie długich przerw, kiedy każdy z nas osobno gromadził materiały do wspólnej pracy – ze spokojnym sumieniem, gdyż w przekonaniu, że zbiera fragmenty, które złożą się na parodię mozaiki – nasze mózgi przywykły wiązać bez ustanku wszystko ze wszystkim, a to wymagało pewnych nawyków, jeśli miało się dokonywać automatycznie. Sądzę, że na pewnym etapie znika różnica między nawykiem udawania, iż się wierzy, a nawykiem wierzenia.

Tak dzieje się ze szpiegami. Przenikają do tajnych służb wroga, przyzwyczajają się myśleć tak jak on, jest to dla nich jedyny ratunek, ale nie ulega wątpliwości, że po jakimś czasie przechodzą częściowo na drugą stronę barykady, bo staje się ona ich stroną. Albo z tymi, którzy żyją samotnie, mając tylko psa za towarzysza; rozmawiają z nim od rana do wieczora, z początku starają się zrozumieć jego logikę, potem utrzymują, że to pies zrozumiał ich logikę, najpierw spostrzegają, że jest nieśmiały, potem że zazdrosny, jeszcze potem że

drażliwy, a wreszcie zaczynają bez ustanku się na niego złościć i urządzać sceny zazdrości. Są pewni, że pies upodobił się do nich, ale to oni upodobnili się do swojego psa, są dumni, że go uczłowiczyli, ale w istocie sami się spsili.

Z nas trzech ja byłem najmniej wciągnięty w grę – może dzięki codziennej styczności z Lią i dzieckiem. Miałem świadomość uczestniczenia w grze, czułem się, jakby znowu rozbrzmiewało podczas obrządku *agogõ*. Byłem wśród tych, którzy wywołują emocje, a nie tych, którzy im ulegają. Jeśli chodzi o Diotalleviego, wtedy nie wiedziałem, ale teraz wiem, że przyzwyczajał swoje ciało do myślenia kategoriami diabolistów. Natomiast Belbo utożsamiał się z nimi także na poziomie świadomości. Ja przywykałem, Diotallevi ulegał deprawacji, Belbo się nawracał. Ale wszyscy trzej zatracaliśmy stopniowo tę intelektualną trzeźwość spojrzenia, która pozwala odróżnić podobne od tożsamego, metaforę od samej rzeczy, zatracaliśmy tę tajemniczą, olśniewającą i piękną umiejętność, dzięki której zawsze potrafimy powiedzieć, że ten a ten zbydlęciał, ale nie sądzimy, by wyrosła mu sierść i kopyta, podczas gdy szalenie myśli „zbydlęciał” i natychmiast widzi, iż tamten szczeka albo chrząka, albo pełza, albo lata.

Co do Diotalleviego, moglibyśmy to zauważyć, gdybyśmy nie byli tacy rozgorączkowani. Wydaje mi się, że wszystko zaczęło się z końcem lata. Wrócił chudszy, ale nie była to ta muskularna wysmukłość, jaką mają ludzie, którzy przez kilka tygodni chodzili po górach. Jego delikatna cera albinosa nabrała jakiegoś żółtawego odcienia. Jeśli nawet to zauważyliśmy, pomyśleliśmy, że spędził wakacje pochylony nad rabinackimi zwojami. Ale zaprzętały nas inne myśli.

W następnych dniach potrafiliśmy już dochodzić stopniowo do ładu także z odłamami, którym obce były filiacje baconowskie.

Na przykład obiegu masonologia widzi w Iluminatach Bawarskich, którzy dążyli do unicestwienia pojęcia narodu i do destabilizacji państwa, nie tylko inspiratorów anarchizmu Bakunina, ale i marksizmu. To dziecinne, Iluminaci byli prowokatorami, których zwolennicy Bacona wprowadzili między Niemców, ale Marks i Engels, zaczynając w czterdziestym ósmym *Manifest* od wymownego stwierdzenia: „Widmo krąży po Europie”, zupełnie co innego mieli na myśli. Skąd ta jakże gotycka metafora? *Manifest komunistyczny* w sposób sarkastyczny nawiązuje do pogoni za widmem Planu, tej samej, która od kilku wieków wstrząsała historią naszego kontynentu. I zarówno zwolennikom Bacona, jak i neotemplariuszom proponuje alternatywę. Marks był Żydem, być może pierwotnie rzecznikiem rabinów z Gerony albo z Safed, i chciał włączyć w poszukiwania cały naród wybrany. Potem go ponosi: Szechinę, naród wybrany, utożsamia z proletariatem, zawodzi oczekiwania swoich mocodawców, odwraca kierunki żydowskiego mesjanizmu. Templariusze wszystkich krajów, łączcie się. Mapa dla robotników. Cudownie! Czyż może być lepsze historyczne uzasadnienie komunizmu?

- No dobrze - powiedział Belbo. - Czy jednak nie sądzicie, że zwolennicy Bacona też przeżywają zmienne koleje losu? Niektórzy z nich wymykają się, ulegają scjentystycznej złudzie i kończą w ślepym zaułku. Mam na myśli różnych Einsteinów i Fermich, którzy szukając tajemnicy w głębi mikrokosmosu, dokonują fałszywych odkryć. Zamiast energii



tellurycznej, czystej, naturalnej, mądrościowej, dochodzą do energii atomowej, technicznej, plugawej, skażonej...

- Czasoprzestrzeń, pomyłka Zachodu - rzucił Diotallevi.

- Chodzi o utratę Ośrodka. Szczepionki i penicylina zamiast eliksiru długowieczności - wtrąciłem się.

- Tak samo jeszcze jeden templariusz, Freud - ciągnął Belbo - który zamiast zagłębiać się w labirynty podziemi fizycznych, zagłębia się w labirynty podziemi psychicznych, jakby wszystko, i to lepiej, nie zostało już na ten temat powiedziane przez alchemików.

- A jednak ty właśnie - przypomniał Diotallevi - zabiegasz o wydanie książek doktora Wagnera. Moim zdaniem psychoanaliza jest dobra dla osób znerwicowanych.

- Słusznie, a pióro stanowi tylko symbol falliczny - podsumowałem dyskusję. - Dalej, panowie, dość jałowych rozważań. Nie traćmy czasu. Nie wiemy jeszcze, gdzie jest miejsce paulicjan i jerozolimczyków.

Ale zanim udało nam się rozwiązać nowe zagadnienie, natknęliśmy się na inną grupę, która nie należała do trzydziestu sześciu niewidzialnych, ale dosyć szybko włączyła się do gry i zburzyła częściowo plany, wprowadzając w nie czynnik zamętu. Chodzi o jezuitów.

Baron von Hund, kawaler Ramsay... i wielu innych, którzy tworzyli stopnie tych obrządków, pracowali według wskazówek generała jezuitów... Templaryzm to jezuityzm.

list do Mme Blawatsky pióra Charlesa Sotherana, 32\ A e P.R. 94 \  
 Memphis K.R. † K. Kadosz, M.M. 104, Eng. etc.,  
 Wtajemniczony Bractwa Angielskiego Róży-Krzyża  
 i innych tajnych stowarzyszeń, 11 stycznia 1877;  
 w: *Isis Unveiled*, 1877, II, s. 390

Spotykaliśmy ich aż za często, począwszy od pierwszych manifestów różokrzyżowych. Już w 1620 roku ukazuje się w Niemczech *Rosa Jesuitica*, gdzie przypomina się, że symbolika róży była katolicka i maryjna, zanim jeszcze stała się różokrzyżową, i sugeruje, że dwa zakony powinny być solidarne, a różokrzyżowcy to tylko jedna z nowych formuł jezuickiej mistyki na użytek zreformowanych Niemiec.

Przypomniałem sobie, co powiedział Salon o tym, jak zawzięcie ojciec Kircher stawiał pod pręgierzem różokrzyżowców, i to właśnie przy okazji omawiania głębin globu ziemskiego.

- Ojciec Kircher - powiedziałem - jest w tym wszystkim postacią centralną. Dlaczego ten człowiek, który tyle razy udowodnił, że nie brak mu zmysłu obserwacji i upodobania do eksperymentów, wyparł się potem paru ledwie trafnych myśli na tysiącu stron przepełnionych twierdzeniami wprost niewiarygodnymi? Prowadził korespondencję z najlepszymi uczonymi angielskimi, a zresztą we wszystkich swoich książkach podejmuje typowe zagadnienia różokrzyżowe, z pozoru aby im się przeciwstawić, ale w istocie by je sobie przywłaszczyć, by przedstawić własną ich wersję, wrogą wo-

bec Reformy. W pierwszym wydaniu *Famy* pan Haselmayer, skazany przez jezuitów na galery za swoje reformatorskie poglądy, dochodzi do wniosku, że prawdziwymi i dobrymi jezuitami są oni, różokrzyżowcy. No dobrze. Kircher pisze swoje trzydzieści z górą woluminów, by zasugerować, że prawdziwymi i dobrymi różokrzyżowcami są oni, jezuici. Jezuici starają się położyć rękę na Planie. Ojciec Kircher chce zająć się wahadłami i zajmuje się nimi, aczkolwiek na swój sposób, dokonując wynalazku zegara planetarnego, aby móc sprawdzić, która godzina w każdej z rozsianych po całym świecie siedzib towarzystwa.

- Ale skąd jezuici wiedzieli, że istnieje Plan, skoro templariusze dawali się zabić, niczego nie zdradzając? - spytał Diotallevi.

Odpowiedź, że jezuici zawsze wiedzą więcej od diabła, była nic niewarta. Chcieliśmy mieć ponętniejsze wyjaśnienie.

Odkryliśmy je bardzo szybko. Raz jeszcze Wilhelm Postel. Przeglądając historię jezuitów z Crétineau-Joly (jakże ubawiła nas ta nieszczęśliwa nazwa!), spostrzegliśmy, że Postel, ogarnięty swoimi mistycznymi szalami, swoim pragnieniem odrodzenia duchowego, w 1544 roku dołączył w Rzymie do świętego Ignacego Loyoli. Ignacy powitał go entuzjastycznie, ale Postel nie potrafił wyrzec się swoich *idées fixes*, swojej kabalistyki, swojego ekumenizmu, a to nie mogło przypaść do gustu jezuitom, szczególnie zaś *idée fixe*, co do której Postel za nic w świecie nie poszedłby na żadne ustępstwa, ta mianowicie, że Królem Świata powinien zostać król Francji. Ignacy był świętym, ale świętym hiszpańskim.

Tak więc w pewnym momencie doszło do zerwania, Postel porzucił jezuitów - albo jezuici wyrzucili go za drzwi. Skoro

jednak Postel był, aczkolwiek krótko, jezuitą, musiał wyznać świętemu Ignacemu – któremu przyrzekł posłuszeństwo *perinde ac cadaver* – swoją misję. Drogi Ignacy – powiedział mu pewnie – wiedz, że biorąc sobie mnie, bierzesz także Plan templariuszy, którego niegodnym przedstawicielem na Francję jestem właśnie ja, a nawet teraz razem będziemy czekać na trzecie spotkanie, w tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym roku, czekajmy więc *ad maiorem Dei gloriam*.

Wiemy zatem, że dzięki Postelowi i chwili jego słabości jezuici dowiedzieli się o tajemnicy templariuszy. Sekret tego rodzaju trzeba wykorzystać. Święty Ignacy przechodzi do krainy wiecznej szczęśliwości, lecz jego następcy czuwają i nie spuszczają oka z Postela. Chcą się dowiedzieć, kogo spotka w owym proroczym roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym. Niestety, Postel umiera przed tą datą i jezuici nie dowiadują się, kto jest jego następcą, mimo że – jak twierdziło jedno z naszych źródeł – przy łożu śmierci był obecny jakiś nieznany zakonnik.

– Przepraszam pana, Casaubon – powiedział Belbo – ale coś mi tu nie pasuje. Jeśli tak sprawy stoją, jezuici nie mogli wiedzieć, że w tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym nie doszło do spotkania.

– Nie należy jednak zapominać – zauważył Diotallevi – że, jak powiedzieli mi poganie, jezuici byli ludźmi z żelaza i niełatwo było wodzić ich za nos.

– Jeśli o to chodzi – przyznał Belbo – jeden jezuita zjadał w kaszy dwóch templariuszy na obiad i dwóch na kolację. Oni także zostali rozwiązani, i to nieraz, przy czym warto dodać, że zabierały się do tego wszystkie rządy europejskie,

a jednak nadal istnieją.

Należało wejść w skórę jezuita. Co robi jezuita, kiedy Postel wymyka mu się z rąk? Ja od razu wpadłem na pewien pomysł, ale tak diaboliczny, że nawet nasi diaboliści, jak mnie małem, nie byliby w stanie go przełknąć; różokrzyżowcy to wymysł jezuicki!

- Oto moja propozycja - powiedziałem. - Po śmierci Postela jezuita (wiadomo przecież, jacy byli przebiegli) z matematyczną dokładnością przewidzieli zamieszanie z kalendarzami i postanowili przejąć inicjatywę. Organizują mistyfikację z różokrzyżowcami, dokładnie wyliczając sobie, co się zdarzy. Wśród mnóstwa zapaleńców, którzy złapią się na haczyk, pojawi się jakiś, wzięty z zaskoczenia, członek autentycznej grupki. Wyobraźmy sobie w tej sytuacji wściekłość Bacona. Fludd, ty idioto, nie mogłeś utrzymać języka za zębami?... Ależ, wicehrabio, *my Lord*, myślałem, że to nasi... Nie uczyłem cię, żebyś strzegł się papistów, bałwanie jeden? To ciebie powinni byli spalić, a nie tego nieszczęsnego nolańczyka!

- Ale w takim razie - powiedział Belbo - dlaczego jezuita, albo pracujący dla nich polemiści, atakowali różokrzyżowców jako heretyków i opętanych przez diabła, kiedy ci przenieśli się do Francji?

- Nie sądzi pan chyba, że jezuita działali jednotorowo, jakimież bowiem byliby jezuitami?

Długo spieraliśmy się o moją propozycję i w końcu doszliśmy jednogłośnie do wniosku, że hipoteza pierwotna była lepsza. Różokrzyżowcy odegrali rolę przynęty zarzuconej przez Niemców i zwolenników Bacona. Ale kiedy tylko ukazały się manifesty, jezuita wywęszyli, co się święci. I natych-

miast włączyli się do gry, żeby pomieszać wszystkim szyki. Ich celem było oczywiście nie dopuścić do spotkania grup angielskiej i niemieckiej z francuską i każdy, choćby najbardziej niegodziwy podstęp był dobry, jeśli pozwalał to osiągnąć.

Jednocześnie zapisywali wszystkie doniesienia, gromadzili informacje i ukrywali je... gdzie? Zapisane w Abulafii - zażartował Belbo. Ale Diotallevi, który na własną rękę zbierał dokumentację, powiedział, że to wcale nie żart. Jezuici z całą pewnością konstruowali ogromny elektroniczny kalkulator wielkiej mocy, który miał wyciągnąć wniosek z cierpliwie gromadzonego, stuletniego galimatiasu strzępów prawdy i kłamstwa.

- Jezuici - oznajmił Diotallevi - zrozumieli coś, czego nie przeczuwali jeszcze ani biedni starzy templariusze z Provins, ani odłam baconowski, a mianowicie, że rekonstrukcji mapy można dokonać na drodze kombinatorycznej, to znaczy: stosując procedury stanowiące antycypację procedur dzisiejszych mózgow elektronowych! Jezuici pierwsi wynaleźli Abulafię! Ojciec Kircher wgłębiał się we wszystkie rozprawy poświęcone sztuce kombinatorycznej, stworzone od czasów Lullusa. I zobaczcie tylko, o czym pisze w swojej *Ars Magna Sciendi*...

- Wydaje mi się to wzorem robótki szydełkowej - oświadczył Belbo.

- Nie, mój panie, są to wszystkie możliwe kombinacje elementów. Silnia, ta sama co w *Sefer Jecira*. Liczenie kombinacji i permutacji, sama istota Temury.

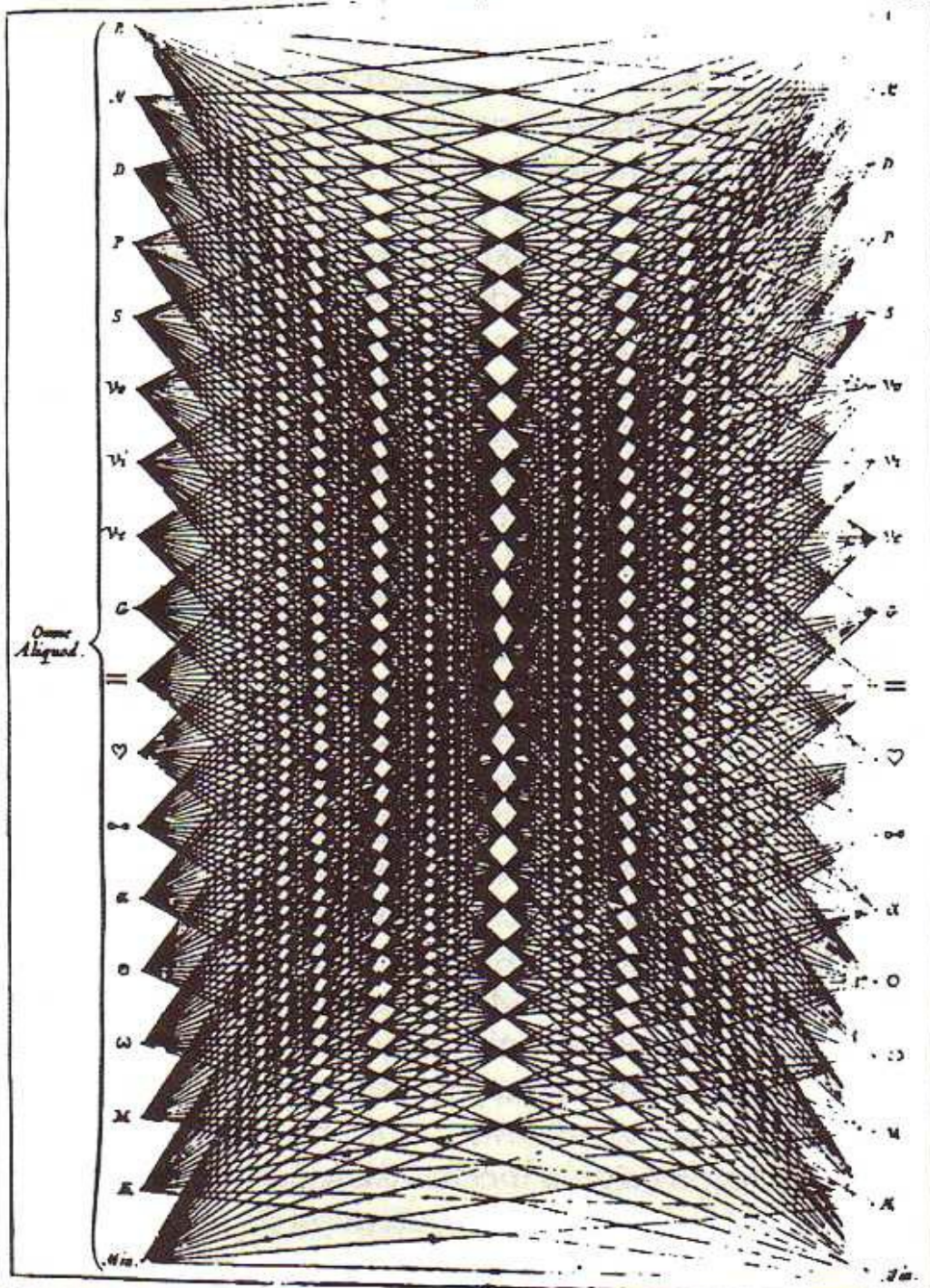
Z pewnością tak było. Co innego wpaść na mętny zamysł Fludda, by odszukać mapę, wychodząc od rzutu z bieguna, a co innego wiedzieć, ile potrzeba do tego prób, i umieć

wszystkich ich dokonać, by dojść w ten sposób do optymalnego rozwiązania. A przede wszystkim co innego stworzyć abstrakcyjny model wszystkich możliwych kombinacji, a co innego zaprojektować maszynę, która byłaby w stanie wszystkie te kombinacje zrealizować. I oto bądź Kircher, bądź jego uczeń Schott projektują mechaniczne fisharmonie, urządzenia z kartami perforowanymi, komputer *ante litteram*. Oparte na rachunku binarnym. Kabała zastosowana do nowoczesnej mechaniki.

IBM: *Iesus Babbage Mundi, Iesum Binarium Magnificamus*. AMDG: *Ad Maiorem Dei Gloriam?* Skądże! *Ars Magna, Digitale Gaudium!* IHS: *Iesus Hardware & Software!*

ARTIS MAGNÆ SCIENDI,  
EPILOGISMUS

*Combinatoricus Liber. III.*





W łonie najgęstszych ciemności uformowało się stowarzyszenie nowych istot, które znają się, choć nigdy jedne drugich nie widziały, rozumieją się, choć niczego jedne drugim nie wyjaśniały, służą sobie, choć bez przyjaźni... To stowarzyszenie przejęło od jezuitów ślepe posłuszeństwo, od masonerii próby i zewnętrzne ceremonie, od templariuszy podziemne ewokacje oraz niesłychaną śmiałość... Być może hrabiemu de Saint-Germain udało się coś lepszego niż naśladowanie Wilhelma Postela, który miał manię wmawiania wszystkim, iż jest starszy, niż był w istocie?

Marquis de Luchet, *Essai sur la secte des illuminés*,  
Paris 1789, V i XII

Jezuici pojęli, że jeśli chce się zachwiać przeciwnikiem, najlepiej będzie tworzyć tajne sekty, poczekać, aż rzucą się do nich niebezpieczni zapaleńcy, a na końcu wszystkich ich areztować. Albo też, jeśli lękasz się spisku, sam go zorganizuj, a wtedy ci, którzy mogliby do niego przystąpić, będą pod twoją kontrolą.

Przypomniałem sobie, jakie zastrzeżenia miał Agliè do Ramsaya, pierwszego, który powiązał bezpośrednio masonerię z templariuszami: sugerował mianowicie, że łączyło go coś ze środowiskami katolickimi. Rzeczywiście, już Wolter oskarżał Ramsaya o to, że jest człowiekiem jezuitów. Stojąc w obliczu faktu narodzin angielskiej masonerii, jezuici odpowiedzieli we Francji, tworząc szkockich neotemplariuszy.

Pozwala to zrozumieć, dlaczego reagując na tego rodzaju posunięcie, markiz de Luchet wydał anonimowo sławny *Essai sur la secte des illuminés*, gdzie atakuje iluminatów wszelkiego gatunku, bawarskich czy jakichkolwiek innych, bez względu na to, czy byli anarchizycznymi antyklerykałami, czy mistycznymi neotemplariuszami, i wrzuca do tego samego worka (to nie do wiary, jak stopniowo i cudownie trafiały

na miejsce wszystkie elementy naszej układanki!) nawet paucjan, nie mówiąc już o Postelu i Saint-Germainie. Użala się nad tym, że te formy templarnego mistycyzmu odbierają wiarygodność masonerii, która w przeciwieństwie do tamtych była stowarzyszeniem ludzi zacnych i prawych.

Zwolennicy Bacona wymyślili masonerię jako rodzaj Rick's Bar w Casablance, jezuicki neotemplaryzm niweczył ich pomysł. Luchet zaś został wysłany jako *killer* z zadaniem zlikwidowania wszystkich grupiek niebaconowskich.

W tym jednak miejscu musieliśmy uwzględnić inny fakt, do którego biedny Agliè nie mógł się przekonać. Dlaczego de Maistre, który był człowiekiem jezuitów, udał się do Wilhelmsbadu, żeby zasiać niezgodę między neotemplariuszami, i to na dobre siedem lat przed wystąpieniem markiza de Luchet?

- Neotemplaryzm rozwijał się pomyślnie w pierwszej połowie osiemnastego wieku - powiedział Belbo - a pod koniec tegoż wieku był w opłakanym stanie. Stało się tak po pierwsze dlatego, że zawładnęli nim rewolucjoniści, dla których od Bogini Rozumu po Najwyższą Istotę wszystko służyło temu, żeby doprowadzić do ścięcia króla, *vide* Cagliostro, a po drugie, ponieważ w Niemczech wmieszali się w sprawę niemieccy książęta, a przede wszystkim Fryderyk Pruski, których cele z pewnością nie były zbieżne z celami jezuitów. Kiedy neotemplaryzm mistyczny, wszystko jedno kto go wymyślił, stworzył *Czarodziejski flet*, ludzie Loyoli postanowili się pozbyć tego ugrupowania, i jest to całkiem naturalne. Zupełnie jak w interesach: kupujesz jakąś spółkę, sprzedajesz ją, likwidujesz, doprowadzasz do bankructwa, zwiększasz jej kapitał, wszystko zależy od generalnego pla-

nu, nie przejmujesz się jednak zupełnie, co stanie się z portierem. Lub jak z zużytym samochodem. Kiedy przestaje jeździć, zostawiasz go na złomowisku.

W prawdziwym kodeksie masońskim nie znajdzie się innego Boga niż Bóg Maniego. To Bóg masona kabalisty, Bóg starodawnych różokrzyżowców; Bóg masona martynisty... Zresztą wszelkie niegodziwości przypisywane templariuszom są tymiż, które przypisywano manichejczykom.

Abbé Barruel, *Mémoires pour servir à l'histoire du jacobinisme*,  
Hamburg 1798, 2, XIII

Strategia jezuitów stała się dla nas jasna, kiedy odkryliśmy ojca Barruela. Ojciec Barruel w odpowiedzi na rewolucję francuską pisze na przełomie lat dziewięćdziesiąt siedem i dziewięćdziesiąt osiem *Mémoires pour servir à l'histoire de jacobinisme*, prawdziwą powieść w odcinkach, która zaczyna się, proszę tylko pomyśleć, od templariuszy. Templariusze, odkąd spalono Jakuba z Molay, przekształcili się w tajne stowarzyszenie mające na celu zniszczenie monarchii i papieżstwa oraz stworzenie światowej republiki. W siedemnastym wieku zawładnęli wolnomularstwem, które stało się powolnym narzędziem w ich rękach. W 1763 roku utworzyli akademię literacką, w której skład weszli Wolter, Turgot, Condorcet, Diderot i d'Alembert i która zbierała się u barona d'Holbach i spiskując bez znużenia, doprowadziła do wyłonienia się w 1776 roku jakobinizmu. Jakobini są zresztą marionetkami w rękach prawdziwych przywódców, Iluminatów Bawarskich, z powołania - królobójców.

To coś lepszego niż złomowisko samochodów. Podzieliwszy przy pomocy Ramsaya masonerię na dwa odłamy, jezuita jednoczyli ją na nowo, by stawić jej czoło frontalnie.

Książka Barruela wywarła pewne wrażenie, świadczy

o tym fakt, że we wszystkich Archives Nationales znajdują się przynajmniej dwa raporty policyjne mówiące o tajnych sektach, a przygotowane na żądanie Napoleona. Te raporty sporządził niejaki Charles de Berkheim, który – jak to czynią wszystkie tajne służby, kiedy czerpią poufne informacje ze źródeł już opublikowanych – zdobył się tylko na niechlujne przepisanie opinii najpierw z książki markiza de Luchet, a później Barruela.

Dysponując tymi mrozącymi krew w żyłach opisami iluminatów i tą przenikliwą demaskacją Nieznanych Zwierzchników mogących zapanować nad światem, Napoleon nie waha się. Postanawia się przyłączyć. Doprowadza do mianowania swojego brata Józefa wielkim mistrzem Wielkiego Wschodu, sam natomiast, według licznych źródeł, nawiązuje kontakty z masonerią, według zaś innych – zostaje w niej wysokiego stopnia dostojnikiem. Nie jest jednak pewne, jakiego obrządku. Może wszystkich, bo tak nakazywałyby przezorność.

Nie wiemy, co wiedział Napoleon, ale nie zapominajmy, że spędził jakiś czas w Egipcie i kto wie, z jakimi mędrkami rozmawiał w cieniu piramid (w tym miejscu nawet dziecko zrozumie, że owe sławetne czterdzieści wieków, które na to pa-trzyły, było wyraźną aluzją do Tradycji Hermetycznej).

Musiał jednak widzieć niejedno, skoro w tysiąc osiemset szóstym roku zwołał zgromadzenie francuskich Żydów. Oficjalnie przedstawione powody były banalne: próba opanowania lichwy, upewnienie się co do wierności mniejszości żydowskiej, poszukiwanie nowych źródeł finansowych... Ale nie wyjaśnia to, dlaczego kazał nazwać to zgromadzenie Wielkim Sanhedrynem, nawiązując do dyrektoriatu

Zwierzchników, mniej lub bardziej Nieznanych. W rzeczywistości przebiegły Korsykanin wyłuskał przedstawicieli skrzydła jerozolimczyków i próbował połączyć na nowo rozmaite rozproszone grupki.

- Nie przez przypadek oddziały marszałka Ney'a znalazły się w tysiąc osiemset ósmym roku w Tomarze. Dostrzegacie ten związek?

- Po to jesteśmy, żeby dostrzegać związki.

- Teraz Napoleon, gotując się do podbicia Anglii, ma w ręku prawie wszystkie ośrodki europejskie, a przez francuskich Żydów również jerozolimczyków. Kogo mu jeszcze brakuje?

- Paulicjan.

- No właśnie. A my dotąd nie ustaliliśmy, gdzie się osiedlili. Ale podpowiada nam to sam Napoleon, który rusza szukać ich tam, gdzie są, to jest w Rosji.

Było rzeczą naturalną, że nie mogąc od wielu stuleci opuścić terenów słowiańskich, paulicjanie przeorganizowali się pod różnymi etykietami rosyjskich sekt mistycznych. Jednym z wpływowych doradców Aleksandra I był książę Golicyn, mający powiązania z sektami o orientacji martynistycznej. A kto w Rosji dwanaście lat przed Napoleonem nawiązuje kontakty z mistycznymi kołami Sankt Petersburga jako pełnomocnik książąt Sabaudzkich? De Maistre.

W tym momencie nie ufał już żadnym organizacjom iluminatów, którzy dla niego niczym nie różnili się od iluministów, czyli ludzi oświecenia, odpowiedzialnych za krwawą łaźnię rewolucji. W tym okresie naprawdę opowiadał, powtarzając prawie słowo w słowo za Barruelem, o pewnej sekcji satanistów, która chciała opanować świat, i prawdopodobnie

miał na myśli Napoleona. Skoro więc nasz wielki reakcjonista postanawia oczarować grupy martynistów, to dlatego, że przewidział swoim przenikliwym umysłem, iż martyniści czerpią wprawdzie inspirację z tych samych źródeł francuskiego i niemieckiego neotemplaryzmu, ale są rzecznikami jedynej nieskażonej jeszcze myślą europejską grupy, paulicjan.

Jednak wydaje się, że plan de Maistre'a się nie powiódł. W 1816 roku jezuici zostali wypędzeni z Petersburga i de Maistre wraca do Turynu.

- No dobrze - powiedział Diotallevi - odnaleźliśmy paulicjan. Usunęliśmy ze sceny Napoleona, któremu najwidoczniej nie udało się zrealizować swoich zamysłów, gdyż w przeciwnym razie wystarczyłoby mu ze Świętej Heleny pstryknąć palcami, żeby jego wrogowie poczuli dreszcz strachu. Co dzieje się między wszystkimi tymi ludźmi? Tracę już głowę.

- Połowa z nich też ją straciła - uspokoił go Belbo.

O, jakże wspaniale zdemaskowałeś, ojczy, te piekielne sekty, które torowały drogę Antychrystowi... Ale jest jedna, o której wspomniałeś tylko pobieżnie.

list kapitana Simoniniego do Barruela,  
„La civiltà cattolica”, 21 października, 1882

Posunięcie Napoleona z Żydami skłoniło jezuitów do skorygowania kursu. *Mémoires* Barruela nie zawierają żadnej aluzji do Żydów. Ale w 1806 roku Barruel otrzymuje list od niejakiego kapitana Simoniniego, który przypomina mu, że również Mani i Starzec z Gór byli Żydami, że masoneria została założona przez Żydów i że Żydzi przeniknęli do wszystkich istniejących tajnych stowarzyszeń.

List Simoniniego, zręcznie rozpowszechniony w Paryżu, postawił Napoleona, który dopiero co nawiązał kontakt z Wielkim Sanhedrynem, w trudnym położeniu. Sprawa tego kontaktu zaprzętała również paulicjan, gdyż w tamtych właśnie latach święty synod moskiewskiego Kościoła prawosławnego obwieścił: „Napoleon zamierza zjednoczyć dzisiaj wszystkich Żydów, których gniew Boga rozproszył po powierzchni ziemi, chce bowiem, by zburzyli Kościół Chrystusowy i jego ogłosili za prawdziwego mesjasza”.

Pocziwy Barruel akceptuje myśl, że spisek jest nie tylko masoński, ale żydo-masoński. Pomysł tego szatańskiego spisku był między innymi wygodny przy atakowaniu nowego przeciwnika, jakim była Alta Vendita Carbonaria, a więc antyklerykalni ojcowie Risorgimento, od Mazziniego po Garibaldi.

- Ale to wszystko ma miejsce na początku dziewiętnastego



wieku - przypomniał Diotallevi. - Natomiast wielka ofensywa antysemityczna zaczyna się pod koniec wieku w momencie opublikowania *Protokołów Mędrców Syjonu*. A protokoły pojawiają się na terenach rosyjskich. Stanowią więc inicjatywę paulicjańską.

- To naturalne - zapewnił go Belbo. - Nie ulega wątpliwości, że na tym etapie grupa jerozolimska podzieliła się na trzy odłamy. Pierwszy, poprzez kabalistów hiszpańskich i prowansalskich, inspirował skrzydło templariuszy, drugi został wchłonięty przez skrzydło baconowskie, które wyda z siebie uczonych i bankierów. Tych właśnie ludzi atakują ostro jezuici. Istnieje jednak jeszcze trzeci odłamek, który zadowił się w Rosji. Rosyjscy Żydzi to w znacznej części drobni handlarze i lichwiarze, tak więc na nich patrzą krzywym okiem biedni wieśniacy. Druga znaczna część, dzięki temu, że kultura żydowska to kultura Księgi i wszyscy umieją czytać i pisać, zasili szeregi liberalnej i rewolucyjnej inteligencji. Paulicjanie są mistykami, reakcjonistami, mocno związanymi z feudałami, więc przeniknęli na dwór carski. Jest oczywiste, że między nimi a jerozolimczykami nie może być mowy o żadnym stapianiu się w jedno. Są więc zainteresowani dyskredytowaniem Żydów, a poprzez Żydów - nauczyli się tego od jezuitów - stawiają w trudnej sytuacji swoich przeciwników za granicą, zarówno neotemplariuszy, jak i zwolenników Bacona.

Nie może być co do tego najmniejszej wątpliwości. Wraz z całą potęgą i terrorem szatana zbliża się do naszego nieodrodzonego świata panowanie triumfującego króla Izraela: król zrodzony z krwi Syjonu, Antychryst, zbliża się do tronu mocarstwa powszechnego.

Siergiej Nilus, *Epilog do Protokołów*

Ten pomysł był do przyjęcia. Wystarczyło wziąć pod uwagę fakt, kto sprowadził *Protokoły* do Rosji.

Jeden z najbardziej wpływowych martynistów końca wieku, Papus, oczarował Mikołaja II podczas jego wizyty w Paryżu, a potem pojechał do Moskwy, zabierając ze sobą niejakiego Philippe'a, czyli Philippe'a Niziera Anselme'a Vachoda. Ów Vachod, w wieku lat sześciu opętany przez diabła, uzdrawiacz w wieku lat trzynastu, hipnotyzer w Lyonie, zafascynował zarówno Mikołaja II, jak i tę histeryczkę, jego żonę. Philippe został zaproszony na dwór, mianowany medykiem akademii wojskowej w Petersburgu, generałem i radcą stanu.

Jego przeciwnicy postanowili przeciwstawić mu osobnika nie mniej charyzmatycznego, który potrafiłby zachwiać jego prestiżem. Trafił się im Nilus.

Nilus był wędrownym mnichem, który w duchownej sukni wędrował (a niby co miał robić?) przez lasy, ukazując wszędzie swoją brodę proroka, dwie małżonki, jedną dziewczynkę oraz jedną asystentkę albo kochankę, przy czym wszystkie one piły każde słowo z jego warg. Na pół guru, z tych, którzy w pewnym momencie znikają z pełną kasą, na pół eremita, z tych, co krzyczą, że koniec jest bliski. I rzeczywiście, jego *idée fixe* były knowania Antychrysta.

Plan popleczników Nilusa polegał na tym, żeby wyświęcić

go na popa i ożenić (jedna żona mniej, jedna więcej) z Heleną Aleksandrowną Ozierową, damą dworu carycy, gdyż dzięki temu mógłby zostać spowiednikiem imperatorskiej pary.

- Jestem człowiekiem łagodnym - zapewnił Belbo - ale zaczynam podejrzewać, że rzeź w Carskim Siole była po prostu rodzajem deratyzacji.

W końcu w pewnym momencie stronnicy Philippe'a oskarżyli Nilusa o rozwiązły tryb życia i Bóg jeden wie, czy oni także nie mieli racji. Nilus musiał odejść z dworu, ale wtedy ktoś przyszedł mu z pomocą, wręczając tekst *Protokołów*. Ponieważ zaś wszyscy mylili martynistów (którzy powoływali się na świętego Marcina) z martynestami (zwolennikami tego Martineza de Pasqually, który tak niewiele sympatii budził u Agliègo) i ponieważ obiegiwała plotka mówiła, że Pasqually jest Żydem, to dyskredytując Żydów, dyskredytowano martynistów, a dyskredytując martynistów, niszczonego wpływy Philippe'a.

Pierwsza, niekompletna wersja *Protokołów* ukazała się już w 1903 roku w petersburskim dzienniku „Russkoje Znamia”, kierowanym przez wojującego antysemitę Kruszewana. W 1905 roku ta pierwsza wersja, po uzupełnieniu, została za zezwoleniem cenzury rządowej wydana w formie książki pod tytułem *Źródło naszych nieszczęść* prawdopodobnie przez niejakiego Boutmiego, który wraz z Kruszewanem zakładał właśnie Związek Narodu Rosyjskiego, znany później jako czarna sotnia, grupujący - w celu dokonywania pogromów i skrajnie prawicowych zamachów - pospolitych przestępców. Boutmi, teraz już pod własnym nazwiskiem, publikował kolejne edycje dzieła, noszące tytuł *Nieprzyjaciele*

*gatunku ludzkiego - Protokoły pochodzące z tajnych archiwów centralnej kancelarii Syjonu.*

Ale chodziło tu o tanie broszury. Rozszerzona wersja *Protokołów*, która miała być w przyszłości tłumaczona na całym świecie, ukazuje się w 1905 roku w trzecim wydaniu książki Nilusa *Wielkie w Małym: Antychryst i nieuchronna możliwość polityczna*, Carskie Sioło, pod egidą lokalnego oddziału Czerwonego Krzyża. Tło miało charakter rozległej refleksji mistycznej i książka trafiła do rąk cara. Metropolita Moskwy nakazał odczytywanie jej we wszystkich moskiewskich cerkwiach.

- Ale jaki związek mają *Protokoły* z naszym Planem? - spytałem.

- Bez ustanku mówi się tutaj o tych *Protokołach*, może byśmy je przeczytali?

- Nic prostszego - powiedział Diotallevi. - Ciągle jakiś wydawca je wznawia. Kiedyś robiono to, okazując oburzenie, w celach dokumentacyjnych, a potem stopniowo zaczęło to sprawiać coraz większe zadowolenie.

- Tak już jest z poganami.

Jedynym znanym nam stowarzyszeniem, które byłoby w stanie konkurować z nami w tej sztuce, mogliby być jezuici. Ale udało nam się zdyskredytować jezuitów w oczach głupiego plebsu, a to z tego względu, że towarzystwo jest organizacją jawną, gdy my tymczasem działamy za kulisami, dbając o zachowanie tajemnicy.

*Protokoły, V*

*Protokoły* to zestaw dwudziestu czterech deklaracji programowych przypisywanych Mędrcom Syjonu. Zamiary tych Mędrców wydały nam się niekiedy całkiem ze sobą sprzeczne. To chcą znieść wolność druku, to znów zachęcają do libertynizmu. Krytykują liberalizm, ale jak się zdaje, głoszą program, który radykalna lewica przypisuje ponadnarodowym spółkom, w tym wykorzystanie sportu i edukacji wizualnej w celu ogłupiania ludu. Analizują rozmaite techniki pozwalające zagarniać władzę na całym świecie, zachwalają siłę złota. Decydują się sprzyjać rewolucjom we wszystkich krajach, wykorzystując niezadowolenie, wprowadzając lud w błąd poprzez głoszenie idei liberalnych, zamierzają jednak sprzyjać nierównościom. Kalkulują, jak ustanowić wszędzie ustroje prezydenckie kontrolowane przez figurantów, ludzi Mędrców. Postanawiają doprowadzać do wojen, zwiększać produkcję broni oraz (mówił o tym Salon) budować metra (podziemne!), aby móc podkładać miny pod wielkie miasta.

Powiadają, że cel uświęca środki, i chcą zachęcać do antysemityzmu, zarówno żeby trzymać w garści biednych Żydów, jak też żeby zmiękczać serca pogan widokiem ich nieszczęść (kosztowny sposób – zauważył Diotallewi – ale skuteczny). Powiadają bez ogródek: „Mamy bezgraniczne ambicje, nienasyconą zachłanność, bezlitosną żądzę zemsty i przemożną nie-

nawiść” (okazując tym samym subtelny masochizm, gdyż powtarzają z upodobaniem obiegowe wyobrażenie o nikczemnym Żydzie, które już wtedy zaczynało krążyć w antysemitycznych publikacjach i które miało zdobić okładki wszystkich wydań ich książki), i głoszą likwidację studiowania pisarzy klasycznych i historii starożytnej.

- W sumie - zauważył Belbo - Mędrcy Syjonu to banda kretynów.

- Nie pozwalajmy sobie na żarty - powiedział Diotallevi. - Tę książkę brano bardzo poważnie. Mnie uderzyło jedno: że chcąc ją zaprezentować jako liczący sobie wiele stuleci spis sek żydowski, sięgnięto do konfliktów francuskich z końca wieku. Zdaje się, że wzmianka o edukacji wizualnej, służącej ogłupieniu mas, nawiązuje do programu edukacyjnego Leona Bourgeois, który wprowadza do swojego rządu dziewięciu masonów. W innym momencie doradza się głosować na osoby skompromitowane w skandalu panamskim, a takim właśnie człowiekiem był Emile Loubet, który w dziewięćdziesiątym dziewiątym został prezydentem republiki. Poruszenie sprawy metra wiąże się z faktem, iż gazety prawicowe protestowały w owych czasach przeciw temu, że Compagnie du Métropolitain ma zbyt wielu akcjonariuszy żydowskich. Z tych względów przypuszcza się, że tekst został sklecony we Francji w ostatnim dziesięcioleciu dziewiętnastego wieku, a więc w czasach sprawy Dreyfusa, i miał osłabić front liberalny.

- Na mnie co innego zrobiło wrażenie - oznajmił Belbo. - Uczucie *déjà vu*. Wszystko sprowadza się do faktu, że ci Mędrcy relacjonują plan podboju świata, a my już gdzieś te słowa słyszeliśmy. Odrzućcie aluzje do ubiegłowiecznych

problemów i faktów, zastąpcie podziemia metra przez podziemia Provins, wszędzie tam, gdzie widnieje słowo „Żyd”, wstawcie słowo „templariusz”, a zamiast „Mędrców Syjonu” wpiszcie „trzydziestu sześciu niewidzialnych”... O przyjaciele moi, przecież mamy przed oczyma *ordonation* z Provins!

Voltaire lui-même est mort jésuite: en avoit-il le moindre soupçon?

F.N. de Bonneville, *Les Jésuites chassés de la Maçonnerie  
et leur poignard brisé par les Maçons*,  
Orient de Londres, 1788, 2, s. 74

Wszystko mieliśmy od dawna przed oczyma, ale nigdy w pełni nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Przez wieki sześć grup walczy o urzeczywistnienie Planu z Provins i każda z nich bierze schemat tekstu, zmienia tylko przedmiot i przypisuje Plan przeciwnikowi.

Kiedy zaś różokrzyżowcy pokazują się we Francji, jezuici zmieniają Plan na jego negatywową odbitkę. Dyskredytując różokrzyżowców, dyskredytują zwolenników Bacona oraz rodzącą się masonerię angielską.

Gdy jezuici wymyślają neotemplaryzm, markiz de Luchet przypisuje Plan neotemplariuszom. Jezuici, którzy teraz chcą pozbyć się także neotemplariuszy, ręką Barruela kopiują Lucheta, ale przypisują Plan wszystkim wolnomularzom w ogólności.

Kontrofensywa baconowska. Czytając wnikliwie wszystkie teksty sporów liberalnych i laickich, odkryliśmy, że począwszy od Micheleta i Quineta, a skończywszy na Garibaldi i Giobertim, *ordonation* przypisywano jezuitom (może był to pomysł templariusza Pascala i jego przyjaciół). Ten wątek staje się popularny wraz z pojawieniem się *Żyda Wiecznego Tułacza* Eugeniusza Sue i postaci niecnego monsieur Rodina, kwintesencji jezuickiego spisku. Ale u Sue znaleźliśmy znacznie więcej. Tekst robił wrażenie kopii – aczkolwiek z półwiekowym wyprzedzeniem – *Protokołów*, i to słowo



w słowo. Chodziło o ostatni rozdział z *Tajemnic ludu*. Diaboliczny plan jezuitów jest tam wyjaśniony do ostatnich zbrodniczych szczegółów w dokumencie wysłanym przez generała towarzystwa, ojca Roothaana (postać historyczna), do monsieur Rodina (bohatera także *Żyda Wiecznego Tułacza*). Rudolf de Gerolstein (bohater także *Tajemnic Paryża*) wszedł w jego posiadanie i ujawnił go demokratom: „Widzisz, drogi Lebrenn, jak ten piekielny plan jest dobrze uknuty, jakie straszliwe cierpienia, jakie przerażające panowanie, jaki okropny despotyzm gotuje Europie i światu, jeśli na nieszczęście...”

Robiło to wrażenie przedmowy Nilusa do *Protokołów*. I Sue przypisywał jezuitom dewizę (którą mieliśmy odnaleźć także w *Protokołach*, tyle że przypisaną Żydom) „cel uświęca środki”.

Nie musimy mnożyć dowodów, by ustalić, że ten stopień Różanego Krzyża został zρέcznie wprowadzony przez przywódców masonerii... Tożsamość doktryny, nienawiści i świętokradczych praktyk z Kabałą, gnostykami i manichejczykami wskazuje na tożsamość autorów, wskazuje na żydowskich kabalistów.

Mons. Léon Meurin, S.J., *La Franc-Maçonnerie, Synagogue de Satan*,  
Retaux, Paris 1893, s. 182

Kiedy ukazały się *Tajemnice ludu*, jezuita ujrzeli, że przypisuje się im *ordonation*, i wybrali jedyną technikę ofensywną, jakiej jeszcze nikt nie wykorzystywał, a mianowicie wyciągnęli list Simoniniego i przypisali *ordonation* Żydom.

W 1869 roku Gougenot de Mousseaux, znany z dwóch książek o dziewiętnastowiecznej magii, publikuje *Les Juifs, le judaïsme et la judaïsation des peuples chrétiens*, gdzie powiada się, że Żydzi stosują Kabałę i są czcicielami Szatana, jako że sekretne powiązanie łączy bezpośrednio Kaina z templariuszami i masonami. De Mousseaux otrzymuje specjalne błogosławieństwo od Piusa IX.

Ale Plan, przedstawiony w literackim kształcie przez Sue, zostaje wykorzystany także przez innych, niebędących jezuitami. Znacznie później wydarzyła się wspaniała historia, prawie jak z powieści kryminalnej. „Times”, już po ukazaniu się *Protokołów*, które potraktował zresztą ze śmiertelną powagą, odkrył, że pewien rosyjski posiadacz ziemski, monarchista, schroniwszy się w Turcji, kupił od byłego funkcjonariusza rosyjskiej tajnej policji, uciekiniera osiadłego w Konstantynopolu, zestaw starych książek, w tym jedną opatrzoną przedmową z datą 1864 i wyglądającą na dosłowne źródło *Protokołów*, ale pozbawioną okładki, tak że dało się odczytać

na grzbiecie tylko słowo: *Joly*. „Times” przeprowadził poszukiwania w British Museum i odnalazł oryginał książki Maurice’a Joly’ego *Dialogue aux enfers entre Montesquieu et Machiavel*, Bruksela (ale ze wskazaniem na Genewę, 1864). Maurice Joly nie miał nic wspólnego z Crétineau-Joly, ale odnotowaliśmy analogię, aczkolwiek nie mieliśmy pojęcia, co niby miałyby oznaczać.

Był to liberalny pamflet atakujący Napoleona III: Machiaveli, reprezentujący tu cynizm dyktatora, prowadzi dysputę z Monteskiuszem. Joly został aresztowany za to rewolucyjne przedsięwzięcie, przesiedział piętnaście miesięcy w więzieniu i w 1878 roku popełnił samobójstwo. Program Żydów z *Protokołów* został prawie dosłownie przepisany z tego, co Joly włożył w usta Machiavellemu (cel uświęca środki), a za pośrednictwem Machiavellego - Napoleonowi. Jednak „Times” nie spostrzegł (w przeciwieństwie do nas), że Joly czerpał, ile chciał, ze starszego o co najmniej siedem lat dokumentu Sue.

Niejaka Nesta Webster, pisarka antysemitka, żarliwa zwolenniczka teorii spisku Nieznanych Zwierzchników, postawiona w obliczu faktu sprowadzającego *Protokoły* do rangi banalnej kopii, błysnęła genialną intuicją, jaka może być udziałem tylko prawdziwego wtajemniczonego albo łowcy wtajemniczonych. Joly był wtajemniczonym, znał plan Nieznanych Zwierzchników i w swojej nienawiści do Napoleona III przypisał go cesarzowi, co przecież nie oznacza, że plan nie istniałby niezależnie od Napoleona. Ponieważ plan zrelacjonowany w *Protokołach* pasuje dokładnie do planów, jakie zwykle knują Żydzi, musiał to być plan żydowski. Wystarczyło, byśmy skorygowali panią Webster zgodnie z tą samą

logiką: skoro plan pasuje dokładnie do planu, jaki powinni byli wymyślić templariusze, musi to być Plan templariuszy.

A zresztą my posługiwaliśmy się logiką faktów. Bardzo przypadła nam do gustu sprawa cmentarza w Pradze. Jest to historia Hermanna Goedsche, niskiej rangi pruskiego urzędnika. Miał już za sobą opublikowanie dokumentów sfalszowanych w celu skompromitowania demokracji Waldecka, którego oskarżał o chęć zamordowania króla Prus. Zdemaskowany, został redaktorem organu posiadaczy ziemskich „Die Preussische Kreuzzeitung”. Potem pod nazwiskiem sir John Retcliffe pisał sensacyjne powieści, między innymi w 1868 roku wydał *Biarritz*. Opisał w niej okultystyczną scenę, jaka rozegrała się na cmentarzu praskim i bardzo przypominała zebranie iluminatów opisane przez Dumasa na początku *Józefa Balsamo*, gdzie Cagliostro, przywódca Nieznanych Zwierzchników, a wśród nich Swedenborga, omawia intrygę z naszyjnikiem królowej. Na praskim cmentarzu zgromadzili się reprezentanci dwunastu pokoleń Izraela, którzy przedstawiają swoje plany zawładnięcia światem.

W 1876 roku w pewnym rosyjskim pamflecie zostaje przytoczona scena z *Biarritz*, ale tak, jakby odbyła się naprawdę. To samo robi w 1881 roku we Francji „Le Contemporain”. I dodaje, że informacja pochodzi z wiarygodnego źródła, od angielskiego dyplomaty, sir Johna Readcliffa. W 1896 roku niejaki Bournand wydaje książkę *Les Juifs, nos contemporains*, gdzie także przytacza scenę z praskiego cmentarza i oznajmia, że wywrotowe przemówienie wygłosił wielki rabbin John Readclif. Późniejsza tradycja powiada natomiast, że prawdziwego Readcliffa przyprowadził na ów fatalny cmentarz Ferdynand Lassalle, zięć Marksa.

A te plany pokrywają się z grubsza z planami opisanymi w 1880 roku, a więc niewiele lat wcześniej, w „Revue des Etudes Juives” (antysemickim), gdzie opublikowano dwa listy atrybutowane Żydom żyjącym w XV wieku. Żydzi z Arles proszą o wsparcie Żydów z Konstantynopola, gdyż są prześladowani, ci ostatni zaś odpisują: „Umiłowani bracia w Mojżeszu, skoro król Francji zmusza was, byście stali się chrześcijanami, uczynicie tak, bo inaczej postąpić nie możecie, ale zachowajcie prawo Mojżeszowe w waszych sercach. Jeśli wyzuwają was z waszych dóbr, niechaj wasi synowie staną się kupcami, by mogli krok po kroku wyzuwać chrześcijan z ich dóbr. Jeśli są zamachy na wasze życie, niechaj wasi synowie zostaną medykami i farmaceutami, aby mogli odbierać życie chrześcijanom. Jeśli burzą wasze synagogi, niechaj wasi synowie zostaną kanonikami i klerykami, by mogli zniszczyć ich kościoły. Jeśli prześladują was inaczej, niechaj wasi synowie zostaną adwokatami i rejentami i mieszają się do spraw wszystkich państw, aby chrześcijanie znaleźli się w waszym jarzmie, a zapanujecie nad światem i weźmiecie na nich odwet”.

W dalszym ciągu chodziło tu o plan jezuitów i, cofając się, o *ordonation* templariuszy. Niewiele wariacji, minimalne permutacje. *Protokoły* powstają same. Abstrakcyjny plan spisku wędrował od jednego spisku do drugiego.

I kiedy wyteżaliśmy umysły, żeby wyłowić brakujące ogniwo, łączące całą tę piękną historię z Nilusem, natknęliśmy się na Raczkowskiego, szefa straszliwej Ochrony, tajnej policji carskiej.

Zawsze dobrze jest działać pod jakimś płaszczykiem. Ze skrytości bierze się w znacznym stopniu nasza siła. Dlatego winniśmy ukrywać się pod nazwą innego stowarzyszenia.

*Die neuesten Arbeiten des Spartacus und Philo  
in dem Illuminaten-Orden, 1794, s. 165*

W tychże dniach, czytając naszych diabolistów, natrafiłszy na stwierdzenie, że hrabia Saint-Germain, wśród swoich rozmaitych przeistoczeń, przybrał postać Rackociego, a przynajmniej jako takiego rozpoznał go ambasador Fryderyka II w Dreźnie. A landgraf Hesji, u którego Saint-Germain rzekomo umarł, oznajmił, że nieboszczyk pochodził z Transylwanii i nazywał się Ragozki. Dochodzi do tego fakt, że Komeński zadedykował swoją *Pansofię* (dzieło z pewnością zalutujące różokrzyżowcami) pewnemu landgrafowi (iluż landgrafów w naszej opowieści!), który nazywał się Ragovsky. I jeszcze ostatni element układanki. Szperając u bukinisty na placu Castello, znalazłem niemieckie dzieło o masonerii, gdzie nieznana ręka dopisała na karcie przedtytułowej notatkę, według której tekst wyszedł spod pióra niejakiego Karla Aug. Ragotgky'ego. Ponieważ nazwisko Rakosky nosił tajemniczy osobnik, który być może zabił pułkownika Ardent, dysponowaliśmy oto sposobem włączenia naszego hrabiego de Saint-Germain do zarysu Planu.

- Czy nie obdarzamy tego awanturnika zbyt wielką mocą?  
- spytał z troską Diotallevi.

- Nie, nie - odparł Belbo - jest potrzebny. Jak sos sojowy w potrawie chińskiej. Jeśli go tam nie ma, nie jest chińska. Popatrz na Agliègo, który z pewnością się na tym zna. Nie

obrał sobie za wzór Cagliostro albo Willermoza. Saint-Germain to kwintesencja *homo hermeticus*.

Piotr Iwanowicz Raczkowski. Dobroduszny, przypochebny, koci i przebiegły, genialny fałszerz. Urzędniczyna, potem w kontakcie z grupkami rewolucyjnymi, w 1879 roku zostaje aresztowany przez tajną policję i oskarżony o udzielanie schronienia przyjaciom terrorystom, którzy dokonali zamachu na generała Drentelna. Przechodzi na stronę policji i wstępuje (uwaga, uwaga!) do czarnej sotni. W 1890 roku odkrywa w Paryżu organizację produkującą bomby przeznaczone na zamachy w Rosji i udaje mu się aresztować w ojczyźnie sześćdziesięciu trzech terrorystów. Dziesięć lat później okazuje się, że bomby wykonali jego ludzie.

W 1887 roku rozpowszechnia list niejakiego Iwanowa, skruszonego rewolucjonisty, który zapewnia, że większość terrorystów to Żydzi. W 1890 *Confession par un vieillard ancien révolutionnaire*, gdzie rewolucjoniści, którzy schronili się w Londynie, zostają oskarżeni o to, że są agentami brytyjskimi. W 1892 podrobiony tekst Plechanowa, w którym oskarża się partię Narodna Wola o opublikowanie tych wyznań.

W 1902 próbuje założyć francusko-rosyjską ligę antysemityczną. Stosuje w tym celu technikę przypominającą żywo chwyt różokrzyżowców. Utrzymuje, że liga istnieje, aby ktoś potem ją rzeczywiście założył. Ale wykorzystuje także inną technikę. Miesza umiejętnie prawdę z fałszem, prawdę jawnie neguje, i wskutek tego nikt nie wątpi w fałsz. Rozpowszechnia w Paryżu tajemniczy apel do Francuzów, żeby wspierali Rosyjską Ligę Patriotyczną z siedzibą w Charkowie. W tym apelu atakuje sam siebie jako człowieka, który chce

doprowadzić do upadku ligi, i przepowiada, że on, Raczkowski, zmieni poglądy. Sam siebie oskarża o posługiwanie się takimi skompromitowanymi osobnikami jak Nilus, co jest zgodne z prawdą.

Dlaczego można przypisać *Protokoły* Raczkowskiemu?

Protektorem Raczkowskiego był minister Siergiej Witte, progresista pragnący przeobrazić Rosję w kraj nowoczesny. Dlaczego progresista Witte posługiwał się reakcjonistą Raczkowskim? Bóg jeden wie, ale byliśmy już przygotowani na wszystko. Witte miał przeciwnika politycznego, niejakiego Eliego de Cyona, który już przedtem atakował go publicznie, stosując chwytły polemiczne, które przypominały pewne fragmenty *Protokołów*. Ale w pismach politycznych Cyona nie było żadnych aluzji do Żydów, ponieważ on sam był pochodzenia żydowskiego. W 1897 roku Raczkowski dokonuje z polecenia Wittego rewizji domu Cyona w Territacie i znajduje pamflet tegoż oparty na książce Joly'ego (albo na książce Sue), gdzie Wittemu przypisuje się poglądy Machiavellego-Napoleona III. Raczkowski przy swoim fałszerskim geniuszu zastępuje Wittego Żydami i puszcza tekst w obieg. Nazwisko Cyon jest jakby stworzone do tego, żeby kojarzyło się z Syjonem, i można w ten sposób udowodnić, że autorytatywna i eksponowana osobistość ze świata żydowskiego ujawnia żydowski spisek. I tak powstały *Protokoły*. W tej fazie tekst wpada w ręce Juliany albo Justyny Glinki, która przebywa w Paryżu w kręgach Madame Blawatsky i w wolnych chwilach szpieguje i wydaje rewolucjonistów rosyjskich na wygnaniu. Glinka jest bez wątpienia agentką paulicjan, którzy mają powiązania z właścicielami ziemskimi, chcą więc przekonać cara, że program Wittego jest zbieżny z progra-



mem międzynarodowego spisku żydowskiego. Glinka wysłała dokument generałowi Orgiewskiemu, a ten za pośrednictwem komendanta gwardii cesarskiej doręcza go carowi. Witte jest w tarapatach.

W ten sposób Raczkowski, ulegając swoim antysemickim urazom, przyczynia się do tego, że jego protektor popada w niełaskę. I prawdopodobnie też do tego, że sam popada w niełaskę. Rzeczywiście, od tego momentu gubimy jego ślad. Być może Saint-Germain zamierza dokonać jakiejś nowej przebieranki, pojawić się w nowym wcieleniu. Ale nasza historia rysuje się teraz jako logiczna, racjonalna, przejrzysta, gdyż została potwierdzona całą serią faktów, równie prawdziwych - oznajmił Belbo - jak prawdziwy jest Bóg w niebie.

To wszystko sprawiło, że wróciłem myślami do opowieści De Angelisa. Urok całej tej historii - z pewnością naszej historii, ale być może również Historii, jak sugerował Belbo, patrząc na mnie rozgorączkowanym wzrokiem i podając mi swoje fiszki - polegał na tym, że zaangażowane w śmiertelną walkę grupy wykańczały się kolejno, używając ciągle tej samej broni.

- Pierwszym obowiązkiem porządnego agenta - stwierdziłem - jest zadenuncjować jako agentów tych, między których udało mu się przeniknąć.

Belbo powiedział:

- Przypominam sobie pewną historię, która zdarzyła się w \*\*\*. Ciągle widywałem o zmierzchu na ulicy, w czarnym samochodzie marki „Balilla”, faceta, który nazywał się Remo albo jakoś podobnie. Czarne wąsy, czarne proste włosy, czar-

na koszula, czarne, straszliwie zepsute zęby. I całował dziewczynę. Czułem wstręt do tych czarnych zębów, całujących tę piękną, jasnowłosą istotę, której twarzy nawet nie pamiętam, ale która dla mnie była dziewicą i dziwką, była wieczną kobiecością.

I przyprawiało mnie to o drżenie. - Instynktownie przyjął ton uroczysty, aby ujawnić swoją ironiczną intencję, świadom, że daje się ponieść niewinnym tęsknotom pamięci. - Zadawałem sobie i innym pytanie, dlaczego ten Remo, który był członkiem Czarnych Brygad, mógł się wszędzie w ten sposób pokazywać, nawet w okresach, kiedy \*\*\* nie było zajęte przez faszystów. Wyjaśniono mi, że krąży pogłoska, iż jest agentem partyzantów. Tak czy owak, pewnego wieczoru zobaczyłem go w tej samej czarnej balilli, z tymi samymi czarnymi zębami, całującego tę samą jasnowłosą dziewczynę, ale mającego na szyi czerwoną chusteczkę i koszulę koloru khaki. Przeszedł do Brygad Garibaldi. Wszyscy z tej okazji świętowali, przybrał sobie wojenny pseudonim „X9”, jak postać z Aleksa Raymonda, którego czytał w „Avventuroso”. Dzielny „X9” - mówiono mu... A ja nienawidziłem go jeszcze bardziej, gdyż miał dziewczynę z przyzwolenia narodu. Ale niektórzy twierdzili, że był agentem faszystowskim, który przeniknął do partyzantów, i myślę, że może byli to ci pożądamy dziewczyny, ale tak już jest, „X9” był podejrzany...

- A potem?

- Przepraszam, Casaubon, ale dlaczego właściwie tak pana interesują moje sprawy?

- Bo je pan opowiada, a opowieści są faktami wyobraźni zbiorowej.

- *Good point.* No więc pewnego ranka „X9” wybrał się za miasto, może umówił się z dziewczyną na polu, żeby wyjść poza marny *petting* i pokazać, że ma części ciała mniej zepsute niż zęby (wybaczcie, ale nadal nie mogę go polubić), tak czy owak faszyci zastawili na niego pułapkę, zawlekli do miasta i następnego dnia o piątej rano rozstrzelali.

Milczenie. Belbo przyglądał się swoim dłoniom, które trzymał złożone jak do modlitwy. Potem rozłożył ręce i powiedział:

- Oto dowód, że nie był agentem.
- A znaczenie przypowieści?
- A kto panu powiedział, że przypowieści muszą mieć jakieś znaczenie? Ale kiedy się pomyśli, ta przypowieść oznacza, być może, iż często, by czegoś dowieść, trzeba umrzeć.

Ego sum qui sum.

Wj 3, 14

Ego sum qui sum. An axiom of hermetic philosophy.

Mme Blawatsky, *Isis Unveiled*, s. 1

– Kim jesteś? – zapytało razem trzysta głosów, a jednocześnie dwadzieścia mieczy błysnęło w rękach najbliższych siedzących upiórów...

– Ego sum qui sum – powiedział.

Aleksander Dumas, *Józef Balsamo*, t. 1;

przeł. Maria Ziębowa

Znowu zobaczyłem się z Belbem następnego dnia przed południem.

– Wczoraj napisaliśmy piękną stroniczkę powieści w odcinkach – powiedziałem mu. – Ale być może, jeśli chcemy stworzyć Plan wiarygodny, powinniśmy mocniej trzymać się rzeczywistości.

– Jakiej rzeczywistości? – zapytał. – Być może tylko powieść w odcinkach daje prawdziwą miarę rzeczywistości. Oszukali nas.

– Kto?

– Wmówili nam, że z jednej strony jest wielka sztuka, przedstawiająca typowych bohaterów w typowych sytuacjach, a z drugiej powieść w odcinkach opowiadająca o ludziach i sytuacjach nietypowych. Myślałem, że prawdziwy dandys nigdy nie zakochałby się w Scarlett O'Hara ani w Konstancji Bonacieux, ani w Perle z Labuan. Bawiłem się taką literaturą, by znaleźć się trochę poza życiem. Dawała spokój, gdyż podsuwała to, co nie do osiągnięcia. Ale nie.

- Nie?

- Nie. Proust miał rację. Życie jest lepiej przedstawione w złej muzyce niż w *Missa Solemnis*. Sztuka nas zwodzi i uspokaja, podsuwa świat taki, jaki powinien być według artystów. W tandetnej literaturze udaje się, że wszystko jest żartem, ale potem ukazuje nam świat taki, jaki jest albo przynajmniej jaki będzie. Kobiety są podobniejsze do Milady niż do Łucji Mondella. Fu Manchu jest prawdziwszy od Natana Mędrca, a Historia bardziej przypomina historię opowiedzianą przez Sue niż tę zaplanowaną przez Hegla. Szekspir, Melville, Balzac i Dostojewski pisali taką literaturę. Wszystko, co zdarzyło się naprawdę, zostało przedtem opowiedziane w powieściach w odcinkach.

- To dlatego, że łatwiej naśladować powieść w odcinkach niż sztukę. Stać się Giocondą - to wymaga nakładu pracy, stać się Milady - to zgodne z naszą naturalną skłonnością do łatwizny.

Diotallewi, który do tej pory zachowywał milczenie, zauważył:

- Spójrzcie na Agliègo. Łatwiej mu naśladować Saint-Germaina niż Woltera.

- Tak - przyznał Belbo - w gruncie rzeczy również kobiety uznają, że Saint-Germain jest bardziej interesujący niż Wolter.

Potem znalazłem ten plik, w którym Belbo wyraził nasze konkluzje w terminach powieściowych. Napisałem „w terminach powieściowych”, gdyż zdaję sobie sprawę, że bawił się, rekonstruując wydarzenie, dodając od siebie tylko kilka zdań łączących. Nie wyszukałem wszystkich cytatów, plagiatów i zapożyczeń, ale rozpoznałem wiele fragmentów tego

oszałamiającego kolazu. Raz jeszcze, uciekając przed trwo-  
gami, jakie niesie Historia, Belbo pisał i wracał do życia za  
pośrednictwem tego, co napisał.

---

NAZWA PLIKU: Powrót Saint-Germaina

---

Już pięć wieków minęło, odkąd spragniona pomsty ręka Wszechmocnego wypchnęła mnie z otchłani Azji na te obszary. Przynoszę ze sobą przerażenie, rozpacz, śmierć. Ale nuże, jestem rejentem Planu, chociaż tamci o tym nie wiedzą. Bywało gorzej i doprowadzenie do nocy świętego Bartłomieja kosztowało mnie więcej trudów, niż byłem na to przygotowany. Och, czemu me usta ściągają się w tym satanicznym uśmiechu? Jestem tym, który jest, gdyby przeklęty Cagliostro nie przywłaszczył sobie także tego ostatniego prawa.

Ale chwila triumfu już bliska. Kiedy byłem jeszcze Kelleyem, Soapes nauczył mnie w londyńskim Tower wszystkiego. Tajemnica polega na tym, żeby stać się kimś innym.

Dzięki przebiegłym kręactwom doprowadziłem do zamknięcia Józefa Balsamo w fortecy San Leo i zawładnąłem jego sekretami.

Jako Saint-Germain zniknąłem, wszyscy uważają mnie teraz za Cagliostra.

Niedawno na wszystkich zegarach miasta wybiła północ. Jakież nienaturalny spokój! Ta cisza nie przekonuje mnie. Wieczór jest zachwycający, chociaż bardzo chłodny, wysoko na niebie księżyc rozświetla podwodnym blaskiem niedostępne zaułki starego Paryża. Powinna być dziesiąta wieczorem. Na dzwonnicy opactwa Black Friars niedawno wybiła bez pośpiechu ósma. Wiatr z przenikliwym wyciem targa blaszanymi chorągiewkami na opustoszałych przestrzeniach dachów. Gęsta kapa chmur okrywa niebo.

Kapitanie, podnosimy się? Nie, przeciwnie, walimy. Przekleństwo, „Patna” pójdzie na dno, skacz, Jimie Konopiarzu, skacz! A może oddałbyś diament wielki jak orzech, byleby uciec od tej trwogi? Ster pod wiatr, postaw bezan, bramsel i co jeszcze chcesz, czeka nas zagłada, ale wieje tam w dole!

Zgrzytam straszliwie kruźgankami zębów i śmiertelna bladość rozpala mi woskową twarz zielonkawym płomieniem.

Jak się tu znalazłem, ja, który byłem, jak się zdawało, samym wizerunkiem zemsty? Duchy z piekła uśmiechnęły się pogardliwie, widząc łzy istoty, której groźny głos tak często przyprawiał je o drżenie w łonie ich ognistej otchłani.

Nuże, pochodnię!

Po ilu stopniach zszedłem, zanim znalazłem się w tej norze? Siedmiu? Trzydziestu sześciu? Każdy kamień, który musnąłem, każdy mój krok krył w sobie hieroglif. Kiedy go ujawnię, moi druhowie wreszcie ujrzą Tajemnicę. Potem wystarczy ją rozszyfrować, a rozwiązanie może być Kluczem, za którym kryje się Posłannictwo, które wtajemniczonemu, i tylko jemu, powie jasno, jaka jest natura Zagadki.

Zagadkę od jej odczytania dzieli mały krok i ukaże się jaśniejący hierogram, który pozwoli wyklarować modlitwę pytającą. Później nikomu nie pozostaną nieznane Arkana, zasłona, całun, egipski dywan zakrywający Pentakl. I stąd ku światłu, by obwieścić Zakryty Sens Pentaklu, Kabbalistyczne Pytanie, na które niewielu tylko odpowiada, by wypowiedzieć głosem grzmotu, jaki jest Znak Niezgåłębiony. Pochyliwszy się nad nim, Trzydziestu Sześciu będzie musiało dać odpowiedź, wyjaśnienie Runicznego Znak, a jego sens znany jest tylko synom Hermesa i im to będzie dana Pieczęć Szyderstwa. Maską z rysującym się za nią obliczem, które próbują obnażyć, Mistycznym Rebusem, Wzniosłym Anagramem...

– Sator Arepo! – krzyczę głosem, który upiora wprawiłby w drżenie.

I porzucając koło, które trzymał tak pewnie w swoich rękach mordercy, Sator Arepo pojawia się skwapliwie na mój rozkaz. Poznając go, już zresztą podejrzewałem, kim jest. To Luciano, kaleki ekspedytor, którego Nieznani Zwierzchnicy wyznaczyli na wykonawcę mojego haniebnego i krwawego zadania.

– Sator Arepo – spytałem szyderczo – czy wiesz, jaka jest końcowa odpowiedź skryta za Wzniosłym Anagramem?

– Nie, hrabio – odparł nierozważnie – i czekam na słowa z ust twoich.

Piekielny śmiech pojawił się na moim bladym obliczu i poniósł się echem ponad starożytnymi sklepieniami.

– Marzycielu! Tylko prawdziwy wtajemniczony wie, jak tego nie wiedzieć!

– Tak, panie – odpowiedział tępo kaleki ekspedytor. – Jak sobie życzysz. Jam gotów.

Jesteśmy w plugawej norze w okolicy Porte de Clignancourt. Dzisiejszego wieczoru muszę ukarać ciebie, i to jako pierwszą, ciebie, która wprowadziłaś mnie w szlachetną sztukę zbrodni. Ciebie, która udajesz, że mnie kochasz, i co gorsza w to wierzysz, i wyzutych z imion wrogów, z którymi spędzisz weekend. Luciano, niewczesny świadek moich upokorzeń, wesprze mnie swym ramieniem – jedynym – a potem umrze.

Nora z włazem w posadzce, nad czymś w rodzaju jaru, *réservoir*, podziemnego jelita używanego od niepamiętnych czasów do magazynowania towarów z kontrabandy, niepokojąco wilgotnego, gdyż mającego połączenie z paryskimi ściekami, labiryntu zbrodni; na starych ścianach skropliły się niewymowne wyziewy i wystarczy za pomocą Luciana, wiernego sługi, gdy trzeba czynić zło, przebić otwór w ścianie, by wdarła się woda, zatopiła suterrenę, a runą i tak grożące zawaleniem mury, dokona się połączenie *réservoir* z resztą kanałów, teraz unoszą się w nich gnijące szczury, czarna powierzchnia widoczna przez właz stała się przedsiódkiem nocnej zguby: gdzieś daleko Sekwana, potem morze...

Z włazu zwiesza się drabinka sznurowa umocowana do górnego skraju i na niej tuż nad wodą sadowi się Luciano z nożem. Jedną ręką zaciśniętą na pierwszym szczebelku, drugą na sztylcie, trzecia gotowa pochwycić ofiarę. Teraz czekaj i milcz – mówię mu – zobaczysz.

Przekonałem cię, byś usunęła wszystkich mężczyzn z bliznami – odejdz ze mną, bądź moja na zawsze, pozbądźmy się tych natarczywych istot na zawsze,

wiem dobrze, że ich nie kochasz, sama powiedziałaś, zostaniemy we dwoje, ty i ja, i podziemne prądy.

Weszłaś teraz, wzniosła jak westalka, sztywna i kłótliva jak jędza – o piekielna wizjo, która wstrząsasz moimi stuletnimi łądzwiami i kąsaszą mą pierś pożądaniem, o zachwycająca Mulatko, narzędzie mojej zguby. Więc rozdarłem koszulę z delikatnego batystu, która zdobiła mą pierś, i paznokciami wyoruję w niej krwawe bruzdy, i czuję, jak straszny żar pali mi wargi zimne niczym dłonie węża. Głuchy ryk dobywa się z najmroczniejszych pieczar mojej duszy i wrywa się z kruzganków moich zwierzęcych zębów – ja, centaur wyrzygany z Tartaru – i prawie nie słyhać, jak leci salamandra, tłumię więc ryk i z przerażającym uśmiechem podchodzę do ciebie.

– Moja ukochana, moja Sophio – mówię z kocim wdziękiem, z jakim umie przemawiać tylko tajny szef Ochrony. – Chodź, czekałem na ciebie, zaszyjmy się w ciemności i czekaj.

A ty roześmiałaś się, kłótliva, oślizgła, z góry smakując spadek albo łup, rękopis *Protokołów*, który można by sprzedać carowi... Jakże dobrze umiesz skrywać za tą anielską twarzą swoją demoniczną naturę, ty, cnotliwie otulona w androginiczne dzinsy, prawie przezroczystą obcisłą bluzkę, która skrywa jednak haniebną lilię wypaloną na twojej białej skórze przez kata z Lille!

Zjawił się pierwszy głupiec, którego zwabiłem w pułapkę. Pod peleryną, w którą się owinął, z trudem rozróżniam rysy twarzy, ale pokazuje mi znak templariuszy z Provins. To Soapes, najemny morderca grupy z Tomaru.

– Hrabio – powiada – nadeszła chwila. Zbyt już długo byliśmy rozproszeni po świecie. Masz, panie, ostatni fragment posłannictwa, jam ten, który pojawia się na początku Wielkiej Gry. Ale to inna historia. Połączmy nasze siły, a inni...

Kończę zdanie za niego:

– ...niech idą do diabła. Idę, bracie, na środku izby stoi szkatuła, a w niej to, czego szukasz od wielu wieków. Nie lękaj się ciemności, nie jest ci groźbą, lecz ochroną.

Głupiec idzie prawie po omacku. Posępny plusk. Wpadł do włazu, tuż nad wodą Luciano chwyta go i wbija ostrze, błyskawicznie poderżnięte gardło, bulgotanie krwi miesza się z kipieniem chtonicznej cieczy.

Stukanie do drzwi.

– To ty, Disraeli?

– Tak – odpowiada nieznajomy, w którym moi czytelnicy bez trudu rozpoznają wielkiego mistrza grupy angielskiej, teraz na szczytach władzy, ale ciągle nienasyconego.

Mówi:

– *My Lord, it is useless to deny, because it is impossible to conceal, that a great part of Europe is covered with a network of these secret societies, just as the superficies of the earth is now being covered with railroads...*

– Powiedziałeś to już w Izbie Gmin czternastego lipca tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego roku, nic nie ujdzie mojej uwagi. Przystąpmy do sedna



sprawy.

Baconowski Żyd klnie przez zęby. Ciągnie:

– Jest ich za dużo. Z trzydziestu sześciu niewidzialnych zrobiło się już trzystu sześćdziesięciu. Pomnóż przez dwa, a otrzymasz siedemset dwadzieścia. Odej-  
mij sto dwadzieścia lat, po których upływie otwierają się drzwi, i masz sześćset,  
jak w szarzy pod Bałakławą.

Istny szatan, tajemna nauka liczb nie ma dla niego tajemnic.

– A więc?

– My mamy złoto, ty mapę. Połączmy nasze siły, a będziemy niezwyciężeni.  
Gestem majestatu wskazuję mu upiorną szkatułę, która oślepienemu przez  
żądzę zda się majaczyć w mroku. Idzie, wpada.

Złowrogi błysk ostrza Luciana, mimo ciemności widzę charkot połyskujący  
w niemej żrenicy Anglika. Sprawiedliwości stało się zadość.

Czekam na trzeciego, człowieka francuskich różokrzyżowców, Montfaucona  
de Villars, gotowego zdradzić, już mnie o tym uprzedzono, tajemnice swojej sek-  
ty.

– Jestem hrabią de Gabalis – przedstawia się, fałszywy i próżny.

Niewiele słów muszę szepnąć, by skłonić go do wyruszenia w przeznaczoną  
mu drogę. Wpada i spragniony krwi Luciano dokonuje swego dzieła.

Ty uśmiechasz się, stojąc obok mnie w mroku, i mówisz, że jesteś moja, więc  
twoją stanie się ma tajemnica. Łudź się, łudź, posępna karykaturko Szechiny.  
Tak, jestem twoim Simone, poczekaj, nie wiesz jeszcze najlepszego. A kiedy się  
tego dowiesz, przestaniesz wiedzieć.

Cóż zostało tu do dodania? Po kolei przychodzili następni.

Ojciec Bresciani poinformował mnie, że iluminatów niemieckich reprezento-  
wać będzie Babette z Interlaken, mająca pełnomocnictwa od Weishaupta, wielka  
dziewica helweckiego komunizmu, która wyrosła wśród hulanki, rabunków  
i krwi, biegła w wyluskiwaniu niezgłębionych tajemnic, w otwieraniu dokumentów  
bez naruszania pieczęci, w podawaniu trucizn zgodnie z rozkazami otrzymywanymi  
od swojej sekty.

Wkroczyła, młody agatodaimon zbrodni, otulona w futro białego niedźwie-  
dzia, długie jasne włosy spływały spod zawadiackiej futrzanej czapki, spojrzenie  
wyniosłe, twarz pełna ironii. Używając tego samego co zawsze podstęp, skiero-  
wałem ją ku zgubie.

O ironio języka, tego daru, w który natura wyposażyła nas, byśmy mogli prze-  
milczeć sekrety naszych umysłów! Iluminatka pada ofiarą Mroku. Słyszę, jak blu-  
zga straszliwymi bluźnierstwami, kiedy Luciano trzykroć obraca nóż w jej sercu.  
*Déjà vu, déjà vu...*

Kolej na Nilusa, który wierzył przez chwilę, że będzie miał i carową, i mapę.  
Podły, rozpustny mnichu, chciałeś Antychrysta? Już go znalazłeś, ale zignoro-  
wałeś. I kieruję go ślepego, obsypując tysiącami mistycznych pochlebstw, do  
czekającej nań haniebnej zasadzki. Luciano tnie mu pierś ranami w kształcie  
krzyża i Nilus pogrąża się w wiecznym śnie.

Muszę przewyciężyć pradawną nieufność ostatniego Mędrca Syjonu, który uważa się za Ahaswera, Żyda Wiecznego Tułacza, nieśmiertelnego jak ja. Jest podejrzliwy, uśmiecha się obleśnie, na jego brodzie jeszcze nie zaschła krew małych chrześcijańskich istot, które zgodnie ze zwyczajem morduje się na praskim cmentarzu. Wie, że jestem Raczkowskim, muszę go przechytryć. Daję mu do zrozumienia, że w szkatule jest nie tylko mapa, ale także surowe diamenty, które trzeba oszlifować. Wiem, jaką fascynację budzą nieoszlifowane diamenty w tej bandzie bogobójców. Idzie ku swemu przeznaczeniu, pchany przez zachłanność, i do swego Boga, okrutny i mściwy, bluźniąc w chwili śmierci, przebity jak Hiram, a trudno mu bluźnić, nie może bowiem wypowiedzieć imienia swego Boga.

Łudziłem się, myśląc, że doprowadziłem Wielkie Dzieło do końca.

Jakby pod uderzeniem wichru raz jeszcze otwierają się drzwi nory i ukazują się postać o sinej twarzy, z rękami sztywno i pobożnie przyciśniętymi do piersi, z rozbieganym wzrokiem, niemogąca ukryć swojej natury, gdyż ma na sobie czarną sutannę swojego czarnego towarzystwa. Syn Loyoli!

– Crétineau! – krzyczę, oszukany.

Podnosi dłoń w obłudnym geście błogosławieństwa.

– Nie jestem tym, którym jestem – oznajmia z uśmiechem, pozbawionym już śladu człowieczeństwa.

To prawda, taką technikę zawsze stosowali. Czasem sami przed sobą zapierają się swego istnienia, czasem głoszą potęgę swojego zakonu, aby zastraszyć ludzi gnuśnych.

– Jesteśmy zawsze czymś innym, niż myślicie wy, synowie Beliala (powiada teraz ten uwodziciel władców). Ale ty, o Saint-Germain...

– Skąd wiesz, kim jestem naprawdę? – pytam, zbity z pantaląku.

W jego uśmiechu czai się groźba.

– Znałeś mnie w innych czasach, kiedy starałeś się odciągnąć mnie od wezglowia Postela, kiedy pod imieniem opata d'Herblay poprowadziłem cię, byś dokonał jednego ze swoich wcieleń w samym środku Bastylii (och, czuję jeszcze na twarzy żelazną maskę, na którą skazało mnie towarzystwo przy współudziale Colbert!), znałeś mnie, kiedy szpiegowałem twoje tajne spotkania z d'Holbachem i Condorcetem...

– Rodin! – wykrzyknąłem jakby rażony gromem.

– Tak, Rodin, tajny generał jezuitów Rodin, którego nie zwabisz w pułapkę władzy, jak uczyniłeś z innymi oszukanymi. Wiedz, o Saint-Germain, że nie ma takiego przestępstwa, zgubnego wybiegu, zbrodniczej pułapki, której nie wymyślilibyśmy wcześniej niż ty ku większej chwale naszego Boga. On bowiem usprawiedliwia środki! Ileż koronowanych głów straciliśmy podczas nocy, po której nie ma świtu, w zasadzkach znacznie subtelniejszych, byleby osiągnąć panowanie nad światem. A teraz ty chcesz nam przeszkodzić, abyśmy, będąc o krok od celu, nie położyli naszych drapieżnych rąk na tajemnicy, która od pięciu wieków rządzi historią świata?

Rodin, wypowiadając te słowa, stał się przerażający. Wszelkie instynkty krwiożerczej, świętokradczej, obmierzłej ambicji, które ujawniły się u renesansowych papieży, pokazały się teraz na czole syna Ignacego. Widziałem jasno: niezaspokojone pragnienie władania burzyło jego nieczystą krew, oblał go pałący pot, wokół niego rozszedł się jakiś mdlący wyziew.

Jak uderzyć tego ostatniego wroga? Nieoczekiwanie pojawiła się intuicja, mogąca być pokarmem dla tych tylko, przed którymi od wielu wieków dusza ludzka nie ma nieprzeniknionych tajników.

– Tylko spojrz – powiedziałem. – Ja też jestem Tygrysem.

Jednym ruchem wypchnąłem cię na środek, a potem zdałem z ciebie koszulkę, rozerwałem obcisły pancerz kryjący powaby twojego bursztynowego brzucha. Teraz ty w bladym świetle księżycy padającym przez uchylone drzwi prostujesz się, piękniejsza od węża, który uwiódł Adama, wyniosła i lubieżna, dziewica i dziwka, odziana tylko w moc swojego ciała, albowiem niewiasta naga jest niewiastą zbrojną.

Egipski klaft opadł na twoje gęste włosy, tak czarne, że aż granatowe, pierś falowała pod lekkim muślinem. Wokół małego czoła, zaokrąglonego i upartego, owijał się złoty ureus o szmaragdowych oczach, rażąc z twojej głowy troistym rubinowym językiem. Och, ta twoja suknia z czarnej gazy o srebrzystych błyskach, ściągnięta szarfą haftowaną posępnyimi irysami, cała w czarnych perłach. Twój wysunięty wzgórek łonowy – wygolony, żebyś w oczach swoich kochanków miała nagość posągu! Sutki, słodko wypieszczone pędzelkiem przez twoją niewolnicę z Malabaru, zabarwione były tym samym karminem, który nadawał krwistą czerwień wargom, wabiącym niby otwarta rana.

Rodin dyszy ciężko. Długa abstynencja, życie spędzone na snach o potędze, zrodziły w nim pożądanie tym trudniejsze do opanowania. Stojąc przed tą piękną i bezwstydną królową o oczach czarnych jak oczy diabła, o okrągłych plecach, pachnących włosach, skórze delikatnej i białej, poczuł, że przenika go nadzieja nieznanych pieszczot, niewypowiedzianych rozkoszy, i całe jego ciało przebiegł dreszcz, jak ciało leśnego boga podglądającego obnażoną nimfę, która przegląda się w wodzie, co zgubiła już Narcyza. Odgadłem, patrząc pod światło, grymas nie do opanowania. Rodin jest teraz jak skamieniała Meduza wryta w pragnieniu stłumionej męskości i oto u schyłku życia obsesyjny płomień lubieżności sprawia, że całe jego ciało skręca się, jest jak napięty łuk, napięty tak mocno, że poddaje się i trzaska.

Nagle pada na ziemię, płaszcząc się przed tą zjawą, z ręką niby szpon, wyciągającą się ku źródłu eliksiru.

– Och – rzęzi – jaka jesteś piękna, och, te maleńkie ząbki małej wilczycy, które tak lśnią, kiedy rozchyłasz czerwone, pełne wargi... Och, twoje wielkie szmaragdowe oczy, które raz rzucają iskry, raz obumierają z tęsknoty. Och, demonie rozkoszy.

Nie myli się, nędznik, kiedy tak poruszasz biodrami ujętymi w niebieskawą tkaninę i wysuwasz wzgórek łonowy, by doprowadzić flipper na skraj obłądu.

– Och, zjawo! – wykrzykuje Rodin. – Bądź moją tylko na chwilę, daj chwilę rozkoszy w nagrodę za całe życie spędzone na służbie zazdrosnego bóstwa,

ukój błyskiem lubieżności wieczność w ogniu, w który oto twoja zjawa pcha mnie i strąca. Błagam, muśnij wargami moją twarz, o Antineo, Mario Magdaleno, ty, której pragnąłem w obliczach świętych porażonych ekstazą, która paliła mnie żądzą, kiedy obłudnie adorowałem dziewicze oblicza, o Pani, jesteś piękna jak słońce, biała jak księżyc, i oto zapieram się i Boga, i świętych, i samego papieża, co więcej, zapieram się Loyoli i zbrodniczej przysięgi łączącej mnie z moim towarzystwem, błagam o jeden pocałunek, a później mogę już umrzeć.

Posunął się jeszcze o krok na zeszywniałych kolanach, z sutanną podkasaną na łądźwie, ręką jeszcze bardziej wyciągniętą ku tej nieosiągalnej szczęśliwości. I nagle runął do tyłu, i wydawało się, że oczy wyjdą mu z orbit. Straszliwe konwulsje zniekształciły jego odczłowieczone rysy, podobne do tych, jakie ogiwo Volty narzuca twarzom nieboszczyków. Sinawa piana zabarwiła czerwono jego wargi, z których dobył się głos świszczący i zdławiony jak głos cierpiącego na wodowstręt, bo w fazie paroksyzmu, trafnie zauważa Charcot, ta straszliwa choroba, satyriasis, kara za lubieżność, przybiera takie same formy jak wściekliwość psów.

To już koniec, Rodin wybuchła bezrozumnym śmiechem. Po czym pada na ziemię niby żywy obraz *rigor mortis*.

W jednej chwili oszalał i umarł potępiony.

Ograniczyłem się do tego, że przesunąłem ciało w stronę włazu, ostrożnie, by nie poplamieć wysokich, lakierowanych butów o wytłuszczoną sutannę mojego ostatniego wroga.

Niepotrzebny zabójczy sztylet Luciana, ale morderca nie panuje już nad gestami, powolny zgubnemu przymusowi powtarzania. Wybuchła śmiechem i sztyletuje wyzbyte życia ciało.

Podchodzę teraz z tobą na skraj włazu, gładzę twoją szyję i twój kark, a kiedy ty prężysz się i smakujesz scenę, pytam:

– Czy jesteś zadowolona ze swojego Rocambole'a, moja niedostępna miłości?

I kiedy potakujesz lubieżnie i śmiejesz się szyderczo, tocząc w pustce ślinę, zginaam nieznacznie palec, co robisz, ukochany, nic, Sophio, zabijam cię, jestem teraz Józefem Balsamo i już cię nie potrzebuję.

Kochanka archontów oddaje ducha, wali się do wody. Luciano zatwierdza ostrzem werdykt mojej popędliwej ręki, a ja mówię:

– Teraz możesz stamtąd wyjść, wierny druhu, moja potępiona duszo.

Kiedy wychodzi, zwrócony do mnie plecami, wbijam mu między łopatki cienki sztylet o trójkątnym ostrzu, które prawie nie zostawia blizny. Wali się, zamykam włącz i opuszczam norę, podczas gdy osiem ciał spływa ku Châtelet kanałami, które ja tylko znam.

Wracam do mojego mieszkania przy Faubourg Saint-Honoré i patrzę w lustro. Oto – powiadam sam sobie – jestem Królem Świata. Z mojej wydrażonej iglicy panuję nad uniwersum. Chwilami kręci mi się w głowie od nadmiaru władzy. Jestem panem energii. Jestem pijany potęgą.

Niestety, już wkrótce życie wzięło odwet. Kilka miesięcy później,

w najgłębszej krypcie zamku w Tomarze, ja, powiernik tajemnicy podziemnych prądów i pan sześciu miejsc dawnych Trzydziestu Sześciu Niewidzialnych, ostatni z ostatnich templariuszy i Nieznany Zwierzchnik wszystkich Nieznanych Zwierzchników, miałem zaręczyć się z Cecilią, androginiczną istotą o lodowatych oczach, od której nic mnie już nie oddziela. Odzyskałem ją po wiekach, po tym, jak odebrał mi ją człowiek z saksofonem. Idzie teraz, utrzymując równowagę, po oparciu ławeczki, błękitna i jasnowłosa, i nie wiem jeszcze, co ma pod zdo-biającym ją zwiewnym tiulem.

Kaplica jest wydrążona w skale, nad ołtarzem znajduje się niepokojące płótno przedstawiające męki potępionych w trzewiach piekieł. Posępni mnisi w kapturach przepuszczają mnie, jeszcze nie czuję niepokoju, zafascynowany iberyjską fantazją...

Ale, o zgrozo, płótno unosi się i spoza niego, spoza tego cudownego dzieła jakiegoś Arcimbolda ze zbójeckiej spelunki, ukazuje się druga kaplica, podobna do tej, w której jestem, i przed drugim ołtarzem klęczy Cecilia, a obok niej – zimny pot perli mi się na czole, włosy stają dęba na głowie – któż pokazuje szyderczo swoją bliznę? To Tamten, prawdziwy Józef Balsamo, którego ktoś wypuścił z lochu w San Leo!

A ja? W tym właśnie momencie najstarszy z mnichów unosi kaptur i rozpoznaje odrażający uśmiech Luciana, który nie wiadomo jak uniknął mojego sztyletu, ścieków i przeszedł oto do moich wrogów, spragniony sprawiedliwej zemsty.

Mnisi zrzucili habity i ukazali się w ukrytych do tej pory zbrojach, z krzyżami płomienistymi na białych jak śnieg płaszczach. To templariusze z Provins!

Chwytają mnie, zmuszają do odwrócenia głowy i widzę teraz za sobą kata z dwoma oszpeconymi pomocnikami, wpychają mnie w rodzaj garoty i rozpalmionym żelazem piętnują jako wieczną ofiarę strażnika więziennego, haniebny uśmiech Bafometa odciska się na zawsze na moim ramieniu – teraz już rozumiem – abym mógł zastąpić Balsama w San Leo, a więc zająć miejsce wyznaczone mi od wieczności.

Ale rozpoznają mnie – mówię sobie – i ponieważ wszyscy teraz sądzą, że jestem nim, tym potępionym, ktoś przecież przybędzie mi na ratunek – w każdym razie moi współnicy – nie można podmienić więźnia tak, by nikt się nie spostrzegł, minęły czasy Żelaznej Maski... Złudzenia! W nagłym błysku pojmuję, kiedy kat skłania moją głowę do miedzianej misy, z której wzbijają się zielonkawe opary... Witriol!

Zakrywają mi szmatą oczy, a twarz wpychają do żrącej cieczy, ból nie do zniesienia, przejmujący, skóra na moich policzkach, na nosie, brodzie ściąga się, łuszczy; wystarczy chwila i kiedy unoszą mi głowę, ciągnąc za włosy, moja twarz jest nie do poznania, tabes, ospa, niewypowiedziana nicość, hymn obrzydzenia, wrócę do lochu tak, jak wraca mnóstwo uciekinierów, którzy mieli dość odwagi, by oszpecić się raczej niż dać się ująć.

Ach! – krzyczę pokonany i, jak twierdzi narrator, jedno słowo dobywa się z moich zgniętych warg, westchnienie, okrzyk nadziei: Odkupienie!

Ale odkupienie od czego? Stary Rocambole'u, dobrze wiedziałem, że nie powinienem starać się o rolę bohatera! Zostałeś ukarany, i to swoją własną sztuką!

Upokarzałeś opisujących złudę, a teraz – sam widzisz – piszesz, wykorzystując maszynę jako alibi. Łudzisz się, mniemając, że jesteś widzem, gdyż odczytujesz siebie na ekranie, jakby te słowa należały do kogoś innego, lecz wpadłeś w pułapkę i chcesz zostawić ślady na piasku. Ośmieliłeś się zmienić tekst romansu świata, a romans świata wciąga cię w swój wątek i oplata intrygą, o której nie ty decydowałeś.

Lepiej byłoby, gdybyś został na swoich wyspach, Jimie Konopiarzu, a ona myślałaby, że nie żyjesz.

---

---

Partia narodowosocjalistyczna nie tolerowała tajnych stowarzyszeń, gdyż sama była tajnym stowarzyszeniem i miała swojego wielkiego mistrza, swoją rasistowską gnozę, swoje obrzędy i swoje stowarzyszenia.

René Alleau, *Les sources occultes du nazisme*,  
Grasset, Paris 1969, s. 214

Zdaje mi się, że właśnie w tym okresie Agliè wymknął się nam spod kontroli. Tego wyrażenia użył Belbo, wypowiadając je tonem przesadnie obojętnym. Ja znowu przypisałem to za zdrości. Wpływ Agliègo na Lorenzè był jego obsesją, z którą borykał się w milczeniu, głośno kpiąc natomiast z wpływu, jaki wywierał Agliè na Garamonda.

Może była to także nasza wina. Agliè zaczął go czarować prawie rok wcześniej, od czasu festynu alchemicznego w Piemencie. Garamond powierzył mu kartotekę NWA, aby wyłowił nowe ofiary, które warto byłoby nakłonić do utuczenia katalogu Izydy Obnażonej, naradzał się z nim przed podjęciem każdej decyzji, z całą pewnością wręczał mu co miesiąc czek. Gudrun, która wyruszała co jakiś czas na wyprawę odkrywczą w koniec korytarza, za szklane drzwi prowadzące do królestwa przytłumionych dźwięków Manuzia, mówiła nam głosem pełnym troski, że Agliè praktycznie zajął gabinet pani Grazii, dyktował jej listy, prowadził nowych gości do gabinetu Garamonda, jednym słowem - i w tym miejscu zawiść sprawiała, że Gudrun gubiła jeszcze więcej samogłosek - odgrywał rolę jej szefa. Naprawdę mogliśmy zadać sobie pytanie, dlaczego Agliè spędza całe godziny nad kartoteką Manuzia. Miał przecież dosyć czasu, żeby wyszukać NWA, którzy daliby się namówić na napisanie książek dla

Izydy Obnażonej. Mimo to nadal pisał, nawiązywał kontakty, wzywał. Ale w gruncie rzeczy sami namawialiśmy go do wyrwania się spod naszej kurateli.

Nie miał nic przeciwko temu Belbo. Im więcej znaczył Agliè przy ulicy Marchese Gualdi, tym mniej go było przy Sincero Renato, a więc tym mniejsza możliwość, że jedna z nieoczekiwanych wizyt Lorenzy Pellegrini – przy której coraz bardziej przejmująco promieniał, nie próbując już nawet ukryć ekscytacji – zostanie zakłócona nagłym wtargnięciem „Simone”.

Nie miałem nic przeciwko temu ja, gdyż odnosiłem się już obojętnie do Izydy Obnażonej, a coraz bardziej wciągała mnie historia magii. Sądziłem, że nauczyłem się już od diabolistów wszystkiego, czego mogłem się nauczyć, i kontakty (oraz umowy) z nowymi autorami pozostawiłem Aglièmu.

Nie miał nic przeciwko temu Diotallevi, w tym sensie, że robił wrażenie, jakby coraz mniej zależało mu na świecie. Kiedy teraz o tym myślę, widzę, że chudł niepokojąco i że nieraz zastawałem go w gabinecie pochylonego nad maszynopisem, ale ze spojrzeniem zatopionym w pustkę, i miałem wrażenie, iż pióro zaraz wyslizgnie mu się z dłoni. Nie sypiał, był wycieńczony.

Ale był jeszcze jeden powód, dla którego godziliśmy się z tym, że Agliè pokazywał się coraz rzadziej, oddawał tylko odrzucone maszynopisy i znikał w głębi korytarza. W gruncie rzeczy woleliśmy, żeby nie słuchał naszych rozmów. Gdyby zapytano nas dlaczego, odpowiedzielibyśmy, że to sprawa wstydlivosti albo delikatności, bo przecież parodiowaliśmy metafizykę, w którą on w ten czy inny sposób wierzył. Chodziło jednak o nieufność, stopniowo bowiem przyswoiliśmy



sobie naturalną powściągliwość ludzi, którzy mają świadomość, iż dysponują tajemnicą, i krok po kroku spychaliśmy Agliègo w ciżbę profanów, jako że my trzej powoli, coraz mniej uśmiechnięci, poznawaliśmy przecież to, co sami wymyśliliśmy. Z drugiej strony, jak powiedział Diotallevi w chwili dobrego humoru, teraz, kiedy stworzyliśmy prawdziwego Saint-Germaina, nie potrzebowaliśmy Saint-Germaina rzekomego.

Agliè chyba nie brał nam za złe tej nieprzystępności. Pozdrowiał nas z wielką uprzejmością i zniknął. Z uprzejmością, która bliska była wyniosłości.

Pewnego poniedziałkowego ranka przyszedłem późno do biura i niecierpliwie czekający Belbo zaprosił mnie do siebie, wzywając także Diotalleviego.

- Wielkie nowiny - oznajmił.

Miał już zacząć relację, kiedy zjawiała się Lorenza. Belbo był rozdarty między radością z tej wizyty a chęcią opowiedzenia nam o swoich odkryciach. Zaraz potem usłyszeliśmy pukanie do drzwi i ukazał się Agliè.

- Nie chciałbym państwu przeszkadzać, błagam, proszę nie wstawać. Nie mam prawa zakłócać tego posiedzenia. Chciałem jedynie powiedzieć naszej drogiej Lorenzy, że jestem u pana Garamonda. I oczekuję, że będę miał przynajmniej prawo zaprosić ją w południe na sherry do mojego gabinetu.

Do swojego gabinetu. Tym razem Belbo stracił panowanie nad sobą. Poczekał, aż Agliè wyjdzie, i rzekł przez zaciśnięte zęby:

- *Ma gavte la nata.*

Lorenza, która machała jeszcze ręką Aglièmu w wesołym

i koleżeńskim geście, zapytała, co to znaczy.

- To turyńskie. Oznacza: wyjmij korek albo, jeśli wolisz, zechce pani wyjąć korek. Kiedy ma się do czynienia z osobą wyniosłą i zadzierającą nosa, można przypuszczać, że jest ona pełna pychy i że przy tym nieumiarkowanym szacunku dla samej siebie ciało może się utrzymać w nadętym stanie jedynie dzięki wetkniętemu między zwieracze korkowi, który zabezpiecza cały ten aerostatyczny majestat. Gdy więc zachęca się danego osobnika do usunięcia owej zatyczki, żąda się od niego, by sam z siebie wypuścił powietrze, czemu nierzadko towarzyszy przenikliwy świst i redukcja pozostałej powłoki zewnętrznej do żalostnego stanu wynędzniałego i bezkrwistego wizerunku upiora poprzedniej dostojności.

- Nie sądziłam, że możesz być taki wulgarny.

- Teraz już wiesz.

Lorenza wyszła, udając irytację. Wiedziałem, że Belbo przeżywa gorsze cierpienia; wybuch gniewu ukoiłby go, ale taki pokaz złego humoru sugerował, że także przejawy namiętności są u Lorenzy zawsze teatralne.

I chyba dlatego powiedział zaraz stanowczo:

- No, dość tego.

Miał na myśli to, że czas już wziąć się do Planu, popracować poważnie.

- Nie chce mi się - oznajmił Diotallevi. - Źle się czuję. Coś mnie tu boli. - Dotknął brzucha. - Pewnie nieżyt żołądka.

- Wyobraź sobie - rzekł Belbo - że ja nie mam żadnego nieżyty... Od czego u ciebie nieżyt? Od wody mineralnej?

- Być może - odparł z niewymuszonym uśmiechem Diotallevi. - Wczoraj wieczorem przebrałem miarę. Przywykłem do wody „Fiuggi”, a połaszczyłem się na „San Pellegrino”.

- Musisz uważać, takie wysoki mogą się dla ciebie źle skończyć. No, do roboty, od dwóch dni umieram z pragnienia, żeby wam wszystko opowiedzieć. Wreszcie wiem, dlaczego w ciągu tylu wieków Trzydziestu Sześciu Niewidzialnych nie mogło określić kształtu mapy. John Dee mylił się, geografę trzeba napisać na nowo. Żyjemy wewnątrz pustej w środku Ziemi, otoczeni przez ziemską powierzchnię. Hitler to rozumiał.

Nazizm oznacza moment, w którym duch magii zawładnął dźwigniami postępu materialnego. Lenin powiedział, że komunizm to władza rad plus elektryfikacja. Hitleryzm to w pewnym sensie zmałpienie plus dywizje pancerne.

Pauwels et Bergier, *Le matin des magiciens*,  
Gallimard, Paris 1960, 2, VII

Belbowi udało się wprowadzić do Planu nawet Hitlera.

- Wszystko mam na piśmie, papier nie kłamie. Dowiedziono, że twórcy nazizmu byli związani z niemieckim ruchem neotemplarnym.

- Przesada.

- Niczego nie zmyślam, Casaubon, tym razem niczego nie zmyślam!

- Spokojnie, a kiedy to zmyślaliśmy? Zawsze punktem wyjścia były dla nas obiektywne fakty, a w każdym razie informacje ogólnodostępne.

- Tak jest i tym razem. W tysiąc dziewięćset dwunastym roku powstaje *Germanenorden* broniący ariozofii, czyli filozofii wyższości aryjskiej. W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku niejaki baron von Sebottendorff tworzy pod nazwą Thule Gesellschaft ekspozyturę tego ruchu, tajne stowarzyszenie, entą odmianę Ścisłej Obserwy Templarnej, ale z silnymi rysami rasowymi, pangermańskimi, neoaryjskimi. W trzydziestym trzecim tenże Sebottendorff napisze, że zasiał to, co Hitler później wyhodował. A z drugiej strony właśnie w kręgach Thule Gesellschaft pojawia się swastyka. I kto zapisuje się natychmiast do Thule? Rudolf Hess, potępiona dusza Hitlera! A dalej Rosenberg! I sam Hitler! Poza wszystkim, jak czytaliście pewnie w prasie, Hess po dzień dzisiejszy zajmuje się

w Spandau naukami ezoterycznymi. Von Sebottendorff pisze w dwudziestym czwartym broszurę poświęconą alchemii i uważa, że pierwsze doświadczenia z rozszczepieniem atomu wskazują na to, iż Wielkie Dzieło nie jest ułudą. I pisze powieść o różokrzyżowcach! Na dodatek będzie kierował czasopismem „Astrologische Rundschau”, a Trevor-Roper napisał, że nazistowscy dostojnicy, z Hitlerem na czele, nie kiwnęli palcem w żadnej sprawie, dopóki nie przygotowano im horoskopu. Jak się zdaje, w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku sięgnięto po pomoc grupy mediów, by dojść do tego, gdzie jest ukryty Mussolini. Jednym słowem, cała elita nazistowska ma powiązania z niemieckim okultyzmem.

Zdawało się, że Belbo zapomniał o incydencie z Lorenzą, a ja sekundowałem mu, w trosce o przyspieszenie rekonstrukcji.

- W gruncie rzeczy możemy rozważyć w tym świetle hipnotyzujący wpływ Hitlera na tłumy. Pod względem fizycznym nie prezentował się okazale, miał piskliwy głos, jak więc doprowadzał ludzi do szaleństwa? Musiał mieć zdolności mediumiczne. Prawdopodobnie jakiś druid z tamtych stron pouczył go, jak wchodzić w kontakt z podziemnymi prądami. Także on był sworzniem, biologicznym menhirem. Przekazywał energię prądów wiernym zgromadzonym na stadionie w Norymberdze. Przez jakiś czas wszystko szło gładko, później musiały mu się wyczerpać baterie.

Do całego świata: oświadczam, że Ziemia jest pusta i zamieszкана od środka, że zawiera w sobie pewną liczbę stałych sfer koncentrycznych, umieszczonych jedna w drugiej, i że jest otwarta na dwóch biegunach na szerokość dwunastu albo szesnastu stopni.

J. Cleves Symmes, kapitan piechoty, 10 kwietnia 1818,  
cyt. w: Sprague de Camp and Ley, *Lands Beyond*,  
Rinehart, New York 1952, X

- Cieszę się, Casaubon, gdyż niewinność serca podsunęła panu trafną intuicję. Jedyłą prawdziwą obsesją Hitlera były podziemne prądy. Uznawał teorię pustej w środku Ziemi, *Hohlweltlehre*.

- Chłopcy, idę, dręczy mnie niezbyt żołądka - powiedział Diotallevi.

- Poczekaj, teraz będzie najlepsze. Ziemia jest pusta w środku. My żyjemy nie na zewnątrz, na skorupie, ale wewnątrz, na wklęsłej wewnętrznej powierzchni. To, co uważamy za niebo, jest kłębem gazu, w którym gdzieś trafiają się jaśniejące strefy i który wypełnia wnętrze globu. Trzeba dostosować do tej sytuacji wszystkie pomiary astronomiczne. Niebo nie jest nieskończone, lecz zamknięte. Słońce, jeśli nawet istnieje, nie jest większe, niż widzimy. To tylko trzydziestocentymetrowa drobina tkwiąca w środku. Podejrzewali to już Grecy.

- To wszystko sam sobie wymyśliłeś - powiedział znużonym głosem Diotallevi.

- To wszystko nie ja sobie wymyśliłem! Z tym pomysłem wystąpił już w początkach dziewiętnastego wieku w Ameryce niejaki Symmes. Podjął tę myśl pod koniec wieku inny Amerykanin, Teed, który oparł się na eksperymentach alchemicz-

nych i lekturze Izajasza. A po pierwszej wojnie światowej teoria została udoskonalona przez pewnego Niemca, jakże on się nazywa, który utworzył właśnie ruch *Hohlweltlehre*, czyli, jak wskazuje sama nazwa, wspierający teorię pustej w środku Ziemi. Otóż rzecz w tym, że Hitler i jego ludzie uznali, iż ta teoria pasuje doskonale do ich zasad, a nawet (powiada się) niektóre pociski V1 chybiły celu, gdyż ich trajektorię wyliczono, wychodząc z założenia powierzchni wklęsłej, nie zaś wypukłej. Hitler doszedł do wniosku, że to on jest Królem Świata, a nazistowski sztab generalny to Nieznani Zwierzchnicy. A gdzie mieszka Król Świata? W środku, pod spodem, nie zaś na zewnątrz. Właśnie wychodząc od tej hipotezy, postanawia odwrócić cały porządek poszukiwań, koncepcję finalnej mapy, sposób interpretacji Wahadła! Trzeba na nowo skupić sześć grup i zacząć wszystkie rachunki na nowo. Pomyślcie tylko o logice hitlerowskich podbojów... Pierwsze żądanie to Gdańsk, chce bowiem zawładnąć tradycyjnymi siedzibami grupy niemieckiej. Potem zdobywa Paryż, zyskuje kontrolę nad Wahadłem i wieżą Eiffla, kontaktuje się z grupami synarchistycznymi i wprowadza je do rządu w Vichy. Następnie zapewnia sobie neutralność, a w istocie współpracę grupy portugalskiej. Czwarty cel jest oczywisty: Anglia, ale wiem, że sprawa nie jest taka prosta. Jednocześnie kampania afrykańska ma zapewnić dotarcie do Palestyny, lecz także w tym przypadku spotyka go niepowodzenie. Wówczas stawia na podporządkowanie sobie terenów paulicjańskich i dokonuje inwazji Bałkanów i Rosji. Kiedy stwierdza, że ma już w ręku cztery szóste Planu, wysyła Hessa z tajną misją do Anglii, mianowicie z propozycją przymierza. Ponieważ zwolennicy Bacona nie dają się wziąć na ha-

czyk, przychodzi mu do głowy, że tymi, którzy mają w rękach najważniejszy fragment tajemnicy, muszą być odwieczni wrogowie, Żydzi. I nie trzeba nawet szukać w Jerozolimie, gdzie zostało ich niewielu. Fragment posłannictwa grupy jerozolimskiej nie znajduje się zgoła w Palestynie, ale w rękach którejs z grup diaspory. Mamy wyjaśnienie holokaustu.

- W jakim sensie?

- Tylko pomyśl przez chwilę. Wyobraź sobie, że chcesz dokonać ludobójstwa...

- Proszę cię - przerwał Diotallevi - teraz przesadziłeś. Boli mnie brzuch, idę do domu.

- Poczekaj, na Boga; kiedy templariusze rozpruwali brzuchy Saracenom, bawiłeś się wyśmieniem, bo było to dawno, a teraz popisujesz się, moralizując jak byle inteligencik. My tutaj piszemy na nowo Historię, nie możemy się więc przed niczym cofnąć.

Poczuliśmy się zniewoleni jego energią i pozwoliliśmy mu kontynuować.

- W zagładzie Żydów uderzająca jest powolność zastosowanej metody, to, że najpierw byli głodzeni w obozach, potem rozbierano ich do naga, potem prysznic, potem staranne przechowywanie stosów trupów i archiwizacja odzieży, spisywanie dóbr osobistych... Nie byłaby to racjonalna metoda, gdyby chodziło wyłącznie o zabijanie. Staje się jednak racjonalna, kiedy chodzi o szukanie - szukanie tekstu, który jedna z milionów osób, jerozolimski przedstawiciel Trzydziestu Sześciu Niewidzialnych, przechowywała zaszyty w ubraniu, w ustach, wytatuowany na ciele... Jedynie szukaniem Planu można wyjaśnić niewytłumaczalną biurokrację ludobójstwa! Hitler szuka u Żydów jakiejś podpowiedzi, jakiegoś pomysłu,



który pozwoliłby mu, dzięki Wahadłu, wyznaczyć precyzyjnie punkt, gdzie pod wklęsłym sklepieniem wydrążonej Ziemi przecinają się podziemne prądy... owe prądy zaś, i zważcie, jak doskonała jest ta koncepcja, zlewają się w tym miejscu z prądami niebiańskimi, by w ten sposób teoria wydrążonej Ziemi zmaterializowała, jeśli można tak rzec, tysiącletnią intuicję hermetyczną. To, co pod, jest równe temu, co nad! Mistyczny Biegun tworzy jedno ze Środkiem Ziemi, tajny zamysł ciał niebieskich jest tym samym, co tajny zamysł mieszkańców podziemnej Agartty, nie istnieje już różnica między niebem a piekłem, a Graal, *lapis ex illis*, to *lapis ex coelis* w tym sensie, że jest Kamieniem Filozoficznym, który rodzi się jako pokrywa, kres, granica, chtoniczna macica niebios! I kiedy Hitler odnalazłby ten punkt w pustym środku Ziemi, stanowiący zarazem doskonały środek nieba, stałby się panem świata, którego Królem jest na mocy prawa rasy. Oto dlaczego do samego końca, jeszcze w głębi swojego bunkra, ma nadzieję wyznaczyć Mistyczny Biegun.

- Dość tego - oświadczył Diotallevi. - Poczułem się naprawdę źle. Boli mnie.

- Naprawdę źle się czuje, nie chodzi o spór ideologiczny - poparłem go.

Belbo chyba dopiero w tym momencie zrozumiał. Wstał i podtrzymał troskliwie przyjaciela, który opierał się o stół i wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć.

- Przepraszam, mój drogi, zagalopowałem się. Czy naprawdę nie przez to, co powiedziałem, poczułeś się źle? Od dwudziestu lat opowiadamy sobie takie kawałki, prawda? Ale ty naprawdę źle się poczułeś, może to rzeczywiście niezbyt żołądka. W takim razie pastylka merankolu i po wszystkim.

I termofor. Poczekaj, odprowadzę cię do domu, i najlepiej wezwij jednak lekarza, strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Diotallewi zapewnił, że może wziąć taksówkę i pojechać do domu sam, że jeszcze nie umiera. Wystarczy, że poleży. Obiecuje, że natychmiast wezwie lekarza. I wcale nie historia Belba tak nim wstrząsnęła, czuje się źle od wczorajszego wieczoru. Widać było, że Belbo poczuł ulgę: odprowadził Diotalleviego do taksówki.

Wrócił zasepiony.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że chłopak od kilku tygodni wygląda paskudnie. Te podkrążone oczy... Ja powinienem dziesięć lat temu umrzeć na marskość wątroby, a jednak nie umieram, podczas gdy on żyje jak asceta i ma nieżyt żołądka, albo i coś gorszego, moim zdaniem to wrzód. Do diabła z Planem! Wszyscy prowadzimy zwariowany tryb życia.

- Ja uważam, że przejdzie mu po pastylce merankolu - oświadczyłem.

- Też tak sądzę. Ale lepiej, żeby przyłożył sobie do brzucha termofor. Miejmy nadzieję, że będzie rozsądny.

Qui operatur in Cabala... si errabit in opere aut non purificatus accesserit, deorabitur ab Azazale.

Pico della Mirandola, *Conclusiones Magicae*

Diotallewi miał atak pod koniec listopada. Czekaliśmy na niego w biurze następnego dnia, lecz zadzwonił i powiedział, że musi dojechać do siebie. Lekarz zapewnił go, że objawy nie są niepokojące, ale lepiej zrobić badania.

Belbo i ja kojarzyliśmy jego chorobę z Planem, w którym być może za daleko się posunęliśmy. Zapewnialiśmy półgębkiem jeden drugiego, że to nie ma sensu, ale nie mogliśmy pozbyć się poczucia winy. Po raz drugi poczułem się współnikiem Belba. Raz solidarnie milczeliśmy (nie odpowiadając na pytania De Angelisa), a tym razem obaj za dużo mówiliśmy. Poczucie winy nie miało żadnego uzasadnienia – wtedy jeszcze byliśmy o tym przekonani – ale czuliśmy się jakoś nieswojo. Przez miesiąc, albo i dłużej, nie rozmawialiśmy o Planie.

Dwa tygodnie później zjawił się znowu Diotallewi i oznajmił nam, że poprosił Garamonda o urlop zdrowotny. Doradzono mu, żeby zaczął się leczyć, nie rozwodził się jednak nad tą sprawą, powiedział tylko, że co dwa, trzy dni musi stawać się w klinice i że kuracja trochę go osłabiła. Nie wiem, jak mógł jeszcze osłabnąć, bo twarz miał teraz tej samej barwy co włosy.

– I dajcie spokój tym wszystkim historiom – dodał. – Jak widzicie, szkodzą zdrowiu. To zemsta różokrzyżowców.

– Nie martw się – odparł z uśmiechem Belbo. – Dobierzemy się im do skóry i zostawią cię w spokoju. Wystarczy

pstryknąć palcami.

Kuracja przeciągnęła się do początku następnego roku. Ja pograżyłem się w historii magii, w tej prawdziwej, poważnej – mówiłem sobie – nie zaś naszej. Garamond wkraczał przynajmniej raz dziennie na nasze terytorium i dopytywał się, co u Diotalleviego.

– I proszę, byście zawiadamiali mnie, panowie, jeśli by coś było potrzebne, to znaczy, gdyby wynikły jakieś kłopoty, gdyby sprawy ułożyły się tak, że ja w imieniu firmy mógłbym zrobić coś dla naszego dzielnego przyjaciela. Jest dla mnie jak syn, powiem więcej, jak brat. W każdym razie żyjemy, chwała Bogu, w kraju cywilizowanym i cokolwiek by się rzekło, mamy doskonały system ubezpieczeniowy.

Agliè okazał wielkie zatroskanie, poprosił o podanie nazwy kliniki i zadzwonił do dyrektora, swojego drogiego przyjaciela (poza wszystkim – oznajmił – brata pewnego NWA, z którym utrzymuje teraz nader serdeczne stosunki). Diotallevi będzie traktowany ze szczególnymi względami.

Wzruszyła się też Lorenza. Wpadała do Garamonda prawie codziennie i pytała o nowiny. Powinno to uszczęśliwiać Belba, lecz stało się dla niego uzasadnieniem posępnej diagnozy. Lorenza, bywając tutaj, wymykała mu się, gdyż przychodziła nie dla niego.

Tuż przed Bożym Narodzeniem podsłuchałem fragment rozmowy. Mówiła Lorenza:

– Zapewniam cię, jest wspaniały śnieg i mają cudowne pokoje. Pobiegasz sobie na nartach. Dobrze?

Wywnioskowałem z tego, że zamierzają razem powitać Nowy Rok. Ale po Święcie Trzech Króli Lorenza pojawiła się pewnego dnia na korytarzu i Belbo powiedział jej: „Szczęśli-

wego Nowego Roku”, a kiedy zrobiła gest, jakby chciała, żeby się uścisnęli, cofnął się o krok.

Wyruszywszy stąd, dotarliśmy do krainy zwanej Milestre... gdzie powiadają, że zwykł bywać jeden, który zwie się Starcem z Gór... I kazał wznieść na najwyższych górach otaczających dolinę bardzo gruby i wysoki mur, który mierzył dokoła XXX mil, i wchodziło się do środka przez dwoje drzwi, a były ukryte, wydrążone w samej górze.

Odorico da Pordenone, *De rebus incognitis*,  
Impressus Esauri, 1513, rozdz. 21, s. 15

Pewnego dnia pod koniec stycznia szedłem ulicą Marchese Gualdi i zobaczyłem, że od Manuzia wychodzi Salon.

- Przyszedłem pogawędzić z moim przyjacielem Aglièm...  
- oznajmił.

Z przyjacielem? O ile pamiętam festyn w Piemontcie, Agliè zgoła za nim nie przepadał. Czy Salon wkręcił się do Manuzia, czy też Agliè wykorzystywał go do nie wiadomo jakich kontaktów?

Nie dał mi czasu na rozważanie tej kwestii, bo zaproponował aperitif i trafiliśmy do Piladego. Nigdy go w tych stronach nie widziałem, ale pozdrowił starego Piladego, jakby znali się od dawna. Kiedy usiedliśmy, zapytał, jak mi idzie historia magii. Wiedział więc nawet o tym! Sprowokowałem go do rozmowy na temat Ziemi pustej w środku i tego Sebottendorffa, którego cytował Belbo.

Roześmiał się.

- To jasne, że wśród tych, którzy do was przychodzą, zdarzają się ludzie stuknięci. Nic nie wiem o tej historii z Ziemią pustą w środku. Jeśli chodzi o von Sebottendorffa, cóż, był to dziwny facet... Ośmielił się wbijać do głowy Himmlerowi i innym te samobójcze myśli o narodzie niemieckim.

- Jakie myśli?

- Wschodnie fantazje. Ten człowiek bał się Żydów i żywił cześć dla Arabów i Turków. Czy wie pan, że na biurku Himmlera oprócz *Mein Kampf* leżał zawsze Koran? Sebottendorff w młodości zachwyił się sam już nie wiem jaką inicjacyjną sektą turecką i jął studiować islamską gnozę. Mówił „Führer”, a miał na myśli Starca z Gór. A kiedy wszyscy ci ludzie tworzyli SS, myśleli o organizacji podobnej do asasynów... Warto rozważyć pytanie, dlaczego podczas pierwszej wojny światowej Niemcy były sprzymierzone z Turcją...

- Skąd pan wie to wszystko?

- Mówiłem już chyba panu, że biedny tatuś pracował dla rosyjskiej Ochrony. Tak, pamiętam, że w owych czasach policja carska zajmowała się asasynami, zdaje mi się, że pierwszy wpadł na to Raczkowski... Potem zrezygnowano z tego tropu, bo jeśli asasyni, to nie Żydzi, a niebezpieczeństwo stanowili wówczas Żydzi. Jak zawsze. Żydzi wrócili do Palestyny i zmusili tamtych do wyjścia z jaskiń. Ale to, o czym mówimy, jest bardzo zagmatwane, lepiej zmienmy temat.

Robił wrażenie, jakby żałował, że za dużo powiedział. I zdarzyło się coś jeszcze. Po tym wszystkim, co zaszło, jestem przekonany, że nie śniłem na jawie, lecz tamtego dnia myślałem, iż padłem ofiarą halucynacji, gdyż patrząc za wychodzącym z baru Salonem, zobaczyłem, jak spotyka się na rogu z jakimś typem o wschodnich rysach twarzy.

Tak czy inaczej, Salon powiedział mi dosyć, by doprowadzić moją wyobraźnię do orgazmu. Starzec z Gór i asasyni nie byli mi nieznani, wspominałem nawet o nich w mojej rozprawie, gdyż templariuszy oskarżano o zмовę także z nimi. Jak mogliśmy o tym zapomnieć?

I w ten sposób znowu zaczął pracować mój mózg,

a zwłaszcza moje palce, gdyż zabrałem się do przeglądania starych fiszek, aż naszła mnie myśl tak olśniewająca, że nie byłem w stanie się powstrzymać.

Wpadłem któregoś ranka do gabinetu Belba.

- Pomylili wszystko. My wszystko pomyliliśmy.

- Spokojnie, Casaubon. Kto? O Boże, Plan! - Przez chwilę był podekscytowany. - Czy wie pan, że mamy złe nowiny o Diotallevim? On sam nie mówi, zatelefonowałem do kliniki, ale nie chcieli wyjść poza ogólniki, gdyż nie jestem krewnym. Diotallevi nie ma żadnych krewnych, kto się więc nim zajmuje? Ta ich powściągliwość wcale mi się nie podobała. Chodzi o łagodny przypadek, powiadają, ale terapia była za mało intensywna, lepiej, żeby potrawało to nawet miesiąc, za to żeby wykurował się do końca, może warto spróbować zabiegu chirurgicznego... Jednym słowem, nie chcieli powiedzieć mi wszystkiego i coraz mniej mi się ta historia podoba.

Nie wiedziałem, co na to odrzec. Zacząłem coś przerzucać, żeby Belbo zapomniał o moim triumfalnym wtargnięciu. Ale on nie wytrzymał. Był jak hazardzista, któremu nagle podsuwa się pod oczy talię kart.

- Do diabła - powiedział. - Życie toczy się niestety nadal. Proszę mówić.

- Wszystko pomyliliśmy. Pomyliliśmy wszystko albo prawie wszystko. Więc tak: Hitler robi to, co zrobił z Żydami, ale nic z tego. Okultyści z połowy świata od wieków mozolnie uczą się hebrajskiego, węszą gdzie się da i co najwyżej wyłuskują jakiś horoskop. Dlaczego?

- No... Ależ dlatego, że fragment należący do jerozolimczyków jest nadal gdzieś ukryty. Z drugiej strony, o ile wiemy, nie pokazał się też fragment paulicjan...



- Jest to odpowiedź godna Agliègo, a nie nas. Mam coś bardziej ekstra. Żydzi nie mają z tym nic wspólnego.

- W jakim sensie?

- Żydzi nie mają nic wspólnego z Planem. I nie mogli. Spróbujmy wyobrazić sobie sytuację templariuszy, najpierw w Jerozolimie, a potem w komandoriach europejskich. Rycerze francuscy spotykają się z niemieckimi, portugalskimi, hiszpańskimi, włoskimi, angielskimi i wszyscy razem mają kontakty z terenami bizantyjskimi, a głównie mierzą się ze swoim przeciwnikiem, Turkami. Z przeciwnikiem, z którym się walczy, ale, jak widzieliśmy, również prowadzi rokowania. Chodziło przecież o siły zbrojne, rozmowy toczyły się między szlachcicami podobnej rangi. Kim byli w owym czasie palestyńscy Żydzi? Religijną i rasową mniejszością, tolerowaną, a nawet respektowaną przez Arabów, którzy darzyli ich dobrotliwą pobłażliwością, i bardzo źle traktowaną przez chrześcijan, nie zapominajmy bowiem, że przy okazji rozmaitych krucjat plądrowano getta i dokonywano rzezi. Czy możemy więc sądzić, że templariusze, mając pod nosem cały ten smrodek, wymieniali spokojnie mistyczne informacje z Żydami? Przenigdy. A w komandoriach europejskich Żydzi pojawiali się jako lichwiarze, osobnicy źle widziani, których można łupić ze skóry, ale którym nie należy ufać. Mówimy tutaj o rycerzach, konstruujemy plan godny rycerstwa duchowego i wyobrażamy sobie ni z tego, ni z owego, że templariusze z Provins mogli wprowadzić w tę sprawę obywateli drugiej kategorii? Przenigdy.

- A co z całą renesansową magią, która taką wagę przykłada do studiów nad Kabałą?...

- Siłą rzeczy, a dochodzimy teraz do trzeciego spotkania,

panuje niecierpliwość, szuka się dróg na skróty, hebrajski jawi się jako język święty i tajemniczy. Kabaliści trudzili się na własny rachunek, mając na oku inne cele, a trzydziestu sześciu rozproszonych po świecie wbija sobie do głowy, że niezrozumiały język może kryć nie wiadomo jakie tajemnice. Pico della Mirandola miał powiedzieć: *nulla nomina, ut significativa et in quantum nomina sunt, in magico opere virtutem habere non possunt, nisi sint Hebraica*. I co z tego? Pico della Mirandola był kretynem.

- Powiedzmy to sobie!

- A zresztą jako Włoch był wykluczony z udziału w Planie. Co mógł o tym wiedzieć? Gorzej wygląda sprawa dla takiego Agryppy, Reuchlina i całego brzydkiego towarzystwa, które rzuciło się na ten fałszywy trop. Rekonstruuje historię fałszywego tropu, czy to jasne? Daliśmy się zasugerować Diotalleviemu, który wciągnął nas w historie kabalistyczne. Diotallevi igrał z Kabałą, a my włączyliśmy do Planu Żydów. Czy jednak, gdyby Diotallevi zajmował się kulturą chińską, wprowadzilibyśmy do Planu Chińczyków?

- Może i tak.

- Może nie. Ale nie ma co rozdzierać szat, wpadliśmy w pułapkę, w którą wpadali wszyscy. Wszyscy popełnili ten błąd, prawdopodobnie począwszy od Postela. Dwieście lat po Provins uznali, że szóstą grupą jest grupa jerozolimską. Nieprawda.

- Ale przepraszam, Casaubon, samiśmy przecież skorygowali interpretację Ardentiego i uznali, że spotkanie przy kamieniu było nie w Stonehenge, ale w meczecie Umara.

- I myliliśmy się. Jest wiele kamieni. Musimy pomyśleć o jakimś miejscu zbudowanym na kamieniu, na szczycie

górskim, na skale, na ostrodze skalnej, nad urwiskiem...  
Szóści czekają w twierdzy Alamut.

I ukazał się Kairos trzymający w dłoni berło, które oznacza władzę królewską, i wręczył je pierwszemu stworzonemu bogu, ten zaś wziął je i rzekł: „Twoje tajemne imię będzie z 36 liter”.

Hasan-i Zabbah, *Sargozast-i Sajjid-na*

Wykonałem swój popisowy numer, a teraz musiałem udzielić wyjaśnień. Dostarczyłem ich w następnych dniach, i to długich, drobiazgowych, udokumentowanych, kiedy na stolikach u Piladego przedstawiałem Belbowi kolejne dowody, które on śledził coraz bardziej przyćmionym spojrzeniem, odpalając jednego papierosa od drugiego, wysuwając co pięć minut pusty kieliszek; i Pilade napełniał go czym prędzej, nie czekając na inną formę zamówienia.

Jako wstępne źródła posłużyły te, w których pojawiają się pierwsze wzmianki o templariuszach – od Gerarda ze Strasburga po Joinville’a. Templariusze weszli w kontakt, czasem w konflikt, a najczęściej w tajemnicze przymierze, z asasynami Starca z Gór.

Historia jest naturalnie bardziej złożona. Zaczyna się po śmierci Mahometa, wraz z rozłamem między zwolennikami prawa zwykłego, sunnitami, a poplecznikami Alego, zięcia Proroka, męża Fatimy, który spostrzegł, że wydziera mu się sukcesję. Właśnie ci entuzjaści Alego, grupa uczniów, którzy przyznawali się do *szia*, utworzyli heretycki odłam islamu, zwany szyitami. Inicjacyjna doktryna, która ciągłość objawienia widziała nie w nieustannym medytowaniu nad słowami Proroka, ale w samej osobie imama, pana, wodza, epifanii boskości, rzeczywistości teofanicznej, Króla Świata.

Co takiego stało się z tym heretyckim odłamem islam-

skim, do którego przenikały pomału wszystkie doktryny ezoteryczne z basenu śródziemnomorskiego, począwszy od manichejczyków, a skończywszy na gnostykach, od zwolenników neoplatonizmu do irańskiej mistyki, i wszystkie te propozycje, których dzieje rozwoju na Zachodzie od lat śledzieliśmy? Była to długa historia i nie zdołaliśmy jej rozwikłać między innymi dlatego, że różni autorzy i protagoniści arabscy mieli niezwykle długie imiona, a transkrypcji najważniejszych tekstów dokonywano znakami diakrytycznymi i późnym wieczorem nie byliśmy już w stanie dokonać rozróżnienia między Abū 'Abdi'l-lā Muhammad ben 'Alī ibn Razzām at-Tā'ī al-Kūfī, Abū Muhammad 'Ubaydu'l-lāh, Abū Mu'ini'd-Dīn Nāsir ibn Hosrow Marwāzī Qobādyānī (sądzę, że w równie kłopotliwej sytuacji znalazłby się Arab, gdyby musiał dokonywać rozróżnienia między Arystotelesem, Arystoksenosem, Arystarchem, Arystydem, Anaksymandrem, Anaksymenesem, Anaksagorasem, Anakreontem i Anacharsisem).

Jedno nie ulegało wątpliwości. Schizma rozpadła się na dwie części. Jedną zwaną duodecymejską, która czeka na zmarłego i przyszłego imama, i drugą, ismailitów, która rodzi się w królestwie Fatymidów w Kairze, a później po rozmaitych perypetiach utwierdza się jako ismailizm zreformowany w Persji dzięki dokonaniom fascynującej, mistycznej i okrutnej postaci, Hasana Sabbaha. Sabbah zakłada własny ośrodek, własny tron niezdobyty na południowy zachód od Morza Kaspijskiego, w twierdzy Alamut, Gnieździe Drapieżnego Ptaka.

Sabbah otoczył się swoimi stronnikami, *fidaijum* albo *fedainami*, wiernymi po śmierć, którym zlecał dokonywanie

mordów politycznych w ramach *dżihad hafi*, tajnej świętej wojny. Fedaini, czy jak ich nazywał, zyskali później smutną sławę pod imieniem asasynów, niepięknym dzisiaj, ale wtedy, i dla nich, zachwycającym, godłem rasy mnichów wojowników, bardzo przypominających templariuszy, gotowych umrzeć za wiarę. Rycerstwo duchowe.

Twierdza i zamek Alamut: Kamień. Zbudowana na urwistym szczycie, długim na czterysta metrów, szerokim tu i ówdzie na kilka kroków, a w najszerszym miejscu na trzydzieści, przybywającemu drogą z Azerbejdżanu jawiła się jako naturalny mur, oślepiająco biały w słońcu, błękitny o purpurowym zmierzchu, blady przed świtem i krwawy w porze jutrzeńki, w niektóre dni rozplywający się wśród chmur albo rzucający błyski. Wzdłuż górnej krawędzi z trudem dawało się wypatrzeć niewyraźne i sztuczne zwieńczenie czworokątnymi wieżami, z dołu widziałeś szereg skalnych ostrzy sięgających na sto metrów w niebo, wałących się na ciebie; najłatwiej dostępne zbocze było osypującym się lawiniskiem żwiru, na które nawet dzisiaj archeolodzy nie są w stanie się wspiąć. W tamtych czasach docierało się na górę tajemnymi krętymi schodami wykutymi w skale i będącymi jak zadrapanie na skamielinie przedpotopowego jabłka - schodami, które mógł obronić jeden łucznik. Nie do zdobycia, zawrotnie sięgająca ku Innemu Światu, Alamut, twierdza asasynów. Można było do niej dotrzeć jedynie na grzbiecie orła.

Stąd panował Sabbah, a po nim ci wszyscy, których nazywano Starcami z Gór, a jako pierwszy - jego piekielny następca Sinan.

Sabbah wynalazł pewną technikę panowania nad swoimi i nad przeciwnikami. Wrogów zawiadamiał, że jeśli nie

ulegną jego woli, zabije ich. A przed asasynami nie było ucieczki. Nizamul-Mulk, pierwszy minister sułtana, kiedy krzyżowcy byli jeszcze zajęci zdobywaniem Jerozolimy, udał się w lektyce do miejsca, gdzie przebywały jego kobiety, i został zasztyletowany przez przebranego za derwisza zabójcę. Atabek Hims, kiedy w otoczeniu chorągwi uzbrojonych po zęby ludzi schodził ze swego zamku na piątkowe modlitwy, zginął z rąk fedainów Starca.

Sinan postanowił zabić chrześcijanina, markiza Konrada z Montferratu, i przekazał odpowiednie instrukcje dwóm swoim ludziom, którzy po długich przygotowaniach wśliznęli się między niewiernych i naśladowali ich obyczaje i język. Kiedy biskup Tyru wydawał ucztę na cześć niczego nieświadomego markiza, tamci, przebrani za mnichów, skończyli na Konrada i zadali mu rany. Jeden z asasynów został od razu zabity przez straż przyboczną, ale drugi pojawił się w kościele, czekał, aż przyniosą rannego, dopełnił swego dzieła i padł szczęśliwy.

Albowiem, powiadają historiografowie arabscy z linii sunnickiej i chrześcijańscy kronikarze od Odoryka z Pordenone po Marco Polo, Starzec znalazł przerażający sposób na to, by narzucić swoim rycerzom wierność po najwyższą ofiarę, by uczynić z nich niezwyciężone maszyny bojowe. Ściągał śpiących młodzieńców na szczyt skały, doprowadzał do wyścieńczenia, darząc ich rozkoszami, takimi jak wino, kobiety, kwiaty, rodzące przesył ucztę, oszalał haszyszem - od którego wzięła się nazwa sekty. A kiedy byli już w takim stanie, że nie potrafiliby się wyrzec przewrotnej szczęśliwości tej namiastki raj, wynoszono ich podczas snu z twierdzy i stawiano wobec alternatywy: idź i zabij, jeśli ci się powie-

dzie, ten raj, który opuściłeś, będzie na zawsze twój, jeśli zaś zawiedziesz, wrócisz do codziennej gehenny. Oni zaś, oszołomieni narkotykiem, zabójcy skazani na śmierć, ofiary skazane na zabijanie ofiar, ulegli wobec woli Starca, poświęcali się, składając ofiarę.

Jakże się ich bali, jakie opowieści snuli o nich krzyżowcy podczas bezksiężycowych nocy, kiedy wiał pustynny samum! Jakże podziwiali templariusze te bestie zniewolone przejrzystą wolą męczeństwa, jakże gotowi byli płacić swoim nauczycielom, żądając w zamian jedynie formalnych danin, uczestnicząc w tej grze wzajemnych ustępstw, współdziałaniu, braterstwa broni, rozpruwając sobie brzuchy w otwartej bitwie, wymieniając potajemnie pieśczęty, szeptem dzieląc się na zmianę mistycznymi wizjami, magicznymi formułami, alchemicznymi subtelnościami...

Od asasynów templariusze przejęli swoje tajemne obrzędy. Tylko tchórzliwa ignorancja odjęła bajliwom i inkwizytorom króla Filipa możliwość zrozumienia, że splunięcie na krzyż, pocałunek w zadek, czarny kot i oddawanie czci Bafometowi to jedynie naśladowanie innych obrzędów, które templariusze spełniali pod działaniem haszyszu, pierwszej tajemnicy, jakiej nauczyli się na Wschodzie.

Było więc rzeczą oczywistą, że Plan narodził się, musiał się narodzić, tam właśnie. Od ludzi z Alamut templariusze dowiedzieli się o prądach podziemnych, z ludźmi z Alamut spotykali się w Provins i opracowali tajemną intrygę z trzydziestu sześciu niewidzialnymi, z tego powodu Christian Rosencreutz wyprawił się do Fezu i w inne miejsca na Wschodzie, z tego powodu ku Wschodowi zwrócił się Postel, z tego powodu ze Wschodu, z Egiptu, z kraju ismailitów fatymidz-



kich, renesansowi magowie sprowadzili eponimiczne bóstwo Planu, Hermesa, Hermete-Teutha albo Tota, i na kształt egipskich symboli uroił sobie obrzędy oszust Cagliostro. A jezuita, ci jezuita, wcale nie tak głupi, jak przypuszczaliśmy, z poczciwym Kircherem na czele, rzucili się na hieroglify, język koptyjski i inne języki wschodnie, a hebrajski był tylko przykrywką, ustępstwem na rzecz ówczesnej mody.

Teksty te nie są przeznaczone dla zwykłych śmiertelników... Apercepcja gnostyczna to droga zarezerwowana dla elity... Gdyż, zgodnie ze słowami Biblii, nie rzucajcie pereł między wieprze.

Kamal Jumblatt, wywiad w „Le Jour”, 31 marca 1967

Arcana publicata vilescunt: et gratiam prophanata amittunt. Ergo: ne margaritas obijce porcis, seu asino substerne rosas.

Johann Valentin Andreae, *Die Chymische Hochzeit des Christian Rosencreutz*, Zetzner, Strassburg 1616, frontispis

Skąd jednak wziąć kogoś, kto potrafiłby czekać na kamieniu przez sześć wieków i kto na kamieniu byłby oczekiwany? Zapewne Alamut uległ w końcu naciskowi mongolskiemu, ale sekta ismailitów przetrwała na całym Wschodzie i z jednej strony przemieszała się z sufizmem nieszyickim, z drugiej dała początek straszliwej sekcje druzów, a wreszcie z innej przetrwała wśród hinduskich chodża, zwolenników Agi Khana, nieopodal miejsca, gdzie znajdowała się Agartta.

Ale odkryłem także coś innego. Za panowania dynastii Fatymidów hermetyczne koncepcje starożytnych Egipcjan zostały na nowo odkryte dzięki akademii w Heliopolis, w Kairze, gdzie założono Dom Nauk. Dom Nauk! Skąd zaczerpnął Bacon inspirację do swojego Domu Salomona, który miał się stać modelem dla Conservatoire?

- Tak było, właśnie tak było, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości - powiedział upojony Belbo. I spytał: - Co w takim razie z kabalistami?

- To po prostu historia równoległa. Rabini z Jerozolimy przeczuwali, że coś zaszło między templariuszami a asasyna-

mi, i także rabini hiszpańscy, krążący po Europie i udający, że chcą pożyczać pieniądze na lichwę różnym komandoriom, coś wywęszyli. Nie zostali dopuszczeni do tajemnicy i w odruchu narodowej dumy postanowili sami spróbować zrozumieć, w czym rzecz. Jakże to, my, Naród Wybrany, nic nie wiemy o największej z tajemnic? I trzask-prask, rodzi się tradycja kabalistyczna, heroiczna próba podjęta przez naród rozproszony, naród ludzi z marginesu, zmierzający do celu na przekór panom, możnowładcom, którzy twierdzą, że wiedzą wszystko.

- Ale postępując w ten sposób, wpajają chrześcijanom przekonanie, że ci wiedzą naprawdę wszystko.

- I w pewnym momencie ktoś strzela potworną gafę. Myli Izmaela z Izraelem.

- W takim razie Barruel, *Protokoły*, holokaust to tylko rezultat pomylenia spółgłosek.

- Sześć milionów Żydów zabitych wskutek błędu Pico della Mirandoli.

- A może jest jakiś inny powód. Naród wybrany wziął na siebie ciężar objaśnienia Księgi. Szerzył obsesję na tym punkcie. A inni, nie znajdując nic w Księdze, postanowili się zemścić. Ludzie boją się tych, którzy stawiają ich twarzą w twarz z Prawem. Ale dlaczego asasyni tak długo się nie ujawniali?

- Ależ, Belbo! Niechże pan tylko pomyśli, do jakiego stopnia zacieśnia się ta strefa walki pod Lepanto. Pański Sebotendorff pojmuje jednak, że należy czegoś szukać wśród tureckich derwiszów, ale nie ma już Alamut, derwisze zaszyli się nie wiadomo gdzie. Czekają. I oto nadeszła ich chwila, podnoszą głowę w odłamie islamskiego irredentyzmu. Wpro-

wadzając do Planu Hitlera, zyskaliśmy trafne uzasadnienie drugiej wojny światowej. Wprowadzając asasynów z Alamut, rzucamy snop światła na to wszystko, co dzieje się od lat między Morzem Śródziemnym a Zatoką Perską. I tutaj mamy wreszcie lokalizację dla Tres. Templi Resurgentes Equites Synarchici. Stowarzyszenie, które zamierza nawiązać trwałe kontakty z rycerstwem duchowym rozmaitych wyznań.

- Albo roznieca konflikty, by wszystko zablokować i łowić ryby w mętnej wodzie. To jasne. Zakończyliśmy nasze dzieło sfastrygowania na nowo historii. Czyż w chwili ostatecznej Wahadło nie powinno ujawnić, że Umbilicus Mundi znajduje się w Alamut?

- To byłaby przesada. Wolałbym pozostawić ten ostatni punkt w zawieszeniu.

- Zawieszony jak Wahadło.

- Jeśli pan zechce. Nie można głosić wszystkiego, co nam przychodzi do głowy.

- Z pewnością, z pewnością. Przede wszystkim trzeba narzucić sobie dyscyplinę.

Tego wieczoru tylko ja mogłem być dumny ze skonstruowania wspaniałej historii. Byłem Estetą, który z ciała i krwi świata kształtuje Piękno. Belbo to zaledwie adept. Jak wszyscy, nie dlatego, że został oświecony, ale *faute de mieux*.

Claudicat ingenium, delirat lingua, labat mens.

Lukrecjusz, *De rerum natura*, III, 453

Pewnie właśnie w tamtych dniach Belbo próbował zdać sobie sprawę z tego, co z nim się stało. Jednak bezwzględność, z jaką potrafił dokonać samoanalizy, nie mogła odwieść go od zła, do którego już się przyzwyczał.

---



---

NAZWA PLIKU: A gdyby?

---



---

Wymyślić Plan: Plan usprawiedliwia cię do tego stopnia, że nie jesteś odpowiedzialny nawet za sam Plan. Wystarczy cisnąć kamień i schować rękę. Gdyby naprawdę istniał Plan, nie istniałoby niepowodzenie.

Nie zdobyłeś Cecylii, gdyż archonci sprawili, że Annibale Cantalamessa i Pio Bo nie potrafili sobie poradzić z najmilszym z instrumentów dętych. Uciekłeś przed bandą znad Kanałka, gdyż dziekani chcieli cię oszczędzić na inny holokaust. A człowiek z blizną ma talizman potężniejszy od twojego.

Zawinił Plan. Marzenie rodzaju ludzkiego. *An Deus sit*. Jeśli tak, to przez niego.

Rzeczą, której adres zgubiłem, nie jest Koniec, lecz Początek. Nie przedmiot, który można osiąść, lecz podmiot, który posiadał mnie. Pospolita choroba, połowiczna radość, cóż innego powiada Mit? Podwójny ośmiozgłoskowiec.

Kto napisał tę myśl, najbardziej kojącą z tych, które zostały pomyślane? Nic nie odbierze mi przekonania, że ten świat jest płodem jakiegoś mrocznego boga, a ja jestem przedłużeniem boskiego cienia. Wiara prowadzi do Absolutnego Optymizmu.

To prawda, cudzołożyłem (albo nie cudzołożyłem), ale to Bóg nie umiał rozwiązać problemu Zła. Nuże, utłuczmy płód w mózdzierzu z miodem i pieprzem. Bóg tego chce.

Jeśli już trzeba wierzyć, niechaj będzie to religia, która nie wpoi ci poczucia winy. Jakaś nieznana religia, parująca, podziemna, bez końca. Jak powieść, nie zaś jak teologia.

Pięć dróg i jeden jedyny punkt docelowy. Co za marnotrawstwo! Labirynt, przeciwnie, prowadzi wszędzie i nigdzie. Żeby umrzeć stylowo, trzeba żyć w baroku.

Jedynie zły Demiurg może sprawić, że poczujemy się dobrymi.

A jeśli nie ma kosmicznego Planu?

Co za ironia, żyć na wygnaniu, chociaż nikt cię nie zsyłał. I na wygnaniu

w miejscu, którego nie ma.

A jeśli Plan istnieje, ale wymyka ci się przez całą wieczność?

Kiedy ustępuje pola religia, zostaje sztuka. Wymyśla ją Plan, metafora nierozpoznawalnego. Nawet spiszek uknuty przez ludzi może wypełnić pustkę. Nie wydali mi Serca i namiętności, bo nie należę do templarnej kliki.

Żyć, tak jakby istniał Plan, oto kamień filozofów.

*If you cannot beat them, join them.* Jeśli istnieje Plan, wystarczy się dostosować...

Lorenza poddaje mnie próbie. Pokora. Gdybym miał dość pokory, żeby wzywać anioły, choćby i w nie wierząc, i nakreślić właściwy krąg, zyskałbym spokój. Może.

Uwierz, że istnieje tajemnica, a poczujesz się wtajemniczony. To nic nie kosztuje.

Wytworzyć olbrzymią nadzieję, która nigdy nie zostanie wykorzeniona, gdyż jest bez korzeni. Przodkowie, których nie ma, nigdy nie stawiają się tutaj, by powiedzieć, że zdradziłeś. Religia, której nakazów można przestrzegać, zdradzając ją w nieskończoność.

Jak Andreae. Ogłosić dla zabawy największe objawienie w historii, a kiedy inni będą się w nim gubić, przysięgać przez resztę życia, że to nie ty.

Stworzyć prawdę o niewyraźnych zasadach. Gdy tylko ktoś spróbuje je wyklarować, czeka go ekskomunika. Uniewinniać tylko tych, którzy są jeszcze mniej konkretni niż ty. *Jamais d'ennemis à droite.*

Po co pisać powieści? Lepiej napisać na nowo Historię. Historię, która następnie stanie się rzeczywistością.

Dlaczego nie przenieść akcji do Danii, panie Williamie S.? Jim Konopiarz, Johann Valentin Andreae, Łukasz-Mateusz krąży po Archipelagu Sundajskim między Patmos a Avalonem, od Białej Góry do Mindanao, od Atlantydy do Tesalonik... Sobór nicejski, Orygenes obcina sobie jądra i pokazuje, ociekające krwią, ojcom Miasta Słońca, Hiramowi, który zgrzyta zębami *filioque, filioque*, podczas gdy Konstantyn wbija drapieżne pazury w puste oczodoły Roberta Fludda, śmierć, śmierć Żydom z getta w Antiochii, *Dieu et mon droit*, powiewa Beauceant, dalej na ofitów i barborytów, którzy barburczą jadownicze dźwięki trąby, i przybywają Rycerze Dobrzy ze Świętego Miasta z głową Maura zatknętą na pikę, *rebis, rebis!* Huragan magnetyczny, wali się wieża. Śmieje się szyderczo Raczkowski nad spalonym trupem Jakuba z Molay.

Nie miałem cię, ale mogę rozsadzić historię.

Jeśli problemem jest ten brak bytu, jeśli byt jest tym, o czym się mówi na mnóstwo sposobów, to im więcej mówimy, tym bardziej byt jest.

Marzeniem nauki jest, żeby bytu było trochę, skoncentrowanego i wyrażalnego.  $E = mc^2$ . To błąd. Aby od początku ocalić się od wieczności, konieczne jest, by jakiś byt istniał bez chwili zastanowienia. Jak wąż związany na supeł przez pijanego marynarza. Nie do rozwikłania.

Zmyślać, zmyślać jak szaleniec, nie zważając na związki, żeby niemożliwe stało się nawet podsumowanie. Zwykle przekazywanie pałeczki od emblematu do emblematu, jeden wyraża bez ustanku drugi. Rozłożyć świat na sarabandę taśmowo tworzonych anagramów. A potem uwierzyć w niewyraźalne. Czyż nie byłoby to właśnie odczytanie Tory? Prawda jest anagramem anagramu. *Anagrams = ars magna*.

---

To musiało się stać w tamtych dniach. Belbo postanowił traktować poważnie świat diabolistów z powodu nie nadmiaru, lecz niedostatku wiary.

Upokorzony swoją niemocą twórczą (a przez całe życie wykorzystywał zawiedzione pragnienia i nienapisane stronicę, jedne jako metafory drugich i na odwrót, a wszystko pod sztandarem tego swojego rzekomego, nieuchwytnego tchórzostwa), zdał sobie sprawę, że budując Plan - tworzył. Zakochał się w swoim Golemie i czerpał z tego pociechę. Życie - jego własne oraz życie ludzkości - jako dzieło sztuki i z braku sztuki - sztuka jako kłamstwo. *Le monde est fait pour aboutir à un livre (faux)*. Ale w tę fałszywą książkę starał się uwierzyć, gdyż - napisał to przecież - jeśli by był spisek, on sam nie byłby już podły, pokonany i gnuśny.

Skąd wzięło się to wszystko, co nastąpiło, jego wykorzystanie Planu - o którym wiedział, że jest nierzeczywisty - by pobić rywala - którego uważał za rzeczywistego. A później, kiedy zdał sobie sprawę, że Plan go omotuje, jakby istniał naprawdę albo jakby on, Belbo, był ulepiony z tej samej gliny co jego Plan, pojechał do Paryża, jakby miał tam wyznaczone spotkanie z objawieniem, z wyzwoleniem.

Nękanie przez lata codziennymi wyrzutami sumienia, że obcował tylko z własnymi urojeniami, znajdował ulgę w tym, że dostrzegał urojenia, które stawały się obiektywną rzeczywistością, znaną również komuś innemu, choćby był to Nie-

przyjaciel. Pojechał, żeby rzucić się w paszczę wilka? Bez wątpienia, gdyż przecież ten wilk zyskiwał formę, stawał się prawdziwszy niż Jim Konopiarz, może niż Cecilia, a nawet sama Lorenza Pellegrini.

Belbo, cierpiący z powodu tych chybionych spotkań, czuł, że tym razem czeka go spotkanie rzeczywiste. I to takie, że nie może machnąć na nie ręką z powodu tchórzostwa, ponieważ został przyparty do muru. Strach zmuszał go do okaza-  
nia odwagi. Zmyślając, stworzył załążek rzeczywistości.



Spis nr 5, sześć par koszulek, sześć par kalesonów i sześć apaszek, zawsze intrygował uczonych, głównie z powodu całkowitego braku skarpetek.

Woody Allen, *Getting even*,  
Random House, New York 1966, „The Metterling List”, s. 8

W tamtych dniach, nie dalej jak miesiąc temu, Lia doszła do wniosku, że dobrze by mi zrobił miesiąc wakacji. „Wyglądasz na zmęczonego” – powiedziała. Może to Plan tak mnie wyczerpał. Z drugiej strony dziecko potrzebuje zdrowego powietrza, jak oznajmili dziadkowie. Znajomi pozwolili nam skorzystać ze swojego domku w górach.

Wyjazd nie nastąpił od razu. Trzeba było jeszcze uporać się z paroma sprawami w Mediolanie, a zresztą Lia powiedziała, że nie ma lepszego wypoczynku niż wakacje w mieście, kiedy człowiek wie, że potem sobie wyjedzie.

W tamtych dniach po raz pierwszy rozmawiałem z Lią o Planie. Przedtem była zajęta dzieckiem. Wiedziała wprawdzie z grubsza, że razem z Belbem i Diotallevim zajmuję się pewnego rodzaju układanką, która wypełnia nam całe dnie i noce, ale nic więcej jej nie mówiłem, odkąd wygłosiła swoje kazanie o psychozie podobieństw. Może się wstydziłem.

W tamtych dniach opowiedziałem jej cały Plan, ukończony już w najdrobniejszych szczegółach. Wiedziała o chorobie Diotalleviego, miałem niezbyt czyste sumienie, jakbym zrobił coś niewłaściwego, starałem się więc przedstawić Plan zgodnie z tym, czym był, to znaczy jako zwykły popis zręczności.

Lia powiedziała:

– Pim, twoja historia wcale mi się nie podoba.

- Czyż nie jest piękna?
  - Także syreny były piękne. Posłuchaj, co ty właściwie wiesz o swojej podświadomości?
  - Nic. Nie wiem nawet, czy ją mam.
  - Otóż to. Wyobraź sobie teraz, że jakiś wiedeński wesolek, chcąc rozerwać przyjaciół, zmyślił dla zabawy całą sprawę Es i kompleksu Edypa i wykombinował sny, których nigdy nie miał, a także małych Hansów, których nie widział na oczy... Co się potem dzieje? Pojawiają się miliony osób gotowych na serio zostać neurotykami. I następne miliony gotowe na tym zarobić.
  - Lio, jesteś paranoiczką.
  - Ja? To ty jesteś paranoikiem!
  - Może jesteśmy paranoikami, ale musisz mi przyznać przynajmniej jedno. Wyszliśmy od tekstu Ingolfa. Przepraszam cię, ale kiedy masz przed sobą tekst templariuszy, bierze cię ochota, żeby go rozszyfrować do samego końca. Może nawet przesadzasz, żeby zakpić z tych, którzy zajmują się odczytywaniem zaszyfrowanych tekstów, ale przecież ten tekst istniał.
  - Na razie masz tylko to, co ci powiedział ten Ardent, który, jak wynika z twojej relacji, był patentowanym fanfaronem. A poza tym chciałabym zobaczyć ten tekst.
- Nic łatwiejszego, miałem go w swoich teczkach.
- Lia wzięła kartkę do ręki, obejrzała ją z jednej i drugiej strony, skrzywiła się, odgarnęła włosy, żeby lepiej widzieć pierwszą część, tę zaszyfrowaną. Spytała:
- To wszystko?
  - Nie wystarczy ci?
  - Wystarczy aż nadto. Daj mi dwa dni, żeby mogła się

zastanowić.

Kiedy Lia prosi o dwa dni, żeby się zastanowić, to znaczy, że chce mi wykazać, iż jestem głupi. Ciągłe ją o to oskarżam, a ona odpowiada: „Jeśli widzę, że jesteś głupi, mam pewność, że kocham cię naprawdę. Kocham cię nawet, jeśli jesteś głupi. Czy już się uspokoiłeś?”

Przez dwa dni nie podejmowaliśmy tego tematu, a poza tym nie było jej prawie wcale w domu. Wieczorem widziałem, jak przycupnąwszy w kącie, robiła jakieś notatki i darła jedną kartkę za drugą.

Kiedy znaleźliśmy się w górach, dziecko od rana do wieczora raczkowało po łące, a Lia przygotowała kolację i kazała mi jeść, bo jestem chudy jak szczapa. Po kolacji poprosiła, żebym przygotował jej podwójną whisky z mnóstwem lodu i odrobiną wody sodowej, zapaliła papierosa, co zwykła czynić jedynie w bardzo ważnych chwilach, kazała mi usiąść i wyłożyła wszystko.

- Uważaj pilnie, Pim, bo chcę ci dowieść, że rozwiązania najprostsze są zawsze najprawdziwsze. Ten wasz pułkownik powiedział, że Ingolf znalazł tekst w Provins, i nie zamierzam podawać tego w wątpliwość. Zszedł do podziemi i naprawdę znalazł szkatułkę z tym tekstem. - Puknęła palcem we francuskie wersy. - Nic nie świadczy o tym, że znalazł szkatułkę wysadzaną diamentami. Pułkownik powiedział wam tylko, że Ingolf sprzedał jakąś szkatułkę, bo to wynikało z jego notatek. Czemu nie, była to rzecz stara, uzyskał za nią trochę grosza, ale nic nie świadczy o tym, że potem z tego żył. Musiał dostać mały spadek po ojcu.

- A dlaczego szkatułka miałyby mieć niewielką wartość?

- Bo ten tekst jest rachunkiem z pralni. No, przeczytajmy

go jeszcze raz.

*a la ... Saint Jean.  
36 p charrete de fein  
6 ... entiers avec saiel  
p ... les blancs mantiax  
r ... s ... chevaliers de Pruins pour la ... j . nc  
6 foiz 6 en 6 places  
chascune foiz 20 a ... 120 a ...  
iceste est l'ordonation  
al donjon li premiers  
it li secunz joste iceus qui ... pans  
it al refuge  
it a Nostre Dame de l'altre part de l'iau  
it a l'ostel des popelicans  
it a la pierre  
3 foiz 6 avant la feste la Grant Pute.*

- No i co?

- Cierpliwości, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby obejrzeć przewodnik turystyczny, zarys historii tego Provins? Gdybyś to zrobił, odkryłbyś natychmiast, że Grange-aux-Dîmes, gdzie znaleziony został tekst, był miejscem zgromadzeń kupców, bo Provins było centrum targowym Szampanii. I że owa Grange znajduje się przy rue Saint-Jean. W Provins handlowało się wszystkim, ale szczególnie szły sztuki materiałów, *draps* albo *dras*, jak pisało się wtedy, a każda sztuka miała znak gwarancyjny, rodzaj pieczęci. Drugim produktem Provins były róże, czerwone róże, które krzyżowcy sprowadzili z Syrii. Tak sławne, że kiedy Edmund z Lancaster poślubił Blankę z Artois i przyjmuje również tytuł hrabiego Szampanii, umieszcza czerwoną różę z Provins w swoim herbie, i stąd wojna dwóch róż, jako że ci z Yorku mieli jako godło różę białą.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Z dwustustronicowej książeczki wydanej przez Biuro Turystyki w Provins, którą znalazłam w ośrodku francuskim. Ale to nie koniec. W Provins jest warownia, która nazywa się Donjon, zgodnie ze znaczeniem tego słowa, jest Porte-aux-Pains, był Eglise du Refuge, były oczywiście rozmaite kościoły poświęcone Matce Boskiej takiej a takiej, była, a może jest po dzień dzisiejszy, rue de la Pierre Ronde, gdzie znajdował się *pierre de cens*, na którym poddani hrabiego składali pieniądze należne z tytułu dziesięciny. A następnie rue des Blancs Manteaux i droga nazywana Grande Putte Muce ze względów, które pozwałam ci odgadnąć, a mianowicie tych, że mieściły się przy niej domy publiczne.

- A *popelicans*?

- W Provins byli katarzy, których później spalono jak należało, a wielkim inkwizytorem był skruszony katar, zwany Robert le Bougre. Nic więc dziwnego, że była ulica, może jakiś obszar, o którym mówiono, że jest miejscem katarów, nawet jeśli katarów już tam nie było.

- Jeszcze w tysiąc trzysta czterdziestym czwartym...

- A kto ci powiedział, że ten dokument jest z tysiąc trzysta czterdziestego czwartego roku? Twój pułkownik przeczytał „trzydzieści sześć lat po wozie z sianem”, ale zważ, iż w tamtych czasach litera „p” napisana w pewien sposób i ze swego rodzaju apostrofem oznaczała *post*, ale inne „p”, bez apostrofu, oznaczało *pro*. Autor tego tekstu to spokojny kupiec, który sporządził sobie notatki z interesów prowadzonych w Grange, to znaczy przy rue Saint-Jean, nie zaś w noc świętego Jana, i zapisał sobie cenę trzydzieści sześć solidów albo denarów, albo innej monety za każdy wóz z sianem.

- A sto dwadzieścia lat?

- Kto tu mówi o latach? Ingolf znalazł coś, co przepisał jako „120 a...”. Kto powiedział, że to „a”? Sprawdziłam w tabeli obowiązujących wtedy skrótów i stwierdziłam, że na oznaczenie *denier* albo *dinarium* używano dziwnych znaczków, jednego, który przypomina deltę, i drugiego, zbliżonego wyglądem do *thety*, jakby kółeczka pękniętego z lewej strony. Jeśli napisze to niedbale i w pośpiechu jakiś biedny kupczyzna, taki zapaleniec jak pułkownik może to pomylić z „a”, ponieważ gdzieś już czytał o tej sprawie ze stu dwudziestoma latami, sam wiesz, że mógł na to trafić w pierwszej lepszej historii różokrzyżowców, szukał czegoś, co przypominałoby *post 120 annos patebo!* I co dalej? Natyka się na *it* i odczytuje to jako *iterum*. Ale skrótem *iterum* było *itm*, *it* zaś oznacza *item* i było stosowane w spisach, gdzie coś się powtarzało. Nasz kupiec oblicza właśnie, ile przyniosą mu zamówienia, które zdobył, i sporządza sobie spis dostaw. Ma dostarczyć bukiety róż z Provins i stąd masz *r... s... chevaliers de Pruins*. A tam, gdzie pułkownik odczytał *vainjance* (bo miał głowę nabitą rycerzami Kadosz!), należy czytać *jonchée*. Róż używano przy okazji rozmaitych świąt do robienia albo kwiatnych diademów, albo kwiatnych kobierców. Tak więc twoje posłannictwo z Provins należy czytać następująco:

*Przy drodze Saint-Jean.  
36 solidów za wóz z sianem.  
Sześć sztuk nowego sukna ze znakiem  
na ulicę Blancs Manteaux.  
Róże krzyżowców na jonchée:  
Sześć bukietów po sześć w sześciu następujących miejscach,  
Każdy 20 deniers, co czyni razem 120 deniers.  
Oto w jakim porządku:  
Pierwsze do Warowni  
Item drugie dla tych z Porte-aux-Pains*

*Item dla Kościoła Schronienia*

*Item dla Kościoła Notre Dame, za rzeką*

*Item do dawnego budynku katarów*

*Item na ulicę Pierre Ronde.*

*I trzy bukiety z sześciu przed świętem na ulicę dziwek.*

Bo także one, bidulki, chciały uczcić święto, robiąc sobie z kwiatów przybranie na głowę.

- O Boże! - wykrzyknąłem. - To jasne, że masz rację.

- A pewnie. Nie mówiłam, że to coś w rodzaju rachunku z pralni?

- Chwileczkę. Niech to będzie rachunek z pralni, ale ważniejszy jest zaszyfrowany tekst mówiący o trzydziestu sześciu niewidzialnych.

- Rzeczywiście. Z tekstem francuskim uporałam się w godzinę, ale nad drugim biedziłam się całe dwa dni. Musiałam studiować Tritemiusza w bibliotekach Ambrozjańskiej i Triwulcjańskiej, a wiesz, jacy są bibliotekarze, zanim pozwolą ci dotknąć starej książki, przyglądają ci się, jakbyś chciał ją zjeść. Ale sprawa jest zupełnie prosta. Przede wszystkim, i to powinieneś był odkryć sam, czy jesteś pewien, że *les 36 invisibles separez en six bandes* to ta sama francuszczyzna co u naszego kupca? I rzeczywiście, nawet wy dostrzeżliście, że mamy tutaj wyrażenie użyte w siedemnastowiecznym pamphlecie, kiedy różokrzyżowcy pokazali się w Paryżu. Ale rozmowaliście dokładnie tak jak wasi diaboliści. Skoro tekst został zaszyfrowany według metody Tritemiusza, to znaczy, że Tritemiusz przepisał to od templariuszy, a ponieważ cytuje zdanie krążące w środowisku różokrzyżowym, to znaczy, że plan przypisywany różokrzyżowcom był już planem templariuszy. Spróbuj jednak odwrócić to rozumowanie, jak uczyniłby każdy, kto ma trochę oleju w głowie. Ponieważ tekst zo-

stał napisany w duchu Tritemiusza, powstał po nim, a ponieważ przytacza wyrażenia krążące w różokrzyżowym siedemnastym stuleciu, został napisany później. Jaka będzie w tej fazie hipoteza najoszczędniejsza? Ingolf znajduje tekst z Provins, a ponieważ tak samo jak pułkownik ma bzika na punkcie tajemnic hermetycznych, czyta „trzydzieści sześć” i „sto dwadzieścia” i zaraz przychodzi mu do głowy różokrzyżowcy. A ponieważ ma bzika także na punkcie kryptografii, zabawia się odczytaniem tekstu z Provins według klucza. Próbuje i otrzymuje zgodnie z systemem kryptografii Tritemiusza wspaniałe zdanie różokrzyżowe.

- Pomysłowe wyjaśnienie. Ale warte tyle samo, ile domysły pułkownika.

- Do tego miejsca - zgoda. Ale wyobraź sobie, że masz różne domysły i wszystkie nawzajem się wspierają. Jesteś już pewniejszy, że odgadłeś trafnie, prawda? Wyszłam od pewnego podejrzenia. Słowa użyte przez Ingolfa są inne niż te, które sugerował Tritemiusz. Są w tym samym stylu asyryjsko-babilońsko-kabalistycznym, ale nie są te same. A przecież jeśli Ingolf szukał słów zaczynających się od liter, które go interesowały, u Tritemiusza miał ich do syta. Dlaczego ich sobie nie wybrał?

- Dlaczego?

- Być może potrzebne mu były ściśle określone litery także na drugich, trzecich i czwartych miejscach. Może nasz pomysłowy Ingolf chciał mieć tekst wielokrotnie szyfrowany. Chciał przewyższyć Tritemiusza. Tritemiusz sugeruje czterdzieści głównych systemów szyfrowania. W jednym ważne są tylko litery początkowe, w innych pierwsza i trzecia litera, w jeszcze innych jedna pierwsza liczy się, a następna nie,



i tak dalej, tak że przy odrobinie dobrej woli można znaleźć sto następnych systemów. Jeśli chodzi o dziesięć systemów pomniejszych, pułkownik rozważył tylko pierwszy krążek, najłatwiejszy. Ale następne działają zgodnie z systemem drugiego krążka, i tutaj masz kopię. Wyobraź sobie, że wewnętrzny krążek jest ruchomy i że możesz go obrócić tak, żeby początkowe „A” pokryło się z jakąś literą z krążka zewnętrznego. Otrzymasz w ten sposób szyfr, w którym „A” pisze się jako „X”, i tak dalej, inny, w którym „A” odpowiada „U”, i tak dalej... Mając dwadzieścia dwie litery na każdym z krążków, otrzymasz nie dziesięć, lecz dwadzieścia jeden systemów, i zostanie ci tylko dwudziesty drugi, w którym „A” pokrywa się z „A” ...

- Nie powiesz chyba, że do każdej litery każdego słowa wypróbowałam wszystkie dwadzieścia jeden systemów...

- Miałam trochę oleju w głowie, no i trochę szczęścia. Ponieważ najkrótsze słowa składają się z sześciu liter, nie ulega wątpliwości, że liczyć się może tylko sześć pierwszych liter, a pozostałe są dla ozdoby. Dlaczego właśnie sześć? Pomyslałam, że Ingolf zaszyfrował pierwszą, potem jedną przeskoczył, zaszyfrował trzecią, a potem przeskoczył dwie i zaszyfrował szóstą. Jeśli dla pierwszej litery użył systemu numer jeden, to dla trzeciej systemu numer dwa, i wydało mi się to sensowne. Spróbowałam więc zastosować system numer trzy do szóstej litery i znowu okazało się to sensowne. Nie wykluczam, że Ingolf użył również innych liter, ale trzy dowody były wystarczające i jeśli chcesz, dalej możesz spróbować sam.

- Przestań mnie dręczyć. Co ci z tego wyszło?

- Spójrz na tekst, podkreśliłam te litery, które mają zna-

czenie.

Kuabris Defrabax Rexulon Ukkazaal Ukzaab Urpaefel Taculbain Habrak  
Haçoruin Maquafel Tebrain Hmçatuin Rokasor Himesor Argaabil Kaqaan  
Docrabax Reisaz Reisabrax Decaiquan Oiquaquil Zaitabor Qaxaop Dugraq  
Xaęlobran Disaeda Magisuan Raitak Huidal Uscolda Arabaom Zipreus Mecrim  
Cosmae Duquifas Rocarbis

- Wiemy, co mówi pierwszy tekst, chodzi o trzydziestu sześciu niewidzialnych. Posłuchaj teraz, co wyjdzie, jeśli w miejsce trzecich liter dokonamy podstawień zgodnie z drugim systemem: *chambre des demoiselles, l'aiguille creuse*.

- Ależ ja to znam, to...

- *En aval d'Etretat - La Chambre des Demoiselles - Sous le Fort du Fréfossé - Aiguille Creuse*. Jest to tekst rozszyfrowany przez Arsena Lupina, kiedy odkrywa Wydrążoną Iglicę! Przypominasz sobie. W Etretat na skraju plaży wznosi się Aiguille Creuse, naturalny zamek, nadający się do zamieszkania, tajna broń Juliusza Cezara, kiedy najechał Galie, a potem należąca do królów Francji. Źródło ogromnej potęgi Lupina. A wiesz, że lupinolodzy dostali kręćka na punkcie tej historii i odbywają pielgrzymki do Etretat, szukają tajemnych przejść, tworzą anagramy z każdego słowa zapisanego przez Leblanca... Ingolf był tak samo lupinologiem jak różokrzyżologiem, a więc szyfruje co się da.

- Ale moi diaboliści mogliby nadal utrzymywać, że templariusze znali sekret iglicy, a więc tekst został napisany w Provins w trzynastym wieku...

- Z pewnością, i wiem o tym. Ale mamy teraz trzeci tekst. Trzeci system zastosowany do szóstych liter. Posłuchaj. *Merde i'en ai marre de cette steganographie*. I tutaj mamy francuszczyznę całkiem współczesną, templariusz tak się nie wy-

raza. Ale tak wyraził się Ingolf, kiedy najpierw długo łamał sobie głowę, żeby zaszyfrować swoje bzdury; zabawił się raz jeszcze, posyłając szyfrem do wszystkich diabłów to, czym się trudził. Ponieważ jednak nie brakowało mu bystrości, zechciej zauważyć, że wszystkie trzy teksty składają się z trzydziestu sześciu liter. Mój biedny Pim, Ingolf bawił się równie dobrze jak wy, a ten półgłówek pułkownik wziął wszystko na serio.

- Czemu więc Ingolf zniknął?

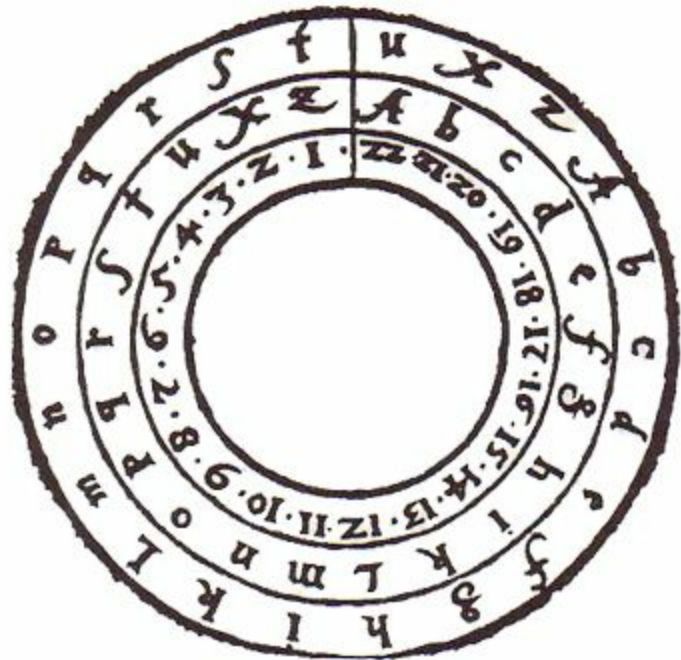
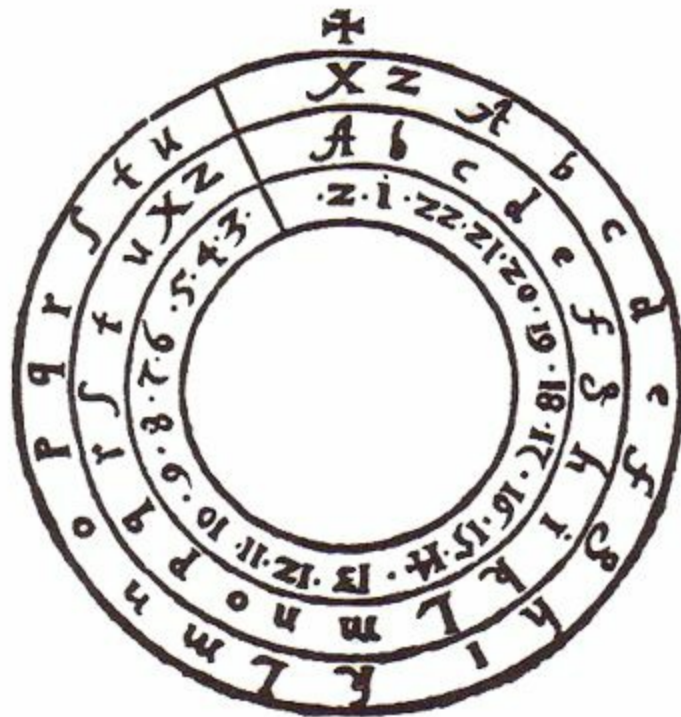
- Kto ci powiedział, że go zamordowano? Ingolfowi znudziło się w Auxerre. Mieć ciągle przed oczami aptekarza i córkę, starą pannę, która od rana do wieczora zalewa się łzami! Jedzie więc do Paryża, udaje mu się dobrze sprzedać jedną ze swoich starych ksiąg, znajduje sobie jakąś wdówkę i zmienia życie. Jak taki, co wychodzi kupić papierosy i tyle go żona widziała.

- A pułkownik?

- Sam mówiłeś, że nawet ten policjant nie jest pewny, czy Ardentiego zabito. Nabrał kogoś na pieniądze, ofiary go rozpoznały, więc prysnął. W tej chwili sprzedaje wieżę Eiffla jakiemuś amerykańskiemu turyście i nazywa się Dupont.

Nie mogłem tak ustąpić na wszystkich frontach.

- No dobrze, punktem wyjścia był dla nas rachunek z pralni, ale to tylko jeszcze lepiej świadczy o naszej pomysłowości. Przecież my też wiedzieliśmy, że zmyślamy. Uprawialiśmy poezję.



- Wasz plan nie ma w sobie niczego poetyckiego. Jest groteskowy. Ludziom nie przychodzi do głowy, żeby spalić Troję, ponieważ akurat przeczytali Homera. Przez ten pożar Troja stała się czymś, czego nigdy nie było i nigdy nie będzie albo

co będzie wiecznie. Tyle w tym znaczeń, ponieważ wszystko jest jasne, wszystko przejrzyste. Twoje manifesty różokrzyżowe nie są ani jasne, ani przejrzyste, są za to bełkotem i obiecują tajemnicę. Dlatego właśnie tylu ludzi czyniło starania, żeby stały się prawdą, i każdy znajdował w nich to, co chciał. U Homera nie ma żadnej tajemnicy. Wasz plan jest pełen tajemnic, gdyż pełno w nim sprzeczności. Dlatego możesz znaleźć tysiąc ludzi wahających się, gotowych w tym wszystkim rozpoznać samych siebie. Rzućcie to, Homer niczego nie zmyślał. Wy zmyślaliście. A jeśli zmyślasz, biada, wszyscy ci uwierzą. Ludzie nie wierzyli Semmelweisowi, który mówił lekarzom, żeby myli ręce, zanim dotkną nimi rodzącej kobiety. To, co mówił, było za proste. Ludzie wierzą tym, którzy sprzedają płyn na porost włosów. Czują instynktownie, że ci sprzedawcy skleją do kupy prawdy, które są osobne, że nie jest to logiczne i tkwi w tym zła wiara. Ale powiedziano im, że Bóg jest skomplikowany, niezgłębiony, a więc brak spójności postrzegają jako coś pasującego do natury Boga. Rzecz nieprawdopodobna jest najbardziej podobna do cudu. Wy właśnie wynaleźliście płyn na porost włosów. Nie podoba mi się to, bo brzydko się bawicie.

Cała ta historia nie popsuła nam pobytu w górach. Chodziłem na wspaniałe spacerunki, czytałem poważne książki, nigdy nie czułem się tak blisko mojego dziecka. Ale między mną a Lią pozostało jakieś niedopowiedzenie. Z jednej strony Lia przyparła mnie do muru i było jej przykro, że przez nią znalazłem upokorzenia, z drugiej wcale nie była pewna, czy mnie przekonała.

I rzeczywiście, odczuwałem tęsknotę za Planem, nie chciałem go porzucić, zbyt długo z nim żyliśmy.

Kilka dni temu wstałem wcześniej, żeby zdążyć na jedyny pociąg do Mediolanu. W Mediolanie zastał mnie telefon Belba z Paryża i zaczęła się historia, której jeszcze nie przeżyłem do końca.

Lia miała rację. Powinniśmy byli porozmawiać o wszystkim wcześniej. Ale i tak bym jej nie uwierzył. Tworzenie Planu przeżyłem jak chwilę Tiferet, serce sefirotycznego ciała, harmonię między regułą a wolnością. Diotallevi powiedział mi, że Mojżesz Kordowero ostrzegał: „Kto wynosi się swoją Torą nad niewiedzących, to znaczy nad cały lud Jahwe, skłania Tiferet do wynoszenia się nad Malchut”. Czym jednak jest Malchut, królestwo z tego świata, w swojej olśniewającej prostocie, zrozumiałem dopiero teraz. Wystarczająco wcześniej, by zrozumieć, ale być może za późno, żeby przeżyć prawdę.

Lio, nie wiem, czy cię zobaczę. Jeśli nie, ostatni twój obraz, jaki mam przed oczyma, to ty śpiąca rankiem kilka dni temu. Pocałowałem cię i przez chwilę się wahałem, zanim wyszedłem.

7

NECACH

Pies czarny, co przez ścierń tu zmierza,  
 .....  
 Widzisz, jak pętle w krąg zatacza.  
 Wciąż nas w ciaśniejszą biorąc sieć?  
 .....  
 Rzekłby kto, że nas w ciche koła  
 Bierze magiczny jego ruch.  
 .....  
 Krąg swój zacieśnia. Już przystaje.

*Faust. Tragedii część pierwsza;*  
 przeł. Artur Sandauer

O tym, co zdarzyło się podczas mojej nieobecności, a zwłaszcza w ostatnich dniach przed powrotem, mogę wnioskować jedynie z plików Belba. Ale tylko jeden był klarowny, podzielony na uporządkowane notatki, i był to plik ostatni, sporządzony pewnie przed wyjazdem do Paryża, żebym ja, czy ktoś inny, mógł go przeczytać – dla przyszłych pokoleń. Inne teksty, które zapewne jak zwykle pisał tylko dla siebie, nie były łatwe do zinterpretowania. Tylko ja, który wdarłem się w osobisty świat wyznań, jakie czynił Abulafii, mogłem je rozszyfrować, a przynajmniej snuć jakieś domysły.

Nadszedł czerwiec. Belbo był wzburzony. Lekarze przywykli do myśli, że on i Gudrun to jedyni krewni Diotalleviego, i wreszcie coś powiedzieli. Na pytania drukarzy i korektorów Gudrun odpowiadała, układając wargi, jakby wypowiadała jakieś jednozgłoskowe słowo, ale z jej ust nie wychodził żaden dźwięk. Tak nazywa się chorobę tabu.

Gudrun odwiedzała Diotalleviego codziennie i chyba musiała go drażnić spojrzeniem oczu łzawych z żalości. On wiedział, ale wstyd mu było, że wiedzą też inni. Mówił z trudem.



Belbo zapisał: „Z twarzy pozostał zarys szczęk”. Wypadały mu włosy, ale to wskutek terapii. Belbo zapisał: „Z dłoni pozostały palce”.

Zdaje mi się, że w trakcie jednej z przykrych rozmów Diotallevi zaczął już mówić Belbowi to, co powiedział mu potem ostatniego dnia. Belbo już trochę zdawał sobie sprawę, że angażowanie się w Plan było rzeczą złą, może nawet samym Złem. Ale chcąc, być może, nadać Planowi cechę obiektywności, przywrócić mu wymiar czystej fikcji, zapisał go słowo po słowie tak, jakby to był pamiętnik pułkownika. Relacjonował go jak wtajemniczony, który przekazuje ostatnią tajemnicę. Myślę, że dla niego była to dobra kuracja, gdyż przywracał literaturze, choćby i złej, to, co nie było życiem.

Ale dziesiątego czerwca musiało stać się coś, co nim wstrząsnęło. Notatki na ten temat są niejasne, jestem zdany na domysły.

Lorenza poprosiła, żeby odwiózł ją samochodem na Riwierę, gdzie miała odwiedzić jakąś przyjaciółkę, żeby coś od niej odebrać, jakiś dokument, akt notarialny, głupstwo, które można było wysłać pocztą. Belbo zgodził się, olśniony myślą, że spędzi z nią niedzielę nad morzem.

Pojechali tam, nie zdołałem się domyślić dokąd, może gdzieś w okolicy Portofino. Na podany przez Belba opis składały się nastroje, nie przezierały przez nie krajobrazy, lecz tylko kłótnie, chwile napięcia i przygnębienia. Kiedy Lorenza załatwiała swoją sprawę, Belbo czekał na nią w barze, a potem powiedział, że mogliby zjeść jakąś rybę w restauracji tuż nad morzem.

Od tego momentu opowieść stała się urywana, dedukowałem na podstawie urywków dialogu, który Belbo podał li-

nearnie, bez przecinków, jakby zapisywał na gorąco i bał się, że umknie mu ciąg epifonemów. Podjechali samochodem, jak daleko było to możliwe, potem szli tymi liguryjskimi ścieżkami wzdłuż brzegu, porośniętymi kwiatami i trudno dostępnymi, aż wreszcie dotarli do restauracji. Ale jak tylko usiedli, zobaczyli na sąsiednim stoliku kartonik z rezerwacją dla pana Agliègo.

„Spójrz, co za zbieg okoliczności” – powiedział zapewne Belbo. „Przykry zbieg okoliczności” – odparła Lorenza, która nie chciała, by Agliè się dowiedział, że przyjechała tu z Belbem. „Dlaczego nie chciałaś, co w tym było złego, dlaczego Agliè miał prawo być zazdrosny?” „Jakie znowu prawo, to kwestia dobrego smaku, zaprosił mnie dzisiaj na przejażdżkę i odpowiedziałam, że jestem zajęta, nie chciałabym wyjść na kłamczuchę”. „Nie wyjdiesz na kłamczuchę, spędzasz czas ze mną, czy jest to coś, czego należy się wstydzić?” „Wstydzić nie, ale pozwól, że pozostanę wierna swoim zasadom grzeczności”.

Wyszli z restauracji i ruszyli ścieżką z powrotem. Ale Lorenza nagle się zatrzymała, zobaczyła, że nadchodzą ludzie, których Belbo nie znał, przyjaciele Agliègo – wyjaśniła – i woli, żeby jej nie widzieli. Sytuacja upokarzająca, ona oparta na mostku nad zboczem porośniętym oliwkami, z twarzą zakrytą gazetą, jakby umierała z ciekawości, co też zdarzyło się na świecie, on dziesięć kroków od niej, paląc papierosa, jakby przechodził tędy przypadkowo.

Współbiesiadnicy Agliègo przeszli, ale – oznajmiła Lorenza – jeśli pójdą teraz ścieżką, spotkają jego, bo na pewno już idzie. Belbo mówił: do diabła z tym, do wszystkich diabłów, a jeżeli nawet? A Lorenza na to, że jest zupełnie pozbawiony

wrażliwości. Rozwiązanie: dotrzeć do parkingu, unikając ścieżki, idąc na skróty wzdłuż urwiska. Męcząca wędrówka po zalanych słońcem tarasach i Belbo zgubił obcas. Lorenza powtarzała: nie widzisz, jak tu pięknie, ale jeśli tyle się pali, to brakuje tchu.

Dotarli do samochodu i Belbo powiedział, że lepiej już wrócić do Mediolanu. „Nie - odparła Lorenza - może Agliè się spóźnił i miniemy go na autostradzie, zna twój samochód, zobacz tylko, jaki piękny dzień, pojedziemy bocznymi szosami, musi być wspaniale, potem wjedziemy na Autostradę Słońca i zjemy kolację gdzieś w Pawii, po drugiej stronie Padu”.

„Ale dlaczego po drugiej stronie Padu, ale co to znaczy bocznymi szosami, jest tylko jedna możliwość, spójrz na mapę, musimy wyjechać za Uscio, pokonać całe Apeniny, zrobić postój w Bobbio, a dopiero stamtąd dojeżdża się do Piacenzy; chyba oszalałaś, gorzej niż Hannibal ze słoniami”. „Nie ma w tobie ani krzty awanturnika, a zresztą pomyśl, jakie restauracyjki znajdziemy na tych wzgórzach. Przed Uscio jest «Manuelina», dwanaście gwiazdek w przewodniku Michelin, wszystkie ryby, jakie się nam zamarzą”.

W „Manuelinie” było pełno, kolejka klientów wytrzeszczających oczy na stoliki, na których podawano kawę. Lorenza powiedziała, że mniejsza z tym, kilka kilometrów dalej jest sto miejsc lepszych niż to. O wpół do trzeciej znaleźli restaurację w jakimś podłym miasteczku, którego nie nanosi się nawet na mapy wojskowe, bo wstyd - oznajmił Belbo, i zjedli przegotowany makaron z mięsem z puszki. Belbo pytał, co się za tym kryje, bo przecież nie przez przypadek kazała się zaprowadzić w miejsce, gdzie miał się zjawić Agliè, chciała

kogoś sprowokować, on zaś nie rozumie, którego z nich dwóch, a wtedy ona zapytała, czy nie jest paranoikiem.

Za Uscio trafili na jakąś szosę i kiedy przejeżdżali przez okolicę, która przypominała Sycylię w niedzielne popołudnie w czasach Burbonów, na drodze stanął wielki czarny pies, który wyglądał, jakby nigdy nie widział samochodu. Belbo potrącił go przednim zderzakiem, wyglądało to niegroźnie, ale kiedy wysiedli, zobaczyli, że biedne zwierzę skomli i toczy ślinę, bo ma brzuch czerwony od krwi i coś dziwnego, czerwonego (narządy płciowe, кишки?) wyszło na wierzch. Przybiegło kilku wieśniaków, utworzyło się zgromadzenie ludowe. Belbo pytał, kto jest właścicielem, bo chce wynagrodzić szkodę, ale pies był bezpański. Stanowili może dziesięcioprocentową reprezentację mieszkańców tego zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca, ale nikt nie wiedział, co to za jeden, chociaż wszyscy znali go z widzenia. Ktoś powiedział, że trzeba znaleźć sierżanta policji, który strzeli mu w łeb, i po wszystkim.

Szukano właśnie sierżanta, kiedy zjawiała się jakaś dama i oświadczyła, że jest miłośniczką zwierząt. „Mam sześć kotów” – wyjaśniła. „I co z tego – powiedział Belbo. – To jest pies, zdycha, a ja się spieszę”. „Pies czy kot, trzeba mieć trochę serca – odparła dama. – Nigdzie nie ma sierżanta, należy znaleźć kogoś z opieki nad zwierzętami albo z pobliskiego szpitala, może zwierzę da się uratować”.

Słońce padało prosto na Belba, na Lorenzę, na samochód, na psa i na wszystkich obecnych i wydawało się, że nigdy nie zachodzi. Belbo miał uczucie, jakby wyszedł z domu w samych kalesonach, ale nie mógł się obudzić; dama nie ustępowała, sierżanta ani śladu, pies nadal krwawił i dyszał, wy-

dając żałosne dźwięki. „Skowyczy” – powiedział Belbo, dbały o poprawną koniugację, a dama na to: „Pewnie, że skowyczy, cierpi biedactwo, nie może pan trochę uważać?” Wioska stopniowo osiągała boom demograficzny. Belbo, Lorenza i pies dostarczyli widowiska w smutne niedzielne popołudnie. Jakaś dziewczynka z lodami podeszła i zapytała, czy są z telewizji i organizują konkurs na miss Apeninu Liguryjskiego. Belbo kazał jej się wynosić, bo inaczej zrobi z nią tak jak z tym psem, dziewczynka zaczęła płakać. Przyszedł lekarz rejonowy i oznajmił, że dziewczynka jest jego córką i Belbo jeszcze nie wie, z kim ma do czynienia. Podczas szybkiej wymiany przeprosin i prezentacji okazało się, że lekarz opublikował u sławnego mediolańskiego wydawcy, Manuzia, *Dziennik z zapadłego rejonu*. Belbo dał się złapać w pułapkę i wyjaśnił, że jest *magna pars* u Manuzia; doktor zapragnął, żeby on i Lorenza zostali u niego na kolacji. Lorenza miotała się, szturchała go łokciem w bok, w końcu znajdziemy się w gazetach, diaboliczni kochankowie, nie mógł siedzieć cicho?

Słońce nadal było wysoko, kiedy dzwoniło na kompletę (znaleźliśmy się na Ultima Thule – skomentował sytuację Belbo przez zaciśnięte zęby – słońce przez sześć miesięcy, od północy do północy, i skończyły mi się papierosy), pies ograniczał się do tego, że cierpiał, i nikt już nie zwracał na niego uwagi. Lorenza oznajmiła, że ma atak astmy. Belbo nie miał już wątpliwości, że kosmos powstał wskutek błędu Demiurga. A wreszcie wpadł na myśl, że mogliby wsiąść do samochodu i poszukać pomocy w najbliższym mieście. Miłośniczka zwierząt wyraziła zgodę, niech jadą i wracają jak najszybciej; do człowieka, który pracuje u wydawcy poezji, można mieć zaufanie, ona także kocha Marina Moretti.

Belbo ruszył i przejechał cynicznie przez najbliższe miasto, Lorenza przeklinała wszystkie zwierzęta, którymi Pan Bóg zaplugawił ziemię od pierwszego do piątego dnia włącznie, a Belbo miał na to taki sam pogląd, ale ośmielił się poddać krytyce także dzieło dnia szóstego, a może nawet odpoczynek w siódmym, ponieważ doszedł do wniosku, że była to najokropniejsza niedziela, jaką zdarzyło mu się przeżyć.

Wjechali w Apenin, ale chociaż na mapie droga wyglądała na łatwą, zajęła im wiele godzin; przemknęli przez Bobbio i pod wieczór znaleźli się w Piacenzy. Belbo był zmęczony, chciał przynajmniej zjeść z Lorenzą kolację i wziął pokój dwuosobowy w jedynym wolnym hotelu, tuż przy stacji. Kiedy tam weszli, Lorenza oznajmiła, że ani myśli spać w takim miejscu. Belbo odparł, że mogą poszukać czegoś innego, ale niech pozwoli mu najpierw zejść do baru i wypić martini. Mógł wziąć tylko włoski koniak, wrócił do pokoju i Lorenzy już nie zastał. Zszedł do recepcji i dostał kartkę: „Kochanie, znalazłam wspaniały pociąg do Mediolanu. Wyjeżdżam. Zobaczymy się w tygodniu”.

Belbo pobiegł na stację, ale tory były już puste. Zupełnie jak w westernie.

Spędził noc w Piacenzy. Szukał jakiejś powieści kryminalnej, lecz kiosk na stacji był zamknięty. W hotelu znalazł jedynie periodyk Touring Clubu.

Na jego szczęście ten właśnie numer zawierał informacje na temat szos przez Apenin, którymi parę godzin temu jechali. W jego wspomnieniu – wyschłym już, jakby wszystko zdarzyło się dawno temu – były to tereny jałowe, słoneczne, z chmurami kurzu i pokryte śmieciami. Na kredowym papierze czasopisma były miejscami z marzeń, miejscami, do

których człowiek wracałby choćby na piechotę, rozkoszując się na każdym kroku. Wyspy Samoa Jima Konopiarza.

Jak można popędzić ku zgubie tylko dlatego, że potrafiło się psa? A jednak tak było. Tej nocy w Piacenzy Belbo doszedł do wniosku, że Plan jest schronieniem, dzięki któremu uniknie dalszych porażek, ponieważ w obrębie Planu to on decydował, kto, jak i kiedy.

I pewnie tego wieczoru postanowił zemścić się na Aglièm, chociaż nie wiedział, dlaczego i z jakiej przyczyny. Zaplanował wprowadzenie Agliègo do Planu tak, żeby ten się niczego nie domyślił. A z drugiej strony typowe dla Belba było szukanie odwetu, którego on byłby jedynym świadkiem. Nie chodziło o wstydlivość, ale o nieufność wobec świadectwa innych ludzi. Agliè, wciągnięty do Planu, zostałby unicestwiony, uleciałby z dymem jak knot świecy. Stałby się równie nierzeczywisty jak templariusze z Provins, różokrzyżowcy i sam Belbo.

Nie powinno to być trudne - myślał Belbo. Sprowadzi-  
liśmy do naszej miary Bacona i Napoleona, czemu więc nie  
miałoby się powieść z Aglièm? Także jego wyślemy na poszu-  
kiwanie mapy. Przecież od Ardentiego i wspomnienia o nim  
uwolniłem się, wprowadzając go do fikcji lepszej niż jego  
własna. Tak samo będzie z Aglièm.

Myślę, że wziął to poważnie, na miarę swojego zawiedzio-  
nego pragnienia. Ten plik kończył się, i nie mogło być ina-  
czej, obowiązkowym cytatem tych wszystkich, którym życie  
przyniosło porażkę: *Bin ich ein Gott?*

Co to za ukryty wpływ działa poprzez prasę we wszystkich wywrotowych ruchach, jakich mnóstwo dokoła nas? Czy dzieło prowadzą różne Siły? A może jest jedna jedyna Siła, grupa kierująca wszystkimi innymi, krąg Prawdziwych Wtajemniczonych?

Nesta Webster, *Secret Societies and Subversive Movements*,  
Boswell, London 1924, s. 348

Może zapomniałby o swoim zamiarze. Może by mu wystarczyło, że go zapisze. Może gdyby spotkał się od razu z Lorenzą... Wróciłoby pożądanie, a pożądanie zmusiłoby go do paktowania z życiem. Ale właśnie w poniedziałek po południu odwiedził go w biurze pachnący egzotycznymi wodami kolońskimi, uśmiechnięty Agliè, który oddał kilka maszynopisów zakwalifikowanych do odrzucenia i oznajmił, że czytał je podczas cudownego weekendu na Riwierze. Belbo na nowo poczuł urazę. I postanowił zadrwić z tamtego, błysnąć mu przed oczami heliotropem.

Tak więc, robiąc minę Buffalmacca, dał mu do zrozumienia, że od ponad dziesięciu lat dręczy go pewien sekret inicjacyjny. Chodzi o maszynopis powierzony mu przez niejakiego pułkownika Ardenti, który utrzymywał, że wszedł w posiadanie Planu templariuszy... Pułkownik został porwany albo zabity przez kogoś, kto zabrał jego papiery, ale przedtem wyszedł od Garamonda z tekstem wabikiem, rozmyślnie mylnym, fantastycznym i po prostu dziecinnym, który miał posłużyć jedynie do tego, by dać do zrozumienia, że pułkownik widział tekst z Provins i prawdziwe, ostateczne notatki Ingolfa, nadal poszukiwane przez morderców. Ale cieniutka teczka, zawierająca ledwie dziesięć stroniczek z prawdziwym tekstem, naprawdę znaleziona wśród papierów Ingolfa, pozo-



stała w rękach Belba.

Ależ to ciekawa sprawa - wykrzyknął Agliè - proszę mówić, bardzo proszę! I Belbo opowiedział. Opowiedział cały Plan tak, jak go wymyśliliśmy i jakby ujawniając treść tamtego maszynopisu. Oznajmił nawet, tonem coraz ostrożniejszym i poufnym, że również pewien policjant, niejaki De Angelis, dotarł na próg prawdy, ale trafił na mur hermetycznego - jakże pasuje tu to słowo - milczenia Belba, powiernika największego sekretu ludzkości. Sekretu, który w ostatecznym rachunku sprowadzał się do kwestii mapy.

W tym miejscu zrobił dłuższą przerwę, pełną niedopowiedzeń - jak wszystkie dłuższe przerwy. Jego powściągliwość w sprawie prawdy końcowej była rękojmią prawdziwości przesłanek. Dla człowieka, który naprawdę wierzy w tajemną tradycję (tak sobie wyliczył), nie ma rzeczy bardziej olśniewającej niż milczenie.

- Jakież to ciekawe, jakież ciekawe - powiedział Agliè, wyciągając tabakierkę z kamizelki, z miną, jakby myślał o czymś innym. - A... a mapa?

A Belbo myślał: podniecasz się, stary podglądaczu, dobrze ci tak, pozujesz na Saint-Germaina, tymczasem jesteś zwykłym szachrajem, żyjącym z gry w trzy karty, a potem kupujesz Koloseum od szachraja, który umiał cię oszachrować. Teraz wyślę cię na poszukiwanie mapy i znikniesz w trzeviach ziemi, porwany przez prądy, i rozwalisz sobie głowę o północny biegun jakiegoś celtyckiego sworznia.

Zrobił ostrożną minę.

- Naturalnie do rękopisu dołączona była mapa, a właściwie jej dokładny opis, odsyłacz do oryginału. I nawet pan sobie nie wyobraża, jakie proste okazało się rozwiązanie pro-

blemu. Mapa była w zasięgu wszystkich, każdy mógł ją sobie obejrzeć, przez stulecia przechodziły obok niej tysiące osób. Z drugiej strony system orientowania mapy jest tak elementarny, że wystarczy nauczyć się schematu na pamięć, usiąść byle gdzie i otworzyć mapę. To proste, a jednocześnie trudne do odgadnięcia... Proszę tylko zważyć, to tak, jakby mapa była wpisana (chcę jedynie dać panu wyobrażenie) w piramidę Cheopsa, rozpostarta na oczach wszystkich, a wszyscy by odczytywali i rozszyfrowywali piramidę, by znaleźć jakieś inne aluzje, nie przeczuwając zgoła niewiarygodnej, olśniewającej prostoty. Arcydzieła prostoduszności. I perfidii. Templariusze z Provins byli naprawdę magami.

- Niezwykle mnie pan zaciekał. Czy nie mógłbym zobaczyć tych dokumentów?

- Wyznaję, że zniszczyłem wszystko, dziesięć stron i mapę. Byłem przerażony, rozumie to pan, prawda?

- Nie chce chyba pan powiedzieć, że zniszczył dokument tej wagi...

- Zniszczyłem, ale, jak już panu powiedziałem, chodziło o coś absolutnie prostego. Mapa tkwi tutaj. - Wskazał na czoło i zachciało mu się śmiać, bo przypomniał sobie dowcip o Niemcu, który mówi: „Wszystko tu, w moja dupa”. - Już ponad dziesięć lat noszę w sobie tę tajemnicę, ponad dziesięć lat noszę tutaj tę mapę - raz jeszcze wskazał na czoło - jak obsesyjną myśl i przeraża mnie potęga, jaką mógłbym zyskać, gdybym tylko zechciał przejąć spuściznę Trzydziestu Sześciu Niewidzialnych. Teraz pojmuje pan, dlaczego przekonałem Garamonda, żeby zaczął publikować Izydę Obnażoną i historię magii. Czekam na właściwy kontakt. - I coraz mocniej wciągając się w swoją rolę, a także by poddać Agliègo

rozstrzygającej próbie, wyrecytował prawie dosłownie żarliwe słowa, jakie Arsen Lupin wypowiedział w obecności Beaufreleta w zakończeniu *Aiguille Creuse*: - „Bywają chwile, że moja potęga przyprawia mnie o zawrót głowy. Upaja mnie moja moc i władza”.

- Spokojnie, drogi przyjacielu - rzekł Agliè. - A jeśli zbyt łatwo uwierzył pan fantazjom zapaleńca? Czy to pewne, że tekst był autentyczny? Może zechciałby pan zaufać mojemu doświadczeniu w tych sprawach? Gdybyż pan wiedział, na ile tego rodzaju rewelacji natrafiłem w życiu, i to przynajmniej mogę poczytać sobie za zasługę, że wykazałem ich bezpodstawność. Wystarczyłby mi rzut oka na mapę, żeby ocenić jej wiarygodność. Muszę pochwalić się, że mam pewną wiedzę, może skromną, ale za to precyzyjną, w zakresie tradycyjnej kartografii.

- Doktorze Agliè - odparł na to Belbo - pan pierwszy przypomniałby mi, że wyjawiony sekret inicjacyjny niczemu już nie służy. Milczałem tyle lat, będę milczał nadal.

I milczał. Także Agliè, bez względu na to, czy okazał się głupcem, czy też nie, przeżywał poważnie swoją rolę. Całe życie spędził na zagłębianiu się w nieprzeniknione tajemnice, był więc święcie przekonany, że na ustach Belba zawsze pozostanie pieczęć milczenia.

W tym momencie weszła Gudrun i oznajmiła, że spotkanie w Bolonii zostało ustalone na piątek w południe.

- Może pan pojechać porannym ekspresem.

- To świetny pociąg - powiedział Agliè. - Ale trzeba mieć rezerwację, a szczególnie o tej porze roku.

Belbo zauważył, że nawet w ostatniej chwili można znaleźć miejsce, choćby w wagonie restauracyjnym, gdzie po-

dają śniadanie.

- Życzę tego panu. Bolonia, piękne miasto. Ale w czerwcu jest bardzo gorąco.

- Zostanę tylko dwie, trzy godziny. Muszę omówić tekst zbioru epigrafów, mamy kłopoty z reprodukowaniem. - A potem nagle strzelił: - To jeszcze nie wakacje. Biorę urlop mniej więcej w okresie letniego przesilenia, może zdecyduję się... Pojmuje pan. Liczę na pańską dyskrecję. Rozmawiałem z panem jak z przyjacielem.

- Umiem milczeć nawet lepiej niż pan. W każdym razie dziękuję za zaufanie.

I wyszedł.

Po tej rozmowie Belbo się uspokoił. Pełny triumf jego astralnej opowieści o nędzach i hańbach świata sublunarnego.

Następnego dnia zadzwonił do niego Agliè.

- Proszę mi wybaczyć, drogi przyjacielu. Znalazłem się w małym kłopotcie. Wie pan, że zajmuję się na skromną skalę handlem starymi książkami. Wieczorem dostałem z Paryża z dziesięć oprawionych osiemnastowiecznych woluminów, które mają sporą wartość i które muszę koniecznie dostarczyć do jutra mojemu korespondentowi we Florencji. Powiniennem sam je zawieźć, ale zatrzymują mnie inne zajęcia. Przyszło mi jednak do głowy pewne rozwiązanie. Pan ma jechać do Bolonii. Przyjadę na dworzec dziesięć minut przed odjazdem pociągu, powierzę panu małą walizkę, pan położy ją na siatce bagażowej i zostawi tam, w Bolonii, jeśli można, wysiadając jako ostatni, by mieć pewność, że nikt jej nie zabierze. Mój korespondent wsiądzie podczas postoju we Flo-

rencji i weźmie walizkę. Wiem, że to dla pana kłopot, ale jeśli odda mi pan tę przysługę, zyska sobie moją dozą wdzięczność.

- Chętnie - odparł Belbo. - Ale skąd pański przyjaciel we Florencji będzie wiedział, gdzie zostawiłem walizkę?

- Jestem bardziej przewidujący od pana i kupiłem miejscówkę, wagon ósmy, miejsce czterdzieste piąte. Aż do Rzymu, tak że ani w Bolonii, ani we Florencji nikt go nie zajmie. Widzi więc pan, że w zamian za kłopot, jaki panu sprawiam, daję panu gwarancję miejsca siedzącego bez konieczności biwakowania w wagonie restauracyjnym. Nie ośmieliłem się kupić również biletu, gdyż nie chciałem, żeby pomyślał pan, że w tak niedelikatny sposób chcę spłacić dług wdzięczności.

„Naprawdę po pańsku - pomyślał Belbo. - Przyśle mi skrzynkę cennych win. Żeby wypić za jego zdrowie. Wczoraj chciałem się go pozbyć, a dzisiaj oddaję mu przysługę. Cierpliwości, nie mogę odmówić”.

W środę rano Belbo udał się we właściwym czasie na dworzec, kupił bilet do Bolonii i spotkał Agliègo, czekającego już z walizką w ręku przy wagonie numer osiem. Była dosyć ciężka, ale nie kłopotliwa.

Belbo położył walizkę nad miejscem czterdziestym piątym i usadowił się z plikiem gazet. Wiadomością dnia był pogrzeb Berlinguera. Po jakimś czasie sąsiednie miejsce zajął jakiś brodaty mężczyzna. Belbo miał wrażenie, że gdzieś już przedtem musiał go widzieć (kiedy było po wszystkim, uświadomił sobie, że może na festynie w Piemencie, ale nie był pewny). W chwili odjazdu przedział był pełny.

Belbo czytał gazetę, ale pasażer z brodą próbował na-

wiązać ogólną rozmowę. Zaczął od uwag na temat upału, złej klimatyzacji, tego, że w czerwcu nigdy nie wiadomo, czy ubierać się jak w lecie, czy jak na wiosnę. Zwrócił uwagę, że najlepszym strojem jest lekki blezer, właśnie taki, jaki miał Belbo, i spytał, czy to angielski. Belbo potwierdził, firma Burberry, i wrócił do lektury.

- Stamtąd są najlepsze - stwierdził brodacz - ale pański jest szczególnie ładny, bo nie ma tych zanadto rzucających się w oczy złotych guzików. I jeśli pan pozwoli, doskonale pasuje do tego bordowego krawata.

Belbo podziękował za komplement i znów otworzył gazetę. Tamten kontynuował rozmowę z pozostałymi pasażerami o trudnościach dopasowania krawata do marynarki, a Belbo czytał. „Wiem - myślał - wszyscy patrzą na mnie jak na człowieka źle wychowanego, ale w pociągu niepotrzebne mi więzi międzyludzkie. Mam ich po dziurki w nosie na co dzień”.

Wtedy brodacz powiedział:

- Ileż gazet pan czyta, i to rozmaitych orientacji! Jest pan pewnie sędzią albo politykiem.

Belbo odparł, że nie, pracuje w wydawnictwie, które publikuje książki poświęcone arabskiej metafizyce, i powiedział to, bo miał nadzieję sterroryzować przeciwnika. I tamten najwyraźniej dał się sterroryzować.

Potem przyszedł kontroler. Spytał, jak to się stało, że Belbo ma bilet do Bolonii, a miejscówkę do Rzymu. Belbo odpowiedział, że w ostatniej chwili zmienił zamiar.

- Jakież to wspaniałe - oświadczył pan z brodą - móc podejmować decyzje zależnie od humoru, nie licząc się z każdym groszem! Zazdroszczę panu.

Belbo uśmiechnął się i odwrócił w drugą stronę. „No i teraz wszyscy patrzą na mnie, jakbym był rozrzutnikiem – powiedział sobie – albo obrabował bank”.

W Bolonii wstał i gotował się do wyjścia.

- Zapomniał pan walizki – powiedział sąsiad.

- Nie, we Florencji przyjdzie po nią pewien pan – odparł Belbo. – Proszę więc, byście państwo mieli ją na oku.

- Już ja się tym zajmę – oświadczył brodac. – Może pan na mnie polegać.

Belbo wrócił do Mediolanu wieczorem, po drodze kupił dwie puszki mięsa i trochę krakersów, włączył telewizor. Oczywiście, nadal Berlinguer. Informacja pojawiła się ukradkiem, na samym końcu.

Dziś przed południem w ekspresie relacji Bolonia-Florencja, w wagonie numer osiem pewien brodaty pasażer wyraził podejrzenia co do pasażera, który wysiadł w Bolonii, pozostawiając na siatce walizkę. Co prawda powiedział, że we Florencji ktoś ją odbierze, ale czyż nie w ten właśnie sposób postępują terroryści? A poza tym dlaczego kupił miejscówkę aż do Rzymu, skoro wysiadał w Bolonii?

Wśród podróżnych w przedziale zapanował niepokój. W pewnym momencie pasażer z brodą oświadczył, że nie zniesie dłużej tego napięcia. Lepiej popełnić błąd niż umrzeć: zawiadomił kierownika pociągu. Kierownik zatrzymał pociąg i wezwał straż kolejową. Nie wiadomo dokładnie, co się stało, pociąg stał w górach, zaniepokojeni pasażerowie wyroili się na tory, pirotechników ciągle nie było... Wreszcie specjaliści otworzyli walizkę i znaleźli w niej bombę zegarową nastawioną na godzinę przyjazdu do Florencji. Dostyc, żeby parę dziesiątków osób przeniosło się na tamten świat.

Policja nie zdołała znaleźć pana z brodą. Może przeniósł się do innego wagonu i wysiadł we Florencji, gdyż nie chciał trafić do gazet. Wzywa się go, by się ujawnił.

Inni pasażerowie pamiętali dokładnie mężczyznę, który zostawił walizkę. Miał to być osobnik budzący podejrzenie od pierwszego spojrzenia. Ubrany w angielską niebieską marynarkę bez złotych guzików i bordowy krawat, unikał rozmowy, robił wrażenie, jakby nie chciał, by zwracano na niego uwagę. Ale wymknęło mu się, że pracuje dla dziennika, wydawcy, zajmuje się w każdym razie czymś (i tutaj poglądy świadków nie były jednolite) mającym coś wspólnego z fizyką, metanem albo metafizyką. Ale z pewnością ma to jakiś związek z Arabami.

Zostały postawione w stan alarmu komisariaty i posterunki policji. Nadchodzą już rysopisy, które prowadzący śledztwo poddają starannej analizie. Rysownik policyjny sporządził portret pamięciowy, który pojawił się właśnie na ekranie. Rysunek nie przypominał Belba, lecz Belbo przypominał rysunek.

Nie mogło być najmniejszych wątpliwości. Człowiekiem z walizeczką był on. Tylko że walizeczka zawierała przecież książki Agliègo. Wykręcił jego numer, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Był już późny wieczór. Nie zdobył się na to, żeby wyjść na miasto, zażył proszek nasenny i poszedł spać. Następnego ranka znowu starał się złapać telefonicznie Agliègo. Cisza. Zszedł kupić gazety. Na szczęście cała pierwsza strona była jeszcze zajęta pogrzebem, informacja o pociągu oraz portret pamięciowy znalazły się gdzieś w środku. Podniósł kołnierz i wrócił do domu, gdzie zdał sobie sprawę, że nadal ma na



sobie blezer. Na szczęście już bez bordowego krawata.

Kiedy starał się zrekonstruować raz jeszcze fakty, rozległ się dzwonek telefonu. Nieznany głos, akcent cudzoziemski, może bałkański. Słowa miodopływne, jakby ów ktoś był osobiście zainteresowany sprawą i dzwonił wyłącznie z dobrego serca. Biedny panie Belbo, został pan wmieszany w nieprzyjemną historię. Nigdy nie należy robić nikomu takich uprzejmości, nie sprawdzając zawartości przesyłki. Znalazłby się w nie lada tarapatach, gdyby ktoś doniósł policji, że nieznanym z miejsca czterdziestego piątego jest pan Belbo.

Oczywiście można uniknąć tej ostateczności, jeśli tylko pan Belbo okaże dobrą wolę i chęć współpracy. Jeśli na przykład powie, gdzie jest mapa templariuszy. A ponieważ w Mediolanie grunt zaczyna mu się palić pod nogami – wiadomo bowiem, że zamachowiec wsiadł do ekspresu w Mediolanie – ostrożniej będzie przenieść całą sprawę na grunt neutralny, powiedzmy, do Paryża. Moglibyśmy spotkać się za tydzień w księgarni Sloane, rue de la Manticore 3. W południe dwudziestego czerwca spotka tam znajomego, tego pana z brodą, z którym tak miło konwersował w pociągu. Pan z brodą powie mu, gdzie ma się spotkać z innymi przyjaciółmi, a później bez pośpiechu, w doborowym towarzystwie, byleby zdążyć przed letnim przesileniem, opowie wreszcie to wszystko, co wie, i sprawa zakończy się bez szkody dla nikogo. Rue de la Manticore numer 3, łatwo zapamiętać.

Saint-Germain... Bardzo dystyngowany i pełen polotu... Mówi, że jest powiernikiem wszelkiego rodzaju tajemnic... Objawiając się, często korzystał z tego sławnego magicznego lustra, które stanowi składnik jego chwały... Ponieważ dzięki efektom katoptrycznym przywoływał upragnione cienie, prawie zawsze rozpoznane, jego kontakty z tamtym światem są rzeczą dowiedzioną.

Le Coulteux de Canteleu, *Les sectes et les sociétés secrètes*,  
Didier, Paris 1863, s. 170–171

Belbo czuł się zagubiony. Wszystko stało się jasne. Agliè uznał, że jego historia jest prawdziwa, chce dostać mapę, przygotował pułapkę i teraz ma go w ręku. Albo Belbo pojedzie do Paryża i wyjawি to, czego nie wie (ale tylko on wiedział, że nie wie, bo ja wyjechałem, nie zostawiając adresu, Diotallevi umierał), albo będzie miał na karku wszystkie komisariaty Włoch.

Czy to jednak możliwe, żeby Agliè zdecydował się na tak brudną grę? Co mu z tego przyjdzie? Trzeba by wziąć starego wariata za kołnierza i zaciągnąć na policję, bo tylko w ten sposób może wydostać się z tarapatów.

Wsiadł do taksówki i pojechał do pałacyku w pobliżu placu Piola. Okna zamknięte, a na bramie ogłoszenie agencji nieruchomości: DO WYNAJĘCIA. Czyste szaleństwo! Agliè mieszkał tu jeszcze tydzień temu, sam do niego telefonował. Zadzwoił do bramy sąsiedniego pałacyku. „Ten pan? Wyprowadził się właśnie wczoraj. Nie wiem dokąd, znałem go tylko z widzenia, trzymał się z daleka, zdaje się, że ciągle podróżował”.

Nie pozostało nic innego, jak zasięgnąć informacji w agencji. Ale tam o Aglièm nawet nie słyszano. Pałacyk zo-

stał wynajęty swego czasu przez firmę francuską. Opłaty wpływały regularnie przelewem bankowym. Najem został wymówiony w terminie dwudziestoczterogodzinnym, zrezygnowali z kaucji. Wszelkie sprawy, i to listownie, prowadził niejaki pan Ragotgky. Nic więcej nie wiedzą.

To niemożliwe. Rogotsky czy Ragotgky, tajemniczy gość pułkownika, poszukiwany przez tajemniczego De Angelisa i przez Interpol, krążył tu gdzieś i wynajmował nieruchomości. W naszej historii Rakosky od Ardentiego stał się nowym wcieleniem Raczkowskiego z Ochrazy, a ten oczywiście Saint-Germaina. Ale co to ma wspólnego z Aglièm?

Belbo, skradając się jak złodziej, poszedł do biura i zamknął się w swoim pokoju. Próbował podsumować sytuację.

Można postradać zmysły i Belbo był pewny, że już je postradał. I nie mógł się nikomu zwierzyć. Ocierając pot, prawie odruchowo i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, przerzucał leżące na biurku maszynopisy, które nadeszły poprzedniego dnia, aż nagle zobaczył u góry strony nazwisko Agliègo.

Spojrzał na tytuł maszynopisu. Dzieło pierwszego lepszego diabolisty. *Prawda o hrabim de Saint-Germain*. Zaczął czytać. Twierdzono tam, cytując biografię Chacornaca, że Claude-Louis de Saint-Germain podawał się kolejno za Monsieur de Surmont, hrabiego Sołtykowa, Mister Welldone'a, markiza de Belmar, księcia Rackoczi albo Ragozki, i tak dalej, ale nazwiska rodzinne brzmiały hrabia de Saint-Martin i markiz d'Agliè, od piemonckiej posiadłości przodków.

Doskonale, teraz Belbo wie, czego się trzymać. Nie tylko poszukuje się go bez wytchnienia za terroryzm, nie tylko Plan jest prawdziwy, nie tylko Agliè zniknął w ciągu dwóch

dni, lecz na dodatek okazało się, że nie jest wcale mitomanem, lecz prawdziwym, nieśmiertelnym hrabią de Saint-Germain, który nie zadawał sobie nawet trudu, żeby to ukryć. Jedyną prawdziwą rzeczą w tym wirze fałszów, które rzeczywistość weryfikuje, jest jego nazwisko. A nawet nie, także to nazwisko jest fałszywe. Agliè nie jest Aglièm, ale nieważne, kim jest naprawdę, gdyż faktycznie zachowywał się, i to od lat, jak postać z opowieści, którą my wymyśliliśmy dopiero potem.

Tak czy owak, Belbo nie miał wyboru. Agliè zniknął, więc nie może wskazać policji tego, kto wręczył mu walizkę. A gdyby nawet policja uwierzyła, ujawniłoby się, że otrzymał ją od człowieka ściganego za zabójstwo, człowieka, którego od co najmniej dwóch lat zatrudniał jako konsultanta. Nie ma co, piękne alibi!

Ale żeby wpaść na pomysł całej tej historii - która sama w sobie była wystarczająco powieściowa - i skłonić policję do przyjęcia jej za dobrą monetę, należałoby założyć jeszcze jedną historię, wychodzącą poza to zmyślenie. A mianowicie, że wysnuty przez nas Plan zgadza się punkt po punkcie, z gorączkowym poszukiwaniem mapy włącznie, z planem prawdziwym, w obrębie którego Agliè, Rakosky, Raczkowski, Ragotgky, pan z brodą, Tres, wszyscy, aż po templariuszy z Provins, już istnieli. I że pułkownik miał rację. Ale miał rację, myśląc się zarazem, gdyż w końcowym rachunku nasz Plan był inny niż jego i jeśli jego okazałby się prawdziwy, nasz nie mógł być prawdziwy, albo na odwrót, a więc jeśli my mamy rację, dlaczego dziesięć lat wcześniej Rakosky musiał odebrać pułkownikowi fałszywy memoriał?

Po przeczytaniu tamtego ranka tekstu, który Belbo zapisał

w Abulafii, miałem ochotę walić głową w mur. By przekonać się, że mur, że przynajmniej mur istnieje naprawdę. Wyobrażałem sobie, jak musiał się czuć tego dnia i w dniach następnych Belbo. Ale na tym nie koniec.

Szukając kogoś, kto mógłby udzielić mu informacji, zatelefonował do Lorenzy. Nie było jej. Poszedłby o zakład, że już jej nigdy nie zobaczy. Lorenza to istota wymyślona w pewien sposób przez Agliègo. Agliè to istota wymyślona przez Belba, sam Belbo zaś nie wiedział, przez kogo został wymyślony. Wziął do ręki gazetę. Jedyne pewnik to ten, że on jest człowiekiem z portretu pamięciowego. Aby utwierdzić go w tym przekonaniu, znowu zadzwoniono do niego, tym razem do biura. Ten sam bałkański akcent, te same zalecenia. Spotkanie w Paryżu.

- Ale kim jesteście?! - wykrzyknął Belbo.

- Tres - odpowiedział głos. - A pan o Tres wie więcej niż my.

Wtedy podjął decyzję. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer De Angelisa. W komisariacie robili mu trudności, miał wrażenie, że inspektor już tam nie pracuje. Potem ustąpili i połączyli go z jakimś biurem.

- Kogóż to słyszę, doktor Belbo - odezwał się De Angelis tonem, który Belbowi wydał się ironiczny. - Zastał mnie pan przypadkiem. Siedzę już na walizkach.

- Na walizkach? - Belbo przestraszył się, że to jakaś aluzja.

- Tak, zostałem przeniesiony na Sycylię. Zdaje się, że czeka mnie spokojna praca.

- Panie inspektorze, muszę z panem pomówić. To pilne, chodzi o tę historię...

- O historię? Jaką?

- Pułkownika. Także inną... Pytał pan kiedyś Casaubona, czy słyszał o Tres. Ja o nich słyszałem. Mam panu ważne rzeczy do powiedzenia.

- Niech pan da spokój. To już nie moja sprawa. Zresztą, czy nie za późno pan sobie przypomniał?

- Przyznaję, że przed laty coś przemilczałem. Ale teraz chcę mówić.

- Nie, doktorze Belbo, proszę nic nie mówić. Z całą pewnością ktoś podsłuchuje naszą rozmowę i chcę, by wiadano, że o niczym nie chcę słyszeć i o niczym nie wiem. Mam dwoje dzieci. Małych. I ktoś mi oświadczył, że może je spotkać coś złego. I chciano mnie przekonać, że to nie żarty, bo kiedy wczoraj rano moja żona uruchomiła samochód, wyleciała w powietrze maska silnika. Bardzo mały ładunek, niewiele większy niż petarda, ale wystarczający, by mnie przekonać, że jeśli zechcą, mogą. Poszedłem do komendanta i powiedziałem, że zawsze wykonywałem swoje obowiązki, robiłem więcej, niż było niezbędne, ale nie jestem bohaterem. Potrafiłbym może oddać własne życie, ale nie życie żony i dzieci. Poprosiłem o przeniesienie. A potem powiedziałem wszystkim, że jestem tchórzem, że mi to ciąży. A teraz mówię to także panu i tym, którzy nas słuchają. Zrujnowałem sobie karierę, straciłem szacunek dla samego siebie; prawdę mówiąc, wiem, że jestem człowiekiem bez honoru, ale ratuję moich najbliższych. Sardynia jest piękna, jak mi powiedziano. Nie będę musiał nawet oszczędzać, żeby latem wysłać dzieci nad morze. Do widzenia.

- Proszę poczekać, sprawa jest poważna, znalazłem się w tarapatach...

- W tarapatach? Jestem właściwie zadowolony. Kiedy prosiłem o pomoc, nie udzielił jej pan. Podobnie jak pański przyjaciel, Casaubon. Ale teraz, kiedy znalazł się pan w kłopotach, oczekuje ode mnie pomocy. Ja także jestem w tarapatach. Spóźnił się pan. Policja służy obywatelowi, jak mówią w filmach, tak pan uważa, prawda? Niechże się więc pan zwróci do mojego następcy.

Belbo odłożył słuchawkę. Bezbłędnie! Uniemożliwili mu nawet zwrócenie się do jedyne go policjanta, który mógłby mu uwierzyć.

Potem pomyślał, że Garamond przy wszystkich swoich znajomościach wśród prefektów, kwestorów, wysokich urzędników mógłby podać mu pomocną dłoń. Poszedł do niego.

Garamond wysłuchał grzecznie jego opowieści, przerywając uprzejmymi wykrzyknikami w rodzaju: „co też pan powie!”, „no proszę, czego muszę wysłuchiwać!”, „ależ to jak powieść, powiem więcej, jak historia zmyślona od a do zet!”. Potem złożył dłonie, spojrzał na Belba z nieskończoną sympatią i oznajmił:

- Mój chłopcze, pozwoli pan, że tak się będę zwracał, jako że mógłbym być pańskim ojcem... och, nie, może nie ojcem, jestem wszak człowiekiem jeszcze młodym, powiem więcej, młodzieńcem, ale starszym bratem, jeśli się pan zgodzi. Mówię prosto z serca, a znamy się przecież od wielu lat. Odniosłem wrażenie, że jest pan nadmiernie pobudzony, u kresu sił, jest pan człowiekiem o starganych nerwach, powiem więcej, zmęczonym. Proszę nie myśleć, że nie doceniam, wiem, że jest pan oddany ciałem i duszą naszej firmie wydawniczej i pewnego dnia trzeba będzie ująć tę ocenę w ter-

miny, by tak rzec, materialne, albowiem to także nie zaszkodzi. Jednak na pańskim miejscu wyjechałbym na urlop. Powiada pan, że znalazł się w sytuacji kłopotliwej. Szczerze mówiąc, unikałbym dramatyzowania, aczkolwiek, przyzna pan, dla firmy nie byłoby przyjemne, gdyby jej pracownik, najlepszy pracownik, został wplątany w jakąś podejrzaną historię. Mówi pan, że ktoś żąda od pana przyjazdu do Paryża. Nie chcę wchodzić w szczegóły, po prostu w to wierzę. I co z tego? Proszę jechać, czyż nie lepiej od razu wszystko wyjaśnić? Mówi pan, że znalazł się, by tak rzec, na stopie wojennej z takim dżentelmenem jak doktor Agliè. Nie chcę wiedzieć, co dokładnie zaszło między wami dwoma, i nie będę zbytnio roztrząsał tego przypadku homonimów, o którym zechciał pan wspomnieć. Na tym świecie mnóstwo ludzi nosi to samo nazwisko. Skoro Agliè poleca, by grzecznie poproszono pana o przyjazd do Paryża, niechże pan jedzie, wyjaśni wszystko, świat się od tego nie zawali. W stosunkach międzyludzkich potrzebna jest otwartość. Proszę jechać do Paryża i jeśli coś panu leży na żołądku, nie trzeba tego tłumić. Co w sercu, to na ustach. Czymże są te wszystkie tajemnice! Doktor Agliè, jeśli dobrze zrozumiałem, ubolewa nad tym, że nie chce mu pan powiedzieć, gdzie jest pewna mapa, plan, tekst, czy ja wiem, coś, co pan ma i na czym panu nie zależy, podczas gdy dla naszego Agliègo byłoby przydatne do badań. Chyba nie pomyłę się, jeśli powiem, że jesteśmy w służbie kultury. Niechże więc pan mu da tę mapę, atlas, plan topograficzny, nawet nie chcę wiedzieć, co to jest. Jeśli tak mu na tym zależy, istnieje jakiś powód, z pewnością godny szacunku, dżentelmen jest zawsze dżentelmenem. Proszę jechać do Paryża, wymienicie uścisk dłoni i będzie po wszystkim. Już



dobrze? I proszę się nie zamartwiać bardziej niż to konieczne. Proszę pamiętać, że ja zawsze jestem na posterunku.

Włączył interkom.

- Pani Grazio... Nie ma jej, nigdy jej nie ma, kiedy jest potrzebna. Pan ma swoje troski, drogi Belbo, ale gdybym panu opowiedział o moich... Do widzenia, jeśli spotka pan na korytarzu panią Grazię, proszę ją przysłać tutaj. I odpoczynek, polecam się.

Belbo wyszedł. Pani Grazii nie było w sekretariacie; zobaczył, że zapala się czerwone światełko bezpośredniego telefonu Garamonda, który najwidoczniej do kogoś dzwonił. Belbo nie oparł się pokusie (sądzę, że po raz pierwszy w życiu pozwolił sobie na taką niedyskrecję). Podniósł słuchawkę i podsłuchał rozmowę. Garamond mówił komuś: „Proszę się nie martwić. Sądzę, że go przekonałem. Pojedzie do Paryża... Mój obowiązek. Nie przypadkiem należymy do tego samego rycerstwa duchowego”.

A więc także Garamond miał udział w tajemnicy. Jakiej tajemnicy? Tej, którą teraz tylko on, Belbo, mógł ujawnić. I która nie istniała.

Był już wieczór. Poszedł do Piladego, zamienił parę słów nie wiadomo z kim, nie zachował miary w picciu. A następnego ranka odwiedził jedyne go przyjaciela, jaki mu pozostał. Poszedł do Diotalleviego. Miał prosić o pomoc człowieka, który umierał.

Z ostatniej ich rozmowy zostawił w Abulafii sprawozdanie, które świadczyło o trawiącej go gorączce i z którego nie umiałem wyłuskać, gdzie Diotallevi, a gdzie Belbo, ponieważ w obu przypadkach był to jakby szept kogoś, kto wypowiada

słowa prawdy, wiedząc, że nie czas już na igraszki złudzenia-  
mi.

I tak przydarzyło się rabbiemu Izmaelowi ben Elisza wraz z uczniami, którzy studiując Sefer Jecira, pomylili ruchy i podążali do tyłu, aż pogrążyli się w ziemi po pępek z przyczyny siły liter.

Pseudo-Saadja, *Komentarz do Sefer Jecira*

Nigdy nie był takim albinosem, chociaż nie miał teraz już prawie włosów na głowie, rzęs, brwi. Wyglądał jak kula bilar-dowa.

- Przepraszam - spytał go - czy mógłbym ci powiedzieć o moich sprawach?

- Mów. Ja nie mam już spraw. Tylko potrzeby. Przez duże „p”.

- Słyszałem, że wynaleźli jakąś nową terapię. Ta choroba pożera dwudziestolatków, ale w wieku pięćdziesięciu lat przebiega wolno i jest dość czasu, żeby znaleźć skuteczne rozwiązanie.

- Mów za siebie. Ja nie mam jeszcze pięćdziesięciu lat. Moje ciało jest młode. Spotkał mnie ten zaszczyt, że umrę przed tobą. Ale widzisz, że trudno mi mówić. Opowiedz swoją historię, będę mógł sobie odpocząć.

Posłuszeństwo, szacunek nakazały Belbowi opowiedzieć wszystko.

I wtedy Diotallevi, sapiąc jak Coś z filmu science fiction, zaczął mówić. Był przezroczysty jak To Coś, tak samo niedostrzegalna niemal była granica między tym, co zewnętrzne, a tym, co wewnętrzne, między skórą a mięśniami, między delikatnym białym puszkim, który wystawał jeszcze spod rozpiętej na brzuchu pizamy, a mazistą płataniną wnętrzości, którą tylko promienie X albo choroba w zaawansowanym sta-

dium potrafią uwidocznic.

- Jacopo, leżę w tym łóżku, nie mogę zobaczyć tego, co dzieje się na zewnątrz. Mogę tylko powiedzieć, że to, co mi opowiedziałeś, rozgrywa się albo wyłącznie w twojej głowie, albo w świecie zewnętrznym. W obu przypadkach nie ma różnicy, czy oszalałeś ty, czy też oszalał świat. W obu ktoś w większym stopniu, niż to dopuszczalne, przetworzył, wymieszał i poplątał słowa Księgi.

- Co masz na myśli?

- Zgrzeszyliśmy przeciwko Słowu, temu, które stworzyło i podtrzymuje świat. Zostałeś teraz ukarany, podobnie jak przedtem ja. Nie ma między nami żadnej różnicy.

Przyszła pielęgniarka, podała mu coś do zwilżenia warg, powiedziała Belbowi, żeby go nie męczył, ale Diotallevi się zbuntował:

- Proszę dać mu spokój. Muszę wyjawic Prawdę. Czy pani zna Prawdę?

- Och, ja, co to za pytanie, panie...

- Niech więc pani odejdzie. Muszę powiedzieć mojemu przyjacielowi coś ważnego. Słuchaj, Jacopo. Podobnie jak w ciele ludzkim są członki, stawy, organy, są też w Torze, zgadzasz się? I podobnie jak w Torze są członki, stawy, organy, są też w ciele ludzkim, zgoda?

- Zgoda.

- Rabbi Meir, kiedy uczył się od rabbiego Akiby, mieszał witriol z atramentem, a mistrz nie powiedział na to ani słowa. Ale kiedy rabbi Meir zapytał rabbiego Izmaela, czy postępuje właściwie, ten odparł: synu, zachowaj ostrożność w swojej pracy, bo jest to praca boża i jeśli tylko opuścisz jedną literę albo jedną literę dodasz, unicestwisz cały świat...

My próbowaliśmy napisać na nowo Torę, ale nie zawracaliśmy sobie głowy tym, czy dodajemy, czy też ujmujemy liter...

- To był tylko żart...

- Nie żartuje się z Tory.

- Ale to był żart z historii, z tego, co napisali inni...

- Czy istnieje tekst, który stwarzałby świat, a nie był Księgą? Podaj mi trochę wody, nie, nie w szklaneczce, zmocz tę szmatkę. Dziękuję. A teraz posłuchaj. Przystawienie liter Księgi oznacza przestawianie świata. Nie uniknie się tego. Każdej księgi, nawet elementarza. Czy ci faceci, choćby twój Wagner, nie powiadają, że jeśli ktoś igra ze słowami, anagramami i wywraca do góry nogami słownik, nosi plugawe rzeczy w sercu i nienawidzi swego ojca?

- Niezupełnie. To psychoanalitycy, mówią to dla pieniędzy, nie mają nic wspólnego z twoimi rabinami.

- Mają, mają, wszyscy są rabinami. Wszyscy mówią o tym samym. Sądzisz, że rabini, mówiąc o Torze, mówili o książkach do szyfrowania? Mówili o nas, którzy poprzez język chcemy odnowić nasze ciała. Posłuchaj teraz. Aby manipulować literami Księgi, trzeba wielkiej pobożności, a my jej nie mieliśmy. Każda księga jest poprzetykana imieniem Boga, a my, nie modląc się, tworzyliśmy anagramy ze wszystkich książek o historii. Nic nie mów, słuchaj. Ten, kto zajmuje się Torą, utrzymuje świat w ruchu i kiedy czyta albo pisze na nowo, utrzymuje w ruchu swoje ciało, bo nie ma części ciała, która nie miałaby swojego odpowiednika w świecie... Zmocz szmatkę, dziękuję... Jeśli naruszasz Księgę, naruszasz świat, jeśli naruszasz świat, naruszasz ciało. Tego nie zrozumieliśmy. Tora pozwala wyjąć jedno słowo ze swojej szka-

tułki, ukazuje się na moment i zaraz się chowa. A objawia się tylko temu, kto ją kocha. Jest jak piękna kobieta, która kryje się w swoim pałacu, gdzieś w zapomnianym pokoiku. Ma jednego kochanka, o którego istnieniu nikt nie ma pojęcia. A jeśli ktoś, kto nie jest nim, chce ją zgwałcić, położyć na niej swoje brudne łapy, ona stawia opór. Zna swojego kochanka, uchyla leciutko drzwi i ukazuje się na chwilę. I zaraz z powrotem się chowa. Słowo Tory objawia się tylko temu, kto je kocha. A my chcieliśmy mówić o księgach bez miłości i dla kpiny...

Belbo znowu zwilżył mu szmatką wargi.

- I co z tego?

- To, że chcieliśmy zrobić coś, co nie było nam dozwolone i do czego nie byliśmy przygotowani. Manipulując słowami Księgi, chcieliśmy stworzyć Golema.

- Nie rozumiem.

- Nie możesz już zrozumieć. Jesteś niewolnikiem tego, co stworzył. Ale twoja historia dzieje się nadal w świecie zewnętrznym. Nie wiem jak, ale możesz z tego wyjść. Ze mną inna sprawa, ja doświadczam na moim ciele tego, co dla zabawy robiliśmy w Planie.

- Nie gadaj głupstw, to kwestia komórek...

- A czymże są komórki? Przez całe miesiące niby pobożni rabini wypowiadaliśmy wargami inną kombinację liter Księgi, GCC, CGC, GCG, CGG. Tego, co nasze wargi wypowiadały, uczyły się nasze komórki. Co uczyniły moje komórki? Wymyśliły inny Plan i teraz żyją na własny rachunek. Moje komórki wymyślają historię, która jest inna niż historia wszystkich ludzi. Moje komórki nauczyły się już, że można bluźnić, tworząc anagramy z Księgi i wszystkich ksiąg

świata. I tego samego nauczyły moje ciało. Dokonują inwersji, transpozycji, alternacji, permutacji, tworzą komórki, jakich świat nie widział, i komórki bezsensowne albo mające sens przeciwny do właściwego. Musi istnieć sens właściwy i muszą istnieć sensy błędne, w przeciwnym razie się umiera. Ale one igrają bez wiary, na oślep. Jacopo, kiedy jeszcze mogłem czytać, przeczytałem w tych miesiącach wiele słowników. Studiowałem historię słów, żeby odkryć, co się dzieje z moim ciałem. My, rabini, tak właśnie postępujemy. Czy zastanawiałeś się kiedy nad tym, że termin z zakresu restryki, „metateza”, jest podobny do terminu onkologicznego „metastaza”? Zamiast „stopa” powiedz „psota”. I zamiast „barok” możesz mówić „robak”. To Temura. Słownik powiada, że „metateza” oznacza przemieszczenie, mutację. A „metastaza” oznacza mutację i przerzut. Jakie głupie są słowniki! Rdzeń jest ten sam, a mamy albo metatytemię, albo metystemię. „Metatytemia” oznacza: umieszczam w środku, przemieszczam, przenoszę, wstawiam zamiast, uchylam prawo, zmieniam sens. A „metystemia”? Ależ to samo: przemieszczam, permutuję, przestawiam, zmieniam utarty pogląd, tracę rozum. My właśnie, tak samo jak każdy, kto szuka tajemnego sensu poza literalnym, straciliśmy rozum. I to samo zrobiły posłusznie moje komórki. Dlatego umieram, Jacopo, i ty wiesz o tym.

- Mówisz tak teraz, bo się źle czujesz...

- Mówię tak teraz, bo wreszcie zrozumiałem wszystko o moim ciele. Studiuję je dzień po dniu, wiem, co się w nim dzieje, chociaż nie mogę na to wpływać, bo komórki przestały być posłuszne. Umieram, bo przekonałem moje komórki, że nie istnieje reguła i z każdym tekstem można ro-

bić, co się chce. Całe życie spędziłem na wmawianiu tego sobie, właśnie ja, dzięki mojemu mózgowi. I mój mózg musiał przesać im informację. Czemu miałbym żądać, by były ostrożniejsze od mojego mózgu? Umieram, ponieważ fantazjowaliśmy bez żadnej miary.

- Posłuchaj, to, co się z tobą stało, nie ma nic wspólnego z naszym Planem...

- Czyżby? A czemu przydarzyło ci się to wszystko? Świat zaczyna się zachowywać jak moje komórki.

Opadł wyczerpany na łóżko. Wszedł lekarz i powiedział, że nie można narażać umierającego na taki stres.

Belbo wyszedł i już nie zobaczył Diotalleviego.

„No dobrze - pisał - jestem poszukiwany przez policję z tych samych względów, z jakich Diotallevi ma raka. Biedny przyjaciel umiera, ale co mam robić ja, który nie mam raka? Jadę do Paryża, żeby odnaleźć regułę rozwoju tkanki rakowej”.

Nie od razu się poddał. Przez cztery dni siedział zamknięty w domu, porządkował swoje pliki, zdanie po zdaniu, próbując znaleźć wyjaśnienie. Potem sporządził relację, jakby testament, dla siebie samego, dla Abulafii, dla mnie, dla każdego, kto będzie mógł ją przeczytać. A w końcu we wtorek wyjechał.

Belbo udał się do Paryża, żeby powiedzieć im, jak sądzę, że nie ma żadnych tajemnic, że prawdziwa tajemnica polega na tym, by pozwolić komórkom postępować zgodnie z ich instynktowną mądrością, że szukając tajemnicy pod powierzchnią, sprowadza się świat do wymiaru plugawego raka. I że najbardziej plugawy i głupi był on sam, gdyż nie wiedział nic i wszystko zmyślił, i musiało go to kosztować niemało, ale



zbyt dawno już pogodził się z myślą, że jest tchórzem, a De Angelis wykazał mu, iż bohaterów jest niewiele.

W Paryżu nawiązał pierwszy kontakt i zdał sobie sprawę, że Oni mu nie wierzą. Byli zbyt prostacy. Czekali teraz na objawienie – pod karą śmierci. Belbo nie miał w zanadru żadnych objawień i bał się umrzeć, co było jego ostatnim aktem tchórzostwa. Starał się więc ich zgubić i zatelefonował do mnie. Ale dopadli go.

C'est une leçon par la suite. Quand votre ennemi se reproduira, car il n'est pas à son dernier masque, congédiez-le brusquement, et surtout n'allez pas le chercher dans les grottes.

Jacques Cazotte, *Le diable amoureux*, 1772,  
strona usunięta z następnych wydań

A teraz – zastanawiałem się w mieszkaniu Belba, kończąc czytanie jego zwierzeń – co powinienem zrobić ja? Nie ma sensu iść do Garamonda. De Angelis wyjechał. Diotallevi powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Lię zostawiłem daleko i w miejscu, gdzie nie ma telefonu. Jest sobota, dwudziesty trzeci czerwca, i jeśli coś ma się wydarzyć, wydarzy się tej nocy, w Conservatoire.

Musiałem bez zwłoki podjąć decyzję. Dlaczego – zadawałem sam sobie pytanie tamtego wieczoru w peryskopie – nie postanowiłeś zachowywać się tak, jakby nic się nie stało? Miałeś przed oczyma teksty napisane przez szaleńca, który opowiada o swoich rozmowach z innymi szaleńcami i o ostatniej rozmowie z człowiekiem nadmiernie pobudzonym i przygnębionym, gdyż umierającym. Nie jesteś nawet pewny, czy Belbo telefonował z Paryża, może znajdował się parę kilometrów od Mediolanu, a może w kabinie na rogu ulicy. Dlaczego masz zajmować się historią, być może istniejącą jedynie w wyobraźni i nie dotyczącą ciebie?

Ale te pytania zadawałem sobie w peryskopie, kiedy drętwiały mi nogi, światło wątpało i odczuwałem nienaturalny i jednocześnie naturalny strach, jaki każda istota ludzka musi odczuwać, kiedy znajdzie się sama nocą w pustym muzeum. Tego ranka natomiast nie czułem strachu. Tylko ciekawość.

I być może miałem poczucie obowiązku wobec przyjaciela.

Powiedziałem więc sobie, że też muszę jechać do Paryża, nie bardzo wiedziałem po co, ale nie mogłem zostawić Belba samego. Może oczekiwał tego ode mnie, tylko tego, bym zakradł się w nocy do pieczary thugów i kiedy Suyodhana będzie miał zagłębić nóż ofiarny w jego sercu, wtargnął pod sklepienie świątyni, przynosząc mu ratunek, z moimi sipajami uzbrojonymi w karabiny, które naładowali żelastwem.

Na szczęście miałem przy sobie trochę pieniędzy. W Paryżu wziąłem taksówkę i kazałem się zawieźć na rue de la Manticore. Taksówkarz klął jak szewc, bo nie mógł znaleźć tej ulicy w swoim przewodniku, i rzeczywiście był to zaułek wąski jak korytarz w pociągu, w okolicy Bièvre, na tyłach kościoła Saint-Julien-le-Pauvre. Taksówka nie mogła nawet tam wjechać i musiałem wysiąść na rogu.

Wszedłem z wahaniem w ten zaułek, w którym nie było żadnej bramy, ale w pewnym momencie uliczka rozszerzyła się nieco i zobaczyłem księgarnię. Nie wiem, dlaczego miała numer urzędowy „trzy”, skoro nie było numeru pierwszego, drugiego ani żadnego innego. Był to sklepik z jednym oknem, a połowa drzwi pełniła funkcję witryny. Po bokach z dziesięć książek, wystarczająco dużo, żeby wskazać, o jakie dzieła chodzi. Na dole szereg radiestetycznych wahadełek, zakurzonych opakowań kadzidełek, małych wschodnich i południowoamerykańskich amuletów. Liczne talie taroka, w najrozmaitszych stylach i opakowaniach.

Wnętrze nie było wcale przestronniejsze, mnóstwo książek na półkach i na podłodze, w głębi stolik i księgarz, który wyglądał, jakby znajdował się tu po to, by ten czy inny autor mógł napisać o nim, że jest starszy od swoich książek.

Sprawdzał coś w ręcznie zapisanym wielkim skoroszycie, nie zwracając uwagi na klientów. Zresztą w tym momencie było ich tylko dwóch; wzbijali tumany kurzu, ściągnąc stare woluminy, prawie wszystkie bez okładek, z grożących runięciem półek i pogrążali się w lekturze, przy czym nie wyglądali na takich, którzy by cokolwiek kupili.

Jedyną przestrzeń wolną od półek zajmował afisz. Krzykliwe kolory, szereg portretów *in tondo* z podwójnym obramowaniem jak na afiszach maga Houdiniego. *Le Petit Cirque de l'Incroyable. Madame Olcott et ses liens avec l'Invisible.* Twarz oliwkowa i męska, dwa pasma czarnych włosów zebranych w kok na karku; wydało mi się, że gdzieś już tę twarz widziałem. *Les Derviches Hurlleurs et leur danse sacrée. Les Freaks Mignons, ou Les Petits-fils de Fortunio Liceti.* Nagromadzenie przejmująco plugawych potworków. *Alex et Denys, les Géants d'Avalon. Theo, Leo et Geo Fox, Les Enlumineurs de l'Ectoplasme...*

Księgarnia Sloane dostarczała naprawdę wszystkiego, od kołyski po grób, a nawet zdrowej wieczornej rozrywki, na którą można było przyprowadzić dzieci, zanim utrze się je w moździerz. Usłyszałem dzwonek telefonu i zobaczyłem, że księgarz przekłada stos arkuszy, szukając aparatu. *Oui, monsieur* – powiedział wreszcie – *c'est bien ça*. Przez kilka minut słuchał, nie odzywając się, najpierw kiwając potakująco głową, potem robiąc minę wyrażającą zaniepokojenie, ale – powiedziałbym – na użytek obecnych, jakby wszyscy słyszeli to co on i jakby nie chciał brać za to odpowiedzialności. Potem przybrał ten wyraz twarzy oburzonego kupca paryskiego, kiedy prosi się go o coś, czego nie ma w jego sklepie, albo portiera hotelowego, kiedy ma ci powiedzieć, że brak wol-

nych pokojów. *Ah non, monsieur. Ah, ça... Non, non, monsieur, c'est pas notre boulot. Ici, vous savez, on vend des livres, on peut bien vous conseiller sur des catalogues, mais ça... Il s'agit de problèmes très personnels, et nous... Oh, alors, il y a - sais pas, moi - des curés, des... oui, si vous voulez, des exorcistes. D'accord, je le sais, on connaît des confrères qui se prêtent... Mais pas nous. Non, vraiment la description ne me suffit pas, et quand même... Désolé, monsieur. Comment? Oui... si vous voulez. C'est un endroit bien connu, mais ne demandez pas mon avis. C'est bien ça, vous savez, dans ces cas, la confiance c'est tout. A votre service, monsieur.*

Tamci dwaj klienci wyszli, poczułem się nieswojo. Podjąłem decyzję, kaszlnięciem zwróciłem na siebie uwagę starca i powiedziałem mu, że szukam pewnego znajomego, przyjaciela, który często bywa w tych stronach, monsieur Agliè. Spojrzał na mnie, jakbym był jego rozmówcą telefonicznym sprzed chwili. Może - dodałem - nie zna go jako Agliègo, ale jako Rakosky'ego albo Sołtykowa, albo... Spojrzał znowu na mnie, mrużąc oczy, z pozbawioną wyrazu twarzą, i zauważył, że mam szczególnych przyjaciół o wielu nazwiskach. Powiedziałem, że to nieważne, zapytałem ot, tak sobie. Proszę poczekać - odparł - zaraz przyjdzie mój wspólnik i może on zna osobę, której pan szuka. Proszę sobie usiąść, tam w głębi jest krzesło. Zadzwonię, żeby sprawdzić. Podniósł słuchawkę, wykręcił numer i zaczął coś mówić ścisłym głosem.

„Casaubon - powiedziałem sobie - jesteś jeszcze głupszy niż Belbo. Na co jeszcze czekasz? Żeby Oni przyszli i powiedzieli: och, jaki wspaniały zbieg okoliczności, jest tu również

przyjaciel Jacopa Belbo, prosimy, prosimy...”

Zerwałem się, ukloniłem i wyszedłem. W ciągu minuty przemknąłem przez rue de la Manticore, skręcałem w jakieś uliczki, aż znalazłem się nad Sekwaną. „Głupcze – mówiłem sobie – czego się spodziewałeś? Że zjawisz się, zastaniesz Agliègo, weźmiesz go za klapy, on zaś przeprosi, to zwykłe nieporozumienie, oto pański przyjaciel, nie spadł mu włos z głowy. I teraz wiedzą już, że ty też tu jesteś”.

Minęło już południe, wieczorem ma się coś zdarzyć w Conservatoire. Co robić? Ruszyłem rue Saint-Jacques, oglądając się od czasu do czasu. W pewnym momencie wydało mi się, że idzie za mną jakiś Arab. Czemu jednak pomyślałem, że to Arab? Charakterystyczną cechą Arabów jest to, że nie wyglądają na Arabów, przynajmniej w Paryżu, w Sztokholmie byłoby inaczej.

Zobaczyłem jakiś hotel, wszedłem i poprosiłem o pokój. Kiedy z kluczami w ręku wspinałem się po drewnianych schodach na pierwsze piętro z podestem, z którego przez balustradę widać było recepcję, ujrzałem, że do westybulu wchodzi rzekomy Arab. To naturalne, w tej części miasta znajdowały się hotele dla Arabów. Co sobie ubzdurałem?

Wszedłem do pokoju. Był całkiem porządny, nawet z telefonem, szkoda tylko, że nie miałem do kogo dzwonić.

Pograżyłem się w niespokojnej drzemce. O trzeciej obmyłem twarz i ruszyłem w stronę Conservatoire. Wszystko, co mogłem teraz zrobić, to wejść do muzeum, zostać w nim po zamknięciu i poczekać na północ.

Tak też uczyniłem. I na kilka godzin przed północą siedziałem w peryskopie i czekałem, aż coś się zdarzy.

Necach jest według niektórych interpretatorów sefirą Odporności, Wytrzymałości, bezustannej Cierpliwości. Czeka nas rzeczywiście Próba. Ale według innych interpretatorów jest Zwycięstwem. Czyim? Być może w tej historii przegranych - diabolistów okpionych przez Belba, Belba okpionego przez diabolistów, Diotalleviego okpionego przez swoje komórki - tylko ja byłem przez moment zwycięzcą. Czyhałem ukryty w peryskopie, wiedziałem o tamtych, oni zaś nie wiedzieli o mnie. Pierwsza część zamysłu przebiegła zgodnie z moimi planami.

A druga? Przebiegnie według moich planów czy może według Planu, który już do mnie nie należał?

8  
HOD



Dla naszych Ceremonii i Obrządków mamy dwie długie i piękne Galerie w Świątyni Różanego Krzyża. W jednej umieszczamy modele i przykłady wszystkich najrzadszych i najdoskonalszych wynalazków, w drugiej Posągi najważniejszych Wynalazców.

John Heydon, *The English Physitians Guide: Or a Holy Guide*, Ferris, London 1662, przedmowa

Zbyt długo już przebywałem w peryskopie. Musi być dziesięta albo nawet wpół do jedenastej. Jeśli coś ma się stać, stanie się w nawie, przed Wahadłem. Powinienem więc pomyśleć o wyjściu i wyszukaniu kryjówki, która byłaby dobrym punktem obserwacyjnym. Jeśli przyjdę tam za późno, kiedy Oni już wejdą (ale które?), zauważą mnie.

Wyjść stąd. Rozprostować nogi... Od kilku godzin nie mogłem myśleć o niczym innym, a teraz, kiedy mogę, kiedy byłoby to rozsądne, czuję się jak sparaliżowany. Musiałem przejść przez salę po ciemku, z umiarem korzystając z latarki. Ledwie odrobina nocnego światła przenikała przez okienka i jeśli wyobrażałem sobie, że muzeum będzie robiło upiorną wrażenie w świetle księżyca, myliłem się. Na gabloty padały od okien niewyraźne refleksy. Gdybym nie zachowywał ostrożności, mógłbym runąć na ziemię, potrącając jakiś przedmiot i wywołując krystaliczny albo metaliczny łoskot. Co jakiś czas włączałem latarkę. Czułem się jak w „Crazy Horse”, co chwila światło wyławiało niespodziewanie czyjaś nagość, ale nie cielesną, tylko goliznę śrub, imadeł, sworzni.

A gdybym nagle oświetlił jakąś istotę żywą, czyjaś postać, wysłannika Władców, który w sposób zwierciadlany odtwarza mój szlak? Kto krzyknąłby pierwszy? Nastawiłem ucha. Po co? Ja nie robiłem hałasu, poruszałem się na palcach.

Więc on tak samo.

Po południu przestudiowałem dokładnie układ sal i byłem przekonany, że nawet po ciemku znajdę schody. Okazało się jednak, że poruszam się prawie po omacku, a w końcu się zgubiłem.

Być może przechodziłem po raz drugi przez niektóre sale, może już nigdy się stąd nie wydostanę, być może to właśnie, to błędzenie między machinami, stanowiło obrządek.

W istocie rzeczy wcale nie chciałem zejść, w istocie rzeczy chciałem opóźnić chwilę spotkania.

Wyszedłem z peryskopu po dokonaniu długiego, bezlitosnego rachunku sumienia, przez wiele godzin roztrząsałem błąd, w jaki popadliśmy w ostatnich latach, i próbowałem zdać sobie sprawę, dlaczego bez żadnego racjonalnego powodu poszukuję teraz Belba, który znalazł się tutaj z powodów jeszcze mniej racjonalnych. Ale jak tylko postawiłem stopę na zewnątrz peryskopu, wszystko się odmieniło. Idąc przez muzeum, myślałem jakby nie swoim umysłem. Stałem się Belbem. I jak Belbo, który dotarł już do kresu długiej drogi ku objawieniu, wiedziałem, że każdy przedmiot na tej ziemi, choćby najnędzniejszy, jest odczytywany jako hieroglif czegoś innego i że nie ma niczego Innego równie rzeczywistego jak Plan. O tak, byłem przebiegły, wystarczał mi błysk, jedno spojrzenie w promyku światła, by zrozumieć. Nie dałem się oszukać.

...Motor Fromenta. Pionowa struktura na romboidalnej podstawie niby anatomiczny wosk, przez który przezierają sztuczne żebra, obejmowała cały szereg cewek, bo ja wiem czego, ogniów, przerywaczy, jakże, do diabła, nazywają je książki szkolne, uruchamianych przez pas transmisyjny,

łączący się poprzez przekładnię z kołem zębatym... Do czego mógł ten motor służyć? Odpowiedź oczywista: do mierzenia prądów tellurycznych.

Akumulatory. Co kumulują? Nie można uniknąć myśli o Trzydziestu Sześciu Niewidzialnych jako tyluż upartych sekretarzach (powiernikach sekretu), którzy stukają nocami w swoje piszące cymbałki, by wydobyć z nich dźwięk, iskłę, skargę, rozpięci w dialogu między jednym zębem a drugim, między otchłanią a powierzchnią, od Machu Picchu do wyspy Avalon, puk, puk, puk, szybko, szybko, szybko, Pamersiel, Pamersiel, przechwyciłem drzenie, prąd Mu 36, czczony przez braminów jako blady oddech Boga, teraz osadzam trzpień, obieg mikro-makrokosmiczny uruchomiony, pod skorupą planety drżą wszystkie korzenie mandragory, usłysz pieśń Powszechnej Sympatii, przejście zostało zamknięte.

Mój Boże, armie wykrwawiały się na europejskich równinach, papieże rzucali klątwy, władcy spotykali się, hemofiliotyczni i kazirodczy, w domku myśliwskim Ogrodów Pałatyńskich, by dać przykrywkę, zbyt kowną fasadę pracy tamtych, co w Domu Salomona nasłuchiwali bladych wezwań płynących od Umbilicus Mundi.

Byli tu, by uruchamiać te elektrokapilatory pseudotermiczne ezotetragramatyczne – czyż nie tak właśnie powiedziałby Garamond? – i raz na jakiś czas ktoś wynajdywał, bo ja wiem, szczepionkę albo żarówkę, by jakoś uzasadnić cudowną przygodę metali, ale właściwe zadanie było zupełnie inne: oto zebrali się tu wszyscy o północy, mają bowiem wprawić w ruch obrotowy tę maszynę statyczną Ducreteta, przezroczyście, wyglądające jak bandolier koło, z umieszczonymi z tyłu drgającymi kuleczkami podtrzymywanymi przez

dwie pałeczki o łukowatym kształcie, może wtedy się stykają, wyskakują z nich iskry. Frankenstein spodziewał się, że w ten sposób da życie swojemu golemowi, ale nie, należy oczekiwać innego sygnału, draż, draż, stary krecie...

...Maszyna do szycia (jakże inna od tych na ilustracjach reklamowych, gdzie sąsiaduje z pigułką na powiększenie biustu i wielkim orłem lecącym pośród gór i niosącym w szponach gorzkiego odnowiciela, Robura le Conquerant, R-C), ale jeśli się ją uruchomi, zacznie obracać koło, koło - pierścień, pierścień... Co robi ten, kto nasłuchuje pierścienia? Na etykietce podano „prądy indukowane przez pole ziemskie”. Bez żadnego wstydu, a mogą to przecież przeczytać także dzieci, kiedy przychodzą tu po południu, do tego stopnia ludzkość wierzy, iż zdąża w innym kierunku, można próbować wszystkiego, dokonać najwyższego eksperymentu, mówiąc, że chodzi o mechanikę. Władcy Świata oszukiwali nas przez stulecia. Byliśmy wyprowadzani w pole, otoczeni, uwiedzeni przez Spisek i pisaliśmy poematy pochwalne na cześć lokomotywy.

Chodziłem to tu, to tam. Mogłem wyobrazić sobie, że jestem mniejszy, mikroskopijny, i oto stałbym się zdumionym wędrowcem na ulicach mechanicznego miasta, najeżonego metalowymi drapaczami chmur. Cylindry, baterie, spiętrzone butelki lejdejskie, dwudziestocentymetrowa karuzela, *tournoi-quet électrique à attraction et repulsion*. Talizman do pobudzania prądów sympatii. *Colonnade étincelante formée de neuf tubes, électroaimant*, gilotyna, na środku - wyglądało to na maszynę drukarską - zwieszały się haki podtrzymywane przez łańcuchy, jakie zakłada się krowom. Maszyna drukarska, do której można wsunąć rękę, głowę przeznaczoną do zmiżdżenia. Szklany dzwon poruszany dwucylindrową ma-

szą pneumatyczną, coś w rodzaju alembiku, a pod spodem czasza i po prawej stronie miedziana kula.

Stojak na fajki z mnóstwem małych klepsydr o wydłużonych przewężeniach, przywodzących na myśl kobiety Modiglianiego, a w środku jakaś nieokreślona substancja, w dwóch rzędach po dziewięć, górne bańki na różnych wysokościach, jakby małe montgolfiery gotowe do lotu, trzymane jeszcze przez balast. Aparat do wytwarzania *rebis* - na oczach wszystkich.

Dział szkła. Już tu byłem. Zielone butelki, jakiś pan domu, sadysta, podsuwa mi stężone trucizny. Żelazne maszyny do produkcji butelek, otwierane i zamykane za pomocą dwóch dźwigni, i co by się stało, gdyby zamiast butelki włożyć tam nadgarstek? Ciach, tak właśnie, jak powinno stać się w przypadku tych obcęgów, nożyc, tych skalpeli o zakrzywionych ostrzach, które można wsuwać do zwieraczy, w uszy, w macicę, by wydobyć z niej ciepły jeszcze płód, a potem utrzeć go z miodem i pieprzem, by zaspokoić pragnienie Asztarte... Szedłem teraz przez salę z dużymi gablotami, dostrzegałem przelotnie przyciski służące do uruchamiania śrubowych świdrów, które kieruje się nieubłaganie ku oku ofiary. Studnia i Wahadło, to prawie karykatura, jak niepotrzebne maszyny Goldberga, jak prasa do tortur, w której Drewniana Noga trzymał związaną Myszkę Miki, *engrenage extérieur à trois pignons*, triumf renesansowej mechaniki, Branca, Ramelli, Zonca, znałem te przekładnie, wykorzystałem je w cudownej historii metali, ale tu zostały umieszczone później, były gotowe na przyjęcie buntowników po podbiciu świata, templariusze nauczyli się od asasynów, jak uciszyć Noffa Dei w dniu, kiedy go schwytają, swastyka von Sebottendorffa wykręci

w stronę słońca udręczone członki wrogów Władców Świata, wszystko jest gotowe, czekają na znak, dzieje się jawnie, Plan jest własnością publiczną, ale nikt nie zdoła go odgadnąć, skrzypiące paszcze odśpiewają hymn konkwisty, wielka orgia ust zredukowanych do jednego zęba, wargi zwierają się w tykającym skurczu, jakby w jednej chwili wszystkie zęby rozsypały się po ziemi.

I w końcu znalazłem się przed *émetteur à étincelles soufflées*, zaprojektowanym do wieży Eiffla, by przesyłał sygnały czasu między Francją, Tunezją a Rosją (templariusze z Provins, paulicjanie i asasyni z Fezu – Fez nie jest w Tunezji, asasyni zaś byli w Persji, ale co z tego, nie można się bawić w subtelności, kiedy żyje się w spiralach Czasu Subtelnego). Widziałem już tę ogromną maszynę, wyższą ode mnie, o ścianach podziurawionych szeregiem luków, otworów wentylacyjnych, kto chciał mi wmówić, że to aparat radiowy? Ależ tak, znam to, przechodziłem tamtędy dzisiejszego popołudnia. Beaubourg!

Na naszych oczach. I rzeczywiście, czemu miałyby służyć to ogromne pudło w samym środku Lutecji (Lutecja, włącz do morza podziemnego mułu), tam gdzie niegdyś był *Ventre de Paris*, z tymi nochalami do chwytania prądów powietrza, tym szaleństwem rur, przewodów, tym uchem Dionizjusza otwartym na zewnętrzną pustkę, by emitowało dźwięki, posłannictwa, sygnały aż do środka kuli ziemskiej i zwracało je, rzygając informacjami z piekła? Najpierw Conservatoire jako laboratorium, potem wieża jako sonda, a wreszcie Beaubourg jako globalne urządzenie nadawczo-odbiorcze. Może wystawili tę ogromną przyssawkę dla uciechy czterech nieostrzyżonych i cuchnących studentów, którzy przychodzą,

żeby wysłuchać przez japońskie słuchawki najnowszej płyty? Na naszych oczach, Beaubourg jako brama do podziemnego królestwa Agartty, jako pomnik Equites Synarchici Resurgentes. A tamci, dwa, trzy, cztery miliardy Tamtych, nie wiedzą o tym, albo starają się nie wiedzieć. Głupcy i hylicy. A pneumatycy przez sześć wieków zwróceni ku swojemu celowi.

Nagle trafiłem na schody. Zszedłem, zachowując coraz większą ostrożność. Zbliżała się północ. Muszę się skryć w moim obserwatorium, zanim przyjdą Oni.

Była chyba jedenasta, może trochę wcześniej. Przemierzyłem salę Lavoisiera, nie zapalając latarki, pamiętałem bowiem o popołudniowych halucynacjach, i wszedłem na korytarz z modelami kolejowymi.

W nawie ktoś już był. Zobaczyłem ruchliwe i chwiejne światełka. Usłyszałem szybkie kroki, odgłos pchanych czy wleczonych po posadzce przedmiotów.

Zgasilem latarkę. Czy zdązę dotrzeć do budki strażnika? Prześlizgnąłem się obok szaf z modelami pociągów i wkrótce znalazłem się w transporcie, w pobliżu posągu Gramme'a. Wznosił się na drewnianym cokole w kształcie sześcianu (sześcienny kamień z Esod!), jakby strzegąc wejścia do chóru. Pamiętałem, że mój Posąg Wolności jest zaraz za jego plecami.

Przednia powierzchnia cokołu uniosła się, tworząc jakby pomost, umożliwiający wyjście z szybu wentylacyjnego. I rzeczywiście, wyszedł stamtąd jakiś osobnik z latarnią – może gazową – z kolorowymi szybkami, oświetlającą twarz czerwonym płomieniem. Wtuliłem się w kąt i nie zobaczył mnie. Podszedł do niego ktoś z chóru. „Dalej – powiedział do tamte-

go – szybko, za godzinę tu będą”.

Była to więc awangarda, która przygotowywała ceremonię.

Jeśli nie jest ich zbyt wielu, mogę jeszcze przemknąć się niepostrzeżenie do Posągu. Zanim przybędą tą samą drogą Oni, kto wie skąd i ilu. Długo trwałem tak, skulony, śledząc wzrokiem błyski latarek w kościele, periodyczne zmiany świateł, chwile mniejszej lub większej ich intensywności. Obliczałem, kiedy oddalą się od Posągu, tak by znalazł się w cieniu. W pewnym momencie zaryzykowałem, prześlizgnąłem się na lewą stronę Gramme’a – wtulając się z trudem w mur i napinając mięśnie brzucha. Szczęście, że jestem chudy jak szczapa. Lia... Podbiegłem i wsunąłem się do budki.

Aby być możliwie niewidocznym, usiadłem na podłodze, ale musiałem przyjąć pozycję płodu. Serce biło mi szybciej, a może to szczękały zęby.

Trzeba się rozluźnić. Oddychałem regularnie przez nos, stopniowo zaczerpując coraz więcej powietrza. Sądzę, że podczas tortur można w ten sposób świadomie stracić przytomność, by uniknąć bólu. Rzeczywiście poczułem, że powoli pogrążam się w objęciach Świata Podziemnego.



Nasza sprawa jest tajemnicą wewnątrz tajemnicy, tajemnicą czegoś, co pozostaje zasłonięte, tajemnicą, którą jedynie inna tajemnica może objaśnić, jest to tajemnica dotycząca tajemnicy, której się czyni zadość tajemnicą.

Dżafar al-Zadik, szósty imam

Powoli przytomniałem. Usłyszałem jakieś dźwięki, raziło mnie mocniejsze teraz światło. Zdrętwiały mi nogi. Spróbowałem podnieść się powolutku, by mnie nie usłyszano, i odniosłem wrażenie, że stoję na kupie jeżowców. Syrena. Starając się zachować ciszę, zrobiłem kilka ruchów, parę przysiadów i poczułem się lepiej. Dopiero wtedy wystawiłem ostrożnie głowę, rozejrzałem się na prawo i lewo i widząc, że budka pozostaje raczej w cieniu, zdołałem dojść do siebie.

Cała nawa była oświetlona dziesiątkami latarek przyniesionych przez uczestników ceremoniału, którzy gromadzili się za moimi plecami. Z pewnością przyszli kanałami i teraz przesuwali się po lewej stronie, wchodząc do chóru i ustawiając się w nawie. „O Boże – powiedziałem sobie – sabat na Łysej Górze w wersji Walta Disneya”.

Nie mówili, szeptali, ale w takiej gromadzie wytwarzali intensywny szmer jak statyści w operze: rabarbar, rabarbar.

Po lewej stronie ustawiono półkole z latarek, zamykając spłaszczonym kręgiem wschodnią krzywiznę chóru i sięgając skrajnym punktem tego pseudopółkola, po stronie południowej, do posągu Pascala. W tym miejscu postawiono kosz z żarzącymi się węglami, na które ktoś rzucał zioła, wonności. Dym docierał do budki, wysuszał mi gardło, wywołując uczucie pobudzenia i jednocześnie odurzenia.

W pełgającym świetle latarek spostrzegłem, że pośrodku chóru porusza się jakiś zwiewny i ruchliwy cień.

Wahadło! Nie kołysało się w swoim zwykłym miejscu w połowie skrzyżowania transeptu z nawą. Zostało zawieszone, większe, na zworniku w samym środku chóru. Potężniejsza kula, mocniejszy sznur, jak mi się wydawało, konopny albo skręcony z drutów.

Było teraz ogromne, tak właśnie musiało wyglądać w Pantheonie. To jakby patrzeć na Księżyc przez teleskop.

Chcieli je przywrócić do pierwotnego stanu, w jakim było pół tysiąclecia przed Foucaultem, kiedy templariusze podejmowali pierwsze eksperymenty. Żeby mogło wahać się swobodnie, usunięto całe wyposażenie, dając amfiteatrowi chóru tę surową, symetryczną antystrofę wyznaczoną przez latarki.

Zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób Wahadło utrzymuje stałość wahań, skoro pod posadzką chóru nie może być magnetycznego regulatora. Po chwili zrozumiałem. Przy skraju chóru, koło silników Diesla, stał jakiś osobnik, który – przemieszczając się szybkimi kocimi ruchami zgodnie ze zmianami płaszczyzny wahań – precyzyjnym ruchem ręki, lekkim dotknięciem palca dawał kuli słaby impuls za każdym razem, kiedy opadała w jego kierunku.

Był we fraku jak Mandrake. Potem, kiedy przyjrzałem się jego towarzyszom, miałem się domyślić, że jest to prestidigitator, iluzjonista z Petit Cirque Madame Olcott, perfekcjonista umiejący dozować nacisk palców, o mocnym nadgarstku, zręcznie wykorzystujący w swojej pracy infinityzmalne odchylenia. Być może potrafił cienką podeszwą swoich wyglansowanych butów wyczuwać wibracje prądów i poruszać rękami zgodnie z logiką sfery i ziemi, której sfera odpowiadała.

Jego towarzysze. Widziałem teraz także ich. Przechodzili między stojącymi w nawie automobilami, prześlizgiwali się obok *draisiennes* i motocykli, prawie przetaczali się w cieniu, ten niosąc na obszerny krużganek w głębi krzesło i stół przykryty czerwonym suknem, tamten ustawiając kolejne latarki. Mali, nocni, szemrzący jak rachityczne dzieci, a u jednego, który przechodził nieopodal, zauważyłem mongoidalne rysy i łysą głowę. Freaks Mignons Madame Olcott, paskudne małe potwory, które widziałem na afiszu w księgarni Sloane.

Cyrk znalazł się tu w komplecie jako personel, policja i choreografowie obrządku. Zobaczyłem Aleksa i Denysa, *les Géants d'Avalon*, w skórzanych, nabijanych ćwiekami pasach; naprawdę olbrzymi, jasnowłosi, stali oparci o wielką bryłę *obéissant*, z rękoma założonymi w oczekiwaniu.

Nie miałem czasu na zadawanie sobie dalszych pytań. Ktoś wkroczył uroczyście, nakazując wyciągniętą ręką milczenie. Rozpoznałem Bramantiego tylko dzięki temu, że miał na sobie szkarłatną szatę, białą opończę oraz infułę, a widziałem go już w tym stroju tamtego wieczoru w Piemoncie. Bramanti podszedł do kosza z węglami, rzucił coś na żar, wzbił się płomień, potem biały, obfity dym i po całej nawie rozszedł się stopniowo zapach. „Zupełnie jak w Rio – pomyślałem – jak podczas alchemicznego festynu. I nie mam *agogõ*”. Zasłoniłem chusteczką nos i usta. Ale już mi się wydawało, że widzę dwóch Bramantich, a Wahadło obraca się we wszystkie strony niczym karuzela.

Bramanti zaintonował monotonnym głosem:

- *Alef bet gimel dalet he waw zajn chet tet jud kaf lamed mem nun samech ajin pe cade kuf resz szin sin tow!*

Tłum odpowiedział modlitewnie:

- Parmesiel, Padiel, Kamuel, Aseliel, Barmiel, Gediel, Asyriel, Maseriel, Dorchtiel, Usiel, Kabariel, Rajsziel, Symiel, Armadiel...

Bramanti dał znak, ktoś wystąpił z tłumu i klęknął u jego stóp. Przez mgnienie oka widziałem twarz. Był to Riccardo, człowiek z blizną, malarz.

Bramanti zadawał mu pytania, on zaś odpowiadał, recytując z pamięci formuły rytuału.

- Kim jesteś?

- Jestem adeptem, niedopuszczonym jeszcze do najwyższych tajemnic Tres. Przygotowywałem się w milczeniu, w analogicznej medytacji nad tajemnicą Bafometa, w świadomości, że Wielkie Dzieło obraca się wokół sześciu nienaruszonych pieczęci i że dopiero na końcu poznamy tajemnicę siódmej.

- Jak zostałeś przyjęty?

- Przechodząc przez prostopadłą do Wahadła.

- Kto cię przyjął?

- Mistyczny Legat.

- Rozpoznałeś go?

- Nie, gdyż był zamaskowany. Znam tylko Rycerza stopnia wyższego niż mój, ten zaś Naometrę stopnia wyższego niż swój i każdy zna tylko jednego. I tego pragnę.

- *Quid facit Sator Arepo?*

- *Tenet Opera Rotas.*

- *Quid facit Satan Adama?*

- *Tabat Amata Natas. Mandabas Data Amata, Nata Sata.*

- Czy przyprowadziłeś niewiastę?

- Tak, jest tutaj. Powierzyłem ją temu, któremu miałem powierzyć. Jest gotowa.

- Idź i trwaj w oczekiwaniu.

Francuszczyzna dialogu była daleka od doskonałości po obu stronach. Potem Bramanti powiedział:

- Bracia, zgromadziliśmy się tu w imię Zakonu Jedynego, Zakonu Nieznanego, do którego należeliście zawsze, choć do wczoraj o tym nie wiedzieliście! Przysięgnijmy. Niechaj klątwa spadnie na profanującego tajemnicę. Niech klątwa spadnie na wyjawiających Sprawy Tajemne, niechaj klątwa spadnie na tego, który robi widowisko z Obrzędów i Misteriów.

- Niechaj spadnie klątwa.

- Klątwa na Niewidzialne Kolegium, na bękarcich synów Hirama i wdowy, na mistrzów operatywnych i spekulatywnych wschodniego i zachodniego kłamstwa, Dawnego albo Rektyfikowanego, na Misraim i Memfis, na Filatetów i Dziewięć Sióstr, na Ścisłą Obserwę i na Ordo Templi Orientis, na Iluminatów z Bawarii i Awinionu, na Rycerzy Kadosz, na Wybranych Kohen, na Doskonałą Przyjaźń, na Rycerzy Czarnego Orła i Świętego Miasta, na Różokrzyżowców z Anglii, na Kabalistów Złotej Róży + Krzyża, na Golden Dawn, na Katolicki Czerwony Krzyż Świątyni i Graala, na Gwiazdę Zaranną, na Astrum Argentinum i na Thelema, na Vrila i na Thule, na wszelkiego dawnego i mistycznego uzurpatora imienia Wielkiego Białego Bractwa, na Czuwających Świątyni, na każde Kolegium i każde Przeorstwo Syjonu albo Galii!

- Niechaj spadnie klątwa.

- Ktokolwiek przez naiwność, z rozkazu, z powodu prozelityzmu, z wyrachowania albo złej wiary został wtajemniczony w lożę, kolegium, przeorstwo, kapitułę, zakon, bezprawnie poddaje się obediencji Nieznanych Zwierzchników i Władców

Świata, tej nocy niech wyrzeknie się błędu i błaga o włączenie jedynie w ducha i ciało jedynej i prawdziwej obserwacji, w Tres, Templi Resurgentes Equites Synarchici, trójjedyny i trójsoficzny zakon mistyczny i najtajniejszy Rycerzy Synarchicznych Odnowy Templarnej!

- *Sub umbra alarum tuarum!*

- Wejdą teraz dygnitarze trzydziestu sześciu stopni ostatecznych i najtajniejszych.

I kiedy Bramanti wywoływał pojedynczo wybranych, ci wchodzili w liturgicznych strojach, wszyscy z godłem Złotego Runa na piersi.

- Rycerz Bafometa, Rycerz Sześciu Pieczęci Nienaruszonych, Rycerz Siódmej Pieczęci, Rycerz Tetragramu, Rycerz Kat

Floriana i Dei, Rycerz Atanora... Czcigodny Naometra Turris Babel, Czcigodny Naometra Wielkiej Piramidy, Czcigodny Naometra Katedr, Czcigodny Naometra Świątyni Salomona, Czcigodny Naometra Hortus Palatinus, Czcigodny Naometra Świątyni w Heliopolis...

Bramanti recytował godności, wymienieni wchodzili grupami, tak że nie potrafiłem przypisać każdemu jego tytułu, ale z pewnością wśród pierwszych dwunastu dostrzegłem De Gubernatisa, starca z księgarni Sloane, profesora Camestresa i innych, których spotkałem tamtego wieczoru w Piemoncie. I zdaje mi się, że jako Rycerza Tetragramu zobaczyłem pana Garamonda, uroczystego i majestatycznego, przejętego swoją nową rolą, dotykającego drżącymi rękami Runa na piersi.

Bramanti zaś ciągnął:

- Mistyczny Legat Karnaku, Mistyczny Legat Bawarii, Mi-

styczny Legat Barbelognostyków, Mistyczny Legat Camelotu, Mistyczny Legat Montsegur, Mistyczny Legat Ukrytego Imama... Najwyższy Patriarcha Tomaru, Najwyższy Patriarcha Kilwinning, Najwyższy Patriarcha Saint-Martin-des-Champs, Najwyższy Patriarcha Marienbadu, Najwyższy Patriarcha Niewidzialnej Ochrony, Najwyższy Patriarcha *in partibus* Twierdzy Alamut...

I z całą pewnością Patriarchą Niewidzialnej Ochrony był Salon, nadal szary na twarzy, ale bez płaszcza i olśniewający teraz w żółtej szacie haftowanej czerwienią. Za nim szedł Pierre, psychopompa Kościoła Lucyferańskiego, mający na piersi nie Złote Runo, ale sztylet w złoczonej pochwie.

Bramanti zaś ciągnął:

- Wzniosły Hierogam Wesela Chemicznego, Wzniosły Psychopompa Rodostauracyjny, Wzniosły Referendarz Najtajniejszych Arkanów, Wzniosły Steganograf Hieroglificznej Monady, Wzniosły Łącznik Astralny Utriusque Cosmi, Wzniosły Strażnik Grobowca Rosencreutza... Nieważki Archont Prądów, Nieważki Archont Wydrążonej Ziemi, Nieważki Archont Mistycznego Bieguna, Nieważki Archont Labiryntów, Nieważki Archont Wahadła Wahadeł...

Bramanti zrobił przerwę i miałem wrażenie, że ostatnią formułę wypowiada z najwyższą niechęcią.

- I Nieważki pośród Nieważkich Archontów, Sługa Sług, Najpokorniejszy Sekretarz Edypa Egipskiego, Najniższy Wysłannik Władców Świata i Odźwierny Agartty, Ostatni Trybulator Wahadła, Claude-Louis hrabia de Saint-Germain, książę Rakoczi, hrabia de Saint-Martin i markiz d'Agliè, pan de Surmont, markiz Welldone, markiz de Monferrat, Aymar i Belmar, hrabia Sołtykow, kawaler Schoening, hrabia Tzaro-

gy!

Podczas gdy reszta zajmowała miejsca na krużganku twarzami do Wahadła i wiernych z nawy, wszedł Agliè, ubrany w niebieski dwurzędowy garnitur, blady, z twarzą świadczącą o napięciu, prowadząc za rękę, jakby towarzyszył duszy na ścieżce Hadesu, również bladą i jakby oszołomioną narkotykiem, ubraną tylko w białą, półprzezroczystą suknię, z włosami opadającymi na ramiona - Lorenzè Pellegrini. Zobaczyłem ją z profilu, czystą i chorowitą jak preraphaelicka cudzołożnica. Zbyt przejrzysta, żeby znowu nie wzbudzić mojego pożądania.

Agliè zaprowadził Lorenzè do kosza z węglami stojącego obok posągu Pascala, pogładził ją po jakby nieobecnej twarzy i dał znak Olbrzymom z Avalonu, żeby podtrzymali ją i odprowadzili na bok. Potem usiadł za stołem twarzą do wiernych i teraz widziałem go doskonale, kiedy wyjmował z kamizelki swoją tabakierkę i gładził ją chwilę w milczeniu, zanim zabrał głos.

- Bracia, rycerze! Znaleźliście się tutaj, ponieważ w tych dniach Mistyczni Legaci udzielili wam stosownych informacji, wszyscy więc znacie powód tego zgromadzenia. Mieliśmy spotkać się w noc dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, a być może wielu z was nie było jeszcze wtedy na świecie, w każdym razie w obecnym kształcie. Przyszliśmy tu, gdyż po sześciuset latach bolesnego błędzenia znaleźliśmy tego, który wie. Jak się dowiedział, a dowiedział się więcej niż my, to niepokojąca zagadka. Ale wyznaję, że jest wśród nas (i naprawdę nie mógłbyś zawieść, drogi przyjacielu, który już kiedyś okazałeś nadmierną ciekawość), wyznaję, powiedziałem, że jest wśród



nas ktoś, kto powinien nam to wyjaśnić. Ardenti!

Pułkownik Ardenti - z pewnością tenże pułkownik Ardenti, kruczoczarny jak dawniej, chociaż postarzały - utorował sobie drogę między obecnymi i stanął przed tym, który był teraz jego trybunałem, trzymany jednak z dala przez Wahadło, które wyznaczało przestrzeń objętą zakazem wstępu.

- Jakże dawno się nie widzieliśmy, przyjacielu! - Agliè się uśmiechnął. - Wiedziałem, że kiedy zostanie rozgłoszona wiadomość, nie oprzesz się. A więc? Wiesz, co powiedział więzień, a dowiedział się tego od ciebie. Wiedziałeś więc i milczałeś.

- Hrabio - rzekł Ardenti - więzień kłamie. Mówiąc to, upokarzam się, ale honor przede wszystkim. Historia, którą mi opowiedziałem, jest inna niż ta, którą wyjawili mi Mistyczni Legaci. Interpretacja tekstu (tak, to prawda, wpadł mi w ręce pewien tekst, nie ukrywałem go przed panem wiele lat temu w Mediolanie) jest odmienna... Nie byłbym w stanie odczytać go tak, jak to zrobił więzień, i dlatego szukałem wtedy pomocy. I muszę wyznać, że nie spotkałem się z zachętą, lecz tylko z nieufnością, wyzwaniem i groźbami... - Może chciał powiedzieć coś innego, ale patrząc na Agliègo, patrzył również na Wahadło, które miało na niego czarodziej-ski wpływ. Jak zahipnotyzowany padł na kolana i oznajmił tylko: - Proszę o wybaczenie, gdyż nie wiem.

- Zostało ci wybaczone, gdyż umiesz nie wiedzieć - odrzekł Agliè. - Idź. Tak więc, bracia, więzień wiedział zbyt wiele rzeczy, których nie wiedział nikt z nas. Wie nawet, kim jesteśmy, chociaż my sami wiemy to od niego. Trzeba się spieszyć, aby świt nas nie zaskoczył. Wy pozostaniecie tutaj, pogrążając się w medytacji, ja raz jeszcze zamknę się z nim,

żeby wydrzeć z niego informację.

- Ach, nie, panie hrabio! - Pierre, z rozszerzonymi tęczęwkami, stanął w półokręgu. - Dwa dni pan z nim rozmawiał, o niczym nas nie powiadamiając, i on niczego nie wiedział, nic nie powiedział, niczego nie słyszał, jak trzy małpki. O co jeszcze chce go pan spytać dzisiejszej nocy? Nie, tutaj, tutaj, wobec wszystkich!

- Proszę się uspokoić, drogi Pierre. Sprowadziłem tę, którą uważam za najsubtelniejsze wcielenie Sophii, mistycznej więzi między światem błędu a Najwyższą Ogdoadą. Niech pan nie pyta, jak i dlaczego, ale przy takiej pośredniczce ten człowiek przemówi. Powiedz mu, kim jesteś, Sophio.

I Lorenza, nadal pogrążona w jakimś stanie somnambulicznym, przemówiła z trudem, skandując słowa:

- Ja jestem... dziwką i świętą.

- Ach, to dobre! - Pierre się roześmiał. - Mamy tutaj śmietankę wtajemniczonych, a odwołujemy się do prostytutki. Nie, niech ten człowiek stanie natychmiast tutaj, w obliczu Wahadła.

- Nie bądźmy dziecinni - rzekł Agliè. - Proszę dać mi godzinę. Czemu sądzi pan, że tutaj, przed Wahadłem, zacznie mówić?

- Zacznie mówić, kiedy będzie ginął. *Le sacrifice humain!*  
- wykrzyknął Pierre w stronę nawy. A nawa odpowiedziała wielkim głosem:

- *Le sacrifice humain!*

Wystąpił Salon.

- Hrabio, dajmy pokój dziecinadom, ten brat ma rację. Nie jesteśmy policjantami...

- Chyba pan nie powinien tego mówić - zadrwił Agliè.

- Nie jesteśmy policjantami i nie uważamy za rzecz godną trzymać się zwykłych metod śledczych. Ale nie wierzę również w to, że mogą mieć jakąś wartość ofiary składane siłom podziemnym. Gdyby chciały dać nam znak, uczyniłyby to dawno. Oprócz więźnia wiedział ktoś jeszcze, tyle że zniknął. A więc mamy dzisiaj wieczoru możliwość skonfrontowania z więźniem tych, którzy wiedzą, i... - uśmiechnął się, patrząc na Agliègo spod krzaczastych brwi na wpół przy-mkniętymi oczyma - skonfrontowania go z nami albo niektórymi z nas...

- Co pan ma na myśli, Salon? - spytał Agliè głosem, w którym wyraźnie zabrzmiała niepewność.

- Jeśli pan hrabia pozwoli, ja to wyjaśnię - oznajmiła Madame Olcott. To ona, widziałem ją na afiszu. Ziemista cera, podkreślona przez oliwkowy kolor sukienki, włosy błyszczące od olejków, spięte z tyłu, męski, zachrypnięty głos. W księgarni Sloane wydawało mi się, że znam skądś tę twarz, i teraz przypomniałem sobie: to była druidessa, która tamtej nocy, na polanie, o mały włos na nas nie wpadła. - Alex, Denys, przyprowadźcie więźnia.

Przemawiała rozkazującym tonem, zdawało się, że szmer w nawie jest jej przychylny; olbrzymi posłuchali, powierzając Lorenzè Freaks Mignons. Agliè zacisnął dłonie na poręczy krzesła i nie śmiał się sprzeciwić.

Madame Olcott dała znak swoim potworkom i między posągiem Pascala a *obéissant* postawiono trzy foteliki, na których poleciła teraz usadowić trzech osobników. Wszyscy trzej mieli ciemną karnację, wielkie białe oczy, byli drobni, ale muskularni.

- Trojaczki Fox, zna ich pan dobrze, hrabio. Theo, Leo,

Geo, siadajcie i przygotujcie się.

W tym momencie pojawili się z powrotem olbrzymi z Avalonu, trzymając pod ramiona Jacopa Belbo, który sięgał im ledwie do ramienia. Mój biedny przyjaciel był sinoblady na twarzy, nieogolony od kilku dni, miał ręce skrępowane z tyłu i koszulę rozpiętą na piersi. Wstępując w te zadymione szranki, zamrugał. Nie robił wrażenia zdziwionego zgromadzeniem hierofantów, w ostatnich dniach musiał się przyzwyczaić do niejednego.

Nie spodziewał się jednak widoku Wahadła, a w każdym razie nie w tym miejscu. Olbrzymi zawlekli go przed krzesło Agliègo. Nie widział teraz Wahadła, słyszał tylko cichy szum, kiedy przemykało tuż za jego plecami.

W pewnej chwili odwrócił się i zobaczył Lorenzę. Był to dla niego wstrząs, chciał ją zawołać, spróbował uwolnić ręce, ale Lorenza przypatrywała mu się obojętnym wzrokiem, zapewne go nie rozpoznając.

Belbo z pewnością chciał zapytać Agliègo, co jej zrobili, ale nie miał na to czasu. Z głębi nawy, z okolicy kasy i stoisk z książkami, dobiegł warkot bębnow i kilka piskliwych tonów fletów. Nagle drzwiczki czterech samochodów otworzyły się i ukazały się cztery istoty, które także widziałem na afiszu Petit Cirque.

W filcowych kapeluszach bez rona, przypominających fezy, obszernych, zapiętych po szyję czarnych płaszczach, Les Derviches Hurleurs wysiedli z samochodów jak wskrzeszeni z martwych, którzy powstają z grobów, i przykucnęli na skrajach magicznego kręgu. Z fletów w głębi dobywała się teraz muzyka pełna słodyczy, a oni łagodnie uderzali dłońmi w ziemię i skłaniali głowy.

Z kabiny aeroplanu Bregueta jak muezin z minaretu wychylił się piąty tancerz, który zaczął zawodzić w jakimś nieznanym mi języku, jęcząc, lamentując przenikliwymi tonami, a jednocześnie znowu zabrzmiały bębny, stopniowo wzmagając intensywność dźwięku.

Madame Olcott pochyliła się ku braciom Fox i szeptała im słowa zachęty. Wszyscy trzej opadli na fotele, z rękami płasko na oparciach, z zamkniętymi oczami, i zaczęli się pocić, poruszając wszystkimi mięśniami twarzy.

Madame Olcott zwróciła się do zgromadzonych dygnitarzy:

- Teraz moi zacni braciszkuje sprowadzą między nas trzy osoby wiedzące. - Zrobiła krótką przerwę i dodała: - Edwarda Kelleya, Heinricha Khunratha i... - następna przerwa - hrabiego de Saint-Germain.

Po raz pierwszy Agliè stracił panowanie nad własną twarzą. Wstał z krzesła i był to błąd. Potem podbiegł do kobiety, prawie cudem unikając szlaku Wahadła, i wykrzyknął:

- Żmijo, kłamczyni, wiesz doskonale, że nie może to być...!  
- I zwracając się do zgromadzonych: - Oszustwo, oszustwo! Powstrzymajcie ją!

Ale nikt się nie poruszył, tylko Pierre zajął miejsce na krześle i oznajmił:

- Kontynuujemy, madame.

Agliè uspokoił się. Odzyskał zimną krew i odszedł na bok, wchodząc między obecnych.

- Dalej - rzucił wyzywającym tonem. - W takim razie spróbujmy.

Madame Olcott machnęła ręką jak na starcie wyścigu. Tony wydobywane z instrumentów, coraz bardziej przenikliwe,

rozbiły się na kakofonię dysonansów; bębny warczały, nie trzymając rytmu. Tancerze, którzy zaczęli już poruszać tułowiami w przód i w tył, w lewo i w prawo, podnieśli się, zrzucając płaszcze i wyciągając sztywno ramiona, jakby gotowali się do lotu. Po chwili znieruchomienia zaczęli wirować wokół własnej osi, używając lewej nogi jako punktu oparcia, z twarzami wzniesionymi do góry, skupieni i zagubieni, a w ślad za nimi wirowały ich plisowane peleryny, rozkładając się w kształt dzwonów; wyglądali jak kwiaty szarpane przez huragan.

W tym czasie media jakby zeszywniały z pełnymi napięcia i zniekształconymi twarzami; miało się wrażenie, że chcą się wypróżnić, ale daremnie; oddychały chrapliwie. Światło od węgla osłabło i akolici Madame Olcott zgasili wszystkie stojące na ziemi latarki. Kościół oświetlony był tylko rozproszonym światłem latarek z nawy.

Stopniowo dokonywał się cud. Z ust Theo Foksa zaczęła się dobywać jakby biaława piana, która powoli się zestalała, i podobna piana, choć z pewnym opóźnieniem, wychodziła z ust jego braci.

- Odwagi, braciszku - szeptała przymilnie Madame Olcott. - Dalej, jeszcze trochę, tak, właśnie tak...

Tancerze śpiewali urywanymi, histerycznymi głosami, kiwali głowami, które po jakimś czasie opadły i bujały się bezwładnie; okrzyki, jakie z siebie dobywali, były najpierw spazmatyczne, później zaś przeszły w rżenie.

Wydawało się, że z mediów sączy się substancja gazowa, powoli gęstniejąca: była jak lawa, jak biało, które stopniowo wyzwała; wzbijała się i opadała, krętymi, węzowymi ruchami muskała ich ramiona, piersi, nogi. Nie wiedziałem już, czy

wychodzi im z porów skóry, z ust, uszu, oczu. Tłum napierał do przodu, cisnąc się coraz bliżej mediów, w stronę tancerzy. Wyzbyłem się wszelkiego lęku. Byłem pewny, że wtopię się w ciżbę, wyszedłem więc z budki, wystawiając się jeszcze bardziej na opary, które unosiły się pod sklepieniami.

Wokół mediów przemykała jakaś luminescencja o mlecznych i niewyraźnych konturach. Substancja właśnie oddzielała się od nich i przybierała jakieś amebowe kształty. Z kłębu jednego z braci oderwało się coś w rodzaju ostrza, które zakrzywiło się i z powrotem wspięło na jego ciało, wyglądało prawie jak ptak, który chce dziobnąć. Na czubku ostrza zaczęły się formować dwie wciągane narośle, przypominające rogi ślimaka...

Tancerze mieli zamknięte oczy, pianę na ustach; nie zaprzestając obrotów wokół własnej osi, zaczęli, na ile pozwalało miejsce, ruch okrężny dokoła Wahadła, przy czym cudem nie przecinali jego trajektorii. Wirując coraz szybciej, pozrzucaли berety, więc powiewały im długie czarne włosy i miałem wrażenie, że głowy ulatują, odrywając się od tułowi. Podobnie jak tamtego wieczoru w Rio, wydawali z siebie okrzyki: houu, houu, houuuuuu...

Białe formy stawały się coraz wyrazistsze, jedna z nich przybrała mgliste kontury postaci ludzkiej, druga była nadal fallusem, bańką, alembikiem, trzecia zaś wyraźnie przybierała kształt ptaka, sowy o wielkich oczach i spiczastych uszach, o dziobie krzywym jak usta starej nauczycielki przyrody. Madame Olcott spytała pierwszą formę:

- Kelley, to ty?

I z formy dobył się głos. Nie był to z pewnością głos Foksa, ale jakiś odległy głos, który z trudem syczał:

- *Now... I do reveale, a... mighty Secret if you marke it well...*

- Tak, tak - nalegała kobieta.

- *This very place is call'd by many names... Earth... Earth is the lowest element of All... When thrice yee have turned this Wheele about... thus my greate Secret I have revealed...*

Theo Fox zrobił ruch ręką, jakby błagał o zmiłowanie.

- Odpocznij trochę, ale utrzymaj rzecz... - powiedziała Madame Olcott. Potem zwróciła się do formy sowej: - Rozpoznaję cię, Khunrath, co chcesz nam powiedzieć?

Sowa zaczęła dobywać z siebie dźwięki:

- *Hallelu... Iah... Hallelu... Iah... Was...*

- *Was?*

- *Was helfen Fackeln Licht... oder Briln... so die Leut... nicht sehen... wollen...*

- Chcemy - powiedziała Madame Olcott. - Wyjaw, co wiesz...

- *Symbolon kosmou... ta antra... kai tan enkosmion... du-nameon erithento... oi theologoi...*

Także Leo Fox był u kresu sił, głos sowy stawał się coraz węższy. Leo skłonił głowę i z najwyższym trudem utrzymywał formę. Nieubłagana Madame Olcott zachęciła go, by wytrwał, i zwróciła się do ostatniej formy, która przybrała teraz postać człekokształtną.

- Saint-Germain, Saint-Germain, to ty? Co wiesz?

I forma zaczęła nucić jakąś melodię. Madame Olcott nakazała muzykantom trochę uciszyć zgiełkliwą muzykę: tancerze nie wydawali już z siebie zawodzenia, wirowali tylko, coraz bardziej wycieńczeni.

Forma śpiewała:



- *Gentle love, this hour befriend me...*

- To ty, poznaję - zachęcała Madame Olcott. - Mów, powiedz, gdzie, co...

Forma oznajmiła:

- *Il était nuit... La tête couverte du voile de lin... j'arrive... je trouve un autel de fer, j'y place le rameau mystérieux... Oh, je crus descendre dans un abîme... des galeries composées de quartiers de pierre noire... mon voyage souterrain...*

- To fałsz, fałsz! - wykrzyknął Agliè. - Bracia, wszyscy znacie ten tekst, to *Très Sainte Trinosophie*, napisałem go ja, każdy może go sobie przeczytać, wydając sześćdziesiąt franków!

Podbiegł do Geo Foksa i zaczął tarmosić go za rękę.

- Stój, oszuście! - wrzasnęła Madame Olcott. - Zabijesz go!

- A jeśli nawet! - wykrzyknął Agliè, zwalając medium z fotela.

Geo Fox chwycił się własnej wydzieliny, która, pociągnięta jego upadkiem, nikła, spływając ku dołowi. Geo opadł w lepki śluz, nadal dobywający się z jego ust, a potem zeszywniał bez życia.

- Stój, szalony! - krzyczała Madame Olcott, chwytając Agliègo. A potem zwróciła się do pozostałych dwóch braci: - Wytrwajcie, moje maleństwa, oni muszą jeszcze przemówić. Khunrath, Khunrath, powiedz mu, że jesteście prawdziwi!

Leo Fox, ratując życie, próbował połknąć z powrotem sowę. Madame Olcott stanęła za jego plecami i ścisnęła mu skronie, by nagiąć go do swojej pychy. Sowa spostrzegła, że zaczyna znikać, i zwróciła się ku temu, który ją zrodził: *Phy,*

*Phy, Diabdo*, sycząc, próbując wykluć mu oczy. Leo Fox za-  
bulgotał, jakby podcięto mu tętnicę szyjną, i padł na kolana.  
Sowa zniknęła, zmieniając się w obrzydliwy szlam (fiii, fiii –  
poświstywała), w który runęło duszące się medium, pozos-  
tając już tam, oblepione nią i nieruchome. Wściekła Olcott  
zwróciła się do Theo, który trzymał się dzielnie.

– Mów, Kelley, słyszysz mnie?

Ale Kelley już milczał. Próbował oderwać się od medium,  
które bijąc rękami powietrze, wyło teraz, jakby wydzierano  
mu trzewia.

– Kelley, ty bezduchy, znowu próbujesz kręcić! – krzyczała  
Madame Olcott.

Lecz Kelley, nie mogąc oderwać się od medium, próbował  
je połknąć. Stał się jak guma do żucia, z której ostatni z braci  
Fox daremnie próbował się wyplątać. Wreszcie także Theo  
padł na kolana, kaszląc, stapiając się w jedno z tą pasożyt-  
niczą rzeczą, która go pożerała, a potem potoczył się po po-  
sadzce i miotał, jakby płonął żywcem. To zaś, co było Kelley-  
em, przykryło go najpierw niby całun, by po chwili umrzeć,  
rozpływając się, i zostawić go na ziemi, opróżnionego, zredu-  
kowanego do połowy samego siebie – mumia dziecka zabal-  
samowana przez Salona. W tym samym momencie czterej  
tancerze zatrzymali się jednocześnie, wymachując podniesio-  
nymi wysoko rękami; przez kilka sekund byli topielcami,  
którzy idą prosto na dno, a potem padli na ziemię, skowycząc  
jak szczenięta i zasłaniając sobie głowy rękami.

W tym czasie Agliè, ocierając pot z czoła chusteczką,  
którą wyjął z kieszeni marynarki, wyszedł na krużganek.  
Odetchnął dwa razy i wsunął do ust białą pastylkę. Potem na-  
kazał ciszę.

- Bracia, rycerze. Widzieliście, na jakie utrapienia chciała narazić nas ta kobieta. Uspokójmy się i powróćmy do mojego planu. Pozwólcie, że zabiorę stąd więźnia na godzinę.

Madame Olcott wypadła z gry; pochylała się z prawie ludzkim bólem nad swoimi mediami. Ale Pierre, który śledził wszystko, siedząc ciągle na krześle, panował nad sytuacją.

- Nie - powiedział. - Jest tylko jeden sposób. *Le sacrifice humain!* Dawajcie tu więźnia!

Olbrzymi z Avalonu, zahipnotyzowani jego energią, chwycili Belba, który z twarzą pozbawioną wyrazu przyglądał się tej scenie, i zawlekli go przed oblicze Pierre'a. Ten zaś ze zręcznością prestidigitatora zerwał się, postawił krzesło na stole i wypchnął stół na środek chóru, a następnie chwycił w przelocie sznur i zatrzymał kulę, cofając się o krok wskutek rozpędu Wahadła. Zajęło to chwilę. Jakby postępując według jakiegoś planu - a może w trakcie poprzedniego zamieszania wszystko zostało omówione - olbrzymi weszli na to podwyższenie, wciągnęli Belba na krzesło i jeden z nich owinął dwukrotnie wokół jego szyi sznur Wahadła, podczas gdy drugi trzymał kulę, którą później położył na brzegu stołu.

Bramanti rzucił się do tej szubienicy, olśniewająco majestatyczny w swojej czerwonej sutannie, i zaczął zawodzić:

- *Exorcizo igitur te per Pentagrammaton, et in nomine Tetragrammaton, per Alfa et Omega qui sunt in spiritu Azoth. Saddai, Adonai, Jotchavah, Eieazereie! Michael, Gabriel, Raphael, Anael. Fluat Udor per spiritum Eloim! Maneat Terra per Adam Iot-Cavah! Per Samael Zebaoth et in nomine Eloim Gibor, veni Adramelech! Vade retro Lilith!*

Belbo siedział wyprostowany na krześle, ze sznurem na szyi. Olbrzymi nie musieli go już trzymać. W tej niestabilnej

pozycji wystarczyłby jeden fałszywy ruch, by runął, a wtedy sznur zacisnąłby mu się na szyi.

- Głupcy! - krzyczał Agliè. - Jak umieścimy je z powrotem na właściwej osi?

Troszczył się o ocalenie Wahadła.

Bramanti uśmiechnął się.

- Nie martw się, hrabio. Nie mieszamy tutaj pańskich tynktur. To jest Wahadło takie, jakie zostało pomyślane przez Nich. Będzie wiedziało, którądy ma wędrować. A w każdym razie, jeśli chce się nakłonić Siłę do działania, nie ma nic lepszego niż ofiara z człowieka.

Do tego momentu Belbo drżał. Teraz zobaczyłem, że się rozluźnił, nie powiem rozpogodził, ale zaczął z zaciekawieniem przyglądać się publiczności. Myślę, że w tym momencie, wobec kłótni między dwoma przeciwnikami, widząc przed sobą strzępy ciał mediów, po obu swoich stronach derwiszów, którzy nadal podrygiwali, pojękując, święte szaty dygnitarские w nieładzie, odzyskał swój najbardziej autentyczny dar, poczucie śmieszności.

W tym momencie, jestem tego pewien, doszedł do wniosku, że nie może już pozwolić, żeby go zastraszano. Być może wyniesione miejsce, gdzie się znalazł, dało mu poczucie wyższości, gdyż patrzył z przodu sceny na to zgromadzenie szaleńców rodem z Grand Guignol ogarniętych pragnieniem wendety, a w głębi, prawie w przedsionku, potworki, które straciły zainteresowanie widowiskiem, trącały się łokciami, chichotały jak Annibale Cantalamessa i Pio Bo.

Zwrócił tylko niespokojne spojrzenie w stronę miotanej gwałtownymi drgawkami Lorenzy, którą olbrzymi znowu ujęli pod rękę. Lorenza odzyskała świadomość. Płakała.

Nie wiem, czy Belbo postanowił nie pokazywać przy niej strachu, czy też jego postawa stanowiła po prostu jedyny sposób okazania swojej pogardy i swojego autorytetu tej zgrai. Ale trzymał się prosto, z podniesioną głową, rozpiętą na szyi koszulą, rękami skrępowanymi z tyłu – dumnie jak ktoś, kto nie wie, co to strach.

Uspokojony zimną krwią Belba, a w każdym razie pogodzony z przerwaniem oscylacji Wahadła, nadal pragnący poznać tajemnicę, w obliczu zdania rachunków z poszukiwań całego życia, może nawet wielu, zdecydowany ponownie zapanować nad swoimi ludźmi, Agliè zwrócił się do Jacopa:

– No, Belbo, niechże się pan zdecyduje. Sam pan widzi, że znalazł się w sytuacji co najmniej kłopotliwej. Proszę porzucić te komedie.

Belbo nic nie odpowiedział. Patrzył w inną stronę, jakby przez dyskrecję chciał uniknąć słuchania dialogu, który zasłyszał przypadkiem.

Agliè nalegał pojednawczo, jakby rozmawiał z dzieckiem:

– Rozumiem pańską urazę i, jeśli pan pozwoli, także rezerwę. Rozumiem, że nie chce pan powierzyć tak osobistej, tak delikatnej tajemnicy plebsowi, który dopiero co zrobił z siebie tak mało budujące widowisko. A więc będzie pan mógł powierzyć ją tylko mnie, na ucho. Teraz polecę, żeby pana sprowadzono na dół, i wiem, że powie pan to słowo, jedno jedyne słówko.

Belbo rzekł na to:

– Powiada pan?

Wtedy Agliè zmienił ton. Po raz pierwszy widziałem, żeby był tak władczy, kapłański, gwałtowny. Przemawiał, jakby miał na sobie egipski strój któregoś ze swoich przyjaciół.

Spostrzegłem, że ten ton brzmi fałszywie, miało się wrażenie, iż Agliè parodiuje tych, którym nigdy nie skąpił pobłażliwego współczucia. Ale jednocześnie był dosyć przejęty tą swoją niezwykłą rolą. Zgodnie z jakimś własnym planem – gdyż nie mogło to być instynktowne – wprowadzał Belba w scenę melodramatu. Jeśli recytował wyuczony tekst, robił to dobrze, gdyż Belbo nie dostrzegł żadnego oszustwa i słuchał swego rozmówcy tak, jak ten już się po nim nie spodziewał.

- Teraz wreszcie przemówisz - grzmiał Agliè. - Przemówisz, a nie pozostaniesz poza tą wielką grą. Jeśli nie, będziesz zgubiony. Jeśli przemówisz, staniesz się uczestnikiem triumfu. Bo zaprawdę powiadam ci, tej nocy ty, ja i my wszyscy jesteśmy w Hod, sefirze splendoru, majestatu i chwały, w Hod, która rządzi magią ceremonialną i obrzędową, w Hod, momencie, kiedy otwiera się wieczność. O tym momencie śniłem przez wieki. Przemów, a zjednoczysz się z jedynymi, którzy po twoim objawieniu będą mogli się uważać za Władców Świata. Ukorz się, a będziesz wyniesiony. Przemówisz, bo ja ci tak rozkazuję, przemówisz, bo ja to mówię, a moje słowa *efficiunt quod figurant!*

A Belbo, teraz niezwyknięty, oznajmił:

- *Ma gavte la nata...*

Agliè, chociaż mógł się spodziewać odmowy, pobleł, słysząc tę zniewagę.

- Co powiedział? - spytał histerycznym głosem Pierre.

- Nie chce mówić - streścił wypowiedź Belba Agliè. Rozłożył ręce w geście pośrednim między bezsiłą a uległością i zwrócił się do Bramantiego: - Jest wasz.

Pierre wrzasnął z wykrzywioną twarzą:

- Dość, dość, *le sacrifice humain, le sacrifice humain!*

- Tak, niechaj umrze, i tak znajdziemy odpowiedź! - krzyzczała tak samo wykrzywiona Madame Olcott, która wróciła na scenę i rzuciła się w stronę Belba.

Prawie jednocześnie ruszyła Lorenza. Wyślizgnęła się z rąk olbrzymów i stanęła przed Belbem u stóp szubienicy, z rękami rozłożonymi, jakby chciała powstrzymać najazd, i zawołała przez łyzy:

- Chyba wszyscy oszaleliście, przecież tak się nie robi!

Agliè, który już chciał wyjść, przez chwilę stał osłupiały, potem podbiegł, żeby ją odciągnąć.

Później wszystko odbyło się w jednej chwili. Madame Olcott, sina i gorejąca jak Meduza, z rozwiązanym kokiem, wyciągnęła szpony w stronę Agliègo, drapiąc go po twarzy i odpychając na bok z całym impetem, jaki zyskała, rzucając się na niego. Agliè cofnął się, potknął o nogę kosza z węglami, zakręcił się wokół swojej osi niby derwisz, upadł, waląc głową w jeden z samochodów, i legł na ziemi, z twarzą we krwi. W tym samym momencie Pierre rzucił się na Lorenzę, wyciągając sztylet z pochwy na piersi. Widziałem go teraz od tyłu, nie od razu zrozumiałem, co się stało, ale zobaczyłem, że Lorenza z woskową twarzą osuwa się u stóp Belba, a Pierre podnosi ostrze i wyje:

- *Enfin, le sacrifice humain!* - A potem, zwracając się w stronę nawy, zawołał wielkim głosem: - *I'a Cthulhu! I'a S'hat'n!*

Cizba wypełniająca nawę ruszyła. Jedni przewracali się, inni w każdej chwili mogli wywrócić maszynę Cugnota. Usłyszałem - tak mi się przynajmniej zdaje, chociaż nie byłbym w stanie wyobrazić sobie szczegółu równie grotesko-

wego – głos Garamonda:

– Panowie, apeluję o minimum dobrych manier...

Bramanti klęczał w ekstazie przed ciałem Lorenzy i wykrzykiwał:

– Asar, Asar! Kto mnie chwyci za gardło? Kto przygwoździ mnie do ziemi? Kto wbije sztylet w me serce? Jestem niegodny przekroczyć próg domu Maata!

Może nikt tego nie chciał, może złożenie w ofierze Lorenzy mogłoby wystarczyć, ale akolici przepychali się teraz do wnętrza magicznego kręgu, który stał się dostępny wskutek unieruchomienia Wahadła, i ktoś – przysięgłbym, że Ardenti – został pchnięty przez innych, a wtedy stół dosłownie usunął się spod stóp Belba, wyskoczył; jednocześnie w wyniku tego samego pchnięcia Wahadło podjęło gwałtowny i szybki ruch kołyszący, porywając swoją ofiarę. Sznur napiął się pod ciężarem kuli, owijając się, ciasno teraz jak stryczek, wokół szyi mojego biednego przyjaciela, miotanego w powietrzu, wiszącego wzdłuż sznura Wahadła i unoszonego najpierw ku wschodniej ścianie chóru, a potem wracającego, już bez życia (mam nadzieję), w moim kierunku.

Stłoczeni ludzie, depcząc jedni po drugich, wycofali się na obrzeże, aby zrobić miejsce dla cudu. Adept od oscylacji, upojony odrodzeniem się Wahadła, regulował rozpęd bezpośrednio przez ciało wisielca. Oś wahań wyznaczała przekątną biegnącą od moich oczu do jednego z okien, z pewnością tego z zadrapaniem, przez które za kilka godzin wpadnie pierwszy promień słońca. Nie widziałem przeto Jacopa kołyszącego się przodem do mnie, ale mniemam, że tak ułożyły się sprawy, by tę właśnie figurę zakreślał w przestrzeni...



Głowa Belba jawiła się jako druga kula umieszczona wzdłuż linii sznura, idącej od podstawy do zwornika sklepienia, i – by tak rzec – kula metalowa odchyłała się w prawo, głowa Belba, druga kula, w lewo, a potem odwrotnie. Przez dłuższy czas dwie kule skłaniały się w kierunkach przeciwnych, tak więc tym, co przeszywało powietrze, nie była już linia prosta, lecz struktura trójkątna. Chociaż jednak głowa Belba poruszała się zgodnie z działaniem siły napiętego sznura, jego ciało – być może z początku w ostatnim skurczu, lecz później ze spastyczną ruchliwością drewnianej kukły – wyznaczało w pustce inne kierunki, niezależnie od głowy, sznura i zawieszanej poniżej kuli, ramiona tam, nogi gdzie indziej, i miałem uczucie, że gdyby ktoś sfotografował tę scenę sprzężonymi kamerami Muybridge’a, utrwalając na błonie każdy moment z przestrzennego ciągu, rejestrując dwa skrajne punkty, w których znajdowała się głowa w poszczególnych okresach, dwa punkty zastygania kuli w bezruchu, teoretyczne i zależne od obu tamtych punkty krzyżowania się sznurów oraz punkty pośrednie, wyznaczone przez oscylacje tułowia i nóg – to wiszący na Wahadle Belbo zakreśliłby, twierdząc, drzewo *sefirot*, streszczając w swej ostatniej godzinie dzieje wszystkich światów, zestalając w swej wędrówce dziesięć faz wydechu i wydalania tego, co boskie, w świat.

Potem, chociaż mężczyzna pilnujący wychyleń Wahadła dokładał starań, by trwała ta posepna huśtawka, wskutek jakiegoś potwornego zsumowania się sił, jakiegoś przemieszczenia energii, ciało Belba zastygło bez ruchu i sznur wraz z kulą kołysał się tylko od ciała w dół, a pozostała jego część – łącząca Belba ze zwornikiem sklepienia – trwała nieruchomo.

mo w pionie. W ten sposób Belbo, umknąwszy przed błędem świata i swoich posunięć, stał się teraz nim, owym punktem zaczepienia, Stałym Sworzniem, miejscem podtrzymującym sklepienie świata, i tylko u jego stóp kołysał się sznur z kulą - od jednego do drugiego bieguna, bez spoczynku, wraz z Ziemią, która przemykała pod nimi, wskazując na coraz to nowy kontynent, albowiem kula nie umiała, i nigdy nie będzie umiała, wskazać miejsca, gdzie znajduje się Pepek Świata.

Podczas gdy wrzaski diabolistów, na chwilę przyciszone w obliczu cudu, rozległy się z poprzednią siłą, powiedziałem sobie, że historia naprawdę dobiegła końca. Jeśli Hod jest sefirą Chwały, Belbo miał swoją chwałę. Jeden jedyny gest nieustraszonej odwagi pogodził go z Absolutem.

Wahadło idealne składa się z cieniutkiej nitki, niepoddającej się ścisaniu ani skręcaniu, o długości  $L$ , z zaczepioną w środku ciężkością pewną masą. W przypadku kuli środkiem ciężkości jest środek kuli, w przypadku ciała ludzkiego jest to punkt znajdujący się w 0,65 jego wysokości, mierzonej od stóp. Jeśli wisielec ma 1,70 m wzrostu, środek ciężkości znajduje się w odległości 1,10 od jego stóp i długość  $L$  jest wyrażona tą właśnie liczbą. Oznacza to, że jeśli głowa wraz z szyją mierzy 0,30 m, środek ciężkości znajduje się  $1,70 - 1,10 = 0,60$  m od głowy i  $0,60 - 0,30 = 0,30$  m od szyi wisielca. Okres małych wahań wahadła, wyznaczony przez Huygensa, dany jest wzorem:

$$T \text{ (sekundy)} = \frac{2\pi}{\sqrt{g}} \sqrt{L} \quad (1)$$

gdzie  $L$  jest w metrach.

$\pi = 3,1415927\dots$ , a  $g = 9,8 \text{ m/sek}^2$ . Z wzoru (1) otrzymujemy:

$$T = \frac{2 \cdot 3,1415927}{\sqrt{9,8}} \sqrt{L} = 2,00709 \sqrt{L}$$

czyli w przybliżeniu

$$T = 2\sqrt{L} \quad (2)$$

Proszę zauważyć, że  $T$  jest niezależne od ciężaru powieszonoego (równość ludzi wobec Boga)... Podwójne wahadło z dwiema masami na tym samym sznurze... Jeśli poruszymy  $A$ ,  $A$  zaczyna się wahać, ale po pewnym czasie zatrzymuje się i zaczyna się wahać  $B$ . Jeśli połączone wahadła mają różne masy i długości, energia przechodzi z jednego do drugiego, ale okresy tych oscylacji energii nie są równe... Ta wędrówka energii zachodzi także wtedy, gdy zamiast, odchylając wahadło  $A$ , nadawać mu swobodny ruch, zaczniemy odchylać je okresowo, przykładając do niego pewną siłę. Oznacza to, że jeśli wiatr będzie wiał porywami (regularnymi), wisielec po jakimś czasie przestanie się kołysać, a wahadło Foucaulta będzie się wahać, jakby zostało uczeplone do wisielca.

z listu prywatnego od Maria Salvadori, Columbia University, 1984

Niczego więcej nie mogłem się w tym miejscu dowiedzieć. Skorzystałem z tumultu, by dotrzeć do posągu Gramme'a.

Cokół był nadal otwarty. Wślizgnąłem się do niego,

zszedłem po schodkach i znalazłem się na małym, oświetlonym lampką podeście, do którego dochodziły kręte, kamienne schody. Po nich zszedłem do korytarza o dość wysokim sklepieniu, oświetlonego przyćmionym światłem. W pierwszej chwili nie zorientowałem się, gdzie jestem i skąd pochodzi odgłos płynącej wody. Potem oczy mi się przyzwyczaiły. Był to kanał ściekowy, rodzaj balustrady z poręczą, zabezpieczał przed wypadnięciem do wody, ale nie przeszkadzał wdychać wstrętnego zaduchu, chemicznego i jednocześnie organicznego. Przynajmniej jedno w całej naszej historii było prawdą - paryskie ścieki. Ścieki Colberta, Fantomasa czy Causa?

Szedłem głównym kanałem, nie zagłębiając się w ciemniejsze odnogi i mając nadzieję, że jakiś znak mi wskaże, gdzie mam zakończyć tę podziemną trasę. W każdym razie oddaliłem się znacznie od Conservatoire i w porównaniu z tamtym królestwem nocy paryskie ścieki niosły ulgę, wolność, czyste powietrze, światło.

Miałem przed oczyma jeden obraz, hieroglif kreślony w chórze przez martwe ciało Belba. Nie mogłem oswoić się z tym rysunkiem, któremu odpowiadał jakiś zamysł. Teraz wiem, że to prawo fizyczne, ale ten rodzaj wiedzy czyni zjawisko jeszcze bardziej symbolicznym. Tutaj, w wiejskim domu Jacopa, wśród mnóstwa notatek znalazłem list, który w odpowiedzi na jego pytanie wyjaśniał, jak funkcjonuje wahadło i jak by się zachowywało, gdyby na jego sznurze zawiesić jeszcze jeden ciężar. Tak więc Belbo nie wiadomo od jak dawna myślał o Wahadle, wyobrażał je sobie jako jakiś Synaj, jako Kalwarię. Nie padł ofiarą niedawno stworzonego Planu, przygotowywał w wyobraźni swoją śmierć od jakiegoś czasu,

a nie wiedział, że uznając się za pozbawionego prawa do tworzenia, w swoich przemyśleniach kreślił plany rzeczywistości. A może nie, może w ten właśnie sposób chciał umrzeć, żeby samemu sobie oraz innym dowieść, iż nawet kiedy się nie ma talentu, wyobraźnia jest zawsze twórcza.

W pewnym sensie, przegrywając, zwyciężył. Albo przegrał wszystko, kto bowiem gotów jest pójść na ten jedyny sposób zwyciężania? Przegrał wszystko ten, kto nie zrozumiał, że zwycięstwo było inne. Ale w sobotni wieczór jeszcze tego nie odkryłem.

Szedłem kanałem, *amens* jak Postel, może zagubiony w tych samych ciemnościach, i nagle ujrzałem znak. Jaśniejsza lampka, zawieszona na murze, wskazywała jakieś prowizoryczne schody prowadzące do drewnianej klapy. Zaryzykowałem i znalazłem się w zawalonej pustymi butelkami suterenie, którą dochodziło się do korytarza z dwiema ubikacjami, dla kobiet i dla mężczyzn. Znalazłem się w świecie żywych.

Stałem, dysząc ciężko. Dopiero w tym momencie pomyślałem o Lorenzy. Teraz ja płakałem. Ale Lorenza wymykała mi się już, jakby nigdy nie istniała. Nie potrafiłem nawet przypomnieć sobie jej twarzy. W tym świecie zmarłych była najbardziej martwa.

Na końcu korytarza trafiłem na kolejne schody i drzwi. Wszedłem do jakiegoś miejsca zadymionego i cuchnącego, szynku, bistro, wschodniego baru: kolorowi kelnerzy, spoceni bywalcy, tłuszcz roznów i kufle piwa. Wszedłem tymi drzwiami jak ktoś, kto już tu był i poszedł oddać mocz. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, być może jedynie mężczyzna przy

kasie, który widząc, że wynurzam się z głębi, dał mi ledwie dostrzegalny znak przymkniętymi oczami, jakby chciał powiedzieć: okay, zrozumiałem, przechodź, ja niczego nie widziałem.

Gdyby oko mogło ujrzeć demony zaludniające świat, życie stałoby się niemożliwe.

Talmud, Berachot, 6

Wyszedłem z baru i znalazłem się wśród świateł Porte Saint-Martin. Wschodni był bar, z którego wyszedłem, wschodnie okoliczne sklepy, jeszcze oświetlone. Zapach kuskusu i falafela, tłum. Gromady młodzieży, biednej, wiele osób ze śpiworami. Nie mogłem wejść do baru, żeby się czegoś napić. Spytałem jakiegoś chłopaka, co się dzieje. Manifestacja, na następny dzień jest zapowiedziana wielka manifestacja przeciw ustawie Savary'ego. Przyjechali autokarami.

Jakiś Turek, druz, przebrany ismailita, zapraszał mnie złą francuszczyzną, żebym gdzieś wszedł. Przenigdy. Nie chcę uciekać z Alamut. Nie wiem, kto jest na czyjej służbie. Nie dowierzam nikomu.

Przeszedłem przez skrzyżowanie. Słyszę teraz tylko odgłos moich kroków. Dobra strona wielkiego miasta: przechodzi się parę metrów i odzyskuje samotność.

Ale nagle, po minięciu kilku domów, zobaczyłem po lewej stronie niewyraźnie rysujące się w mroku Conservatoire. Z zewnątrz nic osobliwego. Pomnik pogrążony w głębokim śnie. Szedłem dalej na południe, w stronę Sekwany. Miałem na myśli jakiś cel, ale nie widziałem go wyraźnie. Chciałem zapytać kogoś, co się stało.

Belbo nie żyje? Niebo było pogodne. Minąłem grupkę studentów. Milczeli, podziałał na nich *genius loci*. Po lewej stronie zarys Saint-Nicolas-des-Champs.

Idę dalej rue Saint-Martin, przecinam rue aux Ours, sze-

roka, robiącą wrażenie bulwaru, boję się zgubić kierunek, którego zresztą nie znam. Rozglądam się i po prawej stronie widzę na rogu dwie wystawy Editions Rosicruciennes. Są ciemne, ale trochę dzięki światłu latarń, a trochę mojej latarki udaje mi się dojrzeć, co tam leży. Książki i przedmioty. *Histoire des juifs, comte de Saint-Germain, alchimie, monde caché, les maisons secrètes de la Rose-Croix*, posłanie budowniczych katedr, katarzy, Nowa Atlantyda, medycyna egipska, świątynia w Karnaku, *Bhagawadgita*, reinkarnacja, krzyże i świeczniki różokrzyżowe, popiersia Izydy i Ozyrysa, kadzidełka w pudełkach i tabliczkach, karty do taroka. Sztylet, cynowy nóż do papieru z okrągłą rękojeścią, na której umieszczono godło Różanego Krzyża. Co robią, chcą mnie nabrać?

Przechodzę teraz przed fasadą Beaubourg. W dzień trwa tu bez przerwy odpust, teraz plac jest prawie pusty, jakaś milcząca uśpiona grupka, gdzieś światła *brasseries*. To prawda. Wielkie otwory wentylacyjne wchłaniają energię Ziemi. Może tłumy, które zbierają się tu w ciągu dnia, mają zapewnić wibrację; maszynę hermetyczną trzeba karmić świeżym mięsem.

Kościół Saint-Merri. Od frontu Librairie la Vouivre, w trzech czwartych okultystyczna. Nie mogę się poddawać hysterii. Wybieram drogę okrężną przez rue des Lombards, być może, aby uniknąć zastępu skandynawskich dziewcząt, które śmiejąc się, wychodzą z otwartego jeszcze baru. Zamilczcie, czy nie wiecie, że również Lorenza nie żyje?

Czy jednak nie żyje? A jeśli to ja jestem martwy? Rue des Lombards. Dochodzi do niej prostopadle rue Flamel, a w głębi rue Flamel widać białą Tour Saint-Jacques. Na ro-



gu księgarnia Arcane 22, karty do taroka i wahadełka. Nicolas Flamel, alchemik, księgarnia alchemiczna i Tour Saint-Jacques: ze swoimi wielkimi białymi lwami u podstawy ta niepotrzebna późnogotycka wieża nad Sekwaną, wieża, od której wziął nazwę ezoteryczny periodyk, w której Pascal prowadził doświadczenia nad ciężarem powietrza i w której jeszcze dzisiaj na wysokości pięćdziesięciu dwóch metrów znajduje się stacja meteorologiczna. Może zanim zbudowali wieżę Eiffla, zaczęli właśnie tutaj. Istnieją strefy szczególne. I nikt tego nie widzi.

Wracam w stronę Saint-Merri. Znowu śmiechy dziewcząt. Nie chcę patrzeć na ludzi, okrążam kościół przez rue Cloître Saint-Merri - drzwi do transeptu, stare, z nieobrobionego drewna. Po lewej stronie otwiera się widok na plac, najdalszy skraj Beaubourg, rzęsiście oświetlony. Na placu maszyny Tinguely'ego i inne wielobarwne dzieła rąk ludzkich, unoszące się na wodzie basenu czy sztucznego stawu wśród utajonych obrotów kół zębatych; w głębi spostrzegam znowu armaturę rur z Dalmine, wielkie rozwarte paszcze Beaubourg - jakby porzucony przy obrośniętej bluszczem ścianie „Titanic”, który rozbił się w kraterze księżycowym. Tam gdzie nie powiodło się katedrom, szemrały wielkie luki transoceanicznych statków, bo nawiązały kontakt z Czarnymi Dziewicami. Odkrywa je tylko ten, kto wybrał się w rejs do koła Saint-Merri. Nie mogę więc przerywać, obnażam przeciw jeden ze spisków uknutych przez Nich w samym środku Ville Lumière, spisak Ignorantów.

Skrećam w rue des Juges Consules, znowu jestem przed fasadą Saint-Merri. Nie wiem, dlaczego coś każe mi zapalić latarkę i skierować jej światło na portal. Gotyk płomienisty,

podwójnie wygięte łuki.

I nagle, szukając tego, czego nie spodziewałem się znaleźć, widzę coś na archiwolcie portalu.

Bafomet. Dokładnie w miejscu złączenia półłuków u szczytu pierwszego znajduje się gołębica Ducha Świętego z glorią kamiennych promieni, a u drugiego, obleżony przez modlące się anioły - on, Bafomet, ze swoimi straszliwymi skrzydłami. Na fasadzie kościoła. Bez żadnego wstydu.

Dlaczego tutaj? Bo jesteśmy niedaleko od Świątyni. Gdzie zaś jest Świątynia albo to, co z niej zostało? Wracam, idę na północny wschód i oto jestem na rogu rue de Montmorency. Pod numerem pięćdziesiątym pierwszym dom Nicolasa Flamel. Między Bafometem a Świątynią. Roztropny znawca sztuki spagirycznej wie dobrze, z kim powinien się rachować. Przed domem z nieokreślonej epoki, Taverne Nicolas Flamel, *poubelles* pełne plugastwa. Dom jest stary, odrestaurowano go ze względu na turystów, dla diabolistów najniższej rangi, hylików. Obok *american bar* z reklamą Apple. *Secouez vous les puces* (pchły to *bugs*, błędy w programie). Soft-Hermes. Dir Temura.

Znalazłem się na rue du Temple, przejdę nią do skrzyżowania z rue de Bretagne, gdzie jest square du Temple, ogród siny jak cmentarz, nekropolia rycerzy, których złożono w ofierze.

Rue de Bretagne aż do skrzyżowania z rue Vieille du Temple. Przy rue Vieille du Temple, za skrzyżowaniem z rue Barbette, są dziwne sklepy, gdzie sprzedaje się lampy elektryczne o niezwykłych kształtach: kaczkę, liści bluszczu. Zbyt ostentacyjnie nowoczesne. Nie dam się zwieść.

Rue des Francs-Bourgeois. Jestem w dzielnicy Marais,

znam ją, zaraz dojdę do starych koszernych jatek; co Żydzi mają wspólnego z templariuszami, ustaliliśmy przecież, że ich miejsce w Planie przypada asasynom z Alamut? Po co tu przyszedłem? Szukam odpowiedzi? Nie, być może pragnę tylko znaleźć się jak najdalej od Conservatoire. Albo też kieruję się ku jakiemuś miejscu, wiem, że to nie tutaj, ale próbuję sobie przypomnieć, gdzie ono jest, jak Belbo, kiedy szukał we śnie zapomnianego adresu.

Spotykam jakąś okropną grupę. Zły śmiech, idą rozproszeni, muszę zejść z chodnika. Przez chwilę boję się, że to posłańcy Starca z Gór i że przybyli tu z mojego powodu. Nie, znikają w ciemności, ale rozmawiają w obcym języku, który syczy szyicko, talmudycznie, koptyjsko jak pustynny wąż.

Na moje spotkanie wychodzą androginiczne postacie w długich płaszczach. Płaszcz różokrzyżowców. Mijają mnie, skręcają w rue de Sévigné. Późna noc. Uciekłem z Conservatoire, żeby wrócić do miasta zwykłych ludzi, i oto uświadamiam sobie, że miasto zwykłych ludzi zostało pomysłane jako katakumby z pierwszeństwem przejścia dla wtajemniczonych.

Pijak. Może udaje. Nie dowierzać, nigdy nie dowierzać. Mijam otwarty jeszcze bar, kelnerzy w długich do stóp fartuchach odstawiają już krzesła i stoliki. Zdążyłem jeszcze zamówić piwo. Wypijam je łapczywie i proszę o jeszcze jedno. „Chce się pić, he?” – zagaduje jeden z nich. Ale bez życzliwości, podejrzliwie. Pewnie, chce mi się pić, nie piłem nic od piątej po południu, ale można odczuwać pragnienie, nawet jeśli się nie spędziło nocy pod Wahadłem. Głupcy. Płacę i wychodzę, zanim zdążą utrwalić sobie w pamięci moje rysy.

Jestem na skraju place des Vosges. Przemykam pod porty-

kami. W jakim to starym filmie rozbrzmiewały na place des Vosges samotne kroki szalonego nożownika Mathiasa? Przystaję. Usłyszałem za plecami czyjeś kroki? Jasne, że nie, przecież oni też przystanęli. Wystarczyłoby parę gablotek i te portyki stałyby się salami Conservatoire.

Niskie, szesnastowieczne sklepienia, łuki wszelkich porządków, galerie filatelistyczne i antykwariat z meblami. Place des Vosges, tak niski ze swymi starymi, prążkowanymi, wyszczerbionymi i odrapanymi bramami; mieszkają tu ludzie, którzy od stu lat się nie przeprowadzali. Ludzie w żółtych płaszczach. Plac zamieszkały przez samych taksydermistów. Wychodzą tylko nocami. Znają płytę chodnikową, studzienkę, przez którą można dotrzeć do Mundus Subterraneus. Na oczach wszystkich.

*L'Union de Recouvrement des Cotisation de sécurité sociale et d'allocations familiales de la Patellerie numéro 75, u 1.* Nowa brama, może mieszkają tu ludzie zamożni, ale zaraz obok stara brama, odrapana jak dom przy Sincero Renato, dalej, pod numerem trzecim, brama dopiero co odnowiona. Alternacja Hylików i Pneumatyków. Władcy i ich niewolnicy, tu, gdzie widać asy przybite do czegoś, co musiało być łukiem. To jasne, kiedyś była tu księgarnia okultystyczna, ale już jej nie ma. Cały blok został opróżniony. Ewakuowany w ciągu jednej nocy. Tak samo postąpił Agliè. Teraz wiedzą, że ktoś wie, i zaczynają przechodzić do konspiracji.

Jestem na rogu rue de Birague. Widzę nieskończony szereg portyków i ani jednej żywej duszy, wołałbym ciemność, lecz latarnie rzucają żółte światło. Mógłbym krzyczeć, ale nikt by mnie nie usłyszał. Milczący, kryjący się za zamkniętymi oknami, z których nie pada żaden promyk światła, ubrani

w żółte płaszcze taksydermiści roześmialiby się tylko szyderczo.

Jednak nie, między portykami a parkiem, na środku placu, stoją zaparkowane samochody i od czasu do czasu przemyka jakiś cień. Ale stosunki nie stają się przez to uprzejmiejsze. Drogę przecina mi wielki owczarek niemiecki. Pies czarny tylko w nocy. Gdzie jest Faust? Może kazał wiernemu Wagnerowi wyprowadzić psa na siusiu?

Wagner. Ta właśnie myśl krążyła mi po głowie, nie ujawniając się. Doktor Wagner, on właśnie jest mi potrzebny. On będzie musiał mi powiedzieć, czy bredzę, jakim zjawom nadałem byt rzeczywisty. Powie mi, że to wszystko nieprawda, że Belbo żyje, a Tres nie istnieje. Jakąż ulgę bym poczuł, gdybym się dowiedział, że oszalałem!

Opuszczam plac prawie biegiem. Jedzie za mną jakiś samochód.

Nie, pewnie szuka miejsca do zaparkowania. Potykam się o plastikowe worki na śmieci. Samochód parkuje. Jestem na rue Saint-Antoine. Szukam taksówki. Zjawia się jak na żądanie. Mówię:

- *Sept, avenue Elisée Reclus.*

Je voudrais être la tour, pendre à la Tour Eiffel.

Blaise Cendrars

Nie wiedziałem, gdzie jestem, nie śmiałem spytać o to taksówkarza, bo jeśli ktoś o tej porze bierze taksówkę, jedzie do własnego domu, w innym razie jest co najmniej mordercą. Z drugiej strony kierowca narzekał, że w centrum pełno jeszcze tych przeklętych studentów, wszędzie zaparkowane autokary, okropność, gdyby to od niego zależało, wszystkich postawiłby pod mur, i że warto nadłożyć drogi. Objechał prawie cały Paryż i wreszcie zatrzymał się przed numerem siódmym na jakiejś opustoszałej ulicy.

Żadnego doktora Wagnera. Może więc siedemnaście? Albo dwadzieścia siedem? Zrobiłem dwie albo trzy próby i opamiętałem się. Czyżbym, zakładając, że uda mi się znaleźć właściwą bramę, zamierzał naprawdę wyciągnąć o tej porze doktora Wagnera z łóżka, by opowiedzieć mu swoją historię? Znalazłem się tu z tych samych powodów, z jakich wędrowałem od Porte Saint-Martin do place des Vosges. Uciekam. I teraz po prostu uciekłem z miejsca, do którego uciekłem z Conservatoire. Potrzebuję nie psychoanalityka, ale kaftana bezpieczeństwa. Albo lekarstwa, jakim jest sen. Albo Lii. Żeby wzięła mnie za głowę, przytuliła ją mocno między pierś i pachę, szepcząc, bym zachowywał się grzecznie.

Szukałem doktora Wagnera czy avenue Elisée Reclus? Dlaczego przypomniałem sobie o tym właśnie teraz? Spotkałem tę nazwę w trakcie lektur związanych z Planem; był to jakiś dziewiętnastowieczny autor, który napisał, nie pa-

miętam już jaką, książkę o Ziemi, podziemiach, wulkanach, człowiek, który pod pretekstem uprawiania akademickiej geografii wtykał nos do Mundus Subterraneus. Jeden z nich. Uciekałem przed nimi, ale ciągle spotykałem ich wokół siebie. Stopniowo opanowali w ciągu kilku wieków cały Paryż. I resztę świata.

Trzeba wracać do hotelu. Czy złapię znowu taksówkę? Jak się orientowałem, mogłem być gdzieś na dalekim *banlieue*. Ruszyłem w stronę, z której dochodziło jaśniejsze i bardziej rozproszone światło i gdzie widać było otwarte niebo. Sekwana?

Kiedy doszedłem do rogu, zobaczyłem ją.

Po lewej stronie. Powinienem podejrzewać, że tu była, że zaczęła się w pobliżu, w tym mieście nazwy ulic kreślą jednoznaczne posłannictwo, zawsze człowiek jest ostrzegany; tym gorzej dla mnie, trzeba było o tym pomyśleć.

Była tu, plugawy pająk z martwej materii, symbol, instrument ich potęgi. Powinienem był uciec, ale czułem, jak wabi mnie do pajęczyny, kiwając głową z góry na dół i odwrotnie, gdyż teraz nie byłem w stanie objąć jej jednym spojrzeniem, byłem praktycznie w środku, tysiące krawędzi kroili mnie na kawałki, czułem się bombardowany kratkami walącymi się ze wszystkich stron; gdyby tylko się poruszyła, mogłaby zmiażdżyć mnie jedną z tych łap jak z małego mechanika.

*La Tour*. Byłem w jedynym punkcie miasta, skąd nie widzi się jej z daleka, z profilu, jak wyłania się przyjaźnie z morza dachów, frywolna jak na obrazie Dufy'ego. Była nade mną, unosiła się nad moją głową. Odgadywałem jej iglicę, lecz poruszałem się najpierw wokół, potem zaś w obrębie jej podstawy rozpiętej między łapami, widziałem stawy skokowe,

brzuch, wzgórek łonowy, domyślałem się prostopadłego jelita, tworzącego jedność z przełykiem, który mieścił się w szyi tej politechnicznej żyrafy. Chociaż tak dziurawa, miała jednak właściwość tłumienia światła dokoła siebie, i kiedy się poruszałem, z rozmaitych perspektyw pokazywała mi odmienne piwniczne arkady wycinające z mroku ujęcia jakby przez zmiennoogniskowy obiektyw.

Po prawej stronie, północno-wschodniej, nisko jeszcze nad horyzontem, pojawił się teraz sierp księżyca. Raz wieża ujmowała go w ramy, jakby był złudzeniem optycznym, fluorescencją jednego z tych jej koślawych ekranów, ale wystarczyło, że trochę się poruszyłem, a ekrany zmieniały format, księżyc zniknął, zaplątywał się między którymiś metalowymi żebrami, zwierzę go druzgotało, połykało, przenosiło w inny wymiar.

Tesseract. Kostka czterowymiarowa. Widziałem teraz poprzeczną z arkad ruchome, błyskające światełko, nawet dwa, czerwone i białe, z pewnością samolot szukający, bo ja wiem, Orly albo Roissy. Ale nagle – przesunąłem się nieco, a może przesunęły się wieża lub samolot – światełka zniknęły za żeberkami, myślałem, że zobaczę je w innym czworoboku, ale już się nie pojawiły. Wieża ma sto okien, a wszystkie są ruchome i każde wychodzi na inny fragment czasoprzestrzeni. Jej żebra nie wyznaczały euklidesowych załamania, lecz rozbiły tkankę kosmosu, odwracały katastrofy, przerzucały kartki światów równoległych.

Kto powiedział, że sterczyna Notre Dame de la Brocante służyła temu, by *suspendre Paris au plafond de l'univers*? Przeciwnie, służyła temu, żeby zawiesić wszechświat na swojej sterczynie – to naturalne, czyż bowiem nie jest erzacem



Wahadła?

Jak ją nazywano? Samotnym czopkiem, pustym obeliskiem, glorią drutu, apoteozą sterty, powietrznym ołtarzem jakiegoś bałwochwalczego kultu, pszczołą wewnątrz róży wiatrów, smutną jak ruiny, brzydkim kolosem barwy nocy, szpetnym symbolem zbędnej siły, niedorzecznym cudem, bezsensowną piramidą, gitarą, kałamarzem, teleskopem, długą jak przemówienie ministra, antycznym bogiem i nowoczesną bestią... Tym, i wieloma innymi rzeczami, jest, i gdybym teraz, ujęty w pęk jej strun głosowych inkrustowanych ześrubowanymi naroślami, miał szósty zmysł Władców Świata, usłyszałbym, jak wyszeptuje ochryple muzykę sfer. W tym momencie wieża wysysała fale z serca wydrążonej ziemi i retransmitowała je do wszystkich menhirów na świecie. Kłacze zagwoźdżonych przegubów, artroza kręgosłupa, proteza protezy - co za okropność, żeby roztrzaskać się w otchłani, musiałbym z tego miejsca rzucić się ku wierzchołkowi. Zapewne wracałem z wyprawy do wnętrza Ziemi, jeszcze kręciło mi się w głowie, czułem antygravitacyjny wir antypodów.

Nie fantazjowaliśmy, miałem przed oczami niewzruszony dowód Planu, lecz już wkrótce wieża zauważyła, że jestem szpiegiem, wrogiem, drobiną pyłu w trybach, których ona jest obrazem i motorem, rozszerzy niewyczuwalnie romb swoich ciężkich koronek i połknie mnie, przepadnę w zakamarku jej nicości, przeniesiony do innego świata.

Gdybym jeszcze chwilę pozostał pod jej siecią, wielkie szpony zacisnęłyby się, zakrzywiły jak kły słonia, wchłonęły mnie i zwierzę z powrotem zamknęłoby się w sobie w pozycji zbrodniczej i złowrogiej temperówki.

Następny samolot. Nie nadlatywał z tego czy innego kie-

runku, to ona go spłodziła między jednym a drugim kręgiem mastodonta bez ciała. Przyglądałem się jej, była bez końca jak zamysł, któremu służyła. Gdybym mógł pozostać tutaj, nie lękając się, że zostanę pożarty, mógłbym śledzić jej przemieszczenia, jej powolne obroty, jej infinityzmalną dekompozycję i rekompozycję w zimnym powiewie prądów: być może Władcy Świata umieli ją interpretować jako geomantyczny schemat, w jej niedostrzegalnych metamorfozach odczytaliby rozstrzygające sygnały, niewyznawalne pełnomocnictwa. Wieża wirowała mi nad głową: śrubokręt z Mistycznego Bieguna. A może nie, tkwiła nieruchomo jak namagnesowany sworzeń i wprawiała w obroty sklepienie niebieskie. Powodowało to jednak taki sam zawrót głowy.

„Jak dobrze sobie radzi wieża – powiadałem sobie. – Z daleka mruga przyjaźnie, lecz jeśli się zbliżysz, jeśli podejmiesz próbę przeniknięcia jej tajemnicy, zabija cię, zamraża twoje kości, wystarczy, że ujawni niedorzeczną trwozę, z której jest zbudowana. Teraz wiem, że Belbo nie żyje i Plan jest prawdziwy, gdyż prawdziwa jest wieża. Jeśli nie zdołam uciec, uciec raz jeszcze, nie będę mógł nikomu tego wyjawić. Trzeba bić na alarm”.

Jakiś dźwięk. Stop, wracamy do rzeczywistości. Jadąca z dużą prędkością taksówka. Zdołałem wyskoczyć poza magiczne ogrodzenie, zacząłem wymachiwać gwałtownie rękami, prawie dałem się przejechać. Taksówkarz zahamował w ostatniej chwili, jakby niechętnie się zatrzymywał – podczas jazdy powiedział mi, że także on, przejeżdżając pod wieżą w nocy, czuje strach i dodaje gazu.

- Dlaczego? - zapytałem.

- *Parce que... parce que ça fait peur, c'est tout.*

Wkrótce znalazłem się w moim hotelu. Długo musiałem dzwonić, zanim obudziłem zaspanego portiera. Powiedziałem sobie: trzeba spać, resztę odłożyć na jutro. Zażyłem parę tabletek nasennych, dosyć, żeby się otruć. Niczego więcej nie pamiętam.

Ma szaleństwo dla gości namiot przeogromny, Co każdego zaprasza,  
skąd przyszedł, niepomny, A już zwłaszcza gdy można, złotem rzucać  
skłonny.

Sebastian Brant, *Das Narrenschiff*, 46

Obudziłem się o drugiej po południu, otępiały jak katatonik. Pamiętałem bardzo dobrze wszystko, lecz nie miałem żadnej pewności, że to, co pamiętałem, było prawdziwe. W pierwszej chwili pomyślałem, żeby zbiec po gazetę, ale potem doszedłem do wniosku, że gdyby nawet natychmiast po wszystkim wtargnęła do Conservatoire kompania spahisów, wiadomość nie zdążyłaby się ukazać w porannym wydaniu dzienników.

Zresztą Paryż miał tego dnia inne zmartwienia. Powiedział mi o tym od razu portier, kiedy zszedłem na kawę. W mieście panuje zamęt, zamknięto wiele stacji metra, w niejednym miejscu policja ruszyła do szarży, studentów jest zbyt dużo i przesadzają.

Odszukałem w książce telefonicznej numer doktora Wagnera. Spróbowałem telefonować, ale ponieważ była niedziela, nie zjawił się w gabinecie. Musiałem w każdym razie zobaczyć, co się dzieje w Conservatoire. Pamiętałem, że otwarte jest także w niedzielne popołudnia.

W Dzielnicy Łacińskiej panowało wzburzenie. Grupy młodzieży maszerowały z transparentami, wznosząc okrzyki. Na Ile de la Cité zobaczyłem zapórę policyjną. Skądś z głębi dobiegały odgłosy wystrzałów. Tak właśnie musiało być w sześćdziesiątym ósmym. Na wysokości Sainte Chapelle pa-

nowało zamieszanie, poczułem zapach gazów łzawiących. Usłyszałem odgłosy jakby natarcia, nie wiedziałem, czy to studenci, czy gliny, ludzie dokoła mnie zaczęli biec, skryliśmy się za jakimś ogrodzeniem, mieliśmy przed sobą kordon policjantów, na jezdni trwały starcia. Co za wstyd, znalazłem się po stronie podstarzałych mieszczuchów i czekałem, żeby rewolucja zgasła.

Potem odkryłem przejście bocznymi uliczkami wokół dawnych Hal i trafiłem na rue Saint-Martin. Conservatoire było otwarte, biały dziedziniec, na fasadzie tablica „*Conservatoire des arts et métiers*, założone dekretem Konwentu z 19 vendémiaire’a roku trzeciego... w dawnym przeorstwie Saint-Martin-des-Champs, ufundowanym w jedenastym wieku”. Wszystko normalnie, mały tłumek niedzielnych gości nieczułych na studencki jarmark.

Wszedłem – w niedzielę wstęp bezpłatny – i zobaczyłem, że wszystko jest tak jak wczoraj o piątej po południu. Strażnicy, zwiedzający, Wahadło na zwykłym miejscu... Rozglądałem się za śladami po tym, co tu zaszło, jeśli zaszło: ktoś sumiennie wszystko posprzątał. Jeśli zaszło...

Nie pamiętam, jak spędziłem resztę popołudnia. Nie przypominam sobie nawet, co widziałem, włączając się po ulicach, choć musiałem co jakiś czas gdzieś skręcać, żeby uniknąć zamieszek. Zatelefonowałem do Mediolanu – na próbę. Jakby zaklinając los, zadzwoniłem do Belba. Potem do Lorenzy. Wreszcie do wydawnictwa Garamonda, które musiało być zamknięte. A przecież, jeśli dzisiejszego wieczoru jest jeszcze dzisiaj, wszystko wydarzyło się wczoraj. Ale od tamtego wczoraj do dzisiejszej nocy minęła cała wieczność.

Pod wieczór zdałem sobie sprawę, że nic nie jadłem.

Pragnąłem spokoju i odrobiny luksusu. Koło Forum des Halles wszedłem do restauracji, gdzie obiecywano rybę. Spełniono obietnicę w pełni, a nawet posunięto się dalej. Stolik naprzeciwko akwarium. Świat raczej nierealny, odpowiedni, żebym zaczął oddychać atmosferą absolutnej podejrzliwości. Ta ryba wyglądała jak astmatyczny hezychasta, który traci wiarę i oskarża Boga, że On odarł wszechświat z części sensu. Sabaot, Sabaot, czemu jesteś taki złośliwy, iż wmówiłeś mi, że nie istniejesz? Ciało ogarnia swą władzą cały świat – jak gangrena... Ta druga wygląda jak Minnie, trzepoce długimi rzęsami i robi serduszko z usteczek. Minnie jest narzeczoną Myszki Miki. Zjadam *salade folle* z łupaczem delikatnym jak ciało dziecka. Z miodem i pieprzem. Są tu paulicjanie. Inna unosi się między koralowcami jak aeroplan Bregueta – uderza powietrze skrzydłami niby motyl, sto do jednego, że wpatrywała się pożądliwie w swój płód homunkulusa, porzucony na dnie podziurawionego już atanoru, rzucony między śmieci przed domem Flamela. A tam ryba templariusz, cała opancerzona czernią, szuka Noffa Dei. Muska astmatycznego wyrzutka, który żegluje, zamyślony i zmartwiony, ku temu, co niewysłowione. Odwracam wzrok, po drugiej stronie ulicy widzę szyld innej restauracji. „Chez R...” Róża-Krzyż? Reuchlin? Rosispergius? Raczkowski-Ragotzitarogi? Sygnatury, sygnatury...

Zobaczymy, jedyny sposób na wprowadzenie diabła w zakłopotanie to sprawić, by uwierzył, że nam nie wierzy. Nie warto roztrząsać nocnego krążenia po Paryżu i wizji wieży. Wyjść z Conservatoire po tym, jak się widziało lub sądziło, że widzi to, co się widziało, a potem przeżywać miasto jak koszmar senny, to rzecz normalna. Ale co widziałem

w Conservatoire?

Muszę koniecznie pomówić z doktorem Wagnerem. Nie wiem, dlaczego wbiłem sobie do głowy, że jest to panaceum, ale wbiłem sobie i już. Terapia słowem.

Jak dotrwałem do dzisiejszego ranka? Zdaje się, że wszedłem do kina, gdzie grali *Damę z Szanghaju* Orsona Wellesa. Kiedy nastąpiła scena z lustrami, nie wytrzymałem i wyszedłem. Ale może to nieprawda, może wszystko odbyło się w mojej wyobraźni.

Dzisiejszego ranka zadzwoniłem o dziewiątej do doktora Wagnera, nazwa wydawnictwa Garamond umożliwiła pokonanie zapory, jaką była sekretarka; zdaje się, że doktor mnie sobie przypomniał, wobec moich nalegań powiedział, żebym przyszedł zaraz, o wpół do dziesiątej, zanim zjawią się inni pacjenci. Zrobił na mnie wrażenie człowieka życzliwego i rozumiejącego.

Być może przyśniła mi się również wizyta u doktora Wagnera. Sekretarka wypytała mnie o dane osobiste, przygotowała fiszkę, pobrała honorarium. Na szczęście miałem już w kieszeni bilet powrotny.

Niewielki gabinet bez kanapki. Okna wychodzące na Sekwanę, po lewej cień wieży. Doktor Wagner przywitał mnie z zawodową uprzejmością – w gruncie rzeczy słusznie, nie byłem już jednym z jego wydawców, lecz pacjentem. Szerokim i spokojnym gestem wskazał krzesło naprzeciwko siebie, po drugiej stronie biurka, jak urzędnikowi ministerialnemu. *Et alors?* Powiedział to, okręcił się w obrotowym fotelu, tak że miałem przed oczami jego plecy. Siedział z pochyloną głową i, jak mi się zdawało, złożonymi dłońmi.

Mówiłem jak nakręcony, wyciągnąłem wszystko, od

początku do końca, to, co myślałem dwa lata temu, przed rokiem, to, co myślałem, że myśli Belbo, Diotallevi. A zwłaszcza to, co wydarzyło się w noc świętojańską.

Wagner nie przerwał mi ani razu, ani razu nie przytaknął, nie okazał dezaprobaty. Z tego, co wiem, równie dobrze mógł być przez ten czas pogrążony we śnie. Ale na tym pewnie polegała technika jego pracy. A ja mówiłem. Terapia słowna.

Potem czekałem na jakieś słowo z jego ust, na ratunek.

Wagner bardzo powoli podniósł się z fotela. Nie odwracając się twarzą do mnie, obszedł biurko i stanął przed oknem. Z rękami założonymi za plecy, patrzył w zamyśleniu na szyby.

Milczał przez dziesięć, może piętnaście minut.

Potem, nadal odwrócony do mnie plecami, głosem bezbarwnym, spokojnym, kojącym powiedział:

- *Monsieur, vous êtes fou.*

Trwał bez ruchu, ja też. Po dalszych pięciu minutach zrozumiałem, że nie powie nic więcej. Koniec wizyty.

Wyszedłem bez słowa pożegnania. Sekretarka obdarzyła mnie szerokim uśmiechem i znalazłem się na avenue Elisée Reclus.

Była jedenasta. Zabrałem swoje rzeczy z hotelu i pojechałem na lotnisko, ufny w szczęśliwy los. Musiałem tam czekać dwie godziny i w tym czasie dzwoniłem do Mediolanu do Garamonda, collect call, gdyż byłem już bez grosza przy duszy. Słuchawkę podniosła Gudrun, robiła wrażenie jeszcze bardziej ogłupiałej niż zwykle, musiałem trzy razy krzyczeć, żeby powiedziała: tak, *oui, yes*, żeby potwierdziła połączenie.

Płakała. Diotallevi umarł w sobotę o północy.

- I dzisiaj rano nikogo, nikogusieńko z przyjaciół na po-



grzebie, co za wstyd! Nie przyszedł nawet pan Garamond, który podobno przebywa za granicą. Ja, Grazia, Luciano i jakiś pan ubrany na czarno, z brodą, kędzierzawymi bokobrodami i w dużym kapeluszu, wyglądał jak grabarz. Bóg jeden wie, skąd się wziął. Ale gdzie pan jest, Casaubon? A Belbo? Co się właściwie dzieje?

W odpowiedzi burknąłem coś niewyraźnie i odłożyłem słuchawkę. Wezwano mnie do samolotu.

9

JESOD

Spółeczna teoria spisku... jest konsekwencją braku odniesienia do Boga i wynikającego stąd pytania: „Kto jest na jego miejscu?”

Karl Popper, *Conjectures and refutations*,  
Routledge, London 1969, I, 4

Podróż dobrze mi zrobiła. Nie tylko dlatego, że opuściłem Paryż, ale także dlatego, że opuściłem podziemie, a nawet wypętlłem z ziemi, z ziemskiej skorupy. Niebo i góry białe jeszcze od śniegu. Samotność na dziesięciu tysiącach metrów i to poczucie upojenia, jakie zawsze daje lot, zwiększone ciśnienie wewnątrz samolotu, przebijanie się przez lekkie zaburzenia atmosfery. Pomyślałem, że dopiero tutaj stanąłem obiema nogami na ziemi. I postanowiłem postawić na wszystkim krzyżyk, najpierw wypisując kolejne punkty w moim notesie, a potem zamykając oczy i niech się dzieje, co chce.

Uznałem, że należy wynotować przede wszystkim niepodważalne fakty.

Nie ulega wątpliwości, że Diotallevi nie żyje. Powiedziała mi to Gudrun. Gudrun zawsze pozostawała poza naszą historią, nie rozumiała jej, a więc jedyna mówi prawdę. Następnie prawdą jest, że Garamonda nie ma w Mediolanie. Może być oczywiście w dowolnym innym miejscu, ale w poprzednich dniach nie zawiadomił nas ani nawet nie sugerował, iż będzie w Paryżu, gdzie go widziałem.

Podobnie nie ma Belba.

Spróbujmy teraz wyobrazić sobie, że to, co widziałem w sobotni wieczór w Saint-Martin-des-Champs, zdarzyło się naprawdę. Być może nie tak, jak ja to widziałem, gdyż byłem

pod wpływem muzyki i kadzideł, ale coś się zdarzyło. To jak historia z Amparo. Wracając do domu, nie miała pewności, czy przeniknęła w nią Pomba Gira, ale wiedziała, że poszła do namiotu *umbanda* i tam czuła się w mocy Pomba Gira – a przynajmniej tak się zachowywała.

A wreszcie to, co powiedziała mi w górach Lia, jest prawdą, jej odczytanie wszystkiego wydaje się absolutnie przekonujące, tekst z Provins to rachunek z pralni. Nie było żadnych zgromadzeń templariuszy w Grange-aux-Dîmes. Nie było Planu, nie było posłannictwa.

Rachunek z pralni stał się dla nas krzyżówką o niewypełnionych kratkach i bez znaczeń słów. Trzeba więc wypełnić kratki tak, żeby wszystko się należycie krzyżowało. Ale może ten przykład nie jest wystarczająco adekwatny. W krzyżówce krzyżują się słowa, a słowa winny się krzyżować na wspólnej literze. W naszej grze krzyżowaliśmy nie słowa, ale pojęcia i fakty, więc rządziły nią odmienne reguły – w zasadzie trzy.

Pierwsza reguła. Pojęcia łączy się na zasadzie analogii. Nie ma reguł mówiących od samego początku, czy dana analogia jest dobra, czy zła, gdyż każda rzecz jest z jakiegoś punktu widzenia podobna do każdej innej. Przykład. Ziemiak krzyżuje się z jabłkiem, gdyż są to rośliny i w dodatku mają krągły kształt. Jabłko z węzem dzięki skojarzeniu religijnemu. Wąż z obwarzankiem ze względu na podobieństwo zewnętrzne, obwarzanek z kołem ratunkowym, stąd przechodzimy do kostiumu kąpielowego, od kostiumu do mapy morskiej, od mapy morskiej do papieru higienicznego, od higieny do alkoholu, od alkoholu do narkotyku, od narkotyku do strzykawki, od strzykawki do dziury, od dziury do ziemi, od

ziemi do ziemniaka.

Bez zarzutu. Druga reguła powiada bowiem, że na koniec *tout se tient*, gra jest ważna. Od ziemniaka do ziemniaka *tout se tient*. Więc jest prawdziwe.

Trzecia reguła. Skojarzenia nie mogą być wzięte z powietrza - w tym sensie, że przynajmniej raz zostały wskazane, ale lepiej, jeśli wielokrotnie, przez kogoś innego. Tylko dzięki temu powiązania są dobre jako oczywiste.

Była to zresztą koncepcja pana Garamonda. Książki diabolistów nie mają wprowadzać czegoś innego, tylko powtarzać to, co zostało już powiedziane, co bowiem by się stało z siłą Tradycji?

Tak właśnie postępowaliśmy. Niczego nie wymyślaliśmy oprócz sposobu układania fragmentów. Tak samo postępował Ardenti, niczego nie wymyślił, tyle że jego układanka okazała się niezgrabna, a poza tym był mniej wykształcony od nas, miał więc do dyspozycji mniejszą liczbę fragmentów.

Oni mieli fragmenty, ale nie mieli schematu krzyżówki. A zresztą my okazaliśmy się - znowu - lepsi.

Przypomniałem sobie zdanie, które powiedziała mi Lia w górach, kiedy skarciła mnie za to, że paskudnie się bawimy. „Ludzie są spragnieni planów i jeśli podsuniesz im plan, rzucą się jak zgraja wilków. Ty zmyślasz, a oni wierzą. Nie należy powoływać do życia więcej tworów wyobraźni, niż jest to potrzebne”.

W gruncie rzeczy zawsze się tak dzieje. Młody Herostrates gryzie się, gdyż nie wie, jak zyskać sławę. Pewnego dnia widzi film, w którym warty chłopak strzela do gwiazdy country music, kreując wydarzenie dnia. Znalazł się sposób, zabija Johna Lennona.

To jak z NWA. Jak stać się publikowanym poetą, który trafi do encyklopedii? Garamond daje odpowiedź. To łatwe, wystarczy zapłacić. NWA nigdy dotąd na to nie wpadł, ponieważ jednak istnieje plan Manuzia, identyfikuje się z nim. NWA jest przekonany, że od samego początku potrzebny mu był Manuzio, ale nie wiedział o jego istnieniu.

W konsekwencji wymyśliliśmy nieistniejący Plan, a Oni nie tylko uznali go za dobry, ale sami sobie wmówili, że od dawna mają w nim swoje miejsce, czyli dokonali utożsamienia swoich chaotycznych i niejasnych zamierzeń z fazami naszego Planu, nakreślonego zgodnie z nieodpartą logiką analogii, pozorów, podejrzenia.

Skoro jednak realizują Plan, który wymyśliliśmy, wszystko jest tak, jakby Plan istniał, a nawet po prostu istnieje.

Od tej chwili zgraje diabolistów będą przemierzać świat w poszukiwaniu mapy.

Ofiarowaliśmy mapę ludziom, którzy próbują przemoc swoją nieświadomą frustrację. Jaką? Odpowiedź podsunął mi ostatni plik Belba. Niemożliwa jest klęska, jeśli naprawdę istnieje Plan. Porażka, owszem, tyle że nie z twojej winy. Ulec, stawiając czoło kosmicznemu spiskowi, to żaden wstyd. Nie jesteś tchórzem, lecz męczennikiem.

Nie lamentuj nad tym, że jesteś śmiertelnikiem, łupem tysięcy mikroorganizmów, nad którymi nie panujesz, nie ponosisz odpowiedzialności za swoje mało chwytne stopy, za zniknięcie ogona, sierści i odrastających zębów, neuronów, które tracisz na drodze życia, za twardniejące żyły. To przez Zawistne Anioły.

To samo odnosi się do życia codziennego. Jak załamanie kursów na giełdzie. Zdarzają się, ponieważ każdy wykonuje

jakiś błędny ruch, a suma tych błędnych posunięć wywołuje panikę. Potem ci, co nie mają mocnych nerwów, zadają sami sobie pytanie: kto uknuł ten spisek, kto na tym skorzystał? I biada, jeśli nie znajdziesz wroga, który spiskował, bo sam poczujesz się winny. Albo, jeśli czujesz się winny, wymyślasz spisek, a nawet niejednego. I musisz zorganizować własny spisek, żeby zwalczyć tamten.

A im bardziej wyrafinowane są spiski innych, tym bardziej w nim zasmakujesz; aby zaś uzasadnić to, że niczego nie rozumiesz, swój spisek konstruujesz na miarę tamtych. To właśnie zdarzyło się między jezuitami i zwolennikami Baco-  
na, paulicjanami i templariuszami, kiedy każdy wypominał innemu jego plan. Diotallevi zauważył wtedy: „Bez wątpienia przypisujesz innym to, co sam robisz, a skoro ty robisz coś odrażającego, tamci stają się odrażający. Ponieważ jednak pragną przyswoić sobie tę odrażającą rzecz, którą ty robisz, wspierają twoje zapatrywanie, wmawiając ci, a jakże, iż w rzeczywistości to, co im przypisujesz, jest tym, czego zawsze pragnęli. Bóg oślepia tego, kogo chce zgubić, wystarczy Mu pomóc”.

Spisek, jeśli ma być spiskiem, trzeba otoczyć tajemnicą. Musi istnieć tajemnica, która uwolni nas od frustracji dzięki temu, że ją poznamy, gdyż albo zapewni nam zbawienie, albo poznanie jej będzie równoważne zbawieniu. Czy istnieje tajemnica tak wyrazista?

Z całą pewnością, pod warunkiem jednak, że nie zostanie nigdy poznana. Obnażona, mogłaby przynieść nam jedynie rozczarowanie. Czyż Agliè nie opowiadał o pędzie do tajemnicy wstrząsającym epoką Antoninów? A przecież niedawno pojawił się ktoś, kto oświadczył, że jest Synem Bożym, który

przyjmuje ciało i odkupuje grzechy świata. Czy to byle jaka tajemnica? I obiecywała zbawienie wszystkim, wystarczy kochać bliźniego swego. Czy taka tajemnica to mało? I zostawiła zapis, że ktokolwiek wypowie we właściwym momencie właściwe słowa, może przemienić chleb i pół kielicha wina w ciało i krew Syna Bożego i tym się karmić. Czy taką zagadkę należy odrzucić? I skłaniała ojców Kościoła do domysłów, a potem ogłoszenia, że Bóg jest jedyny i troisty i że Duch pochodzi z Ojca i Syna, ale Syn nie pochodzi z Ojca i Ducha. Czy to była formułka stosowna dla hylików? A jednak ci wszyscy, którzy mieli teraz zbawienie w zasięgu ręki – *do it yourself* – nie kiwnęli palcem. Na tym polega objawienie? Co za banał. Więc dalejże krążyć historycznie swoimi okrętami po całym Morzu Śródziemnym w poszukiwaniu zaginionej wiedzy, dla której te dogmaty za trzydzieści srebrników są tylko zewnętrzną zasłoną, przypowieścią przeznaczoną dla ubogich duchem, aluzyjnym hieroglifem, porozumiewawczym mrugnięciem do Pneumatyków. Tajemnica Trójcy? To zbyt łatwe, musi się za tym kryć coś innego.

Był jeden taki, może to Rubinstein, który na pytanie, czy wierzy w Boga, odpowiedział: „Och, nie, ja wierzę... w coś znacznie większego...” Ale był też inny (może Chesterton?), który powiedział: to, że ludzie przestali wierzyć w Boga, nie oznacza, że nie wierzą już w nic, gdyż wierzą we wszystko.

Wszystko nie jest bynajmniej największą z tajemnic. Nie ma tajemnic największych, gdyż natychmiast po ujawnieniu stają się małe. Jest tylko tajemnica pusta. Tajemnica, która się wymyka. Tajemnica rośliny orchis polega na tym, że oznacza jądra i oddziałuje na nie, ale jądra oznaczają znak zodiaku, znak zodiaku – hierarchię anielską, hierarchia anielska –



gamę muzyczną, gama - związek między cieczami biologicznymi, i tak dalej; wtajemniczenie polega na tym, żeby dowiadywać się i nigdy nie ustawać, obiera się wszechświat jak cebulę, a cebula składa się z samych łupin: wyobraźmy sobie cebulę nieskończoną, która miałaby środek wszędzie, powierzchni zaś nie miałaby nigdzie, albo na wzór wstęgi Möbiusa.

Prawdziwym wtajemniczonym jest ten, kto wie, że najpotężniejszą tajemnicą jest tajemnica bez treści, żaden bowiem nieprzyjaciel nie zdoła zmusić do jej wyznania, żaden wierny nie zdoła jej wydrzeć.

Teraz dynamika nocnego obrządku przed Wahadłem wydała mi się bardziej logiczna i konsekwentna. Belbo utrzymywał, że jest w posiadaniu tajemnicy i dlatego zyskał nad Tamtymi władzę. Ich odruchem - nawet w przypadku człowieka tak roztropnego jak Agliè, który natychmiast zaczął walić w tam-tam, zwołując pozostałych - było mu ją wydrzeć. A im bardziej Belbo odmawiał jej wyjawienia, tym mocniej Oni wierzyli, że jest ogromna, im bardziej zaś przysięgał, że jej nie zna, tym bardziej byli przekonani, że ją zna, i była to prawdziwa tajemnica, gdyby bowiem była fałszywa, ujawniłby ją przecież.

Przez całe wieki poszukiwanie tajemnicy było dla nich spoiwem wśród ekskomunik, walk wewnętrznych, forteli. Teraz zamierzali ją poznać. A nękały ich dwa lęki: że tajemnica przyniesie zawód i że - kiedy stanie się znana wszystkim - nie będzie już tajemnicą. Będzie ich końcem.

I w tym momencie Agliè przeczuł, że jeśliby Belbo przemówił, wszyscy by się dowiedzieli, a on, Agliè, utraciłby tę mglistą aurę, która dawała mu charyzmat i władzę. Gdyby

Belbo zwierzył się tylko jemu, Agliè byłby nadal nieśmiertelnym Saint-Germainem - odroczenie jego śmierci oznaczało trwanie tajemnicy. Próbował skłonić Belba, by ten wyjawiał mu tajemnicę na ucho, i kiedy zrozumiał, że to niemożliwe, sprowokował go, zapowiadając jego kapitulację, lecz przy okazji obnażył własną pustkę. Och, znał go dobrze ten stary hrabia, wiedział, że u ludzi z tych stron upór i poczucie śmieszności przemogą nawet strach. Zmusił go do podjęcia wyzywającego tonu i powiedzenia w sposób nieodwołalny „nie”.

A inni, z powodu tego samego lęku, woleli go zabić. Tracili mapę - mają przed sobą całe wieki na jej szukanie - ale ratują świeżość swojego zgrzybiałego i zaślinionego pożądania.

Przypomniałem sobie pewną historię, którą opowiedziała mi Amparo. Zanim jeszcze przyjechała do Włoch, spędziła kilka miesięcy w Nowym Jorku, mieszkając w jednej z tych dzielnic, gdzie w najlepszym razie kręci się seriale filmowe o wydziale zabójstw. Pewnego razu wracała sama o drugiej w nocy. A kiedy spytałem, czy nie bała się zboczeńców seksualnych, wyjaśniła mi swoją metodę. Jak tylko zbliżał się taki i dawał do zrozumienia, że jest zboczeńcem, brała go pod ramię i mówiła: „No to chodźmy do łóżka”. Uciekał, zbity z tropu.

Kiedy jesteś zboczeńcem seksualnym, wcale nie chcesz seksu, chcesz go pragnąć, co najwyżej kraść seks, lecz jeśli to tylko możliwe, bez wiedzy ofiary. Jeśli zaś stawiają cię wobec możliwości przeżycia seksualnego i mówią: tutaj się ocieraj, tutaj podskakuj, jest rzeczą naturalną, że uciekasz, inaczej cóż byłby z ciebie za zboczeniec?

A my zaczęliśmy pobudzać ich zachcianki, podsuwać tajemnicę - najbardziej pustą ze wszystkich możliwych, gdyż nie tylko sami jej nie znaleźliśmy, lecz na dodatek wiedzieliśmy, że jest fałszywa.

Samolot przelatywał nad Mont Blanc i wszyscy pasażerowie rzucili się na jedną stronę, by nie stracić widoku tego obłego karbunkułu, który wyrósł wskutek zaburzenia napięcia prądów podziemnych. Uważałem, że jeśli to, co myślę, jest słuszne, być może prądy podziemne nie istnieją, podobnie jak nie istnieje tekst z Provins, ale zrekonstruowana przez nas historia rozszyfrowania Planu jest właśnie Historią.

W drodze powrotnej miałem w pamięci ostatni plik Belba. Skoro jednak byt jest tak pusty i wąty, że trwa tylko dzięki złudzeniu tych, którzy szukają jego tajemnicy, naprawdę - jak powiedziała Amparo w wieczór *umbanda*, po swojej porażce - nie ma odkupienia, wszyscy jesteśmy niewolnikami, dajcie nam pana, bo na to zasługujemy...

To niemożliwe. To niemożliwe, gdyż Lia nauczyła mnie, że jest coś więcej, i mam na to dowód, nazywa się Giulio i w tej chwili bawi się w dolinie, ciągnąc za ogon kozę. To niemożliwe, gdyż Belbo dwukrotnie powiedział „nie”.

Pierwsze „nie” powiedział Abulafii, któremu próbowałem wydrzeć jego sekret. „Czy znasz hasło?” - padło pytanie. A odpowiedź, klucz do wiedzy, brzmiała „nie”. Tkwi w tym jakaś prawda, ta mianowicie, że nie tylko nie istnieje żadne słowo magiczne, ale że także go nie znamy. Jeśli jednak ktoś umie to uznać, może się czegoś dowiedzieć, przynajmniej te-

go, czego dowiedziałem się ja.

Drugie „nie” powiedział w sobotni wieczór, odrzucając rautunek, który mu proponowano. Mógł zmyślić pierwszą lepszą mapę, podsunąć jedną z tych, które mu pokazywałem, przecież przy tak zawieszonym Wahadle ta zgraja obłąkańców nigdy by nie zidentyfikowała Umbilicus Mundi, a gdyby nawet, straciłaby następnych kilka dziesięcioleci na zrozumienie, że to nie to, o co chodzi. Ale nie, nie chciał się ugiąć, wołał umrzeć.

Nie w tym rzecz, że nie chciał się ugiąć przed wyuzdaną żądzą władzy. Nie chciał się ugiąć przed bezsensem. Wiedział w pewien sposób, iż bez względu na to, jak kruchy jest byt, jak nieskończone i bezcelowe nasze pytanie o świat, istnieje coś, co ma więcej sensu niż cała reszta.

Co takiego przeczuł – może dopiero w tamtej chwili – Belbo, że pozwoliło mu zaprzeczyć treści ostatniego, desperackiego pliku i nie złożyć swego losu w ręce kogoś, kto gwarantował jakiś Plan? Co zrozumiał takiego – w końcu – że mógł postawić na to coś życie, jakby wszystko, co powinien wiedzieć, odkrył już dawno, choć aż do tamtej chwili sobie tego nie uświadamiał, i jakby w obliczu tej jedynej prawdziwej, absolutnej tajemnicy wydarzenia rozgrywające się w Conseratoire były beznadziejnie głupie – jak głupie byłoby w tym momencie upieranie się przy życiu?

Czegoś mi brakowało, jakiegoś ogniwa w łańcuchu. Wydawało mi się, że znam teraz wszystkie czyny Belba, od życia po śmierć. Prócz jednego.

Kiedy po przylocie szukałem w kieszeni paszportu, natrafiłem na klucz od tego domu. Wziąłem go w zeszły czwartek razem z kluczem do mieszkania Belba. Przypomniałem sobie

ten dzień, kiedy Belbo pokazał starą szafę, w której schował, jak twierdził, swoje *opera omnia*, czyli juvenilia. Może Belbo napisał coś, czego nie znalazłem w Abulafii, a co zostało po-  
grzebane tutaj, w \*\*\*.

W moich domysłach nie było niczego racjonalnego. „To dobra racja – powiedziałem sobie – żeby uznać je za trafne. Właśnie teraz”.

Poszedłem po samochód i przyjechałem tutaj.

Nie zastałem nawet starej krewnej Canepy, którą pozna-  
liśmy wtedy, ani żadnego opiekuna domu. Może ona też  
umarła. Nie było tutaj nikogo. Chodziłem po pokojach,  
wszędzie zapach wilgoci, pomyślałem nawet, że warto byłoby  
posłużyć się „klechą”, żeby ogrzać jedną sypialnię. Ale ogrze-  
wanie łóżka w czerwcu nie ma sensu, wystarczy otworzyć  
okna, żeby wtargnęło ciepłe wieczorne powietrze.

Zaraz po zachodzie słońca nie było księżycy. Jak w sobot-  
nią noc w Paryżu. Wszedł bardzo późno, dopiero teraz  
widzę mały skrawek, mniej niż w Paryżu, wznosi się powoli  
nad najniższe wzgórza w zakłębieniu między Bricco i inną  
wypukłością, żółtawą, bo może już zżętą.

Wydaje mi się, że dotarłem tutaj koło szóstej po południu,  
gdyż było jeszcze widno. Nie wziąłem ze sobą nic do jedze-  
nia. W pewnym momencie, krążąc to tu, to tam po domu, tra-  
fiłem do kuchni i znalazłem zawieszona na belce stropowej  
salami. Zjadłem więc salami, popijając zimną wodą – musiała  
być wtedy mniej więcej dziesiąta. Teraz chce mi się pić, przy-  
niosłem tu, do gabinetu Carla, wielką karafkę wody, piję co  
dziesięć minut, potem schodzę, napełniam karafkę i wszystko  
zaczyna się od początku. Musi być chyba trzecia. Ale nie za-  
palam światła i z trudem dostrzegam wskazówki zegarka.

Rozmyślałam, patrząc w okno. Widzę jakby świetliki, gwiazdy spadające na zboczach gór. Z rzadka pojawia się jakiś samochód, jedzie w głąb doliny albo pod górę, ku wioskom na wzgórzach. Kiedy Belbo był chłopcem, pewnie nie miał takich widoków. Nie było samochodów, nie było tych dróg, nocą obowiązywało zaciemnienie.

Zaraz po przyjeździe otworzyłem szafę z juweniliami. Półki pełne papierów: od wypracowań ze szkoły podstawowej po pliki młodzieńczej twórczości poetyckiej i prozatorskiej. Wszyscy w młodości piszą wiersze, potem prawdziwi poeci je niszczą, a źli publikują. Belbo był zbyt trzeźwy, by je zachować, i zbyt bezbronny, by zniszczyć. Pogrzebał je więc w szafie wuja Carla.

Czytałem przez kilka godzin. I przez następnych kilka długich godzin, aż do tej chwili, medytowałem nad ostatnim tekstem, jaki znalazłem, kiedy już się miałem poddać.

Nie wiem, kiedy Belbo go napisał. Jest to stos kartek, na których przeplatają się fragmenty pisane różnymi rękami albo tą samą ręką, ale w różnych momentach życia. Jakby pisał to bardzo szybko w wieku siedemnastu lub osiemnastu lat, a potem zrezygnował i wracał do pisania, mając dwadzieścia lat, trzydzieści i może jeszcze później. I tak do chwili, kiedy przestał w ogóle pisać, jeśli nie liczyć Abulafii, nie odważywszy się jednak poddać tych linijek elektronicznemu upokorzeniu.

Kiedy się czyta, ma się wrażenie powrotu do jakiejś dobrze znanej opowieści, do wydarzeń w \*\*\* między 1943 a 1945 rokiem – wuj Carlo, partyzanci, oratorium, Cecilia, trąbka. Znam prolog, były to obsesyjne wątki Belba w wieku chłopięcym. Belba pozbawionego złudzeń i żalosnego pijaka.

Literatura wspomnieniowa, wiedział o tym także on, ostatni azyl łotrów.

Ale ja nie jestem krytykiem literackim, raz jeszcze stałem się Samem Spade'em, który szuka ostatniego już tropu.

W ten sposób odnalazłem Tekst Kluczowy. Stanowi zapewne końcowy rozdział historii Belba w \*\*\*. Później nie mogło się zdarzyć już nic.

Podpalono zwieńczenie trąby i ujrzałem wtedy, jak rozwiera się otwór w kopule i zachwycająca strzała ognia mknie w dół przez szyjkę trąby i zagłębia się w ciałach pozbawionych życia. Potem otwór zamknął się i również trąba została usunięta.

Johann Valentin Andreae, *Die Chymische Hochzeit des Christian Rosencreutz*, Zetzner, Strassburg 1616, 6, s. 125–126

W tekście są niedopowiedzenia, supozycje, opuszczenia, skreślenia. Widać, że dopiero co wróciłem z Paryża – nie odczytuję go, lecz przeżywam.

Musiało to być pod koniec kwietnia czterdziestego piątego. Armia niemiecka była rozgromiona, faszyci poszli w rozpukę. W każdym razie \*\*\* było już, tym razem ostatecznie, pod kontrolą partyzantów.

Po ostatniej bitwie, o której Jacopo opowiedział nam właśnie w tym domu (prawie dwa lata temu), rozmaite brygady partyzanckie wyznaczyły sobie spotkanie w \*\*\*, by ruszyć na miasto. Partyzanci czekali na sygnał Radia Londyn, mieli zaatakować, kiedy również Mediolan będzie gotowy do powstania.

Zjawili się także partyzanci z Brygad Garibaldiego, pod dowództwem Rasa, czarnobrodego olbrzymia, bardzo popularnego w okolicy. Ubrani byli w fantazyjne mundury, każdy inny – poza czerwonymi chustami i takimiż gwiazdami na piersi, i uzbrojeni w sposób przypadkowy, ten w stary karabin, tamten w zdobyczny pistolet maszynowy. Stanowili kontrast z brygadami zwolenników Badoglia, którzy nosili chusty błękitne, mundury koloru khaki, podobne do angielskich, i uzbrojeni byli w nowiutkie steny. Alianci pomagali im, za-



pewniając szczodre nocne zrzuty, których dokonywali po przejściu, jak zawsze od dwóch już lat, codziennie o jedenastej, tajemniczego Pippetta, angielskiego zwiadowcy, który nie wiadomo co rozpoznawał, jako że światła były widoczne na wiele kilometrów.

Między garibaldczykami a zwolennikami Badoglia były konflikty, powiadano, że w wieczór bitwy ci ostatni rzucili się na wroga, krzyząc: „Naprzód, Sabaudio!”, ale niektórzy z nich twierdzili, że to z przyzwyczajenia, bo co krzyżeć, kiedy idzie się do ataku; nie musi to świadczyć o tym, iż są monarchistami, i także oni wiedzą przecie, że na królu ciąży poważne winy. Garibaldzycy uśmiechali się szyderczo; można krzyżeć „Sabaudia!”, kiedy idzie się do ataku na bagnety na otwartej przestrzeni, ale nie wtedy, gdy skacze się za róg ze stenem w rękę. I dodawali, że tamci zaprzędali się Anglikom.

Osiągnięto jednak *modus vivendi*. Żeby zaatakować miasto, konieczne było jednolite dowództwo i wybór padł na Terziego, który dowodził brygadą najlepiej wyekwipowaną, był najstarszy, uczestniczył w pierwszej wojnie światowej, został bohaterem i cieszył się zaufaniem dowództwa sprzymierzonych.

W następnych dniach, wydaje mi się, że trochę przed wybuchem powstania w Mediolanie, ruszyli do szturm na miasto. Dotarły do nas dobre wiadomości, operacja udała się, zwycięskie brygady wracały do \*\*\*, ale byli zabici, mówiło się, że Ras padł w walce, a Terzi jest ranny.

Potem pewnego popołudnia dał się słyszeć warkot pojazdów, triumfalne śpiewy, ludzie przybiegli na główny plac, szosą państwową jechały pierwsze oddziały, uniesione pięści,

sztandary, wymachiwanie bronią z okien samochodów i stopni ciężarówek. Po drodze obsypano już partyzantów kwiatami.

Nagle ktoś krzyknął: Ras, Ras!, i Ras pokazał się, siedział na tylnym błotniku dodge'a, z rozczochraną brodą i kępami spoconych czarnych włosów wychodzących spod rozpiętej na piersi koszuli, i śmiejąc się, pozdrawiał tłum.

Razem z Rasem wysiadł z dodge'a Rampini, krótkowidz, chłopak, który grał w orkiestrze, niewiele starszy od innych: zniknął trzy miesiące wcześniej i mówiono, że przyłączył się do partyzantów. I rzeczywiście ujrzano go – w czerwonej chusteczce na szyi, bluzie koloru khaki, niebieskich spodniach. Był to uniform orkiestry don Tica, ale Rampini miał teraz na sobie pas z kaburą i pistolet. Przez grube okulary, które były powodem tylu kpin dawnych kolegów z oratorium, patrzył na dziewczęta, a te tłoczyły się dokoła niego, jakby to był Flash Gordon. Jacopo zastanawiał się, czy gdzieś w tłumie jest także Cecilia.

W ciągu pół godziny plac zapełnił się partyzantami i tłum wywoływał głośno Terziego, chciał usłyszeć przemówienie.

Na balkonie ratusza ukazał się Terzi, wsparty na kuli, biały, i próbował ręką uciszyć tłum. Jacopo oczekiwał przemówienia, gdyż całe jego dzieciństwo, podobnie jak dzieciństwo wszystkich rówieśników, naznaczone było wielkimi i historycznymi przemówieniami duce, których najbardziej ważne fragmenty wbijano uczniom do głowy, co oznacza, że wbijano im do głów wszystko, gdyż każde zdanie stanowiło ważki cytaty.

Zapadła cisza. Terzi mówił ochryplym głosem, trudno było go zrozumieć. Powiedział: „Obywatele, przyjaciele. Po tylu

strasznych ofiarach... jesteśmy tu. Chwała poległym za wolność”.

Tyle. Wszedł do środka.

Tłum krzyczał, partyzanci wymachiwali pistoletami maszynowymi, stenami, karabinami, karabinkami model dziewięćdziesiąt jeden i strzelali na wiwat, łuski sypały się dookoła. Chłopcy płatali się pod nogami partyzantów i cywilów, gdyż wiedzieli, że już nigdy się tak nie obłowią, groziło bowiem, że wojna skończy się w ciągu najbliższego miesiąca.

Byli jednak polegli. Okropny przypadek sprawił, że obaj pochodzili z San Davide, wsi położonej nad \*\*\*, i rodziny domagały się pogrzebu na małym miejscowym cmentarzu.

Dowództwo partyzanckie postanowiło, że będzie to pogrzeb uroczysty, oddziały w szyku zwartym, odpowiednio przystrojone karawany, orkiestra gminna, proboszcz katedralny. Oraz orkiestra z oratorium.

Don Tico zgodził się bez wahania. Przede wszystkim dlatego, że zawsze miał poglądy antyfaszystowskie - oznajmił. Następnie, jak szeptali między sobą muzykanci, od roku ćwiczyli dwa marsze pogrzebowe, więc wcześniej czy później trzeba było je wykonać. A wreszcie - twierdzili złośliwi - żeby zapomniano, że grywał *Giovinezze*.

Historia z *Giovinezzą* wyglądała tak:

Wiele miesięcy wcześniej, jeszcze przed przybyciem partyzantów, orkiestra don Tica wyszła z okazji dnia jakiegoś świętego patrona i została zatrzymana przez Czarne Brygady. „Niech ksiądz zagra *Giovinezze*” - rozkazał kapitan, bębniąc palcami po lufie karabinu maszynowego. Nie przeskoczysz, jak nauczono się mówić później. Don Tico powiedział: chłopcy, spróbujemy, lepsze to niż kula. Pokazał tempo

batutą i okropna kakofonia dźwięków wypełniła \*\*\* muzyką, którą tylko przy zupełnie szaleńczej nadziei na wykupienie się można było uznać za *Giovinezze*. Wstyd dla wszystkich. Ustąpiliśmy bowiem przed siłą – powiedział potem don Tico – ale głównie dlatego, że graliście na odczep się. Owszem, jest księdzem i antyfaszystą, ale przede wszystkim sztuka dla sztuki.

Jacopa przy tym nie było. Cierpiał na zapalenie migdałków. Byli tylko Annibale Cantalamessa i Pio Bo i już ich obecność radykalnie przyczyniła się do upadku faszyzmu. Ale dla Belba problem polegał na czym innym, w każdym razie, kiedy to opisywał, minęła go kolejna sposobność sprawdzenia, czy umiałby powiedzieć „nie”. Może dlatego zginął powieszony na Wahadle.

Pogrzeb wyznaczono na niedzielny ranek. Wszyscy zgromadzili się na placu przed katedrą. Terzi ze swoimi podkomendnymi, wuj Carlo i kilku gminnych notabli, którzy przypięli na tę okazję medale z pierwszej wojny, i nieważne było, kto jest faszystą, a kto nie, gdyż chodziło o złożenie hołdu bohaterom. Byli także duchowni, gminna orkiestra ubrana w ciemne garnitury, i wozy, do których zaprzężono konie okryte czaprakami i w uprzężach białokremowych, srebrnych i czarnych. Automedon był wystrojony jak napoleoński marszałek, w dwurożny kapelusz, pelerynkę i obszerny płaszcz, wszystko w tych samych barwach co ozdoby na koniach. No i orkiestra z oratorium, w czapkach z daszkami, bluzach koloru khaki i niebieskich spodniach, lśniąca od instrumentów dętych, czarna od drewnianych, skrząca się od czyneli i tamburynów.

Między \*\*\* a San Davide było pięć lub sześć kilometrów

pnącej się zakosami pod górę drogi. Jednej z tych dróg, które emeryci przebywają w niedzielne popołudnia, grając w kule – partyjka, przystanek, kilka butelek wina, druga partyjka, i tak dalej, do samej świątyni na górze.

Kilka kilometrów wspinaczki to fraszka, jeśli gra się po drodze w kule, może nawet fraszka, jeśli maszeruje się z bronią na ramieniu, ze wzrokiem wbitym w dal, oddychając chłodnym wiosennym powietrzem. Spróbujcie jednak zrobić to, grając na instrumencie – policzki wydęte, pot spływa strumieniami, brak tchu. Orkiestra gminna nigdy nie robiła niczego innego, lecz dla chłopców z oratorium była to ciężka próba. Trzymali się bohatersko, don Tico wymachiwał batusą, wycieńczone klarnety zawodziły, saksofony beczały astmatycznie, bombardony i trąby skowyczały w udręce, ale udało się, wytrwali do samej wsi, do skraju stromej ścieżki prowadzącej na cmentarz. Annibale Cantalamessa i Pio Bo już od jakiegoś czasu udawali tylko, że grają, ale Jacopo, pod błogosławiącym go okiem don Tica, pełnił wytrwale swoje obowiązki psa pasterskiego. Wypadli nieźle na tle orkiestry gminnej i nawet Terzi oraz inni dowódcy partyzanczy to potwierdzili: dzielni chłopcy, spisali się doskonale.

Któryś dowódca w niebieskiej chustce na szyi i z tęczowymi wstążkami orderów z obu wojen powiedział:

– Niech ksiądz pozwoli chłopcom odpocząć we wsi, są u kresu sił. Wejdziecie później, pod koniec uroczystości. Znajdzie się ciężarówka, która odwiezie was po wszystkim do \*\*\*.

Popędzili do gospody i także muzykanci z orkiestry gminnej, starzy wyjadacze, weterani niezliczonych pogrzebów, nie zważając na nic, rzucili się do stolików, by zamawiać flaki

i do woli wina. Mieli bawić się wesoło do wieczora. Natomiast chłopcy don Tica stłoczyli się przy ladzie, gdzie właściciel podawał mrożony napój miętowy, zielony jak doświadczenie chemiczne. Ziąb spływał w głąb gardła, aż czuło się ból pośrodku czoła jak przy zapaleniu zatok.

Potem podeszli kawalek w stronę cmentarza, gdzie czekała już furgonetka. Wsiedli wśród okrzyków i stali stłoczeni, potrącając się instrumentami, kiedy z cmentarza wyszedł tamten komendant i powiedział:

- Proszę księdza, na zakończenie uroczystości potrzebna nam będzie trąbka. To kwestia pięciu minut.

- Trąbka - powiedział rzeczowym tonem don Tico.

Nędznik cieszący się przywilejem grania na tym instrumencie, spocony po napoju miętowym i marzący o domu i obiedzie, wiejski leń nieczuły na dreszcz estetycznego przeżycia i na solidarność ideową, zaczął lamentować, że jest późno, że chce do domu, że zaschło mu w ustach, i tak dalej, i tak dalej, stawiając w kłopotliwej sytuacji don Tica, który musiał się za niego wstydzić przed komendantem.

W tym momencie Jacopo, mając przed oczyma obraz słodkiej Cecilii w blasku słońca w samo południe, powiedział:

- Ja pójdę, jeśli pożyczysz mi trąbkę.

Błysk wdzięczności w oczach don Tica, ulga spoconego nędznika. Zamienili się instrumentami jak wartownicy przekazujący sobie służbę.

I Jacopo udał się na cmentarz, prowadzony przez psychopompę z orderami spod Addis Abeby. Wszystko dokoła było białe - wyblakły od słońca mur, groby, kwitnące drzewa przy ogrodzeniu, komża proboszcza gotującego się do udzielenia błogosławieństwa - oprócz spłowiałego brązu fotografii na

kamieniach nagrobnych. I wielkiego bukietu chorągwi po drugiej stronie dwóch otwartych grobów.

- Chłopcze - powiedział komendant - staniesz obok mnie i kiedy padnie komenda, zagrasz sygnał „baczność”. Potem, znowu na komendę, „spocznij”. Łatwe, prawda?

Nawet bardzo łatwe. Poza tym, że Jacopo nigdy nie grał ani sygnału „baczność”, ani „spocznij”.

Trzymał trąbkę pod zgiętym prawym ramieniem, przytuloną do boku, koniec lekko opuścił, jakby to był karabin, i czekał z głową podniesioną, brzuchem wciągniętym i wypiętą pierśią.

Terzi przemawiał właśnie, używając bardzo krótkich zdań. Jacopo pomyślał, że wystarczy wznieść wzrok do nieba, by wydobyć z trąbki dźwięk, który słońce zaakceptuje. Tak umiera trębacz, a zważywszy na to, że umiera się raz, warto zrobić to dobrze.

Potem komendant szepnął: „Teraz”, i krzyknął: „Baa...!” Ale Jacopo nie umiał zagrać sygnału „baczność”.

Struktura melodyczna musiała być znacznie bardziej skomplikowana, ale w tym momencie był w stanie zagrać tylko do-mi-sol-do, co tym srogim ludziom wojny powinno wystarczyć. Końcowe „do” zagrał, zaczerpnąwszy oddechu, by zabrzmiało przeciągle i zdążyło - napisał Belbo - dosięgnąć słońca.

Partyzanci stali nieruchomo na bacznąć. Żywi równie sztywni jak zmarli.

Poruszali się jedynie grabarze, słycać było odgłos opuszczanych do dołów trumien, potem wyciąganych sznurów, które ocierały się o drewno. Ale był to ruch ledwie widoczny, jak błysk przemykający po kuli, kiedy leciutka zmiana światła

ma jedynie świadczyć, że nic się nie dzieje.

Potem abstrakcyjny szczęk przy „prezentuj broń”. Proboszcz wymamrotał stosowne formuły, pokrapiając wodą święconą, dowódcy podeszli do dołów i każdy z nich rzucił garść ziemi. Nagle rozległ się rozkaz i prosto w niebo strze-liło salwą ta-ta-ta ta-pum, ptaki wzbiły się zgiełkliwie w powietrze z kwitnących drzew. Ale nawet to nie było ruchem, miało się uczucie, że ciągle ta sama chwila wraca, ukazując coraz to inny swój aspekt, a obserwowanie przez wieczność tej samej chwili nie oznacza obserwowania jej przy mijającym czasie.

Dlatego Jacopo trwał bez ruchu, nieczuły nawet na deszcz łusek, które toczyły się u stóp, nie włożył też trąbki pod pachę, lecz z palcami na klawiszach, wyprostowany w postawie na baczność, trzymał ją przy wargach, skierowaną skośnie ku niebu. On nadal grał.

Przeciągła nuta końcowa wciąż rozbrzmiewała - niedosłyszalna dla obecnych, ulatywała z dzwonu trąbki niby leciutkie tchnienie, podmuch powietrza, które on wciąż tłoczył do ustnika, trzymając język między ledwie rozchyłonymi wargami, lecz nie przywierając nimi do instrumentu. Trąbka nie zmieniała położenia, chociaż nie opierała się o usta, dzięki samemu napięciu łokci i ramion.

Jacopo nie przerywał tej iluzji nuty, ponieważ czuł, że w tym momencie rozwija nić, która przytrzymuje słońce. Słońce zostało zablokowane w swoim biegu, zastygło w najwyższym punkcie i mogło tam utkwić na całą wieczność. Wszystko zależało od Jacopa, wystarczyło, by przerwał ten kontakt, popuścił nić, i słońce odskoczyłoby jak piłeczka, a wraz z nim dzień, wydarzenie tego dnia, ta akcja pozbawio-



na faz, gdyż w jego mocy było chcieć tego i dokonać.

Gdyby przestał dąć, początek nowej nuty zabrzmiałby jak zerwanie – znacznie donośniejsze niż ogłuszające salwy, i zegary podjęłyby odmierzanie częstoskurczów serca.

Jacopo całą duszą pragnął, by stojący obok mężczyzna nie rzucił komendy „spocznij”; mógłbym się nie zgodzić – mówił sobie – i zostałoby już tak na zawsze, dmij więc, póki sił.

Sądzę, że osiągnął ten stan odurzenia i upojenia, jaki przeżywa nurek, kiedy nie chce się wynurzyć, pragnie bowiem trwać w tej bezwładności, w tym unoszeniu się nad dnem. Do tego stopnia, że przy próbach wyrażenia tego, co wtedy czuł, zdania, które przeczytałem przed chwilą z zeszytu, załamują się asyntaktycznie, okaleczone wielokropkami, rachityczne wskutek elips. Było jednak rzeczą oczywistą, że w tamtej chwili – nie, nie napisał tak, ale było to rzeczą oczywistą: w tamtej chwili posiadał Cecilie.

Jacopo Belbo nie mógł wtedy zrozumieć – nie rozumiał też, kiedy pisał o swoim nieuświadomionym „ja” – że świętował raz na zawsze swoje wesele chemiczne z Cecilie, Lorenzą, Sophią, z ziemią i niebem. Może jako jedyny ze śmiertelnych doprowadzał wreszcie do końca Wielkie Dzieło.

Nikt nie powiedział mu jeszcze, że Graal to kielich, ale również włócznia, i jego wzniesiona jak kielich trąbka była jednocześnie orężem, instrumentem najłagodniejszej formy władzy, który mknie do nieba, by połączyć ziemię z Biegunem Mistycznym. Z jedynym Punktem Stałym, jaki świat miał kiedykolwiek: z tym, który Jacopo swoim oddechem powołał do życia ledwie na chwilę.

Diotallewi nie wyjaśnił mu wtedy jeszcze, że można przebywać w Jesod, sefirze Fundamentu, znaku przymierza

z wyższym łukiem, który napina się, by wyrzucić strzałę na miarę Malchut, sefiry, która jest jego tarczą. Jesod to kropla tryskająca ze strzały, by powstało drzewo i owoc, to dusza świata, gdyż stanowi chwilę, w której siła męska, płodząc, wiąże ze sobą wszystkie stany bytu.

Umieć uprząć ten Cingulum Veneris to naprawić błąd popełniony przez Demiurga.

Jak można spędzić całe życie na szukaniu Okazji, nie dostrzegając, że chwila rozstrzygająca, chwila nadająca sens narodzinom i śmierci, już minęła? Nie wróci, ale była – nieodwracalna, pełna, olśniewająca, szczodra jak każde objawienie.

Tego dnia Jacopo Belbo zajrzał w oczy Prawdzie. Jedynej, jaka została mu dana, gdyż prawda, o której się dowiadywał, mówi, że prawda trwa bardzo krótko (wszystko potem to już tylko komentarz). Dlatego starał się obłaskawić niecierpliwość czasu.

Wtedy tego z pewnością nie zrozumiał. Nawet kiedy o tym pisał lub kiedy postanawiał, że już nic nie napisze.

Zrozumiał jednak tamtego wieczoru. Autor musi umrzeć, żeby czytelnik spostrzegł jego prawdę.

Obsesja Wahadła, towarzysząca Jacopowi Belbo przez całe dorosłe życie, była – podobnie jak zagubione adresy ze snu – obrazem tamtej innej chwili, zapisanej i potem usuniętej, kiedy naprawdę dotknął oblicza świata. I to, moment, kiedy zamroził przestrzeń i czas, wypuszczając swoją strzałę Zenona, nie było znakiem, symptomem, aluzją, figurą, sygnałurą, zagadką: było tym, czym było i co nie zastępuje niczego innego, momentem, do którego nie można się później odwołać, gdyż rachunki zostały wyrównane.

Jacopo Belbo nie rozumiał, że przeżył swoją chwilę, która miała mu wystarczyć na całe życie. Nie rozpoznał jej, resztę życia spędził na poszukiwaniu innej, aż sam siebie doprowadził do wyroku skazującego. Albo być może podejrzewał to, w przeciwnym razie nie wracałby tak często do wspomnienia trąbki. Ale pamiętał o niej jak o czymś utraconym, choć przecież ją miał.

Mam nadzieję, modlę się, wierzę, że w momencie umierania na kołyszącym się Wahadle Jacopo Belbo rozumiał i zyskał spokój.

Potem padła komenda „spocznij”. Tak czy inaczej, podałby się jej, gdyż brakło mu już tchu. Zerwał kontakt, potem zagrał jedną jedyną nutę, wysoką i o opadającej intensywności – delikatnie, by przygotować świat do czekającej go melancholii.

Komendant powiedział:

– Świetnie, chłopcze. No proszę. Piękny sygnał.

Proboszcz wymknął się, partyzanci ruszyli w stronę bramy na tyłach, gdzie czekały na nich pojazdy, grabarze zasypali groby i też odeszli. Jacopo wyszedł ostatni. Nie mógł rozstać się z miejscem, gdzie przeżył szczęście.

Na placyku nie było już furgonu z oratorium.

Jacopo zadał sobie pytanie, jak to możliwe, przecież don Tico nie porzuciłby go w ten sposób. Z dystansu minionego czasu najbardziej prawdopodobna jest odpowiedź, że zaszło jakieś nieporozumienie, że ktoś powiedział don Ticowi, iż chłopca zabiorą na dół partyzanci. Ale Jacopo myślał wtedy – i nie bez racji – że między „bacznosc” a „spocznij” minęło zbyt wiele stuleci, chłopcy czekali do późnej starości, do

śmierci, aż wreszcie ich prochy uleciały, zmieniając się w lekką mgiełkę, barwiącą teraz błękitem pagórkowatą przestrzeń, która rozciągała się przed jego oczami.

Jacopo był sam. Za nim pusty już cmentarz, w rękach trąbka, przed nim wzgórze o coraz ciemniejszej błękitnej barwie, niknące jedno za drugim w pigwowej miazdze niekończoności, nad jego głową szukające pomsty słońce wolności.

Doszedł do wniosku, że powinien się rozpłakać.

Ale nagle ukazał się karawan z automedonem wystrojonym jak generał imperatora w samą biel, srebro i czerń: konie w barbarzyńskich maskach odsłaniających tylko oczy, przyozdobione jak katafalki: kręte kolumnienki, które podtrzymywały asyryjsko-grecko-egipski tympanon w czerni i bieli. Mężczyzna w dwurożnym kapeluszu zatrzymał się na chwilę przy samotnym trębaczku i Jacopo spytał go: „Podwiezie mnie pan do domu?”

Mężczyzna okazał się życzliwy. Jacopo usiadł obok niego na koźle i tak wozem zmarłych rozpoczął swój powrót do świata żywych. Ten Charon wracający ze służby poganiał w milczeniu swoje żałobne kłusaki wzdłuż urwiska. Jacopo siedział wyprostowany i dostojny w czapce z błyszczącym daszkiem, ściskając pod pachą trąbkę, przejęty swoją nową, nieoczekiwaną rolą.

Zjechali ze wzgórz, za każdym zakrętem rozciągały się nowe połacie winorośli granatowych od śniedzi, ciągle w oślepiającym blasku, aż po trudnym do określenia czasie znaleźli się w \*\*\*. Przejechali przez wielki plac, ze wszystkich stron otoczony podcieniami, pusty, jak tylko mogą być puste place w tych stronach o drugiej po południu w niedzielę. Na rogu

któryś z kolegów szkolnych zobaczył Jacopa na karawanie, z trąbką pod pachą, ze wzrokiem utkwionym w nieskończoność, i zrobił gest wyrażający podziw.

Kiedy Jacopo wrócił do domu, nie chciał jeść ani niczego opowiedzieć. Przykucnął na tarasie i zaczął grać na trąbce, lecz jakby z tłumikiem, dmąc leciutko, żeby nie zakłócać ciszy sjesty.

Ojciec podszedł do niego i bez śladu złośliwości, z otwartością człowieka, który zna dobrze prawa rządzące życiem, powiedział:

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za miesiąc wracamy do domu. Nie możesz nawet myśleć o graniu na trąbce w mieście. Właściciel domu przepędziłby nas gdzie pieprz rośnie. Zaczynaj więc o niej zapominać. Jeśli masz naprawdę zamiłowanie do muzyki, możesz brać lekcje pianina. - A widząc, że chłopcu błyszczą w oczach łzy, dodał: - No, głuptasie. Czy zdajesz sobie sprawę, że złe dni mamy już za sobą?

Następnego dnia Jacopo oddał trąbkę don Ticowi. Dwa tygodnie później cała rodzina opuściła \*\*\*, zwracając się ku przyszłości.

10

MALCHUT

Lecz godne pożałowania wydaje mi się to, iż widzę takich bezmyślnych i głupich bałwochwalców, którzy... naśladowują doskonałość kultu egipskiego; i szukają bóstwa, choć nie mają na nie żadnego dowodu, w wydzielinach rzeczy martwej i ożywionej: przez to wystawiają na pośmiewisko nie tylko owe bóstwa i roztropnych czcicieli, lecz także nas... a co jest w tym najgorsze, triumfują, widząc swoje szaleńcze obrządki w takim poważaniu... – Nie trap się tym, o Momosie – rzekła Izyda – albowiem przeznaczenie uładziło bieg spraw ciemności i światła. – Lecz zło jest w tym – odparł Momos – że oni uznają za pewne, iż przebywają w świetle.

Giordano Bruno, *Spaccio della bestia trionfante*, 3

Powinienem zyskać spokój. Zrozumiałem. Czy nie powiadali niektórzy z nich, że zbawienie przyjdzie, kiedy urzeczywistni się pełnia wiedzy?

Zrozumiałem. Powinienem zyskać spokój. Kto powiedział, że spokój, a także radość, triumf, zniknięcie wysiłku wyrażają z kontemplowania ładu, ładu zrozumianego, przeżytego w rozkoszy, zrealizowanego bez reszty? Wszystko jest jasne, przejrzyste, spojrzenie pada na całość i części, widząc, jak części współpracują z całością, chwyta ośrodek, z którego wypływa limfa, dech, korzenie wszystkich „dlaczego”...

Winienem być wycieńczony spokojem. Z okna gabinetu wuja Carla patrzę na wzgórze i ten skrawek księżycy, który się wyłania. Wielki garb Bricco, łagodniejsze grzbiety wzgórz w tle opowiadają historię powolnych i sennych wstrząsów matki Ziemi, która przeciągając się i ziewając, tworzyła i niweczyła jasnoblękitne plany w posepnych błyskach stu wulkanów. Żadnego głębokiego kierunku podziemnych prądów. Ziemia łuszczyła się w swoim śnie na jawie i zamieniała jedną powierzchnię na inną. Tam gdzie przedtem rodziły się diamenty – winnice. Logika moreny, lawiny, piargu. Potrąć

przypadkowo jakiś kamyk, a zacznie się ruszać, osunie w dół, pozostawi na swoim szlaku wolną przestrzeń (ach, *horror vacui!*), jakiś inny spadnie na pierwszy i mamy wyniosłość. Powierzchnie. Powierzchnie powierzchni na powierzchniach. Mądrość Ziemi. I Lii. Otchłań to wir równiny. Czemu mielibyśmy adorować wir?

Dlaczego jednak zrozumienie nie przynosi spokoju? Dlaczego miałbyś kochać Fatum, które zabija cię na równi z Opatrznością i Spiskiem Archontów? Może nie zrozumiałem jeszcze wszystkiego, brakuje mi odstępu, interwału?

Gdzieś przeczytałem, że w chwili ostatniej, kiedy życie, powierzchnia na powierzchni, pokryło się osadem doświadczenia, wiesz wszystko, znasz tajemnice, moc i chwałę, wiesz, dlaczego się urodziłeś, dlaczego umierasz i jak odmiennie wszystko mogło się ułożyć. Jesteś mędrce. Ale w tym momencie największą mądrością jest wiedzieć, że dowiedziałeś się za późno. Rozumie się wszystko, kiedy nie ma już nic do zrozumienia.

Teraz wiem, jakie jest Prawo Królestwa, biednego, zrozpaczonego, odartego z szat Malchut, w którym znalazła azyl Mądrość, poruszając się po omacku i szukając utraconej przenikliwości. Prawda Malchut, jedyna prawda jaśniejąca w nocy *sefirot*, a to dlatego, że Mądrość dostrzega w Malchut, iż jest naga, i dostrzega, iż pierwsza tajemnica to nie istnieć albo istnieć przez moment, który jest ostatnim. Potem Tamci przystępują na nowo do dzieła.

A wraz z nimi diaboliści: i szukają otchłani tam, gdzie kryje się tajemnica, jaką jest ich szaleństwo.

Na stokach Bricco ciągną się bez końca szpalery krzewów winnych. Znam je, widziałem podobne w moich czasach. Żad-



na Nauka o Liczbach nigdy nie potrafiła powiedzieć, czy pną się ku górze, czy schodzą w dół. W środku szpalerów – ale powinno się chodzić boso i od małego mieć stwardniałe podszwy – drzewa brzoskwiniowe. Są to żółte brzoskwinie, które rosną tylko między szpalerami, rozszczepiają się przy nacisku palcem i pestka wychodzi prawie sama, czysta, jakby poddano ją obróbce chemicznej, oprócz paru niteczek tłustej białej miazgi uczeplonej jakimś atomem. Jesz ją, prawie nie czując na skórcie meszku, który sprawia, że od języka do pachwiny przebiega cię dreszcz. Kiedyś pasły się nimi dinozau-ry. Potem inna powierzchnia zakryła ich powierzchnię. A przecież, podobnie jak Belbo grający na trąbce, kiedy ugryzłem brzoskwinię, zrozumiałem Królestwo i stanowiłem z nim jedno. Potem to już tylko żart. Wymyśl, wymyśl Plan, Casaubon. To ten, który tworzyli wszyscy, żeby wyjaśnić dinozau-ry i brzoskwinie.

Zrozumiałem. Pewność, że nie było w tym nic do zrozu-mienia – to właśnie winno być moim spokojem i moim trium-fem. Ale jestem tu, ja, który wszystko zrozumiałem, a Oni szukają mnie, mniemając, że jestem kustoszem objawienia, którego tak plugawie pożądam. Nie wystarczy zrozumieć, jeśli inni tego nie chcą i dalej stawiają pytania. Szukają mnie, musieli odnaleźć moje ślady w Paryżu, wiedzą, że tu jestem, chcą znowu Mapy. I choćbym im powiedział, że żadnych map nie ma, i tak będą jej pragnęli. Miał rację Belbo: odpieprz się, głupcze, czego chcesz, zabić mnie? Dość tego. Zabij mnie, ale nie powiem ci nawet, że nie ma Mapy, bo jak ktoś sam nie pójdzie po rozum do głowy...

Przykrość sprawia mi myśl, że nie zobaczę już Lii i dziec-ka, Rzeczy, Giulia, mojego Kamienia Filozoficznego. Ale ka-

mienie przetrwają same. Może przeżywa teraz swoją Okazję? Znalazł piłkę, mrówkę, źdźbło trawy i stoi, widząc w otchłani raj. Także on dowie się tego za późno. Będzie dobrze, właściwie, by samemu dopełnić swego dnia.

Gówno. A jednak boli. Cierpliwości, jak tylko umrę, zapomnę o bólu.

Jest późna noc, wyleciałem z Paryża dzisiaj rano, zostawiłem zbyt wiele śladów. Zdążyli się już domyślić, gdzie jestem. Wkrótce tu przybędą. Chciałbym zapisać wszystko, co przemyślałem od popołudnia do teraz. Ale Oni przeczytaliby, wyłuskaliby jakąś mroczną teorię i spędziliby wieczność na próbach rozszyfrowania tajemnego posłannictwa, jakie kryje się za moją opowieścią. To niemożliwe – powiedzieliby – by wyznał nam tylko, że bawił się naszym kosztem. Nie, choćby on sam o tym nie wiedział, oto Był śle nam posłannictwo poprzez swoją niepamięć.

Napiszę czy nie – to żadna różnica. I tak szukaliby innego sensu, nawet w moim milczeniu. Tacy już są. Są ślepi na objawienie. Malchut to Malchut, i tyle.

Ale spróbuj to powiedzieć. Brak im wiary.

W takim razie lepiej zostać tu, czekać i patrzeć na wzgórze.

Jest takie piękne.

# Spis ilustracji

- [1] Drzewo *sefirot*  
wg Cesare Evola, *De divinis attributis, quae Sephirot ab Hebraeis nuncupantur*, Venezia 1589, s. 102
- [2] Fragment z Izaaka Lurii „Szerzenie się światła w pustce”  
wg P.S. Gruberger (red.), *Ten Luminous Emanations*, t. 2, Jerusalem 1973, s. 7
- [3] Kręgi współśrodkowe  
wg Tritemiusz, *Clavis Steganographiae*, Frankfurt 1606
- [4] The Seal of Focalor  
wg A.E. Waite, *The Book of Black Magic*, London 1898
- [5] Monas Ieroglyphica  
wg J.V. Andreae, *Die Chymische Hochzeit des Christian Rosencreutz*, Zetzner, Strassburg 1616, s. 5
- [6] (u góry) Kopia mapy świata z Biblioteki Turyńskiej, XII w.  
wg Léon Gautier, *La Chevalerie*, Palmé, Paris 1884, s. 153
- [7] (pośrodku) Mapa świata  
wg Makrobiusz, *In Somnium Scipionis*, Gryphius, Venezia 1565, s. 144
- [8] (u dołu) Planisfera kosmograficzna  
wg Robert Fludd, *Utriusque Cosmi Historia*, II, *De Naturae Simia*, de Bry, Frankfurt 1624, s. 545
- [9] Epilogismus Combinationis Linearis  
wg A. Kircher, *Ars Magna Sciendi*, Jansson, Amsterdam 1669, s. 170
- [10] Krążki współśrodkowe  
wg Tritemiusz, *Clavis Steganographiae*, Frankfurt 1606